

Arturo Pérez-Reverte

**Ostatnia bitwa
Templariusza**

Tłumaczyła: Joanna Karasek

Wydanie oryginalne: 1995

Wydanie polskie: 2002

TMN

*Amayi za przyjaźń.
Juanowi za gnębienie.
Rodolfowi za to, co mu należy.*

Książa, bankierzy, piraci, księżniczki i łotrzykowie, postaci i sytuacje w tej powieści zostały wymyślone i jakiegokolwiek podobieństwo z rzeczywistymi osobami lub zdarzeniami należy uznać za przypadkowe. Wszystko tu jest fikcyjne, poza miejscem akcji. Nikt nie mógłby wymyślić takiego miasta jak Sewilla.

Informatyczny pirat wdarł się do centralnego systemu Watykanu jednaście minut przed północą. Trzydzieści pięć sekund później w jednym z komputerów podłączonych do głównej sieci uruchomił się alarm. Było to zaledwie mignięcie na ekranie, oznaczające automatyczne włączenie się systemu zabezpieczeń w reakcji na wtargnięcie kogoś z zewnątrz. Następnie w rogu ekranu pojawiły się litery *HK* i dyżurny funkcjonariusz, jezuita, który właśnie zajmował się wprowadzaniem danych dotyczących ostatniego spisu powszechnego w państwie papieskim, podniósł słuchawkę telefonu, by powiadomić szefa obsługi.

– Mamy hackera – zgłosił.

Zapinając sutannę, ojciec Ignacio Arregui, też jezuita, wyszedł na korytarz i przeszedł pięćdziesiąt metrów, dzielących go od sali komputerowej. Był chudy i kościsty, w mroku pod freskami jego buty głośno skrzypiały. Po drodze wyjrzał przez okno, w kierunku pustej Via della Tipografia i ciemnej fasady pałacu belwederskiego, mamrocząc pod nosem. Powodem złego humoru było bardziej wyrwanie go z drzemki niż wtargnięcie do systemu nieproszonego gościa. Takie wizyty zdarzały się często i zazwyczaj były zupełnie nieszkodliwe, ograniczały się do złamania obwodów bezpieczeństwa zewnętrznego, zostawały po nich drobne ślady obecności: błahe wiadomości lub niegroźne wirusy. Informatyczni piraci – w żargonie technicznym hackerzy – lubią, by wiadano, że złożyli wizytę. Najczęściej byli to młodzi chłopcy, uwielbiający podróże w przestrzeni wirtualnej, myszkowanie po obcych systemach w poszukiwaniu coraz trudniejszych wyzwań. Dla uzależnionych od komputera, chorych na najnowsze technologie spróbowanie szczęścia w Chase Manhattan Bank, Pentagonie czy Watykanie stanowi podniecającą przygodę.

Dyżurnym funkcjonariuszem był ojciec Coeey, irlandzki jezuita w okularach, młody i gruby. Z przejęciem uniósł brwi, pochylony nad klawiaturę komputera, śledząc kolejne kroki pirata. Kiedy ojciec Arregui zbliżył się, dostrzegł w jego oczach ulgę. Lampka do pracy oświetlała dolną część jego twarzy.

– Bardzo się cieszę, że ojciec jest tu ze mną.

Przełożony stanął obok, opierając dłonie na pulpicie w kręgu światła i uważnie wpatrywał się w ekran, na którym mrugały niebieskie i czerwone ikonki. System automatycznego poszukiwania utrzymywał stały kontakt z sygnałem intruza.

– Czy to coś poważnego?

– Możliwe.

Tylko raz w ostatnich latach zdarzyło się coś poważnego, kiedy pewnemu piratowi udało się wprowadzić wirusa do sieci Watykanu. Wirusy to programy rozmnażające się w systemie aż do jego całkowitej blokady, a w tym przypadku czyszczenie sieci i naprawa strat kosztowała przeszło pół miliona dolarów. Zidentyfikowany, po długich i skomplikowanych poszukiwaniach, pirat okazał się szesnastolatkiem mieszkającym w jednej z wiosek na holenderskim wybrzeżu. Inne poważniejsze próby wprowadzenia wirusa czy programu-zabójcy zostały udaremnione zaraz na starcie – były to sprawy między innymi pewnego młodego mormona z Salt Lake City, integrystycznego stowarzyszenia islamskiego z siedzibą w Stambule, to znów jakiegoś szalonego księdza, przeciwnika celibatu, który nocami wyżywał się na komputerze w domu wariatów, dokąd trafił. Ów francuski ksiądz trzymał ich w szachu przez półtora miesiąca i został unieszkodliwiony dopiero, gdy zaraził czterdzieści dwa archiwa wirusem, który blokował ekrany, wypisując na nich przekleństwa po łacinie.

Ojciec Arregui wskazał palcem migający na czerwono kursor.

– Czy to nasz hacker?

– Tak.

– Jak go ojciec nazwał?

Każdemu piratowi nadawano imię, żeby go zidentyfikować i rozpracować; było wśród nich wielu starych znajomych. Ojciec Coeey wskazał linię w prawym dolnym rogu ekranu:

– Nieszpory, jak na razie. To pierwsze, co mi wpadło do głowy.

Z ekranu zniknęły pewne pliki i pojawiły się inne. Coeey przyjrzał się im z uwagą, następnie przesunął myszą kursor na jeden z nich i dwukrotnie kliknął. Teraz, kiedy miał przy sobie przełożonego, na którego mógł zrzucić odpowiedzialność, jego zachowanie było zupełnie inne – spokojniejsze i bardziej wyczekujące. Dla informatycznego weterana, a młody ksiądz był nim, pojawienie się pirata zawsze stanowi zawodowe wyzwanie.

– Jest tam od dziesięciu minut – powiedział, i ojcu Arregui wydało się, że usłyszał echo skrywanego podziwu w jego głosie. – Na początku jedynie poszukiwał właściwego wejścia. I nagle dostał się do środka. Musiał znać drogę, na pewno wcześniej już nas odwiedzał.

– Jakże ma zamiary?

Cooley wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Ale pracuje sprawnie i szybko, ma potrójny system omijania naszej ochrony: najpierw próbuje prostych kombinacji nazw znanych użytkowników, a następnie haseł z naszego słownika i z listy 432 odpowiedzi – mówiąc to, młody jezuita lekko wykrzywił wargi, jakby starał się zetrzeć z nich uśmiech, całkowicie nie na miejscu. – Teraz poszukuje wejścia do INMAVATU.

Zaniepokojony ojciec Arregui zastukał paznokciami w jeden z poradników technicznych, jakimi był zasłany stół. INMAVAT to zastrzeżona lista wysokich urzędników kurii watykańskiej. Można się do niej dostać jedynie za pomocą tajnego osobistego hasła.

– Może spróbujemy użyć skanera śledzenia? – doradził.

Cooley wskazał brodą na ekran monitora stojącego na sąsiednim stole. Już o tym pomyślałem, znaczył gest. Połączony z policją i watykańską siecią telefoniczną, system ten rejestrował wszystkie dane związane z sygnałem użytkownika; zawierał nawet zasadzkę na hackerów, ciąg meandrycznych połączeń, w których siłkach zatrzymany intruz pozostawiał ślady umożliwiające jego zlokalizowanie i identyfikację.

– Niewiele tym osiągniemy – ocenił Cooley po chwili. – Nieszpory zamaskował swoje wejście do systemu, skacząc po różnych sieciach telefonicznych. Ilekroć przepina się z jednej do drugiej, musimy iść za śladem aż do centrali... Musiałby zostać na dłużej, żebyśmy cokolwiek osiągnęli. Jeśli zechce nam wyrządzić szkodę, zrobi to.

– Czego innego może chcieć?

– Nie wiem – wyraz ciekawości i rozbawienia znów zaczął rysować się na ustach młodego księdza, znikając natychmiast, gdy tylko podnosił głowę. – Czasem wystarcza im, że się porozglądają albo zostawią wiadomość. *Był tu kapitan Zap* czy coś takiego – przerwał, wpatrując się w monitor. – Choć ten zadał sobie zbyt wiele trudu, żeby mogło chodzić o zwykłą przechadzkę.

Ojciec Arregui przytaknął głową dwukrotnie, pochłonięty śledzeniem kursora na ekranie. Po czym, jakby wracając do rzeczywistości, spojrział na telefon oświetlony przez lampkę i wyciągnął rękę w kierunku słuchawki; jednak zatrzymał się w pół gestu.

– Sądzi ksiądz, że uda mu się wejść do INMAVATU?

Cooley wskazał na ekran swojego komputera.

– Właśnie to zrobił.

– Święte nieba!

Teraz czerwony kursor, migając z niezwykłą szybkością, biegł wzdłuż długiego ciągu plików przemykających po ekranie.

– Dobry jest – powiedział Cooley, już nie ukrywając podziwu. – Niech mi Bóg

wybaczy, ale ten hacker jest naprawdę dobry – przerwał i uśmiechnął się. – Diabelnie dobry.

Zapomniał o klawiaturze i z łokciami na stole wpatrywał się w ekran. Pełna lista użytkowników z zastrzeżonym wstępem stała przed jego oczyma: osiemdziesięciu czterech kardynałów i najwyższych funkcjonariuszy, przy każdym jego osobiste hasło. Kursor przebiegł listę dwukrotnie z góry na dół, a potem na mgnienie oka zatrzymał się na linii oznaczonej V01A.

– Niech go! – mruknął ojciec Arregui.

Plik dziennika wskazywał na stopniowe powiększanie się wewnętrznej pamięci, co znaczyło, że intruz złamał hasło zabezpieczające i przekazywał piracką wiadomość do adresata.

– Kto to jest V01A? – spytał Cooney.

Odpowiedzi nie uzyskał natychmiast. Ojciec Arregui rozpiął okrągły kołnierzyk sutanny, przejechał dłonią po karku i z niedowierzaniem znów spojrzął na ekran monitora. Następnie bardzo powoli podniósł słuchawkę i po chwili wahania wykręcił numer pogotowia sekretariatu Pałacu Apostolskiego. Siedmiokrotnie rozbrzmiał sygnał, zanim jakiś głos odpowiedział po włosku. Ojciec Arregui odchrząknął i powiadomił, że nieproszony gość dostał się do osobistego komputera Ojca Świętego.

I

Człowiek z Rzymu

Z jakiegoś powodu nosi miecz. Jest namiestnikiem Boga.

(Św. Bernard z Clairvaux

Pochwała sztuki wojennej templariuszy)

Był początek maja, kiedy Lorenzo Quart odbierał rozkazy mające zaprowadzić go do Sewilli. Fala sztormów przesuwiała się na wschód Morza Śródziemnego i deszczowy front przechodził nad placem Świętego Piotra w Rzymie, Quart musiał więc przejść po półkolu, chroniąc się pod kolumnadą Berniniego przed ulewą. Gdy zbliżał się do Spiżowej Bramy, zauważył, że strażnik z halabardą, którego sylwetka rysowała się w mroku korytarza wyłożonego marmurem i granitem, zamierza go wylegitymować. Wartownik był wysokim i silnym Szwajcarem, o ogolonej czaszce przykrytej czarnym beretem dopełniającym renesansowego stroju z tkaniny w czerwone, żółte i niebieskie paski; Quart zauważył też, że strażnik z ciekawością zerka na nienaganny krój jego ciemnego garnituru, w tym samym tonie co koszula z czarnego jedwabiu z koloratką, i na buty z cienkiej, też czarnej skóry, ręcznie szyte. Gość nie ma nic wspólnego – mówiło jego spojrzenie – z szarymi *bagarozzi*, funkcjonariuszami zawilej biurokracji watykańskiej, przechodzącymi tędy każdego dnia. Nie jest to jednak, można było wyczytać w niepewnych, jasnych oczach Szwajcara, również arystokrata Kurii, żaden z prałatów ani arcybiskupów, którzy, w najskromniejszych przypadkach, nosili krzyż, purpurową lamówkę czy pierścień. Tacy nigdy nie przychodzili pieszo w deszczu, ale przybywali do Pałacu Apostolskiego przez bramę Świętej Anny, w luksusowych limuzynach z kierowcą. Poza tym człowiek, który uprzejmie zatrzymał się przed wartownikiem i wyciągał z kieszeni skórzany portfel, szukając legitymacji między

rozmaitymi kartami kredytowymi, był zbyt młody na mitrę, choć jego krótkie, niby u wojskowego, włosy przetykane były siwizną. Bardzo wysoki, szczupły, spokojny, pewny siebie – stwierdził Szwajcar, obrzuciwszy go spojrzeniem zawodowca. Ręce o zadbanych paznokciach, zegarek z białą tarczą, srebrne spinki proste w kształcie. Oceniał go na najwyżej czterdzieści lat.

– *Guten Morgen. Wie ist der Dienst gewesen?*

Nie powitanie jednak, sformułowane w doskonałej niemczyźnie, sprawiło, że wartownik wyprostował się i podniósł halabardę, ale litery ISZ umieszczone obok tiary i kluczy Świętego Piotra w prawym górnym rogu legitymacji, którą przybysz pokazał. Instytut Spraw Zagranicznych figurował w grubym, czerwonym tomie Rocznika Papieskiego pośród wielu wydziałów Sekretariatu Stanu; ale nawet najbardziej nieopierzony rekrut Gwardii Szwajcarskiej doskonale wiedział, że od wieków Instytut był ramieniem wykonującym polecenia Świętego Oficjum, a obecnie koordynował działania tajnych służb informacyjnych Watykanu. Członkowie Kurii, mistrzowie sztuki eufemizmu, nazywali go Lewą Ręką Boga. Inni ograniczali się do nazywania go – nigdy pełnym głosem – Departamentem Spraw Brudnych.

– *Kommen Sie herein.*

– *Danke.*

Quart minął strażnika, przeszedł przez starą Spizową Bramę i skręcił na prawo, obszedł szerokie stopnie Scala Regia i po chwili spędzonej przed punktem akredytacji wbiegł przeskakując co dwa stopnie po marmurowych schodach, na których szczybie za szybą strzeżoną przez kolejnego wartownika otwierał się dziedziniec Świętego Damazego. Przeciął go w deszczu, odprowadzany spojrzeniami strażników w niebieskich pelerynach, którzy pełnili wartę przy wszystkich drzwiach Pałacu Papieskiego. Pokonał ostatnie, tym razem już nieliczne stopnie i zatrzymał się na przedostatnim, naprzeciwko drzwi, do których przykręcona była dyskretna metalowa tabliczka: *Istituto per le Operee Esteriore*. Wyjął z kieszeni papierową chusteczkę i otarł krople deszczu z twarzy. Następnie pochylił się nad butami, starł z nich ślady wilgoci, po czym zmiął chusteczkę w kulkę i wrzucił ją do mosiężnej popielniczki stojącej na podeście schodów. Sprawdził stan czarnych mankietów koszuli, poprawił marynarkę i zastukał do drzwi. W przeciwieństwie do wielu innych duchownych Lorenzo Quart doskonale zdawał sobie sprawę ze swej słabości na polu cnót mniej więcej chrześcijańskich, takich jak miłosierdzie czy współczucie – nie były one jego najmocniejszą stroną. Nie była nią również pokora, mimo zdyscyplinowanej natury. Tych cech mu brakowało, za to skrupulatność i precyzja sprawiały, że był wysoko ceniony przez zwierzchników. Doskonale wiedziały o tym osoby oczekujące go za tymi drzwiami. Ksiądz Quart był dokładny i niezawodny jak szwajcarski zegarek.

W budynku zgasło światło i gabinet rozjaśniony był jedynie szarą poświatą, wpadającą przez okno otwarte na ogrody belwederskie. Kiedy sekretarz zamykał drzwi za jego plecami, Quart po przekroczeniu progu zrobił pięć kroków i zatrzymał się dokładnie na środku pokoju, w dobrze znanej atmosferze ścian, częściowo zasłoniętych półkami pełnymi książek i drewnianych segregatorów z aktami, a pokrytych freskami przedstawiającymi mapy namalowane przez Antonio Dantiego za pontyfikatu Grzegorza XIII: Morze Adriatyckie, Tyrreńskie i Jońskie. Następnie, nie zwracając uwagi na sylwetkę rysującą się w świetle okna, krótkim skinieniem głowy pozdrowił mężczyznę siedzącego za wielkim biurkiem pokrytym teczkami akt.

– Ekszelencjo – powiedział.

Arcybiskup Paolo Spada, dyrektor Instytutu Spraw Zagranicznych, spojrział na niego z ledwie dostrzegalnym uśmiechem współnika. Był to barczysty Lombardeczyk, krepny, niemal kwadratowy, ubrany w trzyczęściowy czarny garnitur, na którym nie było żadnych insygniów jego miejsca w hierarchii kościelnej. Duża głowa i szeroka szyja nadawały mu wygląd kierowcy ciężarówki, zapaśnika czy – co jest właściwsze, gdy idzie o Rzym – doświadczonego gladiatora, który zamienił krótki miecz i hełm rzymskiego atlety na ciemny strój kościelny. Podkreślały ten wygląd wciąż czarne włosy, twarde niby ostra szczecina, i ogromne dłonie, niemal nieproporcjonalne, bez arcybiskupiego pierścienia, które właśnie zabawiały się nożem do papieru w kształcie sztyletu, odlanym z brązu. Wskazał nim na postać w oknie.

– Myślę, że zna ksiądz kardynała Iwaszkiewicza.

Dopiero wtedy Quart spojrział w prawo i pozdrowił skinieniem głowy nieruchomą sylwetkę. Oczywiście, znał Jego Eminencję Jerzego Iwaszkiewicza, krakowskiego biskupa, wyniesionego do kardynalskiej purpury przez swego rodaka, papieża Karola Wojtyłę. Polak został prefektem Świętej Kongregacji do spraw Doktryny Wiary, znanej do roku 1965 pod nazwą Świętego Oficjum, czyli Inkwizycji. Wystarczyło spojrzeć na sylwetkę, wysoką i mroczną w tym oświetleniu, by natychmiast rozpoznać Iwaszkiewicza i urząd, który reprezentował.

– *Laudeatur Jesus Christus*, Eminencjo.

Dyrektor Świętego Oficjum nie odpowiedział na pozdrowienie, trwał w milczeniu i nie poruszył się. Rozległ się natomiast ochrypły głos arcybiskupa Spady:

– Proszę usiąść, księże Quart, jeśli łaska. To jest rozmowa nieoficjalna i Jego Eminencja woli stać.

Użył włoskiego terminu *ufficiosa* i Quart dostrzegł różnicę w odcieniu. W języku watykańskim różnica między *ufficiale* a *ufficioso* była istotna. Ten ostatni termin oddawał szczególny charakter tego, co się myślało wobec tego, co się mówiło; jeśli nawet jakieś zdanie zostało wypowiedziane, nikt nigdy nie przyznałby, że rzeczywiście padło. Quart spojrział na krzesło wskazane przez arcybiskupa nożykiem do cięcia

papieru i odmówił ruchem głowy. Splótł ręce na plecach, wyczekiwał na środku pokoju z miną wyrażającą spokój i równowagę, jak żołnierz gotowy na przyjęcie każdego rozkazu.

Arcybiskup Spada spojrział na niego z uznaniem w półprzymkniętych oczach, których białka przecinały brązowe żyłki, upodabiając je do ślepi starego psa. Właśnie oczy, w połączeniu z krępą budową i włosami przypominającymi twardą sierść, przyniosły mu przydomek Brytan, którego śmieli używać, jedynie ściszone głosem, najważniejsi i najpewniejsi sobie członkowie Kurii.

– Cieszę się, że znów księdza widzę, Quart. Minęło sporo czasu.

Dwa miesiące, policzył w pamięci Quart. Poprzednim razem również spotkanie w tym samym gabinecie odbyło się w trzy osoby: oni dwaj i znany bankier, Renzo Lupara, prezes Kontynentalnego Banku Włoch, jednej z instytucji powiązanych z aparatem finansowym Watykanu. Lupara, elegancki i zadbany, cieszący się nieskazitelną opinią, szczęśliwy ojciec rodziny, obdarzony przez Boga piękną żoną i czwórką dzieci, zrobił fortunę, używając przykrywki watykańskich finansów i sprawił, że wyparowały pieniądze należące do przemysłowców i polityków z łoży *Amora 7*, do której należał ze stopniem 33. To był dokładnie ten typ doczesnych spraw, w jakich przydawała się specjalność Lorenzo Quarta. Przez sześć miesięcy tropił ślady pozostawione przez Luparę na dywanach różnych gabinetów w Zurychu, Gibraltarze i San Bartolome na Antylach. Owocem tych podróży był szczegółowy raport, który rozłożony na biurku dyrektora ISZ-u, postawił bankiera przed alternatywą: więzienie lub dyskretny *exitus*, pozwalający zachować dobre imię Bankowi Kontynentalnemu, Watykanowi i w miarę możliwości małżonce oraz czwórcie potomków Lupary. Tam, w gabinecie arcybiskupa, ze wzrokiem błakającym się po fresku przedstawiającym Morze Tyrreńskie, bankier pojął treść przesłania, które z ogromnym taktem, wykorzystując ewangeliczną przypowieść o złym słudze i utraconych talentach, przedstawił mu arcybiskup Spada. Następnie, pomimo zdrowego, czysto technicznego ostrzeżenia, że mason, który nie okaże skruchy, umiera w grzechu śmiertelnym, Lupara pojechał prosto do swej pięknej willi na Capri, z widokiem na morze, i wypadł, jak się wydaje bez spowiedzi, przez poręcz tarasu wychodzącego na skarpe. W tym samym miejscu, jak głosiła stosowna pamiątkowa tabliczka, pewnego razu Curzio Malaparte pił wermut.

– Mamy sprawę odpowiednią dla księdza.

Quart nadal wyczekująco stał na środku pokoju, uważny na każde słowo przełożonego, czując równocześnie na sobie niewidoczne spojrzenie skrytego w cieniu Iwaszkiewicza. W ciągu ostatnich dziesięciu lat arcybiskup zawsze miał jakieś sprawy w sam raz dla księdza Lorenzo Quarta, a wszystkie zapisane zostały z właściwym im nazwiskiem i miejscem – Europa Środkowa, Ameryka Łacińska, była Jugosławia –

pod kolejnymi datami w skórzanym kalendarzu o czarnych okładkach, który był równocześnie jego dziennikiem podróży, bo notował tu, dzień po dniu, długą drogę, jaką przeszedł od chwili przyjęcia obywatelstwa watykańskiego i wstąpienia do sekcji operacyjnej Instytutu Spraw Zagranicznych.

– Proszę na to spojrzeć.

Dyrektor ISZ-u trzymał w górze, między kciukiem i palcem wskazującym, kartkę papieru z wydrukiem komputerowym. Quart wyciągnął rękę i w tym momencie sylwetka kardynała Iwaszkiewicza poruszyła się niespokojnie na tle okna. Trzymając jeszcze w ręce kartkę, arcybiskup Spada uśmiechnął się nieznacznie pod nosem.

– Zdaniem Jego Eminencji to delikatna sprawa – mówił, nie odrywając wzroku od Quarta, choć było jasne, że te słowa są skierowane do kardynała. – I nie jest przekonany, czy należy powiększać krąg osób wtajemniczonych.

Quart cofnął dłoń, nie biorąc do ręki dokumentu, który arcybiskup Spada nadal trzymał przed nim, i spokojnie, z wyczekiwaniem patrzył na przełożonego.

– Oczywiście – dodał Spada, którego uśmiech krył się tylko w spojrzeniu – Jego Eminencja nie zna księdza tak dobrze jak ja.

Quart uczynił słaby gest potwierdzenia i wyczekiwał, nie zadając pytań ani nie okazując zniecierpliwienia. Arcybiskup Spada zwrócił się wówczas do kardynała Iwaszkiewicza.

– Mówiłem, że to dobry żołnierz.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której sylwetka rysująca się na tle zachmurzonego nieba i ogrodów belwederskich w deszczu pozostawała nieruchoma. Potem kardynał odszedł od okna i szara ukośna poświata przesunęła się z ramienia i ukazała kościstą szczękę, purpurowy kołnierzyk sutanny, odblask złotego krzyża na piersi, pierścień pasterski na dłoni, która wyciągnięta w kierunku Spady, ujęła dokument i sama podała go Lorenzo Quartowi.

– Proszę to przeczytać.

Quart wykonał polecenie, wydane po włosku z gardłowym brzmieniem, w którym dźwięczało echo polskiego akcentu. Kartka z wydrukiem zawierała memorandum składające się z kilku linijek:

Ojcze Święty!

Moja zuchwałość jest usprawiedliwiona powagą sprawy. Niekiedy Stolec Piotrowy jest zbyt oddalony i skromne głosy tam nie docierają. Jest takie miejsce w Hiszpanii, w Sewilli, gdzie kupcy zagrażają domowi Bożemu, gdzie mały siedemnastowieczny kościół, bez ochrony władz kościelnych ani świeckich, zabija, aby się bronić. Błagam Waszą Świątobliwość jako pasterza i ojca, by zwrócił swój wzrok ku najskromniejszym owieczkom w swym stadzie i rozliczył tych, którzy

zostawiają je na pastwę losu.

Błagając o błogosławieństwo, w imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego.

– Pojawilo się to w osobistym komputerze papieża – wyjaśnił arcybiskup Spada, gdy jego podwładny zakończył lekturę. – Bez podpisu.

– Bez podpisu – powtórzył Quart mechanicznie. Miał zwyczaj powtarzać na głos niektóre słowa, podobnie jak sternik i podoficerowie na statku powtarzają komendy przełożonych, jakby w ten sposób dawali sobie i innym okazję do zastanowienia nad nimi. W jego świecie pewne słowa znaczyły tyle samo, co komendy. A pewne rodzaje komend, czasem ledwie modulacja głosu, ton lub uśmiech, okazywały się nieodwracalne.

– Intruz – mówił arcybiskup – użył różnych sztuczek, żeby zamaskować swoje pochodzenie. Śledztwo jednak potwierdza, że wiadomość została wysłana z Sewilli, z komputera podłączonego do sieci telefonicznej.

Quart jeszcze raz niespiesznie przeczytał wiadomość.

– Mówi się tu o kościele... – przerwał, żeby ktoś dokończył za niego zdanie. Wypowiedziane głośno, zabrzmiałoby głupio.

– Tak – potwierdził arcybiskup Spada – o kościele, który *zabija, aby się bronić*.

– Bzdura – zauważył Iwaszkiewicz, nie precyzując, czy odnosi się do pomysłu, czy też całej sprawy.

– W każdym razie – dodał arcybiskup – stwierdziliśmy, że istnieje on naprawdę. Mówię o kościele – przelotnie spojrział na kardynała, po czym przejechał palcem po ostrzu noża do papieru. – Potwierdzone również zostały pewne wydarzenia, dziwne i przykre.

Quart odłożył kartkę na biurko arcybiskupa, ten jednak nie dotknął jej, ograniczając się do obrzucenia wzrokiem, jakby inny gest mógł nieść za sobą niepewne konsekwencje. Kardynał Iwaszkiewicz zbliżył się, wziął do ręki papier, złożył go we czworo i schował do kieszeni. Następnie stanął twarzą w twarz przed Quartem.

– Chcemy, żeby ksiądz pojechał do Sewilli i ustalił autora.

Stał tuż obok i w Quarcie, który niemal poczuł jego oddech, ta bliskość wzbudziła odrazę. Przez kilka sekund wytrzymał spojrzenie, a potem, ogromnym wysiłkiem woli, nie cofnął się ani o krok, spojrział ponad ramieniem kardynała na arcybiskupa Spadę, na którego twarzy mignął cień uśmiechu, wyrażającego wdzięczność za lojalność okazaną wobec hierarchii.

– Kiedy Jego Eminencja używa liczby mnogiej – wyjaśnił arcybiskup ze swego miejsca – mówi, naturalnie, zarówno w swoim imieniu, jak i w moim. Poza tym taka jest wola Ojca Świętego.

– Która jest wolą Bożą – podkreślił Iwaszkiewicz niemal prowokująco, zachowując bliskość i twarde spojrzenie czarnych oczu utkwione w Quarcie.

– Która rzeczywiście jest wolą Bożą – potwierdził arcybiskup Spada, a w jego tonie nie sposób było doszukać się choćby cienia ironii. Pomimo ogromu posiadanej władzy dyrektor ISZ-u doskonale znał jej granice, jego spojrzenie było ostrzeżeniem dla podwładnego: obaj poruszali się po grząskim terenie.

– Rozumiem – powiedział Quart i znów wytrzymując spojrzenie kardynała skinął, zdyscyplinowany, głową. Iwaszkiewicz robił wrażenie nieco już spokojniejszego, a za jego plecami arcybiskup Spada z aprobatą pokiwał głową.

– Wspominałem, że ksiądz Quart...

Polak, przerywając arcybiskupowi, podniósł do góry rękę, na której błysnął kardynalski pierścień.

– Tak, wiem – spojrzał znów na Quarta i usunął się z linii pomiędzy nimi, odchodząc znów w stronę okna. – Mówiłeś i powtarzałeś już wcześniej. Twierdzisz, że to dobry żołnierz.

Mówił z ironicznym znudzeniem w głosie, a następnie zaczął przyglądać się deszczowi, jakby sprawa przestała go interesować. Arcybiskup Spada odłożył nóż do papieru na biurko i otworzył szufladę, z której wyjął grubą, niebieską kopertę.

– Identyfikacja autora stanowi jedynie część zadania – powiedział, kładąc kopertę przed sobą. – Do jakich wniosków doszedł ksiądz po lekturze?

– Mógł to napisać duchowny – odrzekł Quart bez wahania. Po czym zrobił pauzę, zanim dokończył: – I mógł to zrobić kompletny wariat.

– Możliwe – arcybiskup Spada otworzył kopertę, przejrzał kartki zawierające wycinki prasowe. – Ale jest specjalistą informatykiem, a fakty, na które się powołuje, są prawdziwe. Ten kościół ma problemy. Ale i sam je powoduje. Śmiertelne wypadki też się tam wydarzyły – dwa w ostatnich trzech miesiącach. Trąci mi to wszystko skandalem.

– Trąci czymś gorszym – powiedział kardynał, nie odwracając się, jego sylwetka odcinała się w szarym świetle.

– Jego Eminencja – wyjaśnił dyrektor ISZ-u – jest zdania, że to Święte Oficjum powinno zająć się tą sprawą – uczynił znaczącą przerwę. – W starym stylu.

– W starym stylu – powtórzył Quart. W przypadku Kongregacji do spraw Doktryny Wiary nie przepadał ani za stylem starym, ani za nowym, a wynikało to z jego osobistych doświadczeń. Przez chwilę ujrzał, w jakimś zakątku pamięci, twarz brazylijskiego kapłana Nelsona Corony, księdza ze slumsów, jednego z ludzi Kościoła Wyzwolenia, do którego trumny on sam wbił gwóźdź.

– Sprawa jednak polega na tym – ciągnął arcybiskup Spada – że Ojciec Święty życzy sobie regularnego dochodzenia. Angażowanie do tej sprawy Świętego Oficjum

wydaje mu się przesadą. Jakby iść z armatą na muchy – przerwał rozmyślnie na chwilę, wpatrując się bacznie w Iwaszkiewicza. – Albo z miotaczem ognia.

– Już nikogo nie palimy – usłyszeli słowa kardynała, jakby wypowiedziane zostały do padającego deszczu. Sprawiał wrażenie, że tego żałuje.

– W każdym razie – arcybiskup ciągnął wątek – zdecydowano, że na razie – podkreślił znacząco *na razie* – śledztwo będzie prowadził Instytut Spraw Zagranicznych. To znaczy ksiądz. I tylko w przypadku, gdyby pojawiły się przesłanki, że sprawa jest naprawdę poważna, prześlemy ją oficjalnemu ramieniu Inkwizycji.

– Przypominam drogiemu bratu w Chrystusie – kardynał nadal stał odwrócony plecami, patrząc w stronę Belwederu – że Inkwizycja przestała istnieć trzydzieści lat temu.

– To prawda, niech Jego Eminencja wybaczy. Chciałem powiedzieć, że sprawę prześlemy oficjalnemu ramieniu Kongregacji do spraw Doktryny Wiary.

– Już nikogo nie palimy – powtórzył z uporem Iwaszkiewicz. Teraz jego głos zabrzmiał ponurym echem, jakby to była zapowiedź groźby.

Arcybiskup Spada zachował przez kilka sekund milczenie, nie odrywając spojrzenia od Quarta. Nikogo nie palą, ale szcują psami, mówią jego oczy. Dręczą, podważają zaufanie, zabijają za życia. Już nikogo nie palą, ale lepiej uważaj na niego. Ten Polak jest niebezpieczny dla ciebie i dla mnie; a z nas dwóch ty jesteś mniej odporny na ciosy.

– Księżę Quart – tym razem dyrektor ISZ-u przyjął ton uprzejmy i oficjalny – pojedzie ksiądz na kilka dni do Sewilli... Proszę zrobić wszystko, żeby ustalić autora tej wiadomości. Pozostanie ksiądz w rozsądnym kontakcie z miejscowymi władzami kościelnymi. A przede wszystkim proszę prowadzić śledztwo dyskretnie i rozważnie – dołożył kolejną teczkę do poprzednich dokumentów. – Tutaj są wszystkie informacje, jakimi dysponujemy. Czy ma ksiądz jakieś pytania?

– Tylko jedno, księżę arcybiskupie.

– Proszę je zadać.

– Świat jest pełen kościołów z kłopotami i wiszącymi nad nimi skandalami. Co stanowi o wyjątkowości właśnie tego?

Arcybiskup obrzucił spojrzeniem plecy kardynała Iwaszkiewicza, ale inkwizytor zachował milczenie. Potem pochylił się lekko nad teczkami leżącymi na biurku, jakby szukał w nich nagłego objawienia.

– Sądzę – powiedział w końcu – że ten komputerowy pirat zadał sobie bardzo wiele trudu i Ojciec Święty potrafił to docenić.

– Docenić to zbyt duże słowo – zauważył Iwaszkiewicz, jakby nieobecny.

Arcybiskup Spada wzruszył ramionami.

– Powiedzmy zatem, że Jego Świątobliwość postanowił wyróżnić go osobistą

uwagą.

– Mimo jego zuchwalstwa i bezczelności – Polak dorzucił kolejną obserwację.

– Mimo wszystko – zakończył arcybiskup. – Z jakiegoś powodu wiadomość, która dotarła do osobistego komputera Ojca Świętego, wzbudziła jego ciekawość. Chce otrzymać więcej informacji.

– Więcej informacji – powtórzył Quart.

– Szczegółowych.

– Czy po przyjeździe do Sewilli powinienem zasięgnąć opinii miejscowych władz kościelnych?

Kardynał Iwaszkiewicz odwrócił się do niego.

– W tej sprawie jedyną władzą dla księdza jest arcybiskup Spada.

W tym momencie powróciła elektryczność i wielki żyrandol pod sufitem rozświetlił cały pokój, rzucając refleksy na brylantowy krzyż i pierścień na dłoni, która wskazywała w kierunku dyrektora ISZ-u.

– Jego ksiądz będzie informował. I tylko jego.

Światło elektryczne złagodziło nieco kanciaste rysy twarzy, podkreślając cienką, upartą linię wąskich, bezwzględnych warg. Były to jedne z tych ust, które przez całe życie nie całowały niczego poza przedmiotami liturgicznymi, kamieniem i metalem.

Quart skinął głową.

– Tylko jego, Eminencjo. Ale diecezja sewilska ma swojego ordynariusza, którym jest arcybiskup. Jakie są instrukcje w tej sprawie?

Iwaszkiewicz splótł dłonie pod złotym krzyżem i przyglądał się swoim paznokciom u kciuków.

– Wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie Panie. Byłyby więc wskazane dobre stosunki, a nawet współpraca. Może ksiądz jednak liczyć na dyspensę w przypadku nieposłuszeństwa. Nuncjatura w Madrycie i lokalne arcybiskupstwo otrzymało stosowne instrukcje.

Quart zerknął na arcybiskupa Spadę, zanim odpowiedział kardynałowi:

– Być może do Waszej Eminencji nie dotarła wiadomość, że nie cieszę się sympatią arcybiskupa Sewilli...

Tak było. Dwa lata wcześniej, podczas wizyty papieskiej w stolicy Andaluzji, w wyniku sporu kompetencyjnego dotyczącego bezpieczeństwa, doszło do ostrego konfliktu między Quartem i Jego Ekscelencją Aquilino Corvo, zwierzchnikiem sewilskiej diecezji. Mimo upływu czasu jeszcze było słyhać fale wzburzone w czasie tamtego sztormu.

– Znamy problemy księdza z arcybiskupem Corvo – odrzekł Iwaszkiewicz. – Ale Jego Ekscelencja należy do Kościoła i potrafi przedkładać wyższe dobro ponad osobiste niechęci.

– Wszyscy płyniemy na Piotrowej łodzi – pozwolił sobie zauważyć arcybiskup Spada, a Quart zrozumiał, że mimo niebezpieczeństwa, jakim było dzielenie miejsca na jednym dywanie z Iwaszkiewiczem, ISZ grał w tej sprawie mocnymi kartami. Oczy przełożonego mówiły – pozwól mi je rozegrać.

– Arcybiskup Sewilli został o wszystkim powiadomiony, przez grzeczność – dodał Polak. – Ksiądz dysponuje jednak całkowitą niezależnością. Aby zdobyć potrzebne informacje, może ksiądz używać wszelkich środków.

– Zgodnych z prawem, oczywiście – dodał znów arcybiskup Spada.

Quart zmusił się, by nie zdradzić uśmiechu. Iwaszkiewicz mierzył wzrokiem to jednego, to drugiego.

– Właśnie – powiedział po chwili. – Zgodnych z prawem.

Uniósł rękę z pierścieniem i potarł nią brew, a ten z pozoru niewinny gest miał w sobie coś z ostrzeżenia. Uważajcie na te swoje gierki, żywcem wzięte ze szkolnej drużyny, mogło to znaczyć. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, a mnie się nie spieszy. Jedno potknięcie, a dostaniecie się w moje ręce.

– Niech ksiądz pamięta – ciągnął kardynał – że jest to misja czysto informacyjna. Proszę zachować całkowitą bezstronność. Później, w zależności od materiałów, które nam ksiądz przekaże, podejmiemy stosowne działania. Na razie, bez względu na to, co ksiądz tam zastanie, proszę wystrzegać się wszelkiego rozgłosu lub skandalu. Z pomocą Bożą, naturalnie – przerwał, by przyjrzeć się freskowi z Morzem Tyrreńskim, i poruszył głową, jakby odczytywał tajemne przesłanie. – Proszę pamiętać, że w dzisiejszych czasach nie zawsze prawda daje nam wolność. Mówię o prawdzie wystawionej na pokaz.

Władczym, gwałtownym gestem wyciągnął rękę z pierścieniem, zacisnął usta i utkwiał ciemne, złowrogie spojrzenie w Quarcie. Ten jednak był dobrym żołnierzem, który sam wybiera swoich panów, odczekał więc dokładnie o sekundę dłużej, niż był powinien, a następnie pochylił się, by uklęknąć jednym kolaniem na posadzce i ucałować czerwony rubin pierścienia. Kardynał podniósł dwa palce tej samej ręki i uczynił nad głową duchownego powolny znak krzyża, który można było interpretować zarówno jako błogosławieństwo, jak i groźbę. Następnie wyszedł z gabinetu.

Quart wypuścił z płuc długo zatrzymywane powietrze i wstał, otrzepując nogawkę spodni. W oczach miał mnóstwo pytań, gdy odwrócił się do arcybiskupa Spady.

– Co ksiądz o nim sądzi? – zapytał dyrektor ISZ-u. Ponownie wziął do ręki nóż do papieru i uśmiechał się z troską, wskazując nim na drzwi, przez które wyszedł Iwaszkiewicz.

– *Ufficioso* czy *ufficiale*, Ekscelecencjo?

– *Ufficioso*.

– Nie chciałbym dostać się w jego ręce przed dwustu, trzystu laty – odrzekł Quart.

Przełożony uśmiechnął się.

– Dlaczego?

– No cóż, można powiedzieć, że to bardzo twardy człowiek.

– Twardy? – arcybiskup ponownie spojrzał na drzwi i Quart spostrzegł, że uśmiech powoli znika z jego ust. – Gdyby nie było to grzechem przeciw miłości wobec brata w Chrystusie, powiedziałbym, że Jego Eminencja to wyjątkowy skurwysyn.

Razem zeszli po kamiennych schodach prowadzących na Via Belvedere, gdzie czekał służbowy samochód arcybiskupa Spady. Wyjeżdżał na spotkanie niedaleko mieszkania Quarta do Cavalleggeriego i Synów. Cavalleggeri był od przeszło dwóch wieków krawcem, który ubierał całą arystokrację Kurii, łącznie z papieżem. Jego pracownia znajduje się przy Via Sistina, obok placu Hiszpańskiego, i arcybiskup zaproponował Quartowi podwiezienie w tamtą stronę. Wyjechali bramą Świętej Anny i przez zaparowane okna widzieli straż szwajcarską, prężącą się na baczność przed samochodem. Quart uśmiechnął się rozbawiony, wiedząc, że arcybiskup Spada nie jest zbyt popularny między watykańskimi Szwajcarami; śledztwo ISZ-u w sprawie podejrzeń o przypadki homoseksualizmu wśród gwardzistów doprowadziło do pół tuzina nagłych zwolnień. Poza tym niekiedy, dla zabicia czasu, arcybiskup wymyślał różne podstępny, za pomocą których sprawdzał wewnętrzne bezpieczeństwo. Na przykład jeden z agentów przedostał się do Pałacu Apostolskiego, przebrany w cywilny strój i zaopatrzony w buteleczkę płynu uchodzącego za kwas siarkowy, który miał zostać wylany na fresk przedstawiający ukrzyżowanie świętego Piotra w Kaplicy Paulińskiej. Intruz uwiecznił siebie, jak stoi na ławce przed obrazem i uśmiecha się od ucha do ucha, na polaroidowym zdjęciu, które zostało przesłane z dość sarkastycznym listem do pułkownika Gwardii Szwajcarskiej. Od tego czasu minęło sześć tygodni, a wciąż spadały kolejne głowy.

– Nazywa się Nieszpory – powiedział arcybiskup Spada.

Samochód skręcił w prawo, następnie w lewo i przejechał pod łukami Bramy Anielskiej. Quart spojrzał na plecy kierowcy, oddzielonego szybą z pleksiglasu, wyciszającą tylną część samochodu.

– To wszystko, co o nim wiadomo?

– Wiemy, że może być duchownym, ale może nim nie być. I ma dostęp do komputera podłączonego do sieci telefonicznej.

– Wiek?

– Nieokreślony.

– Niewiele mi mówi Wasza Ekscelencja.

– Daj spokój, człowieku. Mówię księdzu wszystko, co wiadomo.

Fiat przedzierał się między samochodami na Via della Conciliazione. Przystawało

padać, niebo przecierało się na wschodzie, ponad wzgórzami Pincio. Quart poprawił kant spodni, spojrzął na tarczę zegarka, choć godzina wcale go nie interesowała.

– Co się dzieje w Sewilli?

Arcybiskup Spada patrzył na ulicę z roztargnieniem. Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy:

– Jest tam barokowy kościół... Stary, mały, w ruinie. Pod wezwaniem Matki Boskiej Płaczącej. Był remontowany, ale zabrakło pieniędzy i prace przerwano w połowie... Podobno teren, na którym stoi, znajduje się w ważnym, historycznym miejscu: w dzielnicy Santa Cruz.

– Znam Santa Cruz, to dawna dzielnica żydowska, zrekonstruowana na początku tego wieku. Bardzo blisko katedry i arcybiskupstwa – Quart skrzywił się na wspomnienie arcybiskupa Corvo. – To piękna dzielnica.

– Chyba tak jest, bo groźba zburzenia kościoła i zatrzymanie robót budzą najrozmaitsze emocje: magistrat chce kościół wywłaszczyć, a pewna rodzina należąca do andaluzyjskiej arystokracji, związana z jednym z banków, odkurzyła nie wiadomo bliżej jakie prawa świeckie do terenu.

Właśnie minęli z lewej strony Zamek Świętego Anioła i fiat posuwał się przez Lungotevere w kierunku mostu Umberta I. Quart zerknął na bury, okrągły mur, symbolizujący dla niego stronę doczesną Kościoła, któremu służył: w zakasanej sutannie biegnie Klemens VII, chcąc ukryć się przed lansjerami Karola V grabiącymi Rzym. *Memento mori*. Pamiętaj, że jesteś śmiertelny.

– A arcybiskup Sewilli? To dziwne, że on się tym nie zajmuje.

Dyrektor ISZ-u patrzył na szary nurt Tybru przez szybę zapłakaną deszczem.

– Ma swoje interesy w tej sprawie, więc tu mu nie dowierzają. Drogi arcybiskup Corvo też próbuje spekulować. W jego przypadku chodzi, oczywiście, o doczesne interesy Naszej Matki Kościoła... Do tego wszystkiego Matka Boska Płacząca wali się i nikt nie jest zainteresowany jej uratowaniem. Wydaje się, że miałyby większą wartość, gdyby się zawaliła, niż kiedy stoi.

– Czy w tym kościele jest proboszcz?

Pytanie to wyrwało westchnienie arcybiskupowi.

– To zdumiewające, ale tak. Proboszczem jest kapłan w podeszłym wieku. Sądzę, że jest to osoba konfliktowa, a podejrzenia w sprawie tożsamości Nieszporów wskazują na niego lub na jego wikariusza, młodego księdza, który wkrótce ma zostać przeniesiony do innej diecezji. Jak ustaliliśmy, żadna z jego petycji nie znalazła posłuchu u naszego przyjaciela Corvo – twarz arcybiskupa Spady ożywił grymas słabego, niechętnego uśmiechu. – Nie jest zupełnie pozbawiona sensu myśl, że któryś z nich, jeśli nie obaj, wymyślił ten szczególny sposób dotarcia do Ojca Świętego.

– To muszą być oni.

Dyrektor ISZ-u uniósł dłoń, w geście wyrażającym wątpliwość.

– Być może. Ale trzeba by to udowodnić.

– A jeśli znajdę dowody?

– W takim przypadku – arcybiskup zachmurzył czoło, a ton jego głosu stał się groźniejszy i cichszy – gorzko pożałują swego nieodpowiedzialnego zamiłowania do informatyki.

– A jak wygląda sprawa tych dwóch śmiertelnych wypadków?

– Właśnie na tym polega problem. Gdyby nie to, sprawa nie różniłaby się od wielu innych: kawałek gruntu, spekulanci i duże pieniądze. W kryzysowym momencie, pod jakimkolwiek pretekstem burzy się kościół, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży gruntu przeznacza na dzieło chwały Pańskiej. Jednak te śmiertelne wypadki komplikują wszystko... – przetykane brązem popękanych żyłek oczy arcybiskupa Spady zatopiły się w przestrzeni za szybą; fiat stanął w korku w pobliżu Corso Vittorio Emanuele. – W niedługim czasie straciły życie dwie osoby związane z kościołem Matki Boskiej Płaczącej: architekt miejski, który starannie badał kościół, aby ogłosić potem, że znajduje się w stanie ruiny i nakazać jego opuszczenie, oraz pewien duchowny, sekretarz arcybiskupa Corvo. Który, jak się wydaje, starał się wywrzeć nacisk na proboszcza w imieniu Jego Ekscelencji.

– Nie mogę uwierzyć.

Spojrzenie Brytana zatrzymało się na Quarcie.

– To niech ksiądz uwierzy. Od dziś ksiądz zajmuje się tą sprawą.

Nadal tkwili w gigantycznym korku, pośród hałasu silników i klaksonów. Arcybiskup pochylił się ku oknu i spojrzał na niebo.

– Dalej możemy pójść pieszo. Mamy trochę czasu, zapraszam więc na aperitif do tej kawiarni, którą ksiądz tak bardzo lubi.

– El Greco? Świetny pomysł, Ekscelencjo. Tyle że krawiec księdza arcybiskupa czeka. I tym krawcem jest Cavalleggeri, a nie byle kto. Nawet Ojciec Święty nie kazałby mu czekać.

Zabrzmiał ochryply śmiech prałata wychodzącego już z samochodu.

– To jeden z niewielu moich przywilejów, księżo Quart. Prawdę mówiąc, nawet Ojciec Święty nie wie o Cavalleggerim tego, co ja wiem.

Lorenzo Quart miał we krwi zamiłowanie do starych kawiarni. Blisko dwanaście lat wcześniej, kiedy przybył do Rzymu, żeby podjąć studia na Uniwersytecie Gregoriańskim, dwieście pięćdziesiąt lat dziejów kawiarni El Greco, jej niewzruszeni kelnerzy i związki ze słynnymi obywatelami XVIII i XIX wieku, od Byrona po Stendhala, oczarowały go od chwili, gdy po raz pierwszy przekroczył próg pod łukiem z białego kamienia. Teraz mieszkał dwa kroki stąd, na poddaszu wynajętym przez ISZ

pod numerem 119 na Via del Babuino, w apartamencie z małym tarasem pełnym doniczek, skąd rozciągał się piękny widok na połowę Trinità dei Monti i na azalie kwitnące na schodach nad placem Hiszpańskim. Kawiarnia El Greco była jego ulubionym miejscem lektur; siadywał tam w spokojnych godzinach pod popiersiem Wiktora Manuela II, przy tym samym stoliku, jak mawiano, co Giacomo Casanova i Ludwik Bawarski.

– Jak przyjął arcybiskup Corvo śmierć swego sekretarza?

Arcybiskup Spada uważnie przyjrzał się czerwonemu kolorowi cinzano w kieliszku stojącym na stoliku przed nimi. W lokalu było niewiele osób – kilku stałych bywalców pochłoniętych lekturą gazet przy stolikach w głębi, elegancka kobieta z torbami pełnymi sprawunków od Armaniego i Valentino, rozmawiająca przez telefon komórkowy, i grupa angielskich turystów, którzy fotografowali się nawzajem przy ladzie w westybulu. Kobieta z telefonem wyraźnie drażniła arcybiskupa, który obrzucił ją krytycznym spojrzeniem, zanim zwrócił się do Quarta:

– Przyjął to źle. Powiedziałbym, że naprawdę bardzo źle. Obiecał, że nie zostanie tam kamień na kamieniu.

Quart pokręcił głową.

– Uważam, że to przesada. Budynek nie może mieć własnej woli. A tym bardziej nie może szkodzić.

– Mam nadzieję – oczy Brytana bynajmniej nie żartowały. – Naprawdę mam taką nadzieję. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

– Czy aby arcybiskup Corvo nie szuka pretekstu, żeby móc zburzyć ten kościół i zamknąć całą sprawę?

– Zapewne może to być pretekst. Ale jest jeszcze coś. Arcybiskup czuje jakąś osobistą niechęć do tego kościoła albo do proboszcza. Albo do jednego i drugiego.

Zamilkł i przyglądał się obrazowi na ścianie – przedstawiał on romantyczny pejzaż z czasów, kiedy Rzym był jeszcze miastem należącym do Papieża-króla, z łukiem Wespazjana na pierwszym planie i kopułą Bazyliki Świętego Piotra w głębi, widoczną między dachami a płaszczyznami starych murów.

– Czy w obu przypadkach była to śmierć naturalna? – spytał Quart.

Arcybiskup wzruszył ramionami:

– Zależy, co uznamy za naturalne. Architekt zleciał z dachu, a księdzu na głowę spadł tynk ze sklepienia.

– Wstrząsające – przyznał Quart, podnosząc kieliszek do ust.

– I, jak sędzę, krwawe. Sekretarz wyglądał strasznie – arcybiskup Spada skierował kciuk ku sufitowi. – Niech sobie ksiądz wyobrazi arbuza, na który spada dziesięć kilo tynku. Plaf!

Onomatopeja pomogła Quartowi wyobrazić sobie ten widok bez problemu. I to

właśnie, a nie smak wermutu przyprawiło go o grymas ust.

– A co na to hiszpańska policja?

– Uznała, że były to wypadki. Stąd użycie niepokojącego zwrotu: *kościół, który zabija, aby się bronić...* – arcybiskup Spada uniósł brew. – Niepokój ten udzielił się Ojcu Świętemu, za sprawą bezczelności jakiegoś pirata komputerowego. I niepokój ten musi zostać przez ISZ zażegnany.

– Dlaczego my?

Arcybiskup zaśmiał się krótko, przez zęby, i nie odpowiedział od razu. Mimo duchownego stroju wcale nie wyglądał na księdza. Quart przyglądał się jego profilowi gladiatora, przypominającego mu stary wizerunek centuriona, który ukrzyżował Chrystusa. Gruba szyja, silne, nieproporcjonalnie duże dłonie spoczywające po obu stronach stolika. Tym wyglądem nieokrzesanego lombardzkiego wieśniaka Brytan maskował znajomość wszystkich tajemnic państwa, składającego się z trzech tysięcy funkcjonariuszy wewnątrz Watykanu, trzech tysięcy biskupów za granicą i mającego duchową władzę nad miliardem dusz. Opowiadano, że podczas ostatniego konklawe udało się sporządzić szczegółowe raporty medyczne wszystkich kandydatów na Stolec Piotrowy, pozwalające poznać poziom cholesterolu we krwi i przewidzieć, ze sporym prawdopodobieństwem, czy następny pontyfikat będzie krótki czy długi. W przypadku kardynała Wojtyły dyrektor ISZ-u przewidział zwrot na prawo, jeszcze kiedy kartki z jego nazwiskiem powodowały unoszenie się czarnego dymu.

– Dlaczego my?... – powtórzył po dłuższej chwili pytanie Quarta. – Bo teoretycznie jesteśmy zaufanymi ludźmi papieża. Każdego papieża. Tyle tylko, że władza w Watykanie jest smacznym kąskiem dla wielu psów łańcuchowych, a ostatnio Święte Oficjum rozrasta się naszym kosztem. Przedtem współpracowaliśmy w braterskiej zgodzie. Policjanci Boga, bracia w Chrystusie – lewą ręką uczynił gest, jakby odrzucał te wytarte zdania. – Ale ksiądz wie o tym lepiej niż ktokolwiek.

Quart rzeczywiście wiedział o tym. Do czasów skandalu, który zburzył cały system finansów watykańskich, i do skreślenia w prawo polskiej ekipy ku ortodoksji, stosunki między ISZ-em a Świętym Oficjum były serdeczne. Lecz osaczenie i pokonanie sektora liberalnego doprowadziło do rozpętania burzy bezlitosnych rozrachunków w łonie Kurii.

– Nastaly złe czasy – westchnął arcybiskup.

Zatopił spojrzenie w obrazie na ścianie. Potem wypił łyk wermutu i oparł się w fotelu, mlaskając językiem.

– Proszę zwrócić uwagę – dodał, wskazując brodą kopułę Michała Anioła namalowaną w tle. – Tam tylko papieże mają prawo umierać. Czterdzieści hektarów obejmujących najpotężniejsze na świecie państwo, którego struktura pozostaje wierna średniowiecznemu modelowi monarchii absolutnej. Tron, który dziś utrzymuje się

dzięki religii zmienionej w widowisko, z transmitowanymi przez telewizję wizytami papieskimi i całym spektaklem *Totus tuus*. A pod spodem najciemniejszy i najbardziej reakcyjny fundamentalizm Iwaszkiewicza i kumpli. Jego czarne wilki.

Znów westchnął i niemal z pogardą oderwał wzrok od obrazu.

– Teraz jest to walka na śmierć i życie – mówił dalej zasepiony. – Bez autorytetu władzy Kościół nie funkcjonuje, sztuką jest utrzymać go w takim stanie, by władza była bezdyskusyjna i niepodzielna. W tym zadaniu Kongregacja do spraw Doktryny Wiary jest bronią ważną, a jej znaczenie rośnie od lat osiemdziesiątych, kiedy papież Wojtyła przyjął zwyczaj codziennego wchodzenia na górę Synaj, żeby chwilę pogadać z Bogiem – spojrzenie Brytana błąkało się wokół podczas pełnej ironii przerwy. – Ojciec Święty jest nieomylny nawet w swych pomyłkach, a wskrzeszenie Inkwizycji jest dobrym sposobem na zamknięcie ust dysydem. Kto mówi o Kungu, Castillo, Schillerbeecku czy Boffie? Łódź Piotrowa zawsze przepływa przez historyczne zawirowania, uciszając nieposłusznych lub wyrzucając ich za burtę. Nasza broń jest taka jak zawsze: dyskwalifikacja intelektualna, ekskomunika, stos... Quart, o czym ksiądz myśli? Widzę, że naraz ksiądz stał się milczący...

– Zawsze jestem milczący, księżo biskupie.

– To prawda. Lojalność i powściągliwość... Czy raczej powinienem był użyć słowa profesjonalizm – żartobliwy głos prałata pobrzmiwał lekkim żalem. – Zawsze ta przekłeta dyscyplina, której ksiądz używa niby koleczugi... Bernard z Clairvaux i cała ta mafia templariuszy łatwo by się z księdzem dogadali. Jestem pewny, że gdyby ksiądz znalazł się w niewoli u Saladyna, prędzej dałby sobie podciąć gardło, niżby wyparł się wiary. I, rzecz jasna, wcale nie z pobożności. Z dumy.

Quart roześmiał się.

– Myślałem o Jego Eminencji kardynale Iwaszkiewiczu – odrzekł. – Już nie ma stosów – opróżnił swoją szklanę. – Ani ekskomunik.

Arcybiskup Spada wydobył z gardła groźny pomruk:

– Są inne sposoby spychania w zewnętrzne mroki. Również my je stosowaliśmy. Nawet ksiądz.

Arcybiskup zamilkł i uważnie śledził spojrzenie rozmówcy, jakby żałując, że posunął się za daleko. Tak czy inaczej, miał rację. W poprzednim okresie, kiedy nie stali po przeciwnych stronach barykady, Quart pomagał czarnym wilkom Iwaszkiewicza w licznych egzekucjach. Przypomniawszy sobie zamglone okulary, krótkowzroczne i przestraszone oczy Nelsona Corony, kropelki potu spływające po czole człowieka, który tydzień później miał przestać być księdzem, a dwa tygodnie potem już nie żył. Od tego czasu minęły cztery lata, wspomnienie jednak było nadal wyraźne.

– Tak – powtórzył. – Nawet ja.

Arcybiskup Spada zauważył zmianę w tonie głosu rozmówcy i przyjrzał mu się badawczo.

– Cały czas chodzi o Coronę? – zapytał łagodnie.

Quart wymusił uśmiech na twarzy.

– Mogę być szczery, księże arcybiskupie?

– Proszę.

– Nie tylko. Chodzi też o Ortegę, tego Hiszpana. I Souzę.

Byli to trzej księża związani z tak zwaną teologią wyzwolenia, przeciwstawiający się prądowi konserwatywnemu, płynącemu z Rzymu; we wszystkich trzech przypadkach ISZ działał na zlecenie Iwaszkiewicza i jego Kongregacji. Corona, Ortega i Souza byli popularnymi, postępowymi duchownymi, którzy pełnili swoje posłannictwo w parafiach obejmujących dzielnice nędzy Rio de Janeiro i Sao Paulo. Byli zwolennikami zbawienia człowieka również na ziemi, nie tylko w Królestwie Niebieskim. Kiedy zostali wskazani jako cel, ISZ wyszukał ich słabe punkty, żeby później móc wyrzucić presję. Ortega i Souza szybko poddali się. Natomiast Coronie, swego rodzaju bohaterowi ludowemu w slumsach Rio de Janeiro, postrachowi polityków i lokalnej policji, trzeba było wytknąć wszelkie drobne uchybienia w apostołskiej misji pełnionej pośród młodocianych narkomanów i temat ten przez długie tygodnie był starannie badany przez Lorenzo Quarta, bez pomijania żadnych, nawet najbardziej wątpliwych pogłosek. Mimo wszystko brazylijski ksiądz odmówił zmian w postępowaniu. Znienawidzony przez ultrapravicę, w siedem dni po tym, jak został zawieszony *a divinis* i usunięty z diecezji, z hałasem i z fotografiami na pierwszych stronach gazet, Nelson Corona został zamordowany przez szwadrony śmierci. Ciało, ze związanymi rękami i z kulą w karku, znaleziono w ścieku nieopodal jego byłej parafii. *Comunista e veado*, komunista i pedał, głosił napis na kartonie, który powieszono mu na szyi.

– Proszę posłuchać, księże Quart. Ten człowiek złamał ślub posłuszeństwa i odstąpił od priorytetów swojej służby, w związku z czym został wezwany do uznania własnych błędów. To wszystko. Potem sprawa wymknęła się i to nie nam, ale Iwaszkiewiczowi i jego Świętej Kongregacji. Ksiądz tylko wykonywał polecenia, tylko dostarczał argumentów. Ksiądz nie jest za to odpowiedzialny.

– Z całym szacunkiem, jaki jestem winien księdzu arcybiskupowi, niestety, jestem odpowiedzialny. Corona nie żyje.

– I ksiądz, i ja znamy jeszcze wielu innych, którzy nie żyją. Choćby finansista Lupara, nie szukając dalej.

– Corona był jednym z naszych, księże arcybiskupie.

– Nasi, nasi... My nie jesteśmy niczyi. Jesteśmy sami. Odpowiadamy przed Bogiem i papieżem – arcybiskup uczynił wyrazistą pauzę, zawierającą podtekst:

papieże umierali, a Bóg nie. I dodał: – W tej kolejności.

Quart popatrzył w stronę drzwi, jakby chciał zakończyć temat. Następnie spuścił głowę.

– Ksiądz arcybiskup ma rację – powiedział zdławionym głosem.

Arcybiskup zacisnął pięść, jakby zamierzał uderzyć w stół, ale zatrzymał ją w pół gestu, olbrzymią, zaciśniętą i znieruchomiałą. Wyraźnie był rozdrażniony.

– Czasami nienawidzę tej przekłetej dyscypliny księdza.

– Co powinienem na to odpowiedzieć, Ekscelencjo?

– Proszę powiedzieć, co ksiądz myśli.

– W takich sytuacjach staram się nie myśleć.

– Niech się ksiądz nie wygłupia. To polecenie.

Quart milczał jeszcze przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Nadal uważam, że Corona był jednym z naszych. A poza tym był prawym człowiekiem.

Arcybiskup otworzył pięść i uniósł nieco dłoń.

– Ale miał słabości.

– Być może. I na tym polegał jego problem: na słabości, na błędzie. A błędy popełniamy wszyscy.

Paolo Spada zaśmiał się szyderczo.

– Prócz księdza, Quart. Mówię to o waszej osobie. Od dziesięciu lat czekam na pierwszy błąd księdza i kiedy to nastąpi, z prawdziwą satysfakcją zadam księdzu pokutę włosienicy, pięćdziesięciu biczów i stu pacierzy – nagle jego głos znów stał się cierpki. – Jak udaje się księdzu utrzymać tę dyscyplinę i niezłomność? – przerwał, ręką przejechał po szczeciniastych włosach i pokręcił głową, nie czekając na odpowiedź. – Ale wracając do niefortunnej sprawy z Rio, trzeba pamiętać, że Wszzechmogący czasem pisze krzywymi liniami. To był nieszczęśliwy wypadek.

– Nie wiem, co to było. I naprawdę nie spędza mi on snu z powiek. Ale jest faktem. Czymś niewątpliwym: ja to zrobiłem. I zapewne któregoś dnia przyjdzie mi za to odpowiedzieć.

– Wtedy Pan Bóg osądzi księdza tak samo jak nas wszystkich. Do tego czasu i tylko w sprawach zawodowych wie ksiądz, że ma mój zupełny odpust, *sub conditione*.

Podniósł swoją wielką dłoń w krótkim geście błogosławieństwa. Quart uśmiechnął się.

– Potrzebuję czegoś więcej. Poza tym, czy ksiądz arcybiskup może zaręczyć, że dziś postępowalibyśmy tak samo?

– Myśli ksiądz o Kościele?

– Myślę o Instytucie Spraw Zagranicznych. Czy teraz równie łatwo podalibyśmy na tacy te trzy głowy kardynałowi Iwaszkiewiczowi?

– Nie wiem. Szczerze – nie wiem. Na strategię składają się rozmaite działania taktyczne – prałat spojrział na swojego rozmówcę z uwagą, nagle przerwał, zaniepokojony. – Ale mam nadzieję, że to wszystko nie wpłynie na misję księdza w Sewilli.

– Nie wpłynie. Przynajmniej mam taką nadzieję. Prosił mnie ksiądz arcybiskup o szczerłość.

– Proszę posłuchać. I ksiądz, i ja jesteśmy zawodowymi duchownymi i nie urodziliśmy się wczoraj. Iwaszkiewicz wszystkich w Watykanie albo kupił, albo zastraszył – rozejrzał się wokół, jakby Polak mógł się pojawić w każdej chwili. – Jedyne, czego mu brakuje, to położyć łapę na ISZ-cie. U Ojca Świętego broni nas jedynie sekretarz stanu Azopardi, który jest moim kolegą ze studiów.

– Ekscelencja ma wielu przyjaciół. Wielu ludziom wyświadczył ksiądz przysługi.

Dał się słyszeć niedowierzający śmiech Paolo Spady.

– W Kurii zapomina się o przysługach, ale pamięta zniewagi. Żyjemy na dworze intrygujących eunuchów, gdzie nikt nie może pójść w górę bez czyjegoś poparcia. Wszyscy chętnie kopią leżącego, ale kiedy sprawy nie są do końca jasne, nikt nie robi ani kroku ze strachu przed konsekwencjami. Niech sobie ksiądz przypomni sprawę śmierci papieża Lucianiego: należało zmierzyć temperaturę w odbycie, żeby ustalić dokładną godzinę śmierci, ale nikt nie miał odwagi wsadzić papieżowi termometru do tyłka.

– Jednak kardynał sekretarz stanu...

Brytan potrząsnął czarną szczecina.

– Azopardi jest moim przyjacielem, przynajmniej w tym sensie, jaki to słowo ma tutaj. Musi dbać o swoje sprawy, a Iwaszkiewicz jest potężny.

Zamilkł na chwilę, jakby położył władzę Jerzego Iwaszkiewicza na jednej szali i swoją na drugiej i czekał, z niewielką nadzieją, na wynik pomiaru.

– Działalność tego pirata komputerowego to sprawa mniejszej wagi – dodał po chwili. – W innych czasach nawet by im nie wpadło do głowy powierzanie nam sprawy należącej ściśle do kompetencji arcybiskupa Sewilli i dotyczącej stosunków z proboszczami w jego diecezji. Ale sprawy tak się mają, że z każdej igły robi się widły. Wystarczy, żeby Ojciec Święty okazał cień zainteresowania, a już mamy otwarte pole do wewnętrznych porachunków. Dlatego wybrałem swojego najlepszego człowieka. Przede wszystkim potrzebuję informacji. To znaczy, musimy wypaść świetnie, dostarczyć taki gruby raport – kciuk od palca wskazującego dzieliło pięć centymetrów. – Niech widzą, że coś robimy. To zadowoli Ojca Świętego, a przy okazji Polaka utrzymamy na dystans.

W wejściu do salonów pojawiła się grupa turystów japońskich, podziwiając wnętrze. Kilku uśmiechnęło się, z grzecznym skinieniem głowy, widząc koloratki.

Arcybiskup Spada odwzajemnił uśmiech z roztargnieniem.

– Cenię księdza, Quart – ciągnął dalej. – Dlatego też wyjaśniam, na czym polega gra, zanim ksiądz wyjedzie do Sewilli. Nie wiem, czy postawa dobrego żołnierza jest zawsze u księdza szczerą, ale tak mi się wydaje, i nigdy ksiądz nie dał powodów, by sądzić, że jest inaczej. Przyciągnął ksiądz moją uwagę jeszcze w czasie studiów, a z upływem lat to zainteresowanie zmieniło się w sympatię. Może to księdza drogo kosztować, bo jeśli któregoś dnia padnę, ksiądz polegnie ze mną. Może nawet wcześniej, bo w grze poświęca się pionki.

Quart skinął głową obojętnie.

– A jeśli wygramy?

– Nigdy nie wygramy do końca. Jakby powiedział rodak księdza, święty Ignacy, wybraliśmy to, na czym Bogu zbywa, a czego inni już nie chcą: burzę i walkę. Nasze zwycięstwa z natury polegają na odroczeniu klęski do następnego ataku. Bo Iwaszkiewicz pozostanie dożywočním kardynałem, księciem według protokołu, biskupem, którego nie można pozbawić świeceń, obywatelem państwa najmniejszego i – dzięki takim ludziom jak ksiądz czy ja – najmniej podatnego na ciosy. I być może, jako kara za nasze grzechy, pewnego dnia zostanie papieżem. Jeśli o nas chodzi, my nigdy nie będziemy *papabiles* i prawdopodobnie nawet nie zostaniemy kardynałami. Jak mówi się w Kurii, mamy zbyt marne układy i zbyt bogaty życiorys. Ale mamy władzę i potrafimy walczyć. Przez to budzimy lęk, a Polak, mimo fanatyzmu i arogancji, wie o tym. Nas nie zmiotą jak jezuitów i liberalnego skrzydła w Kurii na rzecz Opus Dei, mafii fundamentalistów czy Boga z Synaju. *Totus tuus*, ale ode mnie wara. Niektóre brytany giną zabijając.

Arcybiskup spojrział na zegarek i gestem przywołał kelnera. Kładąc rękę na ramieniu Quarta, aby ten nie płacił, wyjął z kieszeni kilka banknotów i położył je na stoliku. Dokładnie osiemnaście tysięcy lirów, zauważył Quart. Życie Brytana było zbyt ciężkie, żeby rozdawać napiwki.

– Naszym obowiązkiem jest walka, księżo Quart – powiedział, kiedy wstawali. – Bo to my mamy rację, a nie Iwaszkiewicz. Można działać skutecznie i zachować autorytet bez wskrzeszania – jakby chciał Polak i jego klika – narzędzi tortur i rozpalonego żelaza. Pamiętam czas, kiedy Luciani został wybrany na papieża i jego pontyfikat trwał trzydzieści trzy dni. Ksiądz był wtedy dwadzieścia lat młodszy, ale ja już byłem w tej robocie od dawna – arcybiskup zrobił porozumiewawczą minę do Quarta. – Wkrótce po wyborze usłyszeliśmy z jego ust zdanie „W Bogu Wszechmogącym więcej jest z mamy niż z taty”. Iwaszkiewicz i jego koledzy z twardego skrzydła mało nie padli. Powiedziałem sobie: z tą ekipą to nie zadziała. Luciani był zbyt miękki jak na nasze czasy, myślę, że Duch Święty wykonał kawał dobrej roboty, zabierając go do siebie, zanim narobił zbyt wiele szkody. Dziennikarze

nazywali go „uśmiechnięty Papież”, ale każdy w Watykanie wiedział, że jego uśmiech był bardzo dziwny – złośliwy grymas na twarzy arcybiskupa stał się jeszcze wyraźniejszy, aż ukazały się kły. – To był nerwowy uśmiech.

Słońce już wydostało się zza chmur i suszyło bruk placu Hiszpańskiego. Sprzedawcy zwijali dachy nad kwietnymi straganami, turyści zaczęli przysiądać na jeszcze wilgotnych schodach, które wznosiły się ku Trinità dei Monti. Quart szedł razem z arcybiskupem po schodach, oślepiiony jasnym światłem placu, jasnością mocną, rzymską, radosną jak dobra nowina. W połowie drogi młoda, siedząca na stopniu cudzoziemka z plecakiem, w dzinsach i w podkoszulku w niebieskie paski, zrobiła mu zdjęcie, kiedy duchowni znaleźli się na jej wysokości. Arcybiskup Spada odwrócił się bokiem, nieco poirytowany i kpiący:

– I jeszcze jedno... Jest ksiądz zbyt przystojny jak na duchownego. Tylko wariat mianowałby księdza kapelanem w żeńskim klasztorze.

– Przykro mi, Ekscelencjo.

– Nie wiem dlaczego, to nie wina księdza. Ale przyznaję, że trochę mnie to drażni. Jak to ksiądz robi? To znaczy, jak się udaje księdzu nie ulegać pokusom. Mówię o kobiecie jako wcieleniu zła, wie ksiądz, te rzeczy.

Quart roześmiał się.

– Modlitwa i zimny prysznic, Ekscelencjo.

– Powinienem był się domyślić. Zawsze działamy zgodnie z regulaminem, prawda? Nie nudzi księdza ta powściągliwość, to bycie grzecznym chłopcem?

– To bardzo podchwytliwe pytanie. Odpowiedź na nie zakłada przyzwolenie dla innej możliwości.

Paolo Spada przez chwilę przyglądał mu się z ukosa, potem skinął w aprobującym geście:

– Zgoda. Wygrał ksiądz. Cnota przeszła kolejny egzamin, ale nadal nie tracę nadziei. Jeszcze kiedyś przyłapię księdza.

– Z pewnością, Ekscelencjo, moje grzechy są niezliczone.

– Niech się ksiądz zamknie. To jest polecenie.

Na wysokości obelisku Piusa VI arcybiskup odwrócił się i spojrzał w dół schodów, na dziewczynę w pasiastym podkoszulku.

– Jeśli idzie o wieczne zbawienie – powiedział – proszę pamiętać o starym przysłowiu: gdy duchownemu uda się do pięćdziesiątki utrzymać z dala od pieniędzy i z dala od kobiecego łóżka, ma spore szanse, żeby zbawić duszę.

– O to się staram, księżo biskupie. Ale brakuje mi jeszcze dwunastu lat do osiągnięcia celu.

– Bez obaw. Podejrzewam, że ksiądz jest wystawiony na zupełnie inne pokusy –

przyjrzał mu się dokładnie, po czym pokiwał głową i ruszył po dwa stopnie do szczytu.
– W każdym razie, synu, trzymaj się tych zimnych pryszniców.

Przeszli przed okazałą fasadą hotelu Hassler Villa Medici, a następnie weszli w Via Sistina. Pracownia krawców była oznaczona dyskretną tabliczką przy drzwiach, przez które przechodziła jedynie elita Kurii. Wyłącznie papieży dotyczył przywilej, aby Cavalleggeri i Synowie, od czasów Leona XIII szczytujący się papieskim tytułem szlacheckim, brali miarę w domu.

Arcybiskup spojrział na tabliczkę z roztargnieniem, jakby myślał o czymś innym. Potem zwrócił twarz ku niebu i w końcu spojrzenie jego poprzecinanych ciemnymi żyłkami oczu spoczęło na duchownym, oceniając garnitur o nieskazitelnym kroju i srebrne spinki w mankietach czarnej jedwabnej koszuli.

– Quart, proszę posłuchać – użycie samego nazwiska nadało surowsze brzmienie poleceniu. – Nie chodzi jedynie o grzech pychy i umiłowanie władzy, które wcale nie są nam obce. I ksiądz, i ja, mimo naszych osobistych wad i postępów, nawet Iwaszkiewicz i jego podłe bractwo... nawet Ojciec Święty ze swoim irytującym fundamentalizmem, wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za wiarę milionów ludzkich istot w Kościół wieczny i nieomylny – arcybiskup nadal mierzył rozmówcę wzrokiem.
– I tylko ta wiara, szczerza pomimo cynizmu całej Kurii, nas usprawiedliwia. Rozgrzesza nas. Bez niej ksiądz, ja, Iwaszkiewicz, byłibyśmy zaledwie nędznymi hipokrytami i kanaliami. Czy ksiądz rozumie, co chcę przez to powiedzieć?

Quart wysłuchał bez mrugnięcia słów Brytana.

– Doskonale, Ekscelencjo – odpowiedział spokojnie.

Niemal instynktownie przyjął sztywną postawę szwajcarskiego wartownika wobec oficera – ręce po bokach, kciuki wzdłuż szwów spodni. Arcybiskup Spada jeszcze przez chwilę obserwował go spod przymkniętych powiek, potem jakby trochę się rozluźnił. Nawet przywołał na twarz cień uśmiechu.

– Mam nadzieję – przyjazna mina zagościła na twarzy prałata. – Naprawdę mam taką nadzieję. Bo jeśli idzie o mnie, kiedy stanę u wrót Niebios i wyjdzie mnie przywitać stary, mrukliwy rybak, powiem mu: Piotrze, bądź wyrozumiały dla leciwego centuriona, żołnierza Chrystusowego, który tak wiele trudu włożył, by brudnej wody było jak najmniej w zęcie twojej łodzi. W końcu nawet stary Mojżesz musiał użyć miecza Jozuego. Tobie też przyszło uderzyć mieczem Malchosa w obronie Mistrza.

Teraz Quart roześmiał się z tej wizji.

– Chciałbym się tam znaleźć wcześniej, Ekscelencjo. Nie sądzę, żeby dwukrotnie przyjęto to samo usprawiedliwienie.

II

Trzech łotrów

Kiedy przyjeżdżam do miasta, zawsze pytam: kim jest dwanaście najpiękniejszych kobiet? Kim jest dwunastu najbogatszych ludzi? Kto może kazać mnie powiesić?
(Stendhal, *Lucien Leuwen*)

Celestino Peregil, ochroniarz i asystent bankiera Pencho Gaviry, przeglądał ze złością czasopismo „Q+S”, idąc do baru Casa Cuesta, w samym sercu Triany, dzielnicy Sewilli. Przyczyny złego humoru Peregila były trzy: dokuczliwy wrzód żołądka, delikatna misja, jaka sprowadzała go na drugi brzeg Gwadalkiwiru, oraz okładka czasopisma, które trzymał w ręce. Peregil był typem przysadzistym, niskim i nerwowym. Maskował przedwczesną łysinę, zaczesując włosy do góry na prawo, znad przedziałka tuż nad lewym uchem. Poza tym zdradzał słabość do białych skarpetek, krawatów z krzykliwego, wzorzystego jedwabiu, dwurzędowych marynarek ze złotymi guzikami i dziwek w barach z czerwonymi lampami. Również, albo przede wszystkim, do magicznego układu liczb na zielonym suknie wszelkich kasyn, do których jeszcze go wpuszczano. To wyjaśnia, dlaczego wrzody męczyły go tego dnia bardziej niż zwykle i dlaczego szedł na to spotkanie, choć nie miał na nie ochoty. Również okładka „Q+S” wcale nie poprawiała mu humoru. Nawet człowieka najbardziej bezdusznego – a taki był Celestino Peregil, i to bardzo – poruszyłaby fotografia żony szefa w towarzystwie innego mężczyzny. Zwłaszcza jeśli samemu sprzedało się dziennikarzom informację potrzebną do zrobienia zdjęcia.

– A to dziwka – powiedział na głos i kilku przechodniów spojrzało na niego ze

zdziwieniem. Potem przypomniał sobie powód spotkania, wyjął z górnej kieszeni marynarki chusteczkę z różowego jedwabiu i otarł czoło. Siódemka i szesnastka na zielonym suknie tańczyły mu przed oczami jak w złym śnie. Jeśli wybrnę z tego, powiedział, przysięgam, że się poprawię. Przysięgam na Najświętszą Panienkę.

Wrzucił tygodnik do kosza. Skręcił pod szklaną reklamą piwa Cruzcampo i zatrzymał się niechętnie przed wejściem do baru. Nienawidził takich miejsc, pełnych marmurowych stolików, gdzie kafelki i stare butelki po krajowym koniaku na półkach pokrywał kurz; całej tej dusznej, tandetnej Hiszpanii, której symbolem są mantyla i gitara, z której wyrwał się nie bez wysiłku. Po kilku szczęśliwych przypadkach, jakie tego prywatnego detektywa, wyspecjalizowanego w zdradach małżeńskich i oszustwach na szkodę firm ubezpieczeniowych, zetknęły z Pencho Gavirą oraz kolegami z branży bankowej, jego codziennością stały się modne bary z cichą muzyką w tle, whisky z dużą ilością lodu, spacerzy po biurach wyłożonych dywanami grubymi na pięć i z „Financial Timesem” na stoliku w hallu, pełne bzyku faksów, szumu klimatyzacji i sekretarek ze znajomością trzech języków. To Zurych, to Nowy Jork, to znów giełda w Tokio, pośród facetów pachnących drogim płynem po goleniu i grywających w golfa.

Wystarczył mu rzut oka, żeby przypomnieć sobie dawne koszmary: don Ibrahim, Żrebak Fernando i Dzia Dzia Dolores już czekali, punktualni jak śmierć. Zobaczył ich zaraz po przekroczeniu progu, na prawo od kontuaru z ciemnego drewna pomalowanego w złote kwiatki, pod kafelkową reklamą, która wisiała tam od początku wieku: *Parostatki Sewilla-Sanlúcar-Morze, codziennie rejsy z Sewilli do ujścia Gwadalkiwiru*. Siedzieli przy marmurowym stoliku i Peregil zauważył, że już raczyli się jerezem La Ina. Była jedenasta rano.

– Jak leci? – powiedział i usiadł.

Nie było to pytanie, nic go nie obchodziło, jak się mają. Przeczytał w trzech parach oczu, że dobrze o tym wiedzą, kiedy tak patrzyli, jak poprawia sobie mankiety eleganckim gestem, podpatrzonym u szefa, a następnie ostrożnie opiera łokcie na marmurowym blacie.

– Mam zlecenie – przeszedł do sprawy bez ogródek. Zobaczył, że Żrebak i Dzia Dzia spojrzeli na don Ibrahima, a ten powoli skinął głową, poważnie podkreślając koniuszki rudawo-siwych wąsów, gęstych, nastroszonych, jak u Anglika. Don Ibrahim był wielki, bardzo gruby, o dobrotliwym i łagodnym wyglądzie, w którym jedyny dysonans stanowiły szalone wąsy. Zawsze zachowywał się z godnością, nawet kiedy kolegium adwokatów w Sewilli ujawniło, przed wielu laty, że nie istnieją żadne podstawy, by wykonywał zawód prawnika. Choć fałszywa, zawsze jednak toga odcisnęła znamię godnej powagi na sposobie, w jaki nosił jasny, słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, laskę ze srebrną gałką i opadającą szerokim łukiem z kieszonki

kamizelki dewizką od zegarka, który wygrał, jak zapewniał, od Ernesta Hemingwaya w pokera, przy stoliku w burdelu Chiquita Cruz w Hawanie, w czasach zanim nastał Castro.

– Zamieniamy się w słuch – powiedział.

Triana i cała Sewilla wiedziały, że don Ibrahim, zwany Amerykaninem, jest oszustem i łajdakiem, ale równocześnie dżentelmenem w każdym calu. Teraz na przykład użył liczby mnogiej, spojrzawszy wcześniej grzecznie na Żrebaka i Dzidzię, dając do zrozumienia, że ma zaszczyt reprezentować ich przy stoliku, na którym z koniecznej odległości, jaką kazał mu zachować brzuch, opierał ręce, przypominające cumy pełnomorskiego statku.

– Chodzi o pewien kościół i pewnego księdza – zaczął Peregil.

– Zły początek – odrzekł don Ibrahim. Olbrzymie cygaro dymiło mu w lewej ręce obok złotego sygnetu; Amerykanin od czasu do czasu strząsał popiół ze spodni. Z czasów burzliwej antylskiej młodości pozostało mu upodobanie do nieskazitelnie białych garniturów, kapeluszy panama i cygar montecristo. Bo fałszywy mecenas był klasykiem. Przypominał kolonizatora z rodzajowych scenek, jacy na początku wieku schodzili na ląd w porcie w Sewilli z rulonem złotych monet, gorączką tropikalną i służącym Mulatem. Don Ibrahim przywiózł ze sobą tylko gorączkę.

Peregil spojrzał na niego zbity z tropu, nie wiedząc, czy zły początek odnosi się do popiołu z cygara, czy też do faktu, że chodzi o kościół i księdza.

– Ksiądz jest stary – dodał dla sprawdzenia, jakby ujmując wagi sprawie, ale wtedy przypomniał sobie o drugim. – No tak, prawdę mówiąc, jest ich dwóch: jeden jest stary, a drugi młody.

– O rany! – Dzidzia krzyknęła z akcentem cygańskim, jakim się mówi na nabrzeżu Gwadalkiwiru. – Dwóch księży.

Srebrne bransoletki zadźwięczały na obwisłej skórze nadgarstków, kiedy opróżniła kieliszek jerezu jednym długim haustem. Obok niej Żrebak Fernando kiwał głową, nieobecny, jak bokser, którego sędzia właśnie upomina, żeby nie bił przeciwnika cały czas w tę samą brew. Wydawał się teraz całkowicie pochłonięty obserwacją karminowego, grubego śladu ust na brzegu kieliszka Dzidzi.

– Dwóch księży – powtórzył don Ibrahim jak echo. Zastanawiał się, ze wzrokiem pełnym troski, a kłęby dymu wkręcały mu się w brodę.

– Tak naprawdę to jest ich trzech – uczciwie sprecyzował Peregil.

Kolonizatorem wstrząsnął dreszcz i znów popiół pobrudził mu spodnie.

– To nie jest ich dwóch?

– Trzech. Stary, młody i jeden przyjezdny.

Peregil dostrzegł, jak wymieniają porozumiewawcze spojrzenie.

– Trzech księży – zsumował don Ibrahim, przyglądając się uważnie paznokciowi

małego palca u lewej dłoni, długiemu niby szpatułka.

– Właśnie.

– Jeden młody, jeden stary i jeden, który dopiero co się pojawił.

– Tak, przyjechał z Rzymu.

– Aha, z Rzymu.

Bransoletki Dzidzi Dolores znów zadźwięczały.

– Za dużo tych księży – zauważyła ponuro. Stukała w niemalowane pod blatem stołu, starając się oduroczyć całą sprawę.

– Z Kościołem przyjdzie się zetrzeć – podsumował don Ibrahim patetycznym głosem Don Kichota, jakby przedstawiał wnioski po długim namyśle, a Celestino Peregil musiał w sobie przewyciężyć chęć, żeby natychmiast wstać i wyjść. To się nie może udać, pomyślał, patrząc na popiół na spodniach fałszywego mecenasa, na malowany pieprzyk i zakręcony kosmyk włosów na przywiedłym czole Dzidzi, na płaski nos byłego boksera wagi koguciej. Nie z tymi ludźmi. I nagle przypomniał sobie 7 i 16 na zielonym suknie i zdjęcia w tygodniku; naraz wydało mu się, że w barze zrobiło się potwornie gorąco. Może wcale nie chodziło ani o upał, ani o bar. Strach zwilżył mu potem koszulę i poczuł cierpką suchość w ustach. Masz sześć milionów, żeby załatwić sprawę kościoła, powiedział Pencho Gavira. Poszukaj jakiegoś zawodowca. Możesz je wydać, jak chcesz.

– To łatwa robota – usłyszał swój głos i zrozumiał, cholerny świat, że nie ma spośród kogo wybierać. – Czysta sprawa. Bez komplikacji. Po milionie na twarz.

Wydawał, jak chciał, rzeczywiście: przez sześć godzin w kasynie przegrał trzy z sześciu milionów. Po pięćset tysięcy na każde pół godziny. Wydał też to, co dostał w zamian za cynk o żonie, czy raczej byłej żonie, swojego szefa. I jeszcze ten wierzyciel, Ruben Molina, szczujący go psami o dwa razy większą sumę.

– Dlaczego my? – spytał don Ibrahim.

Peregil spojrzał mu w oczy i przez ułamek sekundy dostrzegł niepokój, czający się w ich głębi, ukryty w smutnych, rozszerzonych źrenicach rozmówcy. Przełknął ślinę, przesunął palcem między szyją i kołnierzykiem koszuli i znów zaczął obserwować cygaro grubego adwokata wyjętego spod prawa, złamany nos Żrebaka, malowany pieprzyk Dzidzi. Z tym, co mu zostało w kieszeni, nie mógł liczyć na nic lepszego niż ta trójka weteranów, bardziej nadających się do domu starców niż do roboty. Trójka rozbitków życiowych, żalosne resztki.

– Jesteście najlepsi – odpowiedział, czerwieniąc się.

Pierwszego ranka w Sewilli Lorenzo Quart stracił przeszło pół godziny, nim odnalazł kościół. Dwa razy wyszedł z dzielnicy Santa Cruz i dwa razy do niej wchodził, doświadczając na własnej skórze bezużyteczności planu turystycznego w tym

labiryncie cichych, wąskich uliczek z domami pomalowanymi ochrą i wapnem, na których z rzadka przejeżdżające samochody zmuszały go do szukania schronienia w chłodnych, ciemnych bramach, gdzie przez żelazne kraty mógł oglądać podwórka wyłożone kafelkami, pełne różanych krzewów i pelargonii. W końcu znalazł się na małym placu o ścianach białych i beżowych, z kratami z kutego żelaza, na których wisiały doniczki. Stały na nim ławki zrobione z kafelków, przedstawiających sceny z *Don Kichota*, i rosło kilka drzewek pomarańczowych z mocno pachnącymi kwiatami. Kościół był mały, jego fasada z cegieł, zaledwie dwudziestometrowej szerokości, załamywała się tworząc kąt ze ścianą przyległego budynku. Wyglądał nienajlepiej: wieża podparta była drewnianymi belkami na wysokości otworu, przez który widać było dzwon, grube drewniane słupy podtrzymywały zewnętrzny mur, a rusztowanie z metalowych rur częściowo przysłaniało ceramiczne płytki z wizerunkiem Chrystusa, sąsiadujące z zardzewiałymi żelaznymi latarniami. Nieopodal stała betoniarka, a obok niej worki cementu i kupa żwiru.

Tak się to przedstawiało. Przez kilka minut Lorenzo Quart stał na środku placu z jedną ręką w kieszeni, a w drugiej trzymając złożony plan, i przyglądał się budowli. Nie dostrzegł w niej niczego tajemniczego, stała otoczona zapachem kwiatów pomarańczy pod doskonale błękitnym niebem Sewilli tego świetlistego poranka. Barokowy portyk obramowany był dwiema skrzyżowanymi kolumnami, nad którymi w niszy umieszczono postać Madonny. Matka Boska Płacząca, powiedział niemal na głos. Zrobił kilka kroków w kierunku kościoła i zbliżając się zauważył, że Madonna nie ma głowy.

Gdzieś w pobliżu zadźwięczały dzwony i stado gołębi wzniosło się do lotu ponad dachami okalającymi plac. Patrzył, jak odfruwają, i z powrotem zwrócił wzrok na fasadę kościoła. Coś się zmieniło w jego wizji tego miejsca. Teraz, pomimo jasnego światła Sewilli, mimo drzewek pomarańczowych i zapachu ich kwiatów, kościół nabrał w jego oczach zupełnie innego wyglądu. Stare słupy podpierające mury, spękany tynk w kolorze ochry, przypominający złuszczone płyty skóry, i nieruchomy mosiężny dzwon, zawieszony na spróchniałej belce, po której pięły się chwasty, nadały całości mroczny, szary i niepokojący charakter. Kościół, który zabija, aby się bronić, mówiło tajemnicze przesłanie Nieszporów. Quart znów spojrzał na bezgłową Madonnę i ironicznym grymasem skwitował własną podejrzliwość. Na pierwszy rzut oka niewiele pozostawało do obrony.

Dla Lorenzo Quarta wiara była pojęciem względnym i arcybiskup Spada niewiele się mylił, pokpiwając – a nie był to czczy żart – z dobrego żołnierza. Jego credo mniej polegało na przyjęciu prawd objawionych, a bardziej na działaniu zgodnym z założeniem, że wiarę się wyznaje, choć jej posiadanie nie jest nieodzowne. Postrzegany w ten sposób Kościół katolicki oferował mu to samo, co innym młodym

ludziom służba wojskowa: był takim miejscem, gdzie – o ile nie podważa się samych zasad – regulamin daje rozwiązanie większości problemów. W jego przypadku dyscyplina zastępowała wiarę, której mu brakowało. Paradoks ten, dobrze wyczuwany przez doświadczonego i przenikliwego arcybiskupa Spadę, polegał na tym, że ów brak wiary połączony z dumą i rygorem koniecznymi, by ją zachować, czyniły z Quarta duchownego nadzwyczaj skutecznego w działaniu.

Oczywiście, wszystko ma swoje korzenie. Był sierotą, którego ojciec, rybak, zginął na morzu. Dostał się pod opiekę prostego wiejskiego księdza, który pomógł mu rozpocząć naukę w seminarium. Był zdyscyplinowany i inteligentny do tego stopnia, że przełożeni zaczęli się interesować jego postępami. Quart miał tę południową jasność umysłu, przypominającą niegroźną chorobę, która czasami objawia się pod wpływem wiatru z Lewantu, w popołudnia zabarwione czerwienią nad Morzem Śródziemnym. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem, przez wiele godzin stał smagany wiatrem w deszczu na falochronie, podczas gdy na morzu bezbronne łodzie rybackie walczyły z dziesięciometrowymi falami, żeby wydostać się z burzy. Można je było dostrzec w oddali, maleńkie, rozczulająco kruche między górami wody, kurtynami piany, jak przesuwają się z ogromnym trudem przy akompaniamencie charkotu słabych silników. Jedna z nich zaginęła. A kiedy ginie łódź rybacka, to nie odchodzi jeden człowiek, ale razem giną całe rodziny: synowie, mężowie, bracia i szwagrowie. Dlatego ubrane na czarno kobiety z dziećmi, uczepionymi ich spódnic i dłoni, zbierały się przy morskiej latarni i patrzyły, jak wracają, starając się odgadnąć, której łodzi brakuje. I kiedy wreszcie kutry zaczęły wpływać do portu, mężczyźni stojący na pokładzie patrzyli w górę, na falochron, gdzie Lorenzo Quart ścisnął zimną rękę swojej matki, i zdejmowali berety i czapki. I nadal fale biły o brzeg, dął wiatr i padał deszcz, ale żadna więcej łódź już nie przyplłynęła; i tego dnia Lorenzo Quart odkrył kilka prawd. Zrozumiał, że nie ma sensu modlić się do morza. A nadto uczynił mocne postanowienie: nikt nigdy nie będzie na niego czekał w deszczu na falochronie.

Dębowe drzwi z grubymi ćwiekami były otwarte. Kiedy Quart wszedł do kościoła, owionął go strumień zimnego powietrza, jakby odsunął kamienną płytę grobowca. Zdjął słoneczne okulary, zmoczył palec wskazujący i kciuk w kropielnicy i żegnając się poczuł chłód wody na czole. Naprzeciwko ołtarza, którego złocenia błyszcząły w głębi nawy, stało kilka drewnianych ławek, a ich reszta zsunięta w kąt, złożona była w stos, żeby zrobić miejsce dla licznych rusztowań. Czuło się woń wosku i zaduchu, wielowiekowej stęchlizny. Wszędzie panował półmrok, poza jednym kątem oświetlonym reflektorem, na górze z lewej strony. Kiedy Quart podniósł wzrok do światła, dostrzegł na metalowej konstrukcji w górze kobietę, która fotografowała witraże.

– Dzień dobry – powiedział.

Miała siwe włosy, tak jak on, w jej przypadku nie była to jednak siwizna przedwczesna. Dobrych czterdzieści parę lat, ocenił patrząc, jak pochyła się przez barierkę, która wieńczyła metalową konstrukcję, jakieś pięć metrów nad jego głową. Kobieta, chwytając się rurek, zręcznie zeszła na ziemię. Miała włosy zebrane poniżej karku w mały warkoczyk, ubrana była w koszulkę polo z długimi rękawami, w pobrudzone gipsem dżinsy i tenisówki. Patrząc na nią z tyłu, jak schodziła po rusztowaniu, stwierdził, że mogłaby uchodzić za nastolatkę.

– Nazywam się Quart – powiedział.

Kobieta otarła prawą rękę o tył spodni i podała mu ją w krótkim, silnym uścisku.

– Jestem Gris Marsala. Pracuję tutaj.

Mówiła z obcym akcentem, raczej amerykańskim niż angielskim; jej dłonie były szorstkie, a oczy jasne i przyjazne, otoczone zmarszczkami. Szczery i otwarty uśmiech utrzymywał się na jej twarzy, kiedy przyglądała się Quartowi od stóp do głów, z zainteresowaniem.

– Jest ksiądz bardzo przystojny – doszła wreszcie do wniosku, swobodnie zatrzymując wzrok na koloratce przy czarnej koszuli. – Spodziewaliśmy się kogoś innego.

Przyglądając się rusztowaniom i ścianom kościoła, zatrzymał się nagle w pół gestu, zaskoczony użyciem liczby mnogiej.

– Spodziewaliście się?

– Tak. Wszyscy czekają na wysłannika z Rzymu. Ale wyobrażaliśmy sobie małego urzędnika w sutannie, z czarną torbą pełną mszałów, krucyfiksów i podobnych rzeczy.

– Co to znaczy wszyscy? Jacy wszyscy?

– Bo ja wiem, no – wszyscy – kobieta zaczęła wyliczać na palcach ubrudzonych gipsem. – Don Príamo Ferro, proboszcz. I jego wikariusz, ojciec Oscar – uśmiech nieco osłabł, jakby go zastąpił inny, podobny, ale głębiej ukryty. – No i arcybiskup, i burmistrz, i mnóstwo innych ludzi.

Quart zacisnął usta. Nie sądził, żeby jego misja była powszechnie znana. Jedynie nuncjatura w Madrycie i arcybiskup Sewilli zostali zawiadomieni przez ISZ. Odrzucił w myśli nuncjusza, wyobraził sobie natomiast jego ekscelencję Corvo rozsiewającego plotki. A niech piekło pochłonie arcybiskupa.

– Nie spodziewałem się takiej popularności – powiedział chłodno.

Kobieta wzruszyła ramionami, nie zwracając uwagi na jego ton.

– Nie chodzi o księdza, tylko o ten kościół – podniosła rękę, wskazując na rusztowania pod ścianami, na poczerniały strop, z którego obłaziła farba pośród plam wilgoci. – To miejsce ostatnio budzi namiętności. A w Sewilli nikt nie umie zachować tajemnicy – pochyliła ku niemu głowę i zniżyła głos, parodiując ton poufny. – Mówią, że nawet papież interesuje się tą sprawą.

Rany Boskie! Quart przez chwilę milczał, obserwując uważnie czubki swoich butów, a następnie spojrzał w oczy kobiety. Potem pomyślał, że jest to jedna z nitek prowadzących do kłębka, tak samo dobra, jak każda inna i można od niej zacząć. Przybliżył się więc jeszcze trochę, tak że niemal dotykał jej ramienia, i rozejrzał się dookoła przesadnie podejrzliwym wzrokiem.

– Kto tak mówi? – szepnął.

Jej śmiech był spokojny, podobnie jak oczy i głos; ale jego barwę głuszył pogłos w pustej nawie.

– Chyba arcybiskup Sewilli, który swoją drogą raczej nie należy do wielbicieli księdza.

Przy pierwszej okazji będę musiał odwdzińczyć się jego ekscelencji za zbytek łaski, obiecał sobie Quart *in mente*. Kobieta obserwowała go z dobrotliwą przebiegłością. Gotowy uznać jedynie w części proponowane porozumienie, uniósł brwi z wyrazem niewinności właściwej weteranowi jezuitcie. Swoją drogą, nauczył się tego w seminarium. Od jezuitty.

– Widzę, że jest pani dobrze poinformowana. Ale proszę nie brać sobie do serca tego, co ludzie mówią.

Gris Marsała wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Wcale sobie tego do serca nie biorę – powiedziała. – Ale to zabawne. Poza tym, jak już mówiłam księdzu, ja tu pracuję. Jestem architektem odpowiedzialnym za restaurację tego kościoła – znów rozejrzała się dokoła i westchnęła ze smutkiem – choć jego stan nie świadczy o mnie dobrze, prawda? Ale długo można by opowiadać o kosztorysach, które nie były przyjęte, i o pieniądzach, które nie dochodzą.

– Pani jest Amerykanką.

– Tak. Zajmuję się tym od dwóch lat, na zlecenie fundacji Eurnekiana, która ofiarowała jedną trzecią środków potrzebnych na pierwszy projekt rekonstrukcji. Na początku była nas trójka – dwóch Hiszpanów i ja, ale oni odeszli... Teraz od dawna prace są właściwie sparaliżowane – spojrzała na niego uważnie, oczekując efektu słów, które miały zaraz paść. – I na dodatek tych dwóch zabitych...

Quart zachował niewzruszony wyraz twarzy.

– Mówi pani o tych wypadkach?

– Można to tak nazwać, wypadki – nadal obserwowała reakcję swojego rozmówcy i wydawała się rozczarowana, że nie usłyszała żadnego komentarza. – Widział się już ksiądz z proboszczem?

– Jeszcze nie. Przyjechałem wczoraj wieczorem i nawet nie złożyłem jeszcze wizyty arcybiskupowi. Chciałem najpierw zobaczyć to miejsce.

– No to ksiądz widzi – ręką wskazała na nawę i ołtarz główny, ledwo widoczny w mroku. – Barok sewilski z osiemnastego wieku, ołtarz dłuta Duque Cornejo. Mały

klejnot, który się rozpada.

– Dlaczego Madonna nad wejściem nie ma głowy?

– Niektórzy obywatele po swoim świętowali proklamowanie Drugiej Republiki w 1931 roku.

Powiedziała to z pewną pobłażliwością, jakby w głębi wybaczała tym, którzy to zrobili. Quart zaczął się zastanawiać, jak długo mieszka w tym mieście. Z pewnością od dawna, jej hiszpański był nienaganny i czuła się zupełnie swobodnie.

– Od jak dawna pani tu mieszka?

– Blisko cztery lata. Ale wcześniej przyjeżdżałam tu wielokrotnie, zanim przeniosłam się na stałe. Najpierw byłam na stypendium i od tego czasu właściwie nigdy nie wyjechałam stąd na dobre.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, jakby sama sobie zadawała to pytanie.

– Nie wiem. Tak dzieje się z wieloma moimi rodakami. Pewnego dnia przyjeżdżają i już nie mogą odjechać. Zostają i albo grają na gitarze, albo coś rysują i siedzą na placach. Robią cokolwiek, żeby przeżyć. – Spojrzała zamyślona na prostokąt światła na podłodze przy drzwiach. – Jest coś w świetle, w kolorycie ulic tego miasta, coś, co blokuje wolę. To rodzaj choroby.

Quart przeszedł parę kroków i zatrzymał się, słuchając, jak milknie w nawie echo ostatnich słów. Zobaczył ambonę ze schodami w kształcie ślimaka po lewej stronie, niemal schowaną za rusztowaniem, i konfesjonał po prawej stronie, w małej kapliczce, służącej za wejście do zakrystii. Dotknął ręką drewnianej ławki, przez lata zużytej i szerniałej.

– Jak się księdzu podoba?

Quart podniósł głowę. Nawa, kryta sklepieniem kolebkowym z lunetami, przecinała się z transeptem, tworząc krzyż o krótkich ramionach. Eliptyczna kopuła, zwieńczona ślepą latarnią, ozdobiona była niewyraźnymi już freskami, zniszczonymi przez dym świec i pożarów. Dawalo się rozpoznać postacie aniołów wokół czarnej plamy sadzy i paru brodatych proroków okaleczonych przez pęcherze wilgoci, które nadawały im wygląd trędowatych.

– Nie wiem – odpowiedział. – Jest mały, ładny. Stary.

– Ma trzysta lat – uściśliła i kościół rozbrzmiał echem, kiedy ruszyli wzdłuż ławek w kierunku głównego ołtarza. – W moim kraju budynek, który stałby od trzech wieków, byłby nietykalnym skarbem historii. A tu, sam ksiądz widzi, takie budowle rozpadają się co krok i nawet nikt nie ruszy palcem.

– Może jest ich zbyt wiele.

– Dziwne, że słyszę te słowa z ust księdza. Choć wcale ksiądz nie wygląda na duchownego. – Znów zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, z ironicznym

zaciekawieniem, zatrzymując się tym razem na nienagannym kroju lekkiego, ciemnego garnituru. – Gdyby nie koloratka i czarna koszula...

– Noszę je od dwudziestu lat – przerwał jej chłodno, spoglądając ponad ramieniem kobiety. – Mówiła pani o kościele i o takich jak to miejscach.

Odrobinę się speszyła, pokiwała głową, wyraźnie starając się umieścić go w którejś ze znanych sobie szufladek męskiego rodu. I choć była bezpośrednia, Quart doskonale się orientował, że koloratka ją onieśmiela. Tak dzieje się z nimi wszystkimi, pomyślał, bez różnicy, czy są stare czy młode. Nawet najodważniejsza traci pewność siebie, gdy jakiś gest lub słowo naraz jej przypomni, że stoi przed księdzem.

– Kościół – powiedziała wreszcie Gris Marsala, patrząc na niego, jakby myślami błędziła gdzieś daleko. – Nie zgadzam się, że jest zbyt wiele miejsc takich jak to. Przecież to właśnie jest nasza pamięć, prawda? – zmarszczyła nos i ściągnęła usta, uderzając stopą w wytarte kamienne płyty posadzki, jakby powoływała je na świadka. – Jestem przekonana, że każdy budynek, każdy obraz, każda stara książka, którą niszczymy lub tracimy, trochę nas osierocają. I zubożają.

Mówiła z nieoczekiwanym żarem i w pewnym momencie ślad goryczy przyciemnił ton jej głosu. Widząc, że zaskoczony Quart przygląda się jej uważnie, znów się uśmiechnęła.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem Amerykanką – powiedziała, jakby tłumacząc się. – A właściwie, może tak. To jest dziedzictwo całej ludzkości. Nie mamy prawa pozwalać, by ginęło.

– Dlatego jest pani tak długo w Sewilli?

Zastanowiła się, tajemnicza.

– Może. W każdym razie na pewno dlatego właśnie teraz jestem tutaj – spojrzała w górę, zatrzymując wzrok na jednym z witraży na świetliku po lewej stronie nawy, gdzie pracowała w chwili, kiedy przyszedł Quart. – Czy ksiądz wie, że to jest właśnie ostatni kościół zbudowany w Hiszpanii za czasów panowania dynastii austriackiej? Budowa obiektu została oficjalnie zakończona pierwszego listopada 1700, w czasie gdy Karol II, ostatni król z tej dynastii, umierał bezpotomnie. Inauguracyjna msza, odprawiona nazajutrz, miała charakter żałobny, za duszę króla.

Stali przed ołtarzem głównym. Ukośne światło, wpadające przez witraże, łagodnie odbijało się na górnych złoceniach rzeźb ołtarza, którego reszta pozostawała w cieniu rusztowań. Quart dostrzegł w centralnej partii figurę Madonny pod szerokim baldachimem, ponad tabernakulum, przed którym krótko pochylił głowę. W bocznych skrzydłach, oddzielonych od portyku rzeźbionymi kolumnami, umieszczone były w niszach obrazy i rzeźby cherubinów i świętych.

– To niesamowite – powiedział szczerze.

– To jeszcze nie wszystko.

Gris Marsala obeszła ołtarz i z tyłu za nim przekreśliła wyłącznik oświetlenia. Drewno pokryte warstwą złota nabrało życia i kaskada światła rozlała się między kolumnami, medalionami i girlandami, wyrzeźbionymi misternie jakby przez jubilera. Quart podziwiał jednorodność przebogatej całości, połączenie elementów konstrukcyjnych i dekoracyjnych w całość łączącą obrazy, rami, motywy architektoniczne i roślinne.

– Niesamowite – powtórzył pod wrażeniem. I podnosząc prawą rękę do czoła, mechanicznie uczynił znak krzyża. Zauważył, że Gris Marsala przyglądała mu się z uwagą, jakby spostrzegła coś niestosownego. – Nigdy pani nie widziała, żeby ksiądz się żegnał? – Quart pokrył rozdrażnienie lodowatym uśmiechem. – Wielu innych księży zapewne żegnało się przed tym ołtarzem.

– Pewnie tak. Ale to byli księża innego pokroju.

– Jest tylko jeden rodzaj księży – odpowiedział swobodnie i spytał, jakby dla podtrzymania rozmowy: – Czy pani jest katoliczką?

– Trochę. Mój pradziadek był Włochem – jasne oczy spoglądały na niego z beczelną ironią. – Mam dość jasne pojęcie grzechu, jeśli o to księdzu chodzi. Chociaż w moim wieku...

Zawiesiła głos, dotykając swych siwych włosów zebranych w krótki warkocz. Quart ponownie stwierdził, że lepiej będzie zmienić temat.

– Rozmawialiśmy o ołtarzu – odparł. – I mówiłem, że jest wspaniały – spojrzał jej w oczy, poważnie, grzecznie i z dystansem. – Może do tego wrócimy.

Znów Gris Marsala przechyliła nieco głowę. Inteligentna, pomyślał Quart. Było w niej coś niepokojącego. Wytresowany instynkt agenta ISZ-u wychwycił w niej jakąś niespójność, fałszywą nutę. Przyjrzał się jej, poszukując odpowiedniego klucza, nie było jednak sposobu przełamania dystansu bez zgody na pewne współnictwo, w którym Quart nie chciał się posunąć zbyt daleko.

– Proszę – dodał Quart.

Spoglądał na nią z ukosa jeszcze przez kilka sekund. Potem ruchem głowy przyjęła propozycję i wydawało się, że zaraz znów się uśmiechnie, ale tego nie zrobiła.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. Odwróciła się do ołtarza i Quart poszedł za jej przykładem. – Ołtarz został wykonany w 1711 przez rzeźbiarza Pedro Duque Cornejo, który otrzymał za tę pracę dwa tysiące skudów po osiem reali srebra każdy. Bo rzeczywiście jest to dzieło wspaniałe. Cała wyobraźnia i zuchwałość baroku sewilskiego są tu obecne.

Madonna była piękną polichromowaną rzeźbą w drewnie, wysokości prawie metra. Okryta niebieskim płaszczem, rozkładała ręce, z dłońmi zwróconymi na zewnątrz. Księżyc w nowiu służył jej za piedestał, a prawa stopa deptała węża.

– Jest bardzo piękna – powiedział Quart.

– Dzieło Juana Martineza Montañesa, starsze o niemal cały wiek od ołtarza... Było własnością książąt del Nuevo Extremo, a ponieważ jeden z nich wspomógł budowę kościoła, jego syn ofiarował Madonnę. Jej łzy dały nazwę temu miejscu.

Quart przyglądał się detalom. Z dołu widać było łzy na twarzy, koronie i płaszczu.

– Nieco przesadzone, moim zdaniem.

– Początkowo były to małe szklane paciorki, ale teraz są to perły. Dwadzieścia nieskazitelnych pereł, przywiezionych z Ameryki w końcu ubiegłego wieku; to historia, której finał też jest tu obecny, w krypcie.

– Jest tu krypta?

– Tak. Wejście do niej jest ukryte z tej strony, na prawo od głównego ołtarza, w formie jakby prywatnej kapliczki. Spoczywają tam kolejne pokolenia książąt del Nuevo Extremo. Jeden z nich, Gaspar Bruner de Lebrija, w roku 1687 przeznaczył część swych włości na budowę tego kościoła pod warunkiem, że co tydzień odprawiana będzie tu msza za jego duszę – wskazała na niszę na prawo od Madonny, z figurą rycerza modlącego się na kolanach. – Oto on: wyrzeźbiony przez Duque Cornejo, który również jest autorem statuy po lewej, czyli postaci jego żony... Budowę obiektu powierzono zaufanemu architektowi rodziny, Pedro Romero, który budował również dla księcia Medina-Sidonia. Stąd bierze się związek również tej rodziny z kościołem. Syn donatora, Guzman Bruner, opłacił wykonanie figur rodziców i podarował w 1711 rzeźbę Matki Boskiej. Przywiązanie rodziny do kościoła do tej pory trwa, choć teraz jest dużo słabsze. I ma związek z tym całym konfliktem.

– Z jakim konfliktem?

Gris Marsala nadal przyglądała się rzeźbom, jakby nie dosłyszała pytania. Dotknęła ręką szyi i lekko westchnęła.

– Dobrze, niech ksiądz to nazywa, jak chce – jej ton stał się sztucznie bez troski. – Nazwijmy to staniem w martwym punkcie. Chodzi o Macarenę Bruner, jej matkę, starą księżnę i wszystkich innych.

– Jeszcze nie poznałem pań Bruner.

Kiedy Gris Marsala odwróciła się do Quarta, w jej jasnych oczach błysnął złośliwy refleks.

– Nie? No to pozna je ksiądz – zrobiła pauzę i przekrzywiła głowę, rozbawiona. – Obie.

Quart usłyszał jej cichy śmiech, kiedy wyłączała światło. Ciemność znów pokryła ołtarz.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– W Sewilli?

– W tym kościele.

Poczekala kilka sekund z odpowiedzią.

– To ksiądz ma orzec – odezwała się wreszcie. – Po to przysłano tu księdza.

– Ale pani tu pracuje. Może ma pani jakiś pomysł?

– Oczywiście, mam pewne pomysły. Ale zachowam je dla siebie. Wiem tylko, że jest więcej ludzi, którzy chcą, by to miejsce niszczało, niż tych, co chcą je ocalić.

– Dlaczego?

– A tego to już nie wiem – propozycja wspólnictwa wyparowała gdzieś z jej oczu. Teraz ona narzucała dystans, a chłód pustej nawy wkraśl się w ich rozmowę. – Może dlatego, że w tej dzielnicy każdy metr kwadratowy ziemi jest wart majątek... – potrząsnęła głową, jakby odpędzając złe myśli. – Znajdzie ksiądz wielu chętnych, żeby o tym opowiedzieć.

– Powiedziała pani, że ma pewne pomysły.

– Tak powiedziałam? – uśmiechnęła się kącikiem ust i nie był to uśmiech szczery.

– Możliwe. W każdym razie to nie moja sprawa. Do mnie należy ratowanie czego się da z tego budynku, dopóki będzie można płacić za roboty. Choć nie ma z czego...

– To dlaczego nadal pani tu jest, całkiem sama?

– Czyn społeczny. Od kiedy zajmuję się tym kościołem, nie szukam sobie innego zajęcia, tak więc mam mnóstwo wolnego czasu.

– Mnóstwo wolnego czasu.

– Właśnie – jej głos znów nabrał gorzkiego tonu. – Zresztą, nie mam dokąd iść. Zamierzał dalej nalegać, kiedy odgłos kroków dobiegający z tyłu kazał mu się odwrócić. W obramowaniu drzwi pojawiła się ciemna postać, drobna i nieruchoma, a zarys jej czarnego cienia padł na prostokąt światła na kamiennych płytach posadzki.

Gris Marsala, która również się odwróciła, uśmiechnęła się do Quarta dziwnie.

– Nadszedł czas, żeby poznał ksiądz tutejszego proboszcza, prawda? Oto ksiądz Priamo Ferro.

Kiedy Celestino Peregil wyszedł z baru Casa Cuesta, don Ibrahim pod marmurowym blatem stolika przeliczył ukradkiem banknoty, które asystent bankiera Pencho Gaviry dał im na pierwsze wydatki.

– Sto tysięcy – stwierdził po zakończeniu operacji.

Żrebak Fernando i Dzidzia Dolores przyjęli wiadomość w milczeniu. Don Ibrahim rozdzielił pieniądze na trzy kupki po trzydzieści trzy tysiące i jedną z nich schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, a pozostałe przesunął w kierunku kompanów. Banknot stanowiący nadwyżkę położył na stole.

– Jak wam się to podoba?

Żrebak Fernando zmarszczył brwi, rozprostował banknot i przyglądał się portretowi Hernana Cortesa.

– Nawet całkiem – zaryzykował.

– Mówię o robocie. O zleceniu.

Żrebak nadal melancholijnie wpatrywał się w banknot, a Dzidzia Dolores wzruszyła ramionami:

– Będzie kasa – powiedziała, jakby to zamykało całą sprawę. – Choć zadzieranie z księżmi nie wróży nic dobrego.

Don Ibrahim zrobił lekceważący gest, żeby ująć problemowi nieco wagi. Uczynił go lewą dłonią, w której obok złotego pierścienia dymiło cygaro, a popiół znów spadł na białe spodnie.

– Załatwimy to taktownie – oznajmił, pochylony z wysiłkiem nad brzuchem, strzepując szary proszek.

Dzidzia Dolores powiedziała swoje „O rany”, a Żrebak Fernando przytaknął skinieniem głowy, nadal wpatrując się w banknot. Żrebak mógł mieć jakieś czterdzieści pięć lat i każdy rok zostawił znak na jego twarzy. Młodość początkującego, pechowego torreadora wyryła ślad w jego żrenicach i pozostawiła w gardle gorzki smak porażki na arenach trzeciej kategorii oraz – na dobiek – bliźnię od rogu byka poniżej prawego ucha. Natomiast jego krótka i mroczna droga pięściarza, na której końcu miał się znaleźć tytuł mistrza Andaluzji w wadze koguciej, przerywana kolejnymi wezwaniami do wojska, doprowadziła go jedynie do złamanego nosa, obu łuków brwiowych nabrzmiałych i poprzerrywanych przez blizny oraz do dużej powolności reakcji przy podejmowaniu każdego wysiłku – czynu, słowa i myśli. W napadach ulicznych na turystów dobrze grał rolę głupka: był całkowicie prawdziwy w tym swoim bezbronnym patrzeniu w pustkę, jakby oczekiwał na trzecie ostrzeżenie albo gong po jakimś nieprawdopodobnie długim liczeniu.

– Takt jest tu bardzo ważny – powiedział powoli.

– Jak rany! – potwierdziła Dzidzia.

Żrebak na dodatek zmarszczył brew, jak zawsze kiedy się nad czymś zastanawiał. Z tą samą miną, ze zmarszczoną brwią i wyrazem głębokiego skupienia, wszedł kiedyś do domu i zobaczył swego sparaliżowanego brata w fotelu na kółkach, ze spodniami spuszczoneymi do kolan i z bratową – znaczy żoną Żrebaka – na sobie, zatopioną w wymownych jękach. Nie spiesząc się i nie podnosząc głosu, powoli kiwając głową, kiedy brat zapewniał go, że zaszła pomyłka i wszystko da się wytłumaczyć, Żrebak stanął za fotelem na kółkach, poprowadził go niemal z czułością na podest, a następnie pchnął w dół razem z jego właścicielem, spuścił po trzydziestu dwóch stopniach, z których na każdym wydał dźwięk *klok-klak*, a podróż ta skończyła się nieuchronnie śmiertelnym pęknięciem czaszki. Żonie udało się ująć z życiem, wcześniej jednak zebrała cięgi, fachowe, metodyczne, których wynikiem było podbicie obu oczu i nokaut lewym sierpowym, z którego pozbierała się po półgodzinie, akurat żeby spakować walizkę i zniknąć na zawsze. Sprawę brata trudniej było załatwić:

prokurator żądał trzydziestu lat i jedynie zręczność adwokata zdołała zmienić w oczach sędziego zarzut morderstwa na zabójstwo przypadkowe, a w końcu uniewinnienie *in dubio pro reo*. Adwokatem tym był don Ibrahim, którego dyplom wydany w Hawanie uchodził jeszcze za autentyczny wśród sewilskiej palestry. Z tytułem czy bez obrońca krok po kroku odzyskiwał dla niego wolność w trakcie wzruszającej przemowy, której treści były torreador i bokser z pewnością nigdy nie zapomni. Rozbite ognisko domowe. Wiarołomny brat, czyn popełniony w afekcie, poziom intelektualny oskarżonego, nieobecność *animus necandi*, brak hamulców w fotelu na kółkach. Od tego czasu Żrebak Fernando trwał w ślepej, heroicznej i niezniszczalnej wierności dla swego dobroczyńcy; jeszcze bardziej oddanej – o ile to w ogóle możliwe – od czasu nikczemnego usunięcia don Ibrahima z palestry. Była to lojalność charta, cichego i twardego, gotowego na wszystko, na rozkaz lub dla pochwały z ust swego pana.

– Ciągle widzę za wielu księży – upierała się Dździa.

Znów pobrzękiwała srebrnymi bransoletkami, obracając pusty kieliszek. Don Ibrahim i Żrebak spojrzeli po sobie i były adwokat zamówił kolejne trzy kieliszki jerezu La Ina oraz talerzyk suszonej polędwicy. Ledwo kelner postawił zimny jerez na stole, opróżniła swój kieliszek jednym haustem, a panowie spojrzeli w inną stronę, jakby tego nie zauważyli.

*Gorzkie wino smutku nie ukoi,
Choćbym się upiła,
Nigdy nie zapomnisz...*

Dździa Dolores zaśpiewała cichutko i rozdzierająco, oblizując karminowe usta, błyszczące wilgocią jerezu, a Żrebak szepnął *olé!*, nie patrząc na nią, i wystukiwał dłonią rytm o marmurowy blat stolika. Dździa Dolores miała oczy czarne jak w piosence, wielkie, tragiczne; za sprawą nadmiernego makijażu i czarnego ołówka wydawały się ogromne na twarzy, która zachowała resztki zwiędłej, zakrzeplej urody, pod zaczesanym na czole lokiem z ufarbowanych, czarnych włosów. Kiedy czasami przesadziła z jerezem czy manzanillą, opowiadała, że pewien brunet jak marzenie, o błyszczących zielonych oczach, zabił przez nią nożem rywala, jak w śpiewanych przez nią piosenkach, i szukała w torebce wycinka z gazety, który pewnie zginął dawno temu. Jeśli tak się rzeczywiście stało, działo się to w czasach, kiedy Dździa była na afiszach, w rozkwicie urody pięknej Cyganki, młodej, drapieżnej, przyszłej gwiazdy piosenki hiszpańskiej. Mówiono, że zostanie następczynią Conchity Piquer. Teraz, w trzydzieści lat po chwili przelotnej sławy, dźwigała swoje marne szczęście, smutną legendę i piosenki wśród stolików poplamionych winem w lokalach nędznej kategorii

– były to występy towarzyszące turystycznym wycieczkom „Sewilla nocą”, popisy artystyczne do kolacji, na brudnych estradowych deskach, które rozbijała w drzazgi zmęczonym stukotem obcasów.

– Od czego zaczynamy? – spytała, patrząc na don Ibrahima.

Żrebak Fernando też podniósł wzrok znad stołu i spojrzął na człowieka, którego szanował najbardziej na świecie, zaraz po świętej pamięci torreadorze Juanie Belmonte. Świadomy swej odpowiedzialności, był mecenas zaciągnął się cygarem i przeczytał w myśli, dwukrotnie, listę przekąsek wypisaną na tablicy za barem. Krokietki. Flaki. Sardele smażone. Jajko w beszamelu. Ozory w sosie. Ozory w bekonie.

– Jak słusznie powiedział Gajusz Juliusz Cezar – rzekł, kiedy upłynęła stosowna jego zdaniem chwila, aby nadać słowom odpowiednią wagę – *Galia est omnia divisa in partibus infidelibus*. Czyli przed każdym czynem należy przeprowadzić rozeznanie optyczne – omiół otoczenie wzrokiem, niby generał swój sztab. – Wizualizacje terenu, jeśli mnie rozumiecie – zamrugął z wątpliwością w spojrzeniu. – Rozumiecie mnie?

– No!

– Tak.

– Cieszę się – don Ibrahim przesunął palcem po wąsie, zadowolony ze stanu ducha armii. – Chcę powiedzieć, że powinniśmy rzucić okiem na ten kościół i na całą resztę – zerknął na Dzidzię, pamiętając o jej pobożności. – Z należnym szacunkiem, oczywiście, dla świętego charakteru tego miejsca.

– Znam ten kościół – zauważyła Dzidzia głosem, w którym pobrzmiwał alkohol. – Jest stary, ciągle go remontują. Czasem chodzę tam na mszę.

Jak każda porządna ludowa artystka, była dewotką. Don Ibrahim zaś, który sam najczęściej określał siebie jako agnostyka, był zwolennikiem wolności wyznania. Z zainteresowaniem pochylił się lekko ku stołowi. Dokładne rozeznanie na wstępie, ktoś to powiedział – Churchill, jak mu się wydawało, albo Fryderyk Wielki – jest matką każdego zwycięstwa.

– A jaki jest ten ksiądz? Chodzi mi o proboszcza.

– Taki jak inni – Dzidzia Dolores zasznurowała wargi i zmarszczyła czoło, wyteżając pamięć. – Stary, zawsze w złym humorze... Kiedyś wyrzucił z kościoła jakieś turystki, które weszły w trakcie mszy. Odszedł od ołtarza, w całym stroju i w ornacie, i zrobił im koszmarną aferę, bo były w krótkich spodenkach. To nie plaża ani cyrk, krzyczał, a teraz wynocha. I wyrzucił je, tak jak stały.

Don Ibrahim pokiwał głową z wyrozumiałością.

– Święty mąż, jak widzę.

– No.

– Pełen cnót człowiek kościoła.

– Do imentu.

Po chwili zastanowienia Amerykanin wypuścił kółko z dymu i popatrzył, jak odpływa. Wyglądał na zmartwionego.

– To znaczy, że ksiądz ma charakter – uściślił, łagodząc początkowy podziw.

– Ja nie wiem, czy to charakter – powiedziała Dzidzia. – Ale jeśli tak, to paskudny.

– Właśnie – don Ibrahim wypuścił kolejne kółko, ale tym razem mu nie wyszło. – To znaczy, że ów czcigodny proboszcz może nam sprawić kłopot. A raczej przeszkodzić w naszej strategii.

– Może nam ją kompletnie pokrzyżować.

– A ten drugi ksiądz? Jaki jest młody wikary?

– Widziałam go parę razy, jak pomagał przy mszy. Wygląda na spokojnego, bardziej rozważnego. Jest łagodniejszy.

Don Ibrahim spojrział przez okno na drugą stronę ulicy, w kierunku górskich butów „Valverde del Camino”, zwisających pod markizą na wystawie sklepu obuwniczego La Valenciana. Potem, z dreszczem melancholii, przyjrzał się obu twarzom, które miał przed sobą. Gdyby to był inny moment w jego życiu, posłałby na drzewo Peregila z jego zleceniami. Albo – co bardziej prawdopodobne – zażądałby więcej pieniędzy. Ale że sprawy wyglądały, jak wyglądały, raczej nie miał wyboru. Przyjrzał się ze smutkiem pomalowanym ustom Dzidzi, jej sztucznemu pieprzykowi, paznokciom, z których czerwony lakier oblaził na brzegach, chudym palcom wokół pustego kieliszka. Potem przesunął wzrok na lewo i napotkał wierne spojrzenie Żrebaka Fernando, po czym zatrzymał się na własnej dłoni opartej na stole, tej, w której tkwiło hawańskie cygaro obok sygnetu, fałszywego jak Judasz, którego kolejny egzemplarz – a miał ich wiele – czasem udawało mu się sprzedać za pięć tysięcy peset jakiemuś nierozważnemu turyście w którymś z barów Triany. Tych dwoje to byli jego ludzie, był za nich odpowiedzialny. Żrebak ze swoją wiernością, mimo wszelkich przeciwności. A Dzidzia – bo fałszywy mecenas nigdy nie słyszał, żeby ktoś piękniej niż ona zaśpiewał *Capote de grana y oro*, kiedy wkrótce po przyjeździe do Sewilli ujrzał ją na scenie. Osobiście poznał ją dużo później, kiedy występowała już w podłych lokalach, zniszczona przez alkohol i lata, jakby żywcem wyjęta z piosenek, które śpiewała zdartym, niezwykłym głosem, przygotowującym go o gęsią skórkę: *La loba*, *Romance de valentia*, *Falsa moneda*, *Tatuaje*. Tej nocy, kiedy ją poznał, przysiągł sobie, że wyrwie ją z zapomnienia, a jedynym powodem tego postanowienia była chęć oddania sprawiedliwości Sztuce. Bo mimo oszczerstw kolegów z palestry, mimo kompromitujących publikacji w lokalnej prasie, kiedy postanowili wsadzić go za kratki z powodu głupiego dyplomu, który tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia,

mimo licznych oszustw, jakich musiał się dopuszczać, żeby zarobić na życie, wcale nie był nędznikiem. Don Ibrahim podniósł głowę i machinalnie poprawił dewizkę w kieszonce kamizelki. Był człowiekiem godnym, tylko nie miał szczęścia.

– To zwykła kwestia strategii – powiedział z namysłem, głośno, bardziej żeby przekonać siebie samego, i poczuł, że dwoje kumpli wierzy w niego. Celestino Peregil obiecał trzy miliony, ale może uda się wyrwać więcej. Podobno Peregil pracuje dla jakiegoś bankiera siedzącego na dolarach. To śmierdzi forszą, a oni potrzebują gotówki, żeby mógł się ziścić ich dawny sen. Choć jego wiedza była dość powierzchowna, don Ibrahim był przecież człowiekiem odczytanym – inaczej nie mógłby zajmować się adwokaturą w Sewilli, nim zdarzyło się niespodziewane nieszczęście – i ze swych lektur wydobył bogactwo cytatów, którymi hojnie sypał. Jeśli idzie o sny, najlepszy cytat pochodził od Thomasa D.H. Lawrence’a, tego gościa z Arabii, który napisał *Lady Butterfly*: ludzie, którzy śnią z otwartymi oczami, patrzą w twarz wyzwaniom, czy coś takiego. Nie robił sobie specjalnych złudzeń co do oczu Żrebaka i Dzidzi, ale teraz mniejsza o to. On miał je otwarte za całą trójkę.

Spojrzał z czułością na Żrebaka Fernando, który powoli przeżuwał plasterek suszonej polędwicy.

– A co ty o tym sądzisz, mistrzu?

Żrebak w milczeniu żuł jeszcze dobre pół minuty.

– Możemy to zrobić, chyba – powiedział wreszcie, kiedy już prawie zapomnieli, jakie było pytanie. – Z Bożą pomocą.

Don Ibrahimowi wymknęło się westchnienie pełne rezygnacji:

– To właśnie może być problem. Tylu księży jest w tę sprawę zamieszanych, że nie wiadomo, po której stronie stanie Bóg.

Żrebak rozpromienił się po raz pierwszy tego dnia, w uśmiechu pełnym ufności. Zawsze miał uśmiech pełen ufności, choć uśmiechał się niezwykle rzadko, jakby ten wysiłek mięśni był zbyt wielki dla twarzy pokiereszowanej przez byki i rękawice przeciwników na ringu.

– Wszystko dla Sprawy – powiedział.

Dzidzia dorzuciła cichutkie i czułe *olé!*

*Przysięgał miłość ten chłopiec,
Co nie znał przed śmiercią lęku...*

Zaśpiewała przytłumionym głosem i położyła rękę na dłoni Żrebaka Fernando. Od dramatycznego rozstania z żoną mieszkał sam, bez żadnej rodziny, a don Ibrahim podejrzewał, że skrycie kocha się w Dzidzi, choć przez szacunek nigdy jej tego nie okazał. Ona zaś, stojąc wiecznie w drzwiach lokalu swoich marzeń, wiernie strzegła

wspomnienia owego zielonookiego mężczyzny, który czekał na nią na dnie każdej butelki. Jeśli zaś idzie o życie emocjonalne don Ibrahima, nikt nigdy nie był w stanie dostarczyć żadnych przekonujących dowodów na jego istnienie, choć lubił nocami zaprawionymi winem i dźwiękiem gitary robić niejasne aluzje do romantycznych uniesień w czasach karaibskiej młodości, kiedy przyjaźnił się z Benym Moré – Barbarzyńcą Rytmu, z Carafoca Perezem Prado i meksykańskim aktorem Jorge Negrete, zanim doszło między nimi do nieporozumienia. W tamtych czasach María Félix, boska María, prawdziwa dama, podarowała mu hebanową laskę ze srebrną gałką, a stało się to tej nocy, gdy z don Ibrahimem i w towarzystwie butelki tequili – litrowej Herradura Reposado – dopuściła się niewierności wobec Agustino Lary, na co ów chudy elegant, zupełnie rozbity, skomponował swoją nieśmiertelną piosenkę, żeby zapomnieć o przyprowadzonych mu rogach. Na twarzy don Ibrahima gościł młodzieńczy uśmiech, ilekroć wspominał Acapulco tamtych nocy, tamtych plaż, ach, María, moje szczęście, piękna María. A Dzidzia nuciała cichutko między kolejnymi kieliszkami jerezu piosenkę, której sprawcą był on i jego erotyczny podbój. Żrebak dopełniał tej sceny swoim twardym i niemym profilem, pozbawionym cienia, który tłukł się teraz gdzieś między linami ringu albo włączył po lichych arenach w jakichś małych dziurach. W tym dziwnym trójkącie, tworzonym wspólnymi popołudniami z tytoniowego dymu, wina, braw, odległych plaż i nostalgii, żaden afekt nie był zawiedziony, a każde uczucie odwzajemnione, i od kiedy los doprowadził do ich spotkania w Sewilli, cała trójka wspólnie przeżywała nie kończącego się kaca swojego życia w malowniczej przyjaźni, której szlachetny cel udało im się odkryć pewnego poranka po potężnym i spokojnym pijaństwie, gdy siedzieli na wprost szerokiego i łagodnego nurtu Gwadalkiwiru: łączy ich Sprawa. Pewnego dnia będą mieli dość pieniędzy, żeby założyć najlepszy lokal flamenco. Będzie się nazywał „Świątynia Kupletu” i tam wreszcie sztuka Dzidzi Dolores przywróci życie piosence hiszpańskiej i odda jej sprawiedliwość.

*Dolores moja najmiłsza,
Szeptał w namiętym szale...*

Dzidzia dalej śpiewała cichutko. Do Casa Cuesta weszła kobieta, zachęcając do kupna losów, dających szansę wygrania piętnastu tysięcy na loterii i don Ibrahim kupił trzy dziesiąte części losu. Potem wezwał kelnera, żeby zapłacić rachunek, po pańsku poprosił o podanie kapelusza i laseczki, którą dostał od pięknej Marii, starając się podnieść z niejakim trudem, podczas gdy Żrebak, który wstał tak szybko, jakby właśnie usłyszał gong, zbierał z krzeselka Dzidzię, po czym obaj poprowadzili ją w kierunku drzwi. Banknot z wizerunkiem Hernana Cortesa zostawili na stole, jako

napiwek. Dzień był dziś przecież wyjątkowy. A jak zauważył Żrebak, tłumacząc z właściwą sobie pokorą tę rozrzutność, don Ibrahim to prawdziwy džentelmen.

Nowo przybyły wszedł do kościoła, a światło, które zostało w tyle, wycięte obrysem drzwi i odbite od płyt na progu, oślepiło Lorenzo Quarta. Zamrugał powiekami, a kiedy jego źrenice znowu przywykły do półmroku panującego wewnątrz, ksiądz Priamo Ferro już stał obok niego. Wtedy przekonał się, że sprawa wygląda gorzej, niż sobie wyobrażał.

– Nazywam się Quart – powiedział, wyciągając rękę w geście powitania. – Właśnie przyjechałem do Sewilli.

Ręka zawisała w powietrzu pod czarnym i przenikliwym spojrzeniem, które omiotło ją podejrziwie.

– Czego ksiądz szuka w moim kościele?

Zły początek, powiedział w duchu, powoli cofając rękę i przyglądając się człowiekowi, który stał przed nim. Był tak samo szorstki jak jego głos, drobny, suchy, o potarganych siwych, niedbale przystrzyżonych włosach, w wystrzępionej i pełnej plam sutannie, spod której wystawały stare buty, z pewnością nie czyszczone przez ostatnich pięć, sześć lat.

– Sądziłem, że warto się rozejrzeć – odparł spokojnie.

Najbardziej niepokojąca była twarz, poorana we wszystkich kierunkach zmarszczkami i drobnymi bliznami, które nadawały proboszczowi wygląd udręczony, twardy. Twarz ta przypominała lotnicze zdjęcia pustyni, na których widoczna jest erozja, szczeliny w skorupie ziemskiej, głębokie koryta wyschniętych rzek, jakie czas rzeźbi w ziemi i w skałach. Do tego oczy, ciemne, chłodne, osadzone na dnie głębokich oczodołów, patrzyły na świat z niewielką sympatią. Oczy te zmierzyły Quarta od góry do dołu, zatrzymując się na spinkach u mankietów koszuli, na kroju garnituru, wreszcie na jego twarzy. Nie sprawiały wrażenia zachwyconych tym, co widzą.

– Ksiądz nie ma prawa tu wchodzić.

Nie ma rady, zrozumiał Quart i spojrzał na Gris Marsalę z prośbą o pomoc, choć wiedział z góry, że będzie ona bezowocna: w tej rozmowie nie będzie miał prawa głosu.

– Ksiądz Quart pytał o księdza proboszcza.

Wzrok proboszcza nawet nie spoczął na architektce. Nadal utkwiony był w przybyszu.

– Po co?

Wysłannik z Rzymu uniósł lewą rękę pojednawczo i zauważył, że wzrok jego rozmówcy, nadal pełen dezaprobaty, przyciągnięty został błyskiem drogiego hamiltona na nadgarstku.

– Zbieram informacje o tym miejscu – miał już pewność, że pierwsze spotkanie nic nie da, postanowił jednak zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek. Przecież właśnie na tym polega jego praca. – Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli chwilę porozmawiać.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

Quart nabrał powietrza i powoli wypuszczał je z płuc. To będzie jak pokuta, potwierdzały się jego najgorsze obawy. Na dodatek obecność proboszcza przywołała widma przeszłości, do której wcale nie miał ochoty wracać. Wszystko to, czego nienawidził, nabrało kształtu i stało przed nim: nędzne położenie, licha sutanna, podejrzliwość wiejskiego księdza, nieprzejednanego i nieokrzesanego, jaki potrafi jedynie grozić karą piekieł, spowiadając dewotki, od których całkowitej ignorancji dzieliło go jedynie kilka lat zmarnowanych w seminarium i nieco łaciny. To będzie nieprzyjemna misja, pomyślał. Bardzo nieprzyjemna. Jeśli ten proboszcz to Nieszpory, takim przywitaniem doskonale się maskuje.

– Proszę wybaczyć – dodał nalegająco i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, żeby wyjąć kopertę opatrzoną w rogu tiarą i kluczami Piotrowymi – ale sądzę, że owszem, mamy o czym rozmawiać. Jestem specjalnym wysłannikiem Instytutu Spraw Zagranicznych i ten list, skierowany do księdza przez watykański Sekretariat Stanu, jest moją akredytacją.

Ksiądz Priamo Ferro wziął list do ręki i nie patrząc, przedał go na pół. Strzępy poszybowały na posadzkę.

– Guzik mnie obchodzą takie akredytacje.

Patrzył na Quarta z dołu, mały i wyzywający. Sześćdziesiąt cztery lata, mówił raport, który leżał na stole w pokoju hotelowym. Dwadzieścia parę jako wiejski ksiądz, dziesięć – jako proboszcz w Sewilli. Jego wygląd dobrze by się komponował z Brytanem na arenie Koloseum: bez trudu można było wyobrazić go sobie jako małego i niebezpiecznego gladiatora, z trójzębem w dłoni i siecią zarzuconą na ramię, jak zmusza przeciwnika do obrony, podczas gdy stłoczona publiczność domaga się krwi. W swojej karierze zawodowej Quart nauczył się odróżniać na pierwszy rzut oka człowieka, którego wśród tłumu lepiej się strzec. A ksiądz Ferro właśnie był takim ponurym klientem z kąta baru, pijącym w milczeniu, gdy inni wrzeszczą, aż do chwili, kiedy tłucze butelkę i tnie równo przeciwników. Nadawałby się też do roli mnicha brnącego przez jeziora Tenochtitlanu po pas w wodzie i z podniesionym krzyżem. Albo w czasie krucjat, wyrzynającego niewiernych i heretyków.

– Nie wiem, o co chodzi w tych sprawach zagranicznych – dodał proboszcz, nie odrywając wzroku od Quarta. – Moim zwierzchnikiem jest arcybiskup Sewilli.

Który najwyraźniej przygotował teren na przyjazd kłopotliwego wysłannika Rzymu. W każdym razie Quart nie stracił zimnej krwi. Ponownie włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazał róg koperty identycznej z tą, która leżała

pod stopami.

– Wkrótce go zobaczę.

Proboszcz skinął głową z miną pełną pogardy, nie wiadomo, czy wobec zamierzeń Quarta, czy też osoby arcybiskupa Corvo.

– A proszę go sobie oglądać – odrzekł bezczelnie. – Arcybiskupowi jestem winien posłuszeństwo i kiedy on każe mi z księdzem rozmawiać, wtedy to zrobię. Na razie niech ksiądz o mnie zapomni.

– Zostałem tu specjalnie przysłany z Rzymu. Ktoś stąd domagał się naszej interwencji. Sądzę, że ksiądz wie coś o tym.

– Ja się niczego nie domagałem. Rzym jest daleko stąd, a to jest mój kościół.

– Kościół księdza...

– Aha.

Quart czuł spojrzenie Gris Marsali, utkwione w nich, pełne oczekiwania. Wysunął podbródek, licząc w myślach do pięciu.

– Księżę Ferro, to nie jest kościół księdza, to jest nasz kościół.

Przez chwilę proboszcz nic nie mówił, przyglądał się kawałkom papieru na posadzce, a następnie odwrócił się lekko w bok, nie patrząc w żadnym konkretnym kierunku, z dziwnym wyrazem, ni to grymasem, ni uśmiechem, na twarzy poranej bruzdami i bliznami.

– Co do tego, też się ksiądz myli – powiedział na koniec, jakby to rozwiązywało całą sprawę, i ruszył wzdłuż rusztowań przez środek nawy, w kierunku zakrystii.

Rany Boskie! Wbrew sobie Quart zmusił się do ostatniej próby pojednania. Chciał mieć czyste sumienie, kiedy trzeba będzie rozliczać się ze swoich czynów. Zachowanie wobec tego księdza, pomyślał, opanowując wściekłość, też będzie mi policzone. Siedemdziesiąt razy siedem.

– Przyjechałem pomóc księdzu – powiedział do pleców proboszcza; po wypowiedzeniu tych słów poczuł ulgę, nie lękał się już jakiegokolwiek obrotu spraw. Tym zdaniem wypełniał obowiązek pokory i braterstwa duchownych. Od tej chwili to Priamo Ferro z powodu własnej pychy będzie jednym z tych, co zaznają gniewu Bożego.

Proboszcz zatrzymał się, aby przyklęknąć, przechodząc przed głównym ołtarzem, a Quart usłyszał krótki i nieprzyjemny śmiech, całkowicie pozbawiony wesołości.

– Pomóc? Mnie?! Nie wiem, w czym mógłby mi pomóc ktoś taki jak ksiądz – po raz ostatni spojrzął na niego, podnosząc się, a jego głos obudził echo w transepcie. – Dobrze znam ludzi pokroju księdza... Pomoc, jakiej ten kościół potrzebuje, jest zupełnie innego rodzaju i nie przywozi jej ksiądz w swoich pięknych kieszeniach. A teraz proszę odejść. Za dwadzieścia minut mam tu chrzciny.

Gris Marsala odprowadziła go do wyjścia. Quart musiał użyć całej swej dyscypliny i zimnej krwi, by nie okazać złości, nieuważnie słuchając prób wytłumaczenia zachowania proboszcza. Jest pod silną presją, wyjaśniała w formie usprawiedliwienia architektka. Politycy, banki i arcybiskupstwo krążą wokół niby stado wilków. Gdyby nie upór księdza Ferro, kościół już dawno byłby zburzony.

– Możliwe że i tak będzie zburzony – powiedział Quart, pozwalając sobie na okazanie niechęci. – Dzięki niemu i z nim w środku.

– Proszę tak nie mówić.

Miała rację. Nie powinien mówić takich rzeczy. Absolutnie nie powinien był tego mówić, żałował Quart, znów opanowany, kiedy wdychał zapach kwiatu pomarańczy już na ulicy. Murarz grzebał łopatą przy betoniarce, w kącie między fasadą a przyległym budynkiem. Quart spojrzał na niego przelotnie, kiedy przechodzili pomiędzy drzewkami pomarańczowymi na placu.

– Nie rozumiem takiego zachowania – powiedział. – Przecież ja jestem po jego stronie. Kościół jest po jego stronie.

Gris Marsala spojrzała na niego ironicznie.

– O jakim Kościele ksiądz mówi? O tym z Rzymu? O arcybiskupie Sewilli? O samym księdzu? – pokręciła głową, jakby z niedowierzaniem. – Nie. On ma rację i wie o tym. Po jego stronie nie ma nikogo.

– Wcale mnie to nie dziwi. Wydaje się, że sam sobie szuka kłopotów.

– Już dawno je znalazł. Jego spór z arcybiskupem to właściwie otwarta wojna... Z kolei burmistrz grozi mu pozwaniem do sądu: uważa za zniewagę określenia, których pod jego adresem użył don Príamo w niedzielnym kazaniu dwa tygodnie temu.

– A co takiego powiedział?

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Nazwał go nikczemnym spekulantem, przენiewiercą i politykiem bez sumienia – spojrzała spod oka, obserwując jego minę. – O ile dobrze pamiętam.

– Czy jego kazania są w tym stylu?

– Tylko wtedy, kiedy się bardzo podnieca – Gris Marsala zamilkła, zastanawiając się przez chwilę. – Ostatnio zdarza się to dość często. Mówi o przekupniach, którzy nachodzą świątynię, i o podobnych sprawach.

– O przekupniach... – powtórzył Quart.

– Tak, między innymi.

Ksiądz uniósł brwi w zastanowieniu.

– Nieźle – podsumował. – Widzę, że nasz proboszcz jest mistrzem w sztuce zjednywania sobie przyjaciół.

– Ma przyjaciół – zaprotestowała. Potem kopnęła kapsel od piwa i patrzyła, jak się toczy. – Ma również parafian: dobrych ludzi, którzy przychodzą się tu modlić i którym

jest potrzebny. I nie może ksiądz osądzać go za to, co przed chwilą zrobił.

W jej głosie dał się słyszeć ton pasji, który, nie wiadomo dlaczego, odmładzał ją. Quart zaprotestował ze złością.

– Nie jest moim zamiarem osądzać go – zaczął przyglądać się zniszczonej dzwonnicy kościoła, a tak naprawdę unikał wzroku kobiety. – Niech robią to inni.

– Jasne – stanęła przed nim, z rękami w kieszeniach dżinsów, i wcale mu się nie spodobał sposób, w jaki na niego patrzyła. – Ksiądz należy do tych, którzy piszą swój raport i umywają ręce, prawda? Ksiądz jedynie przyprawia człowieka przed pretora i to wszystko. A inni mówią *ibi ad crucem*.

Quart udał zaskoczenie.

– Nie podejrzewałem, że jest pani tak obeznana z Ewangelią.

– Obawiam się, że wielu rzeczy ksiądz nie podejrzewa.

Zakłopotany duchowny przeniósł cały ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Potem przeciągnął ręką po szpakowatych, krótko ściętych włosach. W odległości dwudziestu metrów murarz przy betoniarce wyprostował się i przyglądał się im teraz, oparty na łopacie. Był młodym chłopcem, ubranym w stary wojskowy mundur, ubrudzony wapnem.

– Moim jedynym zamiarem – powiedział Quart – jest zagwarantowanie bezstronności śledztwu.

Stojąca przed nim Gris Marsala zaprzeczyła głową.

– Nie – teraz jej jasne oczy przenikały go z serdecznością chirurgicznego skalpela. – Ksiądz Priamo ma rację. Przyjechał tu ksiądz po to, żeby zagwarantować czystość egzekucji.

– Tak powiedział?

– Tak, kiedy arcybiskupstwo uprzedziło nas o przyjeździe księdza.

Quart wyminął jej wzrok, spoglądając ponad ramieniem. Zobaczył okno, kratę z pelargoniami i nieruchomego kanarka w klatce.

– Ja tylko chcę pomóc – powiedział obojętnym tonem i jego głos wydał mu się nagle obcy. W tej samej chwili za jego plecami zabrzmiał kościelny dzwon, kanarek zaczął śpiewać, szczęśliwy, że ma akompaniament.

To będzie trudne zadanie.

III

Jedenaście barów Triany

*Musisz rąbać, rąbać, bez ustanku rąbać,
musisz ciąć bez litości, aż się przeredzą drzewa,
a las będzie można uznać za zdrowy.*
(Jean Anouilh, *Skowronek*)

Są psy, które świadczą o swoich panach, i samochody, które zapowiadają swoich właścicieli. Mercedes Pencho Gaviry był ciemny, lśniący, ogromny, a groźna, trzyramienna gwiazda wznosiła się nad chłodnicą niby celownik karabinu maszynowego umieszczony na dziobie. Jeszcze nie całkiem się zatrzymał, a już Celestino Peregil stał na skraju chodnika, otwierając drzwiczki, przez które miał wyjść jego szef. Przed La Campaną panował duży ruch, a spaliny brudziły łososiowy kołnierzyk koszuli gangstera, pomiędzy granatową dwurzędową marynarką i jedwabnym krawatem w czerwone, zielone i żółte kwiatki, który jarzył się na jego piersi jak wyzywający semafor. Podmuch z rur wydechowych poruszył jego włosy, proste i rzadkie, niszcząc konstrukcję maskującą z włosów znad lewego ucha, którą precyzyjnie tworzył każdego ranka przy użyciu dużej ilości żelu.

– Znów ci poleciały włosy – powiedział Gavira złośliwie, patrząc na zniszczoną konstrukcję. Wiedział, że nic nie sprawia większej przykrości jego ochroniarzowi i asystentowi, jak takie uwagi; bankier uważał jednak, że stałe stosowanie tego rodzaju bodźców rozwija cnotę czujności wśród stworzeń w jego zagrodzie. Poza tym Gavira był twardym człowiekiem, autorem swojego sukcesu, i w jego naturze leżał ten typ ćwiczeń w sztuce chrześcijańskiego miłosierdzia.

Pomimo dużego ruchu i zanieczyszczenia zapowiadał się piękny dzień. Gavira krótko przyjrzał się panoramie z wysokości krawężnika, poprawiając mankiety koszuli, uszytej przez najlepszego koszularza w Sewilli, tak by nieco wystawały spod marynarki, dokładnie na tyle, żeby odbić majowe słońce w szczerzłotyach spinkach, ciężko zwisających na podwójnym zawinięciu blad różowego jedwabiu. Wyglądał jak model z żurnala dla panów w oczekiwaniu na fotografa, kiedy poprawiał węzeł krawata i tą samą dłonią przejechał po skroni, aby przygładzić gęste, czarne włosy, lekko falujące za uszami, zaczesane do tyłu za pomocą lśniącej brylantyny. Pencho Gavira był śniady, przystojny, ambitny, elegancki, zwycięski, miał pieniądze i wkrótce miał ich mieć jeszcze więcej. Z tych siedmiu przymiotników i określeń cztery czy pięć były w całości wynikiem jego własnego wysiłku i to stanowiło powód jego dumy i nadziei. Na tym też opierało się pewne siebie i zadowolone spojrzenie, jakim potoczył wokół, kiedy ruszył w kierunku skrzyżowania z ulicą Sierpes, a zaraz za nim Peregil, idący ze spuszczoną głową niby skruszony goryl.

Don Octavio Machuca siedział przy swoim ulubionym stoliku w cukierni La Campana, przeglądając papiery, które podsuwał mu Cánovas, jego sekretarz. Już od kilku lat prezes Banku Kartuskiego zamienił zwyczaj spędzania poranków w swoim biurze przy ulicy Arenal, urządzonej w szlachetnych gatunkach drewna, z obrazami na ścianach, na stolik i cztery krzeselka w kawiarnianym ogródku, w tętniącym życiem sercu miasta. Tutaj czytywał dziennik „ABC” i patrzył, jak płynie życie, załatwiając interesy od śniadania do pory aperitifów przed obiadem, jadanym w ulubionej restauracji Casa Robles. Właściwie już nie pojawiał się w banku przed czwartą po południu, a jego pracownicy i klienci nie mieli innego wyjścia jak przychodzić do La Campana, jeśli chcieli załatwić pilniejsze sprawy. To dotyczyło również Gaviry, który jako wiceprezes i dyrektor naczelny niemal codziennie musiał odbywać tę kłopotliwą wyprawę.

To zapewne było powodem, że jego zwycięskie spojrzenie zachodziło cieniem, w miarę jak zbliżał się do stolika, gdzie człowiek, któremu zawdzięczał swoją teraźniejszość i miał zawdzięczać przyszłość, siedział przy kawie z mleczkiem i kruchym maślanym ciastku. Cień ów pogłębił się jeszcze wyraźniej, kiedy Gavira nieopatrznie zerknął w lewo i przy okazji dostrzegł okładkę „Q+S”, wystawioną na centralnym miejscu, między gazetami i czasopismami w kiosku z prasą. To był moment i finansista, czując na karku spojrzenie Peregila, kroczył dalej jakby nigdy nic. Ale ciemna chmura opanowywała jego myśli, a niepohamowana wściekłość ścisnęła go w brzuchu, sprężystym dzięki godzinie spędzanej każdego dnia w siłowni i w saunie. Tygodnik ten od dwóch dni leżał na biurku w jego gabinecie przy ulicy Arenal i Gavira znał tak dokładnie, jakby sam je zrobił, każde ze zdjęć składających się na reportaż sygnalizowany na okładce i zamieszczony w środku numeru: były to

fotografie, niewyraźne z powodu grubego ziarna i teleobiektywu, na których dawała się rozpoznać jego żona, Macarena Bruner de Lebrija, dziedziczka tytułu księżnej del Nuevo Extremo i sukcesorka jednej z trzech rodzin o najlepszym rodowodzie wśród hiszpańskiej arystokracji – obok rodów Alba i Medina-Sidonia – jak wychodzi z hotelu Alfonso XIII o czwartej rano w towarzystwie torreadora Curro Maestrala.

– Spóźniłeś się – zauważył staruszek.

Nie była to prawda, a Pencho Gavira wiedział o tym bez patrzenia na swój kosztowny zegarek, który nosił na lewym nadgarstku. Utrzymywanie przeciwnika w napięciu za pomocą stałego i dyskretnego dręczenia to manewr, którego nauczył się właśnie od don Octavio Machuki: powodował u podwładnych zdrową niepewność, zapobiegając spoczywaniu na laurach. Peregil z przedziałkiem nad uchem i ze swoimi lepiej lub gorzej skrywanymi wadami, był jego ulubionym królikiem doświadczalnym.

– Nie lubię, jak ktoś się spóźnia – powtórzył Machuca głośno, jakby mówił o tym kelnerowi w pasiastej kamizelce, który oczekiwał na polecenia, stojąc w pobliżu stolika z mosiężną tacą, śledząc każdy jego ruch. Codziennie ten sam stolik obok wejścia do lokalu był zarezerwowany dla niego.

Gavira skinął głową, godząc się z sensem tych słów. Następnie zamówił u kelnera piwo, rozpiął guzik u marynarki i zasiadł na wiklinowym fotelu, jaki wskazał mu prezes Banku Kartuskiego. Peregil kilkakrotnie usłużnie uklonił się i odszedł do innego stolika, gdzie siedział już Cánovas, sekretarz starego bankiera, składając papiery do teczki z czarnej skóry. Sekretarz był osobnikiem chudym, szczirowatym, ojcem dziewięciorga dzieci, człowiekiem o nieposzlakowanej moralności, który pracował dla bankiera od czasów, kiedy ten jeszcze przemycił z Gibraltaru papierosy i perfumy. Nikt nie pamiętał, żeby choć raz się uśmiechnął, może dlatego, że poczucie humoru Cánovasa spoczywało starannie ukryte pod kolejnymi aktami urodzenia licznej dziatwy. W każdym razie Gavira nie lubił sekretarza i snuł sekretne plany dotyczące jego przyszłości: natychmiastowe zwolnienie, gdy tylko staruszek wreszcie postanowi zlikwidować swoje biuro na ulicy Arenal, w którym zresztą już prawie nie bywał.

Patrząc bez słowa, podobnie jak jego szef, na poruszających się ludzi i samochody, Gavira poczekał, aż kelner przyniesie mu piwo. Wypił łyk, pochylony do przodu, starając się, żeby ani kropla piany nie spadła na nieskazitelne kanty spodni, po czym otarł usta serwetką i z powrotem rozparł się w fotelu.

– Mamy burmistrza – powiedział wreszcie.

Na twarzy Octavio Machuki nie poruszył się ani jeden mięsień. Patrzył przed siebie na plakat Klubu Betis (1935), który zdobił bielą i zielenią balkon na drugim piętrze domu po przeciwnej stronie ulicy, obok gmachu w stylu nowoarabskim Banku Zachodniego. Gavira przyglądał się dłoniom starego finansisty, kościstym i wąskim

jak szpony, upstrzonym starczymi plamami. Machuca był bardzo chudy i wysoki, miał wielki nos, zza którego dwoje oczu – zawsze podkrążonych z powodu chronicznej bezsenności – patrzyło badawczo z wyrazem przypominającym wzrok drapieżnego ptaka, jaki poluje zawsze, pod każdym niebem, aż do przesytu. Mijające lata nie odbiły się w jego oczach tolerancją ani współczuciem, a jedynie zmęczeniem. Był w młodości nurkiem i przemytnikiem, lichwiarzem w Jerez, a zanim doszedł do czterdziestki, został bankierem w Sewilli, założycielem Banku Kartuskiego, teraz zaś zamierzał przejść na emeryturę. Obecnie jego jedynym znanym pragnieniem była możliwość codziennego śniadania na ulicy Sierpes, naprzeciwko Klubu Betis i siedziby byłej bankowej konkurencji, którą Bank Kartuski właśnie włączył do swojego imperium, po starannym doprowadzeniu, krok za krokiem, do jego ruiny.

– Najwyższy czas – powiedział Machuca.

Nadal patrzył na drugą stronę ulicy i Gavira nie wiedział, czy mówi o Banku Zachodnim, czy o sprawie burmistrza.

– Wczoraj byliśmy razem na kolacji – dorzucił dla upewnienia się, obserwując kątem oka profil staruszka. – A dziś rano długo i serdecznie rozmawialiśmy przez telefon.

– Ty i twój burmistrz – mruknął Machuca, jakby starał się sobie przypomnieć ledwo znaną twarz. Każdy wziąłby to za objaw starości, ale Pencho Gavira znał prezesa zbyt dobrze, żeby wyciągać pochopne wnioski.

– Tak – gorliwie potwierdził, czujny i uważny na każdy odcień, takie zachowanie pomogło mu zostać tym, kim był. – Zgadza się przekwalifikować teren i zaraz potem nam go sprzeda.

W jego głosie nie było triumfu, choć miałby prawo się tam pojawić. Takie były niepisane zasady w świecie, w którym obaj żyli.

– Będzie z tego skandal – zauważył stary bankier.

– Jest mu wszystko jedno. Za miesiąc kończy się jego kadencja i wie, że nie zostanie wybrany ponownie.

– A prasa?

– Prasę można kupić, don Octavio – Gavira udał ruch przekładania stron gazety ręką. – Albo dać jej lepszy kąsek.

Machuca pokiwał głową z namysłem. Właśnie Cánovas schował do teczki uzyskane przez Gavirę sensacyjne dokumenty o nieprawidłowościach w rozdziale zasiłków dla bezrobotnych wydawanych przez rząd Andaluzji. Plan polegał na równoczesnym opublikowaniu ich w całej prasie, aby działały jako tło.

– Ponieważ rada miejska się nie sprzeciwia – dodał – a Radę Dziedzictwa Kulturowego mamy w kieszeni, pozostaje tylko zająć się rozwiązaniem strony kościelnej problemu – przerwał, oczekując komentarza, ale staruszek zachował

milczenie. – Co do arcybiskupa...

Zamilkł w pół zdania, pozostawiając rozmówcy następny ruch. Potrzebował sygnału, współnictwa, znaku wolnej drogi.

– Arcybiskup chce swoją część – w końcu odezwał się Machuca. – Bogu co boskie, rozumiesz.

Gavira przytaknął ostrożnie:

– Naturalnie.

Teraz z kolei stary bankier zaczął mu się przyglądać.

– No to daj mu to, i amen.

Nie było to takie proste i obaj o tym wiedzieli. Stary łajdak.

– Jesteśmy zgodni, don Octavio – zakończył Gavira.

– No to nie ma o czym mówić.

Machuca mieszał łyżeczką kawę z mlekiem, znów przypatrując się plakatowi Klubu Betis. Przy innym stoliku, nie słysząc ich rozmowy, sekretarz i Peregil popatrywali na siebie nieprzyjaźnie. Gavira starannie dobierał ton i słowa:

– Z całym szacunkiem, don Octavio, ale jest o czym mówić. Dysponujemy najlepszym projektem urbanistycznym, jaki widziała Sewilla od czasów Wystawy Uniwersalnej w 1992: trzy tysiące metrów kwadratowych w samym sercu dzielnicy Santa Cruz. I związany z tym zakup Puerto Targa przez Saudyjczyków. W grę wchodzi od stu osiemdziesięciu do dwustu milionów dolarów. Ale niech pan pozwoli, żebym mógł, ile tylko się da, zaoszczędzić – nadpił nieco piwa, żeby echo słowa zaoszczędzić wybrzmiało do końca. – Nie chcę płacić dziesięć za coś, co mogę dostać za pięć. A arcybiskup zażądał księżycowej sumy.

– W każdym razie trzeba będzie wynagrodzić arcybiskupowi Corvo ten drobny gest umywania rąk. – Machuca zmarszczył nieco skórę powiek w grymasie, który nawet z daleka trudno byłoby skojarzyć z uśmiechem. – Czy, jakbyś ty to nazwał, ułatwienie techniczne. Nie co dzień arcybiskup sekularyzuje taki teren jak ten, wyrzuca proboszcza i burzy kościół, prawda? – Podniósł kościstą dłoń, żeby wyliczyć to wszystko, ale upuścił ją na stół w geście pełnym zmęczenia. – To się nazywa koronkowa robota.

– Wiem doskonale. Kosztowało mnie to sporo zachodu, jeśli wolno zauważyć.

– I dlatego jesteś tu, gdzie jesteś. A teraz daj arcybiskupowi rekompensatę, o jakiej wspomniał, i zamknij tę część sprawy. Przecież pieniądze, którymi obracasz, są moje.

– I innych akcjonariuszy, don Octavio. Ta sprawa należy do mnie. Tym, czego się od pana nauczyłem, jest staranne wywiązywanie się ze zobowiązań.

Bankier wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. To twoja operacja.

Była jego na dobre i na złe. Zabrzmiało to jak przypomnienie, ale stanowczo niewystarczające, żeby popsuć nastrój Pencho Gavirze.

– Wszystko pod kontrolą – potwierdził.

Stary Machuca był ostry jak brzytwa. Gavira wiedział o tym doskonale, patrzył, jak jego drapieżny wzrok przesuwają się z klubowego plakatu na fasadę Banku Zachodniego. Operacja dotycząca Santa Cruz i Puerto Targa była czymś więcej niż tylko dobrym interesem: dla Gaviry stawką w niej była sukcesja po Machuce na stanowisku prezesa banku lub blamaż przed radą nadzorczą, złożoną z przedstawicieli starych, bogatych rodzin sewilskich, niezbyt chętnych wobec młodych, ambitnych adwokatów, w dodatku parweniuszy. Poczul pod złotą bransoletką roleksa, że jego tętno jest o pięć uderzeń za szybkie.

– A jak tam proboszcz? – spojrzenie staruszka znów zwróciło się ku niemu, z błyskiem zainteresowania pod pozorem obojętności. – Mówią, że arcybiskup nadal nie jest pewny, czy ten zechce współpracować.

– Może tak być – Gavira uśmiechał się, by rozwiać wszelkie wątpliwości. – Ale podjęliśmy środki, żeby i ten problem rozwiązać – spojrzał na drugi stół, na Peregila, i przerwał niepewnie; zrozumiał, że trzeba dodać jakiś argument... – To tylko uparty staruch.

Popenił błąd z nieuwagi i zrozumiał to natychmiast. Z wyraźną przyjemnością Machuca wykorzystał potknięcie.

– To niepodobne do ciebie – patrzył mu w oczy jak doświadczona żmija, budząc strach. Gavira poczul w nadgarstku o kolejnych przynajmniej dziesięć uderzeń za dużo. – Ja też jestem stary, Pencho. I wiesz lepiej niż inni, że mam jeszcze dość mocne zęby, żeby ugryźć... Niebezpiecznie jest o tym zapomnieć, prawda? – powieki drapieżnika znów się zmarszczyły. – Teraz, kiedy jesteś tak blisko mety.

– Nie zapominam – trudno jest przełknąć ślinę w ten sposób, aby rozmówca tego nie zauważył, lecz Gavirze udało się to dwukrotnie. – A jeśli chodzi o proboszcza, między panem i nim nie ma żadnego porównania.

Bankier kiwał głową z potępieniem.

– Widzę, że jesteś w kiepskiej formie, Pencho. Uciekasz się do pochlebstw...

– Nie zna mnie pan.

– Nie gadaj głupstw. Znam cię bardzo dobrze i dlatego zaszedłeś tak daleko. A wkrótce możesz zejść dalej.

– Zawsze jestem szczerzy, nawet kiedy się to panu nie podoba.

– Mylisz się. Zawsze cenię twoją szczerą, starannie obliczoną, jak wszystko inne, twoją ambicję i cierpliwość... – bankier zajrzał do filiżanki, jakby chciał tam znaleźć dalsze szczegóły dotyczące charakteru Gaviry. – A co do porównań, może i masz rację, że ten ksiądz i ja nie mamy nic wspólnego, poza przeżyтыми latami. Nie wiem, bo go

nie znam. Ale dam ci dobrą radę, Pencho. Cenisz moje rady, prawda?

– Dobrze pan wie, don Octavio, że tak.

– Cieszę się, bo to będzie jedna z lepszych rad. Nigdy nie ufaj starcowi, który przywiązał się do jakiegoś pomysłu. Bardzo rzadko się zdarza dożyć starości i mieć ochotę walczyć o jakąś ideę, więc ci nieliczni, należący do tego rodzaju, niełatwo dają się pokonać – zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. – Poza tym sprawy się nieco skomplikowały, prawda? Ten ksiądz z Rzymu i reszta.

Westchnienie Gaviry zabrzmiało szczerze.

– Jest pan dobrze poinformowany, don Octavio.

Machuca wymienił spojrzenie ze swoim sekretarzem, nadal siedzącym przy innym stoliku, nieruchomo naprzeciwko Peregila, z czarną skórzaną teczką na kolanach i z miną szczura grającego w pokera. Niemy i ślepy, aż do następnego rozkazu. Peregil natomiast poruszał się niespokojnie i ukradkiem rzucał nerwowe spojrzenia w kierunku Gaviry. Bliskość don Octavia Machuki, jego rozmowa z bezpośrednim szefem i niewzruszona obecność Cánovasa onieśmiały go.

– To jest moje miasto, Pencho – powiedział Machuca. – Nie wiem, dlaczego cię to dziwi.

Gavira wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. Prezes nie palił i tylko jemu pozwalał palić w swojej obecności.

– Niech pan będzie spokojny – powiedział, zaciągając się. – Wszystko jest pod kontrolą. – Wypuścił dym już wolniej. – Nie będzie niespodzianek.

– Nie jestem niespokojny – bankier ruszał głową, patrząc z roztargnieniem na przechodniów. – Powtarzam, że to jest twoja operacja, Pencho. Ja odchodzę w październiku. Czy ci się uda, czy nie, w niczym to nie zmieni mojego życia. Ale może zmienić twoje.

Tymi słowami staruszek uznał sprawę za zamkniętą. Dopił resztkę kawy z mlekiem i znów zwrócił się do Gaviry.

– Swoją drogą, co ci wiadomo o Macarenie?

To był cios poniżej pasa. Bardzo paskudny. I było oczywiste, że zachował go sobie na koniec. Jeśli gdzieś czaiła się niespodzianka, to właśnie tu. Gavira spojrział na kiosk z gazetami i poczuł, jak wściekłość pali mu żołądek. Ten zbieg okoliczności też był bardzo nie na miejscu: zaraz po tym jak zlecił Peregilowi dyskretne śledzenie każdego kroku żony, dziennikarze z „Q+S” wypatrzyli, jak się prowadzi z tym torreadorem i gazeta pękała od zdjęć. Cholerny pech i przeklęta Sewilla.

Było dokładnie jedenaście barów na trzystumetrowym odcinku dzielącym Casa Cuesta od mostu Triany. Średnio co dwadzieścia siedem metrów i dwadzieścia siedem centymetrów, policzył w pamięci don Ibrahim, bardziej oswojony z księgami i

liczbami. Każde z trójki przyjaciół mogło wyrecytować ich spis od początku do końca, od końca do początku lub według alfabety. La Trianera, Casa Manolo, La Marinera, Dulcinea, Taberna Altozano, Dos Hermanas, La Cinta, La Ibense, Los Parientes, Bar Angeles, a na końcu kiosk Las Flores, już prawie na brzegu rzeki, przy figurze Matki Boskiej od Nadziei i niedaleko brązowej statuy torreadora Juana Belmonte. Zatrzymali się w każdym z nich po kolei i omawiali strategię, a teraz przechodzili przez most w stanie łaski, wstydliwie unikając patrzenia w lewo, w kierunku nieszczęsnych budowli na wyspie Cartuja i ciesząc oczy pejzażem po prawej, gdzie leżała Sewilla taka, jaką była zawsze – piękna królowa arabska, z palmami wzdłuż nabrzeża, ze Złotą Wieżą, Arenalem i Giraldą. I niemal o rzut kamieniem, nad brzegiem Gwadalkiwiru, znajduje się arena do walki z bykami, Maestranza, katedra Wszechświata, gdzie ludzie modlą się do wspaniałych, dzielnych mężczyzn, o których Dzidzia Dolores śpiewa w swoich piosenkach.

Szli chodnikiem mostu, wzdłuż stalowej bariery, ramię przy ramieniu, jak w starych filmach amerykańskich, Dzidzia Dolores w środku, a oni dwaj, don Ibrahim i Żrebak Fernando osłaniają ją niby szlachetni rycerze. W niebiesko-beżowo-białym blasku poranka nad rzeką, kiedy tak szli kołysani delikatną mgłą wytrawnego jerezu La Ina, cudownie kojącą ich dusze, pobrzmiwała andaluzyjska gitara, którą tylko oni słyszeli. Muzyka wyobrażona, a może i prawdziwa, która nadawała krokowi – krótkiemu i pospiesznemu, formie, w jakiej pozostawiali za plecami dobrze sobie znaną Trianę i zanurzali się w mieście po drugiej stronie Gwadalkiwiru – pewność i zdecydowanie właściwe spacerkowi między słońcem a cieniem o piątej po południu. Don Ibrahim, Żrebak i Dzidzia mieli wkroczyć do akcji, szukać szczęścia na wrogim terenie, porzuciwszy bezpieczeństwo dobrze sobie znanych terenów łowieckich. I w sposób nieunikniony były mecenas, o ile dobrze pamiętali, uniósł z głowy kapelusz panama – poprzednio zdjęty po to, by spoliczkować Jorge Negrete, który zapytał, czy to prawda, że w Hiszpanii już nie ma prawdziwych mężczyzn – i uroczyście zacytował niejakiego Wergiliusza. A może Horacego. W każdym razie jakiegoś klasyka.

*I niby wilki, które głód przemożny
W czarną mgłę wygnał ślepe, tak też my – pomiędzy wrogów
Idziemy w środek miasta...**

Czy coś takiego. Słońce połyskiwało w spokojnej wodzie rzeki. Pod mostem młoda dziewczyna z długimi ciemnymi włosami wiosłowała w kajaku czy pirodze, równy kilwater przecinał blask od brzegu do brzegu. Przechodząc przed Matką Boską od Nadziei, Dzidzia Dolores przeżegnała się pod agnostycznym, ale rozważnym

* Publiusz Wergiliusz Maro, *Eneida*, Księga II, przekład Z. Kubiak, PIW, 1987.

spojrzeniem don Ibrahima, który z szacunkiem wyjął z ust cygaro. Natomiast Żrebak Fernando przeżegnał się szybko i ukradkowo, ze spuszczoną głową, tak samo jak wówczas, gdy słuchał głosu trąbki, stojąc na arenach trzeciej kategorii, w strachu, pośród bzyczenia much, lub jak wtedy, gdy gong zmuszał go do oderwania pleców od lin narożnika i wyjścia na środek ringu mimo widoku kropel własnej krwi na deskach. Ale w tym przypadku uszanowanie nie było skierowane do Matki Boskiej, ale ku brązowej figurze w pelerynie i w berecie, przedstawiającej słynnego torreadora Juana Belmonte.

– Powinieneś był lepiej dbać o swoją żonę.

Stary Machuca skinął lekko głową, przyglądając się ludziom przechodzącym obok stolika w La Campanie. Z kieszeni wyjął batystową białą chustkę z inicjałami wyhaftowanymi niebieską nitką i dotknął nią czubka nosa. Pencho Gavira przyjrzał się starczym plamom na rękach, przywodzącym na myśl szpony. Wszystko w starcu przypominało drapieżnego ptaka. Starego, nieruchomego, złośliwego orła, czujnie patrzącego na świat.

– Kobiety są skomplikowane, don Octavio. Zwłaszcza pańska wychowanka.

Bankier pedantycznie złożył chustkę. Wydawało się, że zastanawia się nad tym, potem powoli przytaknął.

– Macarena – powiedział, jakby to imię wyjaśniało wszystko. Tym razem Gavira przytaknął.

Przyjaźń Octavio Machuki z książętami del Nuevo Extremo trwała od czterdziestu lat. Bank Kartuski finansował, niemal zawsze do tego dokładając, przeróżne fatalne interesy, w jakich zmarły Rafael Guardiola y Fernández-Garvey, księżę małżonek i ojciec Macareny, roztrwonił pozostałości rodzinnego majątku. Później, gdy ostateczna ruina, która zagroziła rodzinie po śmierci księcia – wskutek anginy złapanej podczas nocnej hulanki w samej bieliźnie z Cyganami, zakończonej o czwartej nad ranem – stary Machuca osobiście spłacił wierzycieli i sprzedał nieliczne nieruchomości, które nie były zastawione, a uzyskaną gotówkę złożył w banku na bardzo wysoki procent. W ten sposób udało się wdowie i jej córce zatrzymać rezydencję, Dom z Okiennicami, i uzyskać godziwą rentę z procentów, pozwalającą księżnej wdowie, Cruz Bruner, pędzić życie bez zbytniego luksusu, ale w warunkach odpowiadających jej nazwisku. W towarzystwie sewilskim, gdzie wszyscy się znali, wielu twierdziło, że wspomniana renta w ogóle nie istnieje, a pieniądze pochodzą bezpośrednio z osobistych funduszy Octavia Machuki. Istniało również podejrzenie, że bankier w ten sposób honorował związek nieco więcej niż przyjacielski, jaki rozpoczął się jeszcze za życia zmarłego księcia. Mawiano nawet, patrząc na Macarenę, że niektóre wychowanki są kochane tak bardzo, jakby były własnymi córkami; nikt jednak nigdy nie przedstawił żadnych

dowodów, ani nie miał dość odwagi, by wprost spytać o to starca. Natomiast Cánovas, który prowadził sprawy papierkowe, osobiste rachunki bankiera i znał jego tajemnice, był równie rozmowny jak głaz.

– Ten torreador... – powiedział Machuca po chwili. – Maestral, prawda?

Gavira poczuł w ustach gorzki smak. Wypił długi łyk, ale to niewiele pomogło. Odstawił szklankę na stolik i przyglądał się kropli, która jednak spadła na kant spodni. Dźwięczne, soczyste przekleństwo pojawiło się w okolicach ust niczym pokusa.

Starzec nadal patrzył na przechodniów, jakby szukał w tłumie znajomej twarzy. Kiedyś w katedrze trzymał Macarenę Bruner do chrztu i on również, w tej samej katedrze, prowadził ją pod ramię do ołtarza, gdzie czekał Pencho Gavira. Było to małżeństwo, w którym złe języki sewilskie widziały dzieło starego bankiera, ponieważ jego wychowawcy dawało gwarancje dostatku i pewnej przyszłości, natomiast dla protegowanego, wówczas młodego i ambitnego adwokata, pnącego się w błyskawicznym tempie w hierarchii Banku Kartuskiego, stanowiło oparcie towarzyskie.

– Coś trzeba z tym zrobić – dodał Machuca po namyśle.

Pomimo poczucia upokorzenia i wstydu Gavira roześmiał się:

– Chyba nie chce pan, żebym zastrzelił torreadora.

– Pewnie, że nie... – bankier zwrócił się ku niemu z przesadnie zaciekawionym wyrazem przebiegłych oczu. – Byłbyś zdolny zastrzelić kochanka swojej żony?

– Faktycznie mojej byłej żony, don Octavio.

– To ona tak mówi.

Gavira roztarł palcem plamkę wilgoci na kancie spodni. Pewnie, że był zdolny. Obydwaj to wiedzieli. Ale nie zamierzał tego robić.

– Niewiele by to zmieniło – powiedział.

W pewnym sensie taka była prawda. Od chwili, kiedy wróciła do Domu z Okiennicami, przed torreadorem w jej życiu pojawił się jeszcze bankier z konkurencji i znany producent win z Jerezu. Trzeba by wielu kul, gdyby uciekać się do tej metody. Ale Sewilla to nie Palermo. Poza tym Gavira również pocieszał się w ostatnich tygodniach towarzystwem znanej sewilskiej modelki, wyspecjalizowanej w prezentowaniu bielizny. Tak więc stary Machuca zgodził się powolnym, podwójnym skinieniem głowy. Są inne sposoby.

– Znam kilku organizatorów corridy – Gavira uśmiechał się, opanowany i groźny.

– A pan kilku menedżerów aren... Maestral może mieć spore problemy w przyszłym sezonie.

Powieki jak u drapieznika lekko zmarszczyły się na oczach prezesa Banku Kartuskiego. Był to prawie uśmiech.

– Szkoda – powiedział z ubolewaniem staruszek. – Słyszałem, że to niezły torreador.

– Bardzo ładny – dodał Gavira z urazą. – Zawsze może zrobić karierę w serialach.

Spojrzał w kierunku kiosku z gazetami i czarna chmura, która zaciemniła mu poranek, znów się pojawiła na horyzoncie. Problemem nie był Curro Maestral. Było coś ważniejszego niż okładka „Q+S”, na której towarzyszył Macarenie Bruner, oboje słabo widoczni z powodu złego światła i użycia teleobiektywu przez fotografa. Stawką w tej sprawie nie był małżeński honor Gaviry, ale jego pozycja w Banku Kartuskim i sukcesja po starym Machuce na stanowisku prezesa rady nadzorczej. Kwestia kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Płaczącej była w zasadzie rozwiązana, poza jednym szczegółem: istniał pewien dawny przywilej, nadany rodzinie w 1687 roku, określający liczne warunki, których niewypełnienie powodowałoby zwrot rodzinie Bruner terenu przeznaczonego na kościół. Natomiast późniejsze prawo, zatwierdzone w XIX wieku w wyniku ustaw dezamortyzacyjnych własności kościelnej ministra Mendizabala, stanowiło, że w przypadku sekularyzacji własność terenu przechodzi na rzecz władz miejskich Sewilli. Sprawa była złożona z prawnego punktu widzenia i jeśli księżna i jej córka oddałyby sprawę do sądu, projekt zostałby sparaliżowany na jakiś czas. Przedsięwzięcie było jednak zaawansowane i zbyt dużo inwestycji i zobowiązań zostało już podjętych, tak więc porażka zmusiłaby Octavio Machucę do dyskredytowania delfina przed radą nadzorczą – w której Gavira miał wiernych i groźnych przeciwników – w momencie, gdy młody wiceprezes miał przejąć władzę absolutną. To znaczyłoby oddanie jego głowy pod topór. Ale, jak wiedziały magazyn „Q+S”, pół Andaluzji i cała Sewilla, głowa Pencha Gaviry nie była rzeczą, na której specjalnie zależałoby ostatnio Macarenie Bruner.

Po wyjściu z hotelu Doña María Lorenzo Quart zamiast przejść po prostu tych trzydzieści metrów, jakie dzieliły go od drzwi Arcybiskupstwa, ruszył na środek placu Virgen de los Reyes i zatrzymał się na chwilę, żeby obejrzeć panoramę. Było to miejsce spotkania trzech religii: za plecami miał starą dzielnicę żydowską, klasztor Encarnación z jednej strony, Pałac Arcybiskupi z drugiej, a w głębi, obok dawnego meczetu arabskiego, stał minaret przemieniony w dzwonnice chrześcijańskiej katedry – Giralda. Stały tam konne dorożki, sprzedawcy pocztówek, Cyganki z puszczalkami zebrzące na mleko dla dzieci i turyści patrzący w górę, zadziwieni, czekający w kolejce, żeby wejść na wieżę. Młoda cudzoziemka z północnoamerykańskim akcentem odeszła od grupy i zadała Quartowi jakieś banalne pytanie o miejsce w pobliżu placu – był to najwyraźniej pretekst, żeby przyjrzeć się jego opalonej, spokojnej twarzy, kontrastującej z krótkimi szpakowatymi włosami i czarno-białym kołnierzykiem. Quart udzielił zdawkowej, uprzejmej odpowiedzi, zniechęcając dziewczynę, która

wróciła do swoich koleżanek – chóru powstrzymywanych śmiechów, szeptów i ukradkowych spojrzeń. Udało mu się usłyszeć słowa *he's gorgeous*, znaczy – jest fantastyczny. Z pewnością scena ta wzbudziłaby wesołość arcybiskupa Spady. Wspomnienie dyrektora ISZ-u i jego technicznych porad w trakcie spaceru w górę po Hiszpańskich Schodach podczas ich ostatniego spotkania w Rzymie wywołało uśmiech na jego twarzy. Potem, nadal się uśmiechając, przyjrzał się Giraldzie, od dołu aż po kurek na szczycie, od którego pochodzi nazwa wieży. Podniósł do nieba szaroniebieskie oczy niczym zapalony turysta, trzymając ręce w kieszeniach czarnego garnituru skrojonego na miarę przez znakomitego rzymskiego krawca, cenionego nie mniej niż Cavalleggeri i Synowie. Hiszpanię, południe, starą kulturę Europy śródziemnomorskiej można było smakować najlepiej w miejscach takich jak to. Sewilla to wynik nakładania się historii, niemożliwy do wyjaśnienia związek elementów, które wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby występowały oddzielnie. Różaniec paciorków czasu, krwi i modlitw w rozmaitych językach pod tym samym błękitnym niebem i mądrym słońcem, zrównującymi wszystko w upływie wieków. Mówiłyby o tym kamienie, które wiele przeżyły, gdyby zapomnieć na chwilę o kamerach wideo, pocztówkach, autokarach pełnych turystów i bezczelnych dziewczątek, gdyby przyłożyć do muru ucho i słuchać.

Brakowało pół godziny do spotkania w Arcybiskupstwie, poszedł więc na kawę ulicą Mateos Gago do piwiarni La Giralda. Miał ochotę usiąść w pobliżu baru i cieszyć się widokiem podłogi w czarno-białą szachownicę, typowych kafelków i wiszących na ścianach rycin przedstawiających starą Sewillę. Wyjął z kieszeni *Pochwałę sztuki wojennej templariuszy* Bernarda z Clairvaux, żeby przeczytać parę przypadkowych stron. Był to bardzo stary egzemplarz formatu octavo, którego lekturze oddawał się na przemian z jutrznią, godziną czytań, nieszporama i kompleta z brewiarza; zwyczaju tego przestrzegał ściśle, ze skrupulatną dyscypliną, która nie brała się z pobożności, ale z dumy. Często, podczas licznych godzin spędzanych w hotelach, kawiarniach i na lotniskach, między spotkaniami i podróżami służbowymi, średniowieczne kazanie, jakie przez dwieście lat było duchowym przewodnikiem dla żołnierzy zakonnych, walczących w Ziemi Świętej, pomagało mu znosić samotność jego służby. Czasem dawał się ponieść temu stanowi ducha, jaki lektura ta w nim budziła, i widział siebie jako ostatniego żołnierza, który przeżył porażkę pod Hittinem, przeklętą Wieżę w Akrze, kazamaty Chinon i stosy paryskie, bardzo zmęczony, samotny templariusz, którego wszyscy przyjaciele odeszli już z tego świata.

Przeczytał kilka linijek, które właściwie mógłby już recytować z pamięci: *Włosy strzygą krótko, cuchną kurzem poplamieni od rzędów i skwaru, chodzą w kolczugach, które ich chronią...** – podniósł twarz i popatrzył na rozświetloną ulicę,

* Pochwała nowego rycerstwa za M. Melville *Dzieje templariuszy*, IW PAX, W-wa, 1991.

na przechodniów idących w cieniu zielonych liści drzew pomarańczowych. Młoda szczupła kobieta, o wyglądzie cudzoziemskim zatrzymała się, żeby spiąć włosy i przejrzeć się w szybie otwartego okna. Nagle uniosła ramiona w geście pełnym niezwyklej gracji, była przepiękna, zajęta własnym odbiciem. Potem jej wzrok przesunął się nieco dalej i napotkał spojrzenie Quarta. Przez chwilę zatrzymała wzrok, zaskoczona i zaciekawiona, i naturalność gestu nagle zniknęła. Wtedy podszedł do niej młodzieniec z aparatem fotograficznym na szyi i planem turystycznym w ręce, objął ją ramieniem w pasie i zabrał ze sobą.

Quart poczuł coś, co nie było zawiścią ani smutkiem. Nie istnieje dokładny termin na określenie rozpaczony znanej każdemu duchownemu na widok bliskiego kontaktu par, kobiet i mężczyzn, którzy mogą legalnie odprawiać najdawniejszy rytuał intymności, czule muskać skórę na łuku wiodącym od karku do ramienia, obejmować ramieniem łagodną linię bioder, delikatnie dotykać kobiecymi palcami ust mężczyzny. Quart nie miałby trudności z przełamaniem dystansu znakomitej części pięknych kobiet spotykanych na swej drodze i dlatego jeszcze intensywniej czuł konieczność bolesnej i niepocieszanej samodyscypliny, podobnie jak osoby z amputowanymi kończynami, które zapewniają, że nadal czują swędzenie czy ból w rękach lub nogach, których już nie mają.

Spojrzał na zegarek, schował książkę i wstał. Wychodząc niemal wpadł na bardzo grubego dżentelmena, ubranego na biało, który grzecznie przeprosił, uchylając panamę. Grubas patrzył jeszcze chwilę na Quarta, kiedy ten powoli odchodził w kierunku placu i czerwonego budynku z barokową fasadą, znajdującego się na prawo za rzędem drzewek pomarańczowych. Portier zrobił gest, jakby chciał prosić go o dokumenty, kiedy jednak zobaczył koloratkę, bez słowa wpuścił wejściem między dwiema kolumnami podtrzymującymi balkon, na którym wyrzeźbiono w kamieniu herb arcybiskupa Sewilli. Quart dostał się na podwórze, gdzie sięgał cień Giraldy, i wszedł po okazałych schodach pod sklepieniem autorstwa Juana de Espinal, skąd anioły i cherubiny spoglądały na świeżo przybyłych bez zainteresowania, nie przerywając nudy bezruchu trwającego od stuleci. Na górze znajdowały się korytarze z biurami, zaafelowani księża krążyli z miejsca na miejsce ze zdecydowaniem osób czujących się pewnie na znanym terenie: wyglądali bardziej na urzędników niż na księży; prawie wszyscy mieli na sobie garnitury i koloratki przy szarych lub ciemnych koszulach lub gorsach, niektórzy nosili krawaty albo pulowery pod marynarkami. Quart nie zauważył ani jednej sutanny.

Wyszedł mu na spotkanie nowy sekretarz arcybiskupa Corvo. Był delikatnym, łysym zakonnikiem, o schludnym wyglądzie i dobrych manierach, też w szarym garniturze z koloratką. Zastąpił ojca Urbizu, który zginął, kiedy spadł na niego tynk w kościele Matki Boskiej Płaczącej. Bez słowa poprowadził go przez salon, na którego

suficie, podzielonym na sześćdziesiąt prostokątów, umieszczone były symbole i sceny biblijne; ich głównym celem było umacnianie cnót u prałatów sewilskich rządzących diecezją. Było tam około dwudziestu fresków i obrazów, między nimi cztery zurbarany, jeden murillo, jeden matia preti, przedstawiający męczeństwo świętego Jana Chrzciciela. Idąc za sekretarzem, Quart zastanawiał się, dlaczego w przedpokojach gabinetów biskupów i kardynałów tak często można napotkać czyjąś głowę na tacy. Myśląc o tym, dostrzegł księdza Priamo Ferro. Proboszcz od Matki Boskiej Płaczącej stał na drugim końcu sali, posępny i ciemny jak kolor jego starej sutanny. Rozmawiał z młodym jasnowłosym księdzem w okularach, Quart rozpoznał w nim murarza, który obserwował go w drzwiach kościoła, kiedy poznał księdza Ferro i Gris Marsalę. Obydwaj duchowni przerwali rozmowę i spojrzeli na niego: proboszcz wzrokiem nieugiętym, młody ksiądz – arogancko i wyzywająco. Quart skierował do nich lekkie skiniecie głową, ale pozdrowienie to pozostało bez odpowiedzi. Było jasne, że już od dawna czekają i nikt nie zaofiarował im krzesła.

Jego Eksceleńcja Aquilino Corvo, zwierzchnik sewilskiego arcybiskupstwa, zazwyczaj przybierał pozę *Mężczyzny z ręką na piersi*, którego oryginał wisiał w jednej z sal muzeum Prado. Na czarnym garniturze kładł białą dłoń, a na niej błyszczała odznaka jego godności, pierścień z dużym złotym kamieniem. Skronie o przeredzonych włosach, twarz podłużna i kanciasta, błysk złotego krzyża dopełniały wizerunku postaci, na którą arcybiskup lubił pozować. Aquilino Corvo był prałatem z urodzenia i doszedł do tej pozycji w wyniku starannej selekcji pośród hierarchii kościelnej. Zręczny manipulator, przyzwyczajony do żeglugi w najcięższych burzach, uzyskał stanowisko zwierzchnika Kościoła w diecezji sewilskiej nieprzypadkowo. Cieszył się znaczącym poparciem madryckiej nuncjatury, a także Opus Dei, a jego stosunki z rządem Andaluzji, jak i z opozycją, były znakomite. Wszystko to nie przeszkadzało mu też w zajmowaniu się sprawami poza głównym nurtem jego obowiązków, niekiedy nad wyraz osobistymi. Był, na przykład, wielbicielem corridy i zajmował łożę w Maestranzy zawsze, ilekroć walczyli Curro Romero lub Espartaco. Był również członkiem miejscowych klubów piłkarskich, Betis i Sewilla, zarówno przez neutralność duszpasterską, jak i przez ostrożność kościelną – jego jedenaste przykazanie brzmiało: *Nie trzymaj wszystkich atutów w jednej ręce*. Również z całej duszy nienawidził Lorenzo Quarta.

Jak to było do przewidzenia po sposobie powitania przez sekretarza, pierwsza część spotkania przebiegła w chłodzie, lecz z zachowaniem grzeczności. Quart oddał listy uwierzytelniające, pismo od sekretarza stanu i drugie od arcybiskupa Spady, podał arcybiskupowi dane ogólne, aż nadto dobrze mu znane, dotyczące jego misji, a rozmówca obiecał bezwarunkową pomoc, prosząc jednak o bieżące informacje o postępach dochodzenia. Tak naprawdę Quart wiedział, że arcybiskup zrobi wszystko,

by storpedować jego misję, a arcybiskup Corvo – świadomy, że Quart nie powie o niej ani słowa – byłby gotów zamienić rok czyśćca na miejsce, z którego widziałby, jak specjalny wysłannik Rzymu potyka się na skórcie od banana. Ale obaj byli zawodowcami i przestrzegali reguł, przynajmniej dotyczących pozorów. Żaden też nie wspomniał o przyczynie tego, że patrzyli na siebie nawzajem po dwóch stronach biurka jak para szermierzy, których udawana beztroska znika w okamgnieniu, gdy któryś dostrzeże miejsce, w jakie można ugodzić trafnym pchnięciem. Unosił się nad nimi cień ich poprzedniego spotkania w tym samym gabinecie przed dwoma laty, kiedy Jego Ekscelencja, świeżo obdarzony godnością arcybiskupią, otrzymał z rąk Quarta gruby tom, zawierający spis niedociągnięć w zapewnieniu bezpieczeństwa Ojcu Świętemu podczas jego wizyty w Sewilli, w trakcie ostatniego Roku Eucharystycznego. Pewien żonaty ksiądz, zawieszony *a divinis*, był o mały krok od ugodzenia nożem Ojca Świętego, kiedy zbliżył się do niego pod pretekstem złożenia memorandum na temat celibatu. Znalaziono też w żeńskim klasztorze, gdzie Jego Świątobliwość miał nocować, mechanizm wybuchowy umieszczony w koszu z czystą bielizną, przepięknie haftowaną na tę okazję przez zakonnice. A w kalendarzach wszystkich islamskich terrorystów znad Morza Śródziemnego figurowały, z przyprawiającą o dreszcze dokładnością, godziny i trasy przejazdów podczas całej wizyty papieskiej, a to dzięki stałym przeciekom z arcybiskupstwa do prasy. ISZ, a konkretnie Quart, musiał błyskawicznie zająć się sprawą, przewracając do góry nogami początkowy, opracowany przez Jego Eminencję, plan bezpieczeństwa, na pośmiewisko całej Kurii i ku rozpaczycy nuncjusza. Który z kolei opowiedział o sprawie Jego Świątobliwości w takim tonie, że arcybiskup Corvo niemal przyplącił to atakiem apopleksji w świeżo zainaugurowanym arcybiskupstwie. Z czasem, kiedy potknięcie zostało puszczane w niepamięć, arcybiskup umocnił swoją pozycję znakomitego prałata, jednak ów kryzys nowicjusza, upokorzenie i rola, jaką odegrał w tym wszystkim Quart, toczyły jego serce i spokój na sposób niezbyt chrześcijański. Szczegół ten zwierzył właśnie tego ranka swojemu ponuremu spowiednikowi, staremu księdzu z katedry, u którego wyznawał grzechy w każdy pierwszy piątek miesiąca.

– Ten kościół jest skazany – powiedział arcybiskup. Jego głos wydawał się stworzony do wygłaszania niedzielnych kazań, dźwięczny i uduchowiony. – To tylko sprawa czasu.

Mówił ze stanowczością właściwą jego kościelnej godności, może nieco przerysowując ton głosu ze względu na obecność Quarta. Choć w Rzymie mógł niewiele znaczyć, prałat w swojej siedzibie jest osobą ważną. Jego Ekscelencja Corvo był tego świadomy i lubił podkreślać niezawisłość swojej lokalnej władzy. Szczycił się, że o Rzymie nie wie więcej, niż podaje Rocznik Papieski, i że nigdy nie korzysta z watykańskiego spisu telefonów.

– Kościół Matki Boskiej Płaczącej – ciągnął arcybiskup – jest zrujnowany. Aby uzyskać oficjalne uznanie tego stanu, walczymy z całą masą przeszkód administracyjnych i technicznych... Wydaje się, że te pierwsze wkrótce zostaną pokonane, bo Rada do spraw Dziedzictwa Kulturowego zrezygnowała z konserwacji budynku, powołując się na brak środków, i magistrat Sewilli już wkrótce ten stan zalegalizuje. Sprawa nie została do tej pory zamknięta jedynie z powodu, że związana jest z nią śmierć architekta miejskiego. To nieszczęśliwy wypadek.

Arcybiskup Corvo przerwał i kontemplował tuzin angielskich fajek, umieszczonych na podstawce z czereśniowego drewna. Za jego plecami, poprzez szyby, widać było zarysy Giraldy i przypory katedry. Na zieloną skórę pokrywającą blat stołu padał prostokąt słonecznego światła i prałat, niby przypadkiem, położył na nim dłoń. Promień światła odbił się od złotego kamienia i wywołał uśmiech na ustach Lorenzo Quarta.

– Jego Ekscelencja wspomniał o jakichś problemach technicznych – powiedział.

Siedział na niewygodnym krześle przed stołem arcybiskupa, w pokoju, którego ściany pokrywały tomy dzieł Ojców Kościoła i encyklik papieskich, oprawne w skórę z wytłoczonym herbem arcybiskupim na grzbiecie. Po drugiej stronie biblioteki, pod krzyżem z kości słoniowej, stał kłęcznik, mała sofa z dwoma fotelami i niewielki stolik, gdzie arcybiskup Corvo serdeczniej przyjmował osoby darzone przez niego wysokim poważaniem. Było jasne, że specjalny wysłannik ISZ-u do nich nie należy.

– Sekularyzacja budynku, wymóg niezbędny do jego rozbiórki, jest bardzo skomplikowana – arcybiskupia powaga nie wystarczyła, by zamaskować jego nieufność wobec Quarta. Z wielką uwagą dobierał słowa, ważąc, jakie konsekwencje każde z nich może pociągnąć. – Istnieje pewien stary przywilej z roku 1687, nadany z papieską sankcją z tego samego roku przez mojego czcigodnego poprzednika na sewilskiej stolicy, który jest kategoryczny: jak długo w każdy czwartek będzie odprawiana msza za duszę Gaspara Brunera de Lebrija, fundatora świątyni, kościół ten zachowuje wszystkie swoje prawa.

– Dlaczego we czwartek?

– Zdaje się, że tego dnia umarł. Rodzina Brunerów była bardzo można, podejrzewam więc, że ów Gaspar musiał mocno trzymać w szachu mojego znakomitego poprzednika.

– A ksiądz Ferro, oczywiście, odprawia mszę w każdy czwartek.

– Każdego dnia, przez cały tydzień – potwierdził arcybiskup. – O ósmej rano. Poza niedzielami i świętami, bo wtedy odprawia dwie msze.

Quart pochylił się do stołu z fałszywą naiwnością:

– Ale Wasza Ekscelencja ma dość władzy, żeby przywołać go do porządku.

Arcybiskup spojrzał na niego pośpiesznie. Pierścień poruszył się na jego

zniecierpliwionej ręce, psując efekt, jaki wywoływało światło.

– Proszę mnie nie rozśmieszać – nie wydawał się ani trochę skłonny do żartów. – Dobrze ksiądz wie, że nie jest to kwestia władzy. W jaki sposób miałby arcybiskup zakazać proboszczowi odprawiania mszy? Tu w grę wchodzi sprawa dyscypliny. Ksiądz Ferro jest osobą starszą, bardzo konserwatywną, nawet w pewnych aspektach wykonywania służby, wykazuje jednak bardzo osobisty stosunek do swego powołania. Ma w głębokim poważaniu moje przywoływania do porządku czy napomnienia duszpasterskie.

– Czy Wasza Ekscelencja nie rozważał możliwości zawieszenia go w obowiązkach?

– Rozwazałem, rozwazałem... – arcybiskup Corvo spojrział na Quarta z irytacją. – Ale sprawa nie jest wcale prosta. Poprosiłem Rzym o zawieszenie *ab officio* księdza Ferro, ale takie rzeczy dzieją się wolno. Poza tym obawiam się, że z powodu tego nieszczęsnego, informatycznego przecieku do Watykanu spodziewają się tam, że ksiądz przywiezie raport dobrego łowcy skalpów.

Quart pominął milczeniem tę ironię. Nie chcesz się pobrudzić, pomyślał. Dlatego nam podrzucasz kukulcze jajo. Lepiej żeby kto inny był katem, jeśli samemu można zachować czyste ręce.

– A tymczasem jak sprawa wygląda, Ekscelencjo?

– Wszystko trwa w zawieszeniu. Bank Kartuski ma plan zagospodarowania tego terenu, dzięki któremu moja diecezja – arcybiskup Corvo jakby zastanowił się nad użyciem zaimka dzierżawczego i poprawił – dzięki któremu ta diecezja może bardzo wiele zyskać. Choć nie mamy do tego miejsca innego prawa niż moralne, owoc trzech wieków kultu, Bank Kartuski, oferuje nam bardzo wysoką rekompensatę. Jest to istotne w czasach, kiedy większość puszek na ofiarę zarosła pajęczyną – arcybiskup pozwolił sobie na lekki uśmiech z powodu własnego żartu, na który Quart z pełną rozważą nie zareagował. – Poza tym bank zobowiązał się sfinansować budowę kościoła w jednej z biednych dzielnic Sewilli i utworzyć fundację wspierającą nasze akcje społeczne wśród wspólnoty cygańskiej. Co ksiądz o tym sądzi?

– Przekonujące – odparł Quart obiektywnie.

– Sam ksiądz widzi. Wszystko sparaliżowane z powodu uporu jednego księdza, mającego zresztą wkrótce przejść na emeryturę.

– Ale jest bardzo kochany w swojej parafii. Przynajmniej tak się mówi.

Arcybiskup Corvo znów bawił się upierścienioną dłonią. Tym razem podniósł ją w geście sprzeciwu, po czym umieścił obok złotego krzyża, wiszącego na jego piersi.

– Nie ma co przesadzać. Sąsiedzi mu się kłaniają i około dwudziestu świętoszek chodzi na mszę. Ale to niewiele znaczy. Ludzie krzyczą: „Błogosławiony, który przychodzi w Imię Pana”, ale szybko się nudzą i krzyżują cię – arcybiskup patrzył niezdecydowany na rząd fajek na stole; na koniec wybrał jedną, zakrzywioną, ze

srebrną obręczą. – Szukałem jakiegoś środka zaradczego. Nawet zastanawiałem się, czy nie podważyć jego autorytetu wśród parafian, rozważając, ile dobra i ile zła mogłoby to przynieść. Nie chciałbym jednak posunąć się zbyt daleko, żeby lekarstwo nie okazało się gorsze od choroby. Mimo wszystko jesteśmy oddani ludziom, a ksiądz Ferro, choć bardzo uparty, jest człowiekiem szczerym – uderzał główką fajki o otwartą dłoń. – Może uda się to księdzu, mającemu większe doświadczenie w prowadzeniu ludzi od Kajfasza do Piłata...

Była to ewangeliczna zniewaga, nienagannie sformułowana, Quart nie mógł mu nic zarzucić. Jego Eksceleńcja otworzył szufladę biurka, wyjął puszkę angielskiego tytoniu i zaczął nabijać fajkę, pozostawiając swojemu rozmówcy ciężar kontynuowania rozmowy. Quart pochylił głowę; gdyby ktoś spojrzał mu prosto w oczy, dostrzegłby w nich śmiech. Ale arcybiskup w ogóle nie patrzył na niego.

– Oczywiście, księże arcybiskupie. Instytut Spraw Zagranicznych zrobi wszystko, co się da, żeby wyjaśnić ten nieporządek – z satysfakcją stwierdził, że Jego Eksceleńcja zatrzymał się w pół gestu. – Choć nieporządek nie jest tu chyba właściwym słowem...

Arcybiskupa Corvo dzielił krok od utraty równowagi, ale z podziwu godną szybkością opanował się. Przez jakieś pięć sekund jeszcze milczał, wkładając tytoń do fajki. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała niechęć:

– Ksiądz należy do tych, którym sandały Rybaka wydają się za ciasne, prawda? Pośród tych wszystkich rzymskich mafii... ksiądz bawi się w policjanta Pana Boga.

Quart wytrzymał spojrzenie arcybiskupa z nienagannym spokojem:

– Twarde są słowa Jego Eksceleńcji.

– Do licha z tymi eksceleńcjami! Wiem, po co przyjechał ksiądz do Sewilli, i wiem, co pryncypał księdza, arcybiskup Spada, tą sprawą ryzykuje.

– Wszyscy ryzykujemy wiele, księże arcybiskupie.

Była to prawda i prałat zauważył to w tonie głosu rozmówcy. Kardynał Iwaszkiewicz jest niebezpieczny, ale niebezpieczni są także Paolo Spada i sam Quart. Ksiądz Ferro natomiast jest chodzącą bombą zegarową, którą ktoś powinien rozbroić. Spokój Kościoła często zależy od form, a w przypadku Matki Boskiej Płaczącej formy są poważnie zagrożone.

– Quart, proszę posłuchać – Aquilino Corvo niechętnie łagodził ton głosu. – Nie chcę komplikować sobie życia, a ta sprawa zbyt się zapętla. Przyznaję, że słowo skandal przeraża mnie i nie chcę stać się w opinii publicznej prałatem, który szantażuje biednego proboszcza, bo chce się wzbogacić na sprzedaży terenu... Rozumie ksiądz?

Quart rozumiał i gestem okazał, że przyjmuje rozejm.

– Poza tym – ciągnął arcybiskup – Bankowi Kartuskiemu cała sprawa może spalić

na panewce, właśnie z powodu żony czy też byłej żony, nie jestem pewien, Pencho Gaviry, który prowadzi całą tę operację. To człowiek wpływowy i ciągle zyskuje na znaczeniu. On i Macarena Bruner mają poważne problemy osobiste. A ona otwarcie bierze stronę księdza Ferro.

– Czy to kobieta religijna?

Arcybiskupowi wyrwał się spomiędzy zębów suchy śmiech. Powiedział, że to raczej nie to określenie. Niezupełnie. W ostatnich czasach dość sobie lekceważyła opinię całej śmietanki sewilskiej, choć towarzystwo to niełatwo daje się byle czym zaskoczyć.

– Może byłoby dobrze, gdyby ksiądz z nią porozmawiał – powiedział Quartowi. – I z jej matką, starą księżną. Gdyby wycofały swoje poparcie, zanim zostanie wydany oficjalny zakaz użytkowania obiektu zagrażającego bezpieczeństwu oraz zawieszenie w czynnościach proboszcza, ten miałby związane ręce.

Quart wyjął z kieszeni kilka wizytówek, żeby zrobić notatki. Zawsze używał do tego odwrotnej strony kart wizytowych, własnych i cudzych. Nie umknęło uwagi arcybiskupa, że pióro było firmy Montblanc, kiedy przyglądał się krytycznym okiem, jak się porusza. Uznał je chyba za niezbyt stosowne dla księdza.

– Od jak dawna trwa w zawieszeniu sprawa nakazu opuszczenia kościoła? – Quart chciał się dowiedzieć.

Cenzorskie spojrzenie, jakim arcybiskup Corvo obrzucał pióro, wypełniło się niepokojem.

– Od czasu śmiertelnych wypadków.

– Tajemniczych wypadków, jak się o nich mówi.

Arcybiskup, podnosząc już fajkę do ust i mając zbliżyć do niej płonąca zapalną, przerwał gest w połowie. Nie ma w nich nic tajemniczego, poinformował Quarta. Dwa nieszczęśliwe wypadki. Niejaki Pañuelas, architekt miejski, został zobowiązany przez magistrat do opracowania decyzji administracyjnej. Nie był osobą sympatyczną i miał kilka bardzo ostrych spięć z księdzem Ferro, który również nie mógłby uchodzić za wzorzec łagodności. W trakcie jednej z jego wizyt w kościele Pañuelas, stojąc na rusztowaniu, oparł się o drewnianą poręcz, która puściła, a on spadł z dachu tak nieszczęśliwie, że nadział się na metalową rurkę, przygotowaną do montażu konstrukcji.

– Był sam czy ktoś był przy tym? – zainteresował się Quart.

Chwytną sens pytania, arcybiskup Corvo pokręcił głową. Z tej strony nie ma żadnych mroków. Zmarłemu towarzyszył drugi urzędnik. Ksiądz Oscar, wikariusz, też był przy tym. On opatrzył zmarłego ostatnimi sakramentami.

– A co zdarzyło się sekretarzowi Ekscelencji?

Arcybiskup wypuścił kłęb dymu i przymknął oczy. Do Quarta dotarł aromat

angielskiego tytoniu.

– To sprawa bardzo bolesna. Ksiądz Urbizu był moim współpracownikiem od wielu lat. – Zrobił pauzę pełną zadumy, jakby myślał, że trzeba jeszcze coś dodać do wspomnienia o zmarłym. – To był wspaniały człowiek.

Quart powoli przytaknął głową, jakby też znał Urbizu i podzielał ból po jego stracie.

– Wspaniały człowiek – powtórzył tak, jakby zastanawiał się nad przymiotnikiem.
– Mówi się, że naciskał na księdza Ferro w imieniu Ekscelencji.

Nie spodobało się to arcybiskupowi Corvo. Wyjął fajkę z ust i spojrzał na rozmówcę, unosząc brew.

– Naciskać to nieprzyjemne słowo. I przesadne. – Quart zwrócił uwagę, że arcybiskup tuszował swoje zniecierpliwienie, uderzając wolną ręką o kant biurka. – Nie mogę stukać do drzwi każdego kościoła i wyklócać się z proboszczami. Dlatego Urbizu prowadził w moim imieniu rozmowy z księdzem Ferro, choć ten upierał się przy swoim. Niektóre z tych rozmów toczyły się podniesionym tonem, a nawet księdzu Oscarowi zdarzyło się kiedyś grozić mojemu sekretarzowi.

– Znowu ksiądz Oscar?

– Tak. Oscar Lobato. Miał bardzo dobry życiorys i wysłałem go do parafii Matki Boskiej Płaczącej, żeby z czasem zastąpił starego księdza, jak w tym filmie Binga Crosby'ego...

– *Idąc własną drogą* – uściślił Quart.

– No więc on na tę drogę wszedł. Już po tygodniu mój koń trojański przeszedł na stronę wroga. Oczywiście, przedsięwzięciem pewne środki... – arcybiskup ruchem ręki zmiotł wikarego ze stołu. – Mój sekretarz zaś nadal odwiedzał kościół i obu duchownych. Rozważałem nawet możliwość odebrania im figury Matki Boskiej Płaczącej starej, zabytkowej rzeźby, niezwykle cennej. Ale właśnie tego dnia, kiedy biedny Urbizu miał napomknąć o tej możliwości, kawał tynku odpadł od sufitu i rozbił mu głowę.

– Czy zostało przeprowadzone śledztwo?

Arcybiskup patrzył na Quarta w ciszy, trzymając fajkę w zębach, jakby nie usłyszał pytania.

– Tak – odpowiedział po chwili. – Ponieważ w tym przypadku rzecz zdarzyła się bez świadków. Poza tym, potraktowałem to... No cóż, jako sprawę osobistą – znów położył rękę na piersi, a Quart przypomniał sobie słowa arcybiskupa Spady: „Obiecał nie zostawić kamienia na kamieniu”... – Wynik śledztwa potwierdził brak jakichkolwiek dowodów, by miało chodzić o zabójstwo.

– Czy raport nie przewidywał możliwości umyślnego, choć nieudowodnionego spowodowania śmierci?

– Nie, technicznie byłoby to raczej niemożliwe. Tynk odpadł z sufitu. Nikt nie mógł go stamtąd zrzucić.

– Oprócz Opatrzności.

– Niech ksiądz nie mówi głupstw.

– Nie mam takiego zamiaru, księżo arcybiskupie. Jedynie stwierdzam prawdopodobieństwo informacji Nieszporów, kiedy podaje, że sam kościół zabił ojca Urbizu. Podobnie jak i tę drugą osobę.

– To koszmarna bzdura i nonsens. Najbardziej się obawiam, że zacznie się bredzić o nadprzyrodzonych siłach i o naszej roli w tym wszystkim, jakby to była powieść Stephena Kinga. Już się tu kręci jakiś dziennikarz, nieprzyjemny gość, i dręczy nas tą sprawą. Gdyby ksiądz spotkał go na swojej drodze, proszę się strzec. Kieruje skandalizującym szmatławcem o nazwie „Q+S” i to właśnie on w tym tygodniu opublikował kompromitujące zdjęcia Macareny Bruner z pewnym torreadorem. Nazywa się, i to wcale nie jest żart, Honorato Bonafé.

Quart wzruszył ramionami.

– Nieszpory oskarżał kościół. Budynek zabija w obronie własnej, napisał.

– Tak, bardzo to spektakularne. Tylko proszę mi powiedzieć, w obronie przed kim? Przed nami? Przed bankiem? Przed Złem? Mam własne zdanie na temat Nieszporów.

– Czy mógłby ksiądz arcybiskup podzielić się nim ze mną?

Ilekoć tracił czujność, oczy Aquilina Corvo wypełniała pogarda, jaką czuł dla Quarta. Teraz wzrok mu się zasepił na kilka sekund, nim przesłonił go dym z fajki.

– Niech ksiądz sam zapracuje na swoją pensję. Po to ksiądz tu przyjechał.

Quart znów się uśmiechnął. Uprzejmy, zdyscyplinowany:

– Niech więc Wasza Ekscelencja opowie mi o księdzu Ferro.

Przez pięć minut, między kolejnymi pociągnięciami fajki i z dość skromnym miłosierdziem chrześcijańskim, arcybiskup Corvo rozprawił się z rozkoszą z życiorysem proboszcza. Prostny, wiejski ksiądz przez prawie całe życie, od dwudziestu paru aż do pięćdziesięciu czterech lat siedział w zabitej dechami dziurze gdzieś w górach Aragonii, w miejscu opuszczonym przez Boga, gdzie po kolei parafianie wymierali mu, jeden po drugim, aż został bez parafii. Potem dziesięć lat u Matki Boskiej Płaczącej. Porywczy, fanatyczny, nieokrzesany i uparty jak stary muł. Bez cienia poczucia realizmu, w stylu *omnia sunt possibilia credenti*, tacy ludzie myślą własny punkt widzenia z otaczającą ich rzeczywistością. Quart powinien, zgodnie z radą arcybiskupa, posłuchać któregoś z jego niedzielnych kazań. To prawdziwe widowisko. Ksiądz Ferro używa argumentu piekielnych mąk z taką łatwością, jakby był kaznodzieją w czasach kontrreformacji, i całą parafię trzyma w strachu za pomocą starej śpiewki o ogniu piekielnym, o którym nikt inny nie śmie już wspominać.

Zawsze kiedy kończy kazanie, westchnienie ulgi przebiega przez rzędy wiernych.

– A jednak – zakończył arcybiskup – w innych sprawach jest postępowy i wątpliwy. Powiedziałbym, że wręcz nieodpowiednio postępowy.

– Na przykład?

– Jego stosunek do środków antykoncepcyjnych, nie szukając daleko – jest ich stanowczym zwolennikiem. Czy też sakramenty dla homoseksualistów, rozwiedzionych i cudzołożników. Parę tygodni temu udzielił chrztu dziecku, czego inny proboszcz odmówił, ponieważ jego rodzice nie mieli ślubu. Kiedy jego kolega poprosił o wyjaśnienia, odpowiedział, że będzie chrzczył, kogo zechce.

Fajka Jego Ekscelencji zgasła. Zapalił więc kolejną zapałkę i spojrzał na Quarta znad płomienia.

– Krótco mówiąc – dodał – msza u Matki Boskiej Płaczącej to jakby podróż w kapsule czasu, która na dodatek skacze to w przód, to w tył.

Quart zamaskował uśmiech.

– Wyobrażam sobie – powiedział.

– Nie, jestem pewny, że ksiądz sobie tego nie wyobraża. Proszę poczekać, aż zobaczy go ksiądz w akcji. Część mszy odprawia po łacinie, bo twierdzi, że to budzi więcej szacunku – fajka znów się paliła i arcybiskup rozparł się w fotelu, zadowolony.

– Ksiądz Ferro należy do gatunku prawie już wymarłego: stary, wiejski ksiądz, który poświęca się bez powołania i żyje bez dyscypliny, a jego jedynym celem jest ucieczka od nędzy i ubóstwa. Tacy jak on do tej pory zachwaszczają wiejskie parafie, dawno opuszczone przez Boga. Proszę dodać do tego ogromną dumę, która sprawia, że traci panowanie nad sobą i na koniec gubi poczucie rzeczywistości w świecie, w którym żyje... W innych czasach dawno byśmy go poskromili, wysyłając, na przykład, do Ameryki Południowej, a tam Pan Nasz powołałby go może na swe łono za sprawą febry w Darien, gdy nawracałby Indian, okładając ich drewnianym krucyfiksem. Ale teraz trzeba mieć dużo wyczucia, bo dziennikarze i politycy wszystko komplikują.

– Dlaczego nie został zawieszony *ex informata conscientia*? To pozwoliłoby Waszej Ekscelencji usunąć go z nie wyjawionych powodów, unikając rozgłosu.

– Musiałby popełnić jakieś przestępstwo natury cywilnej lub kościelnej, a tak się nie stało. Poza tym nikt nie może zagwarantować, że to nie zaostrzyłoby jego oporu. Wolę, by sprawa szła zwykłym tokiem *ab officio*.

– Inaczej mówiąc, księżę arcybiskupie, niech to Rzym wyniesie trupa.

– To ksiądz tak powiedział.

– A co z księdzem Oscarem?

Wargi trzymające fajkę wykrzywiły się nieprzyjemnie. Nie chciałbym znaleźć się w skórze wikarego, pomyślał Quart.

– On jest zupełnie inny – powiedział arcybiskup. – Spore zaplecze kulturalne,

seminarium w Salamance. Zmarnowana obiecująca przyszłość. Jego sprawa, w każdym razie, została załatwiona. W połowie przyszłego tygodnia opuści parafię. Przenosimy go do diecezji w Almerii, w wiejskie pustkowie w pobliżu przylądka Gata, żeby poświęcił się modlitwie i rozważył, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą uleganie młodzieńczemu entuzjazmowi.

– Czy on mógłby być Nieszporami?

– Mógłby. Nawet pasuje, jeśli o to księdzu chodzi. Ale grzebanie w śmietniku nie należy do obowiązków arcybiskupa – Jego Ekscelencja zachował znaczącą ciszę. – Zostawiam to ISZ-owi i księdzu.

Quart miał dalsze pytania.

– Czym się zajmuje?

– Tym samym, co każdy wikariusz: pomaga w kościele, asystuje przy mszy, zajmuje się popołudniami różańcem... W wolnych chwilach robi też za murarza przy pracach siostry Marsali.

Quart zeszywniał na swoim krześle. Kolejny raz został zaskoczony.

– Przepraszam, czy Wasza Ekscelencja powiedział siostra Marsala?

– Tak, Gris Marsala, zakonnica z Ameryki, która siedzi w Sewilli od niepamiętnych czasów. Jest ekspertem, a przynajmniej tak mówią, w odnawianiu zabytków religijnych. Jeszcze jej ksiądz nie poznał?

Bardziej zwracając uwagę na trzask zaskakujących w jego mózgu luźnych dotąd trybów, Quart nieuważnie słuchał słów prałata. A więc o to chodzi. To ta fałszywa nuta.

– Wczoraj ją poznałem. Nie wiedziałem, że jest zakonnica.

– Owszem, jest – w głosie arcybiskupa Corvo nie było ani cienia sympatii. – Razem z księdzem Oscarem i Macareną Bruner tworzy zastęp księdza Príamo Ferro. Jej pobyt w Sewilli to jej czysto prywatna sprawa, otrzymała dyspensę ze swojego zakonu i pozostaje poza zasięgiem mojej władzy. Nie mam prawa zmusić jej do wyjazdu. Nie mogę też przesadzać i prześladować księży i zakonnice. Cała sprawa trochę się rozdeła.

Wypuszczał kłęby dymu, jak kałamarnica zasłaniająca się swoim atramentem. Rzucił ostatnie spojrzenie na pióro Quarta i wzruszył ramionami.

– Teraz poproszę tu proboszcza. Wezwałem go dziś rano, ale najpierw chciałem porozmawiać sam na sam z księdzem. Chyba już pora, żebyśmy uporządkowali sprawy, prawda? Przejdźmy więc do konfrontacji.

Arcybiskup spojrział na dzwonek umieszczony na stole, obok mocno zużytego egzemplarza *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis.

– Ostatnie ostrzeżenie, Quart. Nie czuję do księdza zbyt wiele sympatii, ale jest ksiądz zawodowym duchownym i wie równie dobrze jak ja, że w naszym zawodzie nie

brak miernoty. Ksiądz Ferro do niej należy – wyjął fajkę z ust i wskazał na oprawne tomy pokrywające ściany gabinetu. – Tutaj jest cała myśl Kościoła, od świętego Augustyna po świętego Tomasza, i encykliki kolejnych papieży. To wszystko znajduje się w tych czterech ścianach, a ja jestem doczesnym administratorem tego dziedzictwa. Dlatego poruszam się również wśród wartości notowanych na giełdzie, choć równocześnie zachowuję ślub ubóstwa, pertraktuję z wrogami i czasem potępiam przyjaciół... Każdego ranka siadam za tym biurkiem, by rządzić z Bożą pomocą wśród różnych księży: intelektualistów, głupców, fanatyków, uczciwych, polityków, przeciwników celibatu, złośliwych, świętych i grzeszników. Sprawa księdza Ferro została by z czasem rozwiązana, powoli, krok po kroku. Tymczasem wmieszaliście się wy, i to całkiem zmieniło melodię, a więc będziemy tak tańczyć. *Roma locuta, causa finita*. Ja od tej chwili ograniczę się do obserwowania. Niech mi Wszechmocny wybaczy, ale umywam ręce i pozostawiam otwarte pole dla oprawców – przycisnął dzwonek i gestem wskazał na drzwi. – Nie dajmy dłużej czekać księdzu Ferro.

Quart powoli nałożył nakrętkę na pióro i schował je do kieszeni, razem z wizytówkami, wypełnionymi drobnym, ścisłym pismem. Siedział sztywno na brzegu krzesła, w bezruchu żołnierza.

– Mam swoje rozkazy, Wasza Ekscelencjo – powiedział spokojnie. – I wypełniam je sumiennie.

Jego Ekscelencja zmierzył go twardym wzrokiem z góry na dół.

– Nie chciałbym wykonywać waszej pracy, księżo Quart – powiedział wreszcie. – Na zbawienie mojej duszy, daję słowo, że wcale bym nie chciał.

IV

Kwiat pomarańczy i gorzkie owoce

No i zobaczył pan jednego bohatera więcej – rzekł

– a to zawsze coś znaczy.

*(J.P. Eckerman, *Rozmowy z Goethem*)**

– Myślę, że już się znacie – powiedział arcybiskup.

Siedział rozparty w fotelu, w postawie sędziego, który stara się trzymać z daleka, by krew nie opryskała mu butów. Quart i ksiądz Ferro patrzyli na siebie w milczeniu. Proboszcz od Matki Boskiej Płaczącej odrzucił propozycję arcybiskupa Corvo, by usiąść, stał na środku gabinetu, drobny i uparty, z twarzą jakby pokiereszowaną uderzeniami ryłca, z siwymi, nierówno przyciętymi włosami, w starej wystrzępionej sutannie, spod której wystawały ogromne, nie wyczyszczone buty.

– Ksiądz Quart chciałby zadać ojcu parę pytań – dodał arcybiskup.

Zmarszczki i blizny na twarzy proboszcza nie poruszyły się. Patrzył ponad ramieniem prałata w nieokreślony punkt przestrzeni za oknem, w którym firanki zacierały jasnobrazowy kształt Giraldy:

– Nie mam nic do powiedzenia księdzu Quartowi.

Arcybiskup Corvo powoli skinął głową, jakby usłyszał odpowiedź, której się spodziewał.

– Dobrze – powiedział. – Ale ja jestem zwierzchnikiem tej diecezji i biskupem księdza. I wobec mnie jest ksiądz związany ślubem posłuszeństwa. – Wyjął na chwilę z ust fajkę i wskazywał nią na przemian obu księży. – Jeśli więc ksiądz tak woli,

* J.P. Eckerman, *Rozmowy z Goethem*, przekład Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer, PIW, 1960.

proszę odpowiadać mnie na pytania, które będzie stawiał ksiądz Quart.

Ciemne, matowe oczy proboszcza zawahały się przez moment.

– To niepoważne – zaprotestował oschle i Quart zauważył, że zwraca się w jego stronę, jakby obarczając go odpowiedzialnością za to wszystko.

Arcybiskup uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– No tak. Rozumiem – powiedział. – Ale dzięki zastosowaniu tej pamiętki po jezuitach wszyscy będziemy usatysfakcjonowani. Ksiądz Quart wykona swoją pracę, ja z przyjemnością posłucham waszej rozmowy, a ksiądz ocali, przynajmniej formalnie, swoją niezwykłą dumę – wypuścił kłęb dymu przywołujący na myśl groźbę i pochylił się w fotelu; przecucie rozrywki zamigotało w jego oczach. – Księżę Quart, proszę zaczynać. Oddaję proboszcza do dyspozycji księdza.

Quart zaczął. Był surowy, chwilami brutalny, odgrywał się na proboszczu za oschłe przyjęcie w kościele poprzedniego dnia, wrogość okazywaną w gabinecie arcybiskupa, źle skrywaną pogardę wynikłą z przyzwyczajęń starego wiejskiego księdza, marnego i upartego. Ale było w tym coś głębszego niż osobista antypatia czy misja, która sprowadziła go do Sewilli. Ku zaskoczeniu arcybiskupa Corvo, a także własnemu, zachowywał się jak bezlitosny prokurator; gnębił starca z nieczułą, cierpką pogardą, której rzeczywiste źródło znane było tylko Quartowi. I kiedy wreszcie, świadomy, jak bardzo wszystko, co robi, jest niesprawiedliwe, przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu, poraziła go nagła myśl, że Jego Eminencja Jerzy Iwaszkiewicz z zadowoleniem przyglądałby się tej scenie, minuta po minucie.

Obaj mężczyźni patrzyli na niego; niezadowolony arcybiskup, z fajką w zębach i z uniesioną brwią. Proboszcz nieruchomy, z utkwionymi w Quarta oczami, które w trakcie przesłuchania, bardziej stosownego dla przestępcy niż sześćdziesięcioletniego księdza, zasnuły się powściąganą, czerwona mgiełką łez, jakich nie chce się okazać. Quart poruszył się na krześle, maskując zakłopotanie gestem notowania na kartce. Czuł się, jakby bił kogoś, kto ma związane ręce.

– Podsumujmy – nieco złagodził ton i całkiem bez celu zajrzał w notatki, żeby uniknąć spojrzenia proboszcza. – Ksiądz zaprzecza, jakoby był autorem wiadomości otrzymanej przez Stolicę Apostolską, jak również zaprzecza, jakoby wiedział o fakcie jej wysłania oraz miał jakiegokolwiek podejrzenia co do autora lub jego zamiarów.

– Zaprzeczam – powtórzył ksiądz Ferro.

– Przed Bogiem? – spytał Quart, przesadnie, nadal nieco zawstydzony własnym zachowaniem.

Stary duchowny spojrział na arcybiskupa Corvo z prośbą o pomoc, której ten nie mógł mu odmówić. Usłyszeli, jak arcybiskup odchrząknął, podnosząc dłoń z pierścieniem.

– Wszchemogącego pozostawmy w spokoju, jeśli można – prałat patrzył poprzez

dym z fajki. – Nie sędzę, żeby ta rozmowa narzucała konieczność przyjmowania przysięgi od kogokolwiek.

Quart przyjął tę uwagę w milczeniu, znów zwracając się do proboszcza:

– Co może mi ksiądz powiedzieć o Oscarze Lobato?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Nic, poza tym, że to świetny, młody i godny kapłan. – Jego źle ogolona broda lekko zadrżała. – Przykro mi będzie rozstać się z nim.

– Czy wikariusz dysponuje rozległą wiedzą informatyczną?

Ksiądz Ferro przymknął oczy. Jego spojrzenie stało się nieufne, jak wzrok wieśniaka, który patrzy na zbliżającą się chmurę gradową.

– O to raczej jego trzeba zapytać – rzucił spojrzenie na pióro rozmówcy i ostrożnym ruchem wskazał brodą na drzwi. – Jest tutaj, czeka na mnie.

Quart uśmiechał się prawie niezauważalnie, pozornie pewny siebie, miał jednak poczucie, że porusza się w próżni. Dostrzegwał coś mylącego, jakąś fałszywą nutę. Ojciec Ferro mówił *prawie cały czas* prawdę, ale było w to wmieszane jakieś kłamstwo; może jedno, może niezbyt groźne, zmieniające jednak naturę całości.

– Co mi ksiądz powie o Gris Marsali?

Usta proboszcza zacisnęły się.

– Siostra Marsala dostała dyspensę ze swojego zakonu – patrzył na arcybiskupa, jakby brał go na świadka. – Może w każdej chwili przychodzić i wychodzić, pracuje jako wolontariuszka. Bez niej budynek już by się zawalił.

– Trochę się zawalił – powiedział arcybiskup Corvo.

Nie mógł się powstrzymać; niewątpliwie miał na myśli kawałek tynku i swego zabitego sekretarza. Quart nadal, zwracał się do proboszcza.

– Jaki jest jej związek z księdzem proboszczem i wikariuszem?

– Normalny.

– Nie wiem, co ksiądz uważa za normę – Quart złośliwie odmierzał swoją pogardę milimetr po milimetrze. – Wy, starzy wiejscy księża, tradycyjnie miewacie mylne rozumienie normalności w odniesieniu do służących albo dalekich krewnych...

Kątem oka dostrzegł, jak arcybiskup Corvo niemal podskoczył na swoim fotelu. To była świadoma prowokacja, a jej cel – oczywisty. Niemal został porażony błyskawicą furii.

– Uwaga... – wściekłość wybieliła kostki proboszcza w zaciśniętych pięściach. – Mam nadzieję, że ksiądz... – nagle przerwał, uważnie przyglądając się Quartowi, jakby chciał wyryć w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół jego twarzy. – Za te słowa ktoś mógłby księdza zabić.

Groźba nie kłóciła się z charakterem księdza Ferro, ani z jego oschłym wyglądem, podkreślonym poplamioną sutanną, kołyszącą się ze wściekłości. Może nawet ja –

mówił jego wygląd. Sprawa pozostawała do wolnej interpretacji każdego.

Quart spojrział na proboszcza z całkowitym spokojem.

– Na przykład kościół księdza?

– Na miłość Boską! – przerwał z oburzeniem arcybiskup. – Czy wyście poszaleli?!

Nastała długa chwila milczenia. Prostokąt światła na stole arcybiskupa Corvo przemieścił się na lewo, z dala od jego dłoni, i obramowywał tom *O naśladowaniu Chrystusa*, na którym ksiądz Ferro zatrzymał wzrok. Quart z zainteresowaniem obserwował starca. Przypominał mu on innego księdza, do którego nigdy nie chciał być podobny; człowieka, którego prawie udało mu się zapomnieć – przez jakiś czas z seminarium wysyłał mu jeszcze czasami list lub pocztówkę, a potem nastąpiła cisza, a on pojawiał się w jego wspomnieniach niby duch, kiedy południowy wiatr przywiewał zapachy i dźwięki ukryte na dnie pamięci. Morze uderzające o skały, wilgotny i słony podmuch w kierunku lądu i deszcz. Zapach żelaznego pieca i dREW w zimie. *Rosa, rosae, Quousque tandem abutere Catilina, Nox atra cava circumvolat umbra*. Stukot kropli deszczu o zaparowaną okienną szybę, dźwięk dzwonów na jutrznię i człowiek o niedogolonej twarzy z tłustą cerą, pochylony przed ołtarzem, mamroczący modlitwy do niedosłyszającego Boga, w rolach mężczyzny i dziecka, oficjanta i ministranta, na jałowej ziemi otoczonej okrutnym morzem. Zawsze tak samo: ucza skończona. To jest kielich krwi mojej. Odejdźcie w pokoju. I głuchy oddech zmęczonego zwierzęcia, potem, kiedy młodzieńki Lorenzo Quart pomagał mu zdjąć ornat w zakrystii, pod plamami wilgoci na suficie. Seminarium, Lorenzo. Pójdiesz do seminarium i kiedyś zostaniesz księdzem takim jak ja. Będziesz miał przyszłość jak ja. Quart nienawidził z całych sił i całą pamięcią tamtego prostactwa, ubóstwa ducha, ciemnego ograniczenia, mszy o świcie, sjeisty na bujanym fotelu w zapachu stęchlizny i potu, różańca o siódmej, czekolady z dewotkami, kota na progu, służących lub dalekich krewnych, które w ten czy inny sposób przynoszą ulgę w samotności i starości. A potem koniec: starcza demencja, gaśnięcie jałowego i ponurego życia w przytułku, zupa wylewająca się spomiędzy bezzębnych dziąseł. Na chwałę Pańską.

– *Kościół, który zabija, aby się bronić...* – Quart z trudem wrócił do terażniejszości i do Sewilli, do tego, czym był, a nie tego, kim mógł być. – Chciałbym wiedzieć, jak ksiądz Ferro interpretuje te słowa.

– Nie wiem, o czym mowa.

– To słowa z wiadomości, którą ktoś wysłał do Stolicy Apostolskiej. I dotyczą parafii księdza... Czy ksiądz nie sądzi, że może w tym wszystkim jest jakiś opatrnościowy zamysł?

– Nie mam obowiązku odpowiadać na to pytanie.

Quart odwołał się do arcybiskupa Corvo, ten jednak umywał ręce z najbardziej dyplomatycznym uśmiechem:

– To prawda – potwierdził, zachwycony trudnościami Quarta. – Mnie też nie chciał odpowiedzieć.

To była strata czasu. Agent ISZ-u miał świadomość, że to wszystko prowadzi donikąd, ale rytuał należało wypełnić. Przyjął więc oficjalny ton i spytał księdza, czy jest świadomy, co jest stawką w tej grze. Odpowiedź zastąpiło sarkastyczne, kpiące spojrzenie z wyżyn sześćdziesięciu czterech lat proboszcza. Quart, niewzruszony, wypowiedział te same formułki co zwykle: konieczność napisania raportu, możliwy punkt wyjścia do poważnych kroków dyscyplinarnych, i tak dalej. Choć księdzu Ferro pozostał zaledwie rok do emerytury, czyli, jak się to mówi, stoi poza dobrem i złem, nie daje to jeszcze gwarancji pobłażliwości ze strony zwierzchników. W Stolicy Apostolskiej...

– Nic więcej nie wiem o tych zabitych – przerwał mu proboszcz, którego najwyraźniej Stolica Apostolska nie wzruszała. – To były wypadki.

Quart wskoczył w szczelinę:

– Bardzo korzystne dla księdza.

W jego głosie pojawił się ton współnictwa, sugestia typu – daj spokój, puść farbę, załatwmy wreszcie tę sprawę. Ale starzec zamknął się w swoim pancerzu:

– Przedtem ksiądz wspomniał Opatrzność. Niech jej ksiądz zada to pytanie, a ja się będę za księdza modlił.

Quart odetchnął powoli kilka razy, zanim podjął kolejną próbę. Najbardziej denerwowała go myśl, że arcybiskup musi się świetnie bawić w fotelu na widowni, zasłonięty chmurą dymu z fajki.

– Czy mógłby ksiądz, jako kapłan, zapewnić, że nie dostrzegł interwencji człowieka w żadnym z tych wypadków?

– Idźże, człowieku, w diabły!

– Słucham?

Nawet neutralny arcybiskup Corvo podskoczył na swoim fotelu. Proboszcz spojrział na niego.

– Z całym szacunkiem, jaki jestem winien księdzu arcybiskupowi, odmawiam dalszych odpowiedzi i od tej chwili będę milczał.

Owo *od tej chwili* było zwykłym eufemizmem, i tak to zrozumiał Quart. Rozmowa trwała już dwadzieścia minut i do tej pory don Príamo nie powiedział nic. Arcybiskup Corvo przybrał swój poprzedni grymas i wypuścił kolejny kłęb dymu; jestem tu tylko ministrantem. W związku z tym Quart wstał. Siwa, pokryta szczeciniastymi włosami głowa proboszcza, podobna do innej głowy, której nie chciał pamiętać, sięgała mu do wysokości drugiego guzika u koszuli. Do miejsca swoich wspomnień wrócił tylko raz, po otrzymaniu święceń: szybkie spotkanie z matką wdową i krótka wizyta u czarnej postaci, ukrytej w kościele niczym małż na dnie muszli. Odprawił tam mszę przed

ołtarzem, gdzie tyle razy występował jako ministrant, czując całkowitą obcość wilgotnej, zimnej nawy, po której zakamarkach błąkało się widmo dzieciaka zagubionego w deszczu nad morzem. Potem wyjechał, żeby nigdy więcej nie wrócić, a kościół, stary proboszcz, wioska z białymi chatami, morze bez serca i bez litości, powoli rozpływały się we wspomnieniach jak zły sen, z którego udało mu się przebudzić.

Powoli wrócił do rzeczywistości. Wszystko to, czego nienawidził, miał przed sobą, w głębi czarnych, upartych oczu, jakie na niego patrzyły twardo, z wyrzutem.

– I jeszcze jedno pytanie. Tylko jedno – schował niepotrzebne kartki i pióro. – Dlaczego ksiądz nie chce opuścić tego kościoła?

Ksiądz Ferro zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Łykowaty jak kawał starej skóry, to było właściwe określenie. Choć Quartowi przychodziły do głowy jeszcze inne.

– To nie jest sprawa księdza – powiedział. – To dotyczy tylko mojego biskupa i mnie.

Quart ucieszył się w myśli, że odgadł odpowiedź, i gestem dał do zrozumienia, że całą tę beznadziejną rozmowę uważa za skończoną. Ku jego zdumieniu Aquilino Corvo przyszedł mu z pomocą.

– Proszę odpowiedzieć księdzu Quartowi, ojcze Priamo.

– Ksiądz Quart nigdy tego nie zrozumie.

– Jestem pewien, że będzie się starał. Bardzo proszę.

Proboszcz zrobił ponurą i hardą minę, pokiwał z uporem krzywo ostrzyżoną głową i zaczął mówić cicho, pod nosem, że Quart nigdy nie słuchał spowiedzi kobiety klęczącej przy konfesjonale w poszukiwaniu pocieszenia, płaczu noworodka, oddechu umierającego ani nie poczuł potu w uścisku dłoni. Nawet gdyby mówił całymi godzinami i tak rzymski wysłannik nie zrozumie ani jednego słowa. A Quart, mimo dyplomatycznego paszportu w kieszeni, mimo oficjalnego poparcia Kurii, tiary i kluczy Piotrowych błyszczących w lewym górnym rogu jego listów uwierzytelniających, rozumiał, że nie ma ani cienia władzy nad tym porywczym starcem o nędznym wyglądzie, stojącym na antypodach wszystkiego, co każdy duchowny kojarzy z chwałą Bożą. Przebłysk niepokoju ożywił w pamięci Quarta, mimo jego pewności siebie, postać Nelsona Coronę, ducha od dawna znajomego. W oczach, które miał naprzeciwko siebie, widać było tę samą determinację i dystans do oficjalnej rzeczywistości. Z tą różnicą, że za zamglonymi okularami Brazylijczyka Quart dostrzegał, jak ze stanowczością miesza się strach. Tymczasem w matowym spojrzeniu księdza Ferro widoczna była jedynie stałość ciemnego głazu. Proboszcz kończył mówić, znów miało zapaść milczenie, chroniące go niby pancerz, kiedy nagle Quart usłyszał, że jego kościół to schronienie, okopy. Porównanie było obrazowe i wysłannik z Watykanu ironicznie uniósł brew, starając się odzyskać, dla własnego

spokoju, dawną pogardę dla wiejskiego księdza: nowy hetman z elity naprzeciwko zaharowanego pionka, a widmo Nelsona Corony gdzieś w rogu szachownicy.

– Ciekawe określenie.

Quart uśmiechnął się, pewny siebie. Znów był silny, bez skazy, bez wyrzutów sumienia, z powrotem widział przed sobą jedynie znoszoną, pełną plam sutannę, nie ogoloną brodę proboszcza. Dziwne, powiedział sobie, jak uspokajający efekt przynosi pogarda. Przywraca właściwą perspektywę, jak aspiryna, odrobina alkoholu lub papieros. Zdecydował się zadać następne pytanie:

– Okopy przeciwko czemu?

Przesadził i jeszcze zanim zamknął usta, wiedział, że tego pożałuje. Z dołu mały i zacięty ksiądz Ferro patrzył prosto w oczy Quartowi.

– Przeciwko temu gadaniu – odrzekł. – I całemu gównu.

Konne wozy, pomalowane na czarno i żółto, stały rzędem, oczekując na klientów w cieniu drzewek pomarańczowych. Oparty o ścianę przed sklepem z pamiątkami turystycznymi Żrebak Fernando obserwował drzwi Arcybiskupstwa. Trzymał ręce w kieszeniach zbyt ciasnej, rozpiętej marynarki w kratę, pod którą biały sweter z golfem opinał tors chudy, lecz krzepki. Wykałaczką poruszała się rytmicznie w kąciku ust, a przymrużone oczy pod łukami brwi poprzecinanych bliznami utkwione były w przerwie między bliźniaczymi kolumnami barokowego portyku. Nie spuszczał z niego wzroku, polecił don Ibrahim, nim wszedł do sklepu, żeby obejrzyć pocztówki i porozglądać się, bo cała trójka stojąca na chodniku za bardzo rzucałyby się w oczy. Żrebak to swój, zaufany człowiek, a oczekiwanie przeciągało się, więc don Ibrahim i Dzidzia Dolores – po obejrzeniu, pod nieufnym spojrzeniem sprzedawcy, wszystkich stojaków z widokówkami i gablot z podkoszulkami, wachlarzami, kastanietami i plastikowymi kopiami Giraldy i Złotej Wieży – zakotwiczyli w pobliskim barze na rogu naprzeciwko, gdzie Dzidzia była teraz w okolicach piątego kieliszka. Żrebak z braku nowych rozkazów nie odrywał wzroku od drzwi. Przez całą długą godzinę, którą wysoki ksiądz spędził w środku, tylko dwukrotnie stracił drzwi z zasięgu wzroku – kiedy para policjantów przeszła przed nim raz w jedną stronę ulicy, raz w drugą, i chwile te poświęcił Żrebak na szczegółową obserwację czubków swoich butów. Cztery ubodzenia byków, dwukrotna służba w Legii, mózgownica działająca ustalonym trybem, kontuzjowana prostymi i sierpowymi w kolejnych rundach, wszystko to wpływa na charakter. Gdyby don Ibrahim i Dzidzia Dolores zapomnieli o nim, mógłby tak bez ruchu spędzić cały dzień i całą noc, w słońcu i w deszczu, aż do zwolnienia albo padnięcia z wycieńczenia i nie oderwałby wzroku od drzwi Arcybiskupstwa, niczym najsumienniejszy strażnik. Tak samo jak dwadzieścia parę lat temu, podczas potwornej awantury na jakiejś nędznej arenie, kiedy jego menedżer powiedział mu, że

jeśli nie zabije cię byk, nędzniku, to zatłucze cię publiczność po wyjściu, Żrebak Fernando ze spoconą twarzą i strachem w oczach wyszedł na środek areny z muletą na wysokości pasa i tam stanął nieruchomo, aż byk – którego nazywano Rzeźnik – rzucił się na niego i czwartym ubodzeniem w jego karierze odciął go raz na zawsze od areny i walk. Później podobne epizody w pięściarstwie, w Legii Cudzoziemskiej i w więzieniu w Puerto de Santa María dodawały blizn jego ciału i pamięci. Bo choć jest prawdą, że szare komórki Żrebaka Fernando błyszczały tym samym blaskiem, co kawał drewna, to przecież nie można mu było odmówić poświęcenia.

Wkrótce zobaczył, że wysoki ksiądz wychodzi. Zatrzymał się chwilę w progu, niezdecydowany, naraz się obejrzał, jakby ktoś go zawołał. Potem młody blondyn w okularach wyszedł za nim i zaczęli rozmawiać przed drzwiami. Żrebak Fernando spojrział w kierunku baru, gdzie czekali don Ibrahim i Dzidzia Dolores, ale robili wrażenie bardzo zajętych winem. Wówczas Żrebak wyjął wykałaczkę z ust, splunął między stopy na chodnik i przeszedł przez placyk, żeby zwrócić ich uwagę; zrobił to zakreślając okrąg, którego styczna przechodziła przez drzwi Arcybiskupstwa. W miarę jak się zbliżał, lepiej przyjrzał się wysokiemu księdzu: mógłby uchodzić za aktora filmowego, gdyby nie czarny garnitur, koloratka przy koszuli i włosy jak u komandosa albo legionisty. Wygląd młodszego był mniej zadbany. Miał jasną skórę i przyszcze na szyi, jak młody chłopiec. I dużo bardziej wyglądał na księdza niż ten drugi.

– Dajcie mu spokój – usłyszał, jak mówi blondyn.

Wysoki patrzył na niego bardzo poważnie.

– Wasz proboszcz to szaleniec – odpowiedział. – Żyje we własnym świecie. Jeśli to ksiądz wysłał wiadomość do Rzymu, to źle się przysłużył i jemu, i Kościołowi.

– Niczego nie wysyłałem.

– O tym jeszcze porozmawiamy. Na spokojnie.

Blondynowi lekko drżał głos. Sprawił wrażenie zadziornego, choć mógł być tylko zaniepokojony albo przestraszony:

– Nie mam księdzu nic do powiedzenia.

– To brzmi jak płyta, która się zacięła – wysoki ksiądz uśmiechał się nieprzyjemnie. – I myli się ksiądz. O wielu sprawach można mi powiedzieć. Na przykład...

Rozmowa stawała się coraz mniej wyraźna, w miarę jak Żrebak oddalał się od księży. Przyspieszył kroku, idąc do baru. Na podłodze pośród trocin walały się łupiny z krewetek, a nad barem wisiały suszone szynki i polędwice. Don Ibrahim i Dzidzia Dolores pili w milczeniu przy barze. W radiu, stojącym na półce, między dwiema butelkami fundadora, śpiewał Camarón:

Wino zabije cały ból

I całą pamięć...

Don Ibrahimowi, stojącemu z cygarem w zębach na odległość wypukłego brzucha od lady, popiół spadał na poły białej marynarki. Dzidzia Dolores przeszła z wina na anyżówkę Machaquito i w tej chwili podnosiła do ust kieliszek ze śladami gęstego karminu na brzegu. Miała mocno wymalowane oczy, niebieską suknię w białe grochy, srebrne kolczyki i czarny lok starannie zaczesany na zniszczonym czole niespełnionej piosenkarki, podobnie jak na okładkach jej trzech czy czterech starych płyt na 45 obrotów, które don Ibrahim przechowywał w swoim pokoju razem z płytami Nat King Cole'a, Los Panchos, Beny'ego More, Antonio Machina i przedpotopowym gramofonem Telefunken. Były adwokat i Dzidzia Dolores spojrzeli na Żrebaka, a ten, stojąc na progu, głową wskazał w kierunku ulicy.

– Uwaga – powiedział.

Trójka wspólników skupiła się przy drzwiach, żeby się przyjrzeć. Wysoki ksiądz rozstał się już z tym drugim i szedł teraz chodnikiem od strony placu, wzdłuż meczetu.

– Ale księżulo – powiedziała Dzidzia głosem zachrypniętym od śpiewu.

– Nieźle wygląda – przyznał zgodnie don Ibrahim, obrzucając idącego krytycznym spojrzeniem.

Łyk Machaquito ożywił radosne błyski w oczach pieśniarki.

– O rany... Żeby to on mi podał ostatnie sakramenty.

Don Ibrahim wymienił ze Żrebakiem Fernando poważne spojrzenie. Podczas akcji, a teraz właśnie jest akcja, taka frywolność była nie na miejscu.

– A stary? – zapytał, żeby wrócić do tematu.

– Jeszcze jest w środku – poinformował Żrebak.

Fałszywy mecenas ssał w zamyśleniu cygaro.

– Nasze hufce teraz się rozdziela – powiedział wreszcie. – Ty, Żrebak, pójdiesz za starym księdzem, a kiedy wróci do domu, przyjdiesz tutaj i zdasz sprawozdanie. Dzidzia i niżej podpisany – będziemy kontrolować wysokiego księdza – zrobił przerwę, żeby spojrzeć, uroczyście, na zegarek od samego Ernesta Hemingwaya. – Zanim przejdziemy do ataku, potrzebujemy informacji, matki każdego zwycięstwa. Jak to widzicie?

Wspólnicy zapewne widzieli to nieźle, bo przytaknęli: poważny, ze zmarszczonymi brwiami Żrebak jakby się zastanawiał nad jakimś słowem wypowiedzianym pięć minut wcześniej, a Dzidzia wpatrywała się nieprzytomnym wzrokiem w oddalającego się księdza. Jeszcze miała kieliszek w ręce i wyglądało, że nie ma ochoty go odstawić. W radiu Camarón dalej śpiewał o winie i rozstaniach, a kelner w białej koszuli z czarnym krawatem dyskretnie wybijał rytm klaśnięciami, nisko za ladą. Don Ibrahim spojrzął na swoją armię i postanowił poprawić morale odpowiednią przemową.

Sewilla jest najwspanialsza na świecie czy coś w tym rodzaju. I będzie u naszych stóp. Brzmiało niezłe, choć może trochę przesadnie. Poza tym nie było do rzeczy.

– Szczęście sprzyja odważnym – powiedział po chwili zastanowienia. I znów zaciągnął się dymem.

– O rany.

Dzisiaj Dolores wykańczała ostatnią kroplę anyżówki. Żrebak, nadal ze zmarszczoną brwią, na koniec poruszył głową.

– Co to znaczy *hufce*?

Pewność siebie Lorenzo Quarta opierała się na nadmiarze świadomości technicznej. Kiedy więc dotarł do swojego pokoju hotelowego, najpierw otworzył skórzaną walizkę, gdzie przechowywał przenośny komputer, a następnie przez godzinę pracował nad raportem przeznaczonym dla arcybiskupa Spady. Dokument ten dotarł e-mailem do dyrektora ISZ-u, jak tylko został zredagowany. Na ośmiu stronach Quart uważnie powstrzymywał się od wyciągania jakichkolwiek wniosków na temat osób, kościoła czy możliwej tożsamości Nieszporów, ograniczając się do dość wiernego zapisu rozmów przeprowadzonych z arcybiskupem Corvo, Gris Marsalą i proboszczem Priamo Ferro.

Dopiero kiedy zamknął pokrywę komputera, kiedy zwinął kable i schował zasilacz, odprężył się. Był w samej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, zrobił kilka kroków po pokoju, między dwoma łózkami z baldachimem i oknem wychodzącym na plac Virgen de los Reyes. Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby zejść na obiad, zaczął więc przeglądać książki o Sewilli, znalezione w małej księgarni naprzeciw ratusza. W tej samej torbie miał też magazyn „Q+S”, kupiony zgodnie z radą arcybiskupa Corvo – „Żeby ksiądz miał szerszy ogląd spraw”, poradził złośliwie prałat. Obejrzał okładkę i zdjęcia wewnątrz, *Kryzys małżeński* głosił napis na okładce. Dalej, obok zdjęć kobiety i jej towarzysza, znalazł podobiznę młodego, bardzo poważnego mężczyzny, dobrze ubranego, w białej koszuli z nieskazitelnym przedziałkiem we włosach: *Potwierdza się wiadomość o separacji. Finansista Gavira umacnia swoją pozycję silnego człowieka andaluzyjskiej finansjery, a Macarena Bruner prowadzi nocne życie w Sewilli*. Quart wyrwał kartki i schował je do teczki. W tej samej chwili zauważył, że na nocnej szafce leży Nowy Testament w wydaniu, które Gedeon International rozdawało bezpłatnie hotelom. Pamiętał, że zostawił go nie tam, ale w szufladzie, gdzie trzymał wszystkie dokumenty, papiery i listy, które mu przeszkadzały. Otworzył książkę i zauważył, że dwie strony były zaznaczone zakładką ze starej pocztówki. Na dole przeczytał: *Kościół Matki Boskiej Płaczącej. Sewilla. 1895*. Zdjęcie nie było doskonałe, blada poświata otaczała główny plan, lecz kościół był widoczny, mocno wyblakły, choć dający się rozpoznać – portyk z barokowymi kolumnami, figura Matki

Boskiej w niszy, z nietkniętą głową, obok dzwonnica. Wyglądał lepiej niż teraz. Przed nim na placu stał stragan, na którym mężczyzna w pasie i andaluzyjskim kapeluszu sprzedawał jarzyny dwóm ubranym na czarno kobietom, stojącym tyłem do fotografa. Z drugiej strony, wąską uliczką wychodzącą z placu siedł osiołek woziwody, z dwiema bańkami na grzbiecie, a jego właściciel został utrwalony jako ledwo widoczna sylwetka, widmo mające zaraz zniknąć w białym nimbie wokół całego widoku.

Quart odwrócił pocztówkę. Kilka linijek zapisanych angielską kaligrafią o łagodnych liniach, słabo już czytelnym atramentem, przemienionym w blade jasnobrązowe kreski.

Tutaj modłę się za Ciebie każdego dnia i oczekuję Twego powrotu, w świętym miejscu Twojej przysięgi i mojego szczęścia.

*Będę Cię kochać zawsze,
Carlota*

Na nietkniętym znaczku za dwadzieścia pięć centymów z wizerunkiem Alfonsa XIII nie było stempla, a napisaną ręcznie datę w nagłówku zamazała plama wilgoci. Quart odcyfrował dziewiątkę i niewyraźną siódemkę na końcu, co mogło oznaczać rok 1897. Adres natomiast był doskonale widoczny: Kapitan don Manuel Xaloc, na pokładzie statku „Manigua”, Port w Hawanie, Kuba.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer recepcji. Portier zaprzeczył, jakoby ktoś wchodził do jego pokoju, nikt też nie pytał o niego od ósmej rano, czyli od chwili, kiedy zaczął swój dyżur. Może sprzątaczkę wiedzą coś więcej. Quart zadzwonił do nich, ale rozłączył się, niczego nie ustalwszy. Nie przypominały sobie, żeby dotyczyły Nowego Testamentu, i nie mogą powiedzieć, czy był w szufladzie, czy na szafce, kiedy sprzątały jego pokój. A poza nimi nikt tam nie wchodził.

Usiadł naprzeciw okna z pocztówką w ręku, nadal jej się przyglądając. Statek zacumowany w porcie w Hawanie w 1897. Kapitan o nazwisku Manuel Xaloc i jakaś Carlota, kochająca go i modląca się za niego u Matki Boskiej Płaczącej. Czy mają znaczenie słowa napisane na kartce, a może chodzi jedynie o widok kościoła? Nagle przypomniał sobie Biblię Gedeonów, może pocztówka znaczyła jakąś szczególną stronę, nie była włożona przypadkowo? Przeklinał swoją nieuwagę, wstał i podszedł do szafki, i dostrzegł, że na szczęście odłożył otwartą książkę grzbietem do góry. Były to strony 168 i 169 – Ewangelia wg św. Jana, 2 – i choć żaden akapit nie był zaznaczony, z łatwością odnalazł cytat. Był nazbyt oczywisty:

*15. Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków,
powypedzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły,*

porozrzucal monety bankierów, a stoły powywracał.

*16. Do tych zaś, którzy sprzedawali gołębie rzekł: „Weźcie to stad, a z domu mego Ojca nie róbcie targowiska!”**

Poruszał głową, spoglądając na przemian na książkę i pocztówkę. Pomyślał o arcybiskupie Spadzie i o Jego Eminencji kardynale Iwaskiewiczzu i uznał, że raczej nie spodoba im się obrót, jaki sprawy zdają się przybierać. Jemu tym bardziej nie. Ktoś tutaj jest amatorem niepokojących zabaw, takich jak wdzieranie się do papieskich komputerów, pokoi hotelowych i cudzych ewangelii. Quart przypomniał sobie wszystkie dotychczas poznane twarze, zastanawiając się, czy jest między nimi ta, której szuka. Rany Boskie! Poczul rosnącą wściekłość, rzucił książkę i pocztówkę na łóżko. W tym stanie rzeczy tylko tego brakowało – ducha, który bawi się w chowanego.

Quart wysiadł z windy na parterze, przeszedł obok wystawy hotelowej kolekcji wachlarzy i kroczył korytarzem wokół westybulu. Jego czarna surowa postać nie pasowała do tego wnętrza. Czterogwiazdkowy hotel Doña María był przeznaczony dla turystów i mieścił się w pięknym starym budynku przy ulicy Don Remondo, dwa kroki od dzielnicy Santa Cruz; architekt wnętrz trochę przesadził z wystrojem parteru, przeładowanym motywami folklorystycznymi, wizerunkami torreadorów i andaluzyjskich kobiet z wysokimi grzebieniami i w mantylkach. W drzwiach młoda przewodniczka o zmęczonym wyglądzie, trzymająca w górze małą chorągiewkę holenderską, zbierała wielobarwną grupę zaopatrzoną w aparaty fotograficzne i kamery wideo. Podchodząc do recepcji, udało mu się dostrzec plastikową tabliczkę, którą miała na piersi: *V. Oudkerk*. Uśmiechnął się współczująco, a dziewczyna odwzajemniła się grymasem, po czym oddaliła się wraz ze swoją drużyną.

– Czeka na księdza pewna pani. Właśnie przyszła.

Quart spojrział na recepcjonistę zaskoczony i odwrócił się ku fotelom w westybulu. Siedziała tam kobieta o długich, sięgających poniżej ramion, ciemnych włosach, w słonecznych okularach, dzinsach, mokasynach i w brązowej marynarce na jasnoniebieskiej koszuli. Wydawała się bardzo piękna i kiedy Quart zbliżał się, wstała, a on mógł potwierdzić to wrażenie, podziwiając kontrast między naszyjnikiem z kości słoniowej i opaloną skórą, złotą bransoletką na nadgarstku i skórzaną torbą ubrique na kanapie obok niej. Szczupła, elegancka dłoń, o doskonałych paznokciach była wyciągnięta przed siebie, gotowa do powitania.

– Nazywam się Macarena Bruner.

* Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum 1995.

Rozpoznał ją kilka sekund wcześniej, dzięki zdjęciom w magazynie. Quart nie mógł powstrzymać się przed wpatrywaniem się w jej usta. Były duże, pięknie zarysowane, wpółotwarte, z lekkim błyskiem przednich zębów pod górną wargą, w kształcie serca, pomalowane bladoróżową, niemal bezbarwną szminką.

– No, naprawdę... – powiedziała. Wydawało się, że szczegółowo przygląda mu się zza ciemnych okularów, nieco zaskoczona. – Rzeczywiście, świetnie ksiądz wygląda.

– Pani również wygląda świetnie – odpowiedział Quart spokojnie.

Była nieco niższa od niego, mierzącego metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Dżinsy i skórzany pasek podkreślały atrakcyjne biodra pod marynarką. Trzy wyhaftowane kotki siedziały na koszuli obficie wypełnionej dwoma pełnymi kształtami i Quart uznał za stosowne, nieco zaniepokojony, opuścić wzrok, pod pretekstem sprawdzenia godziny na zegarku. Nadal obserwowała go, zamyślona.

– Chciałabym z księdzem porozmawiać – powiedziała wreszcie.

– Oczywiście. Jestem wdzięczny za tę wizytę, sam zamierzałem panią odwiedzić. – Quart rozejrzał się wokół... – Jak pani do mnie dotarła?

– Dzięki przyjaciółce. Gris Marsali.

– Nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółkami.

Roześmiała się swobodnie: błysk kości słoniowej w ustach, bliźniaczy z naszyjnikiem na skórze w kolorze jasnego tytoniu. Od razu widać było, że jest to kobieta pewna siebie, zarówno pod względem pozycji, jak i urody; Quart jednak był świadomy, że czarny garnitur i koloratka powodują u niej pewne zmieszanie, podobnie jak u Gris Marsali. To się zdarza często kobietom, zarówno pięknym, jak i nie, jakby strój duchownego umieszczał mężczyznę poza obszarem właściwym temu rodzajowi.

– Czy moglibyśmy teraz porozmawiać?

– Oczywiście.

Usiedli naprzeciwko siebie. Założyła nogę na nogę, usadawiając się na kanapie, na której wcześniej czekała na niego; zajął fotel obok.

– Wiem, po co przyjechał ksiądz do Sewilli.

– Proszę nie sądzić, że mnie pani zaskakuje. – Quart uśmiechnął się z rezygnacją. – Cel mojej podróży jest powszechnie znany.

– Gris doradziła mi spotkać się z księdzem.

Spojrzał na nią z nowym zaciekawieniem. Ciemne okulary nadal zasłaniały jej oczy i Quart zastanowił się, jak też one wyglądają.

– To dziwne. Wczoraj pani przyjaciółka nie robiła wrażenia osoby chętnej do współpracy.

Włosy Macareny Bruner spadały na ramię, zasłaniając pół twarzy, odrzuciła je do tyłu ruchem głowy. Były bujne i bardzo ciemne, ocenił Quart. Andaluzyjska piękność

podobna do tych, jakie malował Romero de Torres, czy też do Carmen z Tytoniowej Fabryki, opisaney przez Meriméego. Każdy malarz, każdy Francuz i każdy torreador mógłby stracić głowę dla tej kobiety. Przez ułamek sekundy zadał sobie pytanie, czy również każdy ksiądz.

– Nie powinien ksiądz tworzyć sobie fałszywego obrazu tego kościoła – powiedziała. Zrobiła krótką przerwę i dodała: – Ani księdza Ferro.

Quart pozwolił sobie na stłumiony śmiech, którego celem przede wszystkim było umieszczenie tamtego ułamka sekundy na właściwym miejscu. Sarkazmem dodał sobie pewności:

– Proszę mi nie mówić, że i pani należy do jego fanklubu.

Jego dłoń zwisała z oparcia fotela i pomimo ciemnych okularów zauważył, że kobieta patrzy na nią. Dyskretnie odsunął dłoń, splatając palce obu rąk.

Macarena Bruner przez chwilę zachowała milczenie. Znów odgarnęła włosy z twarzy i wydawało się, że rozmyśla nad celowością dalszego prowadzenia tej rozmowy.

– Proszę posłuchać – powiedziała wreszcie. – Gris i ja jesteśmy przyjaciółkami. Ona jest zdania, że obecność księdza tutaj może być pożyteczna, choć księdza intencje nie są dobre.

Quart dostrzegł pojednawczy ton w jej głosie. Uniósł dłoń i zauważył, że znów obserwowała jego ruch.

– Jest coś drażniącego w tym wszystkim, pani... Nie wiem, czy mam się do pani zwracać: pani Bruner?

Czuł się nieswojo pod spojrzeniem ukrytym za przydymionymi szklami, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Proszę mi mówić Macarena.

Zdjęła ciemne okulary i Quarta zaskoczyła uroda wielkich, ciemnych oczu, w których migotały miodowe błyski. Chryste Panie, powiedziałaby głośno, gdyby sądził, że Bóg zajmuje się takimi sprawami. Ograniczył się jedynie do wytrzymania tego spojrzenia, jakby zbawienie jego duszy od tego zależało. W sumie może i zależało, o ile w ogóle istnieją takie rzeczy jak dusza czy Opatrzność.

– Proszę posłuchać, Macareno – powiedział, pochylając się ku niej, aż oparł łokcie na kolanach. Zbliżając się, poczuł jej zapach, łagodny jak jaśmin. – Coś w tej historii mnie drażni. Wszyscy zakładają, że przyjechałem do Sewilli, żeby zniszczyć księdza Priamo Ferro. A to nieprawda. Przyjechałem, żeby napisać raport o całej sytuacji. I nie mam żadnych uprzedzeń. Tyle tylko, że ksiądz proboszcz wcale nie jest chętny do współpracy... – z powrotem oparł się w fotelu i dodał kwaśno: – Właściwie nikt nie jest chętny do współpracy.

Teraz ona się roześmiała.

– Bo nikt księdzu nie ufa, i to logiczne.

– Dlaczego?

– Arcybiskup źle się o księdzu wyrażał. Nazywa księdza łowcą skalpów.

Quart skrzywił się. Jego Eksceleńcja to święty człowiek.

– Tak. Znamy się od dawna.

– Ale sprawę księdza Ferro można załatwić – przygryzła dolną wargę. – Sądzę, że mogłabym coś zrobić w tym kierunku.

– Tak byłoby lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla niego. Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego miałyby to pani zrobić? Co pani na tym wygrywa?

Poruszyła głową, jakby to nie miało znaczenia, a włosy znów opadły na ramię. Odgarnęła je, patrząc Quartowi w twarz.

– Czy to prawda, że papież dostał jakąś wiadomość?

Nie ulegało wątpliwości, że Macarena wiedziała, jaki efekt wywołują jej oczy. Quart ukradkiem przełknął ślinę – częściowo przez spojrzenie, częściowo przez pytanie.

– To sprawa poufna – odpowiedział, łagodząc słowa uśmiechem. – Proszę wybaczyć, że nie potwierdzę ani nie zaprzeczę.

Wzruszyła ramionami ze wzgardą.

– To tajemnica, którą wszyscy znają.

– W takim razie moja odpowiedź nie ma znaczenia.

Ciemne oczy zabłysły w zamyśleniu. Macarena Bruner oparła się o poręcz kanapy i ruch ten spowodował, że kotki pod marynarką przeciągnęły się wyzywająco.

– Ostatnie słowo w sprawie kościoła Matki Boskiej Płaczącej ma moja rodzina – wyjaśniła. – To znaczy moja matka i ja. Jeśli zostanie wydany administracyjny nakaz opuszczenia obiektu i jeśli arcybiskupstwo zezwoli na rozbiórkę, ostateczna decyzja co do losu tego terenu i tak należy do nas.

– Nie całkiem – sprzeciwił się Quart. – Z tego, co wiem, magistrat też ma coś do powiedzenia.

– Będziemy się procesować.

– Pani, teoretycznie rzecz biorąc, nadal jest mężatką. A mąż pani...

Przerwała mu, przecząco kiwając głową.

– Od sześciu miesięcy nie mieszkamy razem. Mąż nie ma prawa występować w moim imieniu.

– I nie próbuje pani przekonać?

– Próbuje – teraz Macarena Bruner uśmiechała się w całkiem nowy sposób; wzgardliwy grymas, pełen dystansu, niemal okrucieństwa, odebrał ponętność jej ustom. – Ale nie ma znaczenia, czy będzie próbował, czy nie. Ten kościół obroni się.

– Obroni się? – zdziwił się Quart. – Ciekawe słowo. Mówi pani o nim, jakby był

żywy.

Znów patrzyła na jego dłonie.

– Może i jest. Wiele rzeczy jest żywych, choć wcale na to nie wyglądają. – Zamyśliła się na moment, ale błyskawicznie wróciła do rzeczywistości. – Myślę o tym, że po prostu jest niezbędny. Ksiądz Ferro zresztą też.

– Dlaczego? Są w Sewilli inne kościoły i inni księża.

Teraz naprawdę się roześmiała. Szczery i dźwięczny śmiech, tak zaraźliwy, że Quart przez chwilę też miał chęć wybuchnąć śmiechem.

– Don Priamo jest wyjątkowy, i jego kościół też – nadal się uśmiechała, a miodowe refleksy powróciły do jej spojrzenia, spoczywającego na Quarcie. – Ale nie potrafiłabym tego wyjaśnić słowami. Musi ksiądz tam pójść.

– Już tam byłem. Pani ulubiony proboszcz o mało nie wyrzucił mnie za drzwi.

Macarena Bruner znów się roześmiała. Quart nigdy wcześniej nie słyszał kobiecego śmiechu równie donośnego i miłego. Sam sobą przerażony, poczuł, że pragnie, by zaśmiała się jeszcze raz. W jego starannie wytrenowanym mózgu zabrzmiał dzwonek alarmowy. Zaczynało to przypominać pokusy ogrodów, od których jego dawni duchowni mentorzy radzili trzymać się z daleka: węże, jabłka, wcielenia Dalili i inne diabelskie sztuczki.

– Tak – powiedziała. – Gris mi opowiadała. Ale proszę spróbować jeszcze raz. Proszę pójść na mszę i zobaczyć, co tam się dzieje. Może wtedy ksiądz lepiej zrozumie.

– Tak zrobię. Czy pani chodzi na msze o ósmej?

Za tym pytaniem nie kryły się żadne złe intencje, ale spojrzenie Macareny Bruner nagle spoważniało.

– To nie jest sprawa księdza.

Bawiła się oprawką okularów słonecznych. Quart podniósł ręce w przeproszającym geście, nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Żeby przerwać jakoś tę sytuację, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kelnera i zapytał, czy nie napiałaby się czegoś. Pokręciła przecząco głową. Wydawała się już spokojniejsza, Quart zadał więc kolejne pytanie:

– Co pani sądzi o tych dwóch śmiertelnych wypadkach?

Tym razem jej śmiech był nieprzyjemny, między zaciśniętymi zębami.

– Że nie należy igrać z gniewem Bożym.

Quart spojrzał na nią bardzo poważnie.

– Szczególny punkt widzenia.

– Dlaczego? – wydawała się szczerze zdziwiona. – Oni sami, lub ci, którzy ich tam posłali, tego chcieli.

– Nie przemawiają przez panią zbyt chrześcijańskie uczucia.

Zniecierpliwionym gestem podniosła torbę, która leżała obok, ale zaraz ją

opuściła. Jej palce bawiły się teraz rzemiennym uchem.

– Ksiądz tego nie rozumie... – spojrzała na niego niepewnie. – Jak mam się do księdza zwracać? Wielebny księże Quart?

– Proszę mi mówić po prostu Lorenzo. I tak nie będzie się pani u mnie spowiadać.

– Dlaczego nie? Przecież jest ksiądz duchownym.

– Trochę nietypowym – przyznał Quart. – I przyjechałem tu sprawować inne funkcje.

Mówiąc to, na kilka sekund spuścił wzrok, nie potrafił do końca zapanować nad sytuacją. Kiedy znów spojrzał, zauważył, że kobieta obserwuje go z nowym zaciekawieniem, niemal złośliwie.

– Byłoby nawet zabawnie, gdybym miała spowiadać się u księdza. Chciałby ksiądz?

Quart powoli odetchnął głęboko dwa razy. Następnie zacisnął usta, jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Okładka „Q+S” złowróźnie mignęła mu przed oczami.

– Może – powiedział – ale boję się, że nie byłbym bezstronny przy tej posłudze. Jest pani zbyt...

– Zbyt jaka?

Nie było to czyste zagranie z jej strony, pomyślał gorzko. Napiera za mocno. Naciska za bardzo, nawet jeśli ma naprzeciwko kogoś z tak silnymi nerwami, jak Lorenzo Quart. Odetchnął jeszcze dwukrotnie, jakby to było ćwiczenie jogi. Postaraj się tak do tego podejść, powiedział sobie, niech spokój cię teraz nie opuści.

– Atrakcyjna – powiedział z doskonałym chłodem. – To chyba właściwe słowo. Ale o tym wie pani dużo lepiej niż ja.

Macarena Bruner doceniła odpowiedź krótką chwilą milczenia. Bardzo dobrze, mówiły jej oczy.

– Gris ma rację – powiedziała. – Wcale ksiądz nie wygląda na duchownego.

Quart potaknął głową, nie obniżając czujności.

– Wydaje mi się, że ksiądz Ferro i ja należymy do różnych gatunków.

– Zgadł ksiądz. To on jest moim spowiednikiem.

– Jestem pewny, że to dobry wybór – wyważona pauza odebrała wszelki możliwy cień ironii jego słowom. – To człowiek bardzo surowy.

Nie dała się zwieść przymiotnikiem.

– Ksiądz nic o nim nie wie.

– Właśnie staram się dowiedzieć. Nikt jednak nie chce mi udzielić informacji.

– Ja to zrobię.

– Kiedy?

– Nie wiem. Jutro wieczorem. Zapraszam księdza na kolację do La Albahaca.

Quart starał się szybko myśleć.

– La Albahaca – powiedział, żeby zyskać na czasie.

– Tak, na placu Santa Cruz. Przy wejściu wymagany jest krawat, ale myślę, że w przypadku księdza nie będzie problemów z koloratką. Choć jest ksiądz osobą duchowną, potrafi się dobrze ubierać.

Dopiero po jakichś trzech sekundach skinął głową. Dlaczego nie. Przede wszystkim po to przyjechał do Sewilli. To będzie dobra okazja, żeby wypić za zdrowie kardynała Iwaszkiewicza.

– Mogę założyć krawat, jeśli pani sobie życzy. Choć nigdy jeszcze, w żadnej restauracji, nie miałem problemów.

Macarena Bruner wstała i Quart uczynił to zaraz po niej. Znów patrzyła na jego dłonie.

– Skąd miałabym o tym wiedzieć? – uśmiechnęła się wkładając ciemne okulary. – Jeszcze nigdy nie byłam na kolacji z księdzem.

Powietrze, które don Ibrahim wachlował kapeluszem, pachniało kwiatem pomarańczy i jej gorzkimi owocami. Obok niego na placu Virgen de los Reyes Dzidzia Dolores szydełkowała, pilnując drzwi do hotelu Doña María: cztery spuszcza, dwa naddaje, jeden półsłupek i jeden słupek. Dzidzia powtarzała wzór po cichutku, jedynie ruchem ust, jakby się modliła, kłębek poruszał się na spódnicy, dzianina powoli rosła w jej dłoniach, a srebrne bransoletki pobrzękiwały na nadgarstkach. Robiła narzutę na łóżko do swojego wiano. Od blisko trzydziestu lat wiano Dzidzi Dolores żółkło pomiędzy kulkami naftaliny na dnie szafy w jej maleńkim mieszkaniu w dzielnicy Triana; dodawała do niego coraz to nowe rzeczy, jakby chciała zatrzymać czas, oczekując na ciemnowłosego mężczyznę o zielonych oczach, który pewnego dnia przyjdzie po nią, pomiędzy zwrotkami o okowicie i białym księżycu.

Przez plac przejechał konny wóz, a w nim czterech angielskich chuliganów w kordobańskich kapeluszach, pijących piwo – miała grać Betis z Manchesterem – i don Ibrahim podążył za nimi wzrokiem, kręcąc węża i wdychając ze smutkiem. Biedna Sewilla, mruknął pod nosem po chwili, mocniej wachlując się białą panamą; Dzidzia Dolores przytaknęła, nie podnosząc głowy, pochłonięta robótką: cztery spuszcza, dwa naddaje. Don Ibrahim wyrzucił niedopałek cygara, patrzył, jak się żarzy dymiąc na ziemi. Wreszcie pełnym elegancji ruchem laski zakończył jego konanie. Nienawidził brutalnych typów, którzy byli zdolni rozgnieść niedopałek dobrego cygara, jakby go mordowali, a nie gasili. Zaliczka od Peregila pozwoliła mu zakupić całą skrzyneczkę, nową, z nietkniętą plombą, cygar Montecristo, na co nie mógł sobie pozwolić niemal od czasów, kiedy Noe porzucił żeglowanie. Dwie wspaniałe grube głowy cygar wyglądały z górnej kieszeni marynarki jego pomiętego garnituru z białego

Inu. Podniósł rękę do piersi, dotykając ich z czułością. Niebo było błękitne, powietrze pachniało kwiatem pomarańczy, był w Sewilli, trafił mu się dobry interes, w kieszonce miał hawańskie cygara, a w portfelu trzydzieści tysięcy peset. Do pełni szczęścia brakowało mu jedynie trzech biletów na corridę, miejsca w cieniu, a na arenie Faraón de Camas albo ten świetnie zapowiadający się młodzieniec, Curro Maestral, który według Żrebaka co prawda ma styl, ale nie warto go nawet porównywać ze świętej pamięci Juanem Belmonte. Ten sam Curro Maestral, o którym gazety pisały, że uwodzi żony bankierów. Jak się temu dobrze przyjrzeć, to obie sprawy dotyczą rogów.

A skoro już mowa o kobietach... Wysoki ksiądz pojawił się właśnie w drzwiach hotelu, rozmawiając z bardzo przystojną kobietą. Don Ibrahim trącił łokciem Dzidzię Dolores, która zaraz przerwała robótkę. Kobieta była w ciemnych okularach, jeszcze młoda, wyglądała przyjemnie, ubrana z klasą, elegancko i swobodnie, w sposób charakterystyczny dla andaluzyjskich kobiet z dobrych rodzin. Właśnie podała księdzu dłoń. Wprowadzało to niespodziewane możliwości interpretacji, więc don Ibrahim i Dzidzia Dolores wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Coś tu się święci, Dzidziu...

– Też tak mówię.

Były mecenas włożył na głowę panamę z białej słomki i podniósł się ze sporymi trudnościami, podpierając laską od Marii Felix, z pewną siebie miną. Poleciał Dzidzi Dolores, żeby dalej szydełkowała, nie tracąc z oczu wysokiego księdza, a sam ruszył z największą dyskrecją, przemieszczając swoje sto dziesięć kilo w ślad za kobietą w ciemnych okularach. Szedł za nią, kiedy wchodziła w głąb dzielnicy Santa Cruz, ulicą Guzman el Bueno, aż zniknęła w bramie pałacu znanego jako Dom z Okiennicami. Ze zmarszczoną brwią i czujnym wzrokiem don Ibrahim podszedł do łuku w fasadzie, pomalowanego ochrą i wapnem, otwierającego się na nieuniknione pomarańczowe drzewka na placu, który służył za podjazd. Dom z Okiennicami był znanym w Sewilli miejscem: pałac z szesnastego wieku, stała rezydencja książąt del Nuevo Extremo. Amerykanin zapamiętywał wszystkie szczegóły, czyniąc rozeznanie taktyczne. Okna były chronione żelaznymi kratami, a pod dużym balkonem herb szlachecki strzegł głównego wejścia – tarcza ozdobiona wizerunkiem lwa u góry, z sekwencją kotwic i głów Maurów albo indiańskich kacyków, wstęga z umieszczonym na niej granatem, a pod spodem dewiza *Oderint dum probent*. Niech wachają to, czego próbują, czy coś takiego, przetłumaczył sobie w myśli były mecenas, chwając niezaprzeczalny zdrowy rozsądek tego zdania. Następnie podszedł, jako osoba nie lubiąca załatwiać spraw w ciemnych bramach, do kraty z kutego żelaza, zamykającej przejście na wewnętrzne patio, przepiękne miejsce otoczone mauretańską kolumnadą, ozdobione wielkimi donicami pełnymi kwiatów i roślin wokół studni wyłożonej marmurem i kafelkami. Został tam aż do chwili, kiedy ubrana na czarno

służąca zbliżyła się do kraty, wyraźnie zaniepokojona. Uśmiechnął się do niej, najniewinniej jak potrafił i uchylając kapelusza, odszedł z niezręcznością roztargnionego turysty. Zatrzymał się znów przed fasadą. Nadal uśmiechał się pod bujnym wąsem poplamionym nikotyną, kiedy wyciągał z kieszeni jedno z cygar i ostrożnie zrywał opakowanie. *Montecristo*, „*Hawana*” głosił napis wokół maleńkiego kwiatu lili. Obciął końcówkę nożykiem, który nosił na dewizce. Nożyk był drobiazgiem – jak opowiadał – podarowanym mu przez przyjaciół, Ritę i Orsona, na pamiątkę niezapomnianego wieczoru w Starej Hawanie, kiedy pokazywał im fabrykę tytoniową Partagas, na skrzyżowaniu ulic Dragones i Barcelona, a potem Rita i on tańczyli w Tropicanie aż do białego rana. Kręcili tam właśnie *Kobietę z Szanghaju*, czy coś takiego, Orson upił się jak bela i wszyscy całowali się i ściskali, a na koniec podarowali mu ten nóż, którym Obywatel Welles obcinał cygara. Pograżony we wspomnieniach, don Ibrahim włożył hawanę do ust i obrócił ją w zębach, smakując zewnętrzny liść tytoniu. Ciekawie wyglądają, pomyślał sobie, te damskie znajomości wysokiego księdza. Następnie zbliżył zapalniczkę do końcówki montecristo, ciesząc się z góry na pół godziny przyjemności, jakie go czeka. Don Ibrahim nie mógł wyobrazić sobie życia bez hawańskich cygar. Ich zapach w cudowny sposób odtwarzał jego wspaniałą przeszłość, a Sewilla i Hawana, miasta podobne do siebie i jego karaibską młodość, w której on sam nie potrafił już odróżnić prawdy od zmyślenia, łączyły się w pierwszych kłębach dymu w wizję niezwykłą i doskonałą.

W burdelu było czerwone światło, w głośnikach śpiewał Julio Iglesias. Szklanka Celestino Peregila zadzwęczała, kiedy Czarna Lola dorzuciła mu lodu do whisky.

– Bombowo wyglądasz – powiedział Peregil.

Było to stwierdzenie obiektywnego faktu. Lola poruszyła biodrami za barem i dotknęła kostką lodu nagiego pępka pod krótką koszulką, podtrzymującą jej ogromny biust, falujący w rytm muzyki. Była to wielka cygańska samica, dobrze po trzydziestce, bardziej zaprawiona w bojach niż najstarszy wirus.

– Zerznę cię wspaniale – zapowiedział Peregil, przesuając ręką po czole, żeby poprawić włosy zasłaniające łysinę. – Z wrażenia spadniesz z łóżka.

Przyzwyczajona do takiego rytuału i wspaniałego rżnięcia Peregila, Lola zrobiła dwa taneczne kroki, patrząc mu w oczy; potem wsunęła czubek języka między wargi, wrzuciła kostkę lodu, którą wcześniej dotykała pępka, do jego szklanki i poszła dolać katalońskiego szampana innemu klientowi, facetowi, którego dziewczynki naciągnęły już na dwie butelki, a zapowiadało się, że otworzą jeszcze jedną. W głośnikach Julio Iglesias upierał się, że jest łotrem i wielkim panem, a następnie sprzeczał z Jose Luisem Rodriguezem „El Puma”, czy żeby wyprowadzić kobietę w maliny, trzeba być torreadorem czy nie. Obojętny na ten spór, Peregil wypił łyk whisky, spoglądając na

Fatimę, Arabkę, która tańczyła samotnie na parkiecie, w spódniczce ledwie zasłaniającej tyłek, w butach do kolan i z dekoltem, w którym radośnie podskakiwały jej piersi. Fatima była drugą opcją na tę noc, zaczął więc rozważać wszelkie za i przeciw takiego obrotu sprawy.

– Cześć, Peregil.

Nie słyszał, jak weszli ani jak się zbliżali. Stanęli obok niego po obu stronach, opierając się o bar, jakby właśnie kontemplowali pejzaż butelek ustawionych w rzędach na półkach ozdobionych lustrami. Peregil widział przed sobą ich odbicia, między etykietami i reklamówkami trunków: Cygan Mairena po jego prawej, ubrany na czarno, chudy i niebezpieczny, wyglądał na tancerza flamenco, z ogromnym złotym sygnetem tuż obok kikuta kciuka, który sam sobie odciął jednym ruchem podczas buntu w więzieniu w Ocaña. Kurczak Szczena stał po lewej, jasnowłosy, schludny i drobny, wydawał się jakby zrośnięty z kosą, którą nosił w lewej kieszeni spodni, i zawsze mówił *przepraszam*, zanim kogoś sieknął.

– Zaprosisz nas na kielicha? – Cygan zadał to pytanie powoli, z czułością, jakby ciesząc się ze szczęśliwego przypadku. I nagle Peregil poczuł gorąco. Bliski omdlenia zawołał Lolę. Gin z tonikiem dla Maireny i to samo dla Kurczaka Szczeny. Dwie szklanki stały na barze, nietknięte. W lustrze oba spojrzenia były utkwione w niego.

– Mamy dla ciebie wiadomość – powiedział Cygan.

– Od przyjaciela – dodał ten drugi.

Peregil przełknął ślinę, mając nadzieję, że w czerwonym świetle tego nie zauważą. Przyjaciel nazywał się Ruben Molina i był lichwiarzem z Baratillo, któremu od wielu miesięcy podpisywał weksle, przeważnie z dawno już minionym terminem płatności, i których łącznej wartości sam Peregil nie potrafił sobie przypomnieć bez zawrotu głowy. Ruben Molina znany był w pewnych środowiskach w Sewilli z tego, że wysyłał tylko dwie wiadomości mające przyspieszyć spłatę długu: pierwszą słowną, a drugą połączoną z czynem. Mairena i Kurczak Szczena byli jego etatowymi posłańcami.

– Powiedźcie mu, że zapłacę. Mam na widoku świetny interes.

– To samo mówił Frasquito Torres.

Kurczak Szczena uśmiechał się, niebezpiecznie wyrozumiały i sympatyczny. Z drugiej strony, w lustrze, podłużna, ascetyczna twarz Cygana miała wyraz równie radosny, jakby właśnie pochował własną matkę. Patrząc na swoje odbicie między nimi dwoma, Peregil chciał znów przełknąć ślinę, lecz mu się to nie udało: przy wspomnieniu Frasquito Torresa poczuł kompletną suchość w gardle. Frasquito pochodził z dobrej rodziny, znany był w całej Sewilli jako zbłąkana owca i przez jakiś czas, podobnie jak Peregil, korzystał z usług lichwiarza Moliny. Choć minął termin, on nadal nie był wypłacalny, aż spotkał pod domem kogoś, kto wybił mu, jeden po drugim, wszystkie zęby. Zostawiono go na miejscu, z kompletem zębów w torebce z

gazetowego papieru, włożonej do górnej kieszeni marynarki.

– Potrzebuję tylko tygodnia.

Cygan Mairena podniósł ramię i objął Peregila w geście tak niespodziewanie przyjacielskim, że objętemu ugięły się ze strachu nogi w kolanach. Kikutem obciętego kciuka Cygan gładził go po brodzie.

– Co za zbieg okoliczności – czarna koszula Cygana śmierdziała starym potem i dymem papierosowym. – Bo właśnie tyle masz, bracie. Dokładnie siedem dni i ani minuty więcej.

Peregil mocno oparł dłonie na barze, żeby zapobiec ich drżeniu. Na półce przed nim etykiety zlewały się jedna z drugą – White Larios, Johnnie Ballentine's, Four Horses, Black Walker. Życie jest śmiercionośne, powiedział sobie. Zawsze cię wykańcza.

– Powiedzcie Molinie, że nie ma sprawy – wybelkotał. – Jestem rzetelnym człowiekiem. Właśnie mam ubić świetny interes.

Po tych słowach wyciągnął rękę po szklankę i wychylił to, co w niej było, jednym długim haustem. Kostka lodu zagrzechotała, złowieszczo uderzając o zęby i przypominając mu, że Frasquito Torres musiał zadłużyć się u kolejnego lichwiarza, żeby zapłacić czterysta pięćdziesiąt tysięcy za nową szczękę, tym razem sztuczną. Cygan nadal obejmował go ramieniem.

– To dobre słowo – zadrwił Kurczak Szczena. – Ubić.

Julio Iglesias nadal śpiewał swoje. W rytm muzyki Czarna Lola, kręcąc biodrami, przeszła za barem w ich kierunku, żeby chwilę pogadać. Zmoczyła palec w whisky Peregila, oblizwała go, mocno ssąc wargami, otarła się brzuchem o ladę i poruszyła zawartością podkoszulka z doskonałym zawodowym doświadczeniem, po czym spojrzała na trójkę mężczyzn, zawiedziona. Peregil wyglądał, jakby zobaczył ducha, a dwaj faceci po jego bokach nie mieli przyjemnego wyrazu twarzy i na dodatek – niepokojący objaw – obie szklanki ginu z tonikiem były nietknięte. Lola zrobiła pół obrotu i nie przestając poruszać biodrami, zeszła im z widoku. Spędziła całe życie za barem i doskonale wiedziała, z którego pieca chleba nie będzie.

V

Dwadzieścia pereł kapitana Xaloca

Kochałem też kobiety zmarłe.
(Heinrich Heine, *Florenckie noce*)*

Podkomisarz Simeón Navajo, szef zespołu śledczego w regionalnej komendzie w Sewilli, zjadł kawałek tortilli i spojrział na Quarta z czułością.

– Niech ksiądz słucha. Nie wiem, czy to sprawa kościoła, przypadku, czy archanioła Gabriela – przerwał i popił łykiem piwa z butelki, stojącej na biurku w jego biurze. – Ale w tym miejscu dzieją się dziwne rzeczy.

Był chudy, drobny, sympatyczny, o ruchliwych dłoniach, nosił okrągłe okulary w metalowych oprawkach i gęste wąsy, które jakby wyrastały z wnętrza nosa. Można by wziąć go za karykaturę intelektualisty z lat siedemdziesiątych, tym bardziej że zawsze miał na sobie dzinsy, obszerną, czerwoną bawełnianą koszulę i wysokie zakola we włosach zaczesanych do tyłu, długich i spiętych w kucyk. Od dwudziestu minut wspólnie przeglądali akta obu śmiertelnych wypadków w kościele Matki Boskiej Płaczącej, w których wyniki śledztwa policyjnego pokrywały się z orzeczeniami sądowymi: śmierć przypadkowa. Podkomisarz Navajo żałował, że nie dysponuje winnymi, aby móc ich pokazać, zakutyh w kajdanki, agentowi z Rzymu. To nieszczęśliwe wypadki, wielebny, mówił. Sam ksiądz wie, jak to bywa. Źle przykręcona poręcz, odpadający tynk, para pechowców, którzy nigdy nie wygraliby w totka i akurat tego dnia padają ich numery. Jeden po drugim, fruuu, polecili jak te aniołki do nieba. Bo skoro rzecz się stała w kościele, to – zdaniem komisarza – musieli pójść do

* Heinrich Heine, *Dzieła wybrane*, przekład Leopold Staff, PIW, Warszawa, 1956.

nieba.

– Jeśli chodzi o Pañuelasa, architekta miejskiego, sprawa jest jasna – Navajo poruszał palcami po brzegu biurka, naśladując prawdopodobny sposób chodzenia zmarłego. – Przez pół godziny laził po dachu kościoła w poszukiwaniu argumentów, żeby wydać orzeczenie o całkowitym zniszczeniu, na koniec oparł się o drewnianą poręcz obok dzwonnicy... Drewno było spróchniałe, puściło, a Pañuelas spadł i nadział się na metalową rurkę, przygotowaną do montażu, zupełnie jak kurczak na rożen – komisarz przestał spacerować palcami i teraz podniósł jeden z nich, jakby był rurką, i upuścił na niego otwartą drugą dłoń; Quart pojął, że przedstawiała ona wspomnianego Pañuelasa, odgrywającego rolę kurczaka. – Wszystko zdarzyło się przy świadkach, a śledztwo nie wykazało, żeby ktoś manipulował przy poręczy.

Podkomisarz wypił kolejny łyk piwa i otarł wąsy palcem, na który nadział się architekt Pañuelas. Następnie skierował do duchownego radosny uśmiech. Poznali się kilka lat wcześniej, podczas wizyty papieskiej. Simeón Navajo był łącznikiem z sewilską policją i obaj rozumieli się wyśmienicie. Wysłannik z Rzymu pozwolił podkomisarzowi podać jako własne osiągnięcia wszystkie wykryte plany, nawet najbardziej spektakularne, łącznie ze znalezieniem księdza przeciwnego celibatowi, który chciał zaszytutować Ojca Świętego, oraz sprawę semteksu ukrytego w koszu z bielizną u siostrzyczek od Najświętszego Sakramentu. Dzięki temu Navajo otrzymał osobiste gratulacje od ministra spraw wewnętrznych oraz od Ojca Świętego, jego zdjęcie ukazało się na pierwszych stronach gazet i udekorowany został krzyżem za zasługi policyjne z czerwoną wstęgą. Od tego czasu nikt na komendzie nie pozwalał już sobie nazywać go Miss Magnum, przydomkiem, który mu nadano z powodu włosów zebranych w kucyk. Magnum, kaliber 357, leżało między papierami na biurku na tacy. Prawie nigdy nie wkładał go do kabury pod pachą, jedynie kiedy w weekendy jechał do swojej byłej żony po dzieci. Mówił, że w ten sposób nabiera dla niego większego respektu. Poza tym dzieciom się to podobało.

Quart rozejrzał się wokół. Z drugiej strony szklanego przepierzenia widać było głowę północnego Afrykańczyka, z fioletowo podbitym okiem. Siedział naprzeciw przysadzistego policjanta w koszuli, który nieprzyjaźnie poruszał ustami, jak na niemym filmie. Po tej stronie przegrody, na ścianie, wisiało w ramce zdjęcie króla, kalendarz, na którym minione dni były zamazane z wściekłością, szary segregator z nalepką EXPO'92 i drugi z przyklepionym liściem marihuany, wentylator, fotografie przestępców przypięte do korkowej tablicy, tarcza z rzutkami na podziurawionej wokół ścianie, plakat, na którym amerykańscy policjanci dawali popisowy wycisk jakiemuś czarnemu, a pod spodem napis głosił: *Jeśli ktoś cię kocha, doprowadzi cię do placzu.*

– A jak wygląda sprawa księdza Urbizu? – zapytał Quart.

Podkomisarz podrapał się w ucho. Wydał się rozczarowany, kiedy skończył i obejrzał palec.

– W trzech czwartych tak samo, wielebny. Tym razem nie było świadków, ale moi ludzie przejrzeni cały kościół, centymetr po centymetrze. Może chciał się oprzeć o rusztowanie albo poruszył je przypadkiem – zaczął kiwać dłońmi, jakby były kołyszącym się rusztowaniem, z takim realizmem, że sam się zatrzymał, żeby nie dostać zawrotów głowy. – Górna krawędź rusztowania naruszyła i oderwała kawałek tynku z sufitu, który prawdopodobnie był już pęknięty i trzymał się jeszcze cudem, jeśli ksiądz pozwoli na to określenie, dzięki metalowej konstrukcji. Pech polegał na tym, że kiedy minimalnie poruszył rusztowaniem, solidne dziesięć kilo tynku spadło mu na głowę. Wyobrażam sobie, że usłyszał hałas, spojrzął do góry – i trach!

Opowieści towarzyszyła odpowiednia gestykulacja, a na zakończenie podkomisarz odwrócił leżącą na stole dłoń ku górze, jakby ilustrując moment, w którym ojciec Urbizu wszedł do lepszego świata. Następnie przyjrzał się swojej dogorywającej ręce, a drugą wyciągnął po butelkę.

– To też pech – powiedział zamyślony, dopiwszy piwo.

Quart wyjął kilka wizytówek do notowania i zatrzymał pióro w górze.

– Ale dlaczego spadł na niego tynk?

– Zależy – Navajo spojrzął z rezerwą na kartoniki wizytówek. Następnie strzepnął z koszuli okruchy tortilli. – Według Newtona, dlatego że w wyniku przyciągania ziemskiego i siły odśrodkowej w ruchu kolistym każdy przedmiot opuszczony w pobliżu powierzchni ziemi nabiera przyspieszenia i spada pionowo prosto na głowy sekretarzy arcybiskupa, którzy wstali lewą nogą – spojrzął na Quarta, jakby pytając, jak mu się to podoba. – Mam nadzieję, że skrzętnie ksiądz to zanotował. Żeby potem nie mówili, że policja nie opiera się w swojej pracy na naukowych podstawach.

Quart zrozumiał przesłanie. Roześmiał się, schował wizytówki i pióro. Podkomisarz zauważył, jak robi niewinną minę.

– A pan jak sądzi?

Navajo wzruszył ramionami w luźnej czerwonej koszuli. Nie było w tym nic ważnego, żadnej tajemnicy, ale nie ulegało wątpliwości, że woli zachować oficjalny charakter rozmowy. Kiedy stwierdzono, że śmierć miała charakter przypadkowy, problem kościoła Matki Boskiej Płaczącej stał się wewnętrzną sprawą kościelną. Krążyły plotki o presjach spekulacyjnych magistratu i banków, i szefowie podkomisarza woleli trzymać się na uboczu. Choć Quart był Hiszpanem z pochodzenia i starym znajomym podkomisarza, to mimo wszystko był jednak agentem obcego kraju.

– Według naszych specjalistów – odpowiedział Navajo – tynk odpadł dlatego, że był już dawniej uszkodzony, co potwierdziła późniejsza ekspertyza. Wykryto na murze

plamę wilgoci utworzoną przez wodę, która wnikała latami przez spojenie dachu.

– Naprawdę całkowicie odrzucacie możliwość interwencji ludzkiej?

Podkomisarz już miał się uśmiechnąć, ale powstrzymał się. Koniec końców, miał przecież dług wobec Quarta.

– Niech ksiądz posłucha. Tutaj, na policji, na sto procent nie odrzucamy nawet takiej możliwości, że Judasz został zabity przez kogoś ze swoich jedenastu kolegów. Umówmy się, że mamy dziewięćdziesiąt pięć procent pewności. W każdym razie to mało prawdopodobne, żeby ktoś powiedział temu nieszczęśnikowi: stań tutaj i zaczekaj chwilę, a potem wdrapał się na rusztowanie, zerwał kawał tynku i zrzucił go, fruuu, podczas gdy tamten miałby się gapić w górę – palce podkomisarza wdrapały się na rusztowanie i spadły jak ciężki przedmiot, a teraz były najwyraźniej zabite i oczekiwały na stole na przybycie lekarza policyjnego. – Tak dzieje się tylko w filmach rysunkowych.

Kiedy Quart pożegnał się z podkomisarzem, miał wrażenie, że Nieszpory trochę przesadził. To, że kościół w obronie własnej zabił, przy swobodnej, symbolicznej i bardzo osobistej interpretacji, można by uznać za prawdę. Inną sprawą było jednak uogólnienie owych zdolności do zabijania ludzi niewygodnych, którą jakoby rzeczywiście miał, dzięki pomocy przypadku lub Opatrzności, ten rozpadający się, niemal trzywiekowy budynek. Ale sprawy na tym poziomie nie dotyczyły Quarta ani nawet ISZ-u. Sporne problemy sił nadprzyrodzonych podlegały zupełnie innym specjalistom, bliższym złowroziej konfraterni kardynała Iwaszkiewicza niż szorstkiemu centurionowi, uosobionemu w postaci arcybiskupa Spady. W którego świecie – a był to także świat karnego żołnierza Quarta – jeden plus jeden zawsze dają dwa, od kiedy na początku było Słowo.

Zastanawiał się nad tym w drodze do kościoła, kiedy wydało mu się, że słyszy za sobą kroki na wąskich uliczkach dzielnicy Santa Cruz; choć kilkakrotnie się zatrzymywał, nie dostrzegł niczego podejrzanego. Poszedł dalej, starając się iść w znikomym cieniu, jaki rzucały okapy kamienic. Sewillę paliło ostre słońce, a białe i beżowe fasady domów połyskiwały jak ściany pieca, powodując, że czarna marynarka ciążyła mu na ramionach niby roztopiony ołów. Jeśli naprawdę coś jest po drugiej stronie, pomyślał Quart, ci wszyscy sewilczycy, którzy żyją w śmiertelnym grzechu, będą się tam czuli jak w domu – zaznali już piekła na ziemi, każdego roku przez parę miesięcy. Dotarł wreszcie do placyku przed kościołem i zatrzymał się przy bramie prowadzącej na podwórze pełne pelargonii, zazdroszcząc kanarkowi, który w swojej klatce w cieniu moczył dziób w naczyniu z wodą. Nie było ani odrobiny wiatru w powietrzu i wszystko wisiało w bezruchu – firanki w oknach, liście kwiatów w doniczkach i na drzewkach pomarańczowych. Jak żagle na Morzu Sargassowym.

Z ulgą przekroczył próg kościoła Matki Boskiej Płaczącej. W murach kryła się oaza chłodnego cienia o zapachu wosku i wilgoci – dokładnie to, czego Quart gwałtownie potrzebował. Zatrzymał się przy wejściu, żeby zaczerpnąć oddechu, oślepiony jeszcze panującą na zewnątrz jasnością. Stała tam niewielka figura Jezusa Nazareńskiego; udręczony barokowy Chrystus, który przeszedł przez trzeci stopień pretorium: ilu was jest, gdzie trzymasz złoto i denary swoich wyznawców, co to za historia, że nazywasz się Synem Ojca, od kogo dostałeś władzę. Miał dłonie związane sznurem, a grube krople krwi spływały z czoła uwieńczonego cierniową koroną, wzniesionego ku górze w nadziei, że ktoś wyciągnie rękę i wybawi go z tego, zgodnie z duchem *habeas corpus*. Quart nigdy nie odczuwał, w przeciwieństwie do większości bliźnich, pewności boskiego pokrewieństwa człowieka, przed którego podobizną właśnie stał. Nawet w seminarium, podczas – jak to zwał – okresu tresury, kiedy profesorowie teologii rozkładali i na powrót z precyzją składali mechanizm wiary w umysłach młodzieńców przeznaczonych do stanu kapłańskiego. „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”, stanowiło krytyczne pytanie, którego należało za wszelką cenę unikać. Dla niego, który postawił to pytanie jeszcze przed pójściem do seminarium i zdał sobie sprawę, że nie ma na nie odpowiedzi, takie formatowanie teologicznej dyskietki to było już zbyt wiele, jednak jako młodzieniec roztropny potrafił zachować to w tajemnicy. W latach nauki najważniejsze dla Quarta było odkrycie dyscypliny, norm, według których można uporządkować swoje życie, zapominając o pewności pustki, doświadczonej przy falochronie nad morzem, podczas burzy. Równie dobrze mógłby wstąpić do wojska, jakiejś sekty czy – jak żartował arcybiskup Spada, choć w istocie wcale nie żartował – do średniowiecznego zakonu rycerskiego. Sierocie po rybaku zaginionym podczas katastrofy morskiej wystarczała własna duma, samodyscyplina i regulamin.

Znów przyjrzał się figurze. W każdym razie ten Nazareńczyk wyglądał na świadomego, o co chodzi. Nikt nie powstydziliby się tak nieść krzyż, jakby to był sztandar. Quart często tęsknił za innym rodzajem wiary, a może po prostu za wiarą; kiedy mężczyźni czarni od kurzu i słońca, w kolczugach, wykrzykiwali imię Boże i wkraczali do bitwy, pchani nadzieją na otwarcie sobie mieczem drogi do niebios i wiecznego żywota. Wtedy żyć i umierać było dużo łatwiej; świat był prostszy parę wieków temu.

Przeżegnał się machinalnie. Wokół Chrystusa, chronionego szklaną gablotą, wisiało dobre pół setki wotów: ręce, nogi, oczy, ciała dzieci z mosiądzu i wosku, warkoczyki z włosów, listy, taśmy, napisy i plakietki dziękczynne za uzdrowienie czy lekarstwo. Nawet stary medal wojskowy z wojny afrykańskiej, spleciony z kwiatami jakiegoś ślubnego bukietu. Jak zawsze gdy spotykał się z podobnymi dowodami pobożności, Quart zaczął się zastanawiać, ile łęków, bezsennych nocy przy łóżkach

chorych, modlitw, przeżytego bólu, nadziei, śmierci i życia było w każdym z tych przedmiotów, które w odróżnieniu od innych proboszczów, tych bardziej nowoczesnych, ksiądz Priamo Ferro przechowywał obok figury Jezusa Nazareńskiego w swoim małym kościółku. To była religijność taka jak dawniej, jak zawsze z księdzem w sutannie, modlącym się po łacinie, koniecznym pośrednikiem między człowiekiem a wielkimi tajemnicami. Kościół pocieszenia i wiary, kiedy katedry, gotyckie witraże, barokowe ołtarze, figury i obrazy ukazujące chwałę Bożą spełniały tę rolę, jaką dziś mają telewizory – wyciszyć w człowieku lęk przed grozą własnej samotności, śmierci i pustki.

– Cześć – powiedziała Gris Marsala.

Ześliznęła się do niego po metalowej konstrukcji rusztowania i przyglądała się wyczekująco, z rękami w tylnych kieszeniach dżinsów. Była w tym samym poplamionym gipsem ubraniu co poprzednim razem.

– Nie powiedziała mi siostra, że jest zakonnica.

Kobieta pohamowała uśmiech i poprawiła siwiejące włosy – znów zebrane w krótki warkoczek.

– To prawda, nie zrobiłam tego – jasne, przyjazne oczy mierzyły go od stóp do głów, jakby chciały coś potwierdzić. – Myślałam, że duchowny potrafi to wyczuć bez niczyjej pomocy.

– Jestem bardzo tępym duchownym.

Na chwilę zaległo milczenie. Gris Marsala uśmiechnęła się.

– A inaczej mówią o księdzu.

– Coś takiego! A kto mówi?

– Dobrze ksiądz wie: arcybiskupi, rozwścieczeni proboszcze – amerykański akcent stawał się coraz wyraźniejszy przy takiej liczbie „r”. – Piękne kobiety, które zapraszają księdza na kolację.

Quart roześmiał się.

– Niemożliwe, żeby siostra o tym wiedziała.

– Dlaczego? Istnieje wynalazek zwany telefonem. Wystarczy podnieść słuchawkę i mówić. Macarena Bruner jest moją przyjaciółką.

– Dziwna przyjaźń. Zakonnica i żona bankiera, bulwersująca całą Sewillę...

Gris Marsala spojrzała na niego ostro.

– To wcale niezabawne.

Patrzyła na niego z zaciętą miną, a on poruszył głową pojednawczo, uznając, że posunął się zbyt daleko. Poza czystym wyrachowaniem taktycznym czuł niesłuszność swojej uwagi. Nie sądźcie a nie będziecie sądzeni.

– Racja. Przepraszam.

Odwrócił wzrok, speszony potknięciem, starał się zrozumieć powód własnej

bezczelności. Miodowe błyski oczu i naszyjnik z kości słoniowej na skórze Macareny Bruner tłukły się niepokojąco po jego pamięci. Spojrzał na Gris Marsalę. Już nie wydawała się wściekła, raczej strapiona.

– Nie zna jej ksiądz tak dobrze jak ja.

– Naturalnie.

Quart powoli skinął głową, jakby to były przeprosiny, i zrobił parę kroków, dając do zrozumienia, że szuka rozejmu. Wszedł w ten sposób głębiej w nawę i przyjrzał się jeszcze raz rusztowaniom przy ścianach, ławkom zsuniętym w kąt, farbie na suficie, poczerniałej między zaciekami wilgoci. W głębi, obok ołtarza ukrytego w półmroku, świeciła lampka Najświętszego Sakramentu.

– Co siostra ma wspólnego z tym wszystkim?

– Już księdzu mówiłam: ja tutaj pracuję. Naprawdę jestem konserwatorem architektury. Z odpowiednimi dyplomami uniwersytetów Los Angeles i Sewilli.

Kroki Quarta dźwięczały w kościele. Gris Marsala szła obok niego po cichu, w tenisówkach. Spomiędzy plam wilgoci i dymu, które zaciemniały sklepienie, wyzierały resztki malowideł – skrzydła anioła, broda jakiegoś proroka.

– Zginęły na zawsze – powiedziała kobieta. – Już się nie da ich odtworzyć.

Quart przyglądał się pęknięciu na twarzy cherubina, które rozbiło ją, niby cios siekierą.

– Czy to prawda, że ten kościół się rozpada?

Gris Marsala zrobiła zmęczoną minę, jakby zbyt wiele razy słyszała to pytanie.

– Tak mówią w magistracie, w banku i w arcybiskupstwie, żeby usprawiedliwić jego rozbiórkę – podniosła rękę, obejmując całą nawę jednym gestem. – Budynek jest w złym stanie, bo nikt nie dbał o niego przez ostatnich sto pięćdziesiąt lat; ale jego konstrukcja nadal jest mocna. Ani w murach, ani w sklepieniu nie ma nieodwracalnych pęknięć.

– Ale ojcu Urbizu – zaproponował Quart – spadł jednak na głowę kawał sufitu.

– Tak. To było tam, widzi ksiądz? – kobieta wskazała ubytek, niemal metrowej długości, w gzymsie otaczającym nawę na wysokości dziesięciu metrów. – Ten fragment złoconego gipsu, którego brakuje nad amboną. To rzeczywiście był pech.

– *Drugi* przypadek pecha.

– Architekt miejski spadł z dachu z własnej winy. Nikt mu nie mówił, że można tam wchodzić.

Biorąc pod uwagę, że była zakonnica, ton głosu Gris Marsali wykazywał niewiele miłosierdzia w stosunku do zmarłych. Sami tego chcieli, brzmiało ukryte przesłanie. Quart powstrzymał sarkastyczny grymas, zastanawiając się, czy ona również jest rozgrzeszana przez księdza Ferro. Rzadko spotyka się stado tak wierne swemu pasterzowi.

– Proszę sobie wyobrazić – Quart przyjrzał się podejrzliwie rusztowaniom – że nie ma siostra nic wspólnego z tym kościołem, a ja tu przychodzę i mówię: dzień dobry, proszę mi przedstawić raport techniczny.

Odpowiedziała natychmiast, bez cienia wahania:

– Kościół jest stary i zaniedbany, ale nie jest ruiną. Niemal całe zniszczenie dotyczy wykończeń i jest wynikiem wilgoci, która dostała się poprzez uszkodzone pokrycia. Ale ten problem już rozwiązaliśmy, uszczelniliśmy dach lepikiem i smołą – prawie dziesięć ton materiału wyniesionych na wysokość piętnastu metrów tymi rękoma – Gris Marsala pomachała nimi przed nosem Quarta: stwardniałe, silne, z krótkimi, połamanymi paznokciami, ubrudzone gipsem i farbą – z pomocą księdza Oscara. Ksiądz Priamo nie jest już w wieku, żeby biegać po dachach.

– A reszta budowli?

Zakonnica wzruszyła ramionami.

– Może wytrzymać, jeśli uda nam się zakończyć podstawowe prace. Kiedy już zlikwidowaliśmy przecieki, dobrze byłoby wzmocnić drewniane belki, które w paru miejscach zgniły lub zostały zjedzone przez termity. Najlepiej byłoby je wymienić, ale na to budżet nie pozwala – wykonała kciukiem i palcem wskazującym gest liczenia pieniędzy, a potem westchnęła ze smutkiem. – To jeśli idzie o samą konstrukcję. Natomiast co do ozdób, trzeba po kolei restaurować części najbardziej zniszczone. Na witraże znalazłam sposób: mój znajomy chemik, pracujący w warsztacie szkła artystycznego, podjął się wyprodukowania za darmo kolorowych części, które zastąpią szybki zniszczone. Jest to powolna metoda, bo poza produkcją szyb musimy jeszcze odnowić ołowiane spoiwa. Ale nie ma pośpiechu.

– Naprawdę nie?

– Nie, jeśli uda się nam wygrać tę walkę.

Quart spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Można odnieść wrażenie, że to sprawa osobista siostry.

– Bo to jest moja osobista sprawa – przyznała z prostotą. – Dlatego tutaj zostałam. Przyjechałam do Sewilli, żeby rozwiązać pewne problemy, i tu właśnie to rozwiązanie znalazłam.

– Problemy zawodowe?

– Tak. Myślę, że to był kryzys. Czasem to się zdarza. Czy ksiądz już przeszedł swój?

Quart grzecznie zaprzeczył ruchem głowy, myśląc o czymś innym. Muszę poprosić Rzym o jej akta, zanotował w myśli. Jak najszybciej.

– Gris Marsalo, niech siostra opowie mi o sobie.

Zmrużyła jasne oczy, a zmarszczki przecinające jej powieki wyraźnie się zaznaczyły. Nikt nie mógłby zapewnić, że jest to uśmiech.

– Czy ksiądz zawsze jest taki powściągliwy, czy to tylko poza? I jeszcze jedno: proszę mówić do mnie po prostu Gris. Forma bardziej oficjalna brzmi śmiesznie – proszę na mnie spojrzeć. Mówiłam właśnie księdzu, że przyjechałam tu uporządkować swoje serce i myśli i odpowiedź znalazłam właśnie w tym kościele.

– Jaką odpowiedź?

– Tę, której wszyscy szukamy. Na pytanie o sens, jak myślę. Czegoś, co wyjaśniłoby, w co wierzyć i o co walczyć – przez chwilę milczała, a potem, trochę ciszej, dodała: – Wiare.

– Taką, jak księdza Ferro.

Znów patrzyła na niego w milczeniu. Siwy warkoczek był częściowo rozpleciony, trzymała go w palcach i powoli splatała, nie odrywając wzroku od Quarta.

– Każdy z nas ma swoją własną wiarę – powiedziała wreszcie. – To coś niezbędnego w naszym stuleciu, tak nieładnie dogorywającym. Nie sądzi ksiądz? Wszystkie rewolucje dokonały się i zniknęły. Barykady opustoszały, bohaterowie zbiorowi zamienili się w samotników, którzy łapią się czegokolwiek, żeby przeżyć – jasne oczy wpatrywały się w niego badawczo. – Czy nigdy nie czuł się ksiądz jak pionek szachowy, zapomniany w rogu szachownicy, który słyszy, że za jego plecami dogasa bitwa, a on próbuje ustalić, czy został jeszcze król, któremu nadal można by służyć?

Przeszli przez kościół. Gris Marsala pokazała Quartowi jedyny wartościowy obraz: była to Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, bez specjalnego przekonania przypisywana Murillo, wisząca nad wejściem do zakrystii od strony nawy głównej, obok konfesjonału. Podeszli do krypty, zamkniętej żelazną kratą nad marmurowymi stopniami, które ginęły w ciemności, i zakonnica wyjaśniła, że małe kościoły zazwyczaj nie miały krypt. Jednak Matka Boska Płacząca cieszyła się specjalnym przywilejem. Spoczywało tu czternastu książąt del Nuevo Extremo, łącznie ze zmarłymi przed wybudowaniem kościoła. Od roku 1865 krypta nie jest używana, a kolejne pogrzeby odbywają się na cmentarzu rodzinnym San Fernando. Jedynym wyjątkiem była Carlota Bruner.

– Co siostra powiedziała?

Quart jedną ręką opierał się o łuk nad wejściem do krypty, ozdobiony czaszką nad dwoma piszczelami. Chłód kamienia mroził mu krew w przegubie.

Gris Marsala odwróciła się, zaskoczona niedowierzającym tonem głosu księdza.

– Carlota Bruner – powtórzyła, nadal zdezorientowana. – Cioteczna babka Macareny. Umarła na początku wieku i została pochowana w tej krypcie.

– Możemy zobaczyć jej grób?

W głosie Quarta brzmiało źle maskowane zaniepokojenie. Kobieta nadal

przyglądała mu się niepewnie.

– Jasne.

Poszła do zakrystii po pęk kluczy i kiedy ustąpił zamek w kracie, przekręciła staroświecki, porcelanowy wyłącznik światła. Niskowatowa żarówka, pokryta kurzem, oświetliła schody. Quart pochylił głowę i po zejściu kilku stopni znalazł się w niewielkim kwadratowym pomieszczeniu o ścianach z płytami nagrobnymi, rozmieszczonymi na trzech poziomach. Ceglane mury pokryte były wielkimi białymi i czarnymi zakolami wilgoci, a w powietrzu czuło się zapach stęchlizny i braku wentylacji. Na jednej ze ścian znajdował się wyryty w marmurze herb rodzinny z dewizą *Oderint dum probent*. Niech mnie nienawidzą, ale szanują, przetłumaczył w myśli. Przed nim umieszczony był czarny krzyż.

– Czternastu ksiąząt – powtórzyła Gris Marsala, stojąca obok. Mówiła głosem mimowolnie ściszonego, jakby onieśmielało ją miejsce. Quart przyglądał się napisom na płytach. Na najstarszej wyryte były daty 1472-1551: Rodrigo Bruner de Lebrija, konkwistador i żołnierz chrześcijanin, pierwszy książę del Nuevo Extremo. Najnowsza znajdowała się przy drzwiach, pomiędzy dwiema pustymi niszami, i była jedyną, na której widniało imię kobiece, w tym miejscu przeznaczonym dla odkrywców, polityków lub wojowników:

CARLOTA VICTORIA AMELIA
BRUNER DE LEBRIJA Y MONCADA
1872-1910
SPOCZYWA W POKOJU PANA

Quart dotknął palcami imienia wyrzeźbionego w marmurze. Był pewny, że w kieszeni ma kartkę napisaną przed wiekiem przez tę kobietę, na dziesięć lub dwanaście lat przed jej śmiercią. W ten sposób, jakby za włożeniem zakodowanej karty w odpowiednie miejsce, dostrzegł, jak osoby i rozproszone wydarzenia zaczynają układać się w związki, łączyć jedne z drugimi. A w środku, jak w zwyczajnej krzyżówce, stał ten kościół.

– Kim był kapitan Xaloc?

Gris Marsala przyglądała się palcom Quarta, nieruchomym na imieniu Carlota. Wydawała się zaskoczona.

– Manuel Xaloc był sewilskim marynarzem, który wyemigrował do Ameryki w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku. Przez jakiś czas trudnił się piractwem na Antylach, a potem, podczas wojny między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi w 1898, zaginął na morzu.

Tutaj modlę się za Ciebie każdego dnia, Quart przypominał sobie treść kartki. I

czekam na Twój powrót.

– Jaki był jego związek z Carlotą Bruner?

– Oszalała przez niego. Albo przez jego wyjazd.

– Co siostra mówi?

– To, co ksiądz słyszy – nadal była zaintrygowana ciekawością Quarta. – A może ksiądz myśli, że to się zdarza tylko w powieściach? To jedna z tych historii jak z romantycznego serialu, różnica polega na braku szczęśliwego zakończenia: młodziutka arystokratka zbuntowana przeciwko rodzicom i młody marynarz, który emigruje w poszukiwaniu fortuny. Andaluzyjska arystokracja zawiązuje zмовę milczenia, rodzinną blokadę, listy w żadną stronę nie docierają. A kobieta wędnie przy oknie, wpatrując się w każdy żagiel przepływający Gwadalkiwirem... – teraz Gris Marsala dotknęła płyty, ale zaraz cofnęła rękę. – Nie potrafiła tego znieść i oszalała.

W świętym miejscu Twojej przysięgi i mego szczęścia, zakończył Quart w myśli. Naraz zapragnął znaleźć się daleko stąd, w słonecznym świetle, które wymazałoby i słowa, i przysięgi, i zjawy, które ożyły, kiedy tylko znalazł się w krypcie.

– Czy kiedyś potem się spotkali?

– Tak, w 1898, niedługo przed wybuchem wojny kubańskiej. Ale nie poznała go. Już nie była w stanie nikogo rozpoznać.

– A co on zrobił?

Jasne oczy kobiety wyglądały jakby wpatrzone w spokojne morze, szare jak jej imię.

– Wrócił do Hawany, w sam raz, żeby wziąć udział w wojnie. Ale wcześniej zostawił tutaj prezent ślubny, który dla niej przywiózł. Dwadzieścia pereł, zdobiących dziś figurę Matki Boskiej Płaczącej, to perły przywiezione przez Manuela Xaloca na naszyjnik, który miała założyć Carlota w dniu ślubu – spojrzała na płytę ostatni raz. – Zawsze chciała wziąć ślub w tym kościele.

Wyszli z krypty. Gris Marsala zamknęła żelazną kratę i zapaliła światło głównego ołtarza, żeby lepiej można było widzieć rzeźbę Matki Boskiej Płaczącej. Na piersi miała serce przebite siedmioma ranami, a dwadzieścia pereł kapitana Xaloca błyszcząło na jej czole, na koronie z gwiazd i na błękitie płaszcza.

– Czegoś tu nie rozumiem – zauważył Quart, myśląc o braku pieczęci na kartce pocztowej. – Wspomniała siostra o listach, które nie docierały, a przecież Manuel Xaloc i Carlota Bruner musieli utrzymywać korespondencję przez czas rozstania... Co się stało?

Gris Marsala uśmiechała się, smutna i daleka. Wspomnienie tej historii najwyraźniej nie uszczęśliwiała jej.

– Powiedziała mi Macarena, że idziecie dziś razem na kolację. Nikt nie wie więcej niż ona o tragedii Carloty Bruner.

Zgasiła światło i ołtarz znów napełnił się mrokiem.

Gris Marsala wróciła na rusztowanie, a Quart wyszedł do zakrystii. Zamiast jednak wyjść od razu na ulicę, zatrzymał się na chwilę, żeby się rozejrzeć. Na jednej ze ścian wisiało płótno, pociemniałe i zniszczone – *Zwiastowanie* jakiegoś nieznanego autora. Stała tam także zniszczona figura świętego Józefa z Dzieciątkiem, krucyfiks, dwa kute mosiężne świeczniki, ogromna mahoniowa komoda i szafa. Zatrzymał się na środku, rozejrzał wokół, a następnie otworzył kilka szuflad komody. Znalazł w nich mszały, przedmioty i szaty liturgiczne. W szafie stało parę kielichów, monstrancja, stare cyborium ze złoconego mosiądzu, wisiało z pół tuzina ornatów i bardzo stara peleryna, haftowana złotą nicią. Quart zamknął szafę, niczego nie dotykając. Nie była to bynajmniej zamożna parafia.

Do zakrystii prowadziło dwoje drzwi. Jedne od strony kościoła, poprzez niewielką kaplicę z konfesjonałem, przez które wszedł Quart. Drugie wychodziły na plac przez wąski korytarz, który był równocześnie przedpokojem mieszkania proboszcza. Quart przyjrzał się schodom z żelazną poręczą, wspinającym się do podestu oświetlonego lufcikiem, i zatrzymał się, żeby obejrzeć zegar. Wiedział, że don Príamo Ferro i ksiądz Oscar znajdują się w arcybiskupstwie, wezwani przez wikariusza tej strefy na jakieś biurokratyczne zebranie, szczęśliwie zasugerowane właśnie przez Quarta. Dysponował, o ile wszystko poszłoby dobrze, około półgodziną.

Wszedł powoli po skrzypiących drewnianych stopniach. Drzwi na podeście były zamknięte. Pokonywanie takich przeszkód stanowiło część jego pracy. Jeśli idzie o zamki, najtrudniejsza w życiu Quarta była alfanumeryczna kombinacja w posiadłości pewnego biskupa w Dublinie, której rozwiązanie musiał znaleźć już przy drzwiach, w świetle latarki Maglite, za pomocą skanera podłączonego do jego przenośnego komputera. Potem ów rudy i rumiany biskup o nazwisku Mulcahy został nagle wezwany do Rzymu, gdzie jego pogodny rumieniec ustąpił śmiertelnej bladości, gdy arcybiskup Spada pokazał mu, z niezbyt przyjemnym wyrazem twarzy, fotokopie całej korespondencji prowadzonej przez prałata z aktywistami Irlandzkiej Armii Republikańskiej: był bowiem nieostrożny i przechowywał listy, uporządkowane według dat, za tomami *Summa theologica*, ustawionymi w szeregu w domowej bibliotece. Miało to wszystko tę zaletę, że Jego Ekscelencja Mulcahy z nagłą rozwagą ograniczył swój nacjonalistyczny zapał i dzięki temu udało się przekonać specjalne oddziały brytyjskiego SAS-u, że nie jest konieczne uciekanie się do drastycznych środków, takich jak fizyczna eliminacja, co zaplanowane zostało, według informacji uzyskanej przez wywiadowców ISZ-u za kwotę 10 000 funtów szterlingów z sekretnych funduszy Sekretariatu Stanu, na czas kolejnej wizyty dublińskiego prałata u swojego odpowiednika w Londonderry. Operacją tą zamierzali sprytni Anglicy

obciążyć konto paramilitarnych unionistów z Ulsteru.

Zamek księdza Priamo Ferro nie nastroczał takich trudności. Był to stary, konwencjonalny model. Po szybkiej ocenie Quart wyjął z portfela cienką metalową płytkę, węższą niż pilniczek do paznokci, i wprowadził ją do środka łącznie z małym kluczem typu Allen wybranym z pęku, który wyjął z kieszeni. Poruszył nią delikatnie, nie forsując zamka, aż poczuł pod palcami lekkie kliknięcie ustępujących zębów. Wtedy przekręcił klucz, odsunął zapadkę i – drzwi stanęły otworem.

Przeszedł przez korytarz, rozglądając się uważnie. Było to skromne mieszkanie z dwoma sypialniami, kuchnią, łazienką i maleńkim salonikiem. Quart rozpoczął oględziny właśnie od niego, nie znalazł jednak niczego interesującego, poza pewnym zdjęciem w jednej z szuflad kredensu. Był to polaroid złej jakości, zrobiony na typowym andaluzyjskim patio, z mozaiką na ziemi, pełnym donic z kwiatami, na środku stała marmurowa studnia ozdobiona ceramicznymi kafelkami. Don Priamo Ferro, w nieodłącznej czarnej sutannie do ziemi, siedział obok niskiego stolika, zastawionego do śniadania lub podwieczorku. Towarzyszyły mu dwie kobiety – staruszka ubrana w jasną, letnią suknię, trochę już niemodną. Drugą była Macarena Bruner; wszyscy troje uśmiechali się do aparatu. Quart pierwszy raz widział uśmiech ojca Ferro i odniósł wrażenie, że to zupełnie inny człowiek niż ten, którego spotkał w kościele i w gabinecie arcybiskupa. Jego mina na zdjęciu była zarazem czuła i smutna, odmładzała rysy twarzy naznaczone bliznami, łagodziła ostrość czarnych oczu i upór brody, której jak zawsze brakowało dobrej maszynki do golenia. Robił wrażenie zupełnie innego, prostodusznego człowieka. Bardziej ludzkiego.

Quart schował zdjęcie do kieszeni i pozamykał szuflady. Podszedł do przenośnej maszyny do pisania, stojącej na stoliku, otworzył futerał i rzucił okiem na papiery. Impuls profesjonalisty kazał mu wkręcić kartkę i uderzyć kilka klawiszy, żeby mieć próbkę, gdyby kiedyś chciał zidentyfikować coś, co na niej zostało napisane. Złożoną kartkę wsunął do tej samej kieszeni, co zdjęcie. W kredensie naliczył około dwudziestu książek, przejrzał ich grzbiety, wyjmując niektóre, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś za nimi. Dotyczyły głównie spraw religijnych – wymiętoszone tomy liturgii godzin, wydanie katechizmu z 1992, dwa woluminy łacińskich cytów, *Słownik historii Kościoła w Hiszpanii*, *Historia filozofii* Urdanoza, *Historia hiszpańskich heterodoksów* Menendez y Pelayo w trzech tomach. Nie były to książki, jakich by się spodziewał Quart, zdziwiły go również książki z zakresu astronomii, które przejrzał z zainteresowaniem, nie znajdując w nich niczego znaczącego. Reszta nie była zbyt ciekawa, poza – być może – jedyną powieścią, jaką znalazł: starym i bardzo zniszczonym egzemplarzem w miękkich okładkach *Adwokata diabła* – Quart nie znosił Morrisa Westa i wątpliwych księży z jego bestsellerów – z zakreślonym długopisem akapitem na stronie 22:

*Częścią problemu jest fakt, że ty, ja i inni nam podobni, zostali odsunięci na zbyt długi okres od obowiązków duszpasterskich. Straciliśmy kontakt z ludźmi, dzięki którym podtrzymujemy nasze relacje z Bogiem. Zredukowaliśmy wiarę do pojmowania intelektualnego, jałowego sankcjonowania woli, bo nie widzimy jej działania w życiu zwykłych ludzi. Utraciliśmy litość, strach i miłość. Pracujemy, motywowani prawem, a nie miłością.**

Odłożył powieść na swoje miejsce i sprawdził telefon. Miał stałe, dawne podłączenie do sieci. Przyłączenie komputera do linii byłoby niemożliwe. Wyszedł z pokoju, uważając, by pozostawić drzwi uchylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni, dokładnie tak, jak je zastał – i ruszył korytarzem do pomieszczenia, które uznał za sypialnię księdza Ferro. Miało zapach zamknięcia i kapłańskiej samotności. Był to skromny pokój, z oknami wychodzącymi na plac, którego umeblowanie składało się z metalowego łóżka pod krucyfiksem wiszącym na ścianie i szafy z lustrem. Na nocnej szafce znalazł modlitewnik, obok niej stare pantofle i porcelanowy nocnik, który wywołał jego uśmiech. W szafie wisiało czarne ubranie, druga sutanna w nie lepszym stanie niż ta, jakiej używał na co dzień, kilka koszul i bielizna. Nie znalazł wiele więcej przedmiotów osobistych, poza drewnianą ramką z poźółką fotografią, na której para – kobieta i mężczyzna, o wyglądzie wieśniaków w odświętnym ubraniu – pozowała obok księdza, a mimo czarnych włosów i surowej młodości rysów jego twarzy Quart rozpoznał bez trudu proboszcza od Matki Boskiej Płaczącej. Zdjęcie było bardzo stare, poplamione w rogu. Zostało zrobione co najmniej czterdzieści lat temu, wywnioskował z wyglądu ojca Ferro: broda i oczy wskazywały na wielką energię. A dumne i uroczyste spojrzenie mężczyzny i kobiety, na ramionach których opierał dłonie młody duchowny, kazało domyślać się, że fotografię zrobiono z okazji jego niedawnego wyświęcenia.

Druga sypialnia należała niewątpliwie do księdza Oscara. Na ścianie wisiała litografia przedstawiająca Jerozolimę widzianą od strony Gaju Oliwnego oraz plakat filmu *Easy Rider* z Peterem Fondą i Dennisem Hopperem na motocyklach. Quart dostrzegł także raketę tenisową i sportowe buty w kącie. Nocna szafka ani szafa nie zawierały niczego ciekawego, skupił więc uwagę na stole pod ścianą, przy oknie. Leżały tam różne papiery, książki dotyczące teologii i historii Kościoła, *Moralność* Royo Marina, *Patrologia* Altanera i pięć tomów *Mysterium salutis*, gruby esej *Duchowni* Eugena Drewermanna, elektroniczne szachy, przewodnik turystyczny po

* Morris West, *Adwokat diabła*, przekład Maja Marcinkowska, „Crime and Thriller”, Toruń 1991.

Watykanie, pudełko tabletek obniżających ciśnienie i stary tom przygód Tintina *Berło Ottokara*. A w jednej z szuflad nagroda za cierpliwość dla Quarta – dwadzieścia stron o świętym Janie od Krzyża wydrukowanych czcionką Courier New na drukarce komputerowej i pięć plastikowych pudełek z tuzinem dyskietek 3,5” każde.

Mógł on być Nieszporami, ale wcale nie musiał. W zależności od punktu widzenia znalezisko mogło znaczyć dużo albo niewiele. Jako dowód – niewiele, za to jako materiał badawczy w terenie – aż nazbyt dużo, stwierdził Quart ze złością, oglądając zawartość pudełek. Przejrzenie wszystkiego wymagałoby czasu i okazji, a on nie miał w nadmiarze ani jednego, ani drugiego. Musiałby wymyślić jakiś sposób, żeby wrócić, skopiować po kolei każdą dyskietkę na twardy dysk swojego przenośnego komputera i przejrzeć je dokładnie, powoli w poszukiwaniu jakiegoś śladu. Samo kopiowanie mogło zająć bitą godzinę, do tego dochodził kłopot, jak znów utrzymać z dala obu księży przez ten czas.

Mimo zasłon do pokoju wdzierał się upał, a Quart zaczął się pocić, choć miał na sobie lekkie ubranie z czarnej alpaki. Wyjął papierową chusteczkę, żeby otrzeć czoło, następnie zmiął ją w kulkę i z powrotem schował do kieszeni. Odłożył dyskietki na swoje miejsce i zamknął szufladę, zastanawiając się, gdzie stoi sprzęt komputerowy, którego używa ksiądz Oscar. Kimkolwiek byłby pirat, potrzebował solidnego komputera, podłączonego do łatwo dostępnej linii telefonicznej, oraz dodatkowego sprzętu. Wszystko to wymagało spełnienia minimalnych warunków instalacji i przestrzeni, których to mieszkanie nie dawało. Oscar Lobato czy ktoś inny na pewno nie działał z tego miejsca.

Quart rozejrzył się niepewnie dookoła. Pora już wyjść. I właśnie w tym momencie, akurat kiedy odsuwał lewy mankiet koszuli, ażeby spojrzeć na zegarek, usłyszał skrzypnięcie schodów. Zrozumiał, że zaczynają się kłopoty.

Celestino Peregil odwiesił słuchawkę i w zamyśleniu przyglądał się telefonowi. Z baru w pobliżu kościoła don Ibrahim przekazał mu ostatni raport dotyczący ruchów wszystkich postaci. Były mecenas i jego wspólnicy potraktowali bardzo poważnie otrzymane zlecenie. Za bardzo, zdaniem Peregila, którego już zmęczyły telefony z precyzyjnymi informacjami o tym, że jeden ksiądz kupił gazetę w kiosku u Franka, a inny siedział w barze Laredo i chłodził się. Do tej chwili jedyna informacja naprawdę cenna dotyczyła rozmowy Macareny Bruner z wysłannikiem z Rzymu w hotelu Doña María, w co Peregil początkowo nie chciał uwierzyć, a potem ucieszył się z pełną nadziei satysfakcją. Ten rodzaj spraw zawsze otwierał szerokie pole do gry.

A skoro mowa o grze, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zielone sukno nieco skomplikowało mu życie. Po tym, jak dał zaliczkę w wysokości stu tysięcy peset don Ibrahimowi i jego kumplom akonto obiecanych za robotę trzech milionów,

asystent Pencho Gaviry uległ pokusie użycia pozostałych dwóch milionów dziewięciuset tysięcy, żeby wyjść z kryzysowej sytuacji finansowej. Ogarnęło go jedno z tych niebezpiecznych przeczuć, które pojawiają się nagle, że pewne dni są inne od wszystkich i że ten dzień właśnie do nich należy. W jego andaluzyjskiej krwi występował poza wszystkim pewien rodzaj mauretańskiego fatalizmu. Szczęście nie puka dwa razy do tych samych drzwi i trzeba je chwytać w lot – to jedyna rada, jaką otrzymał od swojego ojca jako dziecko, w przeddzień jego wyjścia z domu po papierosy, które okazało się ucieczką razem z ekspedientką ze sklepu mięsnego na rogu. Chociaż miał świadomość, że spaceruje nad przepaścią, Peregil naraz zrozumiał, siedząc przy zakasce w jakimś barze, że jeśli nie pójdzie za przecuciem, złość na siebie za to, czym mógł zostać i nie został, będzie go dręczyć do końca życia. Bo goryl silnego człowieka z Banku Kartuskiego mógł mieć wiele twarzy – kanalia, przynoszący wstyd łysielec, rzezimieszek gotów sprzedać swoją starą matkę, swojego szefa i żonę swojego szefa za jeden kartonik do bingo – ale na samo przypomnienie dźwięku kulki, kręcącej się w przeciwną stronę niż ruletka, budziło się w nim serce lwa. Tak miały się sprawy. Ostatniej nocy Peregil włożył czystą koszulę, krawat w czerwone i różowe chryzantemy i wyruszył do kasyna, jakby szedł na Troję. Był o krok od sukcesu, a to wiele mówi o jego intuicji bywalca lokali z zielonym sukniem. Ale cud się nie zdarzył. I jak mawiał Seneka, to co nie mogło być – nie mogło być, a poza tym było niemożliwe. Dwa miliony dziewięćset tysięcy – a może to wcale nie Seneka tak mawiał – odpłynęły tą samą drogą, co poprzednie trzy miliony. Kasa Peregila świeciła więc pustkami jak reflektor na pustej scenie, a widma Cygana Maireny i Kurczaka Szczeny kłębiły się nad jego głową niczym gradowa chmura.

Wstał i zrobił parę kroków po ciasnym, pełnym fotokopiarek i papierów biurze, które zajmował dwa piętra poniżej gabinetu szefa z widokiem na Arenal i Gwadalkiwir. Można też było zobaczyć stamtąd Złotą Wieżę, most San Telmo i pary zakochanych przechadzające się nad rzeką, pomiędzy kawiarnianymi stolikami. Chociaż miał krótkie rękawy i włączoną klimatyzację, niepokojące gorąco zakłócało mu oddech. Poszedł więc po butelkę, wrzucił do szklanki lodu i wypił na wdechu trzy palce whisky. Pytał sam siebie, biorąc pod uwagę stan rzeczy, jak długo będzie jeszcze mógł podziwiać ten widok.

Po głowie krążyła mu pewna pokusa, jeszcze nie do końca sprecyzowana, ale na pierwszy rzut oka była to jakaś możliwość złapania oddechu w postaci szybkiej gotówki. Przypominało to znów igranie z ogniem, ale nie miał wielkiego wyboru. Chodziło tylko o to, żeby Pencho Gavira nie wiedział, że jego ochroniarz i ulubiony zbir gra na dwie strony. Dyskretnie sprzedawana historia mogła nadal przynosić pieniądze. Poza tym wysoki ksiądz był bardziej fotogeniczny niż Curro Maestral.

Powoli przeżuwać swój pomysł, Peregil podszedł do stołu, poszukał notesu i jego palec wskazujący zatrzymał się na numerze, który wykręcał już wcześniej parę razy. Po chwili zamknął notes jednym ruchem, jakby walczył ze złymi myślami. Jesteś kloaczny szczurem, zganił się z obiektywizmem niezwykłym u osobnika tego pokroju. Jednak nie sam aspekt moralny sprawy martwił byłego detektywa, przerażonego kataleptycznym stanem osobistych finansów. Niepokój brał się z przykrej pewności, że nadużyte lekarstwo może zabić. Długi też w końcu zabijają, zwłaszcza te, które się zaciąga u najniebezpieczniejszego lichwiarza w Sewilli. Tak więc po długim namyśle znów otworzył notes i poszukał numeru telefonu do magazynu „Q+S”. Raz kozie śmierć. Ktoś kiedyś powiedział, że zdrada jest jedynie kwestią czasu – w świecie Peregila mogło chodzić o godziny. Poza tym zdrada to zbyt duże słowo. On jedynie starał się przeżyć.

– Co ksiądz tu robi?

W arcybiskupstwie nie udało się wystarczająco długo zatrzymać księdza Oscara. Stał teraz w korytarzu z miną naprawdę groźną, zagradzając drogę. Quart skierował do niego lodowaty uśmiech, ledwo maskujący zakłopotanie i rozdrażnienie.

– Rozglądałem się.

– Tak to wygląda.

Oscar Lobato potakiwał głową, jakby sam odpowiadał sobie na pytania. Był ubrany w czarne polo, szare spodnie i sportowe buty. Nie był bynajmniej silnym młodzieńcem. Miał jasną skórę, teraz zaróżowioną pod wpływem wysiłku, jaki sprawiło mu wbiegnięcie po schodach. Był sporo niższy od Quarta, a jego wygląd – dwadzieścia sześć lat, zgodnie z aktami – wskazywał, że więcej czasu poświęcił na studia i siedzący tryb życia niż na ćwiczenia fizyczne. Najwyraźniej ogarniała go furia, a Quart nigdy nie lekcewał reakcji tego typu ludzi. Zwrócił uwagę na jego oczy – spojrzenie – przesłonięte szklami okularów, na które spadał kosmyk zmierzwionych jasnych włosów. I zaciśnięte pięści.

Tego nie dało się załatwić żadnymi słowami; Quart podniósł rękę, jakby prosił o spokój, i wykonał ruch wskazujący, że chce wyjść, usuwając się na bok wąskiego korytarza. Wtedy ojciec Oscar poruszył się na lewo, zastawiając mu drogę i wysłannik z Rzymu zrozumiał, że incydent może zaraz rozwinąć się groźniej, niż by sobie życzył.

– Tylko bez głupstw – powiedział, rozpinając guzik marynarki.

Jeszcze to mówił, kiedy nadszedł cios: wściekłe uderzenie na ślepo, całkowicie pozbawione kapłańskiej łagodności, na które jednak Quart był przygotowany i któremu pozwolił zginąć w pustce dzięki szybkiemu krokowi w tył.

– To absurd! – zaprotestował.

I słusznie. Nic nie było tego warte. Quart podniósł teraz w górę obie dłonie, żeby uspokoić emocje; wściekłość jednak ziała z twarzy i oczu przeciwnika, który zadał drugi cios. Tym razem trafił ukośnie w szczękę. Był to prawy sierpowy bez mocy, wymierzony na oślepa, ale na tyle silny, żeby zirytować Quarta. Pewnie wikariusz wierzył, że w prawdziwym życiu ludzie biją się jak na filmach. Quart nie był ekspertem w korytarzowych bijatykach, jednak podczas pełnienia swoich obowiązków posiadał pewną liczbę niezbyt ortodoksyjnych umiejętności. Nic nadzwyczajnego: góra pół tuzina sztuczek, żeby wydostać się z każdej opresji. Z pewną tkliwością dla młodzieńca o poczerwieniałej twarzy i krótkim oddechu udał, że się opiera o ścianę, i kopnął go w pachwinę.

Księża Oscara jakby замуrowało, wyraz niepojętego zdziwienia malował się na jego twarzy, a Quart wiedząc, że upłynie pięć sekund, zanim kopniak wywrze całkowity skutek, wymierzył mu kolejny cios za ucho, po to jedynie, żeby uniknąć dalszej nieprzewidzianej reakcji. Chwilę później wikariusz klęczał na podłodze, opierając głowę i prawe ramię o ścianę. Wpatrywał się w okulary, które mu spadły i nie uszkodzone leżały na ziemi.

– Przykro mi – powiedział Quart, rozcierając sobie obolałe kostki.

Naprawdę było mu przykro, żałował, że nie potrafił uniknąć tej niedorzecznej sytuacji. Dwaj księża bijący się jak bandziory – tego nie można niczym usprawiedliwić. A młodość przeciwnika tylko potęgowała jego zakłopotanie. Ksiądz Oscar klęczał skurczony i nieruchomy, z trudnością łapał w płuca powietrze. Krótkowzroczne spojrzenie, upokorzone, nadal niewidząco utkwione było w okularach leżących na podłodze. Quart pochylił się, żeby je podnieść, i włożył księdzu Oscarowi do ręki, następnie podtrzymał go ramieniem i pomógł mu się dźwignąć. Przeszli do saloniku, gdzie wikariusz, nadal skulony z bólu, upadł na fotel obity sztuczną skórą, na plik numerów czasopisma „Nowe Życie”, których część spadła na ziemię, pod jego nogi. Quart poszedł do kuchni po szklanek wody, którą chłopak wypił łapczywie. Założył okulary, w których jedno szkło miało na sobie tłusty odcisk palca. Płowe włosy przylepiły się do spoconego czoła.

– Przepraszam – powtórzył Quart.

Patrząc w nieokreślone miejsce w przestrzeni, wikariusz słabo pokiwał głową. Potem podniósł rękę i odgarnął włosy z czoła, jakby starał się zebrać myśli. Okulary opadły na czubek nosa, koszulka rozpięta pod szyją, bladość twarzy, wszystko to nadawało mu wygląd tak bezbronny, że aż budzący litość. Presja, pod jaką żył, musiała być ogromna, jeśli do tego stopnia tracił panowanie nad sobą. Quart oparł się o brzeg stołu.

– Wykonuję tu pewne zadanie – powiedział tonem najłagodniejszym, na jaki było go stać. – W tym nie ma niczego osobistego.

Ksiądz Oscar znów przytaknął, unikając jego wzroku.

– Chyba straciłem głowę – mruknął w końcu matowym głosem.

– Obaj straciliśmy głowę – Quart zrobił grymas przyjacielskiego uśmiechu, skierowany do zranionej miłości własnej młodego księdza. – Chciałbym jednak, żebyśmy sobie coś wyjaśnili. Nie przyjechałem tutaj, żeby kogoś gnębić. Ja tylko chcę zrozumieć.

Nadal nie patrząc wprost na Quarta, z ręką na czole, ksiądz Oscar zapytał, co u diabła chciał zrozumieć, kiedy plądrował dom, do którego nikt go nie zapraszał. I Quart, wiedząc, że to jego ostatnia szansa, by zdobyć zaufanie, przyjął ton dyskretnego kumplostwa, odwołał się do koniecznego posłuszeństwa, przypomniał informatycznego pirata i wiadomość odebraną w Rzymie, zrobił parę kroków po pokoju, spojrzął przez okno i w końcu zatrzymał się przed młodym księdzem.

– Niektórzy myślą – powiedział w tonie niedowierzającego zwierzenia, jakby mówił „sam rozumiesz, co za pomysł...” – że Nieszpory to właśnie ksiądz.

– To bzdury.

– Bynajmniej. Wszystko właściwie się zgadza: wiek, studia, zainteresowania... – znów przysiadł na brzegu stołu, trzymając ręce w kieszeniach. – A jak ksiądz stoi z informatyką?

– Tak jak wszyscy.

– A te pudełka z dyskietkami?

Wikariusz zamrugnął szybciej.

– To moja prywatna sprawa. Ksiądz nie ma prawa...

– Naturalnie – Quart znów podniósł dłonie do góry, pojednawczo, jakby pokazując, że nic w nich nie ukrywa. – Ale jeszcze jedno... Gdzie jest komputer, którego ksiądz używa?

– Nie sędzę, żeby to miało znaczenie.

– Myli się ksiądz. Ma... i to duże.

Twarz księdza Oscara stężała; już nie robił wrażenia upokorzonego chłopaczka.

– Proszę posłuchać – wyprostował się w fotelu i wytrzymał spojrzenie Quarta. – Tutaj toczy się wojna, a ja wybrałem stronę, po której walczę. Ksiądz Príamo to człowiek dobry i uczciwy, w przeciwieństwie do innych. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Kim są ci inni?

– Wszyscy pozostali. Od ludzi z banku po arcybiskupa – uśmiechnął się po raz pierwszy krzywym, pełnym żalu grymasem. – Łącznie z tymi, którzy nasłali tu księdza z Rzymu.

Na Quarcie nie zrobiło to wrażenia, nie należał do tych, których porusza zniewaga sztandaru. Nawet gdyby uznał, że Rzym to jego sztandar.

– Dobrze – powiedział chłodno, rzeczowo. – Zapiszmy to na karb młodości księdza. W tym wieku życie wydaje się dużo bardziej dramatyczne. Łatwo zapalić się do idei i spraw przegranych.

Wikariusz spojrział na niego z pogardą.

– Właśnie dzięki ideom zostałem księdzem – zdawał się zastanawiać, jakie były idee Quarta. – A skoro mowa o sprawach przegranych, kościół Matki Boskiej Płaczącej nie jest przegrany... jak na razie.

– Jeśli ktoś na tym wszystkim wygra, to na pewno nie ksiądz. To przeniesienie do Almerii...

Młody człowiek wyprostował się w bohaterskim geście.

– Każdy płaci swoją godnością lub swoim sumieniem. Może moja cena jest właśnie taka.

– Ładne zdanie – Quart odparł ironicznie. – Inaczej mówiąc: wyrzuca ksiądz na śmietnik błyskotliwą karierę... Naprawdę warto?

– Na co człowiekowi wszystko, jeśli zgubi duszę? – wikariusz przyglądał się rozmówcy przenikliwie, jakby argument był nie do obalenia. – Proszę nie mówić, że nie zna ksiądz cytatu.

Quart opanował chęć roześmiania się wprost w zabrudzone okulary młodzieńca.

– Nie widzę związku – powiedział – między duszą księdza a tym kościołem.

– Ksiądz wielu rzeczy nie widzi. Na przykład kościołów, które są bardziej potrzebne niż inne. Może przez to, co w sobie mają, albo to, co symbolizują. Pewne kościoły są jak okopy.

Quart uśmiechnął się w duchu. Przypomniał sobie księdza Ferro, który użył tego samego określenia w gabinecie arcybiskupa Corvo.

– Okopy – powtórzył.

– Tak!

– Proszę mi opowiedzieć, przed czym chcecie się bronić.

Ksiądz Oscar podniósł się obolały, nie odrywając wzroku od rozmówcy i zrobił kilka kroków w stronę okna. Rozsunął zasłony, wpuszczając do środka powietrze i światło.

– Przed Naszą Matką Kościołem – odpowiedział w końcu, nie odwracając się. – Katolickim, apostołskim i rzymskim tak bardzo, że w końcu zdradził swoje pierwotne przesłanie. Za sprawą reformacji stracił pół Europy, a w XVIII wieku ekskomunikował Rozum. Sto lat później utracił robotników, którzy zrozumieli, że trzyma stronę panów i ciemieńców. W tym wieku, który się właśnie kończy, traci młodzież i kobiety. Wie ksiądz, co potem zostanie? Szczury biegające między rzędami pustych ławek.

Przez chwilę milczał, stojąc nieruchomo. Quart słyszał jego oddech.

– Przede wszystkim bronić się – ciągnął wikariusz – przed tym, co sprowadza księdza do nas: przed uległością i milczeniem – teraz przyglądał się z uporem drzewkom pomarańczowym na placu. – W seminarium rozumiałem, że cały ten system opiera się na formach, jest grą ambicji i ustępstw. W naszym zawodzie nikt nie zbliża się do nikogo, jeśli ten nie jest przydatny w dalszej karierze. Od wczesnej młodości wybieramy nauczyciela, przyjaciela, biskupa, którzy pomagają nam funkcjonować coraz lepiej. – Quart usłyszał cichy śmiech spoza zaciśniętych zębów; nic już nie pozostało z młodzieńczego wyglądu księdza Oscara. – Sądziłem, że kapłan wykonuje tylko cztery rodzaje ukłonu przed ołtarzem, aż do czasu kiedy poznałem ekspertów potrafiących wykonać wszystkie możliwe ukłony. Już prawie do nich należałem, miałem być jednym z tych, co to nie potrafią dać ludziom znaku, którego od nas oczekują i bez którego wpadają w ręce chiromantów, astrologów i innych duchowych domokrażców. A kiedy poznałem księdza Priamo, zrozumiałem, czym jest wiara – nie zależy ona nawet od tego, czy Bóg istnieje, czy nie. Wiara to skok w ciemno w ramiona kogoś, kto cię przytuli... Jest pocieszeniem w chwili niepojętego lęku i bólu. Jest jak ufność dziecka wobec ręki, która wyciąga go z ciemności.

– Opowiedział o tym ksiądz wielu ludziom?

– Pewnie. Każdemu, kto chce mnie słuchać.

– Mam wrażenie, że może mieć ksiądz problemy.

– Już je mam, a ksiądz wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie skarżę się. Nie skończyłem jeszcze dwudziestu siedmiu lat i sądzę, że mógłbym podjąć się wykonywania każdego innego zawodu gdziekolwiek indziej. Ale zostanę tym, kim jestem, i będę walczył w każdym miejscu, dokąd mnie wyślą... – posłał Quartowi nieprzyjemny, bezczelny grymas. – I wie ksiądz... Odkryłem u siebie powołanie do bycia księdzem niewygodnym.

Z głową zatopioną w oparciu czarnego skórzanego fotela Pencho Gavira obserwował ekran swojego komputera. Była tam wiadomość, którą ktoś przysłał mu z jego pocztą:

Rozdzielili między siebie szaty, a los rzucili o jego suknię, nie zburzyli jednak świątyni Pana. Właśnie ten kamień, który odrzucili budowniczy, stał się głowicą węgla i zachowuje pamięć tych, których od nas oddzielono.

Przy okazji, pewnie dla rozrywki, pirat dorzucił niegroźnego wirusa – drażniącą piłeczkę pingpongową, która odbijała się od czterech krawędzi ekranu, podwajając się przy tym aż do chwili, gdy zderzała się z inną piłeczką, a wtedy wszystkie wybuchały, tworząc efekt grzyba nuklearnego i cała sekwencja rozpoczęła się od nowa. Gavira

nie przejął się tym zbytnio, mógł go zlikwidować bez trudu – dział informatyki banku pracował nad tym, sprawdzając przy okazji, czy nie pojawiły się inne ukryte wirusy, których efekty mogłyby okazać się bardziej niszczycielskie. Najbardziej jednak niepokojąca była łatwość, z jaką intruz – może jakiś urzędnik bankowy albo hacker-zartowniś – zaszczerpił swoją skaczącą piłeczkę i dziwny ewangeliczny cytat, który bez wątplenia odnosił się do operacji związanej z Matką Boską Płaczącą.

W poszukiwaniu pocieszenia wiceprezes Banku Kartuskiego oderwał wzrok od komputera i spojrzął na obraz wiszący na głównej ścianie gabinetu. Był to bardzo cenny Klaus Paten, zakupiony niewiele ponad miesiąc temu łącznie z walorami i nieruchomościami Banku Zachodniego. Stary Machuca nie należał do wielbicieli sztuki nowoczesnej – wolał Muñoza Degrain, Fortuny’ego i rzeczy w tym stylu – dzięki czemu Gavira przyznał go sobie jako łup wojenny. W dawnych czasach generałowie przystrajali się w sztandary zdobyte na wrogach i Klaus Paten był tego współczesnym odpowiednikiem: sztandarem pobitej armii – kobaltowa powierzchnia o wymiarach 2,20 X 1,80 z jedną kreską czerwoną i drugą żółtą, przekreślającymi ją po przekątnej zatytułowana *Obsesja Nr 5* – pod którym przez ostatnich trzydzieści lat zbierała się rada nadzorcza banku niedawno wchłoniętego przez Bank Kartuski. Rada ta znajdowała się obecnie w rozproszeniu, bezsilna i bezbronna, a Bank Zachodni, jedyna instytucja finansowa rzucająca cień na działalność Banku Kartuskiego w Andaluzji, był na wieki wieków wymazany z mapy dzięki technicznemu bankructwu, jakiego Gavira był bezlitosnym sprawcą. Bank Zachodni, przedsiębiorstwo typu rodzinnego, którego klientelę stanowili drobni ciułacze ze wsi, pozbawiony był koniecznego w dzisiejszych czasach rozumienia, co odróżnia zarabianie pieniędzy od nietracenia ich. Tak więc poprzez serię drobnych ciosów zadawanych dzięki przeciekom z banku, a dotyczących jego polityki, Gavira zapędził swojego konkurenta na pole minowe: postanowiono wprowadzić superrachunki jednorodne, niemożliwe do udźwignięcia przez istniejącą strukturę finansową, czego rezultatem była ucieczka pasywów i odejście tradycyjnych klientów. W następstwie tego Bank Zachodni poszedł na dno, a tam już czekał Gavira z najszerszym ze swoich uśmiechów i z otwartymi ramionami, gotów podać rękę kolegom w kłopotach. Jednak ręka ta szybko znalazła się na gardle – pomoc okazała się kampanią osaczania i niszczenia, zamaskowaną weksłami, pożyczkami i pozornie dobrymi chęciami, które szybko obróciły się w najdzikszą czystkę etniczną o niemal bałkańskim charakterze. W końcu Bank Zachodni stał się niczym więcej niż nazwą i paroma budynkami, w których zastawiono wszystko, nawet popielniczki w korytarzach; wchłonięcie banku okazało się nieuniknione, a prezes rodzinnej firmy miał do wyboru albo strzelić sobie w głowę, albo przyjąć drobną honorową funkcję w radzie nadzorczej Banku Kartuskiego. Wybrał drugą opcję. Wszystko to nadawało symboliczny charakter obecności dzieła

Klausa Patena naprzeciwko biurka Pencho Gaviry, na głównym piętrze budynku przy ulicy Arenal. Była to chlubna zdobycz. Trofeum dla zwycięzcy.

Zwycięzca. Gavira wypowiedział to słowo prawie głośno, jednak zmarszczka niepokoju przecięła mu czoło, kiedy znów spojrzął na ekran komputera, pełen piłeczek odbijających się we wszystkich kierunkach, dokładnie w momencie, gdy dwie z nich zderzyły się, rozpoczynając nuklearną reakcję łańcuchową. Bum. Kolejna samotna piłeczka rozpoczęła nowy cykl. Zrozpaczony Pencho Gavira odwrócił się z fotelem o sto osiemdziesiąt stopni, ku ogromnemu oknu wychodzącemu na nabrzeże Gwadalkiwiru. W jego świetle, na polu bitwy, gdzie albo zabijasz, albo jesteś zabity, przez które wędrował w poszukiwaniu pomyślności, konieczny był ciągły ruch, właśnie ptaki jak tej piłeczki. Zatrzymanie oznaczało śmierć i dlatego ranny rekin staje się łatwym łupem dla innych drapieżników. Stary Machuca ze swoim zwykłym spokojem i ciemną zasłoną za półprzymkniętymi powiekami, zza których obserwował życie, powiedział mu kiedyś: „To jest tak, jakbyś jechał na rowerze – jeśli przestaniesz pedałować, upadniesz”. Pencho Gavira ze swej natury pedałowal bez wytchnienia, wyobrażając sobie nowe ścieżki, atakując bezlitośnie rzeczywistych przeciwników i wiatraki wymyślone na oczekaniu. Każda przeciwność stwarzała okazję do ucieczki do przodu, każde zwycięstwo stanowiło zapowiedź nowej bitwy. W ten sposób wiceprezes i dyrektor naczelny Banku Kartuskiego dawał upust zawilej naturze własnych ambicji. Coś, czego ostateczny cel będzie znany dopiero, kiedy do niego dotrze, o ile w ogóle kiedyś to nastąpi.

Przycisnął klawisz komputera, żeby wyjść z poczty wewnętrznej i po wpisaniu hasła wszedł do osobistego archiwum, do którego tylko on miał dostęp. Tutaj, niedostępny dla hackerów, znajdował się tajny raport, którego ujawnienie oznaczałoby dla niego poważne kłopoty: było to dzieło wywiadowni gospodarczej, przeprowadzone przez grupę doradców przeciwnych temu, by Gavira został następcą Octavio Machuki na stanowisku prezesa Banku Kartuskiego. Raport ten był śmiertelną bronią, a konspiratorzy zamierzali wyciągnąć go z kapelusza podczas następnego posiedzenia, zaplanowanego na przyszły tydzień; nie wiedzieli jednak, że Gavira, po zapłaceniu znacznej sumy, również otrzymał kopię dokumentu.

S&B Poufne

Streszczenie wewnętrznego dochodzenia B.C.

w sprawie P.T. i innych.

– W połowie ubiegłego roku zaobserwowano wysoki wzrost aktywów Banku i w konsekwencji długów międzybankowych, szacowanych w poprzednich miesiącach. Wiceprezes (Fulgencio Gavira posiada wszelkie pełnomocnictwa, poza tymi, które są nieprzekazywalne) utrzymywał, że rzeczony wpływ pochodzi głównie z

finansowania Puerto Targa i od akcjonariuszy, chodziło jednak o jednostkowe i przejściowe operacje, które zakończą się przy bliskiej sprzedaży Puerto Targa zagranicznej grupie (Sun Qafer Alley, kapitał saudyjski), co przyczyniłoby się do wzrostu wartości terenu i zysku dla akcjonariuszy oraz wysokiego procentu zysków dla Banku Kartuskiego. Na sprzedaż uzyskano odpowiednią zgodę regionalnych władz Andaluzji i autonomicznej rady ministrów.

– Puerto Targa jest spółką z kapitałem założycielskim wysokości 5 000 000 peset, której celem jest utworzenie na terenie objętym najwyższą ochroną ekologiczną Narodowego Parku Doñana klubu golfowego i zespołu luksusowych rezydencji wypoczynkowych oraz sportowej przystani wodnej. Zakazy administracyjne, wynikające z budowy na terenie strefy chronionej, zostały ostatnio w sposób nieoczekiwany zniesione przez rząd Andaluzji, który do niedawna sprzeciwiał się stanowczo realizacji projektu. 78% akcji spółki zostało kupionych przez Bank, na odpowiedzialność wiceprezesa (Gavira), wskutek rozszerzenia jego kompetencji, co podniosło wysokość kapitału do 9 miliardów peset. Co do własności 22% akcji, pozostających w rękach pojedynczych właścicieli, to istnieją uzasadnione podejrzenia, że spółka H.P. Sunrise, z siedzibą w San Bartolome (Francuskie Antyle), dysponująca nadal znacznym pakietem akcji, również może być związana z osobą Fulgencio Gaviry.

– Mimo upływu czasu sprzedaż Puerto Targa nie została sformalizowana. Tymczasem stale wzrasta ryzyko. Ze swej strony wiceprezes nadal utrzymuje, że obserwowany wzrost jest powodowany w części likwidacją stóp procentowych, dyskontem papierów i samym sposobem finansowania, ale twierdzi, że sprzedaż akcji, mająca nastąpić w krótkim terminie, znacznie obniży zaistniałe ryzyko. Dochodzenie wykazało jednak, że wzrost zagrożenia jest wynikiem zatajonych operacji, wykrytych w czasie śledztwa, opiewających łącznie na sumę 20 028 milionów peset, z których jedynie 7020 łączy się z operacją Puerto Targa. Mimo to wiceprezes nadal utrzymuje, że kupno przez Sun Qafer Alley akcji Puerto Targa doprowadzi do normalizacji sytuacji.

– Po przeprowadzeniu starannego dochodzenia trzeba dojść do wniosku, że Puerto Targa jest spółką, która za sprawą skomplikowanej inżynierii finansowej, opartej na spółkach z siedzibą w Gibraltarze, była od chwili jej stworzenia do dnia dzisiejszego finansowana niemal w całości przez Bank Kartuski, co zostało zatajone przed większością członków Rady Nadzorczej Banku. Można powiedzieć, że spółka Puerto Targa została stworzona w pierwszym rzędzie po to, by wykazać fikcyjny zysk Banku Kartuskiego, wynikający z zaksięgowania 7020 milionów jako wpływu ze sprzedaży, choć w rzeczywistości Bank zapłacił sam sobie, sprzedając sobie samemu Puerto Targa za pośrednictwem parawanowych przedsiębiorstw

gibraltarskich. Kolejnym jej celem było uzdrowienie bilansu Banku, za sprawą przychodu dodatkowego mającego wynikać ze sprzedaży na rzecz Sun Qafer Alley... To znaczy „zatkanie dziury” wielkości 10000 milionów peset w kasie Banku Kartuskiego, wynikłej z aktualnego sposobu kierowania przez wiceprezesa oraz obciążeń wynikłych z poprzednich posunięć.

– Sprzedaż, która według opinii wiceprezesa potroi aktualną wartość spółki, jeszcze nie została zrealizowana, a jako możliwą datę podaje się drugą połowę bądź koniec bieżącego maja. Jest możliwe, jak utrzymuje Wiceprezes, że operacja Puerto Targa znormalizuje sytuację wewnętrzną. Na razie jednak stwierdza się, że stale zatajanie prawdziwej sytuacji stanowi dowód na „upiększanie” finansowej sytuacji Banku Kartuskiego. Znaczący to, że w ciągu ostatniego roku ukrywano przed Radą Nadzorczą zarówno zaistniałe ryzyka, jak i brak pozytywnych wyników działania, a także liczne błędy w zarządzaniu oraz nieprawidłowości, choć trzeba przyznać, że nie wszystko to można przypisać jedynie niewłaściwej administracji aktualnego wiceprezesa.

– Jako przykłady owego zatajania prawdy można podać: gwałtowne poszukiwanie nowych i kosztownych źródeł finansowania, fałszowanie ksiąg bez przestrzegania jakichkolwiek norm bankowych i wystawianie się na ryzyko dające się określić jako nierozważne, ponieważ o ile nie dojdzie do sprzedaży Puerto Targa na rzecz Sun Qafer Alley (wstępnie szacowanej na 180 milionów dolarów), może nastąpić deficyt o bardzo poważnych konsekwencjach dla Banku Kartuskiego, a także publiczny skandal, który obniży w znacznym stopniu zaufanie społeczne wśród akcjonariuszy typu drobny ciulacz, z natury swej konserwatywnych.

– Jeśli idzie o nieprawidłowości wynikające bezpośrednio z zarządzania przez aktualnego wiceprezesa, stwierdzono brak rozwagi przy wydawaniu wysokich sum na rzecz specjalistów i osób prywatnych bez przedstawiania wymaganej dokumentacji (obejmuje to osoby oraz instytucje publiczne w przypadkach łatwo dającego się stwierdzić przekupstwa), oraz zawieranie przez aktualną administrację umów z klientami, w których występuje możliwość, choć nieudowodniona, uzyskiwania określonych zysków i prowizji.

– Z wymienionych względów oraz z wykrytych nieprawidłowości w zarządzaniu wynika jasno, że fiasko operacji Puerto Targa może doprowadzić Bank Kartuski do poważnych trudności. Niepokoi również możliwość negatywnych głosów, gdyby doszło do upublicznienia operacji przedsięwziętych przez wiceprezesa w związku z kościołem pod wezwaniem Matki Boskiej Płaczącej, pośród tradycyjnej klienteli banku, złożonej z klasy średniej o charakterze konserwatywnym, najczęściej katolickiej.

W ogólnych zarysach wszystko to było prawdą. W ostatnich sprawozdaniach Gavira musiał dokonywać isticie kuglarskich sztuczek, żeby zaprezentować radzie nadzorczej jako możliwe do akceptacji zarządzanie bankiem, który dostał się w jego ręce, a którego polityka finansowa była dotąd zachowawcza i mierna. Puerto Targa i inne podobne operacje służyły temu, by zyskać na czasie i umocnić swoją pozycję na czele Banku Kartuskiego. Przypominało to wchodzenie po drabinie przy użyciu szczebli przekładanych z dołu do góry. Była to jedyna możliwa taktyka zdobycia szczytu. Potrzebował oddechu i zaufania, a operacja związana z Matką Boską Płaczącą, stanowiąca przynętę dla Saudyjczyków mających kupić Puerto Targa, stawała się nieodzowna: zmieniałaby dzielnicę Santa Cruz w perłę turystyki elitarniej. Dokumentacja projektu – niewielki i superluksusowy hotel ze wszystkimi usługami w odległości pięciuset metrów od starego meczetu Sewilli, osobisty kaprys Kemala Ibn Sauda, brata króla Arabii Saudyjskiej i czołowego udziałowca Sun Qafer Alley – znajdowała się ukryta pod tajnym hasłem na twardym dysku jego komputera łącznie z raportem na temat jego zarządzania oraz kilkoma innymi tajemnicami Gaviry, z kopiami na dyskietkach i CD w kasie panczernej za obrazem Klausa Patena. Stawka w tej grze była zbyt wysoka, żeby sztuczki czterech członków rady miały zniweczyć całe dzieło.

Jeszcze raz rzucił okiem na ekran, marszcząc brew. Niepokoila go obecność informatycznego pirata i jego skacząca piłeczka. Jeśli to jakiś hacker, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że odcyfrował hasło zabezpieczające dostęp do poufnego archiwum; choć było to możliwe. Ale tacy ludzie lubią zostawiać po sobie ślady, czyli piłeczkę umieściłby w środku, a nie na zewnątrz. Na myśl o tym oblała go fala straszego gorąca – nie byłoby miłe, gdyby jakiś intruz krążył wokół tego typu informacji. Jak mawiał stary Machuca, lepiej powiedzieć „na wszelki wypadek” niż „kto by to pomyślał”; przycisnął więc klawisz i zmasał archiwum.

Potem przyglądał się szarozielonemu nurtowi Gwadalkiwiru i ulicy Betis na drugim brzegu. Rzeka rozbłyskiwała w słońcu, a odbity blask obrysowywał zwartą sylwetkę Złotej Wieży. W świetle Pencho Gaviry aspiracje do posiadania tego wszystkiego były usprawiedliwione – chciał, żeby ten metaliczny blask przesunął się każdego poranka wyłącznie dla niego, na jego twarz i na ścianę, gdzie wisiał Klaus Paten, oświetlając jego zwycięstwo i jego chwałę. Zapalił papierosa i wypuścił dym w kierunku szerokiego pasma złotego światła, jakie wpadało przez okno, iluminując biurko niczym reflektor środek sceny. Potem otworzył szufladę biurka i po raz nie wiadomo który wyjął magazyn, ukazujący jego żonę w towarzystwie torreadora, wychodzących z hotelu Alfonso XIII. Trzymając jedną rękę na zdjęciach, poczuł znowu mroczne i niezdrowe pragnienie; rodzaj fascynującego, perwersyjnego niesmaku, jakiego doświadczał przeglądając strony, na których rozpoznawał zdjęcia

aż nazbyt już dobrze znajome. Jego wzrok przebiegł od okładki do zdjęcia stojącego na biurku w srebrnej ramce: Macarena na pierwszym planie w białej bluzce, z nagim ramieniem. Sam zrobił to zdjęcie w czasach, kiedy sądził, że ma ją dla siebie na zawsze, a nie tylko w chwilach, kiedy się kochali. Jeszcze zanim nastąpił kryzys z powodu kościoła i dziecka, które Macarena chciała mieć w zupełnie nieodpowiednim czasie. Jeszcze zanim zaczęła dotykać jego członka z takim samym brakiem zainteresowania, jakby czytała Braille'em nudny tekst.

Poruszył się niespokojnie na skórzanym fotelu. Sześć miesięcy. Przypomniał sobie widok swojej nagiej żony, oświetlonej jarzeniówką, siedzącej na krawędzi wanny, podczas kiedy on brał prysznic, nieświadomy, że właśnie kochali się po raz ostatni. Patrzyła na niego w taki sposób, jak nigdy przedtem, jakby stał przed nią zupełnie obcy człowiek. Nagle podniosła się, a kiedy Gavira wszedł do sypialni, ociekając wodą pod kąpielowym płaszczem, była ubrana i pakowała walizkę. Nic nie powiedziała, żadnego wyrzutu. Jedyne spojrzała na niego mrocznie, w milczeniu, i poszła do drzwi, zanim zdążył zareagować słowem czy gestem. Do dzisiaj minęło sześć miesięcy. I od tego czasu nie zgodziła się na spotkanie. Nigdy.

Pomiętą gazetę z powrotem schował do szuflady, gasząc równocześnie ze złością papierosa w popielniczce, dokładnie, aż do chwili, kiedy stłamsił ostatni kawałek żaru, jakby znajdował ulgę w tym geście przemocy na drobną skalę. Obym mógł zrobić to samo – pomyślał – z proboszczem, zakonnica wyglądającą na lesbijkę i z tymi wszystkim księżmi wyłazącymi z konfesjonałów, z katakumb, z przeszłości zacofanej i najczarniejszej po to tylko, żeby zatruwać mu życie. I z tą Sewillą dumną, zakurzoną, nędzną, przypominającą mu jego pozycję dorobkiewicza, kiedy tylko córka księżnej del Nuevo Extremo odwróciła się od niego. Spazm złości wstrząsnął jego szczękami i krótkim gestem ręki odwrócił twarzą do stołu portret żony. Na Boga, na diabła, czy kto tylko jest za to odpowiedzialny, drogo zapłacą za wstyd i niepewność, które teraz każą mu cierpieć. Najpierw zabrali mu żonę, a teraz chcą mu zabrać kościół i całą przyszość.

– Zwyczajnie was zmiotę – niemal wypluł z siebie na głos. – Wszystkich.

Słowa te wypowiedział gasząc komputer, a świecący prostokąt na ekranie malał, aż całkowicie zniknął. Był gotowy wypełnić stronę formalną wyroku. Paru księży trzeba wycofać z obiegu – zwykła nauczka, jakieś złamane biodro – coś takiego nie wzbudziłoby w Pencho Gavirze istotnych wyrzutów sumienia. A jeśli będą mu dalej bruździć – w ogóle żadnych wyrzutów sumienia. Kiedy wyciągnął rękę po telefon wewnętrzny, był przekonany, że coś z tym trzeba zrobić.

– Peregil – powiedział do słuchawki. – Czy twoi ludzie są pewni?

Jak skała, zabrzmiała odpowiedź oprycha. Gavira spojrzał na odwróconą ramkę na biurku i nadał twarzy ten krwiożerczy wyraz, jaki sprawił, że w andaluzyjskim

świecie bankowym nosił przydomek Rekin z Arenal. Nadszedł czas, żeby przystąpić do dzieła, pomyślał. I jednego był pewien: tym łajdakom w sutannach poprzetrąca karki.

– No to przyciśnij ich – polecił. – Podpal kościół, zrób, co chcesz. Ale dował im tak, żeby zaczęli cienko śpiewać.

VI

Krawat Lorenzo Quarta

*Pani zjednoczyła w sobie wszystkie kobiety świata.
(Joseph Conrad, Złota strzala)**

Lorenzo Quart miał tylko jeden krawat. Z granatowego jedwabiu, kupiony w sklepie z koszulami na Via Condotti, oddalonym o sto pięćdziesiąt kroków od jego domu. Zawsze używał tylko jednego modelu: krój tradycyjny, nieco węższy niż te, które nadążają za modą. Używał go rzadko, zawsze do bardzo ciemnych garniturów i białych koszul, a kiedy krawat zabrudził się lub zniszczył, kupował kolejny, identyczny. Tak działo się tylko dwa, trzy razy do roku, bo zwykle nosił koloratkę do czarnych koszul, prasowanych przez niego samego z precyzją doświadczonego żołnierza, gotowego na nieoczekiwany przegląd mundurów ze strony opętanych regulaminami przełożonych. Każdy krok w życiu Quarta podporządkowany był domniemanym regulaminom. Ich ścisłe przestrzeganie było jego zasadą od zawsze, jak tylko sięgnął pamięcią, na długo przedtem zanim leżał z ramionami rozkrzyżowanymi i twarzą zwróconą do ziemi na zimnych płytach kościelnej posadzki, zanim otrzymał święcenia kapłańskie. Już w seminarium Quart przyjął dyscyplinę kościelną jako skuteczną normę, żeby uporządkować swoje życie. W zamian otrzymał bezpieczeństwo, przyszłość i sprawę, dla której mógł rozwijać własne talenty; jednak w odróżnieniu od kolegów ani wtedy, ani później – już po wyświęceniu – nie sprzedał duszy żadnemu protektorowi ani żadnym możliwym przyjaciółom. Wierzył – i chyba była to jego jedyna naiwność – że przestrzeganie reguł wystarcza, żeby zapewnić sobie

* Joseph Conrad, *Dzieła wybrane, Złota strzala*, tłum. Aniela Zagórska, Warszawa, PIW, 1987.

szacunek innych. To prawda, że nie brak było zwierzchników, na których zdyscyplinowanie i inteligencja młodego księdza robiły wrażenie. To pomogło w studiach – sześć lat seminarium, dwa lata na Wydziale Filozofii, Historii Kościoła i Teologii, a następnie stypendium w Rzymie, aby doktoryzować się w prawie kanonicznym na temat wewnętrznego systemu prawnego Kościoła. Tam profesorowie z Uniwersytetu Gregoriańskiego zaproponowali jego nazwisko do Papieskiej Akademii dla Duchownych i Szlachetnie Urodzonych, gdzie Quart studiował dyplomację i stosunki między Kościołem a państwem. Następnie Sekretariat Stanu przetrenował go w kilku europejskich nuncjaturach, aż kardynał Spada formalnie zwerbował go do Instytutu Spraw Zagranicznych, kiedy miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Wtedy Quart poszedł do Enzo Rinaldiego i zapłacił sto piętnaście tysięcy lirów za swój pierwszy krawat.

Od tego czasu minęło dziesięć lat, a jednak miał problem z węzłem. Nie chodzi o to, że nie potrafił skrzyżować końców, przełożyć na lewo i na prawo, przewlec i przeciągnąć. Stojąc nieruchomo naprzeciwko lustro w łazience, przyglądał się białemu kołnierzykowi i granatowemu jedwabowi, jaki trzymał w palcach, z poczuciem całkowitej bezbronności. Rezygnacja z koloratki i czarnej koszuli na kolacji z Macareną Bruner wydawała mu się dużym ryzykiem, trochę tak jakby templariusz rezygnował z kolczugi, wybierając się na negocjacje z mamelukami pod murami Tyru. Pomysł ten wywołał u niego niespokojny uśmiech, podczas gdy spoglądał na zegarek na lewym nadgarstku. Miał dokładnie tyle czasu, żeby ubrać się i dojść do umówionej restauracji, którą za pomocą mapy zlokalizował na placu Santa Cruz, kilka kroków od dawnych arabskich murów. To obudziło w nim złe skojarzenia z templariuszem.

Lorenzo Quart był równie punktualny, jak każdy z tych szwajcarskich mechanizmów o wygolonych głowach i w kolorowych szatach, które strzegły Watykanu. Zawsze obliczał czas, dzieląc go dokładnie na drobne fragmenty, jakby prowadził w głowie precyzyjną agendę. To pozwalało mu w pełni panować nad każdym skrawkiem upływającego czasu. Miał go dość, żeby zająć się krawatem, zmusił się więc do spokojnego zawiązania go i starannie wyrównał węzeł. Lubił poruszać się powoli, a panowanie nad sobą było dla niego powodem do dumy. Jego związki z resztą świata polegały na stałym wysiłku, żeby unikać pochopnych gestów, słów nie na miejscu, zbyt szybkiego i zbyt długiego zwłoki, odruchów zniecierpliwienia, które zniweczyłyby czystość zasad. Bo przede wszystkim liczyły się zasady. Dzięki nim, choćby łamał inne kodeksy, których sam nie przestrzegał – co kardynał Spada, ze swym znanym talentem do eufemizmów, nazywał „poruszaniem się po zewnętrznej krawędzi legalności” – formy moralne pozostawały bez szwanku. Jego jedyną wiarą była wiara żołnierza. I w jego przypadku nie była zgodna z prawdą stara reguła powtarzana w Kurii: *Tutti i preti sono falsi*. Zdanie, że wszyscy księża są

obludnikami, ani go ziębiło, ani parzyło. Lorenzo Quart był spokojnym, uczciwym templariuszem.

Pewnie dlatego po obejrzeniu własnego wizerunku w lustrze Quart rozwiązał krawat i zdjął go. Potem to samo zrobił z białą koszulą, rzucając ją na taboret w łazience. Z nagim torsem podszedł do szafy i z szuflady wyjął czarną koszulę z koloratką i włożył ją. Zapinając guziki, dotknął blizny pod lewym obojczykiem, pamiątka po operacji przeprowadzonej po tym, jak amerykański żołnierz złamał mu ramię kolbą karabinu podczas inwazji panamskiej. Była to jego jedyna blizna zawodowa, czerwone znamię odwagi czy też palma męczeństwa, jak ironizował arcybiskup Spada. I choć cała sprawa zrobiła spore wrażenie na Jego Ekscelencji i małodusznych szperaczach w życiorysach z Kurii, wołałby jednak, żeby ów opętaniec wyposażony w kewlarowy hełm, karabin M-16 i identyfikator *J. Kowalski* na kuloodpornej kamizelce – „kolejny Polak”, doda później kwaśno arcybiskup Spada – poważniej potraktował watykański paszport dyplomatyczny, który został mu podetknięty pod nos na terenie Nuncjatury, w dniu kiedy Quart negocjował poddanie się generała Noriega.

Poza tą raną cała sprawa panamska była wzorcową operacją, uznawaną obecnie przez ISZ za klasyczny model kryzysowej dyplomacji. W kilka godzin po amerykańskiej inwazji i wejściu Noriega na teren watykańskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego Quart wylądował tam nagle po pełnym przygód locie z Kostaryki. Oficjalnie misja jego polegała na pomocy nuncjuszowi, w rzeczywistości jednak miał kontrolować negocjacje i bezpośrednio informować ISZ, zastępując biskupa Hectora Bonino, Argentyńczyka włoskiego pochodzenia, bez wykształcenia dyplomatycznego, któremu Sekretariat Stanu nie do końca ufał, zwłaszcza gdy w grę wchodziły sprawy niezbyt ortodoksyjne. Rzeczywiście, widok był niecodzienny: północnoamerykańscy żołnierze między zasiekami z drutu kolczastego i metalowymi zaporami ustawili wysokiej mocy sprzęt nagłaśniający, który dwadzieścia cztery godziny na dobę emitował muzykę hard-rockową na cały regulator; celem było podminowanie odporności psychicznej nuncjusza i ukrywających się u niego uciekinierów. W budynku, rozlokowani w biurach i w korytarzach, koczowali terroryści baskijscy w liczbie pięciu, nikaraguański szef kontrwywiadu Noriega, kubański doradca ekonomiczny, który cały czas groził samobójstwem, gdyby nie został wydany zdrów i cały do Hawany, agent hiszpańskiego Cesidu, który wchodził i wychodził bez przeszkód, żeby zagrać w szachy z nuncjuszem i informować na bieżąco Madryt, trzech kolumbijskich handlarzy narkotyków oraz sam generał Noriega, alias Ananasowa Twarz, ze względu na księżycowe kratery na fizjonomii, postać bardzo cenna dla Amerykanów. W zamian za azyl biskup Bonino wymagał, żeby jego goście uczestniczyli codziennie w mszy świętej, i był to doprawdy wzruszający widok, jak

przekazywali sobie nawzajem znak pokoju – Kubańczyk handlarzom narkotyków, baskijscy terroryści Nikaraguańczykowi, a ten z kolei agentowi Cesidu, oraz Noriega pogrążony w modlitwie i bijący się w piersi, pod uważnym wzrokiem i podniesioną brwią nuncjusza, podczas gdy Bruce Springsteen ryczał *Born in USA*. Ostatniej nocy oblężenia, kiedy komando Delta z nosami pomalowanymi na czarno, starało się zdobyć nuncjaturę, Quart pozostawał w kontakcie telefonicznym z arcybiskupami Nowego Jorku i Chicago, aż do chwili kiedy prezydent Bush odwołał pacyfikację. Wreszcie Ananasowa Twarz oddał się bez specjalnych warunków wstępnych, Nikaraguańczyk i Baskowie dyskretnie zostali wywiezieni z Panamy, przemytnicy narkotyków rozplynęli się w powietrzu, wypływając nieco później z powrotem w Medellin. Tylko Kubańczyk, który wyszedł jako ostatni, miał problemy, kiedy marines stwierdzili jego obecność w bagażniku starego chevroleta impala, wynajętego przez Quarta, w którym agent Cesidu wywoził go z Nuncjatury, dla czystej przyjemności, ryzykując tym całą swoją karierę. Porozumienie dotyczące jego wyjazdu było ściśle tajne i właśnie dlatego szeregowiec Kowalski o nim nie wiedział. Do jego fachu nie należały również subtelnosci dyplomatyczne, tak więc przy próbie negocjacji Quart wylądował ze złamanym obojczykiem, pomimo koloratki i watykańskiego paszportu. Co się zaś tyczy Kubańczyka, człowieka nerwowego o nazwisku Girón, przesiedział on miesiąc w więzieniu w Miami. I nie tylko nie dotrzymał obietnicy popełnienia samobójstwa, ale nawet przyznano mu azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych, po tym jak udzielił wywiadu dla „Reader’s Digest”, zatytułowanego *Mnie też Castro oszukał*.

W hotelowym hallu siedział nieznajomy, który podniósł się z fotela, kiedy Quart wyszedł z windy. Miał około czterdziestki, tłuście ciało i przylakierowane, gładkie włosy, przerzedzone na czubku głowy.

– Nazywam się Bonafé – przedstawił się. – Honorato Bonafé.

Quart pomyślał, że rzadko które nazwisko tak wyraźnie stoi w sprzeczności z wyglądem swojego właściciela. Honor i uczciwość to ostatnie pojęcia, jakie można by połączyć z obwisłym, tustym podbródkiem, będącym przedłużeniem policzków, opuchniętymi powiekami nad malutkimi, sprytnymi oczkami, które patrzyły na rozmówcę, jakby zadając sobie pytanie, ile też można dostać za jego ubranie i buty, gdyby jakoś je zdobyć i sprzedać handlarzowi starzyzną.

– Czy moglibyśmy chwileczkę porozmawiać?

Człowiek był nieprzyjemny, ale jeszcze bardziej nieprzyjemny był jego uśmiech: przylepiony grymas, usługny i nikiemny zarazem, podobny do uśmiechu księdza starej daty, starającego się pozyskać przychylność biskupa. Temu typowi, pomyślał Quart, dużo lepiej pasowałaby sutanna niż wymięty beżowy garnitur i skórzana

torebka na pasku, zawieszona na lewym nadgarstku, ponad dłonią malutką, tłąstą i pulchną, z tych, które właściciele podają jedynie do potrzymania.

Quart zatrzymał się z rezerwą, gotów go wysłuchać i spojrział ponad głowę gościa na zegar ścienny, do spotkania z Macareną Bruner zostało jeszcze piętnaście minut. Intruz pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Quarta, powtórzył, że zajmie mu tylko chwilę, a następnie wyjął rękę z kieszeni, jakby chciał nią dotknąć ramienia duchownego. Quart spojrział na tę dłoń, wyraźnie odradzając próby dotknięcia. Bonafé zatrzymał w powietrzu rękę w pół gestu, przedstawiając mgliście swoje zamiary w tonie poufałym, który jeszcze zaostrzył niechęć Quarta. Jego zawodowy alarm włączył się dopiero po usłyszeniu nazwy magazynu „Q+S”.

– Krótko mówiąc: jestem do dyspozycji księdza w każdej sprawie.

Quart uniósł brew z powątpiewaniem i zdumieniem. Niech go licho, jeśli ten typ nie puścił do niego oka.

– Bardzo dziękuję. Ale nie widzę potrzeby.

– Ksiądz jej nie widzi – Bonafé poruszył głową, jakby ubawił go ten świetny żart. – A jednak wszystko jest całkiem jasne, prawda? Wszystko to, co ksiądz robi w Sewilli.

Rany Boskie! Brakowało tylko, żeby taki typ wmieszał się do sprawy, a przecież Rzymowi tak bardzo zależy na dyskrecji. Starając się opanować niesmak, Quart zastanawiał się, jak to możliwe, by z każdej strony było tyle przecieków.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

Rozmówca patrzył na niego ze źle maskowaną zuchwałością.

– Naprawdę ksiądz nie wie?

Quart miał już tego dosyć, rzucił więc wzrokiem na zegar.

– Przepraszam, jestem umówiony.

Ruszył przez hali w kierunku wyjścia, bez pożegnania. Człowieczek szedł obok niego.

– Pozwoli ksiądz, że będę mu towarzyszył? Po drodze możemy porozmawiać.

– Nie mamy o czym.

Zostawił klucz w recepcji i wyszedł na ulicę, z dziennikarzem pół kroku za sobą. Na niebie pozostały jeszcze resztki jasności, odcinając się od ciemnej sylwetki Giraldy. Na placu Virgen de los Reyes właśnie zapalały się uliczne światła.

– Ksiądz chyba mnie nie rozumie – nalegał Bonafé, wyjmując złożony egzemplarz „Q+S” z kieszeni. – Pracuję w tej gazecie – przerwał i podał egzemplarz Quartowi, lecz widząc, że ten nie zamierza go dotknąć, schował z powrotem. – Proszę tylko o chwilę przyjacielskiej pogawędki – ksiądz mi opowie kilka rzeczy, a ja będę grzecznym chłopcem. Zapewniam księdza, że ta współpraca obu nam wyjdzie na dobre.

W jego różowych ustach słowo współpraca nabrało obscenicznego podtekstu. Quart starał się stłumić obrzydzenie.

– Proszę nie nalegać.

– Już dobrze – spod poufalego tonu wyzierała pospolitość. – Może byśmy się czegoś napili...

Dotarli do rogu pałacu arcybiskupiego, oświetlonego przez latarnię. Nagle Quart stanął i odwrócił się na pięcie.

– Niech pan słucha, Buenafe.

– Bonafé – sprostował.

– Bonafé, czy jak tam się pan nazywa. To, co robię w Sewilli, to nie pańska sprawa. W każdym razie z pewnością nie będę o tym opowiadał.

Dziennikarz zaprotestował, odymając usta ze światową miną, wygadując frazesy na temat dziennikarstwa: powinność informowania, poszukiwanie prawdy i tak dalej. Czytelnicy mają prawo wiedzieć.

– Poza tym – dodał po chwili namysłu – dla was będzie lepiej stać po mojej stronie niż po przeciwnej.

To już brzmiało jak zakamuflowana groźba i Quart znecierpliwiał się.

– *Dla was?* Czy mówi pan o jakimś klubie?

– Jasne, że nie – znów uśmiechał się ślisko, pojednawczo. – No, dla kleru... i tych tam wszystkich.

– No tak. Dla kleru.

– Aha.

– Dla kleru i tych tam wszystkich.

Podbródek zwinął się w trzy fałdy, kiedy Bonafé przytakiwał, z nową nadzieją:

– Widzę, że się rozumiemy.

Quart patrzył na niego spokojnie, z rękami założonymi do tyłu.

– I czego właściwie chciałby się pan dowiedzieć?

– No cóż, wszystkiego po trochu – Bonafé podrapał się pod pachą. – Na przykład, co w Rzymie sądzi się o tym kościele. Jaka jest kanoniczna sytuacja proboszcza... I co ksiądz mógłby mi powiedzieć o swojej tutejszej misji – służalczy, a zarazem porozumiewawczy uśmieszek stał się wyraźniejszy. – Widzi ksiądz, że to proste.

– A co będzie, jak odmówię?

Dziennikarz mlasnął językiem, dając do zrozumienia, że na tym etapie zażyłości nie wchodzi to w grę.

– Tak czy inaczej, napiszę artykuł. A kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie – mówiąc kiwał się na czubkach stóp. – Czy nie tak mówi Ewangelia?

– Proszę posłuchać, Buenafe...

– Bonafé – podniósł palec wskazujący, żeby uściślić. – Honorato Bonafé.

Quart przyjrzał mu się przez chwilę w milczeniu. Następnie rzucił okiem w prawo i w lewo i zbliżył się do niego o krok, z konfidencjonalną miną. Było jednak coś w jego

ruchach, może wynikało to z różnicy wzrostu czy też wyrazu oczu duchownego, że człowieczek cofnął się aż pod ścianę.

– Naprawdę guzik mnie obchodzi, jak się pan nazywa – powiedział Quart cicho – bo mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy – podszedł jeszcze bliżej i zauważył, jak Bonafé mruga niespokojnie. – Chcę tylko powiedzieć, że jest mi wszystko jedno, czy jest pan zuchwalcem, szantażystą, idiotą czy tym wszystkim naraz. Tak czy inaczej, pomimo duchownego stanu, jestem skory do popadania w grzech złości, radzę więc, żeby zniknął pan z moich oczu. Natychmiast.

Światło latarni rzucało pionowe cienie na twarz dziennikarza. Z zamarłym uśmiechem patrzył teraz na Quarta niechętnie.

– To niestosowne dla księdza – zaprotestował z drgającym podbródkiem. – Mam na myśli takie zachowanie.

– Tak pan uważa? – teraz Quart się uśmiechał i nie był to przyjacielski uśmiech. – Zdziwiłby się pan, do jakich niestosowności jestem zdolny.

Odwrócił się plecami i odszedł, zastanawiając się, ile przyjdzie mu zapłacić za to małe zwycięstwo. Na pewno trzeba zakończyć dochodzenie, zanim cała sprawa zacznie się zbytnio komplikować, o ile to się jeszcze nie stało. Dziennikarz węszący w zakryściach to kropla przelewająca dzban. Zatopiony w takich myślach, Quart przeszedł przez plac Virgen de los Reyes, nie zwracając uwagi na parę siedzącą na ławce – kobietę i mężczyznę, którzy wstali i ruszyli za nim w pewnej odległości. Mężczyzna był gruby, w białym ubraniu i w kapeluszu panama, kobieta miała suknię w grochy i niespotykany loczek, zaczesany na czoło. Szli za Quatem, trzymając się pod rękę niby spokojne małżeństwo, które spaceruje w przedwieczornym chłodzie. Kiedy mijali człowieka w białym golfie i marynarce w kratkę, żującego wykałaczkę, który stał oparty o drzwi do baru Giralda, wymienili z nim porozumiewawcze spojrzenie. W tym momencie z wież Sewilli zaczęły rozbrzmiewać dzwony, płosząc gołębie, które już drzemały w mroku pod okapami.

Kiedy wysoki ksiądz wszedł do restauracji La Albahaca, don Ibrahim wysłał Żrebaka z monetą dwudziestopięciopesetową do najbliższej budki telefonicznej, żeby poinformował o wszystkim Peregila. Niecałą godzinę później goryl Pencho Gaviry pojawił się na miejscu, żeby rzucić okiem na pejzaż. Wyglądał na zmęczonego, w ręce niósł torbę reklamową ze sklepu Marks & Spencer. Spotkał swoje hufce strategicznie rozmieszczone na placu Santa Cruz, naprzeciwko zabytkowego pałacu z XVII wieku, przerobionego na restaurację: Żrebak nieruchomo oparty o ścianę przy wyjściu w kierunku arabskiego muru, Dzidzia Dolores szydełkowała, siedząc na cokole żelaznego krzyża umieszczonego na środku placu. Don Ibrahim zaś poruszał swój potężny cień od jednego końca placu do drugiego, wymachując laseczką i

podtrzymując żar cygara montecristo pod szerokim rondem białego słomkowego kapelusza.

– Jest w środku – powiedział do Peregila. – Razem z damą.

Potem zdał krótkie sprawozdanie, sprawdzając godzinę na zegarku, który wyjął z kieszeni kamizelki. Dwadzieścia minut wcześniej wysłał na zwiady Dzię, udającą sprzedawczynię kwiatów, a później sam zamienił parę słów z kelnerami, wykorzystując okazję, żeby kupić w restauracji cygaro, które teraz trzymał w ustach. Para siedziała w najlepszym kącie jednego z trzech niewielkich salonów w lokalu – kilka stołów, tylko dla wybranych gości – pod zupełnie przyzwoitą kopią *Pijaków* Velazqueza. Zamówili sałatkę z małży świętego Jakuba z bazylią i truflami – dla pani i świeżą *foie-gras* w sosie kwaśno-miodowym – dla wielebnego księdza. Woda mineralna była bez gazu, z Lanjarón, a wino – czerwone Pesquera znad Duero, i don Ibrahim przepraszał, ale nie był w stanie ustalić rocznika, jednak – zaznaczył, żeby Peregil miał jasność, podkreślając koniuszek wąsa – nadmierna ciekawość mogłaby wzbudzić podejrzenia u obsługi.

– A o czym rozmawiają? – zapytał Peregil.

Były mecenas uczynił gest podniosłej bezradności.

– Ustalenie tego – odrzekł – jest poza moimi możliwościami.

Peregil zastanowił się nad całą sprawą. Sytuacja była pod kontrolą, don Ibrahim i jego adepci sprawowali się dobrze, a karty, które mu dawali do ręki, prezentowały się obiecująco. W jego świecie, podobnie jak w większości istniejących światów, informacja znaczyła pieniądź. Wszystko polegało na wyciągnięciu jak największego zysku i wybieraniu najwłaściwszego licytatora. Naturalnie wolaliby, żeby sprawy wróciły do jego szefa, Pencho Gaviry, podwójnie zainteresowanego jako bankier i mąż. Ale manko na sześć milionów peset i dług u lichwiarza Rubena Moliny nie pozwalały mu patrzeć na wszystko z pełną jasnością. Od wielu dni fatalnie sypiał i wrzody dawały o sobie znać. Rano, kiedy stawał przed lustrem w łazience, żeby ukryć czaszkę pod skomplikowaną konstrukcją z włosów zaczesanych znad przedziałka nad lewym uchem, Peregil widział jedynie rozpacz w twarzy zgorzkniałego łysielca, patrzącego na niego z lustra. Coraz bardziej łyślał, miał kompletnie rozwalony żołądek, był winny swojemu szefowi sześć milionów, a lichwiarzowi niemal dwa razy tyle, a poza tym podejrzewał, że ostatnie spazmy rozkoszy u Czarnej Loli pozostawiły mu na pamiątkę niepokojące swędzenie w okolicach narządów płciowo-moczowych. Tylko tego brakowało. Całe to życie to cholerne gówno.

A do tego nowa okoliczność obciążająca. Peregil obrzucił spojrzeniem okrągłą postać don Ibrahima, czekającego na dalsze polecenia, następnie Dzię Dolores, szydełkującą w świetle latarni, i Żrebaka Fernando opartego o róg muru. Do i tak dość już poplątanego życia dołączała jeszcze dodatkowa niedogodność: informacje

uzyskane dzięki trzem wspólnikom już kursowały na rynku, bo Peregil potrzebował gwałtownie gotówki. Honorato Bonafé, naczelny „Q+S”, wystawił mu tego popołudnia kolejny czek na okaziciela, tym razem jako zapłatę za kilka wyznań dotyczących księdza z Rzymu, byleż – czy jak jej tam – żony szefa i całej tej sprawy kościoła Matki Boskiej Płaczącej. Biorąc to wszystko pod uwagę, następna pokusa była oczywista – Macarena Bruner i elegancki ksiądz oznaczają kolejną okładkę w każdej z sewilskich gazet. A ta kolacja w La Albahaca i jej ewentualne skutki, choćby najbardziej jałowe, były klawiszem otwierającym kasę fiskalną w zamierzeniach Peregila. Bonafé, choć dobrze płacił, był jednak człowiekiem nieprzewidywalnym i groźnym. Sprzedanie mu jednego księdza – lub kilku – było jeszcze do przyjęcia, dodanie jednak do tego żony szefa, i to już po raz drugi, stanowiło przejście od łajdactwa do zdrady zinstytucjonalizowanej. A tych parę zielonych banknotów tysiącpesetowych zapewne podsunął mu sam diabeł.

Nic jednak nie szkodzi przewidzenie wszystkich ewentualności. Z czasów, kiedy był prywatnym detektywem, Peregil pamiętał, że plan układa się według najbardziej prawdopodobnej hipotezy, natomiast pewność osiąga się według hipotezy najbardziej ryzykownej. A najbardziej ryzykowne było stawianie na parę, kiedy wszyscy mieli pokera i karete asów. Jeśli więc chodzi o sprawę przeżycia, zbieranie informacji jest najlepszą formą ubezpieczenia na życie. I z tą myślą zwrócił się ku poważnej twarzy don Ibrahima, oczekującego w cieniu ze swym hawańskim cygarem dymiącym pod wąsem, z laseczką w ręku, z kciukami zahaczonymi o wykrój kamizelki. Był zadowolony z niego i z jego kolegów, co zaszczerpiło mu tyle optymizmu, że już sięgał do kieszeni, żeby postawić kolejne montecristo w restauracji, jednak na czas się opamiętał. Nie należy ich zbyt rozpieszczać. Poza tym opowieść o kupowaniu cygara w knajpie może być kłamstwem.

– Dobra robota – powiedział.

Don Ibrahim nic nie odrzekł na pochwałę, ograniczając się do paru pociągnięć cygara, kiedy spoglądał na Dzięcioła i Żrebaka, dając do zrozumienia Peregilowi, że sprawiedliwość nakazuje podzielić się z nimi momentami chwały.

– Dalej tak trzymajcie – dodał goryl Pencho Gaviry. – A klecha niech się nawet nie odleje tak, żebym o tym nie wiedział.

– A co z damą?

To już były głębokie wody. Peregil przygryzł dolną wargę, zaniepokojony.

– Absolutna dyskrecja – postanowił wreszcie. – Interesuje mnie tylko o tyle, o ile będzie miała coś wspólnego z tym księdzem albo z tym starszym. I niech wam nie umknie najdrobniejszy szczegół.

– A ta inna sprawa?

– Jaka?

– No, nie wiem. Ehem. Ta inna.

Don Ibrahim rozejrzał się dookoła, skrępowany. Był stałym czytelnikiem dziennika „ABC”, jednak od czasu do czasu zaglądał też do „Q+S”, który kupowała Dzidzia Dolores, obok „Hola”, „Semana” i „Dziesięć Minut”, choć według opinii byłego mecenasa ten właśnie magazyn najbardziej gonił za sensacją i był w dużo gorszym guście niż wszystkie pozostałe. Zdjęcia pani Bruner i torreadora były, na przykład, zupełnie niestosowne. No bo pochodziła przecież z bardzo znanej rodziny i na dodatek była zamężna.

– Księża – powiedział Peregil. – Skupcie się na księżach.

Naraz przypomniał sobie o czymś, co miał w kieszeni, i wyjął z niej niewielki aparat fotograficzny Canon z teleobiektywem od 80 do 200 milimetrów. Właśnie kupił go z drugiej ręki i miał nadzieję, że inwestycja – kolejny cios w podbrzusze jego zrujnowanych finansów – kiedyś przyniesie istotne korzyści.

– Umiecie robić zdjęcia?

Don Ibrahim wykonał wyniosły gest, jakby sama wątpliwość stanowiła obrazę.

– Naturalnie – uderzył się w pierś ręką, w której trzymał laskę. – Ja sam w młodości pracowałem jako fotograf w Hawanie. – Zastanowił się chwilę i dodał: – W ten sposób zarabiałem na swoje studia.

W nikłym oświetleniu placu Peregil dostrzegł, jak na brzuchu fałszywego mecenasa połyskuje złota dewizka i zegarek od Hemingwaya.

– Swoje studia?

– Właśnie.

– Przypuszczam, że te prawnicze.

Pisała o tym przed laty prasa i obaj doskonale o wszystkim wiedzieli, podobnie jak i cała Sewilla. Mimo to don Ibrahim przełknął ślinę i z powagą wytrzymał spojrzenie rozmówcy.

– Naturalnie – zrobił godną przerwę i dodał odważnie: – Innych nie mam.

Peregil podał mu aparat bez dalszych komentarzy. No przecież, czymże bylibyśmy, gdybyśmy nie byli sobą, pomyślał. Życie to katastrofa morska, a każdy pływa, jak umie.

– Chcę mieć zdjęcia – wydał polecenie. – Gdziekolwiek by się ten ksiądz znalazł razem z tą panią, macie im zrobić zdjęcie. Tylko dyskretnie, jasne? Nie mogą tego zauważyć. Tutaj macie dwie rolki filmów o dużej czułości, gdyby nie było dość światła. Niech wam tylko nie przyjdzie do głowy używać flesza.

Podeszli pod latarnię i don Ibrahim rzucił okiem na aparat.

– Raczej nie przyjdzie – powiedział. – Nie ma tu flesza.

Peregil, zapalając papierosa, obrzucił wzrokiem byłego mecenasa i wzruszył ramionami.

– Już byś przestał pieprzyć. Przecież najtańszy kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy.

La Albahaca mieści się w starym pałacu z XVII wieku. Jego właściciele mieszkają na piętrze, a trzy salony parteru przeznaczono na restaurację. Choć wszystkie miejsca były zajęte, maître – Macarena Bruner zwracała się do niego Diego – zarezerwował dla nich stół w najlepszym salonie, obok wielkiego kominka, pod witrażem wychodzącym na plac Santa Cruz. Weszli w wielkim stylu, oboje ubrani na czarno, ona wyglądała wspaniale w czarnym kostiumie z krótką spódniczką, w towarzystwie ciemnej, szczupłej sylwetki Lorenzo Quarta. La Albahaca jest jednym z tych miejsc, gdzie pewna klasa sewilczyków przyprawia swoich znajomych zza granicy, żeby ich pokazać i pokazać się z nimi; wejście córki księżnej del Nuevo Extremo w towarzystwie duchownego absolutnie nie zostało niezauważone. Macarena po przyjściu wymieniła kilka pozdrowień, a siedzący przy sąsiednich stołach nie odrywali od nich wzroku. Pochylały się głowy, usta szeptały, biżuteria rozbłyskiwała pomiędzy zapalonymi świecami. Jutro będzie o tym wiedziała cała Sewilla.

– W Rzymie nie byłam od czasu podróży poślubnej – opowiadała Macarena, pozornie obojętna na wzbudzone zainteresowanie. – Papież przyjął nas na prywatnej audiencji. Byłam ubrana na czarno, z wysokim grzebieniem we włosach i w mantylce. W bardzo hiszpańskim stylu... Dlaczego ksiądz mi się tak przygląda?

Quart powoli przeżuł ostatni kęs *foie-gras* i umieścił nóż i widelec na krawędzi talerza, przekrzywione nieco ku prawej stronie. Znad płomienia świecy wzrok Macarena Bruner śledził każdy jego ruch.

– Nie wygląda pani na kobietę zamężną.

Roześmiała się, a płomień rzucił miodowe odblaski na jej ciemne oczy.

– Czyżby ksiądz uważał, że mój tryb życia jest niestosowny dla kobiety zamężnej?

Quart oparł łokieć na stole i wymijająco pokręcił głową.

– Tego nie osądzam.

– Ale przyszedł ksiądz w koloratce, a nie, jak mi obiecał, w krawacie.

Niespiesznie popatrzyli na siebie. Oddzielający ich blask świecy zasłaniał teraz dolną część twarzy kobiety, jednak Quart rozpoznał uśmiech w błysku jej oczu.

– Jeśli idzie o moje życie – powiedziała Macarena Bruner – nie robię z niego żadnej tajemnicy. Opuściłam męża. Mam również przyjaciela, który jest znanym torreadorem. A przed nim miałam kilku innych – przerwa była starannie wyliczona, doskonała; i właściwie wbrew sobie podziwiał jej opanowanie. – Nie czuje się ksiądz zgorzony?

Quart dotknął palcem rączki noża, którego ostrze spoczywało na talerzu. Jego praca nie polega na gorszeniu się, powiedział spokojnie. To raczej sprawa księdza Ferro, spowiednika pani. Księża też mają różne specjalności.

– A jaka jest specjalność księdza? Łowca skalpów, jak mówi arcybiskup?

Wyciągnął przed siebie rękę i odsunął świecznik, stojący pośrodku stołu. Teraz mógł widzieć jej usta, duże i wyraźnie zarysowane, z górną wargą w kształcie serca i z błyskiem przednich zębów, takiej samej barwy jak blask naszyjnika z kości słoniowej na ciemnej skórze szyi. Marynarkę miała włożoną na bluzkę z surowego jedwabiu, lekką i wydekoltowaną, bardzo krótką spódniczkę, czarne pończochy wykończone koronką i buty na niskim obcasie, w tym samym kolorze. Całość podkreślała nogi zbyt długie i zgrabne, aby zachować spokój duszy jakiegokolwiek księdza, w tym również Quarta; choć różnica polegała na tym, że Quart w swoim życiu widział o wiele więcej niż reszta znanych mu księży. To jednak też nie stanowiło żadnej gwarancji.

– Mówiliśmy o pani – powiedział pod wpływem dziwnego instynktu, który skłaniał go do uniku, jak w dawnych pojedynkach, kiedy nagle przeciwnicy uskakiwali w bok, żeby uniknąć kuli.

Teraz oczy Macareny Bruner wypełniła ironia.

– O mnie? Co jeszcze może księdza interesować? Mam metr siedemdziesiąt cztery wzrostu, trzydzieści pięć lat, choć nie wyglądam na tyle, skończone studia wyższe, należę do bractwa Matki Boskiej del Rocio, a podczas Sewilskiej Ferii nigdy nie ubieram się w strój flamenco, ale noszę krótką suknię i kordobański kapelusz – zrobiła krótką przerwę, jakby przypominając sobie dalsze szczegóły, spojrzała na złotą bransoletkę na lewym nadgarstku, bez zegarka. – Kiedy wyszłam za mąż, matka obdarowała mnie tytułem księżnej Azahara, którego nie używam, natomiast po jej śmierci odziedziczyć przeszło trzydzieści innych tytułów książęcych i dwanaście tytułów granda Hiszpanii, Dom z Okiennicami łącznie z meblami i kilkoma obrazami; dość majątku, by żyć, nie tracąc dobrych manier. Zajmuję się porządkowaniem dziedzictwa i rodzinnych archiwów. W tej chwili pracuję nad książką o księżętach del Nuevo Extremo podczas panowania dynastii austriackiej... Co do reszty nie muszę księdzu opowiadać – podniosła kieliszek wina do ust. – Wystarczy przejrzeć jakikolwiek magazyn.

– Wydaje się, że raczej się pani tym nie przejmuje.

Wypiła mały łyk i popatrzyła na Quarta sponad uniesionego kieliszka.

– To prawda. Nie przejmuje się. Chce ksiądz wyznać?

Quart poruszył szpakowatą głową.

– Nie wiem – powiedział szczerze i spokojnie. Był zaintrygowany, czuł dziwną i zabawną jasność umysłu. Przypisał to działaniu wina, choć zaledwie go spróbował. – Właściwie nie wiem, dlaczego zaprosiła mnie pani dziś na kolację.

Zobaczył, jak Macarena Bruner wypić kolejny łyk wina. Wolniej, zastanawiając się równocześnie.

– Przychodzą mi do głowy różne powody – powiedziała w końcu, odstawiając kieliszek na obrus. – Na przykład dlatego, że jest ksiądz ujmująco grzeczny. Różni to księdza od wielu duchownych o lepkich manierach... U księdza grzeczność zdaje się naturalną formą utrzymywania dystansu wobec innych – rzuciła szybkie, oceniające spojrzenie na dolną część jego twarzy, może na usta, pomyślał Quart, a potem przyjrzała się jego dłoniom, opartym nadgarstkami na krawędzi stołu, po obu stronach talerza, który kelner właśnie zamierzał sprzątnąć. – Jest też ksiądz małomówny, nie ogłusza ludzi potokiem słów jak targowy sprzedawca. W tym jest ksiądz podobny do ojca Priamo... – Kelner zabrał talerze, a ona uśmiechnęła się do Quarta. – Poza tym ma ksiądz przedwcześnie szpakowate, bardzo krótkie włosy, jak żołnierz, zupełnie jak jeden z moich ulubionych bohaterów literackich: Sir Marholt, doświadczony, niezłomny rycerz z *Czynów króla Artura i jego szlachetnych rycerzy* Johna Steinbecka. Zakochałam się na zabój w Marholcie, kiedy to czytałam jako dziewczynka. Czy to dość powodów? Poza tym, jak mówi Gris, ksiądz potrafi się ubrać. W sumie jest ksiądz najbardziej interesującym duchownym, jakiego w życiu widziałam, choć nie wiem, czy takie określenie robi na księdzu wrażenie – skierowała na niego spojrzenie, które po pięciu sekundach stało się niewygodne. – Czy robi to na księdzu wrażenie?

– Niewielkie, biorąc pod uwagę moją specjalność. Macarena Bruner pokiwała nieznacznie głową, doceniając spokojną odpowiedź.

– Przypomina mi też ksiądz – mówiła dalej – kapelana z mojej szkoły, prowadzonej przez zakonnice. Wiadomo było kilka dni wcześniej, kiedy będzie odprawiał mszę, bo wszystkie siostrzyczki chodziły przejęte. W końcu uciekł z jedną z sióstr, najbardziej pulchną, tą, która uczyła nas chemii. Czasami zakonnice zakochują się w księżach... Tak samo było z Gris. Prowadziła w Santa Barbara, w Kalifornii, szkołę przy uniwersytecie. I pewnego dnia stwierdziła przerażona, że jest zakochana w biskupie swojej diecezji. Zapowiedziano jego wizytę, a ona stała przed lustrem i depilowała brwi, była o krok od pomalowania sobie powiek. I co ksiądz na to?

Przyglądała się Quartowi, starając się uchwycić jego reakcję, ten jednak pozostał zupełnie obojętny. Sama Macarena Bruner zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, jak wieloma duchownymi i zakonnicami, miłością i nienawiścią między nimi, zajmował się ISZ. Wzruszył słabo ramionami, zachęcając ją do kontynuowania opowieści. Jeśli miała zamiar zaszokować go, to strzał był chybiony. I to znacznie.

– I jak to rozwiązała?

Podniosła rękę, poruszając nią w powietrzu, bransoletka błysnęła i opadła z nadgarstka. Od sąsiednich stolików około tuzina oczu śledziło każdy jej ruch.

– Uderzyła z całej siły w lustro i rozbijając je, przecięła sobie żyłę. Potem poszła do przełożonej zakonu i poprosiła o czas na przemyślenie wszystkiego. To było kilka lat temu.

Maître stanął obok nich, niewzruszony, jakby nie słyszał ani słowa. Ma nadzieję, że wszystko w porządku, być może pani ma jeszcze jakieś życzenia. Zamówiła jedynie sałatę, Quart też nie chciał drugiego dania, ani deseru, który firma, zasmucona brakiem apetytu księżnej i wielebnego księdza, chciałyby im ofiarować. Postanowili napić się jeszcze wina, oczekując na kawę.

– Od dawna zna pani siostrę Marsalę?

– Dziwnie to usłyszeć. Siostra Marsala... Nigdy o niej nie myślałam w ten sposób.

Jej kieliszek był niemal pusty. Quart wziął butelkę z pomocnika stojącego obok i dolał wina. Jego kieliszek nadal był prawie nietknięty.

– Gris jest starsza ode mnie – ciągnęła – ale spotykałyśmy się w Sewilli wielokrotnie, jeszcze przed laty. Często przyjeżdżała ze swoimi amerykańskimi studentami na letnie kursy historii sztuki dla cudzoziemców... Poznałam ją, kiedy prowadziła zajęcia z konserwacji zabytków w letniej jadalni mojego domu. Przedstawiłam ją księdzu Ferro i udało mi się ją wprowadzić do projektu, kiedy jeszcze mieliśmy serdeczne układy z księdzem arcybiskupem.

– Skąd takie zainteresowanie tym właśnie kościołem?

Spojrzała na niego, jakby to pytanie było naprawdę idiotyczne. Jej rodzina go wybudowała. Jej przodkowie byli w nim pochowani.

– Wydaje się jednak, że pani mężowi na nim nie zależy.

– Oczywiście że nie. Pencho ma na głowie inne sprawy.

Blask świecy wzbudził żółtawe refleksy w winie znad Duero, kiedy podniosła kieliszek do ust. Był to długi łyk i Quart poczuł się w obowiązku jej towarzyszyć.

– Czy to prawda – powiedział, ocierając usta rogiem serwetki – że już nie mieszkacie państwo razem, choć nadal jesteście małżeństwem?

Przyjrzała mu się badawczo. Nie spodziewała się usłyszeć tej nocy dwóch następujących po sobie pytań na temat jej małżeństwa. Pośród miodowych refleksów zamigotał błysk rozbawienia.

– Prawda – odpowiedziała po chwili. – Nie mieszkamy razem. Żadne z nas jednak nie wystąpiło o rozwód ani o separację, nic z tych rzeczy. Prawdopodobnie on ma nadzieję, że jeszcze mnie odzyska; ożenił się ze mną przy powszechnej aprobachie, byłam jego towarzyskim uświęceniem.

Quart przebiegł spojrzeniem po ludziach przy sąsiednich stolikach, a następnie pochylił się do niej.

– Przepraszam. Nie rozumiem tej liczby mnogiej. Przy czyjej aprobachie?

– Nie zna ksiądz mojego ojca chrzestnego? Don Octavio Machuca był przyjacielem mojego ojca i darzy ogromną sympatią księżną i mnie. Jak sam mówi, jestem dla niego niczym córka, której nigdy nie miał. Dlatego żeby zabezpieczyć moją przyszłość, poparł moje małżeństwo z największym młodym talentem w Banku Kartuskim, który ma go zastąpić, kiedy już wkrótce przejdzie na emeryturę.

– I dlatego pani wyszła za mąż? Żeby zabezpieczyć swoją przyszłość?

Zadał to pytanie neutralnym tonem. Włosy Macareny Bruner opadły znad ramienia, zakrywając połowę twarzy, odgarnęła je ruchem dłoni. Patrzyła na Quarta, starając się przejrzeć jego prawdziwe zamiary.

– No cóż. Pencho jest atrakcyjnym mężczyzną. Ma też, jak to się mówi, dobrze poukładane w głowie. I ma jeszcze jedną zaletę: jest odważny. Należy do bardzo niewielu znanych mi mężczyzn, gotowych nadstawić karku, żeby zrealizować swoje marzenie czy ambicję. W przypadku mojego męża, czy jak ksiądz chce go nazywać, byłego męża, jego marzeniami kierowała ambicja – słaby uśmiech pojawił się na jej wargach. – Myślę, że wychodząc za mąż, byłam w nim zakochana.

– I co się stało?

Przyglądała mu się podobnie jak poprzednio, jakby chciała sprawdzić, ile osobistego zainteresowania kryje się w tych pytaniach.

– Właściwie nic – powiedziała obojętna. – Ja wypełniłam moją część, a on swoją. Ale popełnił błąd. Albo sporo błędów. Jednym z nich jest to, że nie chce zostawić naszego kościoła w spokoju.

– Naszego?

– Mojego. Księdza Ferro. Ludzi, którzy chodzą tam na msze. Księżnej.

Teraz Quart się uśmiechnął.

– Czy zawsze nazywa pani swoją matkę księżną?

– Tak, jeśli mówię o niej do osób trzecich – też się uśmiechnęła, z czułością, jakiej Quart nie widział u niej przedtem. – Ona to lubi. Lubi też pelargonie, Mozarta, staroświeckich księży i coca-colę. To ostatnie jest dość niebywałe, to prawda, zwłaszcza u siedemdziesięcioletniej kobiety, która raz w tygodniu sypia w perłowym naszyjniku i swojego kierowcę uparcie nazywa mechanikiem. Ksiądz jej jeszcze nie poznał? Zapraszam jutro na kawę, jeśli ksiądz ma ochotę. Ksiądz Príamo przychodzi do nas każdego popołudnia, żeby odmówić różaniec.

– Nie wiem, czy ksiądz Ferro będzie zachwycony moim widokiem. Nie przepada za mną.

– Proszę to zostawić mnie. Albo mojej matce. Ksiądz Príamo bardzo ją lubi. Może to będzie dobra okazja, byście porozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną... Czy w odniesieniu do księży też się mówi „jak mężczyzna z mężczyzną”?

Quart wytrzymał bez wyrazu jej spojrzenie.

– Wracając do pani męża...

– Ksiądz cały czas zadaje pytania. Rozumiem, po to ksiądz tu przyjechał.

Powiedziała to z ironią, jakby żałowała, że taki jest powód jego przyjazdu. Nadal przyglądała się dłoniom Quarta, jak wówczas gdy spotkali się pierwszy raz w hotelowym hallu, a on, skrzepowany, zdjął je ze stołu. Po chwili postanowił z powrotem położyć je spokojnie na obrusie.

– Co więcej chciałby ksiądz wiedzieć o Pencho? – ciągnęła dalej. – że się pomylił, kiedy sądził, że mnie kupił? Że z powodu tego kościółka wypowiedziałam mu wojnę? Ze czasem potrafi się zachować jak najprawdziwszy sukinsyn?

Powiedziała to wszystko z całkowitym spokojem, tonem zupełnie obojętnym. Od jednego z sąsiednich stolików podniosła się grupka osób, kilka z nich pozdrowiło ją. Wszyscy przyglądali się Quartowi z zaciekawieniem, zwłaszcza kobiety, jasnowłose i opalone, o wyglądzie świadczącym, że pochodzą z najlepszych andaluzyjskich rodów i nigdy nie zaznały niedostatku. Macarena Bruner odpowiedziała skinieniem głowy i uśmiechem. Quart obserwował ją z uwagą.

– I dlaczego nie wystąpi pani o rozwód?

– Bo jestem katoliczką.

Nie wiadomo, czy mówiła poważnie, czy żartowała. Oboje milczeli, Quart odchylił się na oparcie krzesła, cały czas przyglądając się kobiecie. Naszyjnik i bluzka z surowego jedwabiu pod czarną marynarką podkreślały opaloną skórę dekoltu, w złotym blasku świecy na stole. Przyjrzał się wielkim, ciemnym oczom spokojnie wpatrzonym, z wyczekiwaniem, w jego oczy. I zrozumiał, że sprawy tutaj zaszły zbyt daleko, żeby mógł zachować spokój duszy, skoro jego dusza – w pewnym momencie zawsze zaciera się granica między rozsądkiem a instynktem – ulega zewnętrznym wahaniom, jak notowania giełdowe. I jeśli dalej trzymać się tego porównania, w tej chwili nikt nie dałby za nią ani grosza.

Otworzył usta i powiedział cokolwiek – po to tylko, żeby zappełnić ciszę. Powiedział coś stosownego i właściwym tonem, i w pięć sekund zapomniał swoje własne słowa, jednak zappełnił powstałą pustkę. Teraz Macarena Bruner znów mówiła, a Quart pomyślał o arcybiskupie Paolo Spadzie. Modlitwa i zimny prysznic, zalecił z lodowatym uśmiechem Brytan na schodach placu Hiszpańskiego.

– Pewne rzeczy chciałabym księdzu wyjaśnić – mówiła dalej – nie sądzę jednak, żebym była w stanie. – Spoglądała ponad ramieniem Quarta, a ten potakiwał głową, nie wiadomo dlaczego; najważniejsze, że znów umiał skupić uwagę. – Są w życiu luksusy, za które trzeba drogo zapłacić, i Pencho musi teraz płacić za swoje. Należy do tych, którzy proszą o rachunek prostym gestem, stukając w bar i pytając, ile się należy. To u niego bardzo męskie – ironizowała. – Brawurowe jak corrida. Ale, jak się tu mówi, procesja idzie środkiem, a on dobrze wie, że ja też wiem to samo. Sewilla to

jedno podwórko i plotkowanie nas zachwyca. Każda pogłoska, która do niego dociera, każdy ukradkowy uśmiech za jego plecami, są ciosem w jego dumę – powiodła spojrzeniem po salonie, rozbawiona. – Proszę sobie wyobrazić, jak będą opowiadać o tym, że dziś byliśmy razem na kolacji.

– Czy taki jest właśnie pani cel? – Quart znów panował nad sobą. – Pokazać mnie jako trofeum?

Spojrzała na niego z mądrością nieco znużoną, starą jak świat.

– Może. My kobiety jesteśmy bardziej złożone w porównaniu z mężczyznami, tak prostymi w swoich kłamstwach, tak dziecinnymi w swoich sprzecznościach... Tak konsekwentnymi w swoim okrucieństwie – maître osobiście przyniósł kawę: z mleczkiem dla niej, czarną dla niego. Macarena Bruner wrzuciła kostkę cukru i uśmiechnęła się zamyślona. – Może jednak ksiądz być pewien, że Pencho będzie już o tym wiedział jutro rano. I Bóg mi świadkiem, że są rachunki, które płaci się powoli – wypila mały łyk i z wilgotnymi wargami spojrzała na Quarta. – Pewnie nie powinnam powoływać się na Boga, prawda? To brzmi jak przysięga. Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremnie i te rzeczy.

Quart ostrożnie położył łyżeczkę obok filiżanki.

– Proszę się nie przejmować – uspokoił ją. – Ja też czasami przywołuję imię Boskie.

– To dziwne – pochyliła się, oparta na łokciach, i jedwabna bluzka dotykała brzegu stołu. Przez chwilę Quart wyobraził sobie jej zawartość – ciężką, opaloną i delikatną. Żeby to zapomnieć, trzeba by dużo więcej niż jeden zimny prysznic. – Znam księdza Príamo, od kiedy przyszedł do naszej parafii dziesięć lat temu, ale nie wyobrażałam sobie, jakie może być życie duchownego od wewnątrz. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, aż do dziś, do chwili, kiedy spojrzałam na księdza – znów przyglądała się dłoniom Quarta, a następnie jej wzrok zatrzymał się na koloratce. – Jak dajecie sobie radę z trzema ślubami?

Jeśli istnieją niewłaściwe pytania, pomyślał, była to najlepsza chwila na ich zadanie. Spojrzał na kieliszek, odwołując się do całej swojej zimnej krwi.

– Każdy radzi sobie, jak może. Są tacy, którzy mówią o posłuszeństwie negocjowanym, czystości we wspólnocie i płynnym ubóstwie.

Uniósł nieco kieliszek, jak do toastu, i nie próbując wina odstawił go na stół i napił się kilka łyków kawy, podczas gdy Macarena Bruner śmiała się szczerym, dźwięcznym śmiechem tak zaraźliwym, że Quart miał ochotę też się roześmiać.

– A ksiądz? – zapytała jeszcze roześmiana. – Czy jest ksiądz posłuszny?

– Zazwyczaj tak – odstawił filiżankę i otarł usta, a następnie starannie złożył serwetkę i odłożył ją na stół. – To prawda, że lubię polemizować, ale zawsze

przestrzegam dyscypliny. Pewne rzeczy nie działają bez dyscypliny, a firma, w której pracuję, właśnie do nich należy.

– Czy to uwaga pod adresem księdza Priamo?

Quart uniósł brwi ze starannie obliczoną obojętnością. Mówiąc to właściwie nie miał na myśli nikogo w szczególności. Ale jeśli już o nim mowa, rzeczywiście, ksiądz Ferro nie stanowił przykładu do naśladowania. Jest bardzo swoisty, mówiąc ogólnie. A to grzech podstawowy, jeśli wejdziemy w katechizm i trochę na prawo.

– Ksiądz nie wie nic o jego życiu, nie może go więc osądzać.

– Nie próbuję osądzać – pozwolił sobie na kolejny grymas twarzy – tylko zrozumieć.

– Ani nawet zrozumieć – sprzeciwiła się zapalczywie. – Był wiejskim proboszczem przez połowę życia, w jakiejś osadzie zagubionej pośród Pirenejów... Całymi miesiącami siedział tam uwięziony przez śnieg, czasem musiał przejść osiem czy dziesięć kilometrów, żeby zanieść umierającemu ostatni sakrament. W parafii mieszkali tylko starcy i umierali po kolei, jeden po drugim. Grzebał ich własnymi rękami, aż do ostatniego. Dzięki temu doszedł do pewnych wniosków na temat życia i śmierci, i roli, którą wy, duchowni, odgrywacie na świecie... Dla niego ten kościół jest bardzo ważny. Uważa, że jest niezbędny, i twierdzi, że z każdym zamkniętym czy zniszczonym kościołem znika kawałek nieba. A że nikt nie zwraca na niego uwagi, zamiast poddać się, walczy zacięcie. Mówi, że przegrał już zbyt wiele walk tam w górach.

To bardzo ładne, przyznał Quart. I wzruszające. Nawet widział już kilka filmów o podobnej treści. Jednak ksiądz Ferro nadal podlega dyscyplinie kościelnej. My, księża, dodał, nie możemy sobie ogłaszać niepodległych republik na własny rachunek. A tym bardziej nie w naszych czasach.

Poruszyła głowę.

– Nie zna go ksiądz.

– Bo mi na to sam nie pozwala.

– Jutro to załatwimy. Obiecuję – znów patrzyła na jego dłonie. – Jeśli zaś chodzi o płynne ubóstwo księdza, wydaje się ono rzeczywiste. Kieliszek księdza jest prawie nietknięty... Natomiast trzeba przyznać, że jest ksiądz bardzo dobrze ubrany. Potrafię rozpoznać drogie ubranie, nawet na księdzu.

– To sprawa mojej pracy. Muszę utrzymywać kontakty z wieloma osobami, chodzić na kolację z atrakcyjnymi księżniczkami sewilskimi – nawzajem wytrzymali spojrzenie i tym razem nikt się nie uśmiechnął. – Proszę traktować mój strój jak mundur.

Na krótką chwilę zapadło milczenie, którego nikt nie chciał wypełnić, i Quart zniósł je ze spokojem. Tym razem odezwała się ona:

– Czy ma ksiądz też sutannę?

– Oczywiście. Choć rzadko jej używam.

Przyniesiono rachunek i chciał go zapłacić, jednak Macarena Bruner nie pozwoliła mu na to. Ja zapraszam, powiedziała Quartowi stanowczo. Przyglądał się, jak wyciąga z torby złotą kartę American Express. Zawsze odsyłam rachunki mojemu mężowi, powiedziała z przekorą, kiedy odszedł kelner. Wychodzi mu to taniej niż alimenty.

– Pozostał nam jeszcze do skomentowania trzeci ze ślubów księdza – dodała po chwili. – Czy ksiądz praktykuje czystość we wspólnocie?

– Obawiam się, że praktykuję czystość po prostu.

Zobaczył, jak powoli potakuje głową, a następnie przeciąga wzrokiem po całym salonie, by znów spojrzeć na niego. Teraz patrzyła badawczo na jego usta i oczy.

– Nie powie mi ksiądz chyba, że nigdy nie był z kobietą.

Na pewne pytania nie odpowiada się o jedenastej w nocy, w restauracji w Sewilli, przy świetle świecy; zresztą nie oczekiwała odpowiedzi. Powściągliwym gestem wyjęła z torebki paczkę papierosów, jednego włożyła do ust, a potem, z bezwstydem naturalnym, a zarazem wyrachowanym, włożyła lewą rękę za dekolt i wyciągnęła plastikową zapalniczkę, którą nosiła pod ramiączkiem stanika. Quart przyglądał się, jak zapala papierosa, starając się nie myśleć o niczym. Dopiero chwilę później pozwolił sobie na refleksję, w jakie tarapaty właśnie się ładuje.

Dzięki wychowaniu otrzymanemu w Rzymie i pracy przez ostatnie dziesięć lat postawa Quarta wobec seksu poszła w zupełnie innym kierunku niż ten, do którego przygotowują duchownych gadanina i brudy seminarium oraz ogólne normy przyjęte w Kościele. W zamkniętym świecie, kierowanym przez pojęcie winy, który odmawiał kontaktu z kobietą i gdzie jedynymi rozwiązaniami, półoficjalnie przyjętymi, były masturbacja i potajemny seks, i jego późniejsze odkupienie poprzez sakrament pokuty, życie dyplomatyczne oraz praca dla Instytutu Spraw Zagranicznych ułatwiały to, co arcybiskup Spada – zawsze zręczny w eufemizmach – określał jako alibi taktyczne. Dobro Kościoła, uznane za cel, usprawiedliwiała czasem użycie pewnych środków; i w tym sensie atrakcyjność przystojnego sekretarza nuncjatury wśród małżonek ministrów, finansistów i ambasadorów, łatwych ofiar instynktu opiekuńczego w stosunku do młodych i interesujących księży, otwierała wiele drzwi nie dających się sforsować przez arcybiskupów i kardynałów, starszych i bardziej żyłastych. Arcybiskup Spada nazywał to *syndromem Stendhala*, na cześć dwóch bohaterów – Fabrycego del Dongo i Juliana Sorela – których przygody poradził Quartowi przeczytać, jak tylko ten wstąpił do ISZ-u. Dla Brytana kultura nie stała w sprzeczności z tresurą. Pozostawiał całą sprawę wyczuciu moralnemu i inteligencji każdego z poszczególnych bohaterów, którzy przecież byli przedstawicielami Boga na polu bitwy, gdzie o ich sile stanowiła modlitwa i zdrowy rozsądek. A jednak, poza

zaletami wynikającymi ze zwierzeń wysłuchiwanym na przyjęciu, podczas prywatnych pogawędek lub w konfesjonale, system zawierał pewne ryzyko. Wiele kobiet poszukiwało emocjonalnego zastępstwa dla obojętnych mężów lub nieosiągalnych mężczyzn, a nie ma na świecie nic bardziej niepokojącego dla starego Adama, czatującego pod wieloma sutannami, niż niewinność młodej dziewczyny lub zaufanie kobiety zawiedzionej. W ostatecznym rozrachunku półoficjalny odpust ze strony przełożonych był w zasadzie zapewniony – łódź Piotrowa jest stara, wszystko przeżyła i osiągnęła mądrość – w zależności od tego, czy nie było skandalu i jakie były wyniki operacji. Paradoksalnie u człowieka obdarzonego jedynie wiarą zawodowego żołnierza, w przypadku Quarta wyglądało to trochę inaczej. Jest prawdą, że u niego czystość wynikała raczej z grzechu pychy niż z cnoty, ale takie właśnie były reguły porządkujące jego życie. I niczym jeden z duchów towarzyszących mu w ciemności nocy – templariusz z mieczem, jako jedynym wsparciem pod bezbożnym niebem – musiał odwoływać się do reguł, jeśli chciał z godnością stawić czoło dudnieniu saraceńskiej konnicy zbliżającej się z oddali, od wzgórz Hittinu.

Z trudem powrócił do terażniejszości. Macarena Bruner paliła z łokciem opartym na stole, brodę wsparła na dłoni, w której trzymała papierosa. Z jakiegoś powodu poczuł niepokojącą bliskość jej nóg, nawet ich nie dotknąwszy. Płomień świecy złocił blaskiem jej ciemne oczy tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć palcami jej skóry pod czarnymi włosami, które znów opadły z ramienia, kość słoniową naszyjnika, złoto bransoletki, biel zębów błyszczących delikatnie w półprzymkniętych ustach. I wtedy przemyślanym ruchem tę samą dłoń, w której czuł jeszcze pokusę, pragnienie, włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął kartkę kapitana Xaloca i położył ją między nimi na obrusie.

– Proszę mi opowiedzieć o Carlocie Bruner.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Zgasła papierosa w popielniczce i patrzyła na niego zaskoczona. Miodowe refleksy naraz zniknęły.

– Skąd ksiądz ma tę pocztówkę?

– Ktoś przyniósł ją do mojego pokoju.

Macarena Bruner patrzyła na poźółkłe zdjęcie kościoła. Poruszyła głowę.

– Ona jest moja. Ze skrzyni Carloty. Niemożliwe, żeby była u księdza.

– A jednak sama pani widzi, mam ją – Quart wziął kartkę między kciuk i palec wskazujący i odwrócił, pokazując zapisaną stronę. – Dlaczego nie ma na niej pieczęci?

Wzrok kobiety, pełen niepokoju, powędrował z pocztówki na Quarta. Powtórzył pytanie, a ona skinęła głową i dopiero po chwili milczenia odpowiedziała.

– Bo nigdy nie została wysłana – podniosła kartkę i uważnie ją oglądała. – Carlota była moją cioteczną babką. Zakochała się w Manuelu Xalocu, ubogim marynarzu. Gris mówiła mi, że opowiedziała księdzu tę historię... – poruszyła głowę, jakby czemuś

chciała zaprzeczyć, a może był to gest zmartwienia, bezsilności lub smutku. – Kiedy kapitan Xaloc wyemigrował do Ameryki, pisała do niego każdego tygodnia kartkę lub list, przez lata. Ale jej ojciec, mój pradziadek, ksiądz Luis Bruner, nie chciał się z tym pogodzić. Przekupił więc urzędników miejskiej poczty. Przez sześć lat nie dostała ani jednego listu i myślimy, że on też nie dostał niczego od niej. Kiedy Xaloc wrócił po nią, Carlota już oszalała. Spędzała całe dni w oknie, patrząc na rzekę. Nie poznała go.

Quart wskazał na kartkę.

– A co z listami?

– Nikt nie miał odwagi ich zniszczyć. Wylądowały w skrzyni, gdzie schowano inne rzeczy Carloty po jej śmierci w 1910. Skrzynia ta oczarowała mnie, kiedy byłam małą dziewczynką, przymierzałam suknie, agatowe naszyjniki... – Quart dostrzegł na jej ustach zarys uśmiechu, który zniknął, jak tylko spojrzała znów na kartkę. – W młodości Carlota pojechała razem z moimi pradziadkami na Wystawę Uniwersalną do Paryża i do Tunezji, gdzie zwiedzała ruiny Kartaginy i skąd przywiozła kilka starych monet... Mam też ulotki z podróży, ze statków i hoteli – streszczenie całego życia pomiędzy koronkami i zleżałymi muślinami. Proszę sobie wyobrazić, jakie musiało to zrobić na mnie wrażenie, kiedy miałam dziesięć czy dwanaście lat: przeczytałam wszystkie listy, jeden po drugim, a romantyczna postać mojej ciotecznej babki zafascynowała mnie. Fascynuje zresztą do dzisiaj.

Rysowała paznokciem znaki na obrusie dookoła pocztówki. Po chwili zatrzymała się, zamyślona.

– To piękna historia miłosna – dodała, podnosząc oczy na Quarta. – I jak wszystkie piękne historie miłosne, była historią nieszczęśliwą.

Quart milczał, bojąc się jej przerwać. Zrobił to kelner, który podszedł z kwitem karty kredytowej. Quart przyjrzał się jej podpisowi – nerwowy, pełen zakrętów ostrych jak sztylety. Przyglądała się teraz zgaszonemu niedopalkowi w popielniczce, nieobecna.

– Jest taka przepiękna piosenka – ciągnęła po chwili – którą śpiewa Carlos Cano, do tekstu Antonio Burgosa *Pamiętam jeszcze fortepian tamtej dziewczynki, gdzieś w Sewilli*, zawsze, kiedy ją słyszę, chce mi się płakać. Czy ksiądz wie, że istnieje nawet legenda o Carlocie i Manuelu Xalocu? – uśmiechnęła się wreszcie nieśmiało, niepewnie, i Quart pojął, że uwierzyła w tę legendę. – Podczas księżycowych nocy Carlota wraca do swojego okna, a wtedy na Gwadalkiwirze żaglowiec widmo jej ukochanego puszcza cumy i wyrusza w dół rzeki – pochyliła się nad stołem, znów w jej oczach błyszczały złote refleksy, a Quart znów był pewny, że znajduje się zbyt blisko. – Kiedy byłam mała, spędzałam całe noce na czatach, żeby ich zobaczyć. I raz zobaczyłam jej bladą sylwetkę w oknie, a na dole, po rzece, we mgle białe żagle starego statku powoli przesuwały się, aż całkiem zniknęły.

Nagle zamilkła. Odchyliła się na krześle. Znow wrócił dystans między nią i Quartem.

– Po Sir Marholcie – dodała – moją drugą miłością był kapitan Xaloc... – W jej spojrzeniu czało się wyzwanie. – Czy nie uważa ksiądz, że to absurdalna historia?

– Nie, wcale. Każdy ma swoje duchy.

– A jakie są duchy księdza?

Teraz Quart uśmiechnął się z bardzo daleka. Z tak daleka, że Macarena Bruner nigdy nie mogłaby tam dotrzeć, żeby sprawdzić, co to było, nawet w nieprawdopodobnym przypadku, gdyby do uśmiechu dorzucił jakieś słowa. Wiatr i słońce, i deszcz. Smak soli na wargach. Smutne wspomnienia z ubogiego dzieciństwa, kolana ubrudzone wilgotną ziemią, długie godziny oczekiwania na brzegu morza. Duchy ograniczonej intelektualnie młodości, zdominowanej przez dyscyplinę, z kilkoma szczęśliwymi wspomnieniami przyjaźni w zgromadzeniu i krótkie okresy spełnienia ambicji. Samotność na lotnisku, z książką, w pokoju hotelowym. Strach i nienawiść w oczach wielu mężczyzn – bankiera Lupary, Nelsona Corony, Priamo Ferro. Trupy prawdziwe i wyobrażone, minione i przyszłe, na jego sumieniu.

– Nie ma w nich nic szczególnego – powiedział obojętnie. – Też są tam statki, które wyruszają w morze i nie wracają. I pewien człowiek. Rycerz, templariusz w kolczudze, wsparty na mieczu pośród pustyni.

Spojrzała na niego dziwnie, jakby widziała go pierwszy raz. I nic nie powiedziała.

– Ale duchy – dodał Quart po chwili ciszy – nie zostawiają kartek w pokojach hotelowych.

Macarena Bruner dotknęła kartki, nadal leżącej na stole zapisaną stroną do góry. *Tutaj modlę się za Ciebie każdego dnia...* Jej usta poruszały się bezgłośnie, kiedy czytała słowa, które nigdy nie dotarły do kapitana Xaloca.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Była w moim domu, w skrzyni, razem z innymi rzeczami Carloty. Ktoś musiał ją stamtąd zabrać.

– Kto?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Kto wie o istnieniu tych listów?

Przyglądała mu się, jakby nie dosłyszała jego słów i czekała, żeby powtórzył pytanie. Widać było, że szybko się zastanawia.

– Nie – zakończyła. – To zbyt absurdalne.

Quart poruszył dłonią i zauważył, że Macarena Bruner cofnęła się, prawie niedostrzegalnie, na krześle, jakby obawiała się skutków jego ruchu. Podniósł pocztówkę i odwrócił ją tak, by pokazać zdjęcie kościoła.

– Nie ma w tym nic absurdalnego – sprzeciwił się. – To miejsce, gdzie została pochowana Carlota Bruner, blisko pereł kapitana Xaloca. To budynek, który pani mąż

chce zburzyć, a którego pani broni. Miejsce, które jest celem mojej podróży do Sewilli i gdzie, przez przypadek albo i nie, zginęły dwie osoby. – Podniósł wzrok na kobietę. – Kościół, który według pewnego tajemniczego pirata komputerowego, zwanego Nieszpory, zabija, aby się bronić.

Próbowała przywołać na twarz uśmiech, ale bezskutecznie. Zamiast niego pojawił się grymas troski i zdziwienia.

– Proszę tak nie mówić, zaczynam się bać.

W słowach tych więcej było złości niż obawy. Quart spojrzał na plastikową zapalniczkę, obracającą się w palcach, i zrozumiał, że Macarena Bruner właśnie skłamała. Nie należała do kobiet, które boją się byle czego.

Od czasu, kiedy Nieszpory odezwał się tydzień temu, ojciec Ignacio Arregui i jego ekipa jezuitów, ekspertów informatyków, czuwali na zmianę po dwanaście godzin przy centralnym systemie Watykanu. Była już za dziesięć pierwsza w nocy i Arregui poszedł po kubek kawy do automatu w korytarzu. Maszyna połknęła stulirowe monety, a w zamian wyrzuciła jedynie pusty kubek i nieco cukru; jezuita wezwał wszystkich diabłów, patrząc przez okno na mroczny cień pałacu belwederskiego po drugiej stronie ulicy oświetlonej latarniami, pod którymi właśnie przechodziła szwajcarska nocna straż. Arregui w poszukiwaniu monet przetrząsnął kieszenie, żeby spróbować jeszcze raz. Teraz kawa wypadła bez cukru, musiał więc poszukać poprzedniego kubka – na szczęście nie przewrócił się w koszu na śmieci – żeby posłodzić napój. Następnie wrócił do sali komputerowej, parząc sobie kciuk i palec wskazujący przez plastikowe ścianki.

– Znów go mamy, ojczu.

Cooey, Irlandczyk, zdjął okulary i przecierał szkła papierową chusteczką; podniecony, przyglądał się ekranowi swojego komputera. Drugi młody jezuita, Włoch o nazwisku Garofi, rozpaczliwie stukał w klawiaturę drugiego komputera, starając się złapać intruza.

– Czy to Nieszpory? – zapytał Arregui. Patrzył na ekran ponad ramieniem Cooeya, zafascynowany mruganiem czerwonych i niebieskich ikon i zawrotną prędkością, z jaką przesuwały się katalogi, przez które przebiegał pirat. Komputer ten dokładnie odzwierciedlał ruchy hackera, nad którego identyfikacją i umiejscowieniem pracował Garofi.

– Myślę, że tak – odpowiedział Irlandczyk, zakładając na nos okulary z wyczyszczonymi szklami. – A przynajmniej ktoś, kto zna drogę i posuwa się bardzo szybko.

– Czy dotarł do ZS-ów?

– Do niektórych tak. Ale jest sprytny – nie wpada w nie.

Ojciec Arregui wypił łyk kawy, który sparzył mu język:

– Szlag by to.

ZS-y – zasadzki saduceuszy, w żargonie ekipy – były obszarami informatycznymi, które zostały rozstawione niczym sieci u ujścia rzeki w taki sposób, aby piraci, którzy się tam dostaną, stracili orientację lub pozostawili dane umożliwiające ich identyfikację. Te, które zostały zastawione na Nieszpory, były skomplikowanymi labiryntami elektronicznymi, sidłami, po wpadnięciu w które intruz musiał odsłonić swoje karty i wystawić się na strzał.

– Szuka INMAVATU – stwierdził Cooney.

Znów w jego głosie pojawił się cień podziwu, a ojciec Arregui spojrzał surowo na szyję i kark młodego specjalisty, który śledził posuwanie się hackera, pochylony nad ekranem, z myszą w palcach prawej ręki. To nieuniknione, pomyślał, dopijając resztę kawy. On sam nie potrafił oprzeć się pewnemu zawodowemu podnieceniu, patrząc, jak działa jeden z członków braci komputerowej, zwłaszcza że Nieszpory to osobnik bardzo tajemniczy i idealnie czysty. Choć był przestępcą i piratem, który przyprawiał go o bezsenność przez cały ostatni tydzień.

– Już jest – powiedział Irlandczyk.

Nawet Garofi przestał stukać w klawisze i przyglądał się. INMAVAT, archiwum zastrzeżone dla najwyższych urzędników Kurii, przemykało z ogromną szybkością przez ekran, całkiem widoczne.

– Tak. To Nieszpory – powiedział Cooney, jakby rozpoznawał podpis starego znajomego.

Plastikowy kubek zabrzmiał jak wybuch, kiedy ojciec Arregui zmiażdżył go, zanim cisnął do kubła na śmieci. Na komputerze Garofiego migotał kursor skanera połączonego z policją i z siecią telefoniczną Watykanu.

– Robi to samo, co poprzednio – powiedział Włoch. – Maskuje swoje wejście, skacząc po różnych liniach telefonicznych.

Ojciec Arregui utkwiał wzrok w migającym kursorze, który przebiegał z góry na dół przez listę osiemdziesięciu czterech użytkowników INMAVATU. Pracowali wiele dni, żeby zainstalować zasadzkę saduceuszy dla tego, kto chciałby dostać się do VO1A, czyli osobistej końcówki komputera Ojca Świętego. Zasadzka, nieruchoma kiedy wchodziło się do archiwum zwykłą drogą, zaczynała działać, gdy próbowało się do niego dostać z zewnątrz: intruz przekraczający próg INMAVATU zaczynał ciągnąć za sobą tajemny kod, o którego istnieniu nie wiedział. Rodzaj niewidocznej przeszkody. Po dotarciu do VO1A sygnał ten blokował wejście do prawdziwego adresata i kierował pirata ku odbiornemu fikcyjnemu, o nazwie VO1AZS, gdzie nic, cokolwiek by zrobił, nie mogło spowodować szkody i gdzie mógł zostawić, sądząc, że wszedł do komputera papieża, swoje wiadomości.

Kursor zatrzymał się, migocząc przy VO1A. Na dziesięć długich sekund jezuici wstrzymali oddech, wpatrzeni w ekran komputera bliźniaczego. Wreszcie kursor kliknął i pojawiła się klepsydra oczekiwania.

– Wchodzi – Coeey powiedział to bardzo cicho. Jego twarz poczerwieniała, a w okularach, znów zamglonych, odbijał się monitor.

Ojciec Arregui przygryzał dolną wargę, rozpinając i zapinając na przemian jeden z guzików sutanny. Gdyby zasadzka nie działała lub Nieszpory zaczął podejrzewać jej istnienie, mógłby się obrazić na serio. A zachowanie rozsierzonego pirata w archiwum tak delikatnym jak INMAVAT jest całkowicie nieprzewidywalne. W każdym razie ekipa watykańskich ekspertów trzymała jeszcze jedną kartę w rękawie: wystarczyło przycisnąć jeden klawisz, żeby wyłączyć INMAVAT z systemu. Problem polegał jednak na tym, że w takim przypadku Nieszpory zrozumiałby natychmiast, że ktoś trafił na jego trop i mógłby im zniknąć. Lub, jeszcze gorzej, wrócić przy kolejnej okazji, używając innej, niespodziewanej taktyki. Na przykład przynieść jakiegoś morderczego wirusa, który zaraziłby i zniszczył wszystko to, co napotka na swojej drodze.

Zniknęła ikonka oczekiwania i zmienił się format ekranu.

– Wchodzi – powiedział Garofi.

Nieszpory był wewnątrz VO1A i przez pełną niepokoju chwilę trzech jezuici wpatywali się wyczekująco w monitor, nie wiedząc, do którego archiwum, rzeczywistego czy fikcyjnego, się przedostanie. W miarę jak na ekranie pojawiała się hasło, Coeey odczytywał je stłumionym głosem:

– *Fał-zero-jeden-a-zet-es.*

A następnie na twarzy jego zagościł szeroki uśmiech, pełen dumy i satysfakcji. Nieszpory umieścił swój piracki dokument w zasadzce saduceuszy, a osobisty komputer papieża został poza jego zasięgiem.

– Niech będzie pochwalony – powiedział ojciec Arregui.

Oderwał w końcu guzik od sutanny. Trzymając go w ręce, pochylił się, żeby przeczytać wiadomość, która pojawiła się na ekranie komputera.

Wszystko poburzył wróg w świątyni.

Ryczeli nieprzyjaciele Twoi w miejscu zgromadzenia

Twego

Ustawili na znak władzy swoje godła.

Widziano ich jak tych,

Co wchodzą w lasy ścinać drzewa toporem.

Potem wszystkie jej ozdoby młotem i siekierą rozbijali.

Wydali na pastwę ognia świątynię Twoją,

Aż do gruntu zbezczęścili siedzibę Twego imienia.

Jak długo, o Boże, urągać ma ciemiężyciel.

Następnie Nieszpory przerwał łączność i jego znak zniknął z ekranu.

– Nie da się go zlokalizować – ojciec Garofi na darmo stukał w klawisz myszy przy swoim komputerze. – Przy każdym wejściu zostawia coś w rodzaju materiału wybuchowego, który niszczy jego ślad, kiedy wychodzi. Ten hacker bardzo dobrze zna się na robocie.

– Zna się też na psalmach – powiedział ojciec Coeey, uruchamiając drukarkę, żeby przyjrzeć się kopii tekstu. – To chyba sześćdziesiąty trzeci.

Ojciec Arregui zaprzeczył ruchem głowy.

– Siedemdziesiąty trzeci. Psalm 73 – poprawił, ciągle przyglądając się ekranowi komputera Garofiego. – Nad gruzami świątyni.

– Dowiedzieliśmy się o nim czegoś nowego – nagle powiedział ojciec Coeey. – Ten pirat ma poczucie humoru.

Pozostali dwaj księża patrzyli na świecący prostokąt. A na nim małe kulki odbijały się jak pingpongowe piłeczki, za każdym razem rozdwajając się; a kiedy zderzały się dwie z nich, wzbudzało się coś podobnego do wybuchu jądrowego, pojawiał się mały grzyb, z którego środka wychodziło słowo *bum*.

Arregui obruszył się.

– A to łajdak – powiedział. – Heretyk.

Nagle zwrócił uwagę na guzik od sutanny, który trzymał w ręku, i wrzucił go do kosza. Nadal wpatrzni w monitor ojcowie Coeey i Garofi cicho się śmiali.

VII

Butelka anyżówki Del Mono

*W owych dawnych czasach, zgłębiając wzniósł Naukę,
pochylaliśmy się nad tajemnicą pełną trudnych zagadek.*

(Fulcanelli, Tajemnica katedr)

Było parę minut po ósmej, kiedy Quart przeciął plac, żeby wejść do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Płaczącej. Słońce oświetlało zniszczoną dzwonnice, jednak nie wyszło jeszcze spoza linii dachów kamienic pomalowanych na biało i piaskowo. Jeszcze pozostawały w chłodnym cieniu drzewka pomarańczowe, których zapach towarzyszył mu do drzwi kościoła, przed którymi żebrak prosił o jałmużnę, siedząc na ziemi obok kul opartych o ścianę. Quart dał mu monetę i przekroczył próg, zatrzymując się na chwilę przy Chrystusie otoczonym wotami. Msza nie doszła jeszcze do Ofiarowania.

Zbliżył się do ostatnich ławek i usiadł w jednej z nich. Przed nim było około dwudziestu wiernych, zajmujących połowę nawy. Pozostałe ławki z klęcznikami ustawione były jedne na drugich pod murem, między rusztowaniami, pokrywającymi ściany całego obiektu. Włączono iluminację głównego ołtarza i przed niezwykle zbiorem rzeźb i obrazów, u stóp Matki Boskiej Płaczącej, ksiądz Priamo Ferro odprawiał mszę, a ksiądz Oscar służył mu jako ministrant. Większość wiernych stanowiły kobiety i osoby starsze: parafianie o skromnym wyglądzie, urzędnicy idący zaraz do pracy, emeryci, gospodynie domowe. Kilka kobiet miało ze sobą kosze i wózki na zakupy. Dwie czy trzy staruszki ubrane były na czarno, a jedna, klęcząca

nieopodal Quarta, okryta była welonem, jakich na mszach nie używano już od przeszło dwudziestu lat.

Ksiądz Ferro podszedł bliżej, aby przeczytać słowa Ewangelii. Odprawiał mszę w białych szatach i Quart dostrzegł, że pod szyją, spod ornatu i stuy, wystaje brzeg humerału: staroświeckiego kawałka płótna, kładzionego na ramionach na pamiątkę materiału, który przykrywał twarz Chrystusa, noszonego przez księży ubierających się do mszy przed Drugim Soborem Watykańskim. Tylko duchowni bardzo starzy lub bardzo tradycyjni używali tego fragmentu ubioru liturgicznego; i nie był to jedyny anachronizm w stroju i zachowaniu księdza Ferro. Stary ornat, na przykład, należał do typu nazywanego „skrzypce” – gors całkowicie otwarty po obu stronach, podobnie jak w dalmatyce, zamiast zwykłego modelu, który zastąpił ją przez to, że jest lżejszy i wygodniejszy.

– *Wtedy Jezus rzekł do swych uczniów...*

Proboszcz czytał tekst, setki razy powtarzany przez swe długie życie, niemal bez patrzenia do książki otwartej na pulpicie, skupiony na bliżej nieokreślonym punkcie między nim a wiernymi. Nie było mikrofonów – zresztą małeńki kościół wcale ich nie wymagał – a jego silny, spokojny głos, pozbawiony modulacji czy odcieni, wypełniał władczo ciszę nawy pomiędzy rusztowaniami i pociemniałymi malowidłami na suficie. Nie zostawiał miejsca na dyskusję czy wątpliwości: wszystko, poza owymi słowami wypowiedzianymi w imieniu Boga, pozbawione było znaczenia czy wartości. Było to słowo wiary.

– *Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Wy będziecie płakać i zawodzić, a świat się będzie weselił. Wy będziecie się smucić, ale smutek wasz zamieni się w radość. Znowu jednak was zobaczę i rozraduje się serce wasze, a radości waszej nikt wam nie zdoła odebrać...*

– *Oto Słowo Boże* – powiedział, wracając do ołtarza, a wierni odmówili *Wyznanie wiary*. Wówczas, bez specjalnego zdziwienia, Quart zauważył obecność Macareny Bruner. Siedziała trzy ławki przed nim, w ciemnych okularach, dzinsach, z włosami zebranymi w koński ogon, w marynarce zarzuconej na ramiona, z twarzą pochyloną w modlitwie. Kiedy skierował z powrotem wzrok do ołtarza, napotkał nieprzeniknione spojrzenie księdza Oscara obserwujące go, podczas gdy ksiądz Príamo Ferro nadal odprawiał mszę, zaprzątnięty jedynie rytuałem własnych ruchów i słów:

– *Benedictus est, Domine, deus universi, quia de tua largitate accépi-mus panem...*

Oslupiały Quart zwrócił uwagę na słowa kapłana – odprawiał mszę *po łacinie*. Wszystkie te części, które nie były skierowane bezpośrednio do wiernych lub nie mogły być odmawiane wspólnie, ksiądz Ferro wypowiadał w tradycyjnym języku kanonicznym Kościoła. Nie było to, oczywiście, groźne wykroczenie; pewne kościoły

posiadały ten specjalnie nadawany przywilej, a sam Ojciec Święty często odprawiał mszę po łacinie w Rzymie. Jednak przepisy kościelne stanowiły od czasów Pawła VI, że w każdej parafii msza powinna być odprawiana we właściwym języku narodowym, żeby wierni lepiej ją rozumieli i uczestniczyli w niej. Było widoczne, że ksiądz Ferro jedynie w części godził się z duchem nowoczesności kościelnej.

– *Per huius aquae et vini mysterium...*

Quart przyglądał mu się uważnie podczas Ofiarowania. Proboszcz położył naczynia liturgiczne na korporałach, podniósł ku niebu hostię, umieszczoną na patenie, a następnie, kiedy zmieszał kilka kropli wody z winem przyniesionym przez księdza Oscara, uczynił to samo z kielichem. Z kolei zwrócił się do ministranta, który podał mu niewielką miednicę ze srebrnym dzbankiem, i przystąpił do mycia rąk.

– *Lava me, Domine, ab iniquitate mea.*

Quart śledził wzrokiem ruch jego warg, wymawiających po cichu łacińskie słowa. Mycie rąk było kolejnym ginącym zwyczajem, chociaż zachowanym w normalnym porządku mszy. Mógł docenić kolejne anachronizmy, rzadko widziane od czasów, kiedy jako dziesięcio – czy dwunastoletni chłopiec służył do mszy proboszczowi w swojej parafii: ksiądz Ferro złączył opuszki palców pod strumyczkiem wody, którą polewał go ministrant, a następnie, kiedy osuszył już dłonie, połączył kciuki i palce wskazujące, tworząc z nich krąg po to, żeby po przeistoczeniu nie miały z niczym kontaktu, nawet stronicę mszału przewracał pozostałymi trzema palcami, które usztywnił. Wszystko to było niepokojąco ortodoksyjne, zgodne z dawnymi zwyczajami, charakterystyczne dla starych księży, niechętnych temu, że czasy się zmieniły. Brakowało tylko, żeby odprawiał mszę, stojąc tyłem do wiernych, odwrócony ku ołtarzowi i wizerunkowi Matki Boskiej, tak jak się to robiło trzydzieści lat wcześniej. I księdzu Príamo Ferro, podejrzewał Quart, wcale by to nie przeszkadzało. Widział, jak czyta kanon z pochyloną, upartą głową, pokrytą sztywnymi włosami, krzywo postrzyżonymi nożyczkami: *Te igitur, clementissime Pater*. Broda z ciemnymi, siwymi cieniami niedogolonego zarostu przyciskała do szyi koloratkę, a proboszcz wypowiadał spokojnie, w kompletnej ciszy kościoła, modlitwy ofiary mszy, w taki sam sposób, w jaki były wypowiadane przez innych ludzi, żywych i martwych, przed nim przez ostatnie tysiąc trzysta lat:

– *Per ipsum, et cum ipso, est tibi Deo Patri omnipotenti...*

Wbrew sobie samemu, mimo swego technicznego sceptycyzmu i całej niechęci, jaką w nim budził ksiądz Ferro, kapłan, którym Lorenzo Quart też był, musiał wrzucić się niezwykłą odświętnością, jaką rytuał, gesty i słowa nadawały wiekowej postaci starego proboszcza. Jakby symboliczna przemiana, która w tej chwili dokonywała się przed ołtarzem, zmieniała także tego prostego, wiejskiego księdza i przydawała mu godności, obdarzała charyzmą, każąc zapomnieć o wyświechtanej

sutannie i nie wyczyszczonych butach pod ornatem o wytartych brzegach, strzępiących się złotymi nitkami i z ozdobami splewiałymi z upływem czasu. Bóg – o ile jakiś Bóg krył się pod złoconym, barokowym drewnem ołtarza Matki Boskiej Płaczącej – na tę chwilę niewątpliwie zstępował i kładł dłoń na ramieniu starego zrzędy, pochylonego nad hostią i kielichem, wypełniał tajemnicę ucieleśnienia i śmierci Syna Bożego. Poza tym, myślał Quart, patrząc na znajdujące się przed nim twarze, wśród nich na Macarenę Bruner, zwróconą do ołtarza i wpatrzoną tak jak inni w dłoń kapłana, najmniej ważne było w tej chwili to, czy istnieje gdzieś Bóg chętny, by rozdawać nagrody i kary, potępienie czy wieczne zbawienie. W ciszy, w której ostry głos księdza Ferro sprawował liturgię, liczyły się jedynie poważne, skupione twarze, wpatrzone w jego ręce i wsłuchane w głos, powtarzające po cichu za odprawiającym mszę słowa, rozumiane czy nie, dla których wszystko streszczało się do jednego: pocieszenie znaczyło tyle, co ciepło wobec chłodu, przyjazna dłoń w ciemności. I tak jak oni, klęcząc z łokciami wspartymi na oparciu ławki stojącej przed nim, Quart powtarzał w myśli uświęcone słowa. Poruszył się niespokojnie, uświadamiając sobie, że właśnie przekroczył próg zrozumienia w stosunku do tego kościoła, jego proboszcza, wiadomości Nieszporów i swojej własnej misji w tym miejscu. Jest dużo łatwiej, odkrył, gardzić księdzem Ferro, niż patrzeć na niego, maleńkiego i zgorzkniałego, w staroświeckim ornatie, jak stwarza słowami dawnej tajemnicy spokojną zatokę, gdzie ta dwudziestka twarzy, w większości zmęczonych, postarzałych, zgiętych pod ciężarem lat i życia, patrzyła – z lękiem, szacunkiem, nadzieją – na kawałek chleba, który stary ksiądz trzymał w dumnych dłoniach. Potem w mosiężnym pozłacanym kielichu wzniosł wino, owoc winnej latorośli i ludzkiej pracy, a następnie opuścił już przemienione w krew Jezusa, który w ten sam sposób, po zakończonej wieczerzy, nakarmił i napoił swoich uczniów, z tymi samymi słowami, jakie ksiądz Ferro właśnie wypowiadał, niezmiennymi, dwadzieścia wieków później, pod łzami Carloty Bruner i kapitana Xaloca: *Hoc facite in meam commemorationem*. Czyńcie to na moją pamiątkę.

Msza skończyła się. Kościół opustoszał. Quart siedział nieruchomo w swojej ławce, choć don Príamo powiedział *Ite, missa est* i odszedł sprzed ołtarza, nie patrząc ani razu w jego kierunku, a wierni wyszli jeden po drugim, łącznie z Macareną Bruner, która przeszła obok w ciemnych okularach, nie okazując po sobie, czy go zauważyła. Przez dobrą chwilę stara dewotka w woalce była jedynym towarzystwem Quarta i kiedy się modliła, ksiądz Oscar wyszedł znów przed ołtarz, zgasił świece i elektryczne oświetlenie ołtarza i odszedł, nie odrywając wzroku od ziemi. Później wyszła też dewotka i agent ISZ-u został sam w półmroku pustego kościoła.

Pomimo swojego sposobu bycia i rygoru, z jakim przestrzegał reguł, Quart był człowiekiem jasno myślącym. I ta jasność umysłu stanowiła ciche przekleństwo, nie pozwalała mu bowiem na pełne pogodzenie się z naturalnym porządkiem spraw, które dawałoby w zamian jakieś alibi, pozwalające znosić brzemię świadomości. W przypadku księdza, podobnie jak każdego innego zawodu wymagającego wiary w mit uprzywilejowanej pozycji człowieka w harmonii wszechświata, było to niebezpieczne i uciążliwe. Niewiele rzeczy trwa dłużej niż przekonanie o błahości ludzkiego życia. U Quarta jedynie siła woli, w postaci jego zdyscyplinowania, pozwalała zachować dystans do niebezpiecznej granicy, za którą naga prawda staje się kusząca i łatwo przemienia się w niemoc, apatię lub rozpacz. I może dlatego właśnie nadal siedział w kościelnej ławce, pod szerniałym sklepieniem, w zapachu wosku i starych, zimnych kamieni. Patrzył na otaczające go rusztowania pod ścianami, zakurzone wota wokół rzeźby Chrystusa Nazareńskiego, z brudnymi, naturalnymi włosami, na złoczone drewno ciemnego teraz ołtarza, kamienne płyty posadzki, wytartej przez kroki ludzi dawno już nieżyjących, umarłych sto, dwieście czy trzysta lat temu. Miał jeszcze w oczach źle ogoloną, posępną twarz księdza Ferro, pochyloną nad ołtarzem, kiedy wymawiał hermetyczne zdania wobec dwudziestu twarzy wyniesionych ponad swoją ludzką kondycję przez nadzieję istnienia Wszechmogącego ojca, pocieszenia, lepszego życia, gdzie sprawiedliwi będą nagrodzeni, a bezbożni ukarani. Ten skromny przybytek Boży był bardzo daleki od wielkich scen na wolnym powietrzu, gigantycznych ekranów telewizyjnych, folkloru i ordynarności wrzaskliwych, kolorowych Kościołów, gdzie wszystko stawało się dozwolone: techniki Goebbelsa, estrady rockowe, dialektyka piłkarskich mundiali, woda święcona rozpylana przez elektroniczne zraszacze powietrza. Dlatego, niczym piechurzy wspomniani przez Gris Marsalę, nieciekawo już bitwy, której hałas dogasał za ich plecami, wyzwoleni od własnego losu i nie wiedzący, czy żyje jeszcze król, za którego mogliby walczyć, niektóre pionki wybierały swoje pole na szachownicy – miejsce, gdzie postanawiały umrzeć. Ojciec Ferro wybrał swoje i Lorenzo Quart, doświadczony łowca skalpów z ramienia rzymskiej Kurii potrafił zrozumieć to bez trudu. Może właśnie dlatego nagle przestał być pewny siebie i siedział w ławce zniszczonego, małego, samotnego kościoła, przemienionego przez starego proboszcza w Przekłątą Wieżę, redutę obrony ostatnich wiernych owieczek przed krążącymi wokół wilkami, gotowymi rzucić się na te resztki niewinności. O tym właśnie wszystkim myślał Quart, siedząc w ławce przez dobrą chwilę. Potem wstał i ruszył prosto do głównego ołtarza, słuchając echa swoich kroków pod eliptycznym sklepieniem transeptu. Zatrzymał się przed retabulum, obok lampki wiecznego ognia Najświętszego Sakramentu, i przyjrzał się rzeźbom modlących się przodków Macareny Bruner po bokach centralnej figury Matki Boskiej Płaczącej. Pod jej królewskim baldachimem, w towarzystwie cherubinów i świętych,

pośród bogato rzeźbionych ozdób ze złożonego drewna, figura dłuta Martineza Montañesa odcinała się w mroku, w ukośnym świetle, padającym na nią poprzez witraże i przemyślną, geometryczną strukturę rusztowań. Matka Boska była bardzo piękna i smutna, twarz unosiła lekko do góry jakby z wyrzutem; rozłożone, puste ręce, wyciągnięte były po obu bokach, jakby pytała, w imię czego zabrano jej syna. Dwadzieścia pereł kapitana Xaloca delikatnie lśniło na jej twarzy, na koronie z gwiazd i na niebieskiej tunicy, pod którą bosa stopa miażdżyła na półksiężycu głowę węża.

– *Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej...*

Głos cytujący Księgę Rodzaju zabrzmiał za jego plecami i kiedy Quart się odwrócił, ujrzał jasne oczy Gris Marsali. Nie słyszał, jak wchodziła, a teraz stała tuż za nim – podeszła bezgłośnie dzięki tenisówkom.

– Chodzi siostra jak kot – powiedział Quart.

Roześmiała się, poruszając przy tym głową. Jak zawsze, włosy miała zebrane na karku w krótki warkoczyk, ubrana była w luźną koszulkę polo i dzinsy ubrudzone farbą i gipsem. Quart wyobraził sobie, jak maluje się przed lustrem, oczekując wizyty biskupa, a potem jej zimne spojrzenie zwielokrotnione w rozbitych pięćdziesięciu kawałkach lustra. Spojrzał na jej ręce, poszukując blizny. Była tam, lekki ślad długości trzech centymetrów, na wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. Zastanowił się, czy nie zrobiła tego umyślnie.

– Nie powie mi ksiądz, że był tu na mszy – rzekła.

Quart przytaknął i dostrzegł na jej twarzy nieokreślony uśmiech. Nadal patrzył na jej bliznę, a Gris Marsala, widząc to, odwróciła rękę i ukryła ślad.

– Ten proboszcz – powiedział Quart.

Chciał coś dodać, ale zamilkł, jakby te dwa słowa zawierały w sobie wszystko. Po chwili znów się uśmiechnęła, teraz jednak mroczniej, jakby uśmiechała się do siebie samej po wysłuchaniu słów, które nie zostały powiedziane.

– Tak – mruknęła. – Właśnie o to chodzi.

Robiła wrażenie jakby już spokojniejszej, przestała zasłaniać nadgarstek. Zapytała, czy widział Macarenę Bruner, i Quart potwierdził ruchem głowy.

– Przychodzi codziennie o ósmej rano – dodała. – We czwartki i w niedziele razem z matką.

– Nie sądziłem, że jest tak pobożna.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to sarkastycznie, Gris jednak odcięła się, wyraźnie urażona.

– Ksiądz pozwoli, że coś powiem. Bardzo nie lubię tego tonu.

Zbliżył się parę kroków do ołtarza, przyglądając się figurze Matki Boskiej. Potem znów zwrócił się do kobiety:

– Może siostra ma rację. Ale wczoraj byłem z nią na kolacji i nadal jestem zaskoczony.

– Wiem, że byliście razem na kolacji – jasne oczy przyglądały mu się z uwagą, a może z ciekawością. – Macarena obudziła mnie o pierwszej w nocy i trzymała przez pół godziny przy telefonie. Między innymi powiedziała, że przyjdzie ksiądz na mszę.

– To niemożliwe – zaprotestował Quart. – Sam tego nie wiedziałem jeszcze na parę minut przez przyjściem.

– Sam ksiądz widzi. A ona wiedziała. Powiedziała mi, że może tutaj ksiądz znacznie coś rozumieć – przerwała i spojrzała badawczo. – Zaczął ksiądz rozumieć?

Quart patrzył na nią nieporuszony.

– Co jeszcze siostrze powiedziała?

Zadał to pytanie w sposób obojętny, niemal ironiczny, i pożałował tego, jeszcze nim zakończył zdanie. Naprawdę był ciekawy, co Macarena Bruner mogła opowiedzieć swojej przyjaciółce, i był zły, że to okazał.

Gris Marsala patrzyła na koloratkę przy koszuli księdza. Zamyślona.

– Powiedziała wiele rzeczy. Na przykład, że polubiła księdza. I że wcale nie różni się ksiądz od naszego proboszcza tak bardzo, jak myśli – teraz jej wzrok mierzył go powoli, od stóp do głów, oceniające – Mówiła też, że uważa, iż jest ksiądz najbardziej sexy ze wszystkich księży, jakich w swoim życiu widziała – uśmiech, który błąkał się po jej ustach, był niemal prowokacją. – Użyła właśnie tego słowa: sexy. Co ksiądz na to?

– Dlaczego opowiada mi siostra to wszystko?

– Też pytanie! Opowiadam, bo ksiądz pytał.

– Proszę mnie nie brać pod włos – podniósł palec wskazujący do skroni. – Są siwe, tak samo jak siostry.

– Podobają mi się takie krótkie włosy. Macarenie też.

– Nie odpowiedziała siostra na moje pytanie, siostrze Marsala.

Roześmiała się i niezliczone zmarszczki otoczyły jej oczy.

– Proszę bardzo, niech ksiądz nie zwraca się do mnie tak formalnie – śmiała się, wskazując na brudne dżinsy i rusztowania wzdłuż ścian. – Nie wiem, czy to wszystko jest stosowne dla zakonnic.

Nie jest, pomyślał Quart. Ani to, ani jej zachowanie w dziwnym trójkącie, który tworzyli oni dwoje i Macarena Bruner; a może nawet był to kwartet, jeśli włączyć w to nieuniknionego księdza Ferro. Nie potrafił też sobie jej wyobrazić w habitach, w murach klasztornych. Wydaje się, że musiała przejść daleką drogę z Santa Barbara.

– Nie myślała siostra nigdy o powrocie?

Zwlekła dłuższą chwilę z odpowiedzią. Spojrzała w głąb nawy na poskładane ławki obok drzwi. Kciuki trzymała w tylnych kieszeniach spodni i Quart zadał sobie

pytanie, ile zakonnice byłoby w stanie nosić wytarte dzinsy tak jak Gris Marsala: szczupła jak dziewczyna, mimo swojego wieku. Tylko jej twarz i włosy postarzały się, a mimo to z jej sposobu poruszania się promieniowała pewna atrakcyjność.

– Nie wiem – powiedziała z nieobecny spojrzaniem. – Może to zależy od tego miejsca i od tego, co się tu wydarzy. Myślę, że dlatego nie odeszłam stąd – teraz zwracała się do Quarta, nie patrząc na niego, miała przymknięte oczy z powodu światła wpadającego przez jaśniejący prostokąt drzwi. – Nigdy ksiądz nie czuł nagłej pustki w miejscu, gdzie powinno być serce? Robi klik i zatrzymuje się na chwilę bez żadnego wyraźnego powodu. Potem wszystko płynie swoim tokiem, ale już się wie, że nie jest tak samo, i z niepokojem się pyta, czy nie stało się coś złego.

– I myśli siostra, że właśnie tutaj to sprawdzi?

– Nie mam pojęcia. Ale są miejsca, które kryją odpowiedzi. Przeczucie tego każe nam kręcić się wokół nich i poszukiwać. Nie sądzi ksiądz?

Zakłopotany Quart przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, potem z powrotem na drugą. Nie był to jego ulubiony temat rozmów, ale czuł potrzebę wypowiedzi. W każdym słowie mógł się kryć koniec nitki prowadzącej do kłębka.

– Sądzę, że przez całe życie kręcimy się wokół naszego grobu. Może to właśnie jest odpowiedź.

Mówiąc to, uśmiechnął się słabo, odbierając komentarzowi transcendencję. Nie dała się jednak zwięść uśmiechowi:

– Miałam rację. Nie jest ksiądz takim samym duchownym jak inni.

Nie powiedziała dlaczego i przed kim wygłosiła tę opinię, ani Quart nie chciał o to pytać. Zapadła chwila milczenia i nikt nie zrobił nic, żeby je przerwać. Szli razem przez długość nawy. Quart przyglądał się ścianom, opryskanym malowidłom i pociemniałym złoceniom gzymsów. Gris Marsala poruszała się w ciszy obok stukotu jego kroków. Wreszcie znów się odezwała.

– Są pewne rzeczy – powiedziała. – Są takie miejsca i osoby, przez które nie można przejść bezkarnie. Wie ksiądz, o czym mówię? – zatrzymała się na chwilę i spojrzała na Quarta, po czym znów ruszyła, kręcąc głową. – Nie sądzę, żeby już ksiądz wiedział. Mam na myśli to miasto, ten kościół. Mam też na myśli księdza Príamo i samą Macarenę – znów się zatrzymała, teraz uśmiechając się drwiąco. – Niech ksiądz wie, w co się ładuje.

– Może nie mam nic do stracenia.

– Śmieszne, że sam ksiądz to mówi. Macarena zapewnia mnie, że to właśnie jest w księdzu najbardziej interesujące. Wrażenie, jakie ksiądz zostawia – stali przy drzwiach, ostre światło ulicy zwięzło źrenice w jasnych oczach kobiety. – Można by powiedzieć, że tak samo jak don Príamo, który też ma niewiele do stracenia.

Kelner kręcił dźwignią markizy do chwili, kiedy cień przykrył stół, przy którym siedzieli Pencho Gavira i Octavio Machuca. Siedzący u stóp starego bankiera pucybut pastował buty, a następnie trzasnął szczotką o otwartą dłoń:

– Teraz druga stopa, proszę pana.

Machuca posłusznie zdjął prawą stopę ze skrzynki ozdobionej złotymi świeczkami i lusterkami, i na tym samym miejscu położył lewą. Pucybut założył ochraniacze, żeby nie zabrudzić skarpetki, i zabrał się z przekonaniem do pracy. Był bardzo chudy, wygląd miał dość cygański, przekroczył już pięćdziesiątkę, ramiona pokrywały mu tatuaże, a z kieszeni koszuli wystawały losy na loterię. Codziennie prezes Banku Kartuskiego czyścił u niego buty, trzysta peset za usługę, podczas której ze swego narożnego stolika w La Campana patrzył, jak płynie życie.

– Ale upał – powiedział pucybut.

Wierzchem dłoni czarnej od pasty ocierał krople potu, spływające mu po nosie. Pencho Gavira zapalił papierosa i poczęstował czyścibuta, który włożył go sobie za ucho, nie przerywając polerowania butów Machuki szczotką. Znad filiżanki kawy i egzemplarza gazety „ABC” na stoliku stary bankier zadowolony przyglądał się wykonywanej robocie. Kiedy była skończona, wyciągnął banknot tysiącpesetowy do pucybuta, ten podrapał się w kark, zakłopotany.

– Nie mam reszty, proszę pana.

Prezes Banku Kartuskiego uśmiechnął się, przyzwyczajony widać, zakładając długie nogi jedną na drugą.

– To jutro ci zapłacę, Rafita, kiedy będziesz miał resztę.

Pucybut oddał banknot i podnosząc palce do czoła gestem z grubsza przypominającym wojskowy salut, odszedł w kierunku placu Duque de Victoria, ze stołeczkiem i skrzynką pod pachą. Pencho Gavira widział, jak przechodzi obok Peregila, czekającego w należnym oddaleniu, przed wystawą sklepu z butami, parę kroków od granatowego mercedesa zaparkowanego przy chodniku. Cánovas, sekretarz Machuki, przeglądał papiery przy pobliskim stoliku, zdyscyplinowany i milczący, gotowy do załatwiania bieżących spraw.

– Co słyhać z kościołem, Pencho?

Pozornie było to rutynowe pytanie, jakby chodziło o zdrowie rodziny. Stary Machuca otworzył gazetę i przeglądał ją bez zbytej uwagi aż do stron zawierających nekrologi. Te przeczytał bardzo dokładnie. Gavira rozparł się na wiklinowym fotelu i patrzył na plamy słonecznego światła, które przesuwwały się powoli w stronę jego nóg od ulicy Sierpes.

– Pracujemy nad tym – powiedział.

Machuca zmrużył powieki, zatopiony w lekturze nekrologów. W jego wieku świadomość, że tylu znajomych odchodzi przed nim, stanowiła pewne pocieszenie.

– Członkowie rady niecierpliwią się – dodał nie przerywając czytania. – A dokładnie, jedni się niecierpliwią, a inni mają nadzieję, że powinie ci się noga – przewrócił stronę i uśmiechnął się nieznacznie do długiej listy dzieci, wnuków i krewnych modlących się za duszę don Luis Jorquery de la Sintacha, wybitnego syna Sewilli, komandora Orderu Mañary, mistrza Królewskiej Konfraterni Stałego Miłosierdzia, zmarłego po przyjęciu ostatnich sakramentów i tak dalej; Machuca i cała Sewilla doskonale wiedzieli, że znamienity zmarły był skończonym draniem, który wzbogacił się w latach zaraz po wojnie na przemyśle penicyliny. – Brakuje już tylko paru dni do podjęcia decyzji w sprawie kościoła.

Gavira przytaknął, z papierosem w ustach. Stanie się to w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Saudyjczycy z Sun Qafer Alley wylądują na miejscowym lotnisku, żeby wreszcie kupić Puerto Targa. A kiedy kontrakt będzie podpisany, nikt nawet nie piśnie słówkiem.

– Zapinam ostatnie sprawy – powiedział.

Machuca wolno pokiwał głową z góry do dołu, kilka razy. Jego oczy, otoczone głębokimi, ciemnymi cieniami przesuwają się znad dziennika na ludzi przechodzących ulicą.

– Ten ksiądz – powiedział. – Ten stary.

Gavira nadstawił uszu; bankier jednak dłuższą chwilę milczał, jakby nie udało mu się skryzalizować myśli. A może była to tylko prowokacja wobec delfina. Tak czy inaczej Gavira też zachował milczenie.

– On jest kluczem do całej sprawy – ciągnął Machuca. – Dopóki się nie podda, burmistrz nie sprzeda kościoła, arcybiskup nie zsekularyzuje terenu, a twoja żona i jej matka będą obstawać przy swoim. Te czwartkowe msze nieźle psują ci krew.

Nadal nazywał Macarenę Bruner jego żoną, co choć teoretycznie było prawdą, prowadziło jednak do przykrych dla niego wniosków. Machuca nie chciał uznać rozpadu małżeństwa, do którego zawarcia sam właściwie doprowadził. Poza tym zdanie to zawierało ostrzeżenie: nie będzie żadnego dobrego rozwiązania dla jego następcy, dopóki trwa niejednoznaczna sytuacja małżeńska z Macareną. Śmietanka towarzyska Sewilli, która przyjęła Gavirę do swojego grona, kiedy ożenił się z następczynią tytułu księżnej del Nuevo Extremo, pewnych rzeczy nie wybacza. Cokolwiek by zrobiła, nieważne, czy chodzi o księży czy torreadorów, Macarena była jedną z nich, a Gavira nie. Bez niej był po prostu nędznym dorobkiewiczem z dużą kasą.

– Jak tylko załatwię sprawę kościoła – powiedział – zajmę się nią.

Machuca przerzucał strony, sceptyczny.

– Nie jestem taki pewny. Znam ją od dziecka – pochylił się nad gazetą i wypił łyk z filiżanki. – Nawet jeśli usuniesz z gry proboszcza i zburzysz kościół, przegrasz inną bitwę. Macarena traktuje to jako sprawę osobistą.

– A księżna? – Pod długim, wąskim nosem bankiera pojawił się cień uśmiechu.

– Cruz szanuje decyzje swojej córki. A w sprawie kościoła bezwarunkowo trzyma jej stronę.

– Widział ją pan ostatnio? Pytam o matkę.

– Oczywiście, w każdą środę.

Tak było. Jednego popołudnia w tygodniu Octavio Machuca wysłał swój samochód po Cruz Bruner i czekał na nią w parku Marii Luizy, żeby razem pójść na spacer. Można ich było zobaczyć, jak przechadzają się pod wierzbami albo siedzą na ławce przy pomniku Becquera, w słoneczne popołudnia.

– Ale sam wiesz, jaka jest twoja teściowa – uśmiech Machuki stał się wyraźniejszy. – Rozmawiamy o pogodzie, o doniczkach na patio, kwiatach w jej ogrodzie i o wierszach Campoamora... I zawsze kiedy recytuje *Córki kobiet, które tak bardzo kochałem / Całują mnie już, jakby całowały świętego*, śmieje się jak mała dziewczynka. Rozmawianie z nią o zięciu, kościele czy małżeńskich niepowodzeniach córki uznałaby za grubiaństwo – wskazał na upadły Bank Lewantyński, na rogu przy Santa María de Gracia. – Mógłbym się założyć o ten budynek, że ona nie wie nawet, że jesteście w separacji.

– Niech pan nie przesadza, don Octavio.

– Nie przesadzam ani trochę.

Gavira w ciszy wypił łyk piwa. To była przesada, oczywiście; dobrze jednak oddawała charakter starszej pani mieszkającej w Domu z Okiennicami niby mniszka zamknięta w klasztorze, pośród cieni i wspomnień zaludniających stary pałac, teraz już zbyt obszerny dla niej i jej córki, w sercu starej dzielnicy pełnej marmurów, starych kafelków, żelaznych krat, gdzie na każdym patio można znaleźć doniczki, fotele bujane, kanarka i fortepian. Nie zainteresowana niczym, co dzieje się za progiem jej domu, poza cotygodniowymi, nostalgicznymi spacerami z przyjacielem zmarłego męża.

– Nie chcę się mieszać do twoich prywatnych spraw, Pencho – starzec spoglądał spod przymkniętych powiek. – Często się jednak zastanawiam, co się stało Macarenie.

Gavira spokojnie poruszył głową.

– Nic takiego, zapewniam pana. Myślę, że życie i moja praca stwarzają napięcia...

– zaciągnął się papierosem, a dym wypuścił nosem i ustami. – Poza tym sam pan wie, ona chciała mieć dziecko natychmiast – zająknął się. – Ja jestem w środku walki o swoje miejsce, don Octavio. Nie mam czasu na pieluchy, prosiłem, żeby trochę poczekała... – nagle poczuł niezwykłą suchość w ustach i znów napił się piwa. – Żeby

zaczekała troszkę, to wszystko. Myślałem, że udało mi się ją przekonać i że już wszystko dobrze. Nagle, któregoś dnia – trach! Trzasnęła za sobą drzwiami i wypowiedziała mi wojnę. Tak jest do dzisiaj. Być może, jakiś wpływ miało to, że nie potrafiliśmy się porozumieć w sprawie kościoła – na twarzy pojawił się grymas. – Może wszystko miało wpływ.

Machuca przyglądał mu się uważnie i chłodno. Niemal z ciekawością.

– Sprawa torreadora – zauważył – to był cios poniżej pasa.

– I to mocny – podobnie jak wyciągnięcie tego na światło dzienne, Gavira jednak powstrzymał się przed tym komentarzem. – Choć pan też wie, że było kilku przed nim, zaraz jak tylko odeszła. Przyjaciele z czasów, gdy jeszcze była panną, i ten Curro Maestral, któremu zawróciła w głowie – upuścił papierosa na ziemię, między buty, i rozgniół go obcasem ze złością. – Jakby chciała nadrobić czas stracony ze mną.

– Albo zemścić się.

– Być może.

– Coś jej zrobiłeś, Pancho – stary bankier kiwał głową z przekonaniem. – Macarena, kiedy braliście ślub, była w tobie zakochana.

Gavira spojrzał w jedną stronę, potem w drugą, obserwując nieuważnie ludzi przechodzących ulicą.

– Przysięgam, że nie rozumiem – odpowiedział wreszcie. – Nawet nie może to być zemsta. Pierwszy skok w bok miałem przeszło miesiąc po tym, jak mnie zostawiła, kiedy ją widywano już z tym producentem win z Jerezu, Villaltą. Któremu, swoją drogą, za pańskim pozwoleniem, właśnie odmówiłem kredytu.

Machuca podniósł chudą jak szpon rękę, jakby odrzucał to wszystko. Wiedział wiele o związku, krótkim i powierzchownym, swojego protegowanego z modelką występującą w reklamach; wiedział, że mówi prawdę. W każdym razie Macarena miała zbyt wiele klasy, żeby robić publiczny skandal z powodu afery ze spódniczkami swojego męża. Gdyby każda tak robiła, biada Sewilli. Co do kościoła, bankier nie wiedział, czy jest to problem, czy tylko pretekst.

Gavira poprawił krawat, zakłopotany.

– Jesteśmy w tej samej sytuacji, don Octavio. Ojciec chrzestny i mąż w całkowitej niewiedzy.

– Z jedną różnicą – Machuca znów uśmiechał się pod szpiczastym nosem z okrucieństwem. – Zarówno kościół, jak i małżeństwo to twoje sprawy, prawda? Ja się tylko przyglądam.

Gavira obrzucił spojrzeniem Peregila, który nadal czuwał przy mercedesie. Zacisnął szczęki.

– Mocniej przycisnę.

– Swoją żonę?

– Księdza.

Zadźwięczał suchy śmiech bankiera.

– Którego z nich? Ostatnio mnożą się jak króliki.

– Proboszcza. Księdza Ferro.

– Tak – Machuca też spojrział z ukosa w kierunku Peregila i głęboko westchnął. – Mam nadzieję, że masz na tyle dobrego smaku, żeby poszczędzić mi szczegółów.

Przeszło kilku japońskich turystów, zgiętych pod ciężarem olbrzymich plecaków, na granicy wycieńczenia. Machuca odłożył gazetę na stolik i przez chwilę milczał, rozparty w wiklinowym fotelu. Potem zwrócił się do Gaviry.

– Trudno się żyje w zawieszeniu, prawda? – drapieżne, ciemno podkrążone oczy miały wyraz kpiarski. – Ja też tak żyłem przez długie lata, Pencho. Od pierwszego przerzutu kontrabandy z Gibraltaru, po wojnie. A potem, kiedy kupiłem bank, zastanawiając się, w co się właściwie ładuję. Te bezsenne noce, pełne wszelkich istniejących na świecie obaw... – potrząsnął krótko głową. – Nagle, któregoś dnia odkrywasz, że minąłeś metę i wszystko jest ci obojętne. Ze psy już cię nie dopadną, choćby czekały i biegały do woli. Dopiero wtedy zaczynasz cieszyć się życiem czy tym, co ci jeszcze z niego zostało.

Zmarszczył usta z wyrazem ni to rozbawienia, ni to znużenia. Zimny uśmiech mroził mu kąciki ust.

– Mam nadzieję, że osiągniesz tę metę, Pancho – dodał. – Tymczasem składaj procenty bez szemrania.

Gavira nie odpowiedział od razu. Ruchem ręki przywołał kelnera, zamówił następne piwo i kawę z mlekiem, przejechał dłonią po zaczesanych włosach na lewej skroni i spojrział z roztargnieniem na nogi przechodzącej dziewczyny.

– Nigdy się nie skarżyłem, don Octavio.

– Wiem. Dlatego masz biuro na głównym piętrze banku przy Arenal i krzesło obok mojego przy tym stoliku. Biuro, które tobie dałem, i krzesło, którego ci użyczam. Ja tymczasem czytam gazetę i przyglądam ci się.

Kelner przyniósł piwo i kawę. Machuca wrzucił do filiżanki kostkę cukru i zamieszał łyżeczką. Dwie zakonnice od Siostry Angeli de la Cruz przeszły ulicą, w brązowych habitach i białych welonach.

– Swoją drogą – odezwał się naraz bankier. – Co się dzieje z tym drugim księdzem – patrzył, jak zakonnice odchodzą. – Tym, który wczoraj był na kolacji z twoją żoną.

W takich momentach jak ten można było docenić opanowanie Pencho Gaviry. Starając się uspokoić pulsowanie krwi w skroniach, śledził wzrokiem samochód, który wyjechał z przecznicy, aż do chwili, kiedy zniknął za następnym rogiem. Około dziesięciu sekund. Po tym czasie podniósł brew.

– Nic się nie dzieje. Według moich informacji nadal prowadzi śledztwo dla Rzymu. Panuję nad tym.

Machuca zrobił gest pełen aprobaty.

– Mam nadzieję, Pencho, że nad tym też panujesz – podniósł filiżankę do ust z cichym, zadowolonym mruknięciem. – Ładne miejsce La Albahaca – wypił kolejny łyk. – Dawno już tam nie byłem.

– Odzyskam Macarenę. Obiecuję panu.

Bankier znów skinął głową.

– Tak naprawdę mianowałem cię wiceprezesem dlatego, że się z nią ożeniłeś.

– Wiem o tym – Gavira uśmiechał się ze złością. – Nigdy nie miałem co do tego złudzeń.

– Zrozum mnie – Machuca odwrócił się do niego. – Masz dobrą głowę. Dla Macareny nie było lepszej przyszłości, wiedziałem o tym od początku... – jedna z jego rąk opierała się delikatnie o ramię Gaviry, dotykiem kościstym i suchym. – Chyba cię cenię. Pewnie jesteś najlepszy dla przyszłości banku, tyle że teraz bank jest mi już całkiem obojętny – cofnął dłoń i przyglądał mu się. – Może ważna jest dla mnie twoja żona. A może jej matka.

Gavira przeniósł wzrok na kiosk z gazetami na rogu.

Czasem czuł się jak ryba w sieci, bezskutecznie szukająca wyjścia. Pedałować, powtórzył w myśli. Pedałować bez przerwy, żeby rower się nie przewrócił.

– Jeśli pan pozwoli, to powiem, że ten kościół to też przyszłość ich obu.

– Ale przede wszystkim twoja, Pencho... – Machuca rzucił na niego szydercze spojrzenie. – Poświęciłbyś sprawę kościoła i całą operację Puerto Targa, żeby odzyskać swoją żonę?

Gavira zwlekał z odpowiedzią. To było najważniejsze pytanie i sam wiedział o tym najlepiej.

– Jeśli stracę tę okazję – powiedział wymijająco – stracę wszystko.

– Nie wszystko. Tylko swoją pozycję. I moje poparcie.

Ze spokojem Gavira pozwolił sobie na uśmiech.

– Jest pan osobą bardzo surową, don Octavio.

– Możliwe – starzec przyglądał się plakatowi Klubu Betis. – Ale jestem sprawiedliwy: operacja z kościołem to był twój pomysł, twoje małżeństwo też. Choć trochę ułatwiłem sprawę.

– Chciałbym zadać panu jedno pytanie – Gavira położył na stole jedną rękę, a potem drugą. – Dlaczego teraz mi pan nie pomaga, jeśli tak bardzo ceni pan Macarenę i jej matkę? Wystarczyłaby jedna rozmowa z panem, żeby były bardziej rozsądne.

Machuca bardzo powoli odwrócił się do niego. Jego powieki były przymknięte tak, że oczy wydawały się wąskimi kreskami.

– Może tak, a może nie – powiedział, kiedy Gavira przestawał już liczyć na odpowiedź. – Ale w takim razie byłoby mi obojętne, gdyby Macarena wyszła za byle idiotę. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, Pencho: to jest tak, jak kiedy ma się konia, boksera albo dobrego koguta. Lubię patrzeć, jak walczysz.

Po tych słowach dał znak sekretarzowi. Audiencja skończona, Gavira wstał, zapinając marynarkę.

– Don Octavio, wie pan co... – założył na nos włoski model słonecznych okularów i stał naprzeciw stołu opanowany, nienaganny. – Czasem sprawia pan wrażenie, że nie zależy panu na żadnym konkretnym wyniku... Jakby było panu wszystko jedno... Jakby wszystko było panu obojętne: Macarena, bank, ja sam.

Po drugiej stronie ulicy młoda dziewczyna w bardzo krótkiej spódniczce i o bardzo długich nogach wyszła na chodnik z kubłem i szczotką, żeby spryskać mur pod wystawą sklepu z ubraniami. Stary Machuca w zamyśleniu przyglądał się ruchom dziewczyny. Wreszcie spokojnie zwrócił się do Gaviry:

– Pencho... Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego przychodzę tutaj codziennie?

Zaskoczony, z ręką w kieszeni, Gavira patrzył na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. A co to ma do rzeczy, pomyślał. Przeklęty staruch.

– Przecież, don Octavio – wymamrotał pod nosem, zakłopotany. – Nie chciałem... To znaczy...

Spoza przymkniętych powiek bankiera wydobył się suchy, kpiący błysk.

– Kiedyś, bardzo dawno temu, siedziałem w tym miejscu, a ulicą przeszła kobieta. – Machuca znów przyglądał się dziewczynie ze sklepu, jakby jej przypisywał to wspomnienie. – Bardzo piękna kobieta, z tych zapierających dech... Patrzyłem, jak przechodzi, a jej wzrok napotkał mój. Kiedy szła, pomyślałem, że powinienem wstać, zatrzymać ją. Ale tego nie zrobiłem. Zaważyły konwencje, fakt, że jest się znanym w Sewilli... Nie zdołałem do niej podejść, a ona poszła dalej. Pocięczałem się, że zobaczę ją kiedyś znowu. Ale ona już więcej nie wróciła. Nigdy więcej.

Opowiadał to bez cienia emocji: zwykła opowieść o jakimś zdarzeniu. Cánovas zbliżył się z teczką pod pachą i po krótkim skinięciu głową do Gaviry zajął miejsce na fotelu, który ten właśnie opuścił. Rozparty na swoim krześle Machuca obdarował wiceprezesa Banku Kartuskiego kolejnym ze swoich zimnych uśmiechów:

– Ja jestem bardzo stary, Pencho. W swoim życiu pewne bitwy wygrałem, inne przegrałem, a teraz wszystkie, nawet te, które powinny być moje, wydają mi się zupełnie obce – trzymał w rękach chudych jak szpony pierwszy dokument, który podał mu sekretarz. – I teraz bardziej niż chęć zwycięstwa odczuwam ciekawość.

Podobnie jak ktoś, kto zamyka w słoiku skorpiona i pająka i patrzy na nie, rozumiesz? I nie czuje sympatii dla żadnego z nich.

Zajął się dokumentami, a Gavira mruknął jakieś pożegnanie i odszedł wzdłuż ulicy do samochodu. Na czole miał głęboką, pionową zmarszczkę; płyty chodnika jakby ruszały się pod jego stopami. Peregil, który ręką przyglądał włosy zakrywające łysinę, odwrócił wzrok, kiedy zauważył, że się zbliża.

Od bieli i ochry narożnika szpitala Czcigodnych Ojców światło odbijało się mocno niczym piłka. Po drugiej stronie ulicy, pod plakatem reklamującym niedzielną corridę w Maestranzy, dwoje turystów o jasnej karnacji dogorywało przy stoliku, na granicy ostrego porażenia słonecznego. W Casa Roman, chroniony przed słońcem w tym miejskim tyglu z wapna, ochry i piaskowca, Simeón Navajo starannie obierał trzymaną w ręku krewetkę, patrząc na Quarta.

– Wydział Przestępstw Informatycznych nie ma dla księdza nic ciekawego. Żadnej zaszłości, niczego.

Co powiedziawszy, zjadł krewetkę i pochłonął jednym haustem pół kufła piwa. Przez cały dzień, bez względu na porę, jadł i jadł, drugie śniadanie, przekąski, kanapki, a Quart zastanawiał się, patrząc na drobną i chudą postać podkomisarza, gdzie mieści się to wszystko. Magnum 357 tak bardzo był widoczny na biodrze, że musiał go nosić w kaburze pod ramieniem – była to torba mauretańska, skórzana, z frędzlami, nadal wydzielająca zapach marokańskiego targu i wielbłądziej, źle wyprawionej, skóry. Przy głębokich zakolach we włosach, długich i zebranych w kucyk z tyłu, przy okrągłych stalowych okularach i luźnej, kwiecistej koszuli, którą miał na sobie tego ranka, kabura ta nadawała Simeonowi Navajo szczególny wygląd. Mocno kontrastował z wysoką, szczupłą i surową, ubraną na czarno postacią księdza.

– W naszych archiwach nie ma – ciągnął policjant – żadnej informacji na temat osób, które księdza mogłyby zainteresować... Mamy tam młodych uczniów płatających informatyczne figle, mnóstwo ludzi, którzy handlują pirackimi kopiami programów i kilku gości na pewnym poziomie, którzy czasami włączają tam, gdzie nie powinni. Jeden z nich próbował parę miesięcy temu wejść w rachunki bieżące Banksur i zrobić kilka przelewów na własne konto. Ale kogoś takiego, jak szuka ksiądz – ani śladu.

Stali przy barze, pod galerią suchych wędlin zwisających z sufitu. Policjant wziął z talerza kolejną gotowaną krewetkę, oderwał jej głowę i wyssał zawartość z rozkoszą, a następnie doświadczoną ręką zaczął obierać ze skorupki odwłok. Quart spojrzął na swój oszroniony kufel piwa, niemal nietknięty.

– Czy dostał pan z telekomunikacji informacje, o które prosiłem?

– Tak – Navajo potwierdził z pełnymi ustami. – Nikt z listy księdza nie kupił, przynajmniej na swoje nazwisko i na swój numer podatkowy, nowoczesnego sprzętu komputerowego. Co do telekomunikacji, to szef bezpieczeństwa jest moim przyjacielem. Z tego, co mi powiedział, rozumiem, że nie tylko Nieszpory wdziera się do sieci, żeby potajemnie podróżować za granicę, do Watykanu czy gdziekolwiek. Jednych chwytają, innych nie. Ten księdza wygląda na sprytnego. Wchodzi i wychodzi z Internetu, używając, jak się wydaje, skomplikowanego systemu maskującego, jakiegoś programu, który zacierza ślad i kompletnie ogłupia systemy wychwytyjące intruzów.

Zjadł krewetkę, dopił piwo i poprosił o następne. Jakaś noga krewetki zaplątała mu się w wąsach.

– To wszystko, co mam do powiedzenia.

Quart uśmiechnął się do policjanta.

– Niewiele, ale i tak dziękuję panu.

– Nie ma za co – Navajo zabierał się do kolejnej krewetki; stos skorup pod jego stopami rósł w zawrotnym tempie. – Chciałbym naprawdę pomóc księdzu, ale moi szefowie postawili sprawę jasno: tylko współpraca półoficjalna, w miarę możliwości. Sprawa między księdzem i mną, w planie osobistym. Za stare czasy. Ale nie chcę komplikować sobie życia kościołami, księżmi, Rzymem i tym wszystkim. Byłoby inaczej, gdyby ktoś popełnił konkretne przestępstwo, z takich, co należą do moich kompetencji. Ale obydwa wypadki śmiertelne zostały uznane przez sędziego za przypadkowe. A to, że jakiś hacker z Sewilli naprzykrza się papieżowi, właściwie nam zwisa – głośno wyssał zawartość kolejnej głowy krewetki, patrząc na Quarta przez okulary. – Przepraszam za określenie.

Słońce powoli przesuwano się nad Gwadalkiwirem, bez najmniejszego podmuchu wiatru, a na drugim brzegu palmy wyglądały niczym nieruchomi strażnicy stojący przed placem La Maestranza. Żrebak Fernando wyglądał jak statua na tle blasku odbijającego się od rzeki, z papierosem w ustach i równie spokojny, jak brąz na posągu jego mistrza, Juana Belmonte. Do don Ibrahima, siedzącego przy stole w jadalni, docierał zapach smażonych jaj z kaszanką, razem z piosenką nuconą przez Dzidzię Dolores:

*Dlaczego budzę się, drżąc, z niepokoju
I patrzę na pustą ulicę, bez światła,
Dlaczego mam takie przeczucie
Że dziś mnie porzucisz?*

Były mecenas pokiwał głową z aprobatą, poruszając ustami pod wąsem i bezgłośnie towarzysząc słowom, które Dzidzia wyśpiewywała cicho głosem zdartym przez alkohol, gdy z łąpatką w rękę i w fartuchu na sukni w grochy smażyła jaja z kaszanką, tak jak don Ibrahim lubił najbardziej. Kiedy nie krążyli od baru do baru po Trianie, mieli zwyczaj spotykać się na kolacji w skromnym mieszkaniu Dzidzi przy ulicy Betis, która – i owszem – miała wspaniały widok na Sewillę, z Arenalem o rzut kamieniem, ze Złotą Wieżą i Giralda, o jakim tylko mogli marzyć królowie, milionerzy i artyści filmowi na swoich parnasach. Takie okno z widokiem na Gwadalkiwir było jedynym majątkiem Dzidzi; kupiła je wiele lat temu za całe skromne oszczędności, jakie zdołała zebrać dzięki przelotnej sławie i – mawiała ku pociesze – przynajmniej tego nie straciła na ludzkich oszukaństwach. Mogła tu mieszkać, nikomu nie płacąc czynszu, między kilkoma starymi meblami – błyszczącym mosiężnym łóżkiem, obrazkiem Matki Boskiej od Nadziei, zdjęciem z dedykacją Miguela de Moliny i komodą, w której powoli żółkły haftowane narzuty, obrusy i prześcieradła nietkniętej wyprawy. Pozwalało jej to przeznaczać swoje nader skromne dochody na terminową opłatę comiesięcznych rat w Wiecznym Odpoczynku, S.A., dzięki czemu od dwudziestu lat miała skromną niszę i płytę w najbardziej słonecznym zakątku cmentarza San Fernando. Bo Dzidzia z natury była zmarzlakiem.

Spojrzałeś na mnie

I morze pieśni

Wyśpiewało w moich żyłach

Twoją prawdziwą miłość...

Don Ibrahim bezwiednie dodał *ole*, skupiony nad swoją pracą. Kapelusz, marynarka i laska leżały na sąsiednim krześle, a on siedział w samej koszuli, z gumkami podtrzymującymi rękawy powyżej łokci. Pot znaczył wilgotne kręgi pod pełnymi pachami i przy rozpiętym kołnierzyku, gdzie zwiśla rozluźniony węzeł krawata w niebieskie i czerwone paski, który – jak twierdzi – podarował mu ten wysoki Anglik Graham Greene, w zamian za Nowy Testament i butelkę Four Roses, kiedy zjawił się w Hawanie, żeby napisać jakąś szpiegowską powieść – krawat ten miał dla niego duże emocjonalne znaczenie, a poza tym był prawdziwie oksfordzki. W przeciwieństwie do Dzidzi, ani don Ibrahim, ani Żreback Fernando nie mieli własnych mieszkań. Żreback podnajmował niedaleko swój pływający dom, dawną łódź turystyczną, właściwie opuszczoną, którą zostawił mu znajomy z corridy, a potem z Legii Cudzoziemskiej. Z kolei gruby przybysz z Ameryki był stałym gościem skromnego pensjonatu w Altozano – pozostali lokatorzy to komiwojazer sprzedający męskie grzebienie i dojrzała dama o urodzie nieco zużytej i wątpliwym zawodzie, a

właściwie nie pozostawiającym cienia wątpliwości – prowadzonego przez wdowę po policjancie zabitym przez terrorystów z ETA na północy kraju.

Czy nie widzisz

Że kocham cię jak szalona

A z duszy do ust

Skacze me serce...

Ani Concha Piquer, ani Pastora Imperio, ani nikt na świecie, myślał don Ibrahim, słuchając, jak Dzidzia kończy zwrotkę z tym nieruchomym spokojem samicy, właściwym śpiewaczkom flamenco, której cały ten podły motłoch impresariów i krytyków nie potrafił docenić. Trzeba było ją słyszeć, jak podczas Wielkiego Tygodnia, kiedy przechodzą procesje, śpiewała pieśni na cześć Matki Boskiej od Nadziei albo jej Syna, el Cachorro de Triana, w taki sposób, że milkły bębny, a wszyscy ludzie wokół mieli gęsią skórkę. Bo Dzidzia Dolores była uosobieniem pieśni flamenco, symbolem Hiszpanii w każdym calu; nie była jak te tanie, folklorystyczne pieśniarki, dobre dla turystów i cukierkowych rodaków, była prawdziwa. Zielonooka legenda pachnąca dymem z tawerny i potem mężczyzny swojego życia. Dramatyczna pamięć narodu, który śpiewem wyrażał swoje udręki i który własne demony z rozpaczny przeganiał z nożem w dłoniach, błyszczącym jak księżyc w nowiu, ten sam, co oświecił Żrebaka Fernando, kiedy przeskakiwał w nocy ogrodzenia z gołym torsem, żeby nie podrzeć jedynej koszuli, pewny, że zdobędzie cały świat i wymości sobie życie banknotami tysiącpesetowymi, zanim byki pozostawią mu na szyi ślad rogów, a w kąciku ust wyraz klęski. To ta sama Hiszpania, która wymazała z afisza Dzidzię Dolores, najlepszy głos flamenco całej Andaluzji i całego stulecia, nie dając jej nawet zasiłku dla bezrobotnych, żeby mogła jakoś przeżyć. Odległa ojczyzna, o której don Ibrahim śnił nocami w czasach karaibskiej młodości, do której chciał wrócić kiedyś jako bogacz z Ameryki – w odkrytym cadillaku i z cygarem w ustach, a która dała mu jedynie niezrozumienie, pogardę i szyderstwo w związku z całą tą sprawą fałszywego hawańskiego tytułu adwokata. Ale nawet skurwysyn ma pewien dług wobec swojej matki, myślał don Ibrahim. I ją kocha. I ta niewdzięczna Hiszpania ma takie miejsca jak Sewilla, dzielnice takie jak Triana, bary takie jak Casa Cuesta, wierne dusze takie jak Żrebak i głosy z dźwięczącym pięknem tragedii, takie jak głos Dzidzi. Głos, któremu, jeśli sprawy dobrze się ułożą, znajdą godne miejsce, Świątynię Kupletu, wymarzoną w nocie pełne wytrawnego wina, dymu tytoniowego i rozmów we trójkę – będzie to przyzwoite miejsce, z odświeżoną atmosferą, pełne ratanowych mebli, gdzie kelnerzy będą starsi i milczący – niewzruszony Żrebak będzie szefem sali – butelki na stołach, reflektor zwrócony na scenę i prawdziwe akordy gitarowe dla Dzidzi Dolores,

której ochrypli głos znów będzie rozbrzmiewał dla publiczności, z jeszcze większym talentem i uczuciem. Wpuszczani będą tylko goście wybrani, nie będzie wstępu dla zorganizowanych grup turystycznych ani dla kretynów z telefonami komórkowymi. A największą nagrodą dla don Ibrahima będzie możliwość siedzenia gdzieś w kącie sali, spokojnego popijania swojego drinka z dymiącym montecristo w ręce i ściśniętym ze wzruszenia gardłem i słuchania śpiewu Dzidzi Dolores. No i żeby kasa napływała strumieniem. Romantyzm nie wyklucza rozsądku. Dolał trochę benzyny do butelki, bardzo ostrożnie, żeby nie rozlać. Na stole rozłożył starą gazetę, żeby ochronić lakier i szmatą wycierał krople paliwa, które spływały po szkle butelki anyżówki Del Mono. Benzyna była bezołowiowa i najlepsza, 98 oktanów, bo – jak bardzo rozsądnie zauważyła Dzidzia – nie będą podpalać byle czego, tylko święty kościół. Wysłali więc Żrebaka z pustą puszką po oliwie marki Carbonell do najbliższej stacji benzynowej po litr paliwa. Od litra spłonie jak nic, orzekł bardzo serio don Ibrahim, z powagą specjalisty, którym stał się, jak mawiał, kiedy Ernesto Che Guevara wyjaśnił mu, gdy razem pili kolejne *mojitos* w Santa Clara, jak się robi koktajle Mołotowa. To taki rosyjski wymysł Karola Marksa.

Płyn zrobił bąbelek, który wyskoczył poza szyjkę butelki. Don Ibrahim otarł go wilgotną już chusteczką, a tę włożył do stojącej na stole popielniczki. Bomba zapalająca miała działać za pomocą mechanizmu dość prymitywnego, ale skutecznego, z którego wynalezienia don Ibrahim był dumny: kawałek cienkiej świeczki, zapalki, nakręcany budzik, dwa metry szpagatu i butelka, która się przewraca. Zapłon nastąpi, kiedy cała trójka współników będzie siedziała w barze, na widoku, żeby mieć dobre alibi. Drewno z ustawionych pod ścianą ławek i belek stropowych dokona reszty. Nie jest konieczne, żeby zniszczenie było całkowite, zaznaczył Peregil, dając im instrukcje do wykonania zadania. Wystarczy, że ruina będzie częściowa, ale jeśli cały obiekt trafi szlag, tym lepiej. A przede wszystkim – patrzył z niepokojem na każde z nich po kolei – ma to wyglądać na wypadek.

Don Ibrahim dolał nieco płynu i smród benzyny przytłumił na chwilę zapach sadzonych jaj. Z przyjemnością zapaliłby cygaro, ale sprawa z benzyną i umoczoną chustką w popielniczce to nie żarty. Dzidzia Dolores od początku opierała się pomysłowi jak rozjuszona kotka, bo w grę wchodziło święte miejsce; można ją było przekonać dopiero, wyliczając, na ile mszy będzie mogła dać w innych kościołach, żeby odkupić tę winę pieniędzmi, które teraz zarobi. Zresztą zgodnie ze starą zasadą *ad auctores redit sceleris cocati tamarindus pulpa* czy jakoś tak, oni w trójkę są jedynie wykonawcami cudzego przestępstwa, a przyczyną i powodem całego wyrządzanego zła jest i pozostanie nim aż do ostatniej instancji Peregil. Mimo tak precyzyjnej wykładni prawnej Dzidzia nadal odmawiała bezpośredniego udziału w akcie podpalenia, podejmując się jedynie działań wspierających akcję, obejmujących

przygotowanie jaj z kaszanką. Don Ibrahim uszanował ten wybór jako zwolennik działań zgodnych z wolną wolą. W przypadku Żrebaka zaś mechanizm jego myśli był nieodgadniony. O ile w ogóle jego myśli miały jakiś mechanizm sprawczy i o ile w ogóle te myśli istniały. Przez chwilę ograniczał się on do nieprzeniknionego potakiwania, fatalistycznego i wiernego, jakby zawsze oczekiwał na gong lub trąbkę, które poderwą go z narożnika lub każą wyjść z *burladero*, niby automatowi. Nie zgłosił żadnych obiekcji, kiedy don Ibrahim przedstawił pomysł pożaru w kościele. Dziwna rzecz: Żrebak nie był osobą religijną – wszyscy torreadorzy, z tego co wiedział don Ibrahim, wierzą w Boga – ale co roku w Wielki Piątek wkładał granatowy garnitur od nieszczęsnego ślubu, białą koszulę bez krawatu, zapiętą pod szyję, przyczesywał włosy wodą kolońską i siedł z Dzidzią w świetle świec i dźwięku bębnów ulicami Sewilli w orszaku tronu Matki Boskiej od Nadziei. Don Ibrahim, któremu wolnomyślicielskie wykształcenie nie pozwalało na branie udziału w obskuranckich rytuałach, patrzył w porze przedświt, jak szli za płaszczem Madonny – Dzidzia Dolores, rozmodlona, w mantylce, i Żrebak Fernando, podając jej ramię, milczący i poważny.

Patrząc na męski profil, wycięty w świetle wpadającym przez okno, don Ibrahim uśmiechnął się do siebie, pełen ojcowskiej czułości. Był dumny z lojalności Żrebaka. Wielu możliwych tego świata zyskiwało sobie lojalność tylko dzięki temu, że ją kupowali za pieniądze. Może kiedyś, gdy będzie o krok od pójścia do lepszego świata, ktoś go zapyta, co dobrego zrobił don Ibrahim w swoim życiu, a wtedy będzie mógł odpowiedzieć z dumnie podniesionym czołem, że miał wiernego przyjaciela imieniem Żrebak Fernando i że słyszał, jak Dzidzia Dolores śpiewa *Capote de grana y oro*.

– Do stołu, proszę – powiedziała Dzidzia, stojąc w kuchennych drzwiach.

Wycierała ręce w fartuch. Jej czarny lok na czole był nieskazitelny, podobnie sztuczny pieprzyk i krwistoczerwony karmin na ustach, choć makijaż oczu nieco się rozmazał, bo kroila cebulę do sałaty. Don Ibrahim zauważył, że krytycznie przygląda się butelce po anyżówce Del Mono; nadal była przeciwna całej sprawie.

– Nie da się zrobić placka – stwierdził pojednawczo – bez rozbicia kilku jajek.

– A te, które usmażyłam, już stygną – odparła Dzidzia z przewrotnym tonem w głosie.

Don Ibrahimowi wyrwało się westchnienie rezygnacji, kiedy wlewał ostatni strumyk benzyny do butelki. Starł rozlane krople wilgotną szmatką, którą znów odłożył do popielniczki. Następnie oparł dłonie na stole, żeby z wysiłkiem się podnieść.

– Bądź dobrej wiary, kobieto.

– Kościołów się nie pali – powtórzyła swoje Dzidzia, marszcząc brew pod lokiem.

– To sprawa dla heretyków albo komunistów.

Żreback Fernando, milczący jak zwykle, odszedł od okna i podniósł rękę do ust, gdzie trzymał ustnik niemal zupełnie wypalonego papierosa. Muszę mu powiedzieć, żeby się nie zbliżał do benzyny, pomyślał przelotnie don Ibrahim, nadal zajęty rozmową z Dzidzią.

– Nieprzeniknione są drogi boskiej woli – powiedział, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– Ta droga wygląda wyjątkowo podejrzanie.

Przykro było don Ibrahimowi, że Dzidzia Dolores nie chce zrozumieć. Nie należał do szefów, którzy narzucają swoje decyzje całej ekipie, próbował natomiast rozumnie je motywować. Przecież byli jego klanem, jego plemieniem. Jego rodziną. Szukał właściwego argumentu, żeby zamknąć sprawę, przynajmniej do chwili zjedzenia sadzonych jaj, kiedy kącikiem oka zauważył, jak Żreback przechodzi obok stołu w drodze do kuchni i odruchowo zbliża rękę z niedopałkiem do popielniczki. Dokładnie tam, gdzie leżała chustka namoczona benzyną.

Głupstwo, pomyślał. Chyba nie przyszło mu to do głowy. Mimo wszystko odwrócił się zaniepokojony.

– Posłuchaj, Żreback – powiedział.

Ale ten rzucił już niedopałek do popielniczki. Don Ibrahim, próbując zapobiec nieszczęściu, łokciem przewrócił butelkę po anyżówce Del Mono.

VIII

Andaluzyjska dama

– *Nie czujesz zapachu jaśminu?*
– *Jakiego jaśminu? Przecież tu nie ma jaśminu!*
– *Tego, który rósł tu kiedyś.*
(Antonio Burgos, *Sevilla*)

Jeśli istnieje błękitna krew, to María Cruz Eugenia Bruner de Lebrija y Alvarez de Córdoba, księżna del Nuevo Extremo i dwunastokrotnie grand Hiszpanii, miała ją w kolorze błękitu paryskiego. Przodkowie matki Macareny Bruner brali udział w oblężeniu Granady i w podboju Ameryki, i tylko dwie rodziny z najstarszej arystokracji hiszpańskiej – Alba i Medina-Sidonia – były bardziej utytułowane. Od dawna jednak tytuły te pozbawione były jakiegokolwiek treści. Czas i historia pochłonęły ziemie oraz inne posiadłości, a rozległe nici łączące we wszystkich kierunkach gałęzie drzewa genealogicznego pozrywały się; jego tablice herbowe były szeregiem pustych pól, podobnych do białych muszli wyrzuconych przez morze na plażę wzdłuż linii brzegu. Starszej damie, która popijała małe łyżki coca-coli, siedząc naprzeciwko Lorenzo Quarta na patio Domu z Okiennicami, brakowało miesiąca i siedmiu dni do siedemdziesiątych urodzin. Jej przodkowie jeździli do Sewilli z Kadyksu, nie opuszczając swych ziem; król Alfons XIII i królowa Wiktoria Eugenia trzymali ją do chrztu i sam generał Franco, mimo znanej pogardy dla starej arystokracji hiszpańskiej, nie mógł powstrzymać się przed ucałowaniem jej dłoni na tym samym andaluzyjskim patio po zakończeniu wojny domowej, pochylając się z prawdziwą przykrością nad rzymską mozaiką, leżącą na ziemi od czasów, kiedy

została przywieziona, czterysta lat wcześniej, bezpośrednio z ruin Italiki. Czas jednak płynnie nieubłaganie, jak głosił napis na angielskim zegarze ściennym, który wybijał godziny i kwadranse w galerii kolumn i łuków w stylu *mudejar*, ozdobionej perskimi dywanami i sekreterami z szesnastego wieku, które przyjaźń rodzinna bankiera Octavio Machuki ocaliła od smutnego losu sewilskich licytacji. Z minionej wspaniałości pozostało patio pełne zapachów i doniczek z pelargoniami, aspidistrami i paprociami, żelazna kuta krata, ogród, letnia jadalnia z marmurowymi popiersiami, trochę mebli i obrazów na ścianach. I między tym wszystkim, razem z pokojówką, ogrodnikiem i kucharką, jedynymi pomocnikami w domu, w którym kiedy się wychowywała i była małą dziewczynką, pracowało dwadzieścia osób służby – z nieobecny wyglądem ducha zwróconego ku wspomnieniom, żyła starsza dama o siwych włosach, ze sznurem pereł wokół szyi. I ona właśnie proponowała Quartowi kolejną filiżankę kawy, chłodząc się wysłużonym wachlarzem, na którym krajobraz namalowany został i opatrzony dedykacją przez Julia Romero de Torres.

Quart dołał sobie nieco kawy do lekko spękanej filiżanki z Compañía de Indias. Był w samej koszuli; księżna nalegała, żeby z powodu upału rozebrał się, nie miał więc wyjścia – posłusznie zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Czarna koszula z nieskazitelną koloratką miała krótkie rękawy i odsłaniała przedramiona silne i opalone. Jego krótko ścięte, szpakowate włosy, czysty i wysportowany wygląd powodowały, że przypominał raczej przystojnego i zdrowego misjonarza, tworząc kontrast z siedzącym na sąsiednim krześle, niewysokim i twardym księdzem Ferro, odzianym w wytartą i poplamioną sutannę. Na niskim stoliku na patio obok fontanny stała kawa, czekolada i jakby nie na miejscu wielka butelka coca-coli. Stara księżna, jak właśnie im powiedziała, nie znosiła puszek. Smak jest zupełnie inny, metalowy. Nawet bąbelki szczypią podniebienie zupełnie inaczej.

– Jeszcze czekolady, księżo Ferro?

Proboszcz przytaknął krótkim gestem, nie patrząc na Quarta i podając swoją filiżankę, żeby Macarena Bruner mogła znów ją napęlić pod aprobującym spojrzeniem matki. Księżna wydawała się zadowolona z towarzystwa dwóch duchownych w domu. Od lat ksiądz Ferro pojawiał się punktualnie o piątej, codziennie oprócz śród, żeby odmówić różaniec wspólnie z księżną, a następnie przyjmował zaproszenie na podwieczorek na patio przy dobrej pogodzie lub w letniej jadalni w deszczowe dni.

– Co za szczęście móc mieszkać w Rzymie – powiedziała księżna, zamykając i otwierając wachlarz. – Tak blisko Ojca Świętego.

Była nadzwyczaj bystra i żywotna jak na swój wiek. Miała siwe włosy z delikatnymi błękitnymi refleksami, na dłoniach, ramionach i twarzy widoczne były starcze plamy. Szczupła, drobna, o ostrych rysach twarzy i skórze pomarszczonej jak

rodzynek. Cienka karminowa linia zaznaczała niemal nie istniejące wargi, a z uszu zwisały kolczyki, z perłami jednakowymi jak perły naszyjnika. Oczy miała ciemne, tak samo jak córka, czas jednak sprawił, że stały się wilgotne, otoczone czerwonawą obwódka. Nadal jednak były żywe i inteligentne, z błyskiem, który często matowiał, jakby wspomnienia, myśli, dawne wrażenia zasnuwały je chmurą. W dzieciństwie i młodości była jasnowłosa – Quart mógł to ustalić na podstawie obrazu Zuloagi wiszącego w saloniku obok hallu – całkiem inna niż jej córka, z którą jedyne podobieństwo znaleźć można było w oczach. Czarne włosy Macarena Bruner odziedziczyła niewątpliwie po ojcu, przystojnym dżentelmenie z fotografii w ramce wiszącej nieopodal zuloagi. Ciemnowłosa, o jasnym uśmiechu, księżę małżonek nosił cienki wąsik, włosy zaczesywał do tyłu z przedziałkiem, a złota spinka pod krawatem łączyła rogi kołnierzyka u koszuli. Gdyby, pomyślał Quart, włożyć wszystkie te dane do komputera i dopisać słowa *andaluzyjski panicz*, ukazałaby się właśnie ta fotografia. W tej chwili znał już na tyle dobrze historię rodziny Macareny Bruner, by wiedzieć, że Rafael Guardiola Fernández-Garvey był najprzystojniejszym mężczyzną w Sewilli; był również wytwornym kosmopolitą, który zdołał roztrwonić w ciągu piętnastu lat małżeństwa resztki stopniałego dziedzictwa żony. O ile Cruz Bruner była wspaniałym wytworem Historii, księżę małżonek stanowił produkt najgorszych cech sewilskiej arystokracji. Wszystkie jego interesy kończyły się głośnymi wpadkami i jedynie przyjaźń z bankierem Octavio Machucą, który zawsze lojalnie wyciągał go z oparów, sprawiła, że księżę małżonek del Nuevo Extremo nie wylądował za kratkami. Umierał bez grosza przy duszy, zrujnowany ostatnią inwestycją w stadninę koni, hulankami w rytmie flamenco do świtu, zdrowia podminowanego litrami wina, czterdziestoma papierosami i trzema cygarami wypalanymi dziennie, domagając się wniebogłosy spowiednika, jak w starych filmach i w romantycznych powieściach. Wypowiadany i opatrzony ostatnimi sakramentami, pochowany został w mundurze jeźdźca Real Maestranza de Sevilla, z szablą i w czapce z piórami, a na pogrzeb przybyła w żałobie i w pełnej gali cała towarzyska śmietanka Sewilli. Połowę – jak zauważył złośliwy autor kroniki towarzyskiej – stanowili zdradzani małżonkowie, chcący upewnić się, że zmarły naprawdę spoczywa w pokoju. W drugiej połowie znaleźli się wierzyciele.

– Ojciec Święty raz przyjął mnie na audiencji – powiedziała do Quarta starsza księżna. – Macarenę też, zaraz po ślubie.

Pochylała nieco głowę, przypominając to sobie, wpatrzona we wzór na ciemnej sukni, jakby pośród maleńkich, czerwonych i żółtych kwiatków trwał ślad minionego czasu. Między jej wizytą w Rzymie a pobytem jej córki minęła przeszło trzecia część wieku i liczne pontyfikaty; ona jednak mówiła o Ojcu Świętym, jakby zawsze był ten sam, a Quart pomyślał, że w pewnym sensie jest to logiczne rozumowanie. Kiedy

dochodzi się do siedemdziesiątki, pewne rzeczy zmieniają się zbyt szybko albo nie zmieniają się wcale.

Ksiądz Ferro nadal wpatrywał się posepnie w dno swojej filiżanki czekolady, a Macarena Bruner obserwowała Quarta. Córka księżnej del Nuevo Extremo miała na sobie džinsy i niebieską koszulę w kratkę, włosy związane w koński ogon, była nie umalowana. Spokojna i pewna siebie, poruszała się powoli z filiżanką czekolady proboszcza lub dzbankiem kawy w rękach, uważna wobec matki i gości, zwłaszcza wobec Quarta. Wydawało się, że sytuacja ją bawi.

Cruz Bruner wypła łyk coca-coli i uśmiechnęła się uprzejmie znad szklanki, wachlarz leżał na sukni.

– Jak się księdzu podoba nasz kościół?

Jej głos, pomimo wieku, był mocny. Niezwykle mocny i jasny. Patrzyła na niego w oczekiwaniu na odpowiedź. Czując na sobie również wzrok Macareny Bruner, Quart uśmiechnął się słabo, grzecznie.

– Miły – odparł, wierząc, że słowo to nie wskazuje na opowiadzenie się po jednej stronie ani po drugiej. Kątem oka dostrzegał ciemną i milczącą obecność księdza Ferro. Znajdowali się na neutralnym terenie, wymienili już konwencjonalne formułki w obecności księżnej i jej córki. Przez cały czas starali się nie zwracać do siebie nawzajem, Quart jednak wyczuwał, że był to zaledwie wstęp do czegoś więcej, oszczędzał więc siły na później. Nikt nie zaprasza na kawę łowcy skalpów i jego potencjalnej ofiary, nie mając przy tym ukrytych zamiarów.

– Nie uważa ksiądz, że szkoda byłoby go zniszczyć?

Quart poruszał głową uspokajająco.

– Mam nadzieję, że to się nigdy nie stanie.

– Sądziłeś – powiedziała Macarena Bruner z rozmysłem – że ksiądz właśnie po to przyjechał do Sewilli.

Naszyjnik z kości słoniowej odbijał się pod rozpiętym kołnierzykiem i Quart zastanowił się, czy tego popołudnia też trzyma plastikową zapalniczkę pod ramię z ramiączkiem stanika. Z przyjemnością oddałby dwa miesiące czyścica, żeby zobaczyć minę księdza Ferro, gdy zapalała papierosa.

– Mylicie się państwo – powiedział. – Jestem tutaj, ponieważ moi zwierzchnicy chcą wiedzieć dokładnie, jak wygląda sytuacja – wypił kolejny łyk kawy i uważnie odstawił filiżankę na spodeczek na inkrustowanym stoliku. – Nikt nie ma zamiaru usuwać księdza Ferro z jego parafii.

Stary ksiądz wyprostował się na krześle.

– Nikt? – Spod siwych, krzywo obciętych włosów twarz pokryta bliznami spoglądała ku galerijce na pierwszym piętrze, jakby stamtąd miała nadejść odpowiedź. – A mnie od razu przychodzi na myśl wiele osób i instytucji. Na przykład

arcybiskup. Bank Kartuski. Zięc księżnej... – ciemne, zawzięte oczy wpatrywały się w Quarta. – I proszę mi nie opowiadać, że w Rzymie komuś spędza sen z powiek obrona jakiegoś księdza czy kościoła.

Już ja was dobrze znam, mówiły te oczy, lepiej nie opowiadaj mi bajek. Czując, że obserwuje go Macarena Bruner, Quart uczynił pojednawczy gest.

– Dla Rzymu ważny jest każdy ksiądz i każdy kościół.

– Niech mnie ksiądz nie rozśmiesza – powiedział proboszcz Ferro. I roześmiał się z niechęcią.

Cruz Bruner dotknęła wachlarzem jego ramienia, serdecznie.

– Jestem pewna, że ksiądz Quart nie zamierzał proboszcza rozśmieszać, don Príamo – patrzyła na Quarta, prosząc, by potwierdził jej słowa. – Robi wrażenie świętego kapłana i sądzę, że jego misja jest bardzo ważna. Ponieważ chodzi o informacje, uważam, że powinniśmy z nim współpracować – rzuciła szybkie spojrzenie na córkę, po czym wachlowała się przez chwilę znużonym gestem. – Prawda nigdy nikomu nie szkodzi.

Proboszcz pochylił zaciętą twarz, pełen jednocześnie goryczy i szacunku.

– Chciałbym móc dzielić naiwność pani – upił łyk czekolady i kropla pozostała mu na białosiwym cieniu niedogolonej brody. Otarł ją olbrzymią, brudną chustką, którą wyjął z kieszeni sutanny. – Obawiam się jednak, że w Kościele, tak jak wszędzie na świecie, prawie wszystkie prawdy są kłamstwem.

– Proszę tak nie mówić – oburzyła się księżna, pół żartem, pół serio. – Działa ksiądz na swoją szkodę.

Zamykała i otwierała wachlarz, poruszając nim przed oczami. I wtedy po raz pierwszy Lorenzo Quart zobaczył uśmiech na twarzy księdza Ferro. Był to grymas dobrotliwy i zarazem sceptyczny, podobny do miny dorosłego niedźwiedzia, któremu przeszkadzają niedźwiadki. Wyraz łagodzący rysy twarzy jakby wycięte rylcem, w nieoczekiwany sposób uczłowieczający je: taki wyraz miał na polaroidowej fotografii, zrobionej na tym samym patio, którą Quart trzymał w swoim hotelowym pokoju. Przypomniał sobie arcybiskupa Spadę, szefa ISZ-u; arcybiskup i proboszcz uśmiechali się w taki sposób jak doświadczeni gladiatorzy, dla których kierunek – góra czy dół – wskazany przez kciuk, jest najmniej ważny. Zastanowił się, czy kiedyś i on będzie się uśmiechał tam samo. Macarena Bruner nadal mu się przyglądała i wydawało się, że ona również zna sekret tego uśmiechu. Księżna spojrzała na córkę, a potem na Quarta.

– Niech ksiądz posłucha – odezwała się po chwili namysłu. – Ten kościół jest ważny dla mojej rodziny... Nie tylko przez to, co oznacza, ale także przez to, że – jak mówi don Príamo – kiedy burzy się jakiś kościół, niszczy się kawałek nieba. I nie chodzi mi o to, że miejsce, gdzie się wybieram, będzie zajmowało mniejszą przestrzeń

– podniosła do ust szklanekę coca-coli, przymykając z rozkoszy oczy, kiedy bąbelki połaskotały jej nos. – Ufam mojemu proboszczowi, że doprowadzi mnie tam w rozsądnym terminie.

Ksiądz Ferro głośno wytarł nos w chustkę.

– Na pewno pani tam dotrze – znów wytarł nos. – Ma pani moje słowo.

Schował chustkę do kieszeni i spojrzął na Quarta wyzywająco, na wypadek gdyby próbował protestować, że nie można składać tego rodzaju przyrzeczeń. Cruz Bruner, zachwycona, uderzała wachlarzem o dłoń, jakby biła brawo.

– Widzi ksiądz? – zwróciła się do Quarta. – Oto korzyści płynące z zapraszania księdza na podwieczorek sześć dni w tygodniu... Zyskuje się pewne przywileje – wilgotne oczy patrzyły na księdza Ferro z wdzięcznością, poważnie i kpiąco równocześnie. – Pewne zabezpieczenia.

Proboszcz poruszył się na krześle, zakłopotany milczeniem Quarta.

– Beze mnie też by się pani tam dostała – powiedział ponuro.

– Może tak, ale może i nie. Choć jestem pewna, że gdyby mi nie pozwolono wejść, ksiądz byłby gotów urządzić tam na górze piekielną awanturę – starsza dama rzuciła szybkie spojrzenie na agatowy różaniec, leżący na stoliku pełnym gazet i czasopism, obok książeczki do nabożeństwa, i westchnęła z nadzieją. – W moim wieku to przynosi ukojenie.

Z pobliskiego ogrodu, z drugiej strony otwartej kraty, pod jednym z łuków galerii dochodził śpiew kosów. Łagodna melodia, ozdobiona słodkimi tonami, kończąca się zawsze wysokim trylem. Maj jest miesiącem godów, wyjaśniła księżna, odwracając się bokiem, żeby lepiej słyszeć. Kosy siadały na murze oddzielającym posiadłość od klasztoru i często rozbrzmiewał wspólnie śpiew ich i zakonnic. Księżę, jej ojciec, dziadek Macareny, spędził ostatnie lata, nagrywając śpiew tych ptaków. Taśmy i płyty gdzieś jeszcze płaczą się po domu. Czasem spomiędzy ptasich głosów dał się słyszeć odgłos kroków dziadka na zwirowanych ścieżkach ogrodu.

– Mój ojciec – dodała wiekowa księżna – był człowiekiem bardzo staroświeckim. Wielki pan. Nie podobałoby mu się, gdyby widział, jak kończy się świat, który on znał – ze sposobu, w jaki przechylała głowę mówiąc te słowa, jasno wynikało, że jej też się nie podoba. – Przed wojną domową została wydana książka *Latyfundia Hiszpanii*, w której moja rodzina zalicza się do najbogatszych w Andaluzji. Już wtedy było tak tylko na papierze. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk: wielkie posiadłości należą teraz do banków i finansistów, którzy mają folwarki z ogrodzeniem pod napięciem, luksusowe samochody terenowe i wykupują wszystkie piwnice w Jerez. Spryciarze wzbogaceni w dwa dni, tak jak chciałby mój zięć.

– Mamo!

Księżna podniosła dłoń w stronę córki.

– Pozwól mi mówić, co zechcę. Choć księdzu Priámo nigdy się nie podobał Pencho, ja go lubiłam. I fakt, że się z nim rozstałaś, niczego nie zmienia. – Wachlowała się teraz z energią niespodziewaną u starszej damy. – Przyznaję też, że w sprawie kościoła nie zachowuje się jak dżentelmen.

Macarena Bruner wzruszyła ramionami.

– Pencho nigdy nim nie był – wyjęła z cukierniczki jedną kostkę i ssała ją z roztargnieniem. Quart patrzył na nią, kiedy nagle podniosła na niego wzrok, a kostka cukru rozpuściła się w jej ustach. – Nawet nie udaje, że nim jest.

– Nie, oczywiście – ironia zadźwięczała nieoczekiwanie w ustach starszej pani. – Twój ojciec – tak, to był dżentelmen. Andaluzijski pan.

Zamyśliła się, dotykając czubkami palców kafelków obmurowania fontanny na patio. Kafelki te, wyjaśniła nieoczekiwanie Quartowi, nie całkiem na temat, pochodzą z szesnastego wieku i zostały ułożone zgodnie ze ścisłymi regułami heraldyki: w całym domu nie ma żadnego koloru sąsiadującego z innym, ani dwóch metali obok siebie. Żadnej zieleni obok czerwieni, żadnego srebra obok złota – zawsze umieszczane były naprzeciwko siebie.

– Andaluzijski pan – powtórzyła po chwili milczenia. I karminowa linia zwiędłych i prawie już nie istniejących warg poruszyła się w gorzkim uśmiechu, który nigdy nie pojawiał się w obecności innych ludzi.

Macarena Bruner poruszała głową, jakby ta chwila ciszy była skierowana do niej.

– Dla Pencho ten kościół nic nie znaczy – wydawało się, jakby mówiła te słowa bardziej do Quarta niż do swojej matki. – Przekłada się na metry kwadratowe terenu, jaki można zabudować. Nie możemy wymagać, żeby podzielał nasz punkt widzenia.

Znów odezwała się księżna.

– Naturalnie – potwierdziła. – Może inaczej byłoby z kimś z twojej klasy.

Nie podobały się te słowa jej córce. Przyglądała się jej teraz z powagą.

– Ty poślubiłaś człowieka ze swojej klasy.

– Masz rację – starsza pani wydobyła smutny uśmiech na usta. – Jako mężczyźnie twojemu mężowi nie można niczego zarzucić. Odważny, pewny swego tym zdecydowaniem płynącym z liczenia wyłącznie na własne siły... – rzuciła szybkie spojrzenie na proboszcza. – Tak jest, robi z naszym kościołem, co chce, i za nic ma nasze zdanie.

– Na razie jeszcze nic nie zrobił – sprzeciwiła się Macarena. – I nie zrobi, jeśli będę potrafiła temu zapobiec.

Cruz Bruner jeszcze bardziej zmarszczyła usta.

– Każesz mu bardzo drogo płacić, moje dziecko.

Wkraczały na teren, na którym starsza pani źle się czuła, a forma, w jakiej zwracała się do córki, zawierała dyskretne napomnienie. Ta spojrzała w przestrzeń

ponad ramieniem Quarta, zadowolonego, że nie na nim spoczęło to nieobecne spojrzenie.

– Jeszcze wszystkiego nie zapłacił – mruknęła Macarena.

– Tak czy inaczej – orzekła matka – zawsze będziesz twoim mężem, czy będziesz z nim, czy nie. Prawda, don Priamo? – znów pewne siebie, wilgotne i kpiarskie oczy spoczęły na Quarcie. – Księżdu nie podoba się mój zięć, uznaje jednak związek małżeński za nierozzerwalny. Każdy związek małżeński.

– To prawda – proboszczowi kilka kropeł czekolady upadło na sutannę, strząsnął je gestem pełnym złości. – To, co zostało przez kapłana złączone tu na ziemi, tego nie może nawet Pan Bóg rozłączyć.

Trudno – pomyślał Quart – wyznaczyć obiektywną granicę między pychą i cnotą. Między prawdą a błędem. Z postanowieniem, że nie da się wciągnąć w te rozważania, przyglądał się leżącej pod butami rzymskiej mozaice przeniesionej z Italiki przez przodków Macareny Bruner. Okręt otoczony rybami i coś, co przypominało wyspę z drzewami, a na jej brzegu kobieta z dzbanem lub amforą. Był tam również pies z napisem *Cave canem* i dotykający się kobieta i mężczyzna. Niektóre kamiki odlepiły się, poprawił je butem.

– A co na to wszystko ten bankier, Octavio Machuca? – spytał i zobaczył, jak w jednej chwili złagodniał wyraz twarzy księżnej.

– Octavio jest starym, dobrym przyjacielem. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałam.

– Jest zakochany w księżnej – powiedziała Macarena.

– Nie opowiadaj głupstw.

Starsza dama wachlowała się, patrząc na swoją córkę z przyganą. Macarena upierała się ze śmiechem, księżna więc musiała przyznać, że Octavio Machuca kiedyś na początku rzeczywiście starał się o jej względy, zaraz po tym, jak osiadł w Sewilli, kiedy jeszcze była niezamężna. Jednak takie małżeństwo w tamtych czasach było niewyobrażalne. Potem ona wyszła za męża. Bankier nigdy nikogo nie poślubił, ale też nigdy nie szukał zbliżenia, jak długo żył Rafael Guardiola, z którym się przyjaźnił. Powiedziała to jakby z żalem, jednak w taki sposób, że Quart nie mógł stwierdzić, czego właściwie żałuje.

– Poprosił, żebyś za niego wyszła – zauważyła Macarena.

– To było dużo później, kiedy już owdowiałam. Ale byłam zdania, że lepiej pozostawić sprawy tak, jak stoją. Teraz w każdą środę chodzimy razem na spacer do parku. Jesteśmy starymi, dobrymi przyjaciółmi.

– I o czym państwo rozmawiają? – zainteresował się Quart, z uśmiechem łagodzącym niedyskrecję.

– O niczym – odpowiedziała córka. – Śledziłam ich. Ograniczają się do czułości w milczeniu.

– Niech ksiądz nie zwraca na nią uwagi. Opieram się na jego ramieniu i rozmawiamy o naszych sprawach. O czasach, które minęły. O jego życiu, kiedy jeszcze był młodym poszukiwaczem szczęścia, zanim się ustatkował.

– Don Octavio jej recytuje *Pociąg ekspresowy* Campoamora.

– A skąd ty to wiesz?

– Sam mi powiedział.

Cruz Bruner wyprostowała się, dotykając naszyjnika z pereł, ze śladem dawnej kokieterii.

– Tak, to prawda. Wie, że bardzo lubię ten wiersz. *Mój list jakże jest szczęśliwy, bo mierza ku tobie / Opowie ci o moich wspomnieniach* – wiersz rozplątał się w melancholijnym uśmiechu. – Rozmawiamy też o Macarenie. Kocha ją jak własną córkę, i na ślubie to on prowadził ją do ołtarza... Proszę spojrzeć, jaką minę robi ksiądz Ferro. Nie lubi też Octavia.

Proboszcz machnął ręką lekceważąco, ze złością. Można by powiedzieć, że był zazdrosny o te spacerunki. Środa była tym dniem, kiedy księżna odmawiała różaniec bez niego i nie zapraszała go na podwieczorek.

– Ani go lubię, ani go nie lubię, droga pani – wyjaśnił rozdrażniony. – Ale uważam za naganną postawę don Octavio Machuki wobec kościoła Matki Boskiej Płaczącej. Pencho Gavira jest jego podwładnym i mógłby powstrzymać go przed tym świętokradztwem – gorycz sprawiała, że rysy jego porwanej bliznami twarzy stawały się jeszcze ostrzejsze. – W tej sprawie nie wspiera pań.

– Octavio ma niezwykle praktyczny stosunek do życia – stwierdziła Cruz Bruner. – Kościół jest mu zupełnie obojętny. Szanuje nasze związki uczuciowe, ale uważa, że mój zięć podjął słuszną decyzję – przyglądała się herbom szlacheckim, wyrzeźbionym w kamieniu ponad spojeniami łuków wokół patio. – Przyszłość Macareny, jak twierdzi, nie polega na tym, żeby utrzymać się na powierzchni wśród resztek z rozbitego okrętu, ale wsiąść na nowy, luksusowy jacht. I właśnie mój zięć ma za niego zapłacić.

– W każdym razie – odezwała się córka – trzeba powiedzieć, że don Octavio nie zajmuje stanowiska ani za, ani przeciw. Pozostaje neutralny.

Don Priamo podniósł apokaliptycznie palec.

– Nie znam neutralnych, kiedy idzie o dom Boży.

– Bardzo proszę, księżo proboszczu – Macarena uśmiechnęła się do niego łagodnie. – Niech ksiądz spojrzy na to z większym spokojem. I znajd ciepłej czekolady.

Proboszcz z godnością odmówił wypicia trzeciej filiżanki czekolady i przyglądał się naburmuszony czubkom swoich ciężkich, niewypastowanych buciorów. Już wiem,

kogo mi przypomina, pomyślał Quart – Jocka, dzielnego i mrukliwego foksteriera z *Damy i włóczęgi*, tyle że jest dużo bardziej złośliwy. Spojrzał na starą księżnę.

– Wspomniała pani przed chwilą księcia, swojego ojca. Czy był on bratem Carloty Bruner?

Stara dama wydawała się zaskoczona.

– Zna ksiądz tę historię? – przez chwilę bawiła się wachlarzem, potem spojrzała na córkę i znów na Quarta. – Carlota była moją ciotką, starszą siostrą mojego ojca. To bardzo przykra historia w rodzinie, jak ksiądz pewnie już słyszał... Macarenę od dziecka fascynowała ta sprawa. Całe dni spędzała przy skrzyni, która po niej została, czytała jej listy, które nie dotarły do adresata, przymierzała stare suknie i siedziała w oknie, przez które podobno i ona wyglądała.

W atmosferze pojawiło się coś nowego. Ksiądz Ferro odwrócił spojrzenie zakłopotany, jakby nie czuł się na siłach rozmawiać o takich sprawach. Macarena natomiast wydawała się czymś zmartwiona.

– Ksiądz Quart – powiedziała – ma jedną z kartek pocztowych Carloty.

– To niemożliwe – zaprotestowała księżna. – Wszystkie są w skrzyni, w gołębniku.

– A jednak ją ma. Taką, na której widać kościół. Ktoś mu ją podłożył do pokoju w hotelu.

– To absurd! Kto by zrobił coś podobnego? – starsza dama spojrzała na Quarta krótko i podejrzliwie. – Oddał ci ją? – zapytała córkę.

Powoli zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pozwoliłam, żeby ją zatrzymał. Na razie.

Księżna wydawała się zdumiona.

– Nie mogę tego zrozumieć. Do gołębnika wchodzisz tylko ty i służba.

– Tak. – Macarena przyglądała się proboszczowi. – No i don Príamo.

Ksiądz Ferro niemal podskoczył na krześle.

– Na miłość Boską, droga pani – w jego tonie zabrzmiała uraza, między zgorzzeniem i przestachem. – Nie sugeruje pani chyba...

– Żartowałam – powiedziała Macarena z miną tak nieokreśloną, że Quart zastanowił się, czy naprawdę żartowała. – Jest jednak faktem, że pocztówka trafiła do hotelu Doña María. I w tym jest tajemnica.

– Co to jest gołębnik? – zapytał Quart.

– Stąd go nie widać, trzeba przejść do ogrodu – wyjaśniła Cruz Bruner. – Tak nazywamy wieżę, bo dawniej był tam gołębnik. Mój dziadek Luis, ojciec Carloty, był miłośnikiem astronomii i urządził tam obserwatorium. W tym miejscu później, zamknięta przed światem, spędziła ostatnie lata życia moja biedna ciotka... Teraz pracuje tam don Príamo.

Quart spojrział na proboszcza z nieukrywanym zaskoczeniem.

– Nie wiedziałem, że ma ksiądz takie zainteresowania.

– A mam – proboszcz robił wrażenie poirytowanego. – I nie ma powodu, żeby ksiądz o tym wiedział, bo to nie jest ani sprawa Rzymu, ani księdza. Księżna jest tak dobra, że pozwala mi korzystać ze swego obserwatorium.

– To prawda – potwierdziła Cruz Bruner z zadowoleniem. – Wszystkie przyrządy są dość stare, ale ksiądz Ferro utrzymuje je w porządku, dba o nie. I opowiada mi o swoich obserwacjach. Oczywiście nie ma żadnego materiału do odkryć, ale to przyjemne – lekko uderzała wachlarzem o nogę, uśmiechając się. – Ja nie mam siły, żeby tam wchodzić, ale Macarena czasem się tam wdrapuje.

Niespodzianka za niespodzianką, pomyślał Quart. Ksiądz Ferro należy do dziwnego klubu. Niezdyscyplinowany ksiądz i astronom.

– Pani też nie wspomniała – spojrział w ciemne oczy Macareny, zastanawiając się, jakie jeszcze kryją się tam niespodzianki – o swoim zainteresowaniu astronomią.

– Interesuje mnie spokój – odpowiedziała z prostotą. – A tam w górze, wśród gwiazd, panuje spokój. Kiedy ksiądz Ferro pracuje, pozwala mi, żeby mu towarzyszyć. Czytam, przyglądam się, muszę siedzieć spokojnie.

Quart spojrział na niebo ponad głowami: niebieski prostokąt obramowany gzymsem andaluzyjskiego patia. W dali widać było jeden obłok. Niewielki, samotny i nieruchomy jak ksiądz Ferro.

– W innych czasach – powiedział – dostęp do tej wiedzy był zakazany duchownym. To nauka zbyt racjonalna, a przez to niebezpieczna dla duszy – teraz szczerze uśmiechał się do proboszcza. – Inkwizycja zamknęłaby za to księdza w więzieniu.

Proboszcz spuścił twarz. Zły. Twardy.

– Inkwizycja – mruknął – zamknęłaby mnie za mnóstwo innych rzeczy poza astronomią.

– Ale już tego nie robi – powiedział Quart, myśląc o kardynale Iwaszkiewiczu.

– Nie dlatego, żeby nie miała na to ochoty.

Po raz pierwszy wszyscy razem się roześmiali, łącznie z księdzem Ferro – najpierw między zębami, a potem dobrotliwie, tak jak poprzednio. Jak gdyby mówiąc o astronomii, Quartowi udało się nieco do niego zbliżyć. Macarena zauważyła to i wydawała się zadowolona, spoglądała na przemian to na jednego, to na drugiego. W jej oczach znów pojawiły się miodowe odblaski, znów śmiała się dźwięcznie i otwarcie, jak chłopak. I zaproponowała proboszczowi, żeby pokazał Quartowi gołębnik.

Mosiężny teleskop lśnił pośród mauretańskich łuków okalających, niczym galeria, wieżę z czterech stron, ponad dachami dzielnicy Santa Cruz. W oddali, pomiędzy

antenami telewizyjnymi i stadami gołębi fruujących we wszystkich kierunkach, widać było Giralde, Złotą Wieżę i kawałek Gwadalkiwiru, z fiołkowymi cieniami kwitnących drzew *jacaranda* na brzegach. Obok pejzażu, na który patrząc wędła przed wiekiem Carlota Bruner, pojawiły się teraz nowoczesne budynki z betonu, stali i szkła. Na rzece nie było widać ani jednego żagla, ani jednego statku kołyszącego się na fali, a cztery pinakle Archiwum Indii wyglądały jak strażnicy zapomniani na dachu starego budynku, strzegący wewnątrz papieru, kurzu i pamięci o minionych czasach.

– Wspaniałe miejsce – powiedział Quart.

Ksiądz Ferro nie odezwał się. Wyjął swoją brudną chustkę z kieszeni i przecierał rurę teleskopu, chuchając na nią od czasu do czasu. Był to model azymutalny, przyrząd bardzo stary, niemal dwumetrowej długości, umieszczony na drewnianym trójnogu. Długa mosiężna tuba i wszystkie metalowe części były starannie wypolerowane i błyszcząły w promieniach słońca, powoli zachodzącego za drugim brzegiem rzeki, nad Trianą. W gołębniku nie było niczego interesującego: dwa stare skórzane fotele, zużyte z upływem czasu, biurko o licznych szufladach, lampa, na ścianie rycina przedstawiająca szesnastowieczną Sewillę i kilka książek oprawnych w skórę: Tolstoj, Dostojewski, Quevedo, Heine, Galdós, Blasco Ibañez, Valle-Inclan, kilka traktatów z zakresu kosmografii, mechaniki kosmicznej i astrofizyki. Quart podszedł bliżej, żeby rzucić na nie okiem – Ptolemeusz, Porta, Alfonso de Córdoba. Niektóre wydania były bardzo stare.

– Nigdy bym sobie nie wyobrażał – zauważył. – Mam na myśli księdza pośród tego wszystkiego tutaj.

W jego głosie brzmiał ton pojednania, nie całkiem pozbawiony szczerości. Jego spojrzenie na księdza Ferro zmieniało się w ostatnich godzinach z zawrotną szybkością. Proboszcz polerował rurę teleskopu, jakby w środku spał geniusz, znający odpowiedź na wszystkie pytania. W chwilę później wzruszył ramionami w sutannie tak wytartej i pełnej plam, że wydawała się bardziej szara niż czarna. Ciekawy kontrast, uznał Quart – maleńki i zaniedbany ksiądz i ten przyrząd lśniący pod pełnymi precyzji i troski ruchami jego chusteczki.

– Lubię nocą oglądać niebo – powiedział wreszcie. – Księżna i jej córka pozwalają mi tu spędzać kilka godzin każdego wieczora, po kolacji. Mogę tu wchodzić bezpośrednio z patia, nikomu nie przeszkadzając.

Quart dotknął grzbietu jednej z książek. *Della celeste fisionomia*, 1616. Obok stało kilka *Tabulae astronomicae*, o których istnieniu nigdy nie słyszał. Nieokrzesany wiejski ksiądz, powiedział o nim jego ekscelencja Aquilino Corvo. Wspomnienie to kazało mu się w myśli uśmiechnąć, podczas gdy kartkował tablice astronomiczne.

– Kiedy zaczął ksiądz interesować się astronomią?

Ksiądz Ferro, wyglądający na zadowolonego ze stanu teleskopu, schował chustkę do kieszeni, odwrócił się do Quarta i obserwował jego ruchy z niepokojem. Po chwili wyjął mu książkę z ręki i odstawił ją na miejsce.

– Przez wiele lat żyłem w górach. W nocy, kiedy siadałem w przedsionku kościoła, nie miałem innych rozrywek niż oglądanie nieba.

Nagle zamilkł, jakby powiedział więcej, niż wymagały tego okoliczności. Wcale nie było trudno wyobrazić go sobie siedzącego nieruchomo pod kamiennym portykiem jego wiejskiego kościółka, jak patrzy na niebiańskie sklepienie, gdzie żadne ludzkie światło nie mogło zakłócić harmonii obracających się sfer we Wszechświecie. Quart wziął do ręki tom *Obrazów z podróży* Heinego i otworzył go na stronie założonej czerwoną tasiemką.

*Życie jest zbyt zabawnie słodkie, a świat tak uroczo zagmatwany! Jest on snem podchmielonego winem boga, który z zebrania tego pijących bogów wyśliznął się à la, française, położył się spać na samotnej gwiazdzie i sam już nie wie, czy to on stworzył to wszystko, o czym śni; a widziadła senne układają się często zgola szaleńczo, czasem jednakże harmonijnie i rozsądnie; Iliada, Plato, bitwa pod Maratonem, Mojżesz, Wenus medycejska, katedra sztrasburska, rewolucja francuska, Hegel, okręty itd. – oto poszczególne dobre pomysły w tym twórczym boskim śnie; lecz nie potrwa on długo, bóg obudzi się, przetrze zaspane oczy i uśmiechnie się – a nasz świat rozplynie się w nicości, ba! nigdy nie istniał...**

Wiała lekka, ciepła bryza. Od ogrodów i ulic rozciągających się poniżej ich stóp, pomiędzy dachami z burych dachówek, od tarasów dochodziły do gołębnika dźwięki stłumione przez wysokość i odległość. Zza okien pobliskiej szkoły chór dziecięcych głosów precytował jakiś wiersz czy słowa piosenki. Quart wyteżył słuch – było to coś o gniazdach i ptakach. Naraz chór umilkł, a potem wybuchnął krzykami i śmiechami. W okolicach Królewskich Alkazarów jakiś dzwon wybijał godzinę. Za piętnaście szósta.

– Dlaczego gwiazdy? – zapytał Quart, odkładając książkę Heinego na miejsce.

Ksiądz Ferro wyjął z kieszeni sutanny wąską papierośnicę z tłoczonego metalu, a z niej papierosa z ciemnego tytoniu, bez filtra, i wsunął go w usta, wcześniej zwilżając wargami jego koniec.

– Bo są czyste – odpowiedział.

* Heinrich Heine, *Dzieła wybrane, Obrazy z podróży*, przekład Izabela Czermakowa, PIW, 1956.

Zapalił papierosa od zapałki chronionej w zagłębieniu dłoni, pochylając ostrzyżoną niedbale głowę i podczas tego ruchu jego twarz i czoło pełne blizn wydawały się jeszcze bardziej poorane. Dym wydobywał się na zewnątrz pod łukami, a kwaśny i ostry zapach docierał do Quarta.

– Rozumiem – odpowiedział, a spojrzenie ciemnych oczu proboszcza zatrzymało się na nim, błyskając iskrami zainteresowania lub ciekawości, podczas gdy na ustach rysowało się coś podobnego do uśmiechu, który jednak do końca nie nabrał kształtu. Zaniepokojony i nie całkiem pewny, czy gratulować sobie, czy tego żałować, Quart zrozumiał, że coś się zmieniło. Neutralny charakter gołębnika, znajdującego się między niebem i ziemią, rozproszył nieufność, jakby obaj odwoływali się starym sposobem do tego, co uświęcone. Przez chwilę miał poczucie koleżeństwa, które często – choć w jego przypadku niezbyt często – nawiązuje się między dwoma duchownymi. Zagubieni, samotni żołnierze, którzy rozpoznają się pośród zamętu na polu okrutnej bitwy.

– Jak długo był ksiądz tam w górach?

Proboszcz, trzymając w ustach papierosa, patrzył na niego.

– Dwadzieścia kilka długich lat – powiedział.

– Rozumiem, że była to niewielka parafia.

– Bardzo mała. Kiedy przyjechałem – czterdziestu dwóch mieszkańców. Ani jednego, kiedy odchodziłem. Moja ostatnia parafianka miała przeszło osiemdziesiąt lat i nie zniosła śnieżyc ostatniej zimy.

Gołąb usiadł na balustradzie galerii i przechadzał się tam i z powrotem, nieopodal proboszcza. Ten patrzył na niego, jakby oczekiwał wiadomości, którą mógł przynieść przypiętą do jednej z nówek. Wkrótce odfrunął z trzepotem skrzydeł, ale proboszcz nadal patrzył w to samo miejsce. Jego zaniedbanie, niezręczne ruchy ciągle przypominały Quartowi starego, zniechęconego księdza z czasów dzieciństwa; teraz jednak dostrzegał wyraźne różnice. Sądził, że nieokrzesanie księdza Ferro wynika ze stanu pierwotnego prostactwa, że jest tylko jednym z podrzędnych, żalonych wyrobników zawodu, szarych duchownych, niezdolnych – jak ów ksiądz mieszkający w pamięci Quarta – do wzbicia się ponad własną przeciętność i ignorancję. Jednak gołąb odślaniał zupełnie inny rodzaj duchownego: takiego, który rozmyślnie wybrał cofnięcie się o krok, z pełną świadomością, i odmawiał bardziej okazałego pełnienia wybranego zawodu lub powołania. Najwyraźniej ksiądz Ferro był kiedyś – i w pewnym sensie jest nadal, choć niemal w konspiracji – kimś więcej niż prymitywnym wiejskim księdzem czy aroganckim i tępym proboszczem, który okopał się w przedsoborowej łacinie, odprawiając msze u Matki Boskiej Płaczącej. To nie kwestia kultury czy wieku, ale postawy. Używając sformułowań Quarta – jeśli chodziło o wybór chorągwi, było jasne, że ksiądz Priamo Ferro wybrał własną.

Na biurku leżał otwarty zeszyt z naszkicowaną ołówkiem gwiazdną konstelacją. Quart wyobraził sobie księdza przy teleskopie, nocą, pogrążonego w ciszy firmamentu, obracającego się powoli po drugiej stronie tuby, podczas gdy Macarena Bruner czyta *Annę Kareninę* lub *Sonety*, siedząc w jednym ze starych foteli, a ćmy fruwały wokół światła lampy. Nagle owładnęła nim niepokojąca pokusa, żeby się roześmiać. Wyobrażenie to obudziło w nim straszliwą zazdrość.

Kiedy podniósł oczy, napotkał zamyślane spojrzenie księdza Ferro, jakby zastanawiał się nad wizją Quarta.

– Orion – powiedział, a zaskoczony Quart stracił kilka minut, nim zrozumiał, że mówi o rysunku w zeszycie. – O tej porze roku można zobaczyć jedynie górną gwiazdę lewego ramienia Myśliwego. Nazywa się Betelgeuse i pojawia się tam – wskazał miejsce na jeszcze błękitnym niebie, tuż nad horyzontem. – Na północnym zachodzie.

Nadal w ustach trzymał papierosa, a żar z najgorszego tytoniu spadał mu na sutannę. Quart przerzucił kartki pełne notatek, rysunków i cyfr. Rozpoznał jedynie konstelację Lwa, swój znak zodiaku, od którego metalowego ciała, według legendy, odbijały się włócznie Herkulesa.

– Czy ksiądz należy do tych, co wierzą – zapytał – że wszystko zapisane jest w gwiazdach?

Proboszcz zrobił kwaśną minę, którą umieścił dokładnie na antypodach jakiegokolwiek uśmiechu.

– Trzy albo cztery wieki temu – powiedział – za takie pytanie każdy duchowny mógł zapłacić głową.

– Powtarzam, że przyjechałem tu w pokojowej misji.

Komu innemu wciskaj takie teksty – mówiły oczy don Priamo Ferro. Śmiał się teraz po cichu, szyderczo. Przypominało to skrzywienie.

– Ksiądz mówi o astrologii – odparł wreszcie. – A ja się zajmuję astronomią. Mam nadzieję, że ten szczegół ujmie ksiądz w swoim raporcie dla Rzymu.

Potem zamilkł, ale nadal patrzył na Quarta z zaciekawieniem, jakby starał się zrewidować pierwsze, błędne wrażenie.

– Nie wiem, gdzie są zapisane rzeczy – dodał po długiej przerwie. – Choć wystarczy tylko na księdza spojrzeć, żeby zrozumieć, że nie czytamy tego samego alfabetu.

– Proszę mi to wyjaśnić.

– Niewiele tu do wyjaśniania. Czy ksiądz w to wierzy, czy nie, służy międzynarodowemu przedsiębiorstwu, którego statuty opierają się na całej demagogii, jaką chrześcijańska humanistyka i Oświecenie wpakowały nam do głowy: człowiek poprzez cierpienie wchodzi na wyższe stadia rozwoju, gatunek ludzki jest powołany do tego, żeby się reformować, dobra wola u jednych budzi dobrą wolę u

innych... – odwrócił się do okna i kolejne iskierki z papierosa spadły mu na sutannę. – Albo że Prawda przez duże „p” istnieje i jest samowystarczalna.

Quart zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie zna mnie ksiądz – zaprotestował. – Niczego o mnie nie wie.

– Znam tych, którzy zatrudniają księdza, i to mi wystarczy.

Znów podszedł do teleskopu, jakby szukał śladu jakiegoś pyłku. Włożył ręce do kieszeni sutanny, jakby chciał wyjąć chustkę, ale pozostawił dłonie w kieszeniach.

– A co ksiądz wie – dodał – i co wiedzą mocodawcy księdza w Rzymie, z tą swoją urzędniczą mentalnością? Co wiedzą o miłości i nienawiści poza tym, że znają teologiczne definicje i w konfesjonale nasłuchali się jakichś szeptów? – kołysał się na stopach, dalej trzymając ręce w kieszeniach. – Wystarczy popatrzeć na księdza – ze sposobu mówienia, poruszania się, widać, że prędzej popełni ksiądz grzech zaniechania niż jakiś grzech rzeczywisty. Należy ksiądz do rodzaju telewizyjnych kaznodziei, kapłanów bezdusznego Kościoła, którzy przemawiają do wiernych językiem, jakiego telewizja używa, zwracając się do swoich widzów.

– Myli się ksiądz co do mnie. Moja praca...

Spomiędzy zębów proboszcza znów wydostało się skrzypienie, mające przypominać śmiech.

– Praca księdza! – gwałtownie odwrócił się do Quarta. – Teraz chce mi ksiądz powiedzieć, że też brudzi sobie ręce, prawda? Choć idzie ksiądz przez życie taki śliczny i zadbany. I jestem pewny, że nie brakuje księdzu alibi ani usprawiedliwień. Jest ksiądz młody, silny, ma szefów, którzy zapewniają dostatni wikt i opierunek, myślą za księdza i rzucają księdzu kości do obgryzienia. Idealny policjant możnego przedsiębiorstwa, które utrzymuje, że służy Bogu. Z pewnością nigdy ksiądz nie czuł miłości do żadnej kobiety, ani nienawiści do żadnego mężczyzny, ani współczucia dla żadnego nieszczęśnika. Nie ma biedaków, którzy błogosławiliby księdza za chleb, ani chorych – za pociechę, ani grzeszników – za nadzieję na zbawienie... Robi ksiądz to, co mu każą, i to wszystko.

– Przestrzegam reguł – powiedział Quart i w tej samej chwili pożałował swoich słów.

– Ksiądz ich przestrzega – proboszcz patrzył na niego z ostrą ironią. – No to gratuluję. To znaczy, że ocali ksiądz swoją duszę. Ci, co przestrzegają reguł, idą prosto do nieba – wykrzywił usta i podniósł palce do peta, którego wykończył ostatnim zaciągnięciem. – I cieszą się bliskością Pana Boga.

Wyrzucił niedopałek przez okno i śledził jego lot.

– Zastanawiam się – Quart spojrzał na niego twardo – czy ksiądz zachował jeszcze wiarę.

W jego ustach brzmiało to paradoksalnie i sam Quart był tego świadomy. Jego misja nie wymagała stawiania tego rodzaju pytań, odpowiedniejszych dla czarnych psów Świętego Oficjum. Jak powiedziała arcybiskup Spada, w ISZ-cie nie pracujemy nad przekonaniem ludzi, ale nad ich czynami. Ograniczmy się do tego, żeby być dobrymi centurionami, i pozostawmy Jego Eminencji Jerzemu Iwaszkiewiczowi niebezpieczne zadanie grzebania w ludzkich sercach.

Mimo wszystko Quart czekał na odpowiedź przez długą chwilę milczenia, jakie zapadło. Proboszcz powoli poruszał się przy teleskopie i cień czarnej postaci przesunął się wzdłuż błyszczącego mosiądzu.

– *Jeszcze to okolicznik czasu.*

Odpowiedział wreszcie, pogrążony w swoich myślach, potem przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czasem – lub nad innymi okolicznikami. Wydawało się, że podąża tropem jakiegoś sekretnego wyvodu.

– Ja odpuszczam grzechy – dodał po chwili, jakby to był wniosek. – I pomagam umierać w spokoju.

Można by powiedzieć, że to wyjaśniało wszystko, choć Quart wcale nie wiedział co. Poczł pokusę, żeby być złośliwy.

– Nie ksiądz je odpuszcza – zaznaczył cierpko. – Jedyne Bóg może to zrobić.

Proboszcz spojrział na niego, jakby zaskoczony, że ciągle tam stoi.

– Kiedy jeszcze byłem młodym księdzem – powiedział naraz – przeczytałem całą filozofię antyku, od Sokratesa po świętego Augustyna. I zapomniałem wszystko, poza słodko-kwaśnym smakiem melancholii i rozczarowania. Teraz, kiedy mam sześćdziesiąt cztery lata, o ludziach wiem tylko tyle, że mają wspomnienia, boją się i umierają.

Quart musiał zrobić dziwną minę – między zdziwieniem a zakłopotaniem; ksiądz Ferro pokiwał głową ze spojrzeniem czarnych i twardych oczu utkwionych w niego, jakby ten ruch miał przekonać rozmówcę do jego słów. Potem odwrócił się w stronę nieba. Samotna chmura – pewnie już nie ta sama – powędrowała w kierunku zachodzącego słońca i teraz kładła czerwony blask na konturach odległych budynków.

– Przez długi czas – ciągnął proboszcz – szukałem Go tam w górze. Chciałbym móc zamienić z Nim parę słów, wyrównać rachunki jak równy z równym. Widziałem mnóstwo ludzi cierpiących i umierających... Mój biskup i jego otoczenie zapomnieli o mnie, żyłem w straszliwej samotności, z której wychodziłem tylko po to, żeby odprawić w każdą niedzielę mszę w małym, niemal pustym kościele albo żeby podczas śnieżycy czy ulewy brnąć przez błotniste bezdroża, idąc z ostatnimi sakramentami do starców, którzy tylko czekali na moje przyjście i zaraz umierali. I przez te ćwierć wieku, kiedy siedziałem u wezłowania umierających, którzy chwytały się moich dłoni,

bo byłem ich jedynym pocieszeniem, zawsze tylko ja mówiłem. Nigdy nie dostałem odpowiedzi.

Przerwał, jakby dawał kolejną szansę, żeby pojawiła się odpowiedź; słysząc jednak było jedynie odgłosy miasta, przytłumione odległością i gruchaniem gołębi na okapie. Odezwał się Quart.

– Albo rodzimy się i umieramy zgodnie z jakimś planem, albo rodzimy się i umieramy przez przypadek.

Stary cytat teologiczny nie był ani stwierdzeniem, ani odpowiedzią. Raczej zaproszeniem do rozwinięcia przerwanej wywodu. Po raz pierwszy Quart zrozumiał człowieka, który stał naprzeciwko niego, i widział, że ten zdaje sobie z tego sprawę. Błysk uznania złagodził spojrzenie starego kapłana.

– Jak zatem zachować – ciągnął proboszcz – przesłanie życia w świecie naznaczonym piętnem śmierci? Człowiek gaśnie, wie, że gaśnie, i w przeciwieństwie do królów, papieży i generałów nie zostanie po nim nawet pamięć. Musi być coś poza tym, mówi sobie. Gdyby było inaczej, wszechświat byłby żartem w złym guście, chaosem pozbawionym sensu. I wiara staje się rodzajem nadziei, pocieszenia. Może dlatego nawet Ojciec Święty nie wierzy w Boga. Głośny śmiech Quarta poderwał do lotu gołębie.

– Dlatego broni ksiądz swojego kościoła zębami i pazurami.

– Jasne – ksiądz Ferro zmarszczył brwi ze złością. – Co zmienia fakt, że wierzę albo nie wierzę? Ci, którzy do mnie się zwracają, wierzą. I to aż nadto usprawiedliwia trwanie Matki Boskiej Płaczącej. I nie jest przypadkiem, że chodzi o barokowy kościół – to sztuka kontrreformacji, powstała nie po to, żeby myśleć, to zostawmy teologom, ale żeby ludzie podziwiali rzeźby i złocenia, bogate ołtarze, stacje drogi krzyżowej, co od czasów Arystotelesa jest najważniejszym sposobem, żeby przyciągnąć masy... Ogłuszyć chwałą Pańską. Zbytnią analiza odziera z nadziei, odbiera respekt. Tylko my stanowimy stały ląd, na którym mogą się uratować pośród skłębionego nurtu. Prawda zabija przed czasem.

Quart podniósł rękę.

– Mam jedno zastrzeżenie natury moralnej. To się nazywa alienacja. Jeśli w ten sposób podchodzimy, kościół księdza to siedemnastowieczna telewizja.

– No to co? – proboszcz pogardliwie wzruszył ramionami. – A czym była barokowa sztuka sakralna, jeśli nie próbą odebrania widowni Lutrowi i Kalwinowi? Poza tym, niech mi ksiądz powie, czym byłoby dziś papieństwo bez telewizji? Naga wiara nie potrafi się sama utrzymać. Ludzie potrzebują symboli, wśród których mogliby się schronić, bo na zewnątrz panuje straszliwy chłód. Jesteśmy odpowiedzialni za naszych ostatnich naiwnych wiernych, tych, którzy zawsze nam wierzyli, jak w Eksodusie, których przeprowadziliśmy przez morze, do domu. Moje

stare kamienie, mój ołtarz i moja łacina mają w sobie więcej godności niż te piosenki nagłaśniane przez megafony, gigantyczne ekrany i msza święta zamieniona w spektakl dla mas, ogłupionych elektroniką. Są tacy, którzy wierzą, że w ten sposób utrzymają klientelę, ale poniżają nas i popełniają błąd. Bitwa jest już przegrana, nadchodzi czas fałszywych proroków.

Zamilkł i ze smutkiem spuścił głowę, uznając rozmowę za skończoną. Potem wychylił się przez okno i popatrzył w stronę rzeki. Po chwili Quart, który nie wiedział, co zrobić ani powiedzieć, podszedł i oparł się obok o poręcz. Nigdy dotąd nie byli tak blisko siebie; głowa proboszcza sięgała jego ramienia. Stali tak przez dobrą chwilę, nie odzywając się, aż zegary z wież Sewilli wybiły szóstą. Samotna chmura rozwinęła się, a słońce zniżyło na niebie powoli złocącym się na zachodzie. I wtedy don Príamo znów się odezwał:

– Wiem tylko jedno – kiedy opadnie urok, my też będziemy skończeni, bo logika i rozum oznaczają koniec. Ale jak długo biedna kobieta będzie czuła potrzebę, żeby uklęknąć, szukając nadziei lub pocieszenia, tak długo powinien istnieć mój kościół – wyjął z kieszeni brudną chustkę i głośno się wysmarkał. Światło zachodzącego słońca wyraźnie oświetliło białą szczecinę źle ogolonej brody. – Przy całej naszej nędznej pozycji księża tacy jak ja nadal jesteśmy potrzebni... Jesteśmy jak stara i połatana skóra na bębnie, który grzmi na chwałę Pańską. I tylko szalenieć mógłby zazdrościć poznania takiej tajemnicy. My poznaliśmy – teraz proboszcz skrzywił się i na pooranej bliznami twarzy ukazała się mina mroczna i skupiona – aniola, który ma klucz do przepaści.

IX

Świat jest jak chusteczka do nosa

*Godna, by być ciemnowłosą i z Sewilli.
(Campoamor, Pociąg ekspresowy)*

Reflektory oświetlające katedrę tworzyły nierzeczywistą przestrzeń między nocą i jasnością. Zdezorientowane kontrastem gołębie latały we wszystkich kierunkach, pojawiając się nagle i znikając w ciemności, między strzelistymi i harmonijnymi górami kopuł, pinakli i przypór, ponad którymi czuwała wieża Giraldy. Fantastyczny widok, pomyślał Lorenzo Quart, wspaniałe tło, jak w starych hollywoodzkich superprodukcjach, jakby zostało wymalowane na płóciennym horyzoncie i wypełnione papier-mâché. Różnica polega na tym, że plac Virgen de los Reyes jest prawdziwy, budowany z cegieł przez całe wieki – najstarsza część pochodziła z dwunastego wieku – i nie istnieje studio filmowe, które potrafiłoby odtworzyć jego porażające piękno, choćby wydano na to mnóstwo pieniędzy i zatrudniono największe talenty. Ta dekoracja jest jedyna i niepowtarzalna. Scenografia idealna. Zwłaszcza kiedy Macarena Bruner przeszła po nim kilka kroków i zatrzymała się pod wielką latarnią na środku placu, nieruchomiejąc pośród złotawej jasności kamieni i reflektorów. Wysoka i szczupła, w naszyjniku z kości słoniowej na ciemnej skórze szyi, z włosami związanymi w koński ogon. Ze spojrzeniem ciemnych, spokojnych oczu utkwionym w Quarta.

– Niewiele jest takich miejsc – powiedziała.

To prawda – człowiek z Rzymu zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo obecność tej kobiety podkreśla czar miejsca. Córka księżnej del Nuevo Extremo była ubrana tak

samo jak po południu na patio Domu z Okiennicami. Miała jeszcze narzucony na ramiona lekki żakiet, a w rękę skórzaną torbę przypominającą myśliwski plecak. Doszli aż tutaj w milczeniu, po tym jak Quart zostawił księdza Ferro w obserwatorium i pożegnał się z księżną. Niech ksiądz jeszcze nas odwiedzi, powiedziała starsza dama, zadowolona, i podarowała mu na pamiątkę mały kafelek, pochodzący z dawnego wystroju domu, przedstawiający ptaka, którego arabscy budowniczowie umieścili na murze okalającym patio, a który odpadł podczas kanonady w 1843 i od półtora wieku leżał wśród innych przedmiotów zniszczonych i niepotrzebnych w piwnicach dawnej stajni. Później, kiedy Quart wychodził na ulicę trzymając w kieszeni ceramiczną płytkę, Macarena zatrzymała go przy wejściowej kracie. Propozycja spaceru, zanim coś przegryzą w barach dzielnicy Santa Cruz, pochodziła od niej. O ile nie ma ksiądz innych zobowiązań, dodała przyglądając mu się z głębi oczu ciemnych i pogodnych. Spotkania z biskupem czy czegoś podobnego. Quart roześmiał się, zapinając marynarkę, a ona znów spojrzała na jego dłonie, a potem wybuchnęła swoim chłopięcym śmiechem, szczerym i dźwięcznym. Stali więc teraz oboje na placu Virgen de los Reyes, na tle oświetlonej katedry i gołębi fruujących ponad głowami, między jasnością a nocą. Macarena przyglądała się Quartowi, a on patrzył na nią. I nic z tego, pomyślał z beznamietną przytomnością, którą zachowywał na takie właśnie sytuacje, żeby ocalić zdrowy spokój duszy, jak zalecają prawa, mające na celu wieczne zbawienie osób duchownych.

– Chciałabym podziękować księdzu – powiedziała Macarena Bruner.

– Za co?

– Za księdza Príamo.

Kolejne gołębie odleciały w kierunku nocy. Szli teraz w stronę Królewskich Alkazarów, do łuku otwartego w murach obronnych. Macarena znów przyglądała się Quartowi z cieniem uśmiechu, który od czasu do czasu błąkał się w okolicy jej ust.

– Mam wrażenie, że trochę zbliżył się ksiądz do niego – dodała. – Może teraz łatwiej go będzie zrozumieć.

Quart uczynił wieloznaczny gest. Pewne rzeczy można zrozumieć, powiedział. Postępowanie proboszcza, jego nieprzejednanie w sprawie kościoła i swoich obowiązków. Ale to tylko część sprawy. Moja misja w Sewilli polega na sporządzeniu ogólnego raportu o całej sytuacji, który – w miarę możliwości – powinien zawierać rozwiązanie zagadki tożsamości Nieszporów. A w sprawie internetowego pirata śledztwo utknęło w martwym punkcie. Ksiądz Oscar ma wkrótce wyjechać, a Quart nie ustalił jak dotąd jego powiązań ze sprawą. Powinien również przejrzeć raporty policyjne i materiały ze śledztwa prowadzonego przez arcybiskupstwo w sprawie śmiertelnych wypadków w kościele. Poza tym – dotknął marynarki na wysokości

kieszeni, w której miał pocztówkę Carloty Bruner – pozostawała do rozwiązania tajemnica tej kartki i spotkania, o którym wspomina Nowy Testament w jego pokoju.

– Kim są podejrzani? – zapytała kobieta.

Właśnie byli pod łukiem w murze obronnym, obok małego barokowego ołtarza Matki Boskiej zamkniętego w szklanej szkatułce i śmiech Quarta zabrzmiał echem pod sklepieniem. Był to suchy śmiech, pozbawiony wesołości.

– Mogą nimi być wszyscy – powiedział, spoglądając na figurę, jakby się zastanawiał, czy ją też włączyć do wszystkich. – Don Priamo Ferro, ksiądz Oscar, pani przyjaciółka Gris Marsala... Nawet pani sama. Tutaj wszyscy są podejrzani, zarówno za czyny, jak ich zaniechanie – spojrzał na lewo i prawo, kiedy wyszli na patio Chorągwi w Alkazarach, jakby tam spodziewał się znaleźć na czatach jakiegoś podejrzanego. – Jestem pewny, że osłaniają jedni drugich – przeszedł kilka kroków, zatrzymał się na chwilę i znów rozejrzał się wokół. – Wystarczyłoby, żeby ktokolwiek z was porozmawiał ze mną szczerze przez trzydzieści sekund, a cała sprawa byłaby rozwiązana.

Macarena Bruner stała obok niego, przyglądając mu się uważnie, z torebką przyciśniętą do piersi.

– Tak ksiądz uważa?

Quart wdychał zapach drzew pomarańczowych wypełniający patio.

– Jestem tego pewny – powiedział. – Najzupełniej pewny. Wyobrażam sobie, że Nieszpory to jedno z was, a wiadomość została wysłana, żeby ściągnąć uwagę Rzymu i pomóc księdzu Ferro zachować kościół... Wierzy on, że odwołanie się do papieża jest równoznaczne z ustaleniem prawdy, która ma zwyciężyć. Bo prawda, myśli sobie nasz naiwny informatyczny pirat, nie może zaszkodzić słusznej sprawie. Tak więc wyładowałem w Sewilli, żeby znaleźć ten typ prawdy, który interesuje Rzym i który, być może, nie do końca pokrywa się z waszym. Może dlatego nikt mi nie pomaga, tylko pojawiają się kolejne zagadki, choćby tajemnica pocztówki.

Znów ruszyli przed siebie, przez plac. Czasem ich kroki zbliżały się i wtedy Quart mógł poczuć jej perfumy – zapach podobny do jaśminu, z akcentami kwiatu pomarańczy. Macarena Bruner pachniała tak samo jak to miasto.

– Może chodzi tu – powiedziała po chwili – nie o pomaganie księdzu, ale raczej innym. Może to wszystko po to, żeby ksiądz zrozumiał, co się tu dzieje.

– Zgoda, jestem w stanie zrozumieć postępowanie księdza Ferro, tyle tylko, że moje zrozumienie nie jest wam do niczego przydatne. Wysłaliście swoją wiadomość i oczekiwaliście duchownego pełnego miłości i wyrozumiałości, a przysłali wam żołnierza z mieczem Jozuego – pokiwał słabo głową, wyraźnie w złym humorze. – Bo ja jestem żołnierzem, tak samo jak Sir Marholt, który tak bardzo się pani podobał, kiedy była pani małą dziewczynką. Ja tylko informuję o faktach i szukam

odpowiedzialnych. Zrozumienie i rozwiązanie, o ile w ogóle istnieją – są sprawą innych – przerwał i dodał niewyraźny uśmiech. – Na nic się przyda uwodzenie posłańca.

Doszli do przejścia łączącego patio Chorągwi z dzielnicą Santa Cruz. Pod światłem narożnej latarni ich cienie razem przesuwały się po bielonych wapnem murach. Tworzyło to dziwne poczucie bliskości i Quart poczuł ulgę, kiedy wyszli na drugą stronę, w otwartą noc.

– Tak ksiądz myśli? – spytała Macarena Bruner. – Że staram się księdza uwieść?

Quart nie odpowiedział. Szli w milczeniu wzdłuż murów obronnych, a potem wąską uliczką, która wchodziła w głąb dzielnicy żydowskiej.

– Sir Marholt też – powiedziała Macarena Bruner po chwili – występował w obronie słusznych spraw.

– To były inne czasy. Poza tym Sir Marholta wymyślił John Steinbeck. Teraz już nie ma słusznych spraw. Moja sprawa też taka nie jest – przerwał i zastanawiał się nad prawdziwością tego, co powiedział. – Ale jest moja.

– Zapomina ksiądz o naszym proboszczu.

– To nie jest słuszna sprawa. To kwestia osobista. Każdy radzi sobie z tym, jak potrafi.

Quart szedł patrząc przed siebie, jednak zauważył jej zniecierpliwiony gest.

– Bardzo proszę. Widziałam *Casablancę* dwadzieścia razy. I tylko tego mi brakowało, księdza grającego rolę rozczarowanego bohatera – wyprzedziła go nieco i odwróciła się do niego ze wzgardą i złością. – Humphrey Bogart.

– Nie, ja jestem wyższy. A pani się myli. Niczego pani nie widziała ani niczego o mnie nie wie – miał ochotę chwycić ją za ramię i przytrzymać, ale powstrzymał się. Szła nieco przed nim, znów patrzyła przed siebie, jakby nie chciała go słuchać. – Nie wie pani, dlaczego zostałem księdzem ani dlaczego jestem tutaj, ani co zrobiłem, żeby tu właśnie być. Nie wie pani, ilu Priamów Ferro poznałem w życiu ani co z nimi się stało, kiedy dostałem odpowiednie polecenia.

Powiedział to z goryczą, która zapadła w pustkę; Macarena Bruner nie mogła wiedzieć tego wszystkiego. Zobaczył, jak obraca się na obcasach w jego stronę.

– Wydaje się, że żałuje ksiądz, że nie ma żadnej głowy, którą mógłby posłać do Rzymu – stanęła przed nim twarzą w twarz, pochylona nieco do przodu. – Sądził ksiądz, że wszystko łatwo pójdzie, prawda? Ale byłam pewna, że wszystko się zmieni, kiedy pozna ksiądz bliżej swoją ofiarę.

– Pomyliła się pani – Quart zaprzeczył i wytrzymał jej spojrzenie. – Nic się nie zmieni, przynajmniej formalnie, choć poznałem księdza Ferro.

– A jak reszta? – stuknęła palcem w czoło. – To, co ksiądz myśli?

– Reszta to moja sprawa. I proszę wiedzieć, że poznałem bliżej wiele moich ofiar, jak pani to nazywa. I niczego to nie zmieniło.

Usłyszał, jak wzdycha z politowaniem.

– Też tak sędzę. Myślę, że na ten właśnie rachunek kupuje ksiądz ubrania na miarę u najlepszych krawców, nosi drogie buty i używa kart kredytowych, a na rękę ma znakomity zegarek – mierzyła go spojrzeniem od góry do dołu, prowokacyjnie i zuchwale. – Za te trzydzieści srebrników.

Była zbyt napastliwa. Za dużo pogardy w jej słowach, żeby naprawdę było jej to wszystko obojętne; Quart zaczął rozpaczliwie łamać sobie głowę, o co jej chodzi. Stali naprzeciwko siebie na jednej z wąskich ulic z żelaznymi latarniami, gdzie balkony pełne doniczek z dwóch stron niemal się stykały ponad ich głowami.

– Gratuluję spostrzegawczości, tak właśnie jest – Quart palcem dotknął klapy marynarki. – Te ubrania i buty, karty kredytowe i zegarek są bardzo użyteczne, kiedy ma się zamiar zrobić wrażenie na serbskim generale albo na amerykańskim dyplomacie... Istnieją księża robotnicy, księża żonaci, księża, którzy odprawiają mszę o ósmej i księża tacy jak ja. I nie potrafiłbym powiedzieć, kto dzięki komu istnieje – uśmiechnął się gorzko, ale jego myśli odleciały daleko od słów, które wypowiadał; Macarena Bruner stała zbyt blisko na tej zbyt wąskiej ulicy. – Choć w jednym zgadzam się z pani księdzem Ferro – żaden z nas nie robi sobie złudzeń co do naszego zawodu.

Potem zamilkł, bo nagle poczuł chęć, żeby się przed nią usprawiedliwić. Byli sami na ulicy, w świetle padającym z odległej latarni; była bardzo piękna, kiedy milcząco patrzyła na niego z rozchyłonymi nieco ustami, w których błyskały białe zęby. Oddychała powoli, ze spokojem pięknej kobiety, która doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej urody. Na twarzy nie miała już wyrazu pogardy, jakby wyczerpała się ona z jej słowami, i Quart poczuł lęk, męski i rzeczywisty, fizyczny, podobny do zawrotu głowy. Musiał powstrzymać się, żeby nie zrobić kroku w tył, po którym jego plecy byłyby przyparte do ściany.

– Dlaczego nie powie mi pani wszystkiego, co pani wie?

Spostrzegł, że spodziewała się po nim innych słów lub innego gestu. Wzrok kobiety, dotąd utkwiony w jego oczach, opadł z twarzy na koloratkę przy czarnej koszuli.

– Choć ksiądz pewnie mi nie uwierzy, wiem bardzo mało – odpowiedziała po chwili milczenia, która wydała się nieskończenie długa. – Niektórych rzeczy mogę się domyślać. Ale nie ja księdzu o nich opowiem. Niech ksiądz robi swoje, kiedy inni robią swoje.

Powiedziała te słowa i stała nieruchoma i milcząca, czekając na odpowiedź Quarta. On jednak nie odezwał się, tylko ruszył przed siebie wąską uliczką. A ona poszła za nim, przytulając swoją skórzaną torbę do piersi.

W barze Las Teresas wisiały suszone szynki pomiędzy butelkami białego wina La Guita, starymi afiszami z Wielkiego Tygodnia i z Kwietniowej Ferii, zdjęciami torreadorów szczupłych i martwych już od lat, z atramentem żółcącym się za szkłem ramek. Kelnerzy notowali rachunki klientów na drewnianej tablicy, a Pepe, szef lokalu, ciął wąskie plasterki szynki z Jabugo długim i ostrym jak brzytwa nożem.

*Jakże mnie raduje
Bracie mój kochany
Jakże mnie raduje
Plaster szynki górskiej
Cienko ukrojony*

Podśpiewywał między zębami, w rytm *sevillanas*. Towarzyszkę Quarta nazywał Doña Macarena i zanim którekolwiek z nich zdążyło cokolwiek zamówić, postawił przed nimi talerzyki z wieprzowiną w pomidorach, smażoną polędwiczkę wieprzową, suszony schab, pieczarki z rusztu i dwa wąskie kieliszki na wysokiej nóżce, napełnione w dwóch trzecich złotą i pachnącą manzanillą. Niedaleko drzwi, oparty o bar tuż obok Quarta, gość wyglądający na stałego bywalca, o zarumienionej twarzy, wychylał jeden po drugim kieliszek czerwonego wina, a od czasu do czasu, kiedy Pepe przerywał śpiewkę, nie odrywając uwagi od plasterków szynki, kierował do niego kilka słów na temat pewnego meczu, który miał się rozegrać między klubami Sevilla i Betis.

– Znakomite – z pijackim uporem powtarzał facet z czerwoną twarzą, a kiedy Pepe przytakiwał głową i wracał do przerwanej piosenki, rozmówca zatapiał nos w kieliszku wina. Z górnej kieszeni marynarki wystawała mu głowa małej, prawdziwej szarej myszy, której od czasu do czasu podawał kawałki sera z talerza stojącego przed nim na barze. Gryzoń skwapliwie pożerał ser i nikt nie wydawał się tym ani trochę zaskoczony.

Macarena piła manzanillę małymi łykami. Oparła łokieć na barze, równie pewna siebie jak w Domu z Okiennicami. Właściwie, zauważył Quart, po całej dzielnicy Santa Cruz porusza się, jakby chodziła po pokojach swojego domu; i w pewnym sensie tak właśnie było od wieków. Na pierwszy rzut oka widać, że każdy zaułek zapisany ma w genach, od pokoleń instynktownie panuje nad własnym terenem. Quart raz jeszcze poczuł, że trudno byłoby mu wyobrazić sobie tę dzielnicę i to miasto bez obecności tej właśnie kobiety i tego, co znaczyła. Czarne włosy spięte na karku, białe zęby, ciemne

oczy. Znów przypomniał sobie obrazy Romero de Torres, budynek Fabryki Tytoniowej, teraz przemienionej w uniwersytet, Carmen, robotnicę z fabryki cygar, i liście wilgotnego tytoniu zwijane dłonią na wewnętrznej stronie uda ciemnoskórej kobiety. Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Znów były tam miodowe blaski, pełne zamyślenia. Spokojne.

– Podoba się księdzu Sewilla? – zapytała nagle Macarena.

– Bardzo – odpowiedział zaniepokojony, zastanawiając się, czy aby nie czyta jego myśli.

– To bardzo szczególne miejsce – nadal patrzyła na niego, nie przerywając skubania z talerzyków; teraz zjadała pieczarkę z rusztu. – Tutaj przeszłość bez problemu żyje razem z terażniejszością. Gris mówi, że my, sewilczycy, jesteśmy starzy i mądrzy. Wszystko potrafimy zaakceptować, wszystko jest możliwe – spojrzała przelotnie na jego sąsiada o czerwonej twarzy i uśmiechnęła się. – Nawet dzielenie się serem z myszą przy barze w knajpie.

– Czy pani przyjaciółka dobrze zna się na informatyce?

Spojrzała na niego zaskoczona. Nawet zdumiona.

– Nie daje ksiądz za wygraną, prawda? – znów nabiła pieczarkę na wykałaczkę i podniosła ją do ust. – Jest ksiądz wytrwały. Dlaczego jej samej ksiądz nie zapyta?

– Już to zrobiłem. Nie odpowiedziała wyraźnie, tak samo jak wszyscy.

Patrzył na drzwi ponad ramieniem swojej towarzyszki i zwrócił uwagę na wchodzącego grubasa około pięćdziesiątki, ubranego na białą, który przez chwilę wydał mu się nie całkiem obcy. Grubas, przechodząc obok nich, zdjął z głowy kapelusz typu panama i rozejrzał się po wnętrzu, jakby na próżno kogoś szukał, zerknął na zegarek, który wyjął z kieszeni kamizelki, i zniknął w drugich drzwiach, machając laseczką ze srebrną gałką. Quart zauważył, że miał zaczerwieniony lewy policzek, pokryty maścią albo kremem, i dziwny wąsik, króciutki i krzywy, jakby go sobie opalił.

– A co z pocztówką? – spytał Macarenę, ciągnąc dalej ten sam temat. – Czy Gris Marsala ma dostęp do skrzyni pani ciotecznej babki Carloty?

Zauważył, że się uśmiechnęła, rozbawiona jego uporem.

– Parę razy była w pobliżu, jeśli o to księdzu chodzi. Ale też mógł to zrobić don Priamo. Albo ksiądz Oscar. Albo ja sama. Albo moja matka. Czy ksiądz sobie wyobraża księżnę z butelką coca-coli i w czapeczce bejsbolowej założonej tyłem do przodu, jak w środku nocy rozbija wszelkie zabezpieczenia systemu informatycznego Watykanu? – nabiła kawałek mięsa w pomidorach i zaproponowała go Quartowi. – Obawiam się, że wynik dochodzenia księdza może wyglądać groteskowo.

Quart ujął koniec wykałaczki, a jego palce dotknęły palców Macareny.

– Chciałbym rzucić okiem na tę skrzynię.

Podniósł kęs do ust, a ona przyglądała mu się.

– Tylko my dwoje: ja i ksiądz? – uśmiechnęła się. – To śmiały pomysł, choć obawiam się, że jedynym celem jest sprawdzenie, czy nie mam czasem pirackiego komputera. – Pepe postawił na barze talerzyk z szynką, a ona patrzyła roztargniona na czerwone plasterki otoczone pachnącym tłuszczem. – Czemu nie? Będę mogła o tym opowiedzieć swoim koleżankom i już jestem zachwycona miną arcybiskupa, kiedy się o tym dowie – zamyślona, pochyliła głowę. – Albo mojego męża.

Quart przyglądał się srebrnym kolczykom, zdobiącym jej uszy pod gładko zaczesanymi włosami, ściągniętymi w koński ogon.

– Nie chciałbym sprawiać pani kłopotów.

Nagle roześmiała się.

– Kłopotów?! Mam nadzieję, że Pencho pęknie ze złości i z zazdrości. Jeśli nie wyjdzie mu z kościołem, a jeszcze mu doniosą, że pojawił się interesujący ksiądz, pewnie oszaleje – przyglądała się uważnie Quartowi. – I stanie się niebezpieczny.

– Niepokoi mnie pani – Quart opróżnił swój kieliszek manzanilli i było jasne, że wcale nie odczuwa niepokoju.

Macarena zastanawiała się.

– Tak czy inaczej – powiedziała – pomysł, żeby zobaczyć skrzynię Carloty, jest dobry. Lepiej ksiądz zrozumie, czym jest kościół Matki Boskiej Płaczącej.

– Pani przyjaciółka Gris – Quart spróbował plasterka szynki – skarży się, że brakuje pieniędzy, żeby dalej prowadzić prace...

– To prawda. Księżna i ja mamy dokładnie tyle, żeby przeżyć, a parafia jest zrujnowana. Pensja księdza Príamo jest bardzo skromna, niedzielnej ofiary nie wystarcza nawet na zakup świec. Czasami czujemy się jak filmowi podróżnicy, patrzący na cienie sępów szybujących nad naszymi głowami... Zwłaszcza co czwartek odbywa się ciekawe widowisko.

I opowiedziała Quartowi, przed dwoma nowymi kieliszkami z manzanillą, że kościół Matki Boskiej Płaczącej jest nietykalny, dopóki odprawia się w nim msze za duszę jej przodka, Gaspara Brunera de Lebrija, w każdy czwartek – dzień jego śmierci w roku 1709 – o godzinie ósmej rano. Dlatego w każdy czwartek można spotkać w ostatnim rzędzie ławek wysłannika arcybiskupa i notariusza opłacanego przez Pencho Gavirę, czyhających na jakąkolwiek nieprawidłowość lub niedopatrzenie.

Quartowi trudno było w to uwierzyć i oboje się roześmiali. Lecz śmiech Macareny ucichł chwilę wcześniej.

– To wydaje się dziecinne, prawda? – nagle spoważniała. – Żeby wszystko zależało od takiego głupstwa. – Podniosła kieliszek do ust, przerwała jednak gest w połowie i odstawiła go z powrotem na bar. – Każdy inny ksiądz, który nie odprawiłby mszy lub opuścił formułę, skazałby kościół i w ten sposób arcybiskup Sewilli i Bank

Kartuski wygraliby rozgrywkę... Dlatego boję się, że kiedy już odjedzie ksiądz Oscar, mogą spróbować zrobić coś złego don Priamowi.

Patrzyła na Quarta z niepokojem wyglądającym na szczery. On sam nie wiedział, co myśleć.

– To barbarzyństwo – wreszcie zawyrokował. – Arcybiskupa Corvo nie darzę sympatią, jestem jednak pewny, że nie pozwoliliby...

Bez namysłu podniosła dłoń, niemal do jego ust. Quart zdziwił się, że nie poczuł jej dotyku. Macarena musiała jednak zauważyć jego spojrzenie, bo cofnęła rękę i odłożyła ją na bar.

– Nie mówię o arcybiskupie.

Bawiła się nóżką kieliszka Quarta. Coś kręcisz, nagle powiedział sobie w myśli. Nie wiedział, czy robi to dla siebie, czy dla kogoś i czy jej celem jest uwiedzenie posłańca, czy też neutralizacja przeciwnika, ale na pewno udało się gospodarzom, pod pretekstem oprowadzania po drugiej stronie okopu, doprowadzić do tego, że zatracił jasność perspektywy. Musisz mieć się czego trzymać, pomyślał. Własną pracę, śledztwo, kościół, cokolwiek. Dane i fakty, choćby nie służyły niczemu. Pytania i odpowiedzi, spokojną głowę. Spokój taki, jaki ona ma i okazuje w każdej chwili, kobieta, instrument Zła, latarnia zatracenia, nieprzyjaciółka rodzaju ludzkiego i nieśmiertelnej duszy. Zachowaj dystans albo zginąłeś, Lorenzo Quart. Jak to mówił arcybiskup Spada? Gdy duchownemu uda się utrzymać z dala od pieniędzy i z dala od kobiecego łóżka, ma spore szanse, żeby zbawić duszę. Czy co by to było.

– Wracając do sprawy pieniędzy – powiedział. Trzeba mówić, zadawać pytania, choćby były całkiem zbędne. Jest tu, żeby prowadzić śledztwo, a nie po to, żeby Carmen z fabryki cygar kładła mu rękę na ustach. – Czy nie myśleliście państwo o sprzedaży obrazów z zakrystii, żeby kontynuować prace konserwatorskie?

– Te płótna nie są nic warte. Nawet murillo wcale nie jest murillem.

– A perły?

Patrzyła na niego, jakby wygadywał okropne głupstwa.

– Mógłby też Watykan – poddała myśl – sprzedać swoje obrazy, a pieniądze rozdać biednym.

Dopiła wino i wyjęła portfel z torebki, prosząc o rachunek. Quart nalegał, żeby zapłacić, lecz nie pozwoliła na to. Kelner tłumaczył się z uśmiechem. Przepraszam księdza, ale Doña Macarena jest stałą klientką i tak dalej.

Wyszli na ulicę, a latarnia rzuciła na ziemię ich wydłużone cienie. Na słabiej oświetlonych odcinkach robił to księżyc, biały i niemal okrągły, między okapami i balkonami, które zbliżały się do siebie ponad ich głowami. Po chwili kobieta znów wspomniała perły i mogło się wydawać, że przy tym kpi sobie z Quarta.

– Ksiądz nadal nic nie rozumie – powiedziała. – To są łzy Caroloty. Testament kapitana Xaloca.

Wśród wąskich uliczek ich kroki odbijały się głośnie echem, tak że trójka lotrzyków utrzymywała się w pewnej odległości od pary, zmieniając się często na pierwszej linii, żeby nie budzić podejrzeń: czasem don Ibrahim szedł przodem z Dzidzią Dolores, a Żrebak Fernando postępował o parę kroków z tyłu, to znów Żrebak szedł przodem sam – albo z Dzidzią Dolores pod rękę, tę zdrową, bo tę oparzoną niósł na temblaku – stale mieli na oku księdza i młodą księżną. Zadanie to wcale nie było proste, bo plan ulic w Santa Cruz jest nieregularny, pełen zakrętów, zawijasów i ślepych uliczek. Raz nawet trójka wspólników musiała zniknąć i bardzo szybko przemykać na paluszkach w cieniu domów, kiedy Quart i Macarena doszli do zamkniętego placu i po kilku minutach rozmowy wrócili tą samą drogą.

Teraz wszystko szło dobrze. Para przechodziła ulicą pełną łagodnych zakrętów i łuków, z licznymi zaułkami, gdzie łatwo było ich śledzić bez specjalnego ryzyka. Tak więc, spokojniejszy don Ibrahim, stanowiący grubą, jasną plamę w mroku, wyjął z kieszeni hawańskie cygareto i obracając je w palcach, z rozkoszą włożył do ust. Osiem czy dziesięć kroków przed nim szli Żrebak Fernando i Dzidzia Dolores, śledzący każdy krok księdza i młodej księżnej; fałszywy mecenas poczuł przypływ czułości, kiedy patrzył na wspólników. Wypełniali swoje zadanie świadomie, skupieni na podwójnym celu, który kroczył ulicą przed nimi. W momentach ciszy Dzidzia zdejmowała buty na obcasach, żeby nie hałasować, i szła boso, z tym swoim wdziękiem, jakiego mimo wszystko nie zdołały w niej zatrzeć lata, trzymając w ręce buty i torbę, w której niosła robótkę szydełkową, aparat fotograficzny Peregila i niebywały wycinek prasowy, gdzie pisano, że mężczyzna o oczach zielonych jak zielone łąny zabił rywala z miłości. Odwieczna Dzidzia, zawsze w sukni w grochy, z ufarbowanymi włosami i loczkiem na czole w stylu Estrellity Castro, z tym wyglądem ludowej śpiewaczki, jakby właśnie szła do *tablao*, już nie istniejącego. Obok niej poważny, męski Żrebak służył jej zdrowym ramieniem z uprzejmością osoby, która wie albo wyczuwa, że ten grzeczny gest prawdziwego, godnego szacunku mężczyzny jest najwyższą w świecie formą hołdu, jaki kobieta taka jak Dzidzia Dolores może przyjąć.

§

Z laską pod pachą, don Ibrahim pochylił głowę, żeby zapalić cygareto, chroniąc płomień szerokim rondem swojej panamy, a kiedy już schował do kieszeni tłoczoną srebrną zapalniczkę – tym razem była to pamiątka po Gabrielu Garcii Marquezie, którego poznał, jak mówił, kiedy autor *Nie ma kto pisać do pułkownika* był skromnym reporterem prasowym w Cartagena de Indias – dotknął biletów na niedzielną *corridę*, jakie tego popołudnia kupił Żrebak Fernando. W wolnych chwilach były torreador i bokser zarabiał na życie pośród zastępu szulerów, którzy w

pobliżu mostu Triany na kartonowych pudłach ustawiali trzy kubki i jedną kulkę – zwaną przez fachowców owieczką – tu ją mam, tu jej nie mam, widziałem, nie widziałem, ta wygrywa, ta przegrywa, niech pan postawi pięć tysięcy peset. Dookoła stoją kolesie na wabia, udający, że wciąż wygrywają, a na dwóch rogach ustawione czujki, żeby ostrzec, gdyby pojawiły się gliny. Żrebak, w zbyt wąskiej marynarce w kratkę, ze swoim poważnym i statecznym wyglądem, wzbudzał u ludzi zaufanie; tak więc, dzięki jego występom w roli żywej przynęty wspólnie z koleżkami uwolnili tego ranka pewnego turystę z Puerto Rico od grubego pliku dolarów. Dzięki temu – a także po to, żeby zyskać przebaczenie po wpadce z anyżówką Del Mono – Żrebak miał pomysł, żeby kupić trzy miejsca w cieniu na corridę. Na bilety te wydał cały swój zysk z hazardu, ale program był tego wart: Curro Romero, Espartaco i Enrique Ponce, w ostatniej chwili zdjęto z afisza Curro Maestrala, bez żadnych wyjaśnień – walczyli z tuzinem byków Mihura.

Don Ibrahim wypuścił kłęb dymu, otwierając i zamykając szczęki, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest jego skóra, starannie pokryta kremem na oparzenia. Wąsy i brwi miał opalone, ale nie mógł się skarżyć na swój fart: byli o włos od pełnej katastrofy, gdyby wybuchła benzyna, na szczęście wszystko skończyło się na drobnych stratach: spalony stół, osmalony sufit, no i strach. Śmiertelny strach, zwłaszcza kiedy zobaczyli, jak Żrebak biega dookoła pokoju z płonąca ręką – lewą, bo na szczęście palił po męsku, lewą, jak na tym filmie Vincenza Price o morderstwach w muzeum figur woskowych. Aż wreszcie Dzidzia z niezwykłą odwagą i imieniem Matki Boskiej na ustach połała go oraz don Ibrahima wodą z syfonu, który miała w kuchni, a potem rzuciła koc na stół, żeby ugasić ogień. Potem było pełno dymu, wyjaśnień, sąsiadek tłoczących się w drzwiach i ogromna przykrość, kiedy przyjechali strażacy i już nie mieli czego gasić, poza palącym wstydem trójki współników. W milczącej zgodzie uznali, że nikt nigdy nie wspomni tego przykrego zajścia. Jak zauważył don Ibrahim, podnosząc w górę palec niczym profesor, kiedy Dzidzia wróciła z apteki z tubą maści i opatrunkami gazowymi, życie ma swoje bolesne strony, o których trzeba zapomnieć w cholere.

Ksiądz i młoda księżna pewnie się zatrzymali i rozmawiają, bo Dzidzia i Żrebak dyskretnie zatrzymali się na rogu i maskowali się, przyklejeni do ściany. Don Ibrahim z wdzięcznością przyjął tę przerwę – przemieszczanie stu dziesięciu kilo podczas długich wędrówek nie jest zajęciem łatwym – i spojrzał na księżyc ponad ciemnym wylotem wąskiej uliczki, rozkoszując się smakiem cygara, z którego dym unosił się łagodną spiralą w srebrnym świetle zalewającym dzielnicę Santa Cruz, tam gdzie elektryczne latarnie pozostawały daleko lub chowały się za zakrętem. Nawet odór moczu i brudu, rozchodzący się z niektórych knajp w najciemniejszych zaułkach, nie potrafił zabić zapachu drzew pomarańczowych, nocnych kobiet i kwiatów na

balkonach, przykrytych żaluzjami, zza których słycać było, kiedy się przechodziło, fragmenty rozmów, dialog filmowy lub oklaski z teleturnieju. Z jednego z pobliskich domów dochodziły dźwięki bolera, które przypomniało don Ibrahimowi inne noce przy pełni księżyca, w innych czasach i na innych ulicach, i wstrząsnął nim dreszcz nostalgii za karaibską młodością: tą prawdziwą i tą wymyśloną, mieszającymi się we wspomnieniach eleganckich nocy na plażach San Juan, długich spacerów po starej Hawanie, przekąsek w Los Portales w Veracruz, gdzie mariachis śpiewali piosenkę *Mujeres divinas*, napisaną przez jego przyjaciela, Vicente, albo *María Bonita*, do skomponowania której on sam się przyczynił. A może, pomyślał przy następnym kłębie dymu, jest to nostalgia za młodością po prostu. I za marzeniami, które samo życie wyrywa każdemu po kawałku.

W każdym razie – rozmyślał, patrząc na znów idących Żrebaka i Dzię, za którymi ruszył i on – zawsze jest Sewilla, gdzie wiele miejsc przypomina okolice, które zapisały się w jego wspomnieniach. To miasto, jak żadne inne, zachowało w zaułkach ulic, w kolorach i świetle gwar powoli odchodzącego czasu czy raczej przemijania własnego życia, znaczonego wspomnieniami chwil, które odeszły.

Złą stroną długotrwałych agonii jest ryzyko, że można stracić umiar i powagę. Don Ibrahim znów zaciągnął się dymem cygara, smutnie kiwając głową: w bramie, pod gazetami i kartonami, majaczył niewyraźny cień śpiącego żebraka; bardziej domyślił się, niż zobaczył, że obok stoi pusty talerzyk na jałmużnę. Odruchowo włożył rękę do kieszeni, między bilety na corridę i zapalniczkę od Garcii Marqueza, aż znalazł monetę stupesetową, którą – pochylając się z wysiłkiem nad brzuchem – położył obok śpiącego ciała. Dziesięć kroków dalej przypomniał sobie, że nie ma już bilonu dla Peregila na telefoniczne sprawozdanie i zaczął rozważać możliwość, żeby wrócić i odzyskać monetę. Powstrzymał się jednak, żywiąc nadzieję, że Żrebak albo Dzię będą mieli drobne. Szczodrość jest wyznaniem wiary. Poza tym nie byłoby to honorowe.

Świat jest jak chustka do nosa. Po tej nocy Celestino Peregil wiele razy jeszcze zadawał sobie pytanie, czy spotkanie jego szefa, Pencho Gaviry, z młodą księżną i z księdzem z Rzymu było przypadkowe czy też raczej specjalnie przyprowadziła mu go pod nos, bo przecież doskonale wiedziała, że o tej porze jej mąż, były mąż, czy kim by praktycznie był dla niej bankier, zawsze przychodzi na drinka do baru Loco de la Colina. Gavira siedział więc w ogródku pełnym ludzi przy stolikach, razem ze swoją przyjaciółką, a Peregil, robiący za goryla, stał w środku, przy barze obok drzwi. Szef zamówił szkocką słodową whisky z dużą ilością lodu i rozkoszował się pierwszym łykiem, patrząc na swoją towarzyszkę, atrakcyjną modelkę sewilską, która pomimo wyraźnych braków intelektualnych, a może właśnie dzięki nim, zaczynała być znana

za sprawą krótkiego zdania z nadawanej w Canal Sur reklamy pewnej marki bielizny. Owo genialne zdanie brzmiało „piersi są moje”, a modelka, niejaka Penelope Heidegger, posiadająca warunki anatomiczne sprzyjające temu twierdzeniu, wypowiadała je w sposób porażająco zmysłowy. Do tego stopnia, że jak było wyraźnie widać, Pencho Gavira bardzo poważnie zamierzał przez kilka najbliższych godzin, i to nie pierwszy raz w życiu, zająć się sprawą własności wspomnianego biustu. Sposób równie dobry jak każdy inny, pomyślał Peregil, żeby zapomnieć na chwilę o Banku Kartuskim, kościele i całym tym kramie, jaki mieli na swojej ciernistej drodze.

Goryl poprawił dłonią włosy na czaszce i rozejrzał się wokół. Ze swojego posterunku przy barze widział całą ulicę Placentines aż do zakrętu oraz sporą część ud wspomnianej Penelope, jakie kusa spódniczka z lycry odsłaniała pod stołem, obok skrzyżowanych nóg Pencho Gaviry, który siedział w samej koszuli, z rozluźnionym krawatem; przyjemna temperatura sprawiła, że marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Mimo wszelkich kłopotów Gavira wyglądał dobrze: włosy przyczesane żelam, nad uchem czarny, dłuższy lok, okazała postawa i zapach pieniędzy, złoty zegarek na silnym i opalonym nadgarstku. Muzyczne tło w lokalu tworzyła *Europa* Santany. Scena szczęśliwa, spokojna, niemal domowa. I Peregil pomyślał, że wszystko się jakoś układa. Nie widać Cygana Maireny ani Kurczaka Szczeny, a piekący ból cewki moczowej minął po zażyciu słoika Blenoksu. I w chwili kiedy był zupełnie odprężony i spokojny, gratulując w myśli szczęścia sobie i szefowi – w kącie siedziały dwie niebrzydkie, dojrzałe lale i nawiązał już z nimi kontakt wzrokowy, właśnie zamawiał kolejną dwunastoletnią whisky: *tuelffers old*, powiedział kelnerowi z pewnością siebie godną kosmopolity – przyszło mu do głowy zastanowić się, gdzie też mogą być o tej porze don Ibrahim, Dzidzia i Żrebak i ciekawe, jak też im się układają sprawy. Zgodnie z ostatnimi instrukcjami mieli pospieszyć się z lekkim nadpaleniem kościoła, tylko takim, żeby uniemożliwić czwartkową mszę i wyłączyć kościół z gry; ale jak na razie nie było widać rezultatów. Na pewno w domu będzie czekała wiadomość nagrana na automatycznej sekretarce. O tym właśnie myślał Peregil, podnosząc w kierunku ust szklaneczkę, którą przed chwilą postawiono przed nim na ladzie. I wtedy zobaczył, jak zza rogu wyłania się młoda księżna i ksiądz z Rzymu, i mało co nie udławił się kostką lodu.

Odszedł od baru, zbliżył się do drzwi, ale nie wyszedł na ulicę. Przeczynał nadciągającą katastrofę. Mimo wszelkich Penelop i piersi nie było tajemnicą, że Pencho Gavira nadal jest zazdrosny o swoją ciągle prawowitą połowicę. i choćby nic się nie działo, okładka „Q+S” oraz zdjęcia z torreadorem Curro Maestralem dawały aż nadto powodów, żeby zazdrosny bankier poczuł się dotknięty, i to do żywego. Na domiar złego ksiądz miał znakomitą prezencję, był świetnie ubrany, wyglądał zdrowo, z klasą. Jak Richard Chamberlain w *Ptakach ciernistych krzewów*, tylko bardziej

męski. Peregil zaczął drżeć, zwłaszcza kiedy zobaczył dyskretnie wylaniającą się zza rogu, sunącą pod rękę parę: Żrebak Fernando i Dzidzia Dolores. Chwilę później dołączył do nich don Ibrahim i trójka współników zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, co dalej, próbując niezręcznie maskować się, a Peregil zapragnął, żeby ziemia go pochłonęła. Tylko tego brakowało.

Pencho Gavira słyszał, jak pulsuje mu w skroniach krew, kiedy podnosił się powoli, próbując panować nad sobą.

– Dobry wieczór, Macarena.

Nigdy nie działaj pod wpływem pierwszego odruchu, powiedział mu raz stary Machuca, kiedy dopiero zaczynał. Rób rzeczy, które rozpuszczą ci adrenalinę, zajmij czymś ręce i pozwól pracować mózgowi. Daj sobie czas. Włożył więc marynarkę i starannie pozapinał guziki, patrząc swojej żonie w oczy. Były zimne jak dwa ciemne kryształki szronu.

– Cześć, Pencho.

Obrzuciła jego towarzyszkę jednym spojrzeniem i niemal niedostrzegalny skurcz pogardy skrzywił kącik ust na widok obcisłej spódniczki i dekoltu obciskającego piersi, które należały już do dziedzictwa narodowego. Przez chwilę Gavira zawahał się, komu bardziej wypada stawiać zarzuty. Cały ogródek, bar i wszyscy na ulicy patrzyli na nich.

– Napijcie się czegoś?

Jego liczni wrogowie mogli powiedzieć o nim wiele złego, nie mogli mu jednak zarzucić braku opanowania. Starczyło mu nawet swobody na grzeczny półuśmiech, choć wszystkie mięśnie ciała miał spięte i czerwona mgła zaczynała przesłaniać mu wzrok, w miarę jak w mózgu wzrastało dudnienie krwi głośno pulsującej w uszach. Poprawił węzeł krawata i mankiety koszuli, odsłaniając spinki i przyglądał się księdzu w oczekiwaniu na prezentację. Klecha był bardzo elegancki, miał na sobie lekki czarny garnitur, skrojony na miarę, koszulę z czarnego jedwabiu i koloratkę. Poza tym facet był wysoki. O jakąś głowę wyższy od niego. Pencho Gavira nie lubił wysokich. Zwłaszcza obnoszących się po Sewilli w towarzystwie jego żony. Zastanawiał się, czy bardzo źle byłoby przyjęte, gdyby rozwalił księdzu mordę przy wejściu do baru.

– Pencho Gavira. A to ksiądz Lorenzo Quart.

Nikt nie zrobił gestu wskazującego, że zamierza usiąść. Heidegger nadal siedziała na swoim krześle, chwilowo zapomniana, pozostawiona na marginesie sprawy. Gavira podał rękę księdzu, uścisnął mocno i zauważył, że ten pewnie wytrzymał uścisk. Ksiądz z Rzymu miał oczy spokojne i bez wyrazu, i bankier pomyślał, że gość wcale nie musi niczego wiedzieć. Ale kiedy spojrzał na swoją żonę, pociemniało mu w oczach.

Poczuł, że nie potrafi dłużej nad sobą panować. Czuł na sobie spojrzenia ludzi wokół: będzie o czym gadać przez tydzień.

– Teraz zadajesz się z księżmi?

Nie chciał tak tego powiedzieć. W ogóle nie chciał nic powiedzieć, ale już się stało. Dostrzegł leciutki uśmiech triumfu przemykający po wargach Macareny i zrozumiał, że wpadł w pułapkę. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

– To ordynarne, Pencho.

Była to prosta definicja i cokolwiek by powiedział czy zrobił, wszystko będzie świadczyć przeciw niemu. Ona tylko tędy przechodziła, a w tym ogródku cała Sewilla jest świadkiem. Może nawet przedstawić wysokiego księdza jako swojego przewodnika duchowego. A na dodatek wysoki ksiądz patrzył na nich, nie odzywając się słowem, ostrożnie wyczekując. Było jasne, że nie zamierza szukać problemów; nie wydawał się jednak wcale przejęty czy też speszony sytuacją. Wyglądał nawet sympatycznie, taki milczący, o sportowej sylwetce, jak koszykarz ubrany na pogrzeb przez Giorgio Armaniego.

– Jak tam celibat, proszę księdza?

Wydawało się, że to nie on, ale jakiś inny Pencho Gavira mówi przez niego, a bankier nie potrafi temu zapobiec. Właściwie pogodził się z tym stanem rzeczy i uśmiechnął się po wypowiedzeniu tych słów. Był to szeroki, niepokojący uśmiech. Niechaj przekłete będą wszystkie kobiety świata, znaczył ten uśmiech. To przez nie jesteśmy tutaj, ksiądz i ja, i musimy stanąć twarzą w twarz.

– Dziękuję, dobrze – ksiądz miał głos opanowany, pewny siebie, lecz Gavira zauważył, że lekko się odsunął. Już nie stał, jak poprzednio, na wprost, ale można było odnieść wrażenie, że przygotowuje się do wprowadzenia lewego ramienia między nich dwoje. Wyjął też lewą rękę z kieszeni. Ten ksiądz musiał wcześniej walczyć.

– Od wielu dni próbuję się z tobą porozumieć – Gavira zwrócił się do Macareny, nie tracąc z zasięgu wzroku jej towarzysza. – Ale nie podchodzisz do telefonu.

Wzruszyła pogardliwie ramionami.

– Nie mamy o czym rozmawiać – powiedziała powoli i wyraźnie. – Poza tym... byłam zajęta.

– Właśnie widzę.

Na swoim krzeselku panna Heidegger zakładała nogę na nogę, ku zadowoleniu przechodniów, publiki i kelnerów. Była przyzwyczajona, że skupia na sobie uwagę, w nowej sytuacji czuła się nie na miejscu.

– A mnie nie przedstawisz? – niezadowolona, rzuciła pytanie plecami Gaviry.

– Cicho bądź – bankier znów patrzył prosto na duchownego. – A co do księdza...

Dostrzegł kątem oka, że Peregil podszedł do drzwi, na wszelki wypadek, gdyby miał być potrzebny. W tej samej chwili przez ulicę przeszedł facet w kraciastej

marynarce, z ręką na temblaku. Nos miał spłaszczony jak bokser i przelotnie spojrzął na Peregila, jakby czekał na jakiś jego znak. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, poszedł dalej ulicą i zniknął za rogiem.

– Co do mnie – podjął pytanie ksiądz. Był diabelnie spokojny, a Gavira zastanawiał się, jak z tego wybrnąć, nie tracąc twarzy i nie urządzając skandalu. Macarena, stojąc pośrodku, wyraźnie bawiła się widowiskiem.

– Sewilla jest bardzo zwodnicza, proszę księdza – powiedział Gavira. – Można się zdziwić, jak bardzo bywa niebezpieczna, jeśli się nie zna reguł.

– Reguł? – patrzył na niego z całym spokojem. – Pan mnie zaskakuje, Moncho.

– Pencho.

– A!

Bankier czuł, jak znów traci głowę.

– Nie lubię księży bez sutanny – dodał szorstko. – Jakby się wstydzili, że są księżmi.

Duchowny niewzruszenie przyglądał się Gavirze.

– Nie lubi pan – powtórzył, jakby te słowa dały mu do myślenia.

– Wcale – bankier pokręcił głową. – A mężatki tutaj to rzecz święta.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Macarena.

Ksiądz spojrzął z roztargnieniem na uda panny Heidegger, a potem znów na swojego rozmówcę.

– Rozumiem – powiedział.

Gavira podniósł dłoń i palec wskazujący skierował ku piersi duchownego.

– Nie – jego głos znów stał się powolny, gęsty, z echem groźby. Żałował każdego słowa, które wypowiadał, ale nie był w stanie niczemu zapobiec; wszystko razem przypominało koszmarny sen. – Ksiądz nie rozumie absolutnie niczego.

Duchowny patrzył na ten palec, jakby był zdziwiony jego widokiem w tym miejscu. Czerwona zasłona gęstniała przed oczami Gaviry, który bardziej poczuł, niż zobaczył, jak Peregil zbliżył się jeszcze trochę, dobry podwładny, w każdej chwili zwarty i gotowy. Teraz w oczach Macareny pojawił się niepokój, jakby wszystko posunęło się dalej, niż można było przewidzieć. Gavira czuł nieprzewartą chęć, żeby ich spoliczkować, najpierw ją, a potem księdza, i zawręć w tym geście całą wściekłość i rozdrażnienie, nagromadzone w ostatnich tygodniach w związku z kryzysem małżeńskim, z kościołem, z Puerto Targa, radą nadzorczą, która za parę dni ma zdecydować, czy w przyszłości będzie kierował Bankiem Kartuskim. W ciągu jednej chwili przed oczami przemknęło mu całe życie, walka krok za krokiem, żeby podnieść głowę, koronkowa gra z don Octavio Machucą, ślub z Macareną, niezliczone razy, kiedy musiał grać va banque i wygrywał. A teraz, kiedy jest o krok od celu, Matka Boska Płacząca stała mu na przeszkodzie, w środku dzielnicy Santa Cruz, jak rafa. Od

niej zależało wszystko – albo ją ominiesz, albo utoniesz. Bo kiedy przestajesz pedałować, przewracasz się, jak zawsze powtarzał staruszek.

Całym wysiłkiem woli powstrzymał się, żeby nie podnieść ręki i nie uderzyć wysokiego księdza. Dostrzegł jednak, że ten z kolei podniósł ze stołu szklanę, jego szklanę, i z roztargnioną miną trzyma bardzo blisko krawędzi stołu, tak żeby móc roztrzaskać ją jednym ruchem nadgarstka. I Gavira zrozumiał, że ten ksiądz nie należy do tych, co nadstawiają drugi policzek. Odniosło to ten dobry skutek, że się uspokoił i spojrzął na duchownego z zaciekawieniem. Nawet ze swoistym rodzajem szacunku.

– To moja szklanka, proszę księdza.

W jego głosie zabrzmiała konsternacja. Duchowny przeprosił z łagodnym uśmiechem i odstawił szklanę na stół, w który Penelope Heidegger, zniecierpliwiona, stuknęła na różowo pomalowanymi paznokciami. Potem nieznacznie skłonił głowę i razem z Macareną poszli dalej przed siebie, bez dalszych komentarzy. A Pencho Gavira podniósł do ust szklanę z whisky i pił długo, i patrzył z namysłem, a nawet z pewną wdzięcznością, jak odchodzą, podczas gdy za jego plecami Peregil głęboko odetchnął z ulgą.

– Zawieź mnie do domu – powiedziała panna Heidegger, pokazując, że jest obrażona.

Gavira, ciągle wpatrzony w róg, za którym zniknęła jego żona z księdzem, nawet się nie odwrócił. Opróżnił szklanę i zdusił w sobie chęć, żeby rozbić ją o ziemię.

– A sama się odwieź, kurwa twoja mać.

Potem oddał szklanę Peregilowi ze spojrzeniem, które było rozkazem. Peregil zaś z kolejnym, pełnym rezygnacji westchnieniem rozbił szklanę pod nogami, jak potrafił najdyskretniej. Robiąc to, przestraszył niezwykle parę, która właśnie przechodziła obok baru – grubego mężczyznę ubranego na biało, w kapeluszu i z laseczką, prowadzącego pod rękę kobietę w sukni w grochy, z lokiem na czole, w stylu Estrellity Castro, trzymającą w ręku aparat fotograficzny.

Spotkali się we trójkę za rogiem, pod arabskim portykiem meczetu, na schodach śmierdzących końskim nawozem z dorożek, codziennym zapachem Sewilli od zawsze. Don Ibrahim usiadł z trudem, opierając się na lasce, a popiół z cygara spadł na jego monsturalny brzuch.

– Mieliśmy szczęście – powiedział. – Było dość światła, żeby wyszły zdjęcia.

Zrobili sobie kilka minut przerwy, był więc w dobrym humorze, zadowolony z należycie wypełnionych obowiązków. *Audaces fortuna lavat* i te rzeczy, choć nie był do końca pewny czasownika. Dzidzia Dolores usiadła przy nim, pobrzękując kolczykami i bransoletkami, i położyła aparat na spódnicy.

– Też tak mówię – potwierdziła przepitym i ochrypłym głosem. Jej buty stały obok, a ona rozcierała sobie chude łydki, poznaczone żyłakami. – Tym razem Peregil nie może się skarżyć. Na pewno nie.

Don Ibrahim wachlował się panamą, gładząc swoje przypalone wąsy. W chwili triumfu aromat hawańskiego cygara był dla niego zapachem błogosławionej chwały.

– Nie – poświadczył radośnie. – Nie może. On sam jest naocznym świadkiem, że wszystko zostało wykonane bez zarzutu, jak w wojsku. Prawda, Żrebak? Wstęp, rozwinięcie, kulminacja i zakończenie. Profesjonalnie, jak w kinie.

Stojąc jakby został na straży, bo przecież nikt nie kazał mu usiąść, Żrebak Fernando pokiwał głową twierdząco.

– Dokładnie – powiedział. – Wstęp i tak dalej.

– Dokąd to idą nasze gołąbki – zainteresował się były mecenas, na powrót wkładając na głowę kapelusz.

Żrebak spojrzął na ulicę i powiedział, że w kierunku Arenal; mają czas, żeby ich dogonić. Żółtawe światło latarni sprawiało, że jego twarz ze spłaszczonym nosem wydawała się jeszcze bardziej surowa. Don Ibrahim zabrał aparat fotograficzny z kolan Dzidzi i podał mu go.

– Wyjmij film, żeby się nie zniszczył.

Posłusznie, zdrową ręką i pomagając sobie tą na temblaku, Żrebak otworzył aparat, a don Ibrahim sięgnął po następny film. W końcu znalazł go, rozdarł opakowanie i podał go swojemu kompanowi.

– Rozumiem, że go przewinałeś – zapytał mimochodem – zanim otworzyłeś aparat.

Żrebak nie poruszył się, stał spokojnie, jakby sędzia właśnie zabronił mu spuszczać głowę, i wpatrywał się w don Ibrahima. Nagle z trzaskiem zamknął aparat.

– Co miałem przewinać? – zapytał podejrzliwie, podnosząc brew.

Z rolką filmu w jednej ręce i cygarem w drugiej, don Ibrahim przyglądał mu się długą chwilę.

– A niech by to wszystko trafił szlag – powiedział.

Aż do Arenal szli w milczeniu. Quart zauważył, że Macarena od czasu do czasu zerka na niego, jednak ani ona, ani on, nie odzywali się. Zresztą niewiele było do powiedzenia, mogła jedynie rozwiać wątpliwości księdza, czy spotkanie z jej mężem było przypadkowe czy umyślne. Tego jednak, pomyślał, pewnie nigdy się nie dowie.

– I tędy odpłynął – powiedziała Macarena, kiedy doszli do rzeki.

Quart rozejrzał się wokół. Znaleźli się przy starej arabskiej wieży, zwanej Złotą. Schodzili szerokimi schodami w kierunku nabrzeża Gwadalkiwiru. Nie było ani śladu

bryzy, a księżycowa poświata rysowała nieruchome cienie palm, drzew *jacaranda* i krzewów bugenwilli.

– Kto?

– Kapitan Xaloc.

Wybrzeże było puste, turystyczne statki, ciemne i nieruchome, stały przycumowane do pachołków przy betonowym nabrzeżu. Czarna woda odbijała światła Triany po drugiej stronie rzeki, między mostami Isabel II i San Telmo.

– To był stary port Sewilli – powiedziała Macarena. Marynarkę miała zarzuconą na ramiona i nadal przyciskała skórzaną torbę do piersi. – Przed zaledwie stu laty tutaj przybijały statki parowe, żaglowce... Przetrwały jakieś resztki tego dawnego, wielkiego ośrodka handlu z Ameryką, stąd wyruszały statki w dół rzeki do Sanlucar, potem do Kadyksu, a stamtąd wypływały na Ocean Atlantycki – zrobiła kilka kroków i zatrzymała się przy stopniach schodzących wprost do ciemnej wody. – Na starych zdjęciach z epoki widać brygantyny, fregaty, korwety, najróżniejsze statki przycumowane przy obu brzegach rzeki... Z drugiej strony cumowały kutry rybackie i łodzie z białymi płóciennymi dachami, które woziły robotnice z Triany do Fabryki Tytoniowej. Tutaj, na tym nabrzeżu stały urządzenia portowe, dźwigi, magazyny.

W milczeniu patrzyła w górę, w kierunku Arenal, na kopułę teatru Maestranza i na nowoczesne budynki, które wznosiły się między nimi a oświetloną w oddali wieżą Giraldy i dzielnicą Santa Cruz.

– Wyglądało to jak las masztów i żagli – dodała po chwili. – To był pejzaż, na który Carlota patrzyła z wieży gołębnika.

Znów szli pod księżycowym cieniem drzew, wzdłuż nabrzeża. Jakaś młoda para całowała się w kręgu światła pod żeliwną latarnią i Quart dostrzegł zamyślony uśmiech na twarzy patrzącej na nich Macareny.

– Wydaje się, że tęskni pani – powiedział – za Sewillą, jakiej nigdy pani nie znała.

Uśmiech kobiety stał się wyraźniejszy, na chwilę nim jej twarz skryła się w mroku.

– Myli się ksiądz. Znałam ją i znam bardzo dobrze. Bardzo dużo czytałam i wiele myślałam o tym mieście. Sporo opowiedzieli mi mój dziadek i moja matka. A innych rzeczy nikt mi nie opowiadał – dotknęła swojego nadgarstka, tam gdzie bił jej puls. – Ale tutaj je czuję.

– Dlaczego wybrała pani Carlotę Bruner?

Macarena zwlekała chwilę z odpowiedzią.

– To ona mnie wybrała – odwróciła się nieco w stronę Quarta. – Czy księża wierzą w duchy?

– Nie bardzo. Duchy stoją w sprzeczności z elektrycznością, energią atomową... Komputerami.

– Może właśnie na tym polega ich urok. Bo ja, owszem, wierzę przynajmniej w pewien rodzaj duchów. Carlota była młodą, romantyczną dziewczyną, zaczytywała się w powieściach. Żyła zamknięta w swoim sztucznym świecie, bezpieczna. I pewnego dnia poznała mężczyznę. Prawdziwego mężczyznę. Było tak, jakby uderzył piorun, i już nie mogła się cofnąć. Niestety, Manuel Xaloc też zakochał się w niej.

Mijali od czasu do czasu pojedyncze cienie wędkarzy siedzących na nabrzeżu, ogniki papierosów, refleksy światełek na końcu wędki przy żyłce, plusk w spokojnej wodzie. Nagle jakaś ryba zaczęła się rzucać na bruku nabrzeża, światło księżyca połyskiwało w jej łuskach, a potem mokra dłoń ciskała ją z powrotem do wiadra, z którego wyskoczyła w chwili agonii.

– Niech mi pani opowie o Xalocu – poprosił Quart.

– Był to ubogi młodzieniec, trzydziestoletni drugi oficer na parowcu pływającym na trasie Sewilla-Sanlucar. Poznali się podczas podróży, w którą Carlota udała się ze swoimi rodzicami, w dół rzeki. Mówią, że był mężczyzną przystojnym, i myślę, że marynarski mundur jeszcze to podkreślał. Często tak jest u marynarzy, wojskowych...

Wydawało się, że zaraz doda „i pewnych duchownych”, ale słowa te nie padły. Przechodzili właśnie obok przycumowanego turystycznego statku, ciemnego i cichego. W świetle księżyca Quart odczytał jego nazwę: „Canela Fina”.

– Kapitana Xaloca zaskoczono jednak pewnego dnia – ciągnęła Macarena – przy żelaznych kratkach Domu z Okiennicami i mój pradziadek Luis spowodował, że wyrzucono go z pracy. Potem pradziad użył swoich wpływów, a były one rozliczne, żeby nie znalazł pracy nigdzie indziej. Zrozpaczony, postanowił wyjechać do Ameryki i tam dorobić się majątku, a ona obiecała, że będzie na niego czekać. To świetna fabuła do romansu w odcinkach, prawda?

Szli obok siebie i znów ich cienie otarły się. Macarena ominęła w ciemności żelazny pacholek i zbliżyła się do Quarta. Pierwszy raz poczuł jej bliskość tuż obok. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim znów się oddaliła.

– Xaloc zaokrętował się właśnie tutaj – dodała. – Fregata nazywała się „Nausicaa”. Carlocie nawet nie pozwolono się z nim pożegnać. Widziała z gołębnika, jak żaglowiec odpływa, i choć jest niemożliwe, by rozpoznała go z tak daleka, zawsze twierdziła, że stał na rufie, machając chusteczką aż do chwili, kiedy statek zniknął z pola widzenia.

– I co dalej działo się z marynarzem?

– Dobrze mu poszło. Po jakimś czasie został dowódcą statku, który przemycił towary między Meksykiem, Florydą a wybrzeżem Kuby – w głosie Macareny słychać było cień podziwu, a Quart przez chwilę zobaczył Manuela Xaloca na kapitańskim mostku, między dwoma światełkami, a na horyzoncie słup dymu. – Mówią, że nie był to święty człowiek i że trudnił się piractwem. Pewne statki, których kurs skrzyżował

się z jego trasą, znajdowano potem dryfujące, całkowicie złupione w tajemniczych okolicznościach, inne tonęły bez śladu. Myślę, że spieszył się, chciał szybko zbić majątek i wrócić... Przez sześć lat pływał po Karaibach i zyskał spory rozgłos. W Stanach wyznaczono cenę za jego głowę. I pewnego dnia, niespodziewanie, wylądował w tym samym miejscu, z prawdziwą fortuną w listach bankowych i złotych monetach; miał też aksamitną torebkę, w której przywiózł dwadzieścia pereł na swój ślub.

– Mimo że nie dostawał od niej żadnych wiadomości?

– Mimo to – zatrzymali się na pontonowym pomoście, którego betonowe filary wynurzały się z wody; między nimi rosły trzciny i wodorosty. – Myślę, że kapitan Xaloc też był romantykiem. Sądził, i miał rację, że mój pradziadek nie pozwalał Carlocie do niego pisać. Ale wierzył w jej miłość. Przecież powiedziała, że będzie na niego czekać. I w pewnym sensie nie mylił się. Czekala na niego w wieży, patrząc na rzekę – Macarena też patrzyła w jej ciemny nurt, pod pomostem. – Dwa lata wcześniej oszalała.

– Czy udało im się spotkać?

– Tak. Mój pradziadek był załamany, ale i tak początkowo nie chciał się zgodzić. Był grubianinem i łajdakiem, Xaloca obwiniał za nieszczęście, które się zdarzyło. Wreszcie, za radą lekarzy i na usilne prośby żony, zgodził się na spotkanie. Kapitan przyszedł pewnego popołudnia na patio, które pan już poznał, w mundurze marynarki handlowej – granatowy żakiet ze złotymi guzikami... Wyobraża sobie ksiądz tę scenę. Twarz ogorzała od morskiego słońca, posiwiałe wąsy i bokobrody. Podobno wyglądał na dwadzieścia lat więcej, niż naprawdę miał. Carlota nie poznała go. Potraktowała go jak obcego człowieka, nie odezwała się do niego słowem. Po dziesięciu minutach zabrzmiało dzwonięcie zegara, a ona powiedziała: „Muszę iść na wieżę. On może wrócić w każdej chwili”. I odeszła.

– A co powiedział Xaloc?

– Ust nie otworzył. Moja prababka rozplakała się, a pradziadek pogrzyził się w rozpacz. Kapitan wziął swoją czapkę i wyszedł. Wstąpił do kościoła, w którym w marzeniach widzieli swój ślub, i oddał proboszczowi dwadzieścia pereł Carloty. Noc spędził blakając się po dzielnicy Santa Cruz, a o świcie odpłynął pierwszym statkiem, jaki podniósł w porcie cumy. Tym razem nikt nie widział, żeby machał chusteczką.

Na ziemi leżała pusta puszka po piwie. Macarena popchnęła ją nogą tak, żeby wpadła do wody. Dał się słyszeć cichy plusk i oboje przyglądali się, jak mała, ciemna plamka odpływa niesiona prądem.

– Resztę – powiedziała – można przeczytać w gazetach z tamtych czasów. Był rok 1898, i w czasie gdy Xaloc płynął z powrotem, „Maine” płonął w porcie hawańskim. Rząd hiszpański zezwolił na wojnę korsarską przeciw Stanom Zjednoczonym i zaraz po przyjeździe kapitan przyłączył się do niej. Dowodził uzbrojonym, bardzo szybkim

jachtem „Manigua”, którego załogę stanowiła zbieranina antylskich łotrów. Na nim udawało mu się przełamać blokadę. W czerwcu 1898 zaatakował i zatopił dwa statki handlowe w Zatoce Meksykańskiej, a potem w nocy napotkał kanonierkę „Sheridan” i żaden z okrętów nie wyszedł z tego spotkania cało...

– Mówi to pani z dumą.

Macarena roześmiała się. Była dumna z człowieka, który mógł być jej ciotecznym dziadkiem, gdyby nie ślepa głupota rodziny. Manuel Xaloc był prawdziwym mężczyzną i pozostał nim do końca. Czy Quart wiedział, że przeszedł do historii jako ostatni hiszpański korsarz, jedyny, który działał podczas wojny kubańskiej? Po jego śmierci pojawiła się legenda, jakoby przełamał blokadę portu Santiago, przewożąc nocami wiadomości i posiłki dla generała Cervery. O świcie 3 lipca wypłynął z portu wraz z innymi okrętami. Mógł zostać w porcie, bo należał do marynarki handlowej i nie podlegał rozkazom wojskowym, wyruszył jednak z eskadrą, co do której nikt nie miał złudzeń – stare krypy ze słabymi silnikami i marnym uzbrojeniem przeciwko amerykańskim pancernikom i krążownikom. Chciał jednak odpłynąć. Zrobił to jako ostatni, kiedy wszystkie hiszpańskie okręty, wypływające jeden po drugim, albo już stały w płomieniach, albo tonęły. Nie próbował bynajmniej uciec, ale cała naprzód ruszył wprost na nieprzyjacielskie jednostki, z czarną banderą wywieszoną obok hiszpańskiej. Nawet kiedy tonął, próbował jeszcze atakować pancernik *Indiana*. Nikt nie przeżył.

Światła Triany, odbite w rzece, poruszały się łagodnie na twarzy Macareny.

– Widzę – powiedział Quart – że nieźle zna pani jego historię.

Uśmiech powoli spływał na jej twarz, na dobre jednak się nie pojawił.

– Pewnie, że znam. Ze sto razy czytałam relacje z tej bitwy. W skrzyni trzymam nawet wycinki prasowe.

– Czy Carlota nigdy się o tym nie dowiedziała?

– Nie – usiadła na jednej z kamiennych ławek, naprzeciwko pływającego pomostu i szukała w torbie papierosów. – Czekala w oknie jeszcze dwanaście lat, patrząc na Gwadalkiwir. Powoli statki znikaly, a port upadał. Żaglowce przestały pływać w górę rzeki. I pewnego dnia ona też zniknęła ze swojego okna – włożyła papierosa do ust, a ręką sięgnęła za dekolt, do lewego ramienia, po zapalniczkę. – Wtedy historia jej i kapitana Xaloca były już legendą. Mówiłam księdzu, że nawet pisano o nich piosenki. Została pochowana w krypcie kościoła, w którym miała wziąć ślub. I na polecenia mojego dziadka Pedro, który po śmierci ojca Carloty został głową rodziny, dwadzieścia pereł, niby dwadzieścia łez, zostało umieszczonych na figurze Matki Boskiej.

Zapaliła papierosa, osłaniając dłonią płomień zapalniczki, poczekała, aż ostygnie i znów schowała ją za ramię stanika, nie zwracając uwagi na sposób, w jaki Quart przygląda się jej ruchom. Zatopiona w opowieści o kapitanie Xalocu.

– To był hołd – ciągnęła z płonącym żarem papierosowym między palcami – złożony przez mojego dziadka pamięci jej siostry i człowieka, który mógłby być jego szwagrem. Kościół jest teraz wszystkim, co po nich zostało. Kościół i pamiątki po Carolcie, jej listy i cała reszta – spojrzała na Quarta, jakby nagle przypomniała sobie o jego obecności. – Łącznie z pocztówką.

– Pozostała jeszcze pani i pani pamięć.

Poświata księżycy była na tyle jasna, by oświetlić uśmiech na twarzy Macareny. Nie było w nim jednak ani cienia wesołości lub zadowolenia.

– Umrę tak samo, jak umarli inni – powiedziała cicho. – A skrzynia i jej zawartość skończą na licytacji, między innymi zakurzonymi przedmiotami – zaciągnęła się dymem, a potem szybko wypuściła go, jakby ze złością. – Tak jak kończy się wszystko.

Quart usiadł obok niej. Ich ramiona lekko się dotykały, nie zrobiła jednak żadnego gestu, by zwiększyć tę odległość. Przyjemna była ta bliskość. Dotarł do niego łagodny aromat jaśminu, zmieszany z zapachem jasnego tytoniu.

– I dlatego wydała pani walkę.

Powoli poruszyła głowę.

– Tak. To nie jest walka księdza Ferro, ale moja. Walka przeciwko czasowi i zapomnieniu – nadal mówiła bardzo cicho, Quart musiał wytyczać słuch, żeby zrozumieć jej słowa. – Należę do wymierającej kasty i jestem tego świadoma. Tak jest lepiej, bo nie ma już miejsca dla ludzi takich, jacy byli w mojej rodzinie, ani dla wspomnień, takich jak moje... Ani dla historii pięknych i tragicznych, jak losy Caroloty Bruner i kapitana Xaloca – żar papierosa rozbłysnął przy jej ustach. – Ograniczam się do wydania mojej osobistej wojny, obrony mojej przestrzeni – mówiła już nieco głośniejszym głosem, nie wyglądała na całkiem zatopioną w swoich myślach. Teraz zwróciła się wprost do Quarta. – Kiedy ona się skończy, wzruszę ramionami i finał przyjmę ze spokojnym sumieniem; tak jak żołnierze, którzy poddają się po wystrzeleniu ostatniego naboju. Kiedy wypełnię obowiązek, jaki narzuca mi moje nazwisko i to wszystko, co kocham. W tym Matka Boska Płacząca i pamięć Caroloty.

– Dlaczego miałyby wszystko tak się skończyć? – zapytał Quart łagodnie. – Może pani mieć dzieci.

Jej twarz skrzywiła się jak w grymasie bólu. Potem zapadła chwila nieprzyjemnego milczenia, bardzo długa, wreszcie Macarena odezwała się:

– Niech mnie ksiądz nie rozśmiesza. Moje dzieci byłyby kosmitami siedzącymi przed ekranami komputerów, ubranymi jak w amerykańskich serialach komediowych, a nazwisko kapitana Xaloca brzmiałoby dla nich, jakby był bohaterem

filmów rysunkowych – wrzuciła niedopałek w nurt rzeki, a Quart śledził wzrokiem lot żaru, dopóki nie zniknął w wodzie. – Zaoszczędzę sobie takiego finału. To, co ma umrzeć, umrze ze mną.

– A pani mąż?

– Nie wiem. Sam ksiądz go widział i to w dobrym towarzystwie – zaśmiała się krótko, z taką pogardą i okrucieństwem, że Quart pomyślał, iż nie chciałby nigdy być przedmiotem podobnego śmiechu. – Każmy zapłacić mu wszystkie rachunki... Poza tym Pencho należy do tego typu ludzi, którzy lubią zastukać w bar i z dumą zapłacić za wszystko – pochyliła głowę, a w ruchu tym była groźba lub jej zapowiedź. – Tym razem jednak rachunek będzie bardzo wysoki. Drogo zapłaci.

– Czy ma jeszcze u pani szansę?

Przyglądała mu się uważnie, z szyderczym zaciekawieniem.

– Z czym? Ze swoim biznesem wokół kościoła? Z tą wulgarną dziewczuchą z wielkimi cycami? U mnie? – kiedy poruszała się w mroku, w jej ciemnych oczach odbijały się odległe światła i bladość księżycowej poświaty. – Każdy mężczyzna ma u mnie więcej szans niż on. Nawet ksiądz.

– Mnie proszę do tego nie mieszać – powiedział Quart. Ton jego głosu musiał być przekonujący, bo z ciekawością zwróciła ku niemu głowę.

– Dlaczego miałabym nie mieszać księdza? To byłaby piękna zemsta. I miła. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Zemsta na kim?

– Na Pencho. Na Sewilli. Na wszystkim.

Cichy, płaski cień holownika sunął w dół rzeki, odbijając się w światłach drugiego brzegu. Po chwili dotarł do nich stłumiony hałas silników, jakby wcale nie pochodził ze statku, który sprawiał wrażenie niesionego jedynie nurtem wody.

– Wygląda jak statek widmo – powiedziała. – Tak samo jak żaglowiec, którym odpłynął kapitan Xaloc.

Jedyne widoczne światło statku, samotna lampka burtu, oświetlało na czerwono jej twarz. Patrzyła na nie, aż do chwili, kiedy w zakolu rzeki statek zakreślił i zobaczyła zielone światło przeciwnej burty. Potem czerwone światełko powoli schowało się i pozostał tylko nikiący maleńki, zielony ślad, który też roztopił się w ciemności.

– Zjawia się w takie noce – dodała po chwili. – Przy takim księżycu. A Carlota staje w swoim oknie. Chce ją ksiądz zobaczyć?

– Kogo?

– Carlotę. Możemy pójść do ogrodu i poczekać. Jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Nie chciałby ksiądz pójść tam ze mną?

– Nie.

Spojrzała na niego, nic nie mówiąc. Wyglądała na zaskoczoną.

– Zastanawiam się – powiedziała po chwili – skąd bierze ksiądz tę cholerną zimną krew?

– Nie jest taka zimna, jak pani sądzi – Quart roześmiał się cicho. – W tej chwili trzęsą mi się ręce.

To była prawda. Musiał bardzo się powstrzymywać, żeby nie objąć nimi szyi kobiety, pod końskim ogonem, i nie przyciągnąć jej do siebie. Rany Boskie. Z jakiegoś ciemnego zakątka świadomości dochodził do niego śmiech arcybiskupa Paolo Spady. Odrażające postaci Salome, Jezabel. Szatański wymysł. Ujęła jego dłoń i splotła ze swoimi palcami, sprawdzając, czy drżenie jest prawdziwe. Jej ręka była ciepła i miękka, po raz pierwszy nie był to dotyk w uścisku powitania. Quart delikatnie uwolnił dłoń i bardzo mocno uderzył pięścią w kamienną ławkę, na której siedzieli. Ból dotarł do ramienia jak nagły wybuch.

– Myślę, że już pora wracać – powiedział wstając.

Patrzyła to na jego rękę, to na twarz, zdumiona. Podniosła się bez słowa i poszli razem w kierunku Arenal, ostrożnie, by nie dotknąć się nawzajem. Quart zagryzał wargi, żeby nie jęczeć z bólu. Czuł, jak krew spływa mu po palcach z roztrzaskanych kostek.

Pewne noce trwają zbyt długo, a ta jeszcze się nie skończyła. Kiedy Quart dotarł do hotelu Doña María i od zaspanego portiera odbierał klucz, Honorato Bonafé siedział na fotelu w hallu, czekając na niego. Pośród wielu nieprzyjemnych cech tego osobnika, pomyślał ksiądz, była również zdolność pojawiania się w najmniej stosownej chwili.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Nie, nie możemy.

Ukrywając okaleczoną dłoń w kieszeni i z kluczem w drugiej, Quart skierował się do windy, ale Bonafé zagroził mu drogę. Uśmiechał się w ten sam lepki sposób, co podczas poprzedniego spotkania. Był też tak samo ubrany – w beżowy wymięty garnitur, a w ręce trzymał torbę z paskiem owiniętym wokół nadgarstka. Quart spojrzał z góry na polakierowane przez fryzjera włosy dziennikarza, przedwczesny drugi podbródek, oczy malutkie i sprytne, które go obserwowały. Cokolwiek sprowadzało tutaj tego osobnika, nie mogło zapowiadać niczego dobrego.

– Prowadziłem własne śledztwo – powiedział Bonafé.

– Proszę odejść – odparł Quart, gotów poprosić portiera, żeby go wyrzuciono.

– Nie chce ksiądz wiedzieć, czego się dowiedziałem?

– Nie interesuje mnie nic, co pana dotyczy.

Bonafé zacisnął wilgotne wargi z wyrazem ubolewania, zachowując jednak uśmiech nikiemny i jednocześnie usłużny.

– Szkoda – powiedział z żalem. – Moglibyśmy dojść do porozumienia. Moja propozycja jest wspaniałomyślna – poruszał tłustym brzuchem, kołysząc się na stopach. – Ksiądz mi powie kilka rzeczy, które ja potem opiszę, o tym kościele i proboszczu, a ja w zamian podam pewien fakt, którego ksiądz nie zna – uśmiech stał się wyraźniejszy. – A przy okazji nie wspomnimy o nocnych spacerach księdza.

Quart zatrzymał się, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– O czym pan mówi?

Dziennikarz wydawał się zadowolony z obudzenia ciekawości Quarta.

– O tym, czego dowiedziałem się na temat księdza Ferro.

– Pytam – Quart, nadal opanowany, przyglądał mu się uważnie – o te nocne spacery.

Rozmówca uniósł swoją drobną łapkę, o wypielegnowanych przez manikiurzystkę paznokciach, jakby ujmując sprawie znaczenia.

– Co więcej mam księdzu powiedzieć? – puścił do niego oko. – Mówię o bujnym życiu towarzyskim księdza w Sewilli.

Quart ścisnął klucz w zdrowej dłoni, rozpatrując możliwość użycia go przeciw natrętowi. To jednak było niemożliwe. Żaden duchowny, nawet ktoś tak całkowicie pozbawiony chrześcijańskiej łagodności i o specjalności takiej jak Lorenzo Quart, nie może bić się z dziennikarzem z powodu kobiety, tym bardziej w środku nocy i dwadzieścia metrów od Arcybiskupstwa Sewilli, na dodatek w parę godzin po wzięciu udziału w publicznej scenie z zazdrosnym mężem. Nawet jeśli się pracuje dla ISZ-u, za drobniejsze sprawy można pojechać ewangelizować Antarktydę. Dokonał nadludzkiego wysiłku, żeby zachować spokój i powstrzymać wściekłość. Moja będzie zemsta, miał podobno wiedzieć sam Najwyższy.

– Proponuję księdzu układ – Bonafé dalej ciągnął swoje. – Opowiemy sobie trochę nawzajem, ja nie wspomnę o księdzu w całej tej historii i wszyscy będą zadowoleni. Może mi ksiądz ufać. To, że jestem dziennikarzem, nie znaczy, że lekceważę kodeks moralny – dotknął klatki piersiowej na wysokości serca, teatralnym gestem, z oczkami błyszczącymi cynicznie pod spuchniętymi powiekami. – Przecież moją religią jest Prawda.

– Prawda – powtórzył Quart.

– Właśnie.

– I jaką prawdę chce mi pan powiedzieć o księdzu Ferro?

Uśmiech człowieka stał się wyraźniejszy. Służalczy grymas. Propozycja spółki.

– No cóż – przyglądał się swoim paznokciom, zainteresowany ich połyskiem. – Miał problemy.

– Wszyscy je mamy.

Bonafé mlasnęła językiem, ze światową miną.

– Nie takie – zniżył głos, jakby się obawiał, by nie usłyszał go portier. – Podobno w swojej poprzedniej parafii potrzebował pieniędzy. No i sprzedał kilka rzeczy – bardzo cenną figurę, parę obrazów... Nie dbał o Winnicę Pańską we właściwy sposób – zaśmiał się, rozbawiony własnym dowcipem. – Albo sam wypił wino.

Quart stał nieporuszony. Miał wprawę w przyjmowaniu informacji po to, żeby analizować je później. Tak czy inaczej poczuł się mocno urażony w swojej dumie. Jeśli to prawda, powinien był o tym wiedzieć; nikt go jednak o tym nie poinformował.

– A co to ma wspólnego z Matką Boską Płaczącą?

Bonafé zaciskał wargi, taksując rozmówcę.

– W zasadzie nic. Ale zgodzi się ksiądz ze mną, że może z tego wyniknąć piękny skandal – uśmiech, którego Quart nie mógł ścierpieć, teraz stał się łajdacki. – Na tym polega dziennikarstwo, trochę weźmie się stąd, trochę stamtąd... Wystarczy odrobina prawdy, a już mamy opowieść na pierwszą stronę. Potem się dementuje, uzupełnia informację czy co tam trzeba. Ale tymczasem w ciągu tygodnia sprzedaje się

Quart spojrzał na niego z pogardą.

– Przed chwilą mówił pan, że pańską religią jest Prawda.

– Tak mówiłem? – odraza księdza odbiła się od uśmiechu, który robił wrażenie pancernego. – Niewątpliwie miałem na myśli prawdę przez małe p, proszę księdza.

– Precz.

– Słucham?

Bonafé przestał się uśmiechać. Cofnął się o krok, podejrzliwie przyglądając się ostrej końcówce klucza, który jego rozmówca trzymał w lewej dłoni. Quart wyciągnął też prawą rękę z kieszeni, ukazując spuchnięte kostki i skorupę zakrzepłej krwi, a wzrok dziennikarza, zaniepokojony, przesunął się z jednej dłoni na drugą.

– Mówię, żeby pan odszedł albo każę pana wyrzucić. Mogę nawet zapomnieć, że jestem duchownym, i sam to zrobię – postąpił krok w kierunku Bonafé, który znów się cofnął. – Kopniakami!

Dziennikarz zaproteutował słabo. Okaleczona ręka księdza budziła lęk.

– Nie odważy się ksiądz...

Nie powiedział nic więcej. Znał ewangeliczne precedensy – kupcy w świątyni i tym podobne. Bardzo wyraziste płaskorzeźby na ten temat były wręcz o parę kroków, na drzwiach do meczetu, między świętym Piotrem a świętym Pawłem, który dzierżył w ręce miecz. Zdrowa dłoń Quarta przeniosła go jakieś dwa, trzy metry do tyłu, w kierunku wyjścia, pod zdziwionym wzrokiem nocnego portiera. Czuł, jakby niósł coś drobnego i miękkiego, bezcielesnego. Zaskoczony Bonafé próbował dojść do siebie, poprawił na sobie ubranie, kiedy ostatnie pchnięcie wyrzuciło go prosto przez otwarte drzwi na ulicę. Torebka, którą nosił na pasku zaczepionym na nadgarstku, upadła na ziemię. Quart pochylił się, żeby ją podnieść, i rzucił pod stopy Bonafé, na chodnik.

– Nie chcę pana więcej widzieć – powiedział. – Nigdy.

W świetle latarni ulicznej widać było, że dziennikarz próbuje odzyskać swoją godność. Trzęsły mu się dłonie, miał potargane włosy, był biały ze wstydu i poniżenia.

– Ja jeszcze z księdzem nie skończyłem – w końcu udało mu się wydusić z siebie. Głos łamał mu się w niemal kobiecym szlochu. – Sukinsyn!

Nie był to pierwszy raz w życiu, kiedy Quarta nazywano w ten sposób, wzruszył więc tylko ramionami. Potem, uznając sprawę za zamkniętą, odwrócił się i ruszył przez hali w stronę swojego pokoju. Za ladą w recepcji, trzymając jeszcze dłoń koło telefonu, bo chwilę wcześniej zastanawiał się nad możliwością wezwania policji, nocny portier oczy miał okrągłe jak spodki. Jakbym nie widział, tobym nie uwierzył, mówił jego wzrok, mieszanina zaskoczenia i szacunku. Ale ksiądz...

Poza spuchnięciem i zdartą skórą na kostkach prawej dłoni nie było to nic groźnego, Quart mógł poruszać palcami. Przeklinając w głos własną głupotę, zdjął marynarkę i poszedł do łazienki, żeby przemyć ranę wodą utlenioną. Następnie przyłożył do ręki chusteczkę wypełnioną całym lodem, jaki znalazł w minibarze swojego pokoju. Przez chwilę stał w oknie, patrząc na plac Virgen de los Reyes i na oświetloną katedrę, nad dachem Arcybiskupstwa, nie mogąc przestać myśleć o Honorato Bonafé.

Kiedy lód się roztopił, ręka była już w dużo lepszym stanie. Podszedł do marynarki, wyjął całą zawartość kieszeni i zanim powiesił ją na wieszaku w szafie, ułożył wszystko na komodzie: portfel, długopis, wizytówki na notatki, papierowe chusteczki, pojedyncze monety. Poczta kapitana Xaloca leżała widokiem do góry, stara, poźółkła fotografia przedstawiała kościół, woziwodę z osiołkiem, rozmytym, jakby był duchem, w jasnym dymie, który otaczał cały widok. I wkrótce pojawił się obraz, głos, zapach Macareny Bruner. Nadeszła chwila, kiedy pękły tamy i wszystko się przelało. Kościół, jego misja w Sewilli, Bonafé – rozmyły się tak samo, jak sylwetka woziwody na pocztówce, a wszystko w jednej chwili stało się nią: zarysem jej uśmiechu w półmroku nabrzeża nad Gwadalkiwirem, miodowymi refleksami w jej ciemnych oczach, ciepłym zapachem jej bliskości, skórą na udzie, na którym Carmen w fabryce cygar skręcała wilgotne liście tytoniu, z podwiniętą spódnicą... Naga Macarena w upalne popołudnie, jej sylwetka odcinająca się od bieli prześcieradła, pod słońcem padającym poziomymi smugami między listewkami żaluzji, z drobnymi kropelkami potu u nasady czarnych włosów i na ciemnym łonie, i na rzęsach.

Nadal było bardzo gorąco. O prawie pierwszej w nocy otworzył prysznic i powoli rozebrał się, upuszczając ubranie na podłogę. Kiedy to robił, lustro szafy ukazało mu odbicie kogoś nieznanego: wysokiego mężczyzny o posepnym spojrzeniu, który zdjął buty, skarpetki i koszulę, a potem, już z nagim torsem, pochylił się, żeby rozpiąć

pasek, i czarne spodnie opadły na podłogę. Białe bawełniane slipy zsunęły się wzdłuż ud, ukazując członka pobudzonego myślą o Macarenie. Przez chwile Quart przyglądał się nieznanemu, który patrzył na niego z uwagą z drugiej strony lustra. Szczupły, o płaskim brzuchu i wąskich biodrach, silnej klatce piersiowej, z wyraźnym zaokrągleniem mięśni na ramionach i barkach. Nieźle wyglądał ten milczący facet, przypominający żołnierza bez wieku i poza czasem, pozbawiony koleczugi i broni. I zastanowił się, po co mu ten wygląd.

Szum wody i świadomość własnego ciała przywołały wspomnienie innej kobiety. Działo się to w Sarajewie, w sierpniu 92, podczas krótkiej i pełnej przygód podróży do bośniackiej stolicy, żeby wynegocjować uwolnienie Jego Ekscelencji Franjo Pavelića, chorwackiego arcybiskupa, wysoko cenionego przez Ojca Świętego. Jego życie zagrożone było z jednej strony przez bośniackich muzułmanów, a z drugiej przez Serbów. Przy tej okazji wystarczyło 100000 niemieckich marek, przywiezionych przez Quarta na pokładzie helikoptera z barwami Narodów Zjednoczonych, w walizeczce przypiętej łańcuszkiem do jego nadgarstka i pod eskortą francuskich niebieskich hełmów, aby obie strony zgodziły się na ewakuację prałata do Zagrzebia, tak by nie zastrzelono go na ulicznym posterunku, jak to się stało z arcybiskupem Jesićem, zabitym przez snajpera. To był najcięższy etap w dziejach Sarajewa, z atakami bombowymi na kolejki stojące po wodę i chleb, codziennie dwudziestu, trzydziestu zabitych i setki rannych, stłoczonych, bez światła ani lekarstw w szpitalu w Kosewie. Zabrakło już miejsca na cmentarzu i ofiary grzebano na stadionie piłkarskim. Jasmina nie była właściwie prostytutką. Należała do dziewczyn, które wynajmowały się w roli tłumaczek dziennikarzom i dyplomatom w hotelu Holiday Inn i często wymieniały z nimi coś więcej niż tylko słowa. Cena Jaśminy była równie względna, jak wszystko w tamtym mieście: puszka konserwy, paczka papierosów. Podeszła do Quarta, zachęcona jego duchownym strojem, i opowiedziała mu historię, która w tym oblężonym mieście nie była zbyt oryginalna: ojciec inwalida, bez papierosów, wojna, głód. Quart obiecał jej znaleźć papierosy i coś do jedzenia, a ona wróciła wieczorem, ubrana na czarno, żeby ukryć się przed snajperami. Za kilka marek Quartowi udało się zdobyć pół kartonu marlboro i kilka wojskowych racji żywności. Tamtej nocy w pokojach była bieżąca woda, a ona poprosiła o zgodę, żeby się wykąpać po raz pierwszy w tym miesiącu. Rozebrała się przy świetle świecy i weszła pod strumień wody, podczas gdy on przyglądał się jej zafascynowany, oparty plecami o framugę drzwi. Była jasnowłosa, miała jasną skórę i duże, twarde piersi. Kiedy woda spływała po jej skórze, odwróciła się do Quarta z zachęcającym, pełnym wdzięczności uśmiechem. On jednak nie ruszył się, tylko odwzajemnił uśmiech. I nie była to tym razem sprawa zasad. Po prostu pewnych rzeczy nie można robić w zamian za pół kartonu papierosów i racje żywnościowe. Kiedy już była sucha i ubrana, zeszli do

hotelowego baru i przy świetle kolejnej świecy wypili pół butelki koniaku, podczas gdy na zewnątrz dalej spadały serbskie bomby. Potem, trzymając papierosy i jedzenie, Jasmina szybkim pocałunkiem musnęła wargi księdza i pobięła w ciemność.

Cienie i twarze kobiet. Zimna woda spływając po twarzy i ramionach bardzo dobrze robiła Quartowi. Okaleczoną rękę trzymał poza strumieniem wody, opartą o kafelki na ścianie, i przez chwilę stał tak, nieruchomo, z gęsią skórą. Następnie wyszedł spod prysznicy, woda ściekała z całego ciała i pozostawiała ślady na kafelkach podłogi. Wytarł się lekko ręcznikiem i położył na łóżku na wznak. Twarze kobiet i cienie. Jego nagie ciało odbiło swój kształt na prześcieradle. Położył okaleczoną rękę między udami i poczuł, jak sztywnieje i rośnie jego ciało, pobudzone myślą i wspomnieniami. W oddali widział przed sobą postać człowieka wędrującego samotnie, pomiędzy światłami. Samotny templariusz, na pustkowiu, pod niebem bez Boga. Zamknął oczy, z lękiem. Starał się modlić, stając naprzeciw pustki ukrytej w każdym słowie. Poczul wszechogarniającą samotność. Spokojny i beznadziejny smutek.

X

In Idu Oculi

*Przyjrzyjcie się temu domowi.
Zbudował je duch święty.
Chronią go magiczne bariery.
(Księga Umarłych)*

Okolo południa Quart poszedł do kościoła, wcześniej złożywszy wizyty w Arcybiskupstwie i u komisarza Navajo. Kościół Matki Boskiej Płaczącej był pusty, a jedyny znak życia stanowiła lampka Najświętszego Sakramentu, świecąca przy ołtarzu. Usiadł w jednej z ławek i przez chwilę patrzył wokół, na rusztowania wzdłuż murów, pociemniałe sklepienia, złożone płaskorzeźby i ołtarz w mroku. Kiedy Oscar Lobato wyszedł z zakrystii, nie okazał zdziwienia jego obecnością. Podeszedł do niego powoli i przyglądał się wyczekująco. Wikariusz ubrany był w szarą duchowną koszulę, dzinsy i sportowe buty. Wydawał się dużo starszy niż podczas ostatniego spotkania. Jego jasne włosy były zmierzwiłone, a zza okularów wyglądały oczy, podkrążone ze zmęczenia. Skórę miał przetłuszczoną, jak zwykle gdy wstaje się bardzo wcześnie lub nie przesypia całej nocy.

– Nieszpory znów atakuje – odezwał się Quart.

I pokazał mu kopię faksu otrzymanego przed chwilą z Rzymu, dokąd wiadomość dotarła około pierwszej, akurat kiedy dyskutował z Bonafé w hallu hotelu Doña María. Agent ISZ-u nie powiedział jednak o tym księdzu Oscarowi ani też, że podobnie jak w poprzednim przypadku ekipie ojca Arregui udało się skierować intruza do równoległego katalogu, gdzie zostawił swoją wiadomość w przekonaniu, że umieścił ją

w osobistym komputerze Ojca Świętego. Kiedy ojciec Garofi ruszył jego tropem, ten doprowadził go do linii telefonicznej w El Corte Ingles, domu handlowym w centrum Sewilli; tu pirat podłączył się, żeby zamaskować swoje wejście.

Jesteście uprawną rolą Bożą i Bożą budowlą. Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta.

- Pierwszy List do Koryntian – powiedział ksiądz Oscar, oddając kartkę Quartowi.
- Czy wiadomo coś księdzu o tym?

Wikariusz patrzył na niego z miną zasmuconą, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak ograniczył się do przeczącego ruchu głową, siadając obok niego.

- Nadal ksiądz strzela na oślep – powiedział w końcu.

Przez chwilę milczał, a potem wykrzywił usta:

- Wcale nie jest ksiądz taki dobry, jak mówili – dodał.

Quart schował wiadomość od Nieszporów do kieszeni.

- Kiedy ksiądz wyjeżdża?

– Jutro wieczorem.

- Wygląda na to, że nowa parafia księdza nie będzie taka zła.

– Będzie gorsza – uśmiechał się ze smutkiem. – Tam pada przez półtora dnia w roku. To mniej więcej tak, jakby mnie zesłano na pustynię Gobi.

Patrzył z ukosa na swojego rozmówcę, może jemu właśnie przypisywał winę. Quart podniósł rękę i pokazał pustą dłoń.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego – powiedział łagodnie.

– Wiem – Oscar Lobato palcami dłoni zaczesał włosy do tyłu i przez chwilę zachował milczenie, przyglądając się lampce zapalanej przed ołtarzem. – To Jego Ekscelencja don Aquilino Corvo osobiście wyrównuje ze mną porachunki. Uważa, że go zdradziłem – zaśmiał się zjadliwie, a następnie zwrócił się do Quarta. – To było tak. Byłem młodym, zaufanym duchownym, z obiecującą przyszłością. Dlatego wysłano mnie do księdza Príamo jako wtykę. A ja zamiast być kretem Arcybiskupstwa przeszedłem na stronę wroga.

- Najwyższa zdrada – zauważył Quart.

– Właśnie. Pewnych spraw hierarchia kościelna nigdy nie wybacza.

Quart przytaknął. Sam mógł to zaświadczyć.

– Dlaczego ksiądz to zrobił? Przecież wiedział ksiądz lepiej niż ktokolwiek inny, że to przegrana sprawa.

Wikariusz skrzyżował stopy na drewnianym klęczniku ławki i patrzył na buty.

– Myślę, że na to pytanie odpowiedziałem podczas naszej ostatniej rozmowy – okulary zsuwały mu się z nosa, uwydatniając jego bezbronny wygląd. – Wcześniej czy

później don Príamo zostanie usunięty z parafii i nadejdzie czas kupców... Jego kościół zostanie zburzony i rzuca losy o jego suknię – zaśmiał się mrocznie, podobnie jak chwilę wcześniej, ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie przed sobą. – Ale teraz wcale nie jestem taki pewny, czy sprawa jest przegrana.

Westchnął cicho, zastanawiając się, czy rozmawianie z Quartem o tym wszystkim ma w ogóle sens. Potem podniósł wzrok ku ołtarzowi, ku sklepieniu, i tak pozostał, niemal nieruchomo. Robił wrażenie bardzo zmęczonego.

– Jeszcze kilka miesięcy temu byłem świetnie zapowiadającym się duchownym – powiedział po chwili. – Wystarczyłoby, żebym trzymał się arcybiskupiego fotela i nic nie mówił... Tutaj jednak odkryłem moją godność ludzką i kapłańską – rozglądał się wokół, jakby szukając na ścianach zastawionych rusztowaniami ukrytych argumentów do swojego wystąpienia. – Prawda, że to brzmi paradoksalnie? Ale ukazał mi to stary, nieznośny przez swój wygląd i maniery, aragoński ksiądz, uparty jak osioł, przywiązany do łaciny i zafascynowany astronomią – rozparł się w ławce, zakładając ramiona na piersi, i znów zwrócił się do Quarta: – Tak się sprawy mają. Dawniej uważałem, że przyszłość, która mnie czeka, to prawdziwa tragedia. Dzisiaj inaczej na to patrzę. Bóg jest wszędzie, w każdym zakątku, bo idzie razem z nami. Jezus Chrystus pościł przez czterdzieści dni na pustyni. Arcybiskup Corvo tego nie wie, ale właśnie teraz naprawdę czuję się kapłanem, bo mam sprawę, o którą chcę walczyć. Przez to zesłanie zyskają tyle, że stanę się bardziej waleczny i silniejszy – uśmiechnął się beznadziejnie, ze smutkiem. – Dzięki nim moja wiara zyskała pancierz.

– Czy Nieszpory to ksiądz?

Ksiądz Oscar zdjął okulary i przecierał szkła koszulą. Krótkowzroczne oczy patrzyły na Quarta z niedowierzaniem.

– Tylko to jedno księdza interesuje, prawda? Kościół, ksiądz Ferro, ja sam, jesteśmy księdzu zupełnie obojętni – mlasnęła językiem z pogardą. – Ksiądz wypełnia swoją misję.

Wyczyścił jedno szkło, a potem drugie, nieuważnie, jakby jego myśli krążyły daleko.

– Kim jest Nieszpory – dodał po chwili – to najmniej ważne. Istotne jest ostrzeżenie i odwołanie się do tego, co jeszcze pozostało ze szlachetności w podstawach firmy, w której i ksiądz, i ja pracujemy – założył okulary na nos. – Przypomnienie, że jeszcze istnieją uczciwość i przyzwoitość.

Quart uśmiechnął się raczej bez sympatii.

– Ile ksiądz ma lat? Dwadzieścia sześć? To przechodzi z wiekiem.

Grymas pogardy wykrzywił usta księdza Oscara.

– Tego cynizmu nabawił się ksiądz w Rzymie czy już się z nim urodził? – Poruszył głową. – Niech się ksiądz nie wygłupia. Don Príamo Ferro jest uczciwym człowiekiem.

Quart powstrzymał sarkazm. Godzinę wcześniej był w Arcybiskupstwie i w archiwum starannie zapoznał się z aktami księdza Ferro. Wszystkie szczegóły dotyczące tych akt osobiście potwierdził punkt po punkcie arcybiskup Corvo podczas krótkiej rozmowy, przeprowadzonej w Galerii Prałatów pod portretami Ich Eksceleencji Gaspara Borja (1645) i Agustina Spinoli (1640). Dziesięć lat temu ksiądz Ferro został poddany śledztwu kościelnemu w diecezji Huesca i potwierdzono zarzut nielegalnego handlu dobrami kościelnymi. Pod koniec jego kierowania parafią Cillas de Anso, w Pirenejach, zniknęło malowidło na desce oraz figura ukrzyżowanego Chrystusa. Chrystus nie był niczym specjalnym, ale za obrazem z pierwszej ćwierci piętnastego wieku, przypisywanym Mistrzowi z Retascón, zatęsknił miejscowy biskup. Parafia była trzeciorzędna, a tego typu wypadki w tamtych czasach były dość pospolite, bo proboszczowie dysponowali z całkowitą niemal swobodą majątkiem powierzonym ich pieczy. Ksiądz Ferro nieźle w sumie z tego wyszedł, otrzymał jedynie upomnienie od ordynariusza.

Zbieżność tych danych z insynuacjami Honorato Bonafé była zaskakująca; Quart wyczuł, że arcybiskup Corvo, zwykle bardzo powściągliwy, a przy tej okazji nadzwyczaj otwarty, nie był specjalnie zasmucony faktem, że ciemna sprawka z przeszłości księdza Ferro jest znana i komentowana. Nawet zaczął się zastanawiać, czy źródło informacji dziennikarza – mniej lub bardziej bezpośrednie – nie nosi odcisku biskupiego pierścienia i cienia purpurowego otoku sutanny. Tak czy inaczej historia z Cillas de Anso była prawdą; Quart dostał drugi odcinek tej samej opowieści w Prefekturze Policji, gdzie podkomisarz Navajo odbył kilka rozmów telefonicznych ze swoim madryckim kolegą, inspektorem Feijoo, dowodzącym jednostką zajmującą się handlem dziełami sztuki. Malowidło Mistrza z Retascón, podobne w każdym szczególe do tego, które zniknęło z Cillas de Anso, zostało zakupione legalnie, z formalnym pokwitowaniem, przez dom aukcyjny Claymore w Madrycie i odsprzedane za bardzo wysoką cenę. Dyrektor Claymore'a, znany marszand o nazwisku Francisco Montegrifo potwierdził, że zapłatę przyjął ksiądz, don Príamo Ferro Ordas. Zapłata ta była śmiesznie niska w porównaniu z sześciokrotnie wyższą ceną, jaką malowidło osiągnęło na aukcji. To jednak – podkreślił Montegrifo w rozmowie z inspektorem Feijoo, a ten z kolei w rozmowie z podkomisarzem Navajo – kwestia popytu i podaży.

– Co do uczciwości księdza Ferro – odezwał się Quart do wikariusza. – Nie ma ksiądz pewności, że zawsze był bez skazy.

Oscar Lobato spojrzał na niego z niechęcią.

– Nie wiem, co ksiądz insynuuje, i jest mi to obojętne. Szanuję człowieka, którego znam. Swojego Judasza proszę szukać gdzie indziej.

– To ostatnie słowo? Może jest jeszcze czas.

Nie powiedział, na co. Tamten spojrzał na niego z wrogą ciekawością.

– Czas? To mi pachnie obietnicą przebaczenia. Okaże mi się łaskę, jeśli zacznę współpracować – poruszał głową, nie dowierzając, że to się dzieje naprawdę, i zaraz wstał. – To zabawne. Don Priamo powiedział mi wczoraj, po rozmowie, jaką przeprowadziliście w domu księżnej, że chyba ksiądz zaczyna rozumieć. Nieważne jednak, czy ksiądz rozumie, czy nie. Najważniejsze to znaleźć posłańca, prawda? Dla księdza i zwierzchników księdza zło nie leży w samej sprawie, ale w tym, że ktoś odważył się o niej wspomnieć. Wszystko ogranicza się do głowy, którą należy ściąć.

Poruszał głową w ten sam sposób jak poprzednio, rzucił ostatnie pełne pogardy spojrzenie na Quarta i odszedł w kierunku zakrystii. Nagle, jakby pod wpływem jakiejś myśli, zatrzymał się w pół drogi.

– Kto wie, może Nieszpory jest w błędzie – powiedział na wpeł odwrócony do Quarta, głosem odbijającym się od sklepienia. – Może nawet Ojciec Święty nie zasługuje na wiadomości od niego.

Promień słońca poruszał się powoli z lewa na prawo po wytartych płytach posadzki przed głównym ołtarzem. Quart przyglądał mu się przez chwilę, a następnie podniósł wzrok do góry, na witraż, przez który wpadało światło: *Zdjęcie z Krzyża*, ale Chrystusowi brakowało kolorowych szybek na piersi, głowie i nogach. Rezultat był taki, jakby święty Jan i Matka Boska zdejmowali z krzyża jedynie dwoje ramion, zawieszonych w pustce, a obramowanie nie istniejącej sylwetki przywodziło na myśl widmo – rozplywająca się obecność, powodująca, że cierpienie oraz wysiłek matki i ucznia były daremne.

Wstał i ruszył do głównego ołtarza, ku wejściu do krypty. Przy żelaznej kratce, zamykającej dostęp do stopni prowadzących w dół, dotknął czaszki wyrzeźbionej w nadprożu i tak samo jak poprzednim razem chłód kamienia zmroził mu krew przepływającą przez nadgarstek. Opanowawszy nieprzyjemne uczucie, wywołane przez ciszę kościoła, ciemne stopnie i stęchłe, wilgotne powietrze dochodzące z dołu, Quart zmusił się do pozostania nieruchomo w tym miejscu, wpatrując się w czerń krypty. Od greckiego słowa *kriptos*, ukryte, szepnął. Tam kamienie kryły w sobie klucze do innych czasów, życia innych ludzi. Tam spoczywały kości czterestu książąt del Nuevo Extremo i cień Carloty Bruner.

Rozcierając zdrętwiały nadgarstek, Quart zwrócił się teraz do głównego ołtarza, oproszonego złotym światłem padającym przez witraże tak, że wewnętrzne szczegóły pozostawały w cieniu, a uwydatniały się rzeźby pozostające na zewnątrz – drobne zdobienia o roślinnych kształtach i aniołowie, a także głowy modlących się postaci Gaspara Brunera de Lebrija i jego żony. W środku, w niszy pod baldachimem, za rusztowaniem z połączonych śrubami metalowych rurek podtrzymujących niewielką platformę, figura Matki Boskiej wznosiła oczy ku niebu, a perły kapitana Xaloca

spływały jak łzy po twarzy i niebieskiej tunice. Stojąca na półksiężycu postać naga stopą miażdżyła głowę węża, który odebrał ludziom niebo w zamian za jasność myślenia. Meduza, której widok zmieniał w kamień po to, by została dochowana straszna tajemnica. Izyda i Ceres, Astarte, Tanit czy Maria: nieważne jest imię, nadawane istocie zawierającej w sobie takie pojęcia jak matka, schronienie, opieka, lęk przed ciemnością, zimnem, nicością. Może przyprawić o zawrót głowy liczba symboli, które dałoby się przywołać dla tej postaci poprzez religie i wieki. Stojąca na półksiężycu, ubrana na niebiesko, w symbolicznym kolorze nocnej gwiazdy, ale też sumeryjskich cieni, podstawa heraldyki, ziemia, śmierć.

Promień słońca na posadzce przesunął się na prawo, na kolejną płytę, i cały czas się zmniejszał, kiedy agent ISZ-u szedł do środka nawy i ponad rusztowaniem przyglądał się gzymsowi, którego kawałek oderwał się, niosąc śmierć sekretarzowi arcybiskupa. Podszedł do tego miejsca i spróbował poruszyć metalową konstrukcję, ale była zabezpieczona i nawet nie drgnęła. Zatrzymał się mniej więcej w miejscu, gdzie stał ojciec Urbizu, kiedy został trafiony w głowę. Dziesięć kilogramów stiuku spadające z wysokości około dziesięciu metrów musiało być śmiertelne. W przejściu na rusztowaniu było miejsce, z którego tynk ten mógł też zostać zrzucony, ale policyjny raport negował taką możliwość. To oraz sprawa miejskiego architekta, który potknął się na dachu – tym razem przy świadkach, pomyślał Quart z ulgą – w obu śmiertelnych wypadkach możliwość interwencji ludzkiej została odrzucona, a odpowiedzialność spadła, jak utrzymywali Nieszpory i ksiądz Ferro, na gniew Boży. Albo na Przeznaczenie, co w ocenie Quarta było dobrym wytłumaczeniem kaprysów okrutnego zegarmistrza Kosmosu, który budził się chyba każdego ranka skory do żartów. Albo na pecha bóstw rabelaisowskich, zaspanych i niezgrabnych, niczym bogowie opisani przez Heinego, którym kromka chleba przy śniadaniu spada zawsze na ziemię stroną posmarowaną masłem.

Na tym etapie śledztwa Quart znalazł aż nadto motywów działania Nieszporów. Jego wiadomości odwoływały się do sprawiedliwości i zdrowego rozsądku Rzymu; były domaganiem się praw dla starego księdza, który wydawał ostatnią bitwę w zapomnianym zakątku szachownicy. Miał jednak nieco racji ksiądz Oscar – Nieszpory pomylił się, wysyłając te wiadomości. Ani Rzym nie potrafił ich zrozumieć, ani arcybiskup Spada nie wysłał odpowiedniej osoby. Świat i idee, do których odwoływał się pirat informatyczny, przestały istnieć dawno temu. To tak, jakby po wojnie nuklearnej, która całkowicie zniszczyła Ziemię, satelity wystrzelone w kosmos nadal słały swoje niepotrzebne już sygnały na martwą planetę, wiernie i cicho krążąc gdzieś w górze, w samotności nieskończonych przestrzeni.

Quart zrobił kilka kroków do tyłu, przebiegł wzrokiem konstrukcję rusztowania i zniszczone witraże w oknach lewego muru kościoła. Następnie odwrócił się w kierunku nawy – za nim stała Gris Marsala i przyglądała mu się.

Kiedy burmistrz miasta inaugurował wystawę *Sztuka religijna baroku w Sewilli*, brawa wypełniły sale fundacji kulturalnej Banku Kartuskiego. Następnie około tuzina kelnerów w białych marynarkach roznosiło tace z napojami i kanapkami, podczas gdy goście podziwiali arcydzieła, które przez dwadzieścia dni miały być wystawione w budynku przy Arenal. Stojąc między *Chrystusem dobrej śmierci* Juana de Meny, udostępnionym przez uniwersytet i *Świętym Leandrem* Murilla, pochodzącym z głównej zakrystii katedry, Pencho Gavira pozdrowiał panów i całował dłonie pań, uśmiechając się na lewo i prawo. Ubrany był w nieskazitelny garnitur w kolorze marengo, a przedziałek wybrylantynowanych włosów był równie idealny, jak biel mankietów i kołnierzyka jego koszuli.

– Bardzo dobrze mówiłeś, burmistrzu.

Manolo Almanzor, burmistrz Sewilli, wymienił z bankierem serdeczne klepnięcia po plecach. Był to mężczyzna wąsaty i grubawy, o uczciwej twarzy, dzięki której zyskał popularność i dwukrotne zwycięstwo w wyborach; choć skandal związany z nieprawidłowościami w podpisywanych przez miasto kontraktach, nagłe tajemnicze wzbogacenie się szwagra i oskarżenie o wykorzystywanie seksualne, złożone przez trzy spośród jego czterech sekretarek w magistracie, spowodowały, że na blisko miesiąc przed wyborami lokalnymi był już jedną nogą na bruku.

– Dzięki, Pencho. To było moje ostatnie publiczne wystąpienie.

Bankier uśmiechnął się pocieszająco.

– Jeszcze nadejdą lepsze czasy.

Burmistrz pokiwał głową z powątpiewaniem i smutkiem. W każdym razie Gavira miał mu osłodzić pożegnanie z polityką. W zamian za przekwalifikowanie przez radę miejską gruntu, na którym stoi kościół Matki Boskiej Płaczącej, dopuszczenie do podpisania wstępnego kontraktu sprzedaży i wycofanie wszelkich zastrzeżeń wobec projektu urbanistycznego w dzielnicy Santa Cruz, Almanzor miał uzyskać automatyczne anulowanie pewnego hojnego kredytu, za który nabył właśnie luksusową posiadłość w najlepszej i najdroższej dzielnicy Sewilli. Ze spokojem pokerzysty dyrektor naczelny Banku Kartuskiego wyjaśnił mu całą sytuację w krótkich słowach przed paroma dniami podczas kolacji w restauracji Becerra: żałoba w luksusie mniej boli.

Obok przeszedł kelner z tacą, i Gavira wziął kieliszek zimnego jerezu i zwilżając wargi winem, rozejrzał się dookoła. Obok kobiet w sukniach koktajlowych i mężczyzn w ciemnych garniturach, pod krawatem – Gavira określał na zaproszeniach strój

wymagany na wszelkie oficjalne imprezy organizowane przez Bank Kartuski – przeciwny front, czyli strona kościelna, również była obecna. Jego Eksceleńcja arcybiskup Sewilli poruszał się w jednym z kątów sali, obok Octavio Machuki, jakby wymieniali wrażenia na temat obrazu Valdesa Leal, udostępnionego na wystawę przez kościół szpitala Miłosierdzia. *In Ictu Oculi*: śmierć gasząca świecę naprzeciwko korony i tiary cesarza, biskupa i papieża. Jednak Gavira doskonale wiedział, że temat ich rozmowy jest zupełnie inny.

– Sukinsyny – usłyszał obok głos burmistrza.

Manolo Almanzor nie miał na myśli arcybiskupa ani bankiera. Gavira zauważył, że rozgląda się wokół i patrzy na gości, którzy ostentacyjnie odwracają się do niego plecami. Cała Sewilla wiedziała, że jego kadencja nie potrwa dłużej niż miesiąc. Kandydat, który miał zająć jego miejsce, polityk z tej samej partii – Andaluzja Andaluzijska – przechadzał się po sali, przyjmując wczesne gratulacje z ostrożnym uśmiechem. Gavira zachęcająco puścił oko do burmistrza.

– Napij się, burmistrzu.

Podał mu z tacy szklanekę, której połowa zawartości została pochłonięta jednym haustem, podczas gdy burmistrz przyglądał się bankierowi spojrzeniem pełnym wdzięczności, jak głaskany pies. To niesamowite, pomyślał Gavira, z jaką łatwością żywe trupy wytwarzają wokół siebie próżnię. Manolo Almanzor, w innych czasach obiekt uwielbienia, śmierział chodzącym, politycznym trupem i nikt już się do niego nie zbliżał, jakby wszyscy bali się, że mogą się zarazić towarzyską niechęcią. Takie były reguły gry: w tym świecie nie znano litości dla pokonanych, musiał wystarczyć łyk alkoholu w przeddzień egzekucji. Gavira stał przy nim, podając szklaneczkę whisky na koszt Banku Kartuskiego, tylko dlatego że zainaugurował właśnie wystawę, a poza tym jeszcze go potrzebował i kupił go sobie, a to oznaczało pewną odpowiedzialność za jego poczucie godności. Zastanawiał się, czy i jemu ktoś kiedyś będzie podawał szklanekę whisky.

– Skończ z tym kościołem, Pencho – burmistrz opróżnił z żalem swoją szklanekę. – Buduj, co chcesz, i pieprz ich wszystkich.

Gavira przytaknął głową, znów myśląc o parze rozmawiającej pod obrazem Valdesa Leal i przeprosiwszy Almanzora, zaczął przemieszczać się w tamtym kierunku starając się, by wyglądało to na ruch całkiem przypadkowy, kilka kroków w prawo, potem w lewo, długimi halsami jak żaglowiec. Po drodze uśmiechnął się w odpowiednich miejscach, kilka dłoni uścisnął, kilka rąk i kilka wymalowanych policzków ucałował, pewny siebie, poprawny, czując, że mężczyźni mu zazdroszczą, a kobiety znów garną się do niego, gdy tylko oddalił się od burmistrza. Dwukrotnie usłyszał za plecami imię Macareny, udało mu się jednak nie stracić uśmiechu.

Odstawił kieliszek na tacę, dotknął węzła krawata i chwilę później stał obok arcybiskupa Corvo i don Octavio Machuki.

– Piękny obraz – powiedział, żeby coś powiedzieć.

Arcybiskup i bankier spojrzeli na obraz, jakby dopiero teraz go zauważyli. Śmierć niosła w ręce kosę i pod wychudłym ramieniem trzymała trumnę. Leżące u jej stóp atlas, miecz, księgi, pergaminy stanowiły alegorię jej zwycięstwa nad życiem, chwałą, wiedzą i ziemskimi przyjemnościami. Drugą kościstą dłonią gasiła płomień gromnicy, a dwa puste oczodoły spoglądały na patrzących: *In Ictu Oculi*. Gavira nie znał łaciny, ale obraz ten był znany w Sewilli i jego znaczenie było oczywiste. Śmierć wykańcza każdego w okamgnieniu.

– Piękny? – arcybiskup wymienił spojrzenie ze starym Machucą. Postępując zgodnie z ostatnimi zaleceniami papieskimi dotyczącymi publicznych wystąpień przedstawicieli hierarchii kościelnej, Aquilino Corvo miał na sobie sutannę *filetata* z dyskretną, choć wymowną obwódka, uzupełnioną złotym krzyżem na piersi i błyskiem żółtego kamienia na ręce, którą trzymał poniżej krzyża. – Tylko ktoś bardzo młody może w ten sposób określić tę potworną scenę – odchylił do tyłu głowę, patrząc posępnie na tiarę biskupią na obrazie, niezwykle podobną do jego własnej. – Wszystko wydaje się takie odległe z pańskiej perspektywy, drogi panie Gavira. Nam ten obraz jest dużo bliższy... Nie sądzi pan, don Octavio?

Stary bankier poruszył głową, czujne oczy drapieżnika patrzyły ponad haczykowanym nosem. Arcybiskup Corvo był o dwadzieścia lat młodszy od niego, ale jako głowa sewilskiej archidiecezji lubił uchodzić za osobę wiekową, przez wzgląd na powagę urzędu.

– Pencho to urodzony zwycięzca – stwierdził Machuca. – I nie obawia się, że jego świeca zgaśnie.

Oczy błysnęły drwiąco spoza przymkniętych powiek starca. Jedną rękę trzymał w kieszeni dwurzędowej marynarki o staroświeckim kroju, a druga zwisała wzdłuż boku, niemal tak wysuszona jak dłoń gasząca płomień na obrazie Valdesa Leal. Arcybiskup uśmiechnął się jak współnik.

– Wszyscy jesteśmy posłuszni Bożej woli – powiedział tonem właściwym jego zawodowi.

Gavira przytaknął nieznacznie, nie kwestionując problemu. Przyglądał się staremu bankierowi, który zrozumiał to spojrzenie.

– Rozmawialiśmy o twoim kościele.

Aquilino Corvo nie zwrócił uwagi na zaimpek dzierzawczy i uśmiech nie zniknął z jego ust, co Gavira zrozumiał jako dobrą przepowiednię. W sumie arcybiskupstwo otrzyma wysokie odszkodowanie, a do tego Bank Kartuski zobowiązał się wybudować kościół w innym miejscu. Nie zapominając także o fundacji na rzecz działalności

społecznej we wspólnocie cygańskiej, której założenie arcybiskup sprytnie zagwarantował na początku rozmów. Ktoś przecież musi zapłacić za miednicę dla Piłata.

– To jeszcze ciągle jest kościół Jego Ekscelencji – z nalezną uwagą stwierdził Gavira, który nigdy nikomu nie zamykał wszystkich dróg. Dobrze wiedział, jakie ryzyko niesie odcinanie godnych dróg odwrotu.

Arcybiskup Corvo docenił szlachetność rozmówcy gestem dłoni, na której błyszczał pierścień. Ponieważ chodziło o Kościół, poczuł się w obowiązku, by zająć oficjalne stanowisko.

– To bolesny konflikt – powiedział po krótkiej chwili poszukiwania odpowiednich słów.

– Ale nieunikniony – dodał Gavira.

Przybrał minę szczerego żalu, żeby złagodzić wymowę zdania. Ton był poważny, rozmowa między mężczyznami świadomymi, że w imię postępu trzeba czasem podejmować przykre decyzje. Kącikiem oka dostrzegł, jak szydery błysk staje się coraz ostrzejszy w przymrużonych oczach Octavio Machuki, i przypomniał sobie, że starsuszek doskonale wiedział, że między dokumentami złożonymi przez Bank Kartuski Jego Ekscelencji znajdował się też nie publikowany raport na temat zachowań sprzecznych z wymogami celibatu około pół tuzina duchownych z jego diecezji. Wszyscy oni byli księżmi szanowanymi w swoich parafiach i opublikowanie takich danych, zawierających zdjęcia i oświadczenia, spowodowałoby poważny zamęt. Aquilino Corvo nie dysponował odpowiednimi środkami ani możliwościami technicznymi, żeby stawić czoło temu problemowi, a podobny skandal mógłby zmusić go do podjęcia decyzji, których bardziej niż ktokolwiek podejmować nie chciał. Księża ci byli dobrymi ludźmi, a w czasach zmian i coraz rzadszych powołań każda pochopna decyzja może okazać się niewłaściwa i godna pożałowania. Dlatego Jego Ekscelencja przyjął z ulgą zobowiązanie Gaviry do zakupu i zablokowania raportu. W Kościele katolickim sprawa odłożona znaczy tyle co sprawa załatwiona.

W każdym razie, podsumował Gavira, to niemożliwe, żeby Octavio Machuca znał kulisy tej operacji, choć spojrzenie starego bankiera kazało mu podejrzewać, że wiele wiedział. Wrażenie było nieprzyjemne, biorąc pod uwagę, że sam Gavira obmyślił całą akcję: zapłacił agencji detektywistycznej, która wykonała zlecenie, a następnie powołał się na swoje wpływy w prasie, aby zrobić uprzejmość arcybiskupowi i nie dopuścić do publikacji raportu, co było najwykolejszym szantażem.

– Wasza Ekscelencja jest gwarantem bezstronności – stwierdził Machuca, nadal przyglądając się reakcji Gaviry. – Opowiadał mi właśnie ksiądz arcybiskup, że postępowanie dyscyplinarne wobec księdza Ferro posuwa się powoli. Wydaje się –

powieki zwały spojrzenie do wąskiej szpary – że ksiądz przysłany z Rzymu nie zdołał zebrać wystarczających dowodów przeciwko niemu.

Arcybiskup Corvo podniósł dłoń gestem sugerującym większą precyzję. Widać było, że pod duchowną łagodnością maskuje niezadowolenie. Nie o to chodzi, zauważył poważnym tonem, idealnym na ambonę. Ksiądz Lorenzo Quart nie przyjechał do Sewilli, by działać *przeciwko* proboszczowi od Matki Boskiej Płaczącej, ale żeby dostarczyć *Rzymowi* ścisłych informacji. Z wyszukaną emfazą prałat przypomniał swym rozmówcom, że arcybiskupstwo sewilskie nie może działać bezpośrednio. Nakreślił następnie najważniejsze aspekty bolesnego problemu – proboszcz w zaawansowanym wieku, kwestie przestrzegania dyscypliny i tak dalej. Jego opinia pokrywa się z oceną Rzymu, istnieją jednak różnice co do szczegółów. W tym momencie wzrok Aquilino Corvo ominął spojrzenie Gaviry i milcząco poprosił Octavio Machucę o sugestię, czy ma mówić dalej. Starzec zachował kamienną twarz, zatem Jego Eksceleńcja zauważył, że śledztwo księdza Lorenzo nie jest realizowane z pożądaną... hm... pieczołowitością. Sam arcybiskup poinformował przełożonych o tej sprawie, ale na tym polu ma związane ręce. Przygląda się bykom poprzez ogrodzenie, jeśli pozwolą na to laickie porównanie. Ma nadzieję, że wyjaśnił całą sprawę.

– Czy to znaczy – Gavira uniósł brew, zirytowany – że nie przewiduje ksiądz arcybiskup wydalenia księdza Ferro z parafii?

Tym razem arcybiskup uniósł obie dłonie, jakby miał powiedzieć: *Ite, missa est*.

– Mniej więcej – teraz unikająco patrzył na krawat Gaviry. – Tak się oczywiście stanie. Ale nie za dwa, trzy dni. Może za parę tygodni – odchrząknął zakłopotany. – Najdalej za miesiąc. Jak mówię, ta sprawa nie leży w moich rękach. Choć zapewniam pana o mojej wielkiej sympatii.

Gavira podniósł wzrok na dzieło Valdesa Leal, dając sobie chwilę czasu, żeby opanować pokusę popełnienia nietaktu. Miał ochotę zagryźć wargi albo wymierzyć cios prosto w nos arcybiskupa. Policzył do dziesięciu, patrząc w puste oczodoły śmierci, i w końcu zmusił się do uśmiechu. Machuca nie spuszczał z niego wzroku.

– To zbyt długo, prawda? – spytał stary bankier.

Wydawało się, że pytanie kieruje do arcybiskupa, ale szparki w drapieźnych powiekach zwrócone były na Gavirę. Jego Eksceleńcja poczuł się w obowiązku coś odpowiedzieć. Jeśli idzie o jego władzę – uściślił – dopóki z Rzymu nie nadejdzie odpowiednie polecenie i dopóki ksiądz Ferro będzie odprawiał mszę w każdy czwartek, nic się nie da zrobić.

Gavira nie potrafił ukryć niezadowolenia.

– Być może, Wasza Eksceleńcja nie musiał odwoływać się do Rzymu – zaryzykował ostrym tonem. – Można było podjąć samodzielną decyzję, kiedy było jeszcze dość czasu.

Zarzut sprawił, że arcybiskup zbladł.

– Być może – wyprostował się, spoglądając z ukosa na Octavio Machucę. – Ale my, prałaci, też mamy sumienie, panie Gavira. Przepraszam.

Sucho skłonił głowę i przeszedł między nimi, z miną mało przyjazną. Machuca pokręcił nosem w obie strony, dwukrotnie, tak jednak że Gavira nie był w stanie stwierdzić, czy jest to wyraz smutku czy rozbawienia wywołanego obserwowaną sceną. W każdym razie, pomyślał, popełnił błąd. Bo błędem jest wszystko to, co nie przynosi zysku na krótki, średni czy daleki termin.

– Obraziłeś jego duszpasterską godność – powiedział Machuca z szelmowskim uśmiechem.

Mląc przekleństwo, które cisnęło mu się na usta – a byłby to już drugi błąd – Gavira zrobił zniecierpliwioną minę.

– Godność Jego Ekscelencji ma swoją cenę, tak samo jak wszystko. Cenę, którą mogę zapłacić – zawahał się przez chwilę, z uwagi na starego bankiera. – Którą Bank Kartuski może zapłacić.

– Ale na razie ksiądz jest na miejscu – Machuca zrobił trzysekundową przerwę. Przerwę niebywale złośliwą. – Mam na myśli starego księdza.

Przyglądał się Gavirze z zaciekawieniem, ten jednak był tego aż nazbyt świadomy. Poprawił krawat i mankiety, rozejrzał się wokół. Jakaś piękna kobieta przeszła obok, wymienił z nią roztargniony uśmiech.

– Właśnie – ciągnął Machuca, przyglądając się odchodzącej kobiecie. – A Macarena i twoja teściowa są na pierwszej linii. Jak dotąd.

Daremne starania. Gavira opanował się i nieporuszony stawiał czoło sytuacji.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – To mi się uda.

– Mam nadzieję, bo czas ci się kończy. Ile to jeszcze dni zostało ci do posiedzenia? Tydzień?

– Doskonale pan wie – stary powiedział *zostało ci i ci się kończy*. Wstrętne, pomyślał Gavira, jest uczucie, że cały czas trzeba zdawać egzaminy, jeden po drugim, i każdy trzeba stale powtarzać. – Osiem dni.

Machuca wolno pokiwał głową.

– Końcówka, która może przyprawić o zawał, jak to mówią w klubie Betis – rozejrzał się wokół, jakby głowę miał zaprzątniętą zupełnie innymi sprawami; nagle zwrócił się do niego: – Wiesz, Pencho... Naprawdę jestem ciekawy, jak sobie dasz radę z tym wszystkim. W radzie są na ciebie cięci – uśmiechał się pergaminowymi ustami, jak wąż, który ma zrzucić starą skórę. – Ale jeśli ci się uda, moje gratulacje. Co nie zabija, wychodzi na zdrowie.

Machuca odszedł, wezwany przez grupę znajomych, a Gavira został sam pod obrazem Valdesa Leal. W pobliżu stał człowieczek okrągły i miękki, z podbródkiem,

który wyglądał jak przedłużenie policzków, o przylakierowanych włosach, i trzymał skórzaną torebkę zawieszoną na nadgarstku. Nieznajomy podszedł, kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Jestem Honorato Bonafé z tygodnika „Q+S” – wyciągnął rękę w geście przypominającym powitanie. – Możemy chwilę porozmawiać?

Gavira zignorował wyciągniętą dłoń, rozglądając się wokół i zastanawiając się, kto tu wpuścił to indywiduum.

– Zabiorę panu tylko parę minut.

– Proszę zadzwonić do mojej sekretarki – bankier zaproponował chłodno, odwracając się plecami. – Któregoś dnia.

Zrobił kilka kroków pośród tłumu i odszedł. Ku jego zdziwieniu Bonafé ruszył za nim. Marszczył usta i przyglądał mu się z ukosa, z miną ni to służalczą, ni to pewną siebie. Obrzydliwy, stwierdził Gavira, zatrzymując się wreszcie: dokładnie takie wrażenie sprawiał na nim ten facet.

– Przygotowuję reportaż – powiedział tamten szybko, żeby nie dać się spławić niegrzecznie. – O kościele, który pana interesuje.

– Co pan powie!

Bonafé podniósł dłoń, małą i miękką, tę samą, którą Gavira przed chwilą zignorował.

– No cóż – nadal marszczył usta w pojednawczym grymasie. – Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Bank Kartuski jest głównym zainteresowanym w zburzeniu kościoła Matki Boskiej Płaczącej, byłbym wdzięczny za krótką rozmowę, może oświadczenie... Rozumiemy się?

Gavira zachował kamienną twarz.

– Nie. Absolutnie nic nie rozumiem.

Śliski, cierpliwy Honorato Bonafé szybko naszkicował przed bankierem panoramę: Bank Kartuski, kościół, przekwalifikowanie terenu. Proboszcz, podejrzany osobnik, skłócony z arcybiskupem Sewilli i poddany postępowaniu dyscyplinarnemu czy czemuś takiemu. Dwa, zupełnie przypadkowe, śmiertelne wypadki, czy kto tam wie. Specjalny wysłannik z Rzymu. I, no cóż, piękna małżonka, czy była małżonka, córka księżnej del Nuevo Extremo. I ona z tym księdzem z Rzymu...

Nagle się zatrzymał, widząc wyraz twarzy Gaviry. Bankier zrobił krok w jego kierunku i przyglądał mu się z bardzo bliska.

– Już mnie pan rozumie – zakończył Bonafé, szybko urywając opowieść. – Mówię o tym wszystkim, żeby pan sobie wyobraził duże nagłówki, zdjęcia na okładce i tak dalej. W przyszłym tygodniu opiszemy całą historię. A pańska opinia ma tu, naturalnie, duże znaczenie.

Bankier nadal stał nieruchomo i przyglądał mu się bez słowa. Honorato Bonafé zaczął składać usta w uśmiech, ale porzucił zamiar, zatrzymując w nie dokończonym grymasie różowe wargi, które cierpliwie marszczył, w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Pan chce – odezwał się wreszcie Gavira – żebym ja o tym panu opowiedział.

– Właśnie.

W pobliżu przeszedł Peregil i Gavirze wydało się, że zauważył niepokój w jego spojrzeniu, kiedy dostrzegł Bonafé. Miał ochotę zawołać go i spytać, czy ma coś wspólnego z obecnością dziennikarza na wystawie, ale nie była to odpowiednia chwila na konfrontację. Tak naprawdę to miał ochotę osobiście wykopać z sali to tłuste i lepkie indywiduum, zachowujące się jak szantażysta.

– A co zyskuje, rozmawiając z panem?

Uśmiech, bezczelny i pewny siebie, wreszcie rozlał się na twarzy dziennikarza. Tak się rozmawia, dawał do zrozumienia grymas ust.

– No cóż. Kontroluje pan informację. Podaje pan swoją wersję zdarzeń – Bonafé przerwał i cisza ta miała swoje znaczenie. – Ma nas pan po swojej stronie, żeby się jasno wyrazić.

– A jeśli tego nie zrobię?

– No, to inna sprawa. Reportaż i tak zostanie opublikowany, a pan straci swoją szansę.

Teraz z kolei uśmiechnął się Gavira i uśmiechowi towarzyszył najniebezpieczniejszy z grymasów – właściwy Rekinowi z Arenalu.

– To brzmi jak groźba.

Rozmówca pokręcił głową, nie zważając na żadne uśmiechy ani ich odcienie.

– Nie, na Boga! Ja tylko kładę karty na stół – podkrążone, świńskie oczka błyszczały zachłannie. – Ja z panem gram czysto, panie Gavira.

– A dlaczego pan ze mną czysto gra?

– No cóż... Bo ja wiem... – Bonafé obciągał poły wygniecionej marynarki. – Myślę, że zgodnie z powszechną opinią budzi pan sympatię, rozumie pan – młody bankier, który narzuca swój styl i tak dalej. Dobrze pan wychodzi na zdjęciach, podoba się damom. Krótko mówiąc – sprzedaje. Jest pan osobą modną, a moja gazeta może się przyczynić, żeby nadal był pan na topie. Proszę traktować to jako poprawienie swojego wizerunku – rzucił porozumiewawcze spojrzenie. – Podczas gdy pańska żona...

– Co moja żona?

Słowa chrzęściły jak kawałki lodu, Bonafé nie zwracał jednak uwagi na znaki zwiastujące niebezpieczeństwo.

– Ona też dobrze wychodzi na zdjęciach – powiedział, pewnie wytrzymując spojrzenie rozmówcy. – Choć myślę, że ten torreador... Sam pan rozumie. To już skończone. I właśnie teraz ten ksiądz z Rzymu... Wie pan, o kim mówię?

Gavira myślał bardzo szybko, ważąc argumenty za i przeciw. Potrzebuje jeszcze tygodnia spokoju, a potem będzie mu wszystko jedno. I nietrudno zauważyć, że ten człowieczek jest do kupienia.

– Tak, rozumiem – odpowiedział z nieobecną miną. – Niech mi pan powie, ile będzie kosztować to poprawienie wizerunku.

Bonafé podniósł obie dłonie, złączył opuszki palców w geście podobnym do modlitwy albo do dziękczynienia. Wyglądał na spokojnego. Szczęśliwego.

– No tak – powiedział. – Myślałem o rozmowie, pełnej szczegółów na temat tego kościoła. Taka wymiana wrażeń. Co więcej, sam nie wiem – rzucił znaczące spojrzenie. – Może chciałby pan zainwestować w prasę.

Peregil znów przeszedł w pobliżu, niby przypadkowo spoglądając na nich. Gavira zauważył, że jego asystent nadal ma zatroskaną minę. Bankier przybrał swój najoschlejszy uśmiech, zwracając się do Bonafé tak, żeby nikt nie mógł tego zinterpretować jako oznaki sympatii. Jego rozmówca dobrze to zrozumiał, bo natychmiast niespokojnie zamrugał.

– Od dawna inwestuję w prasę – powiedział Gavira. – Ale nigdy jeszcze nie musiałem się zajmować takimi ludźmi jak pan.

Dziennikarz zmarszczył usta w bezczelnym grymasie, aż podbródek zatrzęsł mu się jak galareta. A Gavira doszedł do wniosku, że Honorato Bonafé idealnie pasowałby do roli oślizłego, obrzydliwego faceta, który w filmach zostaje zamordowany.

– W Europie najbardziej fascynuje mnie – powiedziała Gris Marsala – jej długa pamięć. Wystarczy wejść do takiego miejsca jak to, oprzeć się o stary mur, i wszystko tu jest. Twoja przeszłość, wspomnienia. Ty cała.

– Dlatego ten kościół tak bardzo urzekł siostrę?

– Nie chodzi tylko o ten kościół.

Stali na dziedzińcu, przed figurą Jezusa Nazareńskiego z naturalnymi włosami, za którym na ścianie wisiały zakurzone wota. Złocenia ołtarza błyszcząły poprzez rusztowania, w półmroku otaczającym Matkę Boską i modlące się postacie książąt del Nuevo Extremo.

– Może trzeba być Amerykanką, żeby to zrozumieć – dodała Gris Marsala po chwili. – Tam ma się czasami wrażenie, że to wszystko zostało zbudowane przez jakichś obcych, dziwnych ludzi. Naraz człowiek przyjeżdża tutaj i zaczyna rozumieć, że to wszystko to nasza własna historia. Że to my sami, rękami naszych przodków, położyliśmy tu kamień na kamieniu. Może to jest jakieś wyjaśnienie fascynacji, jaką

wielu moich rodaków odczuwa wobec Europy – uśmiechnęła się do Quarta z zamysloną miną. – Nagle człowiek skręca za rogiem i wszystko sobie przypomina. Już myślałeś, że jesteś sierotą, a widzisz, że wcale tak nie jest. Może dlatego nie chcę tam wracać.

Oparła się o białą ścianę, obok chrzcielnicy. Siwiejące włosy miała jak zwykle zebrane w krótki warkoczyk na karku, ubrana była w granatowy podkoszulek, lekko trącający potem. Kciuki wystawały z tylnych kieszeni dżinsów poplamionych gipsem i wapnem.

– Mnie wielokrotnie osierocono – powiedziała. – Sieroctwo jest tym samym co niewolnictwo. Pamięć daje ci pewność siebie, wiesz, kim jesteś i dokąd idziesz. I dokąd nie idziesz. Bez niej jesteś na łasce tego, kto pierwszy przyjdzie i weźmie cię za swoją córkę. Nie sądzi ksiądz? – poczekała chwilę, aż zauważyła, że rozmówca skinął głową w milczeniu. – Obrona pamięci jest tym samym, co obrona wolności. Tylko aniołowie mogą pozwolić sobie na luksus pozostawania widzami na zawsze.

Quart wykonał niezobowiązujący gest zrozumienia. W tej chwili myślał o raporcie na temat tej kobiety, otrzymanym z Rzymu i leżącym właśnie na stoliku w jego hotelowym pokoju, z kilkoma akapitami podkreślonymi na czerwono. W wieku szesnastu lat wstąpiła do zakonu. Studiowała architekturę i sztuki piękne na Uniwersytecie Los Angeles, odbyła specjalistyczne kursy w Sewilli, w Madrycie i w Rzymie. Wspaniała dorobek akademicki. Przez siedem lat była wykładowczynią historii sztuki. Przez cztery lata kierowała uniwersyteckim college'em zakonnym w Santa Barbara. Potem nadszedł kryzys osobisty i kłopoty ze zdrowiem. Zwolnienie z zakonu na czas nieokreślony. Trzy lata w Sewilli, gdzie utrzymywała się z lekcji dawanych amerykańskim studentom sztuk pięknych. Dyskretna, bez zarzutu, utrzymywała rzadkie kontakty z siedzibą zakonu, do którego należała. Nie poprosiła o zwolnienie ze stanu zakonnego. Raport nie podawał, czy odbyła specjalistyczny kurs informatyczny.

Quart spojrział na zakonnicę. Na zewnątrz, na placu światło stało się jeszcze intensywniejsze i upał zaczynał się dawać we znaki. Dobrze było znaleźć schronienie w chłodzie kościoła.

– To znaczy, że odzyskana pamięć zatrzymuje tu siostrę.

– Mniej więcej.

Gris Marsala uśmiechnęła się smutno, patrząc na wojskowy medal przyczepiony do ususzonych kwiatów ślubnego bukietu, pośród innych wotów Jezusa Nazareńskiego – nóg, ramion, mosiężnych i woskowych figurek, jakby zastanawiała się, gdzie teraz są ręce, które kiedyś przyniosły ten bukiet. Naraz wyraz jej oczu, których jasność potęgowało zewnętrzne światło, stał się posepny.

– Futuryści – powiedziała po chwili milczenia – proponowali, żeby wysadzić w powietrze Wenecję i w ten sposób zniszczyć wzorzec. To, co wówczas uchodziło za snobistyczny paradoks, urzeczywistniło się później w architekturze, w literaturze... W teologii. Niszczenie miast poprzez bombardowania to jeden, może zbyt ostry przykład; brutalny sposób upraszczania sprawy – uśmiechała się smutno, pogrążona w myślach i wpatrzona w suchy bukiet ślubny. – Istnieją subtelniejsze metody.

– Nie możecie wygrać – powiedział łagodnie Quart.

– My? – zakonnica spojrzała na niego zdziwiona. – Nie jesteśmy jakąś sektą ani klanem. Zgromadziliśmy się wokół tego kościoła, każdy jednak z bardzo różnych, osobistych powodów – pokiwała głową, to wszystko wydawało się oczywiste. – Na przykład ksiądz Oscar jest młody i znalazł sprawę, w której się zadurzył. Mogła to być kobieta albo teologia wyzwolenia... Don Priamo z kolei przywodzi mi na myśl tę wspaniałą książkę pewnego Hiszpana, którego wykładów miałam okazję słuchać na uniwersytecie, Ramona Sendera: *Przygoda Lope de Aguirre w czasie zrównania dnia z nocą*. Owego małego konkwistadora, nieufnego i twardego, kulejącego z powodu dawnych ran, zawsze jednak uzbrojonego, mimo upału, bo nie ufał nikomu... Tak samo jak on, nasz proboszcz postanowił zbuntować się przeciwko odległemu i niewdzięcznemu królowi i wydać swoją osobistą wojnę. Czy to nie zabawne? Do takich typów jak Aguirre królowie wysyłali takich ludzi jak ksiądz, z wyrokiem śmierci lub więzienia – westchnęła i przez chwilę milczała. – Myślę, że to nieuniknione.

– Proszę mi opowiedzieć o Macarenie.

Słyszając to imię, Gris Marsala spojrzała uważnie na Quarta. Zniósł ten egzamin obojętnie.

– Macarena – powiedziała wreszcie zakonnica – broni swojej własnej pamięci: kilku wspomnień, skrzyni swojej ciotecznej babki i lektur, które naznaczyły ją już od dzieciństwa. I pojawia się u niej coś, co ona sama w chwilach dobrego humoru nazywa efektem Buddenbrooków: świadomość przynależności do ginącego świata i lamparcia pokusa, by sprzymierzyć się z parweniuszami, żeby przeżyć. Rozpacz inteligencji.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej.

– Niewiele więcej mam do powiedzenia. Wszystko widać jak na dłoni – Gris Marsala spojrzała przez otwarte wrota na zalany słońcem plac. – Odziedziczyła świat, którego już nie ma, to wszystko. Ona też jest sierotą, która kurczowo trzyma się resztek tego, co ocalało z rozbitego statku.

– A jaka jest moja rola w tym wszystkim?

Poczuł się niezręcznie, gdy tylko pytanie to wyszło z jego ust, miał jednak wrażenie, że nie przywiązała do niego zbyt dużego znaczenia. Widział, jak wzruszyła ramionami w podkoszulku poplamionym gipsem.

– Nie wiem. Ksiądz stał się świadkiem – wydawało się, że zastanawia się głębiej. – Wszyscy są tak samotni, że potrzebują kogoś, kto zrelacjonuje sprawę. Sądzę, że chcą, żeby zrozumiał ich ksiądz, a może także i ci, co tu ksiądz wysłali. Podobnie jak Aguirre w głębi duszy pragnął zrozumienia ze strony swojego króla.

– Macarena też?

Tym razem Gris Marsala zwlekała chwilę z odpowiedzią. Przyglądała się zdartej skórze na kostkach palców Quarta.

– Ksiądz jej się podoba – powiedziała wreszcie, zwyczajnie. – To znaczy, jako mężczyzna. I nie dziwie się. Nie wiem, czy jest ksiądz tego świadomy, ale obecność księdza w Sewilli wszystkiemu nadaje odmienny wymiar. Myślę, że ona po swojemu stara się księdza uwieść – uśmiechnęła się spokojnie, przybierając łobuzerską minę. – Nie mam na myśli aspektu fizycznego tego słowa.

– Czy to siostrze przeszkadza?

Zakonnica rzuciła na niego zdziwione spojrzenie.

– Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Nie jestem lesbijką, o ile zastanawia się ksiądz nad charakterem mojej przyjaźni z Macareną – roześmiała się krótko, swobodnie opierając się o stare dębowe wrota. Ma nadal, pomyślał znów Quart, mimo siwych jak jej imię włosów i oznak wieku wokół oczu, ciało szczupłej i zwinnej dziewczyny, a wrażenie to podkreślają obcisłe dżinsy i ciche, białe tenisówki. – Jeśli idzie o mężczyzn w ogóle, a o przystojnych duchownych w szczególności, to mam czterdzieści sześć lat i jestem dziewicą, z powodu ślubów i z własnej woli.

Quart spojrzał na plac ponad ramieniem kobiety, zakłopotany.

– Na czym polega problem Macareny z mężem?

– Ona go kocha – wydawała się nieco zaskoczona, jakby wszystko było tak oczywiste, że nie warto niczego wyjaśniać. Przyjrzała się Quartowi uważnie, a na ustach powoli pojawił się ironiczny uśmiech. – Niech ksiądz nie robi takiej miny. Od razu widać, że rzadko zasiada ksiądz w konfesjonale. Nic ksiądz nie wie o kobietach.

Quart wyszedł na zewnątrz i słońce opadło na ramiona jego czarnej marynarki jak ołowiana płachta. Gris Marsala wyszła za nim, przeszła między kupą piasku i żwiru obok betoniarki. Ksiądz spojrzał na dzwonnice kościoła, ukrytą pośród rusztowań złożonych z desek i poskręcanych metalowych rurek, a jego wzrok zatrzymał się na bezgłowej Madonnie nad drzwiami.

– Siostrze Marsala, chciałbym obejrzeć mieszkanie siostry.

Ucichł odgłos kroków zakonnicy na żwirze.

– Zaskakuje mnie ksiądz.

– Nie sądzę.

Nastąpiła chwila milczenia. Kiedy Quart odwrócił się do niej, zauważył, że przygląda mu się, zła i rozbawiona równocześnie.

– Nienawidzę, jak ksiądz mówi „siostró Marsala”. A może chodzi tylko o to, by nadać służbowy ton tej prośbie? – uniosła ironicznie brwi. – No bo w sumie chce ksiądz pójść do mieszkania samotnej zakonnicy. Nie martwi się ksiądz, co ludzie powiedzą? Na przykład arcybiskup Corvo? Albo przełożeni księdza w Rzymie... – z wyraźną kpina teatralnie uderzyła się po biodrze, jakby właśnie coś sobie uświadomiła. – Chociaż to przecież ksiądz wysłał im informacje.

Quart przez chwilę wahał się, czy unieść brew, czy wybuchnąć śmiechem. Wybuchnął śmiechem.

– To tylko sugestia – powiedział. – Pomysł. Zbieram fragmenty łamigłówek – rozejrzał się wokół, spojrzął na dzwonnice między rusztowaniami, okaleczoną figurę i znów na nią. – Bardzo by mi pomogło, gdybym zobaczył, jak siostra żyje.

Teraz patrzył jej prosto w oczy. Był szczery, Gris Marsala zdawała sobie z tego sprawę.

– Rozumiem. Szuka ksiądz śladów zbrodni, prawda?

– Właśnie.

– Komputerów połączonych z Rzymem i tego typu rzeczy.

– Dokładnie tak.

– A jeśli się nie zgodzę, to wejdzie ksiądz tak czy inaczej, podobnie jak wszedł do mieszkania don Priamo, prawda?

– Skąd siostra wie?

– Powiedział mi ksiądz Oscar.

Tu krąży zbyt wiele informacji, pomyślał Quart rozdrażniony. Wszyscy wszystkim wszystko opowiadają w tym dziwnym klubie i tylko on musi każdą wiadomość wydobywać jak korkociągiem. Poczul ogromne znużenie słońcem padającym na głowę i ramiona i pokusę, żeby rozluźnić kołnierzyk pod koloratką albo zdjąć marynarkę. Nie poruszył się jednak, czekał z ręką w kieszeni.

Gris Marsala powoli podeszła do betoniarki, opierając się dłonią o jej krawędź. Spojrzała do środka, jakby spodziewała się znaleźć tam coś, czego zapomniała. Też się uśmiechała, zamyślona.

– Czemu nie? – powiedziała wreszcie. – W ciągu tych trzech lat nigdy nie odwiedził mnie żaden mężczyzna. Nie zaszkodzi sprawdzić, co się wtedy czuje – obrzuciła Quarta oceniającym spojrzeniem i wykrzywiła usta. – Mam nadzieję, że nie rzucę się na księdza, jak tylko zamknę drzwi. Broniłby się ksiądz jak święta Maria Goretti, a może dałby mi ksiądz szansę? – Wskazującym palcem zrobiła dziwny ruch, wokół kurzych łapek dookoła oczu, potem przejechała nim po nosie, aż do ust. – Choć w moim wieku, obawiam się, że już nie stanowią wyzwania dla żadnego celibatu... Wie ksiądz, to przykre dla każdej kobiety, kiedy zdaje sobie sprawę, że raz na zawsze przestała być atrakcyjna – znów twardy stał się wyraz jej jasnych oczu, których

źrenice niemal znikły, zwężone przez oślepiające światło na placu. – Zwłaszcza dla zakonnicy.

– Proszę się czuć jak u siebie – powiedziała Gris Marsala.

Ironia była oczywista. Nie było specjalnych wygód w saloniku mieszkanka na drugim piętrze, którego wąski balkon, ozdobiony doniczkami z kwiatami i osłonięty przed światłem wiklinową roletą, wychodził na ulicę San Jose, w pobliżu Puerta de la Carne. Z kościoła Matki Boskiej Płaczącej szli zaledwie dziesięć minut po ulicach, które słońce zmieniło w piece wybielone wapnem, poprzez jasność niemal raniącą, jaka docierała do każdego zakątka. Sewilla to przede wszystkim światło. Białe ściany i światło we wszystkich swoich odcieniach, pomyślał Quart, kiedy szedł razem z Gris Marsalą dziwnymi zygzakami, szukając cienia pod okapami i na rogach, jak w Sarajewie, gdy z arcybiskupem Paveliciem poruszali się, szukając osłony przed snajperami.

Stanął na środku pokoju, schował ciemne okulary do wewnętrznej kieszeni marynarki i rozejrzał się wokół. Wszystko było nieskazitelnie czyste i uporządkowane. Stała tam sofa obita materiałem z szydełkowymi serwetkami na oparciach, telewizor, niewielka półka z książkami i kasetami z muzyką, biurko z ołówkami i długopisami w ceramicznych kubkach, papiery i koperty. I komputer. Czując na sobie wzrok Gris Marsali, Quart podszedł do peceta 486 z drukarką. Dość dla Nieszporów, choć bez modemu i podłączenia do linii telefonicznej, znajdującego się w przeciwnym rogu pokoju. Telefon poza tym miał wtyczkę starego modelu, kabel bezpośrednio wychodził ze ściany, niemożliwe było jego podłączenie do komputera.

Podszedł do półki z książkami i kasetami. W muzyce przeważał barok, ale też sporo flamenco, klasycznego i nowoczesnego, w tym wszystkie nagrania Camarona. Książki to rozprawy o sztuce i renowacji zabytków, w tym podręczniki techniczne, a także wydawnictwa o Sewilli. Dwa tomy – *Sewilska architektura barokowa* autorstwa Sancho Corbacho oraz *Przewodnik artystyczny po Sewilli i okolicach* – pełne były samoprzylepnych karteczek z notatkami zaznaczającymi strony. Jediną książką religijną była Biblia Jerozolimską w skórzanej oprawie, o bardzo zniszczonym grzbiecie. Na ścianie, za szybą, znajdowała się reprodukcja obrazu. Spojrzał na podpis: *Partia szachów* Pietera Van Huysa.

– Winna czy niewinna? – spytała Gris Marsala, stojąc za plecami Quarta.

– Na razie niewinna – odpowiedział. – Z braku dowodów.

Usłyszał jej śmiech, kiedy – również z uśmiechem – odwracał się do niej. Dostrzegł wtedy swój wizerunek na przeciwległej ścianie, za plecami kobiety, w starym i pięknym lustrze, oprawionym w bardzo ciemne drewno. Był to jedyny

przedmiot odbijający się od skromnego wnętrza i zwrócił uwagę Quarta. Musiało to być bardzo drogie lustro.

Zakonnica podążyła za jego wzrokiem.

– Podoba się księdzu? – spytała.

– Bardzo.

– Przez wiele miesięcy jadłam mortadelę i chleb tostowy, żeby móc je kupić – przejrzała się w lustrze i wzruszyła ramionami. Następnie poszła do kuchni i wróciła z dwiema szklankami wody.

– Co ma szczególnego? – zapytał Quart, odstawiając pustą szklankę na stół.

– Lustro? – Gris Marsala przez chwilę nie była pewna. – Można je uznać za rodzaj osobistej zemsty. To symbol. To jedyny luksus, na jaki sobie pozwoliłam od czasu przyjazdu do Sewilli – spojrzała na Quarta ze złośliwą kpiną. – A drugi to obecność mężczyzny, choć jest księdzem, w moim domu – przekrzywiła głowę, jakby rozliczała siebie samą. – To niewiele słabości jak na trzy lata, prawda?

– Ale nie rzuciła się siostra na mnie – powiedział Quart. – Dowód samokontroli?

– My, zakonnice weteranki, jesteśmy twarde.

Westchnęła z przesadnym smutkiem, zanim odwzajemniła uśmiech księdza. Nadal się uśmiechała, zbierając ze stołu szklanki i odnosząc je do kuchni. Słysząc było hałas puszczanej wody i chwilę później zakonnica wróciła, wycierając ręce o koszulkę, z zamyśloną miną. Spojrzała na lustro, na pokój i w końcu na Quarta.

– Od kiedy zostajesz nowicjuską, uczą cię, że w celi zakonnicy lustro stanowi niebezpieczeństwo – powiedziała. – Twój obraz, zgodnie z regułą, ma się odbijać w różańcu i modlitewniku. Nie masz niczego swojego: ubranie, bieliznę, nawet podpaski dostajesz od wspólnoty. Zbawienie twojej duszy nie toleruje ani indywidualizmu, ani osobistych decyzji.

Zamilkła, jakby powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia, podeszła kilka kroków do okna i uniosła wiklinową roletę. Jasność zalała pokój i oślepiła Quarta.

– Byłam wierna regule przez całe życie – dodała. – I tu, w Sewilli, nadal jestem jej wierna, mimo tego niewielkiego naruszenia ślubu ubóstwa – podeszła do lustra i długo przyglądała się odbiciu swojej twarzy. – Miałam pewien problem. Ksiądz wie, Macarena mówiła, że powiedziała o wszystkim księdzu. Ten problem bardziej był chorobą duszy niż fizyczną dolegliwością. Byłam dyrektorką college'u uniwersyteckiego w Santa Barbara. Nigdy nie zamieniłam słowa z biskupem mojej diecezji na temat spraw innych niż zawodowe. Ale zakochałam się w nim albo sądziłam, że się zakochałam, co na jedno wychodzi... Aż pewnego dnia stanęłam przed lustrem, żeby przy moich czterdziestu latach dyskretnie pomalować sobie oczy, bo on zapowiedział swoją wizytę, i zrozumiałam, co się stało – spojrzała na bliznę na przegubie dłoni, a potem pokazała ją Quartowi poprzez odbicie w szklanej tafli. – Nie

była to próba samobójstwa, jak podejrzewały moje koleżanki, tylko atak wściekłości. Bezsilności. A kiedy wyszłam ze szpitala i poprosiłam moje przełożone o radę, jedyne, co im przyszło do głowy, to modlitwa, dyscyplina i przykład naszej siostry świętej Teresy z Lisieux.

Milczała przez chwilę, rozcierając nadgarstek, jakby chciała zamazać bliznę.

– Czy ksiądz przypomina sobie świętą Teresę z Lisieux? – spytała, a duchowny skinął głową w milczeniu. – Choć chorowała na gruźlicę i spała w lodowatej celi, nigdy nie poprosiła o koc, żeby pokonać zimno, ale znosiła pokornie ból spowodowany chorobą... A dobry Bóg wynagrodził jej cierpienie, zabierając ją do siebie, kiedy miała dwadzieścia cztery lata.

Zaśmiała się cicho, zza zębów, przymykając oczy, jakby przyglądała się czemuś dalekiemu, a wszystkie drobne zmarszczki wyraźnie zaznaczyły się na jej twarzy. Kiedyś była atrakcyjną kobietą, pomyślał Quart. W pewnym sensie nadal nią jest. Zastanawiał się, ilu zakonników – kobiet i mężczyzn – miałoby odwagę zrobić to, co zrobiła ona.

Gris Marsala usiadła w fotelu, podczas gdy Quart stał nadal, w rozpiętej marynarce, z rękami w kieszeniach, oparty o półkę z książkami i muzyką, i przyglądał się jej. Uśmiechnęła się do niego gorzko.

– Czy widział ksiądz kiedyś cmentarz zakonnic? Równe rzędy małych płyt, wszystkie identyczne. A na nich wypisane imiona zakonne, nie te otrzymane na chrzcie. To, czym były, ogranicza się do przynależności do zakonu, nic poza tym nie liczy się wobec Boga. Nie ma grobów, które budzą więcej smutku. Podobnie jak cmentarze wojenne z tysiącami krzyży, na których jest napis „nieznany”. Powodują nieznośne poczucie osamotnienia. I to samo od tysięcy lat pytanie: po co to wszystko?

Bawiła się jedną z szydełkowych serwetek, leżących na oparciu sofa, i nagle wydała się całkowicie bezbronna, jakby nie miała nic wspólnego z pewnością siebie, promieniującą z każdego jej słowa i gestu. Quart poczuł nagłą chęć, żeby usiąść obok niej; nie była to jednak litość, ale okazja do działania operacyjnego. Pewnie nie będzie już lepszej okazji, żeby oświetlić ciemne zakamarki duszy Gris Marsali. Mówił bardzo ostrożnie, jak wędkarz, który nie podciąga żyłki zbyt gwałtownie, żeby ryba nie spłoszyła się i nie uciekła.

– Takie są normy. Znała je siostra, wstępując do klasztoru.

Spojrzała na niego, jakby mówił w obcym języku.

– Kiedy tam wstępowałam, nie znałam sensu takich słów, jak represje, nietolerancja i niezrozumienie – potrząsnęła głową. – Takie są ogólne normy. Jak w *Roku 1984* Orwella, zawsze pod okiem Wielkiej Siostry patrzącym na ciebie. A im jesteś młodsza i atrakcyjniejsza, tym gorzej. Intrygi, skłócone grupki, wybrane koleżanki, zazdrość, zawiść... Zna ksiądz to powiedzenie: łączą się nie znając się, żyją

bez miłości, umierają bez wzajemnych łez... Jeśli któregoś dnia przestanę wierzyć w Boga, mam nadzieję, że pozostanie mi wiara w Sąd Ostateczny. Jakże chciałabym tam spotkać niektóre z moich koleżanek i wszystkie moje przełożone.

– Dlaczego wstąpiła siostra do zakonu?

– Nasza rozmowa coraz bardziej przypomina spowiedź. Nie po to tu przyszedliśmy, żebym odsłaniała przed księdzem wszystkie zakamarki sumienia. A ksiądz dlaczego został duchownym? Czy usłyszę tę samą starą opowieść o ojcu tyranie i nadmiernie kochającej matce?

Quart, zmieszany, zaprzeczył ruchem głowy. Nie w tę stronę zamierzał skierować rozmowę.

– Mój ojciec umarł, kiedy byłem małym chłopcem.

– No tak. Kolejny przypadek kompleksu Edypa, jak by to zakwalifikował stary świntuch Freud.

– Nie sędzę. Myślałem też o karierze wojskowej.

– Jakież to literackie! Czerwone i czarne – położyła sobie serwetkę na kolanach i składała ją i rozkładała, nie zwracając uwagi na swoje ruchy. – Mój ojciec był bardzo zazdrosny, dominujący. Bałam się, żeby go nie zawieść. Gdyby przestudiować głębiej naturę kobiecych powołań, zwłaszcza dziewcząt, które były ładne, odkryłoby się niespodziewanie wiele przypadków trwającego od lat lęku przed ojcem – wszyscy mężczyźni chcą jednego i tak dalej. Wiele zakonnice, podobnie jak mnie, uczono od dziecka, żeby uważać na mężczyzn i nie tracić przy nich kontroli... Zdziwiłby się ksiądz, jak wiele seksualnych fantazji zakonnice krąży wokół tematu pięknej i bestii.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę, słowa były zbędne. Unosiło się między nimi, zauważył duchowny, bardzo przyjemne poczucie biorące się ze wspólnoty zawodu, który w pewnym sensie oboje wykonywali. To szczególna i bolesna solidarność, pojawiająca się wśród osób duchownych, rozpoznających się nawzajem w niełatwym świecie. Braterstwo oparte na rytuałach, intuicji, domysłach, instynkcie grupy i równoległej, zrozumiałej samotności. Samotności wspólnej.

– Co ma zrobić zakonnica – dodała Gris Marsala – która w czterdziestym roku życia pojmuję, że nadal jest tą samą dziewczynką zdominowaną przez swojego ojca? Istotą, która z chęci, by nie sprawiać przykrości i nie grzeszyć, popełniła grzech najcięższy – nigdy naprawdę nie przeżyła własnego życia. Czy to dobrze, czy też była głupią i nieodpowiedzialną smarkulą, kiedy mając osiemnaście lat zrezygnowała z miłości doczesnej, obejmującej takie pojęcia jak zaufanie, oddanie, seks? – patrzyła na Quarta, jakby naprawdę oczekiwała od niego odpowiedzi na to pytanie. – Co zrobić, kiedy te refleksje przychodzą zbyt późno?

– Nie wiem – odpowiedział jej szczerze i przyjacielsko. – Jestem księdzem z oddziałów piechoty, niewiele znam odpowiedzi – omiół wzrokiem mieszkanie,

skromne meble i komputer, i uśmiechnął się spoglądając na nią. – Może rozbić lustro, a potem kupić sobie następne – przerwał. – Do tego jednak potrzeba wielkiej odwagi.

Gris Marsala przez chwilę nic nie odpowiedziała. Potem powoli rozprostowała serwetkę i ułożyła ją starannie na oparciu sofy.

– Może – powiedziała wreszcie. – Ale odbicie już nie jest to samo – w jej jasnych oczach było mnóstwo ironii, kiedy z powrotem podniosła je na Quarta. – Mało jest rzeczy równie tragicznych w życiu, jak odkryć coś poniewczasie.

Czekali na niego w Casa Cuesta, punktualni, wokół stolika, pod ceramiczną reklamą wycieczek parowcem na trasie Sewilla-Sanlucar-Morze, szajka skruszonych łotrów, nad butelką La Ina.

– Jesteście beznadziejni – powiedział Celestino Peregil. – Przez was się kompromituję.

Don Ibrahim przyglądał się popiołowi na swoim cygarze, który wyglądał, jakby zaraz miał spaść na jego białą kamizelkę. Zmarszczył brwi i palcem gładził opalone wąsy, słuchając kazania Peregila. Obok niego Żrebak Fernando wpatrywał się nieruchomo w powierzchnię stołu, w bliżej nieokreślony punkt znajdujący się mniej więcej między lewą dłonią, jeszcze opatrzoną maścią na oparzenia i zabandażowaną, a mokrym krążkiem na stole, zostawionym po kieliszku z winem, który właśnie podnosił do ust. Jedyne Dzidzia Dolores wyglądała, jakby nie podzielała ogólnego zawstydzenia, wpatrywała się nieobecny spojrzeniem czarnych jak w piosence oczu w pożółkły afisz na ścianie – *Arena, w Linares, 1947, Gitanillo z Triany, Manolete i Dominguin* – i poruszając długimi rękami, ciemnymi i chudymi, z paznokciami równie czerwonymi jak jej usta i kolczyki z koralem, w srebrnych bransoletkach wokół nadgarstków, które dźwięczały przy każdej podróży tam i z powrotem między kieliszkiem a butelką. Ona sama wypila przeszło połowę zawartości.

– W złą godzinę wam zleciłem tę sprawę – dodał Peregil.

Był wściekły, wyraźnie nie w formie, węzeł krawata miał przekrzywiony, skóra i łysina nabrały tłustego tonu, a złożona architektura zaczesanych na żel włosów nad lewego ucha leżała w gruzach. Niecałą godzinę wcześniej Pencho Gavira urządził mu awanturę. Wyniki, durniu! Płacę ci za wyniki, a ty mi się od tygodnia migasz. Dałem ci sześć milionów na załatwienie sprawy i dalej jesteśmy w tym samym punkcie, a na dodatek pojawia się ten dziennikarzyna, ten Bonafé, który chce przy okazji upiec własną pieczeń. Swoją drogą, Peregil, jak będziemy mieć wolną chwilę, to mi opowiesz, co cię z nim łączy, jasne? Opowiesz wszystko bardzo dokładnie, bo czuję, że coś tu piszczy w trawie. Co do reszty, daję ci czas do środy, żebyś załatwił sprawę. Słyszysz? Do środy! Bo we czwartek do tego kościoła nie ma prawa wejść nawet sam

Pan Bóg. Inaczej wyrzygasz mi, o tutaj, te sześć baniek, starannie, grosik za grosikiem. Debil! Jesteś zwyczajnie nienormalny!

– Sprawy z klechami przynoszą pecha – zauważył don Ibrahim.

Peregil spojrział na niego twardo.

– To wy przynosicie pecha.

Żrebak przechylił głowę w ten sam sposób, jak kiedy był upominany przez sędziego albo po stoicku znosił niezadowolenie publiczności na arenach pełnych kurzu i słońca.

– Ta sprawa z benzyną – powiedziała Dździa Dolores – to był ostrzegawczy znak z nieba. Płomienie czyśca.

Dalej wpatrywała się w ostatni afisz Manolete, a mucha, która przed chwilą piła z winnych krążków na stole, teraz przechadzała się po jej srebrnych bransoletkach. Don Ibrahim z czułością obserwował jej cygański profil, makijaż popękany przy zmarszczkach wokół oczu i nad karminem na ustach i raz jeszcze poczuł niewygodne brzemie odpowiedzialności. Żrebak podniósł wzrok i rzucił mu jedno z tych swoich spojrzeń wiernego psa. Pewnie już przełknął „to wy przynosicie pecha” Peregila i czekał na jakiś znak, żeby dowiedzieć się, w jakim kierunku zmierza cała ta historia. Don Ibrahim uspokoił go spojrzeniem, które po kolejnym spacerze po popiele cygara zatrzymało się melancholijnie na kapeluszu panama, wiszącym na oparciu stojącego obok krzesła, przy lasce, którą dostał w prezencie od Marii Felix. I cóż się stało, mawiał ze smutkiem klasyk, kiedy Odyseusz, stojąc nocą na mostku swojego okrętu, w momencie przerażającej jasności umysłu, słyszy, jak statek rozbija się o podwodną skałę, i widzi równocześnie wpatrzone w niego pełne zaufania oczy morskich argonautów. A pocałujcie mnie wszyscy gdzieś! Gdyby znali jego myśli, wszyscy argonauci, do ostatniego, wskoczyliby do morza. A don Ibrahim pierwszy.

– Znak z nieba – przyznał, popierając tezę Dździi przez żywiony do niej szacunek i z powodu braku innego pomysłu, starając się równocześnie nadać swemu obliczu należną, homerycką powagę. – Koniec końców, nie da się walczyć przeciwko żywiołom.

– O rany!

Peregil streścił swoje zdanie na temat znaków z nieba przekleństwem długim i barokowym – związanym z hipotetycznymi majtkami Matki Boskiej – które sprawiło, że kelner wycierający szklanki za barem z zainteresowaniem podniósł głowę.

– No tak – rzekł Peregil, odzyskawszy dech – to znaczy, że pękacie?

Don Ibrahim złożył na piersi dłoń z sygnetem z fałszywego złota, w geście pełnym przykładowej godności. Kiedy to czynił, wreszcie spadł mu popiół z cygara na brzuch.

– Nikt tu nie pęka.

– Nikt – powtórzył Żrebak jak echo, spoglądając w zamyśleniu na płótno ringu.

– Gadaj zdrów – powiedział Peregil. – Czas się kończy. W tym kościele nie może być mszy w najbliższy czwartek.

Fałszywy mecenas uniósł dłoń.

– Po odrzuceniu formy – zasugerował – przejdźmy do treści. Jakkolwiek z powodu przekonań zdecydowaliśmy się nie działać przeciw świętemu miejscu, to nie widzimy przeszkód czy też przeciwwskazań, by zająć się elementem ludzkim – zaciągnął się cygarem, a następnie przyjrzał się odpływającemu kłębowi hawańskiego dymu. – Mam na myśli księdza.

– Którego z trzech?

– Proboszcza – don Ibrahim uśmiechnął się konfidencjonalnie. – Według informacji uzyskanych przez Dzidzię pośród parafian i w okolicy młody wikariusz wyjeżdża jutro, we wtorek, czyli proboszcz zostaje sam wobec niebezpieczeństwa – spojrzenie jego zaczerwienionych, smutnych oczu, pozbawionych rzęs od czasu wypadku z benzyną, spoczęło na zbirze Pencho Gaviry. – Nadążasz, drogi przyjacielu Peregil?

– Nadążam – Peregil zmienił pozycję na krześle, zaintrygowany.

– Ty, czy ktoś tam, nie chcecie, żeby we czwartek odprawiono w kościele mszę, prawda?

– Prawda.

– No a jeśli nie będzie księdza, nie będzie mszy.

– Jasne. Ale parę dni temu powiedzieliście mi, że sumienie nie pozwala wam połamać staruchowi kości. A ja, muszę przyznać, mam powyżej uszu waszego sumienia.

– Nie trzeba posuwać się tak daleko – Amerykanin rozejrzał się wokół, potem spojrzał na Dzidzię, a następnie przezornie ściszył głos. – Wyobraź sobie, że ten szlachetny kapłan, ten szacowny sługa Boży znika na dwa, trzy dni, bez najmniejszego uszczerbku fizycznego.

Błysk nadziei oświetlił uśmiech zbira.

– Możecie się tym zająć?

– Jasne – don Ibrahim znów zaciągnął się cygarem. – To czysta sprawa, bez komplikacji i złamań po drodze. Tyle że będzie cię to nieco drożej kosztowało.

Peregil spojrzał na niego podejrzliwie.

– Ile drożej?

– Nic, prawie nic – don Ibrahim zerknął przelotnie na swoich towarzyszy i zaryzykował sumę: – Pół miliona na twarz, tytułem diet i ryczałtu.

Cztery i pół miliona na tych wysokościach nie robiło specjalnej różnicy, Peregil uczynił więc gest oznaczający, że nie ma sprawy. W tym momencie był goły jak święty

turecki, ale jeśli wszystko wyjdzie, Pencho Gavira nie będzie się targował o taką kwotę.

– Jaki macie plan?

Don Ibrahim wyglądał przez okno na wąski łuk ulicy Inkwizycji, wahając się, czy ujawniać więcej szczegółów. Było mu gorąco, bardzo gorąco pomimo chłodnego wina, miał ochotę zdjąć marynarkę i odetchnąć głęboko. Wziął do ręki wachlarz Dzidzi i ochłodził się. Ciekawe, jak to wszystko się skończy.

– Jest nad rzeką takie jedno miejsce – powiedział. – To łódź, na której mieszka *Żrebak*. Możemy przetrzymać tam księdza do piątku, jeśli chcesz.

Peregil spojrział w pozbawione wyrazu oczy *Żrebaka* i uniósł do góry brwi.

– Uda się?

Don Ibrahim znów – z powagą i pewnością – skinął głową. W każdym razie, pomyślał w tej chwili, są takie momenty w życiu, kiedy człowiek staje się więźniem własnych kroków; jak Cortes, kiedy powiedział, do Tenochtitlanu tędy, panowie, czy jakoś tak. Wachlował się, podnosząc do góry głowę, żeby bardziej owiewało go chłodne powietrze, jakby za jego plecami rozwiewał się zapach statków płonących na plażach Veracruz.

– Uda się.

Jak wszyscy ludzie, którzy chcą poczuć się spokojniej, Peregil wyglądał teraz na dużo spokojniejszego. Wyjął z paczki papierosa z jasnego amerykańskiego tytoniu i zapalił go.

– Na pewno nie skrzywdzicie staruszka? A co zrobicie, jeśli się będzie opierał?

– Przepraszam – don Ibrahim rzucił ukradkowe spojrzenie na Dzidzię, a następnie położył dłoń z cygarem na ramieniu *Żrebaka*. – To kapłan w podeszłym wieku, święty mąż.

Peregil wydawał się przekonany. Trzeba jednak również, przypomniał im, mieć pieczę nad księdzem z Rzymu i... hm... nad małżonką. No i zdjęcia. Przede wszystkim mają pamiętać o zdjęciach.

– Wiecie, że to nie jest zły pomysł – dodał po chwili, wracając do sprawy proboszcza. – Jak na to wpadliście?

Gładząc resztki wąsów, don Ibrahim przywołał na twarz uśmiech na pół skromny, na pół zadowolony.

– Oglądając wczoraj film w telewizji – *Więzień Zandy*.

– Chyba też go widziałem – Peregil dotknął włosów zwisających mu nad uchem, starając się znów zamaskować łysinę. Był w lepszym humorze. Nawet dał kelnerowi znak, żeby przyniósł drugą butelkę, której już w drodze przyglądała się Dzidzia Dolores nieprzeniknionym spojrzeniem oczu z agatu, podczas gdy jej długie,

odrapane paznokcie gładziły szklaną powierzchnię pustego kieliszka. – Chodzi o to, że kumple pakują jednego gościa do pudła, a ten znajduje skarb i mści się na nich.

Don Ibrahim pokiwał na boki głową. Kelner odkorkował butelkę i jasne wino zadźwięczało, wlewając się do kieliszków, a Dździa towarzyszyła mu bezdźwięcznym ruchem warg.

– Nie – powiedział. – To jest *Hrabia Monte Christo*, A w naszym filmie zły brat porywa króla i sam chce się koronować, ale pojawia się Stewart Granger i go ratuje.

– No właśnie – Peregil potakiwał zadowolony i przyglądał się Żrebakowi. – To prawda, że człowiek dzięki telewizji uczy się cholernie dużo.

Honorato Bonafé posiadał pewne świńskie cechy, i to nie tylko w sensie moralnym. Kiedy wchodził w chłodny półcień atrium, pot spływał mu obficie po różowym podbródku, mocząc kołnierzyk koszuli. Wyjął z kieszeni chusteczkę i powoli się wycierał, drobnymi ruchami miękkich, małych dłoni, przyglądając się równocześnie wotom wiszącym na ścianie, połowie ławek ustawionych na sobie z boku nawy, rusztowaniom pod ścianami i przed ołtarzem. W Santa Cruz zapadał wieczór. Ostatnie światło wpadające przez niepełne witraże, złote i czerwone, nadawało aurę tajemniczości zniszczonym i zakurzonym figurom rzeźbionym w drewnie. Dwa anioły wpatrywały się w punkt w pustce, a modlące się postacie książąt del Nuevo Extremo wydawały się postaciami rzeczywistymi, skulonymi w półmroku ołtarza.

Zrobił kilka niepewnych kroków, przyglądając się sklepieniu, ambonie i konfesjonaliowi, do którego drzwiczki były otwarte. Nie było nikogo ani tam, ani w zakrystii. Podszedł do żelaznej kraty u wejścia do krypty, spojrzał na stopnie prowadzące w ciemność, a następnie odwrócił się do ołtarza. Figura Matki Boskiej stała w swojej niszy, otoczona rurami i platformami rusztowań. Bonafé przyglądał jej się z dołu, a następnie ze stanowczością kogoś, kto realizuje dawno przemyślane plany, podszedł do drabinki rusztowania i wspiął się na wysokość figury, około pięciu metrów nad ziemią. Wpadające przez witraże czerwone światło oświetlało ukośnie barokową postać, serce przebite sztyletem na piersi, oczy pełne bólu wzniesione ku niebu. A na policzkach, na niebieskim płaszczu i na gwiazdzistej koronie otaczającej głowę błyszcząły perły kapitana Xaloca.

Bonafé znów wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł pot z czoła i podbródka, a potem użył jej, żeby zetrzeć kurz, który pokrywał perły, przyglądając się im bardzo uważnie. Znów rozejrzał się po pustej nawie kościoła, a następnie wydobył z kieszeni mały scyzoryk i ostrożnie go otworzył. Delikatnie zadrapał jedną z pereł umieszczonych na płaszczu figury i przyjrzał się jej uważnie, zamyślony. Po chwili niezdecydowania wsunął czubek scyzoryka w spojenie, z dużym czuciem, i odczepił perlę ze swojego

miejsca. Była duża, wielkości ziarna ciecierzycy, przez chwilę trzymał ją na otwartej dłoni, a potem schował do kieszeni marynarki z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Światło zachodzącego słońca przechodziło przez bezcielesnego Chrystusa w zniszczonym witrażu, barwiąc na czerwono krople potu na miękkim profilu Bonafé. Jeszcze raz użył chusteczki, żeby otrzeć twarz. I w tej chwili usłyszał delikatny szelest za plecami i lekkie drżenie poruszyło konstrukcją rusztowania.

XI

Skrzynia Carloty Bruner

*Cała mądrość świata zawiera się
W oczach tych woskowych lalek.
(Valery Larbaud, Wiersze)*

Angielski zegar wybił dziesięć uderzeń, kiedy kończyli deser, a Cruz Bruner zaproponowała wypicie kawy na dworze, na patio. Lorenzo Quart podał księżnej ramię, wychodząc z jadalni letniej, gdzie jedli kolację pośród marmurowych popiersi przywiezionych przed czterema wiekami z ruin Italiki, razem z mozaiką zdobiącą posadzkę głównego patio. W korytarzu przodkowie o poważnych minach, w białych kołnierzach i ciemnych strojach, przyglądali się im z płócien pod kasetonowym sufitem w stylu *mudéjar*. Starsza pani, ubrana w czarny jedwab z drobnymi białymi kwiatkami na kołnierzyku i mankietach, pokazywała ich Quartowi, wsparta na jego ramieniu: admirał zamorskiej floty, generał, gubernator Niderlandów, wicekról Indii Zachodnich. Kiedy przechodzili obok kordobańskich latarń, szczupły cień księdza przesunął się między łukami galerii obok drobnej i pochylonej sylwetki księżnej. A za nimi w sandałach, w ciemnej, lekkiej sukni sięgającej kostek, z poduszką dla matki pod ręką i z nikłym uśmiechem na ustach, podążała Macarena Bruner.

Usiedli na metalowych krzesłach pomalowanych na biało; Quart między dwiema kobietami, obok fontanny wyłożonej kafelkami według najsztwniejszych reguł heraldyki. Kwiaty w doniczkach pokrywały całe patio zielonymi liśćmi, a zapach jaśminu unosił się z delikatnych pączków. Macarena odprawiła służącą zaraz po tym,

jak ta ustawiła na inkrustowanym stoliku tacę z kawą, i sama napełniała filiżanki. Czarna dla Quarta, z odrobiną mleka dla niej. Niezupełnie zimna coca-cola dla matki.

– Już ksiądz zauważył, że to mój narkotyk – rzekła starsza dama, w odpowiedzi na zainteresowanie Quarta. – Lekarze zabraniają mi picia kawy.

Macarena skierowała do duchownego minę pełną smutku.

– Sypia bardzo niewiele, a jeśli kładzie się spać wcześniej, budzi się o trzeciej czy czwartej rano. Dzięki temu może dłużej jest przytomna. Dlatego pije tyle coca-coli, choć zawiera kofeinę. Wszyscy jej mówimy, że cola nie może być zdrowa, ale nie zwraca uwagi na nasze słowa.

– A dlaczego miałabym zwracać uwagę? – spytała Cruz Bruner. – Ten napój jest jedyną amerykańską rzeczą, jaką lubię.

Macarena spojrzała na nią z delikatnym wyrzutem.

– Gris też lubisz.

– To prawda – starsza pani zgodziła się, między dwoma kolejnymi łykami. – Ale ona jest z Kalifornii, to prawie Hiszpanka.

Macarena odwróciła się do Quarta, który trzymał w ręku spodek i filiżankę, mieszając kawę łyżeczką.

– Księżna sądzi, że w Kalifornii właściciele hacjend nadal chodzą w szerokich sombrerach i w srebrno szamerowanych strojach, brat Junipero dalej wygłasza swe kazania po kościołach, a Zorro z wysokości swego rumaka walczy szpadą o sprawiedliwość dla biednych.

– A nie jest właśnie tak? – spytał Quart z rozbawieniem.

Cruz Bruner żywym gestem dłoni potwierdziła.

– Tak powinno być – powiedziała, a potem spojrzała na córkę, jakby zdanie duchownego było rozstrzygające. – Bo koniec końców, twój prapradziadek był gubernatorem Kalifornii, zanim ją nam Amerykanie zabrali.

Powiedziała to z powagą właściwą jej krwi oraz krwi poważnych rycerzy czuwających na płótnach w korytarzu; wydawać by się mogło, że Kalifornia została odebrana bezpośrednio jej rodzinie. Dość niecodzienne wrażenie sprawiała ta mieszanina familiarności i dworskiej, nieco wyniosłej uprzejmości, z jaką Cruz Bruner zwracała się do bliźnich, jakby długi film pamięci przesuwiał się w ciszy przed jej poczerwieniałymi oczami, żywymi i smutnymi, w których nagle pojawiała się wesołość, jak dźwięk pękającego kryształu. Quart obserwował ręce i twarz, pokryte zmarszczkami i ciemnymi plamami, wyschniętą skórę i cienką linię szminki o odcieniu bladoróżowym, która obrysowywała wyobrażony kontur zwiędłych ust. Siwe włosy z niebieskawymi refleksami, naszyjnik z drobnych pereł wokół szyi, wachlarz malowany przez Romero de Torres. Już niemal nie było takich kobiet. Znał kilka podobnych, ocalałych samotnych dam, wietrzących swój stracony czas i nostalgię na

Lazurowym Wybrzeżu, były to matrony dawnej arystokracji włoskiej, wysuszone relikwie z Europy Środkowej o dźwięcznych austro-węgierskich nazwiskach, pobożne hiszpańskie damy, i wiedział, że oryginalnych egzemplarzy zostało już bardzo niewiele, a Cruz Bruner należy do ostatnich. Ich synowie i córki były jak zabłąkane kule, bez zawodu i majątku, pokarm dla prasy brukowej, i jeśli nie pracowali od dziewiątej do szóstej w biurze albo banku, nie administrowali piwnic winnych, sklepów czy modnych dyskotek, tworzyli tło dla finansistów i polityków, od których zależał ich byt. Studiowali w Stanach Zjednoczonych, podróżowali raczej do Nowego Jorku niż do Paryża czy Wenecji, nie mówili po francusku, zawierali małżeństwa z osobami rozwiedzionymi, modelkami haute-couture lub parweniuszami, których jedyną pamięć stanowiły cyfry składające się na numer rachunku bieżącego, otworzonego niedawno dzięki spekulacjom i łutowi szczęścia. Sama to przyznała podczas kolacji, z uśmiechem i błyskiem inteligentnego, prześmiewczego humoru. Jak wieloryby i foki, ja też należę do gatunku zagrożonego – arystokracji.

– Niektóre światy nie kończą się trzęsieniem ziemi ani ogłuszającym hukiem – siedemdziesięciolatka patrzyła na Quarta spojrzeniem pełnym wątpliwości, zastanawiając się, czy potrafi zrozumieć jej słowa. – Ograniczają się do wygaśnięcia w milczeniu, jedynie z dyskretnym „och!”.

Poprawiła poduszkę, o którą się opierała, i przez chwilę milczała słuchając. Świerszcze grały w ogrodzie przylegającym do ogrodzenia sąsiedniego klasztoru, a delikatna jasność na niebie zapowiadała wschód księżyca.

– W milczeniu – powtórzyła.

Quart spojrział na Macarenę. Światło lamp na galerii miała za plecami i pół twarzy pozostawało w cieniu pod włosami, które opadły z ramienia. Skrzyżowała nogi pod długą suknią z ciemnej bawełny i widoczne były jej białe stopy w sandałach. Kość słoniowa naszyjnika lśniła delikatnie na szyi.

– Nie jest to przypadek kościoła Matki Boskiej Płaczącej – zaryzykował Quart. – Jego upadkowi towarzyszy spory hałas.

Macarena nie odezwała się. Jej matka poruszyła głową.

– Nie wszystkie światy godzą się na swoje odejście – szepnęła. Komentarz ten zabrzmiał jak westchnienie.

– Pani nie ma wnuków – powiedział Quart.

Starał się powiedzieć to obojętnym, zwykłym tonem. Żeby nie zabrzmiało jak prowokacja lub niegrzeczność, choć miało w sobie coś z obu rzeczy. Macarena siedziała nieporuszona, a odezwała się Cruz Bruner, patrząc na swoją córkę.

– Ma ksiądz rację. Nie mam wnuków.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której miał nadzieję, że strzał nie okaże się chybnym. Teraz Macarena pochyliła twarz, wystarczająco, by wschodzący właśnie nad okapem księżyc oświetlił jej pełne wrogości spojrzenie wymierzone w Quarta.

– To nie jest sprawa księdza – powiedziała wreszcie bardzo cicho.

– Może też i nie moja – uznała księżna, przychodząc z pomocą gościowi. – Ale szkoda.

– Dlaczego szkoda? – ton głosu Macareny był ostry jak nóż; mówiła do matki, ale nadal patrzyła na duchownego. – Czasem jest lepiej nie pozostawiać po sobie niczego – gwałtownym, pełnym złości ruchem odrzuciła w tył włosy. – Mieli szczęście żołnierze, którzy szli na wojnę z całym swoim dobytkiem: koniem, mieczem czy karabinem. Nikt się o nich nie martwił ani przez nich nie cierpiał.

– Podobnie jak pewni duchowni – wyciągnął wniosek Quart, również nie spuszczać z niej wzroku.

– Może – Macarena roześmiała się niechętnie, daleka od swojego zwykłego, szczerego chłopięcego śmiechu. – Musi być cudowne takie poczucie nieodpowiedzialności i egoizmu. Wybrać sobie w życiu cel, który się pokocha lub uzna za właściwy, jak to zrobiła Gris. Albo ksiądz. A nie cel, który się dziedziczy lub jest narzucony.

W ostatnich słowach zabrzmiała gorycz. Cruz Bruner splotła palce na wachlarzu.

– Nikt ci nie kazał zajmować się tym kościołem, moje dziecko. Ani robić z niego sprawy osobistej.

– Proszę cię, mamó... Wiesz najlepiej, że istnieją zobowiązania, których się nie wybiera, a które po prostu na ciebie spadają. Skrzynie, których nie otwiera się bezkarnie... Zdarzają się losy rządzone przez duchy.

Księżna otworzyła wachlarz z trzaskiem.

– Sam ksiądz słyszy. Kto mówi, że już nie ma romantycznych bohaterów? – wachlowała się chwilę, potem zamknęła wachlarz, zajęta inną myślą. Przyglądała się, zamyślona, zadrapaniom na palcach duchownego. – Ale duchy zadają cierpienie tylko, kiedy jesteśmy młodzi. Czasem, to prawda, mnożą się, ale też czas osłabia ich działanie: ból zmienia w melancholię. Wszystkie moje duchy pływają w sadzawce pełnej oleju – powolnym spojrzeniem obrzuciła całe otoczenie, arabskie łuki na patio, fontannę wyłożoną kafelkami i księżyc, wznoszący się na czarno granatowym prostokącie nieba. – Nawet to już nie boli – spojrzała na swoją córkę. – Może tylko ty. Trochę.

Starsza pani przekrzywiła nieco głowę w taki sam sposób, jak robiła to Macarena, i nagle Quart odkrył w jej twarzy dobrze znane rysy córki. Było to szybkie, przelotne wrażenie, które sprawiło, że przez chwilę poczuł się przeniesiony w czasy za trzydzieści lub czterdzieści lat, w przyszłość tej pięknej kobiety siedzącej obok, w

milczeniu przysłuchującej się słowom matki. Wszystko się zdarza, pomyślał Quart. I wszystko się kończy.

– Przez jakiś czas wierzyłam w małżeństwo mojej córki – ciągnęła Cruz Bruner. – Pocieszała mnie myśl, że któregoś dnia nie zostanie sama. Octavio Machuca i ja zgadzaliśmy się, że Pencho jest idealny: sprytny, przystojny, ma przed sobą przyszłość... Wyglądał na bardzo zakochanego w Macarenie i jestem pewna, że mimo wszystko nadal ją kocha – nie istniejące wargi księżnej zmarszczyły się. – Ale nagle z dnia na dzień wszystko się zmieniło – rzuciła przelotne spojrzenie na córkę. – Dziewczynka porzuciła swój dom i wróciła do mnie.

W głosie staruszki wyraźnie zabrzmiał wyrzut, ale Macarena nadal siedziała nieporuszona. Quart wypił ostatni łyk ze swej filiżanki i odstawił ją na stolik. Nadal miał wrażenie, że jedynie zbliża się do prawdy, nie dotykając jej.

– Nawet się nie ośmielam – zaryzykował – pytać dlaczego.

– Ksiądz się nie ośmiela – Cruz Bruner wachlowała się, patrząc na niego ironicznie. – I ja też nie. W innym momencie uznałabym to wszystko za nieszczęście, ale teraz już sama nie wiem, co lepsze... Jestem przedostatnia z rodu, mam blisko trzy czwarte stulecia na karku i galerię portretów przodków, których nikt się już nie obawia, nie szanuje, a nawet nie pamięta.

Księżyc stał pośrodku prostokąta nieba. Cruz Bruner zgasła lampy. Światło miało kolor srebrnoniebieski, biel na patio – wzory na kafelkach, krzesła, jasne fragmenty mozaiki na posadzce – odcinała się w półmroku, jakby to był jasny dzień.

– To tak, jakby przekroczyć tę linię – ciągnęła dalej księżna i Quart rozumiał, że wróciła do przerwanej wątku. – A stamtąd świat wygląda inaczej.

– Co tam jest?

Staruszka spojrzała na niego z udawanym zaskoczeniem.

– W ustach duchownego to niepokojące pytanie... Kobiety z mojego pokolenia zawsze wierzyły, że księża znają wszystkie odpowiedzi. Kiedy mojego dawnego, już nieżyjącego spowiednika pytałam o radę w sprawie wybryków męża, ten zawsze mi doradzał pogodzenie się, modlitwy i powierzenie niepokojów Jezusowi. Jego zdaniem prywatne życie Rafaela to była jedna sprawa, a moje zbawienie – inna. Nie miały ze sobą nic wspólnego.

Patrzyła na przemian na swoją córkę i na Quarta, który zastanawiał się właśnie, jakich rad małżeńskich udzielał Macarenie ksiądz Príamo Ferro.

– Po tej stronie – Cruz Bruner wróciła do przerwanej wątku – istnieje pewna beznamiętna ciekawość. Pełna tolerancji czułość wobec tych, którzy wcześniej czy później też tam dotrą, choć o tym nie wiedzą.

– Jak pani córka?

Staruszka zastanowiła się przez chwilę.

– Na przykład – wreszcie się odezwała, przyglądając się z zaciekawieniem Quartowi. – Albo jak sam ksiądz. Nie zawsze będzie ksiądz przystojnym duchownym, pociągającym dla parafianek.

Quart zignorował aluzję. Bezsukutecznie starał się zbliżyć do jakiegokolwiek prawdy.

– Ale co to ma wspólnego z księdzem Ferro? Jaka jest jego wizja tamtej strony?

Staruszka gestem okazała swoją niewiedzę. Rozmowa zaczęła ją nużyć.

– Jego samego powinien ksiądz spytać. Mam wrażenie, że don Príamo nie jest czuły ani tolerancyjny. Jest jednak uczciwym kapłanem, a ja wierzę w duchownych. Wierzę w Kościół katolicki, apostołski i rzymski, i mam nadzieję ocalić swoją duszę do życia wiecznego... – dotknęła brody zamkniętym wachlarzem. – Nawet wierzę w takich duchownych jak ksiądz, którzy nie odprawiają mszy, ani nie robią podobnych rzeczy; a nawet w takich, którzy noszą džinsy i sportowe buty, jak ksiądz Oscar... W tym zaginionym świecie, z którego pochodzę, kapłan coś znaczył. z drugiej strony – spojrzała na córkę – Macarena bardzo kocha don Príamo, a ja wierzę też w Macarene. Lubię przyglądać się, jak wydaje swoje osobiste wojny, choć czasem ich nie rozumiem. Wojny, które były niemożliwe w czasach, kiedy miałam jej lata.

Quart zastanawiał się nad prawością proboszcza od Matki Boskiej Płaczącej. Już drugi raz w ciągu ostatnich dwóch dni słuchał słów chwalaćcych jego uczciwość, co stało w rażącej sprzeczności ze sprawozdaniem z jego działalności w Cillas de Anso. Spojrzał na zegarek.

– Czy ksiądz Ferro jest teraz w obserwatorium?

– Jeszcze nie – odrzekła Cruz Bruner. – Zazwyczaj przychodzi później, około jedenastej. Chciałby ksiądz na niego zaczekać?

– Tak. Jest kilka spraw, o których chciałbym z nim porozmawiać.

– To znakomicie. W ten sposób dłużej będziemy mogły cieszyć się towarzystwem księdza – znów grały świerszcze, a starsza pani słuchała ich uważnie, na wpół odwrócona w stronę ogrodu. – Czy już wiadomo, kto przyniósł księdzu naszą pocztówkę?

Spojrzała na niego dopiero po zadaniu pytania; Quart włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i położył na stoliku pocztówkę, która nigdy nie dotarła do kapitana Xaloca.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – poczuł, że Macarena go obserwuje. – Ale przynajmniej wiem, kim była każda z postaci i jakie to miało znaczenie.

– Naprawdę wie ksiądz? – Cruz Bruner składała i rozkładała wachlarz, na koniec dotknęła jego końcówką tekturowego prostokąta widocznego na stole. – W takim razie, oczekując na don Príamo, może dobrze byłoby odnieść pocztówkę do skrzyni Carloty.

Quart niezdecydowanie popatrzył na obie kobiety. Macarena podniosła się i czekała na niego, nieruchoma, z pocztówką w ręce, podczas gdy księżyc blado obrysowywał kształt jej włosów i ramion. Wstał również i poszedł za nią poprzez patio i ogród.

Kiedy weszli do gołębnika, drobne chmurki ocierały się o dolną część księżyca, a nocna poświata nadawała nierzeczywisty wygląd miastu leżącemu u ich stóp. Dachy dzielnicy Santa Cruz wydawały się teatralną dekoracją w dawnym stylu, której elementy rozdzielone były smugami cienia i światła padającego z jakiegoś okna, odległej latarni w wąskim zaułku, gdzie między dwoma okapami wisi, niby całun nocy, susząca się bielizna. Oświetlona Giralda wznosiła się w głębi, wyglądała jak namalowana na ciemnym, teatralnym horyzoncie i miało się wrażenie, że dzwonnica Matki Boskiej Płaczącej stoi bardzo blisko, niemal w zasięgu ręki, za białymi firankami, które falowały łagodnie, poruszane prądem powietrza.

– To nie jest bryza od rzeki, ale od morza – powiedziała Macarena. – Zrywa się nocami i dociera tutaj z Sanlucar.

Wsunęła palce pod dekolt z lewej strony, wyjęła zapalniczkę zza ramiączka stanika i zapaliła papierosa. Dym uniósł się pod sklepienie i wmieszał w rój nocnych owadów, fruwających wokół zapalanej lampy w smudze światła, która padała obok otwartej skrzyni.

– To wszystko, co zostało po Carlocie – powiedziała.

W skrzyni leżały lakowe pudełka, koraliki z agatu, porcelanowa figurka, połamane wachlarze, mantylka z jedwabnej koronki, stara i zleżała, szpilki do kapelusza, fiszbiny, torebka z delikatnymi srebrnymi ogniwami, lornetka teatralna ozdobiona masą perłową, zniszczone kwiaty z tkaniny, papieru i wosku, które kiedyś ozdabiały kapelusz, albumy ze zdjęciami i pocztówkami, stare czasopisma ilustrowane, skórzane etui, kartonowe opakowania, niesamowicie czerwone, długie rękawiczki z zamszu, zniszczone tomiki poezji i szkolne zeszyty, drewniane klocki do robienia koronek, warkocz z jasnych, kasztanowatych włosów długości niemal trzech piędzi, katalog w Wystawy Uniwersalnej w Paryżu, kawałek koralu, miniaturowa gondola, staroświecki folder turystyczny z ruin Kartaginy, wysoki szylkretowy grzebień, szklany przycisk do papierów z zatopionym wewnątrz konikiem morskim, rozmaite stare monety – rzymskie i srebrne hiszpańskie z podobiznami Izabeli II i Alfonsa XII. Pakiet listów był gruby, związany wstążką. Quart ocenił, że mogło ich być około pięćdziesięciu: jakieś dwie trzecie stanowiły koperty zawierające kartki złożone w trzy, reszta to pocztówki. Atrament wyblakł na pożółkłym, kruchym papierze, z czarnego lub granatowego zmieniając się w rozwodnioną sepię, czasem stając się wręcz nieczytelny. Żaden z listów nie miał pieczętki na znaczku i wszystkie pisane były pochyłym

pismem Carloty, starannym, w angielskim stylu. Zaadresowane do pana kapitana Manuela Xaloca, w porcie Hawana, Kuba.

– A od niego nie ma nic?

– Nie – klęcząc nad skrzynią, Macarena wyjęła kilka listów i przeglądała je, trzymając dymiący papieros w palcach. – Mój pradziadek palił je, w miarę jak mu je przynoszono z poczty. Szkoda. Wiemy, co pisała ona, a nie wiemy, o czym opowiadał jej on.

Siedząc w jednym ze starych foteli, z półkami pełnymi książek za plecami, Quart przyglądał się kartkom. Wszystkie były popularnymi rycinami z Sewilli, takie jak ta, którą dostał on – most Triany, port z widokiem na Złotą Wieżę i karawelę zacumowaną obok, plakat z Ferii, reprodukcja jednego z obrazów wiszących w katedrze. Czekał na Ciebie, zawsze będę na Ciebie czekać, z całą moją miłością, na zawsze Twoja, czekam na wiadomości od Ciebie, kochająca Cię Carlota. Wyjął z koperty jeden z listów. Z datą w nagłówku 11 kwietnia 1896.

Kochany Manuelu!

Nie mogę się pogodzić z życiem bez wiadomości od Ciebie. Jestem pewna, że moja rodzina przejmie Twoje listy, bo wiem, że Ty o mnie nie zapomniłeś. Coś w moim sercu, cichutkie tykanie podobne do głosu Twojego zegarka, mówi mi, że moje listy i moja nadzieja nie wędrują w pustkę. Ten list wyślę Ci przez służącą, której ufam, i mam nadzieję, że moje słowa dotrą do Ciebie. Powtarzam w nich przesłanie mojej miłości i obietnicę, że będę na Ciebie czekać zawsze, aż do Twego powrotu.

Jakże długie wydaje się oczekiwanie, najdroższy! Czas mija, a ja czekam, że któryś z białych żagli płynących w górę rzeki przywiedzie tu Ciebie z powrotem. Życie musi okazać się w końcu wspaniałomyślne dla tych, którzy tak bardzo cierpią przez to, że w nie wierzą. Czasem brakuje mi sił, płaczę, rozpaczam i nawet myślę, że nigdy już nie wrócisz. Że mnie zapomniłeś, mimo przysięgi. Widzisz, jak niesprawiedliwą i głupią mogę być?

Czekam na Ciebie zawsze, każdego dnia, w wieży, z której widziałam, jak odpływałeś. W godzinie sjesty, kiedy wszyscy śpią, a dom pogrążony jest w ciszy, przychodzę tutaj na górę, siadam w bujanym fotelu i patrzę na rzekę, którą powrócisz.

Jest bardzo gorąco i wczoraj wydawało mi się, że jeden z galeonów na obrazie wiszącym nad schodami poruszył się i odpłynął. Śniły mi się też dzieci bawiące się na plaży. Mam nadzieję, że to dobre znaki. Może w tej chwili jesteś już w drodze do mnie.

Wróć jak najszybciej, Ukochany. Jest mi potrzebny dźwięk Twojego śmiechu, widok Twoich białych zębów, dotyk Twoich opalonych i silnych dłoni. Chcę widzieć,

jak na mnie patrzysz. I powtórzyć ten jedyny pocałunek, jaki mi darowałeś. Wróc, proszę. Błagam. Wróc, bo inaczej umrę. Czuję, że wewnątrz siebie już umieram.

Moja miłości!

Carlota

– Manuel Xaloc nigdy nie przeczytał tego listu – powiedziała Macarena. – Podobnie jak żadnego innego. Ona pozostała przy zdrowych zmysłach jeszcze pół roku, a potem pogrążyła się w mroku. Nie przesadziła: wewnątrz już umierała. I kiedy on wreszcie przyjechał do niej i usiadł na patio w granatowym mundurze ze złotymi guzikami, Carlota już była martwa. Kobieta, która stała przed nim, nie rozpoznając go, była już tylko cieniem.

Quart złożył list, zwrócił go na ten cmentarz pożółkłego papieru, z kopertami przypominającymi płyty nagrobne na wiadomościach wysyłanych na oślepie w pustkę i ciemność. Poczul się zakłopotany, niemal winny temu, że pogwałcił, wdarł się w intymność mrocznego dialogu, złożonego z pełnych krzyku wezwań o pomoc, słów miłości, które nigdy nie znalazły odpowiedzi. List ten obudził w nim trudne do określenia poczucie wstydu. Nieskończony smutek.

– Chce ksiądz dalej czytać? – spytała Macarena.

Quart zaprzeczył ruchem głowy. Bryza dobiegająca od Sanlucar przez Gwadalkiwir poruszała firankami, odsłaniając chwilami mroczną sylwetkę dzwonnicy kościoła.

Macarena siedziała na podłodze, oparta o skrzynię, i czytała kolejne listy w świetle lampy, która poruszała ciemne refleksy w czarnych włosach przesłaniających połowę jej twarzy. Quart podziwiał zakrzywienie jej szyi, ciemną skórę dekoltu i początek ramion, bosc stopy w skórzanych sandałach. Promieniowała ciepłem tak intensywnie, że musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć palcami jej skóry na szyi.

– Proszę spojrzeć na to – powiedziała.

Podala mu pisaną odręcznie kartkę: szkic statku i tekst pod spodem, charakter pisma i rysunek Carloty. Na górze widniał tytuł: okręt wojenny „Manigua”, pod spodem opis techniczny jednostki i było jasne, że został on skopiowany z jakiegoś czasopisma z epoki.

– Te papiery są późniejsze – powiedziała Macarena, podając mu teczkę zawiązaną wstążeczką. – Włożył ją tu mój dziadek, już po śmierci Carloty. To jest kolejny epilog tej historii.

Quart otworzył teczkę. Zawierała stare wycinki z prasy oraz czasopism ilustrowanych, a wszystko związane było z zakończeniem wojny kubańskiej i klęską morską z 3 lipca 1898. Okładka „La Ilustración” odtwarzała w artystycznej grafice

rozbicie eskadry admirała Cervery. Znajdowała się tam również strona zawierająca opis bitwy, mapę wybrzeża w pobliżu Santiago de Cuba, portrety najważniejszych przywódców i oficerów poległych w walce – między nimi Quart odnalazł to, czego szukał. Nie były to ilustracje wysokiej jakości, a objaśnienie rysownika głosiło: „Wykonano na podstawie opisu wiarygodnych świadków”. Portret ukazywał przystojnego mężczyznę, w żakiecie zapiętym pod szyję, z białym fularem pod szyją, o melancholijnym wyrazie oczu. Jako jedyny ubrany był w strój cywilny i wydawało się, że rysownik starał się celowo podkreślić jego przynależność do eskadry Cervery. Miał krótkie włosy i szerokie wąsy, łączące się z gęstymi bokobrodami: kapitan żeglugi handlowej, Pan Manuel Xaloc Ortega, kapitan pancernego kutra „Manigua”. Z rysunku patrzył w nieokreślony punkt gdzieś ponad ramieniem Quarta, jakby właściwie nic go nie obchodził fakt, że znalazł się pomiędzy bohaterami wojny kubańskiej. Nieco niżej, na tej samej stronie znajdował się taki tekst:

Podczas gdy Infanta María Teresa, wytrzymawszy niemal przez godzinę ciężki atak ogniowy amerykańskiej eskadry, lądowała na wybrzeżu pogrążona w płomieniach, pozostałe statki hiszpańskie kolejno wychodziły z portu Santiago, pomiędzy fortami El Mono i Socapa, i natychmiast przyjmowane były przez zmasowany atak artylerii pancerników i krążowników Sampsona, których przewaga ogniowa i pancerna były przytłaczające. Ze zniszczonymi wieżami, podziurawionymi mostkami i sprzętem oraz przy wysokiej liczbie zabitych i rannych na pokładzie, z płonąca jedną z burt Oquendo przepłynął obok miejsca, gdzie utkwiał okręt flagowy niezdolny do dalszej żeglugi, a jego dowódca (kapitan Lazaga) był zabity, popłynął mile dalej za zachód, aby nie dostać się w ręce wroga.

Okręty Vizcaya i Cristóbal Colón płynęły cała naprzód równoległe do brzegu, przyparte do niego nawałnicą ognia amerykańskiego. Przepłynęli obok zniszczonych okrętów, z których rozbitkowie próbowali dopłynąć do brzegu w pław. Szybszy Colón wysunął się do przodu, podczas gdy nieszczęsny Vizcaya pozostał pod zmasowanym atakiem jednostek przeciwnika. Okręt splonął po nieudanej próbie dowódcy (kapitan Eulate) natarcia na pancernik Brooklyn i zatonął pod ostrym ogniem okrętów Iowa i Oregon, z podniesioną banderą, która nie została zdjęta. Nastąpiła kolej Colona (pod dowództwem kapitana Díaz Moren), który o pierwszej po południu, otoczony przez cztery jednostki amerykańskie, bezbronny, pozbawiony ciężkiej artylerii, został przyparty do wybrzeża i zatopiony przez własną załogę. W tym samym czasie, spóźnione i bez cienia nadziei na zwycięstwo, wypływały kolejno po sobie lekkie jednostki należące do eskadry, kontrtorpedowce Pluton i Furor, do których w ostatnich godzinach dołączył kuter opancerzony, którego dowódca (kapitan żeglugi handlowej Xaloc) odmówił pozostania w porcie, gdzie jego statek

zostalby zajęty po mającej już wkrótce nastąpić kapitulacji miasta. Te niewielkie jednostki, świadome, że ucieczka jest niemożliwa, popłynęły prosto naprzeciw amerykańskim pancernikom i krążownikom. Pluton (dowodzony przez porucznika Vazqueza) zatonął, kiedy został rozbity na połowę przez ciężki pocisk wystrzelony z Indiany, pancernika, który wspólnie z okrętem Gloucester ostrzelał Furor (dowodzony przez kapitana Villaamil), zatapiając go. Szybki i lekki Manigua wypłynął na końcu z portu Santiago, kiedy wzdłuż wybrzeża rozliczne hiszpańskie okręty stały płonąc na mieliźnie, podniósł niezwykle czarną flagę obok bandery narodowej, opłynął płyciznę Diamante i już pod nieprzyjacielskim ogniem, bez wahania skierował kurs na najbliższą jednostkę amerykańską, czyli na pancernik Indiana. Kuter Manigua popłynął około trzech mil, zbliżając się ruchem zygzakowatym do pancernika, dostał się pod zmasowany ogień i zatonął o godzinie pierwszej dwadzieścia po południu, ze zniszczonym pokładem płonącym na całej swej długości od dziobu po rufę, do końca atakując nieprzyjaciela...

Quart odłożył wycinek do teczki, a tę z kolei, wraz z resztą dokumentów, do skrzyni. Teraz już wiedział, gdzie patrzyły obojętne oczy kapitana Xaloca na portrecie opublikowanym w czasopiśmie: na działa pancernika „Indiana”. Przez chwile widział, jak trzyma się kurczowo relingu na mostku, pomiędzy hukami wystrzałów armatnich i dymem płonącego okrętu, gotów zakończyć swą długą podróż donikąd.

– Czy Carlota dowiedziała się o tym?

Macarena przewracała kartki starego albumu z fotografiami.

– Nie wiem. W lipcu 1898 zupełnie oszalała, nie wiadomo, co to wszystko dla niej mogło znaczyć. Sądzę, że rodzina ukrywała przed nią tę wiadomość. W każdym razie nadal tu przychodziła i czekała, aż do śmierci.

– To bardzo smutna historia.

Trzymała album otwarty nadal na tej samej stronie i pokazała mu ją. Była tam przyklejona stara fotografia, prostokątny kartonik z nazwą pracowni fotograficznej w rogu. Przedstawiała dziewczynę w jasnej, letniej sukni, z zamkniętą parasolką w ręku i w kapeluszu o szerokim rondzie, ozdobionym kwiatami podobnymi do tych z tkaniny i wosku, jakie leżały w skrzyni. Odbitka wypłowiwała, postać była niemal żółta, a całość zamazana przez czas; można jednak było zauważyć delikatne dłonie trzymające rękawiczki i wachlarz, jasne włosy zebrane na karku, owal bladej twarzy, smutny uśmiech i nieobecne spojrzenie. Nie była piękna, jej wygląd jednak był miły – łagodny i ujmujący. Quart ocenił ją na niewiele ponad dwadzieścia lat.

– Prawdopodobnie to zdjęcie zrobiła dla niego – rzuciła Macarena.

Mocniejszy powiew bryzy poruszył firankami i Quart znów dostrzegł pobliską dzwonnicej Matki Boskiej Płaczącej. Aby przezwyciężyć poczucie niesmaku, wstał,

podszedł do jednego z arabskich łuków, zdjął marynarkę, złożył ją, opierając się o framugę i patrzył na zarysowaną w ciemności sylwetkę kościoła. Jego przygnębienie było równie głębokie, jak uczucie, którego musiał doświadczyć Manuel Xaloc, wychodząc po raz ostatni z Domu z Okiennicami i kierując swoje kroki do kościoła, by tam złożyć perły przeznaczone do ślubnej sukni, której Carlota Bruner nie miała nigdy włożyć.

– Przykro mi – wyszeptał w kierunku nocy, nie będąc w stanie sprecyzować, kogo właściwie przeprasza. Nie wiedział nawet, za co przeprasza, czuł jednak potrzebę, by to zrobić. W nadgarstkach poczuł chłód łuku prowadzącego do krypty, migotanie świec podczas mszy odprawianej przez księdza Ferro, zapach jałowej przeszłości unoszący się z otwartej skrzyni. I samotny templariusz na stepie, zmęczony, oparty na mieczu, ujrzał, jak powoli przesuwa się okręt „Manigua” i wychodzi w morze fatalnego 3 lipca 1898, z nieruchomą sylwetką na kapitańskim mostku i łopoczącą obok banderą czarną jak rozpacz.

Poczuł jej bliskość. Macarena podeszła do niego i też przyglądała się wieży kościoła Matki Boskiej Płaczącej.

– Teraz – powiedziała – wie już ksiądz wszystko, co trzeba.

Nie była to w żadnym wypadku prawda. Quart wiedział więcej, niż chciałby wiedzieć, a Nieszpory właściwie osiągnął swój niemożliwy cel. Jednak to wszystko nie dawało się przełożyć na oficjalną prozę raportu, na który czekano w ISZ-cie. Arcybiskup Spada, Jego Eminencja Jerzy Iwaszkiewicz i Ojciec Święty chcieli poznać tożsamość informatycznego pirata, a uniknięcie skandalu wokół małej sewilskiej parafii było w całej tej sprawie najistotniejsze. Reszta – historie i losy ukryte w murach tego kościoła – nie były dla nikogo ważne. Ksiądz Oscar, z żarem młodości, utrafił w sedno: Matka Boska Płacząca jest zbyt daleko od Rzymu. Jest, podobnie jak „Manigua” kapitana Xaloca, płynącym zygzakami małym kutrem, którego los z góry był przesądzony, naprzeciw stalowemu, bezdusznemu pancernikowi.

Macarena położyła dłoń na jego ramieniu nad zranioną dłonią, a on nie poruszył się, nie usunął się, choć kobieta musiała zauważyć, jak jego mięśnie zeszywniały pod jej dotykiem.

– Wyjeżdżam z Sewilli – powiedział cicho Quart.

Nie odpowiedziała od razu. Po chwili poczuł, że znów na niego patrzy.

– Sądzi ksiądz, że w Rzymie to zrozumieją?

– Nie wiem. To jednak, czy zrozumieją, czy nie, nie ma żadnego znaczenia – Quart gestem objął skrzynię, dzwonnice, ciemne miasto u ich stóp. – W końcu to nie oni tutaj byli. Dla nich to tylko maleńki punkt na mapie, na który zuchwały informatyczny intruz przez chwilę skierował ich uwagę. Mój raport trafi do archiwum w kilka minut po jego przeczytaniu.

– To niesprawiedliwe – zaprotestowała Macarena. – To jest wyjątkowe miejsce.

– Myli się pani. Świat jest pełen takich miejsc. Każdy zakątek, każda opowieść mają w sobie jakąś Carlotę wyczekującą w oknie, jakiegoś starego, upartego proboszcza, jakiś rozpadający się kościół... Nie jesteście na tyle ważni, żeby papieżowi spędzać sen z powiek.

– A księdzu?

– To nie ma nic do rzeczy. Przedtem też niewiele spałem.

– Rozumiem – zdjęła dłoń z jego ramienia. – Nie lubi się ksiądz angażować, prawda? Chyba że wypełnia ksiądz rozkazy – gwałtownie odrzuciła włosy do tyłu, stając tak, że musiał patrzeć jej w twarz. – Nie spyta ksiądz, dlaczego opuściłam mojego męża?

– Nie, nie pytam. Ta informacja nie jest nieodzowna dla mojego raportu.

Zabrział cichy, lekceważący śmiech kobiety.

– Nic mnie nie obchodzi raport księdza. Przyjechał tu ksiądz, żeby zadawać pytania i nie może teraz po prostu powiedzieć *wyjeżdżam* i uciec przed odpowiedziami... Węszył ksiądz w życiorysach wszystkich wokół, teraz pozna ksiądz moje życie – nie odrywała wzroku od Quarta. Jej głos był skupiony, poważny: jakby przed wydobyciem się z niej przebywał długą drogę wewnątrz. – Chciałam mieć dziecko, coś, co osłabiłoby poczucie, że nie ma nic między moimi stopami a przepaścią... Ja chciałam mieć dziecko, a Pancho nie chciał – w tonie zabrzmiał sarkazm. – Niech sobie ksiądz wyobrazi jego argumenty: jest zbyt wcześnie, to nienajlepszy czas, teraz jest decydujący moment w naszym życiu, musimy skoncentrować energię i wysiłki, będzie na to czas później... Zlekceważyłam to wszystko i zaszłam w ciążę. Dlaczego odwraca ksiądz twarz? Czuje się ksiądz zgorszony? Proszę sobie wyobrazić, że jest ksiądz w konfesjonale. Przecież to należy do zawodu księdza.

Quart poruszył głową, poczuł się nagle pewny siebie. Tego musi się trzymać w tej chwili. Swojego zawodu.

– Znów się pani myli – odpowiedział łagodnie. – Wcale tak nie jest. Już kiedyś powiedziałem, że nie będę pani spowiadał.

– Nie uniknie ksiądz tego – Quart zauważył złość i ironię w jej głosie. – Proszę przyjąć, że jestem pogrążoną w smutku duszą, której profesjonalizm księdza nie pozwala odtrącić – nastąpiła chwila milczenia. – Poza tym wcale nie proszę o rozgrzeszenie.

Wzruszył ramionami, jakby to wystarczyło, żeby zachować bezstronność. Jednak w jej oczach błyskały refleksy światła, księżycy, nocy i wydawało się, że nie dostrzegła tego gestu.

– Zaszłam w ciążę – ciągnęła tym samym tonem co poprzednio – a Pencho zareagował, jakbym mu zburzyła porządek świata. Upierał się, że jest za wcześnie, zbyt wiele problemów czeka na rozwiązanie. Wywierał na mnie taką presję, jak nikt nigdy wcześniej w moim życiu. Nalegał, żebym usunęła ciążę.

A więc to tak. Rozrzucone elementy zaczynały powoli składać się w myślach księdza. Macarena milczała, a on nie mógł się opanować, by nie odezwać się wbrew sobie.

– I zrobiła to pani – powiedział.

Nie było to pytanie. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, i dostrzegł uśmiech tak gorzki, jakiego nie widział nigdy przedtem.

– Zrobiłam – dzielnica Santa Cruz nadal odbijała się w jej oczach, blada w księżycowej poświacie. – Jestem katoliczką i opierałam się tak długo, jak mogłam. Ale naprawdę kochałam swojego męża. Wbrew opinii don Priámo poszłam do kliniki i usunęłam ciążę. Tyle tylko, że sprawy się skomplikowały: miałam perforację macicy połączoną z krwotokiem, trzeba było pilnie usunąć macicę. Wie ksiądz, co to znaczy? Że nigdy nie będę mogła zostać matką – podniosła w górę oczy i wypełniło je światło księżycy, wymazując wszystko inne. – Nigdy.

– Co pani powiedział ksiądz Ferro?

– Nic. Jest stary i widział już zbyt wiele. Udziela mi komunii, kiedy o to proszę.

– Wie o tym pani matka?

– Nie.

– A pani mąż?

Wybuchnęła krótkim, suchym śmiechem.

– Też nie – przesunęła dłoń po framudze, w pobliżu ramienia Quarta, nie dotykając go jednak tym razem. – Nie wie o tym nikt, tylko ksiądz Ferro i Gris. A teraz jeszcze i ksiądz.

Zawahała się przez chwilę, jakby chciała dodać jeszcze jedno imię. Quart przyglądał się jej, zaskoczony.

– Czy siostra Marsala zaaprobowała pani decyzję?

– Przeciwnie. Niemal przypłaciłam to zerwaniem naszej przyjaźni. Lecz kiedy w klinice sprawy się skomplikowały, bardzo mi pomogła... Co do Pencho, to nie pozwoliłam mu, żeby był ze mną, i on nadal sądzi, że było to zwykłe poronienie. Wróciłam do domu na rekonwalescencję i według niego wszystko działa się normalnie.

Przez chwilę milczała, przyglądając się Giralddie oświetlonej w oddali, a następnie zwróciła się do duchownego.

– Ale pojawił się pewien dziennikarz – powiedziała. – Niejaki Bonafé, ten sam, który w zeszłym tygodniu opublikował kilka moich zdjęć...

Zamilkła, niewątpliwie oczekując jakiegoś komentarza, ale Quart się nie odezwał. Fotografie zrobione w hotelu Alfonso XIII nie miały znaczenia. Zaniepokoiło go nazwisko Honorato Bonafé w ustach Macareny.

– Nieprzyjemny typ – po chwili podjęła wątek. – Śliski, brudny... Z tych, którym nie podaje się ręki, bo człowiek ma wrażenie, że musi być mokra.

– Znam go – powiedział po chwili Quart.

Macarena spojrzała na niego podejrzliwie, jakby się zastanawiała, skąd może znać kogoś takiego. Następnie pochyliła głowę i ciemne włosy rozdzieliły ich.

– Przyszedł do mnie dziś rano – ciągnęła. – Właściwie zaskoczył mnie przy wejściu, nigdy nie przyjąłabym go w domu. Posłałam go do wszystkich diabłów, ale zanim odszedł, wymamrotał coś o klinice... Zadawał różne pytania.

Chryste Panie! Quart załamał ręce, wyobrażając sobie tę scenę. Przez chwilę żałował, że nie okazał się bardziej stanowczy podczas ich ostatniej rozmowy. Nędzny szczur. Z całej duszy zapragnął spotkać go jeszcze raz w hotelowym hałlu, żeby raz na zawsze zetrzeć mu z twarzy ten oślizły uśmiezek.

– Niepokoję się – wyznała Macarena.

Powiedziała to zmartwionym, niepewnym głosem, jakiego Quart nie słyszał nigdy przedtem. Quart łatwo potrafił sobie wyobrazić, ile soku z tej historii mógłby wycisnąć Bonafé.

– Usuwanie ciąży – zauważył – nie jest już problemem w Hiszpanii.

– Nie. Ale ten człowiek i jego gazeta żyją ze skandali.

Skrzyżowała ramiona i zacisnęła dłonie. Sprawiała wrażenie, jakby naraz zrobiło jej się zimno.

– Czy ksiądz wie, jak przebiega usunięcie ciąży? – znów przyglądała mu się uważnie, szukając odpowiedzi w jego twarzy i odrzucając tę możliwość z wyniosłym grymasem. – Myślę, że ksiądz nie wie. Myślę, że naprawdę ksiądz nie ma pojęcia. To jasne światło, biały sufit, rozsunięte nogi. I chęć, żeby natychmiast umrzeć. I nieskończona, zimna, przeraźliwa samotność... – gwałtownie odsunęła się od okna. – Przeklęci niech będą wszyscy mężczyźni na świecie, nie wyłączając księdza. Niech przeklęty będzie każdy do ostatniego.

Przerwała z głębokim westchnieniem, wyrzuciła powietrze, jakby bolały ją płuca. Kontrast światła i cieni na jej twarzy zdawał się ją postarzać, a może to jej głos, powolny i gorzki, zmieniał ją w kobietę twardszą i bardziej zniszczoną.

– Nie chciałam myśleć – po chwili wróciła do opowieści. – Zastanawiać się nad tym, co się stało. Żyłam w dziwnym śnie, z którego chciałam się obudzić... I pewnego dnia, w trzy miesiące po moim powrocie z kliniki, weszłam do łazienki, kiedy Pencho brał prysznic po tym, jak kochaliśmy się po raz pierwszy. Stał pod strumieniem wody, mydlił się, a ja usiadłam na brzegu wanny i patrzyłam na niego. Nagle uśmiechnął się,

a ja zobaczyłam w nim zupełnie obcego człowieka... Kogoś, kto nie ma nic wspólnego z mężczyzną, którego kochałam i przez którego straciłam możliwość bycia matką.

Znów zamilkła, ku rozpaczy Quarta, który wolałby nie wiedzieć tego wszystkiego, choć z uwagą słuchał jej słów. Przez chwilę wydawało mu się, że skończyła, ale znów podeszła do okna, oparła rękę o framugę, w połowie odległości między nią a księdzem, na złożonej marynarce.

– Poczułam się zupełnie pusta i samotna – znów ciągnęła opowieść. – Jeszcze gorzej niż w klinice. Spakowałam walizkę i przyszłam tutaj... Pencho nigdy tego nie zrozumiał. Zresztą do tej pory nie rozumie.

Quart odetchnął powoli pięć czy sześć razy. Czekala na jego komentarz.

– Dlatego stara się pani mu szkodzić – odezwał się wreszcie. To też nie było pytanie.

– Szkodzić? Nikt mu nie może zaszkodzić. Egoizm i obsesje są jego pancerzem. Mogę jednak sprawić, żeby zapłacił wysoką cenę towarzyską: straci ten kościół, prestiż finansisty i dumę mężczyzny. Sewilla bardzo łatwo przechodzi od oklasków do gwizdów... Mówię o *mojej* Sewilli, na uznaniu której zależy Pencho. Tak zapłaci.

– Pani przyjaciółka Gris utrzymuje, że nadal go pani kocha.

– Ona czasem zbyt wiele mówi – znów zaśmiała się z tą samą goryczą. – Może problem właśnie na tym polega, że go kocham. A może nie. To niczego nie zmienia.

– A ja? Dlaczego opowiada mi pani to wszystko?

Odbity księżyc patrzył na Quarta. Dwa białe koła. Matowe.

– Nie wiem. Powiedział ksiądz, że wyjeżdża, i naraz poczułam przykrość – stała teraz tak blisko, że gdy powiała bryza, jej włosy dotykały twarzy Quarta. – Być może przy księdzu czuję się mniej samotna; może uosabia ksiądz, wbrew sobie, ów atawistyczny wizerunek duchownego, jaki najczęściej wyobrażają sobie kobiety: ktoś silny i mądry, komu można zaufać lub powierzyć swój los... Może sprawia to czarny garnitur księdza i koloratka, a może rzecz polega na tym, że jest ksiądz atrakcyjnym mężczyzną. Być może, przyjazd księdza z Rzymu i wszystko, co on oznacza, budzi moje zainteresowanie. Może to ja jestem Nieszporami. Może staram się zjednać księdza dla swojej sprawy, a może po prostu staram się w nowy i bardziej pokretny sposób znieważać Pencho... Może chodzi o to wszystko naraz. W tym chaosie, jakim stało się moje życie, ksiądz Ferro i właśnie ksiądz, stanowicie dwa krańce obszaru spokoju – przeciwne i uzupełniające się.

– Dlatego tak broni pani tego kościoła – wyciągnął wniosek Quart. – Jest pani potrzebny, tak jak innym parafianom.

Podniosła w górę ramiona, unosząc na kark włosy zebrane w dłoniach. Jej szyja tworzyła łagodną, ciemną linię od małżowin uszu do miejsca, gdzie zaczynają się ramiona.

– Może i ksiądz potrzebuje go bardziej, niż sądzi – rozłożyła ręce i włosy rozsypały się czarną kaskadą, zasłaniając jej szyję i ramiona. – A co do mnie, to nie wiem, czego potrzebuję. Może tego kościoła, jak ksiądz mówi. Może przystojnego, milczącego mężczyzny, który pozwoliłby mi zapomnieć o przeszłości albo przynajmniej przyniósł dar obojętności. I jeszcze jednego, starego i mądrego księdza, który rozgrzeszy mnie z poszukiwania własnego zapomnienia. Wie ksiądz... Parę wieków temu bycie katoliczką było szczęściem. To rozwiązywało wszystko: wystarczyło być szczerą wobec księdza i czekać. Teraz nawet wy, księża, nie wierzycie sobie. Jest taki film, *Jennie...* Lubi ksiądz kino? W jednym z dialogów Joseph Cotten, główny bohater, malarz, mówi do Jennifer Jones: „Bez ciebie jestem zgubiony”. A ona odpowiada: „Nie mów tak. Nie możemy oboje być zgubieni”. Księżę Quart, czy jest ksiądz tak zgubiony, jak się wydaje?

Odwrócił się do niej, pozostawiając na oknie marynarkę, bez żadnej odpowiedzi. A księżyc śmiał się z niego w podwójnym, bladym odbiciu. I pomyślał, jak to możliwe, by usta kobiety uśmiechały się równocześnie drwiąco i czule, bezwstydnie i nieśmiało, i do tego tak blisko. A kiedy miał otworzyć usta, gotów wyznać coś, jeszcze nie wiedział co, pobliski zegar wybił ponad dachami jedenaście uderzeń i Quart pomyślał, że Duch Święty właśnie zakończył swój obchód. Rany Boskie! Podniósł dłoń ku twarzy kobiety – dłoń zranioną – ale miał na tyle opanowania, żeby zatrzymać ją w pół drogi. Wtedy, nie wiedząc dokładnie, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie, dostrzegł w drzwiach patrzącego na nich księdza Ferro.

– Księżyc jest za jasny – powiedział ksiądz Ferro. Stał obok teleskopu i przyglądał się niebu. – To nie jest najlepszy moment, żeby pracować.

Macarena zeszła po schodach na dół, zostawiając ich samych w gołębniku. Quart pochylił się, żeby zamknąć skrzynię Carloty, a potem w bezruchu przyglądał się drobnej, wysuszonej postaci, odwróconej do niego plecami, tak czarnej, jak jego sutanna.

– Proszę zgasić światło – powiedział proboszcz.

Quart wykonał polecenie, a grzbiety książek, skrzynia Carloty i rycina siedemnastowiecznej Sewilli, wisząca na ścianie, pogrążyły się w ciemności. Teraz sylwetka w oknie wydawała się wyraźniejsza i bardziej zwarta. Ciemność nocy podkreślała ciemną, mroczną naturę postaci.

– Chcę porozmawiać z księdzem – powiedział Quart. – Wyjeżdżam z Sewilli.

Ksiądz Ferro nie skomentował tej wiadomości. Nadal spokojnie przyglądał się niebu, wyciętemu ukośnym odbłaskiem księżyca w łuku okna.

– Berenika – powiedział w końcu. – Widać warkocz Bereniki.

Quart podszedł do niego. Teleskop stał między nimi, wycelowany w niebo.

– Tych trzynaście gwiazd – dodał ksiądz Ferro. – Na północnym zachodzie. Ofiarowała warkocz, żeby jej wojska odniosły zwycięstwo.

Quart nie patrzył w niebo, ale na ciemny profil proboszcza, zwrócony ku górze. Oświetlona Giralda nagle zgasła, jakby z opóźnieniem spełniła jego życzenie, jakby rozplynęła się w nocy. Chwilę później, kiedy siatkówki oczu Quarta przyzwyczyły się do nowej sytuacji, ciemny kontur wieży pojawił się w świetle księżyca.

– A tam, nieco dalej – ciągnął ksiądz Ferro – niemal w zenicie stoją Psy Gończe.

Wypowiedział ich nazwę z nieskończoną pogardą: to intruzi, którzy wdarli się na jego ukochane terytorium. Tym razem Quart spojrzał w górę i rozpoznał na północy jedną gwiazdę dużą i drugą małą, które zdawały się razem podróżować w przestrzeni.

– Nie lubi ich ksiądz – zauważył.

– Nie. Nie znoszę myśliwych. A zwłaszcza jeśli polują dla innych... Wtedy są psami pochlebczymi. Ta duża gwiazda to Cor Caroli. Halley tak ją nazwał, bo błyszczała najmocniej w dniu powrotu Karola II do Londynu.

– Czyli pies nie jest winny.

Zabrział śmiech proboszcza, zgrzytliwy i zgaszony. Spojrzał na Quarta ponad ramieniem, mierząc go od stóp do głów. Księżyc podkreślał biel jego krzywo poprzycinanych włosów; wyglądał niemal czysto.

– Chyba ksiądz jest wyjątkowo podejrzliwy. A to ja jestem znany z podejrzliwości – znów się zaśmiał cicho. – Ja tylko mówiłem o gwiazdach.

Wsunął rękę do kieszeni sutanny i wyjął papierosa z tłoczonego metalowego pudełka. Kiedy pochylił się nad płomieniem chronionym wgłębieniem dłoni, czerwony poblask oświetlił blizny i zmarszczki na jego zniszczonej twarzy, siwe włosy na głowie i czarną, nieogoloną i znów wyrosniętą brodę, szarawe plamy na kołnierzyku i rękawach sutanny.

– Dlaczego ksiądz wyjeżdża? – zapalka zgasła i płonący żar papierosa błyszczał na ostrym profilu. – Już ksiądz odkrył Nieszpory?

– Nieszpory nie jest tu najważniejszy. Może nim być każdy albo żaden z was. Jego tożsamość niczego nie zmienia.

– Ciekaw jestem, co ksiądz powie w Rzymie.

Quart odpowiedział: oba śmiertelne wypadki to wydarzenia smutne, ale przypadkowe i wnioski z jego dochodzenia są zgodne z wersją policyjną; z drugiej strony stary proboszcz wypowiedział prywatną wojnę i liczni parafianie poparli go. Stara historia, znana od czasów świętego Pawła, nie sądzi więc, by ktokolwiek w Kurii był tym zaskoczony. Gdyby nie wmieszał się w sprawę informatyczny pirat i nie przekazał swoich wiadomości Jego Świątobliwości, sprawa nie przekroczyłaby nigdy granic ordynariatu Sewilli. Tak w skrócie rysuje się panorama.

– A co zrobicie ze mną?

– Sądzę, że nic specjalnego. Arcybiskup Corvo wszczął przeciw księdzu postępowanie dyscyplinarne i dojdzie do niego mój raport, sądzą, że dyskretnie zostanie ksiądz przeniesiony na wcześniejszą emeryturę, odrobinę przed obowiązującym wiekiem... Może zostanie ksiądz kapłanem jakiegoś zakonu żeńskiego, ale najprawdopodobniej trafi do domu dla kapłanów w podeszłym wieku. Rodzaj odpoczynku.

Żar papierosa poruszył się na tle niewyraźnego profilu.

– A kościół?

Quart wyciągnął rękę ku marynarce, która nadal wisiała na oknie. Rozprostował ją i na powrót złożył, po czym powiesił ją w tym samym miejscu.

– Ta sprawa nie leży w moich kompetencjach – powiedział. – Ale tak jak sprawy się mają, nie wróżę mu długiej przyszłości. W Sewilli jest zbyt wiele kościołów i za mało księży. Poza tym sądzą, że Jego Eksceleńcja Aquilino Corvo podjął decyzję o *requiescat*.

– Kościoła czy moim?

– Obu.

Zaskrzypiał przewrotny śmiech proboszcza.

– Widzę, że zna ksiądz wszystkie odpowiedzi.

Quart zastanowił się przez chwilę.

– Prawdę mówiąc, nie znam jednej – powiedział w końcu. – Chodzi o sprawę, którą znalazłem w aktach księdza; nie chciałbym jednak wspominać o tym w moim sprawozdaniu, dopóki nie poznam wersji księdza... Tam w parafii w górach Aragonii miał ksiądz pewien problem. Człowiek nazywa się Montegrifo. Czy ksiądz sobie przypomina?

– Doskonale pamiętam pana Montegrifo.

– Twierdzi, że kupił rzeźbiony ołtarz w parafii księdza.

Ksiądz Ferro przez chwilę milczał. Quart zauważył kątem oka, że ciemny profil nadal skierowany jest ku niebu, a niemal wygasły żar papierosa tkwi w jego ustach. Odbita od jego ramienia poświata księżycy oświetlała dłoń opartą na rurze teleskopu.

– To był maleńki, romański kościół – odezwał się proboszcz po długiej chwili milczenia. – Zbutwiałe stropy i spękane mury. Mieszkały tam kruki i szczury... To była bardzo uboga parafia, tak bardzo, że często nie mogliśmy nawet kupić wina mszalnego. A moi parafianie mieszkali rozrzućeni w promieniu wielu kilometrów. Skromni ludzie, pasterze i wieśniacy. Ludzie starzy, chorzy, niewykształceni, bez przyszłości. A ja każdego dnia, w ciągu tygodnia dla samego siebie, a w niedzielę dla nich, odprawiałem mszę przed ołtarzem niszczącym od wilgoci, zacieków, grzyba... Hiszpania jest pełna takich miejsc, bezbronnych dzieł sztuki, rozkradanych przez przemytników, ginących pod wałącymi się dachami kościołów, w pożarach, w deszczu,

w nędzy... Pewnego dnia przyszedł do mnie cudzoziemiec, który pojawiał się już wcześniej, był w towarzystwie eleganckiego mężczyzny, o uczciwym wyglądzie, który przedstawił się jako dyrektor domu aukcyjnego w Madrycie. Złożyli mi ofertę zakupu figury Chrystusa i płaskorzeźby z ołtarza.

– Płaskorzeźba była bardzo cenna – zauważył Quart. – Pochodziła z XV wieku.

Proboszcz zniecierpliwiał się. Żar papierosa zabłysnął z większą siłą.

– Jakie znaczenie ma jakiś wiek...? Płacili mi za nią. Nie była to jakaś nadzwyczajna suma, ale dla mnie oznaczała nowy dach na kościele i co najważniejsze, pomoc dla moich parafian.

– To znaczy, że ksiądz ją sprzedał?

– Jasne, że sprzedałem. I nie wahałem się ani przez chwilę. Dzięki temu naprawiłem dach, kupiłem lekarstwa dla chorych, złagodziłem skutki ostatnich przymrozków i zarazy bydłowej... Pomogłem ludziom żyć i umierać.

Quart wskazał na ciemną sylwetkę dzwonnicy.

– A teraz ksiądz broni tego kościoła. Jest w tym jakaś sprzeczność.

– Dlaczego? Wartość artystyczna kościoła Matki Boskiej Płaczącej obchodzi mnie tyle samo, co księdza i arcybiskupa. To zostawiam siostrze Marsali. Moi parafianie, choć nieliczni, są więcej warci niż jakakolwiek pomalowana deska.

– To znaczy, że ksiądz nie wierzy... – zaczął Quart.

– W co? W piętnastowieczne rzeźby? W barokowe kościoły? W Wielkiego Mechanika, który tam w górze dokręca nasze śrubki, jedną po drugiej?

Żar papierosa rozbłysnął po raz ostatni i ksiądz Ferro wyrzucił go przez okno.

– Jakie to ma znaczenie? – powiedział. Poruszał teleskopem, nie patrząc jednak w obiektyw, jakby szukał czegoś w gwiazdach. – Oni, owszem, wierzą.

– Ta płaskorzeźba to w aktach księdza ciemna plama – zauważył Quart.

– Wiem – proboszcz nadal poruszał teleskopem. – Miałem nawet bardzo nieprzyjemne spotkanie z moim biskupem... Gdyby w Rzymie zrobili to samo, powiedziałem mu, inaczej by sprawy wyglądały. Ale tam najważniejszy jest święty Piotr. Potem słyhać płacz, *Quo vadis, Domine*, i ukrzyżujcie mnie głową w dół; ale tymczasem trzymamy się na uboczu, zapierając się naszego sumienia i słyszemy odgłos biczowania w pretorium.

– Coś takiego! Widzę, że nawet za świętym Piotrem ksiądz nie przepada.

Znów zazgrzytał cichy śmiech proboszcza.

– Ma ksiądz rację. Powinien był dać się zabić w Getsemani, kiedy wyciągnął miecz, żeby bronić Mistrza.

Teraz Quart się roześmiał.

– W takim wypadku nie mielibyśmy pierwszego papieża.

– Tak ksiądz myśli? – proboszcz przeczył ruchem głowy. – W naszym zawodzie papieży nie brakuje. Brakuje odwagi.

Pochylił się i przystawił oko do teleskopu, równocześnie poruszając pokrętkami korygującymi ostrość. Rura powoli przesunęła się ku górze, w lewo.

– Kiedy obserwuje się niebo – ksiądz Ferro mówił, nie odrywając twarzy od teleskopu – widać, że wszystko obraca się powoli i każda sprawa zajmuje coraz to inne miejsce we wszechświecie. Wie ksiądz, że nasza malutka Ziemia jest oddalona od Słońca o nędzne 150 milionów kilometrów, podczas gdy Pluton – już o 5 miliardów 900 milionów? I że Słońce jest maleńką gwiazdką w porównaniu z choćby gwiazdą średniej wielkości, jaką jest Arktur? Nie mówiąc nawet o Aldebaranie, który ma 36 milionów kilometrów średnicy; albo o dziesięć razy większej Betelgeuse.

Zakreślił teleskopem niewielki łuk w prawo, odsunął oko od soczewki i palcem wskazał Quartowi jedną z gwiazd.

– Proszę spojrzeć – to jest Altair. Przy prędkości 300 000 kilometrów na sekundę jej blask dociera do nas po szesnastu latach... Kto może nas zapewnić, że w tym czasie nie doszło do wybuchu i widzimy jedynie światło gwiazdy, która już nie istnieje? Czasem, kiedy patrzę na Rzym, mam wrażenie, że oglądam Altair. Jest ksiądz pewny, że kiedy tam wróci, zastanie wszystko bez zmian?

Gestem zachęcił Quarta, żeby spojrział w obiektyw, a ten pochylił się, by dopasować oko do soczewki. W miarę jak bladła poświata księżycy, między gwiazdami pojawiała się nieskończona ilość świetlistych punkcików i mgławic, grona błyszczących czerwonych, niebieskich i białych kropek, mrugających i nieruchomych. Jedna z nich zaczęła się oddalać i wkrótce zniknęła, przyćmiona blaskiem innej; przelotna gwiazda albo sztuczny satelita. Odwołując się do swojej znikomej wiedzy astronomicznej, Quart poszukał Wielkiej Niedźwiedzicy i uniósł wzrok wzdłuż linii łączącej Merak i Dubhe, odliczając cztery odległości, o ile mógł sobie przypomnieć. Może pięć. Była tam Gwiazda Polarna, wielka i błyszcząca, pewna siebie.

– To jest Polaris – ksiądz Ferro śledził ruchy teleskopu. – To końcówka Wielkiej Niedźwiedzicy, wskazująca długość geograficzną zero na Ziemi. Ale ona też nie jest niezmienna – wskazał punkt na lewo, zachęcając Quarta, żeby przesunął tam obiektyw. – Pięć tysięcy lat temu tę właśnie gwiazdę, Smoka, czczono jako strażnika Północy... Jej cykl wynosi 25 800 lat, z których minęło dopiero 3000. Czyli za dwieście dwadzieścia osiem wieków znów zastąpi Gwiazdę Polarną – patrzył w górę, stukając paznokciami w mosiężną rurę. – Zastanawiam się tylko, czy wtedy zostanie ktoś na Ziemi, żeby podziwiać tę przemianę.

– W głowie się kręci – powiedział Quart, odsuwając oko od teleskopu.

Proboszcz przytaknął, mlaskając językiem. Jakby zawrót głowy Quarta sprawiał mu przyjemność, podobnie jak doświadczony chirurg przygląda się blednącym studentom podczas sekcji.

– To śmieszne, prawda? Wszechświat jest zabawnym żartem. Sama Polaris, na którą ksiądz przed chwilą patrzył, znajduje się o czterysta siedemdziesiąt lat świetlnych od nas. To znaczy, że kierujemy się blaskiem, który wydobył się z gwiazdy na początku szesnastego wieku i dotarł do nas po blisko pięciu stuleciach – wskazał inny punkt w ciemności nocy. – A tam dalej, czego nie można dostrzec gołym okiem, w mgławicy Kociego Oka, współśrodkowe warstwy gazu, pierścienie i płyty gazowe tworzą ostatnie wspomnienie po ciele niebieskim, które umarło tysiąc lat temu: resztki martwych planet wirują wokół martwej gwiazdy.

Odsunął się od teleskopu i podszedł do innego łuku wieży, gdzie jasność księżyca lepiej oświetlała rysy jego twarzy. Stał tam, mały i wysuszony, w za krótkiej sutannie, spod której wystawały wielkie buty. Z tego miejsca zwrócił się do Quarta.

– Niech mi ksiądz powie, kim jesteście. Jaką rolę tutaj gramy, pośród tej scenerii, która rozciąga się nad naszymi głowami. Co znaczą nasze marne losy, nasze troski – uniósł rękę w górę, nie patrząc, w tamtą stronę. – Jakie znaczenie ma dla tych światel raport księdza dla Rzymu, parafia, Ojciec Święty, ksiądz i ja sam? W którym miejscu niebieskiego sklepienia mieszczą się emocje, nadzieja, współczucie, rachunek naszego marnego życia? – znów zabrzmiał cichy śmiech, ostry, niepokojący. – Choćby błyszczały supernowe, umierały i rodziły się planety, wszystko będzie się kręcić w złudnym bezruchu, kiedy nas już dawno nie będzie.

Quart znów poczuł instynktowną solidarność, jaka w świecie duchownych czasami zastępuje przyjaźń. Zmęczeni wojownicy, każdy na swoim polu szachownicy, samotni, z dala od królów i hetmanów. Wydają walkę własnej niepewności słabymi siłami i każdy na swój sposób. Miał ochotę podejść do małego, starego proboszcza i położyć mu rękę na ramieniu, ale powstrzymał się. Reguły narzucały również samotność każdemu z nich.

– W takim razie – powiedział powoli – nie podoba mi się astronomia. Jest o krok od rozpacz.

Proboszcz patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. Wydawał się zaskoczony.

– Rozpacz? Wręcz przeciwnie, daje ukojenie. Bo ważne, cenne, wzniosłe jest to wszystko, co boimy się stracić... Nic nie oprze się bezlitosnej świadomości, że jest się maleńką kropelką w morzu, w czerwonym zmierzchaniu wszechświata – przerwał i popatrzył na dzwonicę kościoła poprzez firankę poruszaną bryzą. – Może poza przyjazną dłonią, która niesie nam pociechę i pozwoli godzić się z losem, zanim wszystkie nasze gwiazdy zgasną jedna po drugiej i zrobi się bardzo zimno, i wszystko się skończy.

Ksiądz Ferro nie powiedział już nic więcej. Quart wyciągnął rękę do wyłącznika lampy. Zapalił ją, a gwiazdy zniknęły.

Zszedł do ogrodu, z marynarką zarzuconą na ramię, wdychając zapach nocy. Czekala na niego w kącie, poświata księżycyca wydobyła ją z mroku, na jej twarzy i ramionach igrały cienie liści pomarańczy i bugenwilli.

– Nie chcę, żeby ksiądz wyjeżdżał – powiedziała. – Jeszcze nie.

Jej oczy lśniły, a błyskające w rozchylonych wargach zęby wydawały się bardzo białe, naszyjnik z kości słoniowej wyglądał w mroku jak blady ślad wokół opalonej szyi. Quart przygotował usta do długiego i stłumionego westchnienia, które mogło równie dobrze być dziecinnym jękiem lub odgłosem protestu. Było gorąco. Po południu żaluzja rzucała cienkie linie słońca na ciemną skórę nagiej kobiety. Carmen skręcała liście tytoniu na wewnętrznej stronie uda, gdzie błyszczały drobniutkie krople potu, obok mrocznego, falistego i wilgotnego seksu samicy. Bryza poruszyła powietrze. Liście pomarańczy i bugenwilli ożyły na twarzy Macareny Bruner, a księżyc zsunął się po ramionach księdza Lorenzo Quarta niby kolczuga; pancerz, który upadł mu do stóp. Templariusz wyprostował się i rozejrzał wokół, zmęczony, nasłuchując rumoru saraceńskiej jazdy wśród wzgórz Hittinu, na których zboczach bieleły się kości frankońskich rycerzy. Wzburzone morze uderzało o latarnię morską podczas burzy, a kruche łódki próbowały znaleźć drogę do przystani. Kobieta w żałobie trzymała za rękę chłopca, a krople deszczu spływały po jej twarzy jak lzy. Pachniała gotowaną zupą, a stary proboszcz przy kominku odmieniał *rosa, rosae*. I cień chłopca, który orientował się według liczącego pięć wieków światła starej gwiazdy, zarysował się na cienkiej ścianie, która chroniła go przed straszliwym chłodem panującym na zewnątrz. I ten sam cień podszedł do innego cienia, czekającego wśród bugenwilli i drzew pomarańczowych, poczuł jej zapach, ciepło, oddech. Na chwilę przed tym, jak zanurzył palce w jej włosach, by na jedną noc umknąć samotności – maleńkie czerwone krople w ogromnym zmierzchu – cień, chłopiec, mężczyzna patrzący na nagie ciało w smugach światła wpadających przez żaluzję, opuszczony i zmęczony templariusz, wszyscy razem w jednej chwili spojrzeli wstecz i do góry, na słabo oświetlone okno w gołębniku. Tam, gdzie szorstki ksiądz, sceptyczny i odważny, rozszyfrowywał straszliwą tajemnicę nieba pozbawionego uczuć, w towarzystwie ducha kobiety, która poszukiwała na horyzoncie białych żagli.

XII

Gniew Boży

W sposób niepojęty zniknęła na oczach nas wszystkich.

*(Gaston Leroux, Upiór opery)**

Zza dymu fajki oczy arcybiskupa błyszczały satysfakcją.

– To znaczy, że Rzym się poddaje – powiedział.

Quart odstawił filiżankę na spodek i otarł usta serwetką haftowaną przez siostry z Zakonu Adoracji. Jego uśmiech przypominał westchnienie.

– Można i tak to nazwać, Ekscelencjo.

Arcybiskup Corvo wypuścił kolejne kłęby dymu. Siedzieli naprzeciwko siebie, oddzieleni niskim stolikiem z dwoma nakryciami stojącymi na srebrnych tacach. Arcybiskup miał zwyczaj zapraszać na śniadanie pierwszą osobę, jaka go rano odwiedzała. Kawa z grzankami z masłem i dżemem z gorzkich pomarańczy naprawdę była przeznaczona dla diakona katedry, ale niespodziewana wizyta Quarta, który przyszedł się pożegnać, zmieniła protokół. A arcybiskup nie znosił zimnej kawy.

– Mówiłem księdzu, że rozwiązanie tej sprawy nie jest proste.

Quart rozparł się w fotelu. Chętnie pozbawiłby arcybiskupa przyjemności pożegnania go złośliwościami i uśmieszkami wędzonymi w dymie angielskiego tytoniu; normy jednak wymagały, by złożyć uszanowanie przed odjazdem. I właśnie to robił.

– Przypominam Jego Ekscelencji, że nie przyjechałem tu niczego rozwiązywać, tylko przekazać do Rzymu informacje. I to właśnie zrobię.

* G. Leroux, *Upiór opery*, przekład Bożena Sęk, Wyd. Alfa, Warszawa, 1990.

Arcybiskup Corvo był zachwycony.

– Nie odkrył ksiądz jednak, kim jest Nieszpory – powiedział z naciskiem.

– To prawda – Quart spojrział na zegarek. – Ale problemem nie jest jedynie tożsamość Nieszporów. Pirat informatyczny to zaledwie część anegdotyczna tej sprawy i wcześniej czy później dowiemy się, kto to. Najważniejsza jest sytuacja księdza Ferro i kościoła Matki Boskiej Płaczącej... Mój raport pozwoli na podjęcie odpowiednich decyzji z pełną znajomością sprawy.

Żółty kamień w arcybiskupim pierścieniu błysnął, kiedy prałat uniósł dłoń, przerywając Quartowi.

– Niech mi tu ksiądz nie pokazuje jezuickich sztuczek. Pośliznął się ksiądz na tej sprawie – popatrzył na niego z radością, kiepsko maskowaną dymem z fajki. – Nieszpory zakpił sobie z księdza i z Rzymu.

Quarta drażniła swoboda wynajdowania prochu w cudzym oku.

– To jeden z wielu punktów widzenia – przyznał, nie ukrywając niechęci. – Ale skoro ksiądz arcybiskup już o tym mówi, pozwolę sobie przypomnieć, że ani Rzym, ani ja nie musielibyśmy interweniować, gdyby Jego Ekscelencja obudził się trochę wcześniej... Kościół Matki Boskiej Płaczącej i ksiądz Ferro należą do diecezji kierowanej przez księdza arcybiskupa. A znane jest ewangeliczne powiedzenie: owieczki w szkodzie, kiedy pasterz śpi.

Arcybiskup Corvo omal nie podskoczył na fotelu, słysząc te słowa. Fakt, że cytat był apokryficzny, nie przynosił wielkiego pocieszenia. Agent ISZ-u zobaczył, jak wściekły prałat gryzie ustnik fajki.

– Proszę posłuchać, Quart – jego ostry głos wydostawał się zza zaciśniętych zębów. – Tu jedyną owcą w szkodzie jest ksiądz. Czy ksiądz uważa, że jestem głupcem? Wiem o wizytach księdza w Domu z Okiennicami i o całej reszcie. O spacerach i kolacyjkach.

I zaraz potem, kiedy już puściły tamy, arcybiskup Corvo, którego talent oratorski ceniony był w całej diecezji – w podziwu godny sposób dał wyraz swemu rozczarowaniu i złości w cierpkiej homilii trwającej około półtorej minuty, która opierała się na tezie, że wysłannik ISZ-u dał się omotać proboszczowi od Matki Boskiej Płaczącej i jego dziwnemu Greenpeace'owi złożonemu z zakonnic, arystokratek i dewotek, do tego stopnia, że zatracił jasność widzenia i porzucił swoją misję w Sewilli. Uwiedzeniu temu winna była córka księżnej del Nuevo Extremo. Która nadal – dodał z wyraźną złośliwością w głosie – jest żoną Gaviry.

Quart nieporuszony wysłuchał filipiki; ostatnia aluzja sprowokowała jednak reakcję:

– Byłbym zobowiązany, gdyby Jego Ekscelencja zechciał swoje ewentualne uwagi przedstawić na piśmie.

– Oczywiście, że to zrobię – Aquilino Corvo był wyraźnie zadowolony, że atak Quarta udało mu się odparować. – Wprost do zwierzchników księdza w Watykanie. I do nuncjusza. I do wszystkich świętych. Na piśmie, przez telefon, faksem, przez umyślnego, z muzyką gitar i w rytm okłasków – wyjął fajkę z ust, robiąc miejsce szerokiemu uśmiechowi. – A ksiądz zostanie bez cienia reputacji, tak jak ja zostałem bez sekretarza.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Quart złożył serwetkę, odłożył ją na tacę i wstał.

– Jeśli Jego Ekscelencja nie ma nic więcej do...

– Nic więcej – arcybiskup patrzył na niego drwiąco. – Synu.

Nadal siedział i przyglądał się swojej dłoni, jakby zastanawiając się, czy na zakończenie podać Quartowi biskupi pierścień do ucałowania. Wtedy zadzwonił telefon, zdecydował się więc na odprawienie wysłannika z Rzymu gestem ręki i wstał, żeby podejść do biurka.

Quart zapiął marynarkę i wyszedł na korytarz. Jego kroki rozbrzmiewały pod weneckimi obrazami na suficie Galerii Prałatów, a następnie na marmurze głównych schodów. Przez okna widział sylwetkę Giraldy, z tyłu za podwórzem, gdzie w innych czasach mieściło się więzienie de la Parra, używane przez sewilskich biskupów jako więzienie dla nieposłusznym kapłanów. I pomyślał, że parę wieków wcześniej ksiądz Ferro i może on sam mieliby spore szansę, żeby wymieniać spostrzeżenia właśnie tam na dole, podczas gdy arcybiskup Corvo wysyłałby do Rzymu, zwykłą i nad wyraz powolną drogą, własną wersję wydarzeń. Quart rozmyślał właśnie nad zaletami nowoczesności i telefonu, schodząc już z ostatnich stopni, kiedy usłyszał swoje nazwisko.

Zatrzymał się i spojrzał do góry. Arcybiskup we własnej osobie stał przy poręczy i wzywał go. A z twarzy zniknęła mu zadowolona mina człowieka, który odebrał stary dług.

– Proszę wejść na górę, księżę Quart. Musimy porozmawiać.

Wrócił zaintrygowany. W miarę jak wstępował po kolejnych schodach, zbliżając się do Jego Ekscelencji, dostrzegł błąd na jego twarzy. W palcach trzymał fajkę i uderzał nią o poręcz, nieuważnie i posepnie. Żar i popiół brudziły różowy i czarny marmur balustrady, wypadając z fajki; arcybiskup jednak nie zwracał na to uwagi.

– Nie może ksiądz odjechać – powiedział do Quarta, kiedy ten dotarł na jego wysokość. – W kościele zdarzyło się kolejne nieszczęście.

Przeszedł między betoniarką i dwoma wozami policyjnymi. Po kościele Matki Boskiej Płaczącej kręcili się policjanci umundurowani i w cywilu. Quart ocenił, że było ich około tuzina, łącznie ze strażnikiem przy drzwiach i fotografami wewnątrz,

wszyscy poszukiwali odcisków palców lub śladów na ziemi, ławkach i rusztowaniach. Słychać było hałas ich ruchu i rozmów ściszym głosem.

Gris Marsala siedziała na stopniach przed głównym ołtarzem, sama. Quart skierował się ku niej, idąc głównym przejściem, a kiedy był mniej więcej w połowie drogi, wyszedł mu naprzeciw Simeón Navajo. Podkomisarz miał jak zawsze włosy zebrane w kitkę, okrągłe okulary ponad ogromnymi wąsami, koszulę w żywym kolorze czerwieni garibaldijskiej, a kabura z arabskiej skóry wisiała pod jego ramieniem. A w niej magnum 357, przypuszczał Quart. Przemknęła mu absurdalna myśl, że Navajo wyraźnie nie pasuje do tego miejsca: barokowego ołtarza oświetlanego przez policjantów, zniszczonych witraży i malowideł na suficie, konfesjonału z ciemnego drewna przy wejściu do zakrystii, wotów wiszących przy figurze Chrystusa obok drzwi. Ucisnęła sobie ręce. Navajo wydawał się zadowolony, że widzi Quarta.

– No to mamy już trójkę, wielebny.

Powiedział to lekkim tonem, jakby zdanie to potwierdzało ich rozmowy na temat wskaźnika śmiercionośnych możliwości Matki Boskiej Płaczącej. Opierał się o ławkę, swobodnie; kiedy Quart spojrzał ponad jego głowę, dostrzegł nieruchome stopy wystające z konfesjonału.

Poszedł tam bez słowa, Navajo tuż za nim. Drzwiczki konfesjonału były otwarte. Quart pomyślał, że stopy znajdują się w bardzo dziwnej pozycji. Następnie dostrzegł wymięte spodnie w kolorze beżowym. Reszta ciała przykryta była kawałkiem niebieskiego płótna, wystawała tylko ręka z dłonią otwartą ku górze, a na niej rana biegnąca od nadgarstka do palca wskazującego, przecinająca całą dłoń. Ręka miała żółtawy kolor starego wosku.

– Dziwne miejsce, prawda? – podkomisarz zrobił pełną napięcia pauzę, patrząc na zwłoki, a następnie na duchownego; był gotów przyjąć każdą dobrą sugestię. – Na śmierć.

– Kto to?

Pytanie, które zadał Quart ochryłym, nieobecnym głosem, było całkowicie zbędne. Rozpoznał buty, beżowe spodnie, małą, miękką i wiotką dłoń. Policjant gładził wąs z roztargnioną miną. Jakby tożsamość zmarłego była sprawą nieistotną, a on sam przebywał myślami zupełnie gdzie indziej.

– Nazywa się Honrato Bonafé i był znanym w Sewilli dziennikarzem.

Quart pokiwał głową. Za dużo pytał, pomyślał. Za dużo wizyt nie w porę.

Navajo przyglądał mu się.

– Znał go ksiądz, prawda? Też tak myślałem. Opowiadali mi, że ten biedak dużo się kręcił w ostatnich dniach po okolicy... Chce go ksiądz zobaczyć?

Wsuwając pół tułowia do konfesjonału, z kitką poruszającą się jak ogon zaaferowanej wiewiórki, Navajo uniósł płótno, którym przykryte były zwłoki. Bonafé

był bardzo spokojny i bardzo żółty, lekko zgięty opierał się o drewniane siedzenie konfesjonału, a wciśnięta broda zwijała się w tłuste wałki. Po lewej stronie twarzy widniał wielki fioletowy siniak; oczy miał zamknięte, wyraz twarzy spokojny, nieco zmęczony. Brunatne zakrzepłe nitki krwi spływały od nosa i ust, przez szyję, i niknęły na gorsie koszuli.

– Właśnie obejrzał go lekarz sądowy – podkomisarz wskazał ruchem głowy młodego mężczyznę, który robił notatki, siedząc w jednej z ławek. – Mówi, że ma obrażenia wewnętrzne i jakieś złamania. Uderzenie, może upadek. Nie wiemy też, jak się tu dostał. Albo jak go tu przyniesiono.

W czysto zawodowym odruchu, przewyciężając w sobie obrzydzenie, jakie za życia budził w nim ten człowiek, Quart odmówił półgłosem krótką modlitwę za zmarłych i uczynił nad nim znak krzyża. Za plecami Navajo obserwował go z zaciekawieniem.

– Ja na miejscu księdza już bym się nie trudził. On tu leży dobrych parę godzin, to znaczy tam, gdzie miał pójść – jego dłonie naśladowały skrzydełka lecące w jakimś kierunku – trafił już jakiś czas temu.

– Kiedy zmarł?

– Na razie jeszcze nie wiadomo – wskazał na lekarza sądowego. – Ale na oko nasz artysta ocenia, że jakieś dwanaście, czternaście godzin temu.

Kilku policjantów stojących na rusztowaniu rozmawiało z ożywieniem, ich głosy dźwięczały pod sklepieniem. Podkomisarz syknął, żeby się uciszyli, a oni posłusznie zrobili to jak chłopcy, którym zwrócono uwagę w szkolnej kaplicy. Quart odwrócił się do Gris Marsali, która nadal siedziała bez ruchu, patrząc na niego. Po raz pierwszy wydała mu się krucha, osamotniona, spokojna, skulona na schodkach przed ołtarzem. Przykrywając na powrót zwłoki Bonafé, policjant powiedział mu, że to właśnie zakonnica je odkryła, kiedy przyszła tu dziś wcześniej rano.

– Chciałbym z nią porozmawiać.

– Naturalnie, proszę bardzo – Navajo starał się dokładnie ułożyć płótno na zwłokach, równocześnie skubiąc wąs i uśmiechając się z wyrozumiałością i zachętą. – Jeśli to jednak księdzu nie przeszkadza, wołałbym najpierw dowiedzieć się od księdza, jak poznał zmarłego... W ten sposób nie pomieszamy zeznań i wszystko będzie bardziej naturalne – wyprostował się, przyglądając mu się ponad okrągłymi okularami. – Nie sądzi ksiądz?

– Jak pan woli. Myślę, że przede wszystkim trzeba porozmawiać z proboszczem.

Policjant przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie, nie odpowiadając. A potem energicznie przytaknął.

– Tak. Ja też tak uważam. Problem w tym, że nikt go nie może znaleźć od rana. Dziwna rzecz, prawda?

Rozejrzał się wokół, jakby miał nadzieję wypatrzeć proboszcza między rusztowaniami albo w jakimś ciemnym kącie głównej nawy.

– Byliście w jego mieszkaniu? – zapytał Quart.

Navajo przyjrzał mu się, jakby właśnie powiedział straszne głupstwo. Robił wrażenie zawiedzionego, oczekiwał więcej pomocy z jego strony.

– Z tego, co mi mówią – powiedział – wynika, że zniknął z horyzontu. Uups! Na wozie proroka Eliasza.

Quart opowiedział Simeonowi Navajo wszystko o Honorato Bonafé, wszystko, co sobie przypomniał ze spotkań w hallu hotelu Doña María. Ich rozmowa była dwukrotnie przerywana dzwonieniem telefonu komórkowego, który policjant wyjmował z arabskiej torby, przepaszając Quarta. Pierwsza rozmowa potwierdzała, że ksiądz Ferro nadal jest nieuchwytny. Był, jak każdego wieczora, w gołębniku Domu z Okiennicami – co potwierdził Quart, podając dodatkowo godzinę, o której się z nim pożegnał – a potem zniknął bez śladu. Natomiast na plebanii sprzątaczką twierdzi, że łóżko w jego sypialni nie było tej nocy używane. Z kolei wikariusz, ksiądz Lobato, wyjechał do swojej nowej parafii późnym wieczorem poprzedniego dnia, autobusem, i miała to być długa podróż, z różnymi możliwymi przesiadkami. Policja i Gwardia Cywilna podjęły się go zlokalizować. Jacyś podejrzani? – podkomisarz trzymał w ręku telefon po ostatniej rozmowie. Dopóki nie zostanie ustalona przyczyna śmierci – nie ma podejrzanych. Czyli inaczej mówiąc, wszyscy są podejrzani. Przygryzając wąsa, patrzył znad okularów przepaszając. Choć niektórzy bardziej od innych.

– Jak tym razem wygląda stosunek procentowy? – zainteresował się Quart.

Navajo podrapał się w czubek nosa.

– No cóż. Tak między nami, powiedziałbym, że tym razem ktoś pomógł kościołowi.

Quart nie okazał po sobie zdziwienia. Nie był specjalistą w dziedzinie zwłok, choć zdarzyło mu się już niejednokrotnie je oglądać. Jednak w przypadku Bonafé wystarczał pierwszy rzut oka.

– Zabity?

Naprawdę powiedział to, żeby zachęcić podkomisarza do mówienia. Navajo uśmiechnął się słabo, podtrzymując grę i podniósł rękę do karku, dotykając kitki.

– Mogę zagrać o ten ogon – potem spoważniał i wzruszył ramionami. – A kolega po fachu księdza ma sporo losów w tej loterii.

– Dlatego, że jest nieobecny?

– Jasne. Chyba że lekarz wyda inną opinię.

Jeden z policjantów zbliżył się do nich i Navajo odszedł razem z nim. Quart skierował się ku stopniom przed głównym ołtarzem, gdzie nadal siedziała Gris Marsala.

– Jak się siostra czuje?

Obejmowała rękami nogi, opierając brodę na kolanach.

– Chyba trochę ogłuszona – jej amerykański akcent był wyraźniejszy niż zwykle. – Ale wszystko dobrze.

– Czy policja bardzo dręczyła siostrę?

Zakonnica zastanowiła się chwilę, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie – odpowiedziała wreszcie. – Są uprzejmi.

Była ubrana jak zwykle, w koszulkę polo i poplamione gipsem džinsy. Warkoczyk, w który miała zebrane włosy, spięty był elastyczną gumką. Siedząc tak, wydawała się jeszcze bardziej samotna i bezbronna niż zwykle w tym kościele, do którego nagle wtargnął zamęt, bieganina i głosy policjantów.

– Szukają księdza Ferro – Quart usiadł obok niej. Nagle wydało mu się, że zabrzmiało to zbyt mocno, po krótkiej przerwie dodał więc: – No i księdza Lobato.

Nieznacznie skinęła głową. Wciąż wpatrywała się w konfesjonał, zatopiona w swoich myślach. Od czasu do czasu mrugała, jak ktoś, kto stara się ustalić, gdzie jest granica między rojeniem a rzeczywistością. Po chwili westchnęła głęboko i znów skinęła głową.

– Możliwe – powiedziała wreszcie – że Oscar pojechał odwiedzić swoich rodziców, którzy mieszkają w jakiejś wiosce pod Malagą, zanim wyruszył do Almerii. Dlatego nie mogą go znaleźć.

Oślepił ich blask flesza. Któryś z policjantów fotografował jakiś leżący na ziemi przedmiot, za ich plecami. Quart rozpiął marynarkę i pochylił się do przodu, splatając palce.

– A don Príamo?

Czekała na to pytanie, które bez wątpienia już jej zadano wcześniej.

– Nie wiem. Przyszłam dziś jak codziennie, o dziewiątej. Zastałam zamknięte drzwi do kościoła... Zawsze otwierał je któryś z księży o wpół do ósmej, przed mszą o ósmej. Dziś nikt nie odprawił mszy.

– Podobno siostra go znalazła.

– Tak. Przedtem poszłam na plebanię, ale nikt nie odpowiadał. Otworzyłam więc drzwi od zakrystii swoim kluczem – zrobiła zakłopotaną minę i wzruszyła ramionami.

– Na początku nic nie zauważyłam, poszłam na rusztowanie do witraży, zapaliłam światło i przygotowywałam swoje rzeczy. Ale wszystko to razem wydało mi się dziwne, postanowiłam więc zadzwonić do Macareny, żeby zapytać, czy don Príamo pracował w

gołębniku ostatniej nocy... Po drodze do zakrystii zobaczyłam tego człowieka w konfesjonale.

– Znała go siostra?

Wyraz jasnych oczu nagle stał się twardy.

– Tak. Pewnego dnia, kiedy szłam z księdzem Lobato, podszedł do nas na ulicy i zaczął zadawać pytania na temat prac prowadzonych w kościele i na temat don Priamo. Oscar posłał go do diabła.

Quart przyglądał się jej tenisówkom, jasnej skórze na kostkach, bliźnie na nadgarstku. Nadal obejmowała łydki, opierając brodę na kolanach. Obecność tych wszystkich ludzi w kościele wyraźnie ją peszyła, odbierała jej poczucie bezpieczeństwa w dobrze znanym miejscu. Quart poruszył się, zakłopotany. Miał mnóstwo spraw do załatwienia – jeszcze nie udało mu się skomunikować z Rzymem, ale nie potrafił zostawić jej w takim stanie. Wskazał na Simeona Navajo, który kręcił się wszędzie, nadzorując działania swoich ludzi.

– Obawiam się, że podkomisarz będzie jeszcze siostrę męczył. Trzy wypadki śmiertelne to bardzo dużo. A tym razem możliwość nieszczęśliwego przypadku jest mało prawdopodobna... Czy chce siostra, żebym zadzwonił do konsulatu amerykańskiego?

Propozycja ta wzbudziła uśmiech wdzięczności.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne. Policja zachowuje się bardzo uprzejmie.

– Rozmawiała już siostra z Macareną?

Quart poczuł najwyższe zmieszanie, wymawiając imię, które do tej chwili starał się usunąć ze swoich myśli. Mógłby pozwolić ponieść się, bez najmniejszego wysiłku, tym czterem sylabom, które powtarzał zaledwie kilka godzin wcześniej, tuż przy wargach kobiety, w jej ustach. A wszystko wokół było mrokiem, blaskiem kości słoniowej, dotykiem ciepłego ciała, którego zapach miał jeszcze na skórze i dłoniach, i w ustach, które gryzła do krwi. Opalone ciało materializujące się z marzeń, linie światła i cienia, na bieli prześcieradeł, które przyjmowały ich jak pustynia piasku czy soli. Szczupła, naprężona, starająca się wymknąć wbrew woli, uciec tak, żeby zostać, z głową odrzuconą do tyłu, z nieobecny wyrazem twarzy odmienionej i pięknej, egoistycznej jak maska, kiedy spazmatycznie jęczała w ramionach silnie ją obejmujących, wtopiona w ciało mężczyzny, którego obejmowała w pasie nagimi udami. Odzyskując oddech, w gorącu, ze śliną na wilgotnej skórze, wilgotny seks, wilgotne usta, wilgotna krągłość piersi obok ramienia, ciepła szyja, broda, i znów usta i jęki, i znów naprężone uda, otwierające się jak wyzwanie, schronienie czy osłona. Długie zawzięte godziny spokoju i walki, mijające w jednej chwili, bo w każdej sekundzie doskonale wiedział, że to, co się staje, ma swój kres i swój finał. I finał nadszedł o świcie z ostatnim wybuchem – długim, głębokim, w szarym, przykrym świetle sączącym się przez okna

Domu z Okiennicami. Quart znów został sam, na pustych ulicach dzielnicy Santa Cruz, nie wiedząc – o ile istnieje coś jeszcze w zmęczonym ciele – czy właśnie skazał swoją duszę na potępienie, czy ją ocalił.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić wspomnienie. Rozpacz – to było ściśle określenie jego stanu. I żeby jej nie ulec, zaczął rozglądać się wokół, patrzył na kościół, rusztowania, na figurę Matki Boskiej w środku oświetlonego ołtarza, na policjantów rozmawiających z ożywieniem przy zwłokach Honorato Bonafé; użył powrotu do tragedii jako mechanizmu kontrolnego. Później – powiedział sobie, używając całego wysiłku woli. Może później. Może później. Zajęcie myśli tym, co dzieje się wokół, stanowiło ulgę zbliżoną do zapomnienia.

– Dziś rano jeszcze nie rozmawialiśmy.

Gris Marsala przyglądała mu się badawczo i Quart po chwili zdał sobie sprawę, że odpowiada na jego pytanie. Zastanowił się, co jeszcze wie o tym, co stało się w ostatnich godzinach – w kościele i między nim a Macareną.

– Ale policja poszła do niej – dodała zakonnica. – Wydaje mi się, że kilku policjantów jest w Domu z Okiennicami.

Ksiądz podniósł brew; Simeón Navajo nie marnuje czasu. On też nie może pozostawać w tyle. Pół godziny wcześniej, w arcybiskupstwie, Jego Ekscelencja Corvo postawił sprawę jasno, żeby uniknąć wszelkich nieporozumień: czy Nieszpory miał z tym coś wspólnego czy nie, sprawa należy wyłącznie do Rzymu – czyli, co równoznaczne, do Lorenzo Quarta – i arcybiskup umywa ręce. Do tej muzyki zatańczą ci, którzy zamówili orkiestrę, a nie jest to ordynariusz sewilski. Naturalnie, Quart i Instytut Spraw Zagranicznych mogą liczyć na jego pełne poparcie i modlitwy, i tak dalej. To znaczy – życzę powodzenia i żegnam.

– Gdzie jest ksiądz Ferro?

Nie czekając na odpowiedź Gris Marsali, Quart zajął się analizą sytuacji. Simeón Navajo ma przewagę, ale bieg powinni ukończyć razem; w Rzymie nie przełknięto by zatrzymania duchownego, przy jednoczesnym braku informacji od Quarta mogących złagodzić cios. Choć idealnie byłoby, gdyby sam Kościół mógł wyjść tu z inicjatywą. To znaczy, gdyby znalazł proboszczowi dobrego adwokata i bronił jego niewinności, dopóki nie zaistnieją dowody winy; gdyby natomiast wina była oczywista, trzeba ułatwić w najwyższym stopniu działanie świeckiemu wymiarowi sprawiedliwości. Pozostało jeszcze ustalić, jak do tego wszystkiego ma się sumienie Quarta; to jednak mogło poczekać na lepsze czasy.

– O don Príamo wiem tyle samo co ksiądz – Gris Marsala rzuciła mu długie spojrzenie, zdziwiona niewielkim zainteresowaniem, jakie wywoływały jej odpowiedzi. – Widziałam go wczoraj po południu, przez chwilę. Było jak zwykle.

Quart widział go około północy, wszystko wyglądało normalnie, a tymczasem Honorato Bonafé już nie żył. Spojrzał na zegarek, zaniepokojony. Kłopot w jego wyścigu z Simeonem Navajo polegał na tym, że policja ma większe środki, a na dodatek nie przeprowadzono jeszcze sekcji i nie ustalono przyczyny śmierci, i nie znaleziono śladów, za którymi można by podążać. Wszelkie ruchy w ciągu najbliższych godzin będzie musiał wykonywać na ślepo, kierując się jedynie intuicją.

– Kto zamknął kościół?

Gris Marsala zawahała się.

– Drzwi od ulicy czy od zakrystii?

– Od ulicy.

– Ja, jak zwykle – zmarszczyła czoło, porządkując pamięć. – O tej porze roku pracuję tak długo, jak jest światło, do siódmej, wpół do ósmej wieczorem. Tak też było wczoraj... Drzwi od zakrystii zazwyczaj zamykali ksiądz Oscar albo don Príamo, o dziewiątej.

Oscar Lobato pozostawał poza zasięgiem, Quart zdecydował się więc, z powodów praktycznych, odrzucić go. Navajo był jedynym źródłem informacji o nim. Pocieszył się myślą, że co do reszty kleru, to on miał przewagę. Pilnie jednak trzeba było zadzwonić do Rzymu, pójść do Domu z Okiennicami, mieć pod kontrolą Gris Marsalę, a przede wszystkim odnaleźć proboszcza. Bo główny cios musi pójść w tym kierunku.

Wskazał palcem na konfesjonał.

– Czy wczoraj ten człowiek kręcił się w okolicy?

– Na pewno nie było go tu przed wpół do ósmej. Nie wyszłam z kościoła ani na chwilę – zakonnica zastanowiła się chwilę. – Musiał wejść później, przez zakrystię.

– Między wpół do ósmej a dziewiątą? – Quart domagał się precyzji.

– Myślę, że tak.

– Kto zamknął zakrystię? Ksiądz Lobato?

– Nie sądzę. Oskar pożegnał się ze mną po południu, jego autobus miał odjechać o dziewiątej. Nie mógł więc zamknąć drzwi od zakrystii. Na pewno zrobił to ksiądz Ferro. Tylko nie wiadomo, o której godzinie.

– Tak czy inaczej, zauważyłby Bonafé w konfesjonale.

– Niekoniecznie. Dziś rano ja też go nie zauważyłam. Możliwe że don Príamo nie wchodził do kościoła, a tylko zamknął drzwi z korytarza prowadzącego do jego mieszkania.

Quart zebrał fakty. Nie mogły dawać nikomu żadnego alibi, ale tylko tym w tej chwili dysponował: jeśli sekcja wykaże, że Bonafé zmarł między wpół do ósmej a dziewiątą, spektrum możliwości nieco się rozszerzy, przy założeniu, że proboszcz mógł zamknąć drzwi, nie wchodząc do kościoła. Jeśli jednak śmierć nastąpiła później,

wszystko się skomplikuje z powodu zamkniętych drzwi. A przede wszystkim zniknięcie księdza Ferro powoduje, że i on staje się podejrzanym.

– Gdzie on może być? – powiedziała pod nosem Gris Marsala.

Zakłopotanie i odrobina lęku źle wpływały na jej hiszpański; amerykański akcent stawał się wyraźniejszy. Quart uniósł bezsilnie ręce, nie wiedząc, co powiedzieć, i na dodatek myśląc o innych sprawach. Jego umysł działał jak zegar z wahadłem, ruch w lewo i ruch w prawo, starając się ustalić godziny i możliwe alibi. Dwanaście, czternaście godzin, powiedział Navajo. Teoretycznie może wystąpić cała seria niewiadomych – mogą wchodzić w grę nieznane osoby, zamieszane w tę sprawę; ale przede wszystkim nie należy przywiązywać się do żadnych domysłów. Lista osób z najbliższego otoczenia nie jest ani długa, ani zawiła. Jeśli będziemy podejrzewać każdego – ksiądz Oscar łatwo mógłby to zrobić... a następnie odjechać. Również ksiądz Ferro miał aż nadto czasu, żeby zabić Bonafé, zamknąć drzwi od zakrystii i pójść do gołębnika, gdzie spotkał Quarta dokładnie o jedenastej w nocy, a potem wyparował. A na dodatek, jak logicznie zauważył Simeón Navajo, jego zniknięcie stawiało go na czele listy podejrzanych, i to z dużą przewagą nad całą resztą. A co do tej listy, nad samą Gris Marsalą należało się też zastanowić – poruszała się po kościele jak kot, zamknęła główne wejście do kościoła, kiedy drzwi od zakrystii zamykane były o dziewiątej, i nikt – poza nią samą – nie mógł zaświadczyć o prawdziwości jej słów. Co do Macareny Bruner, Quart przyszedł do niej na kolację o dziewiątej i zastał ją w domu, w towarzystwie matki. To w zasadzie pozwala wykluczyć jej osobę; jednak poprzednie pół godziny stawia ją również w kręgu podejrzeń. A poza tym ona także była szantażowana przez Bonafé.

Rany Boskie! Wściekły na samego siebie, Quart znowu musiał dokonać wysiłku, żeby zachować skupienie. Obraz Macareny rozpraszał jego myśli, plątał logiczną nić między kościołem, zwłokami a znanymi postaciami całej historii. W tej chwili oddałby wszystko na świecie, żeby chłodno myśleć i żeby nic więcej go nie obchodziło.

Pojawił się sędzia śledczy. Policjanci zebrali się w pobliżu konfesjonału, gotowi do wyniesienia zwłok. Quart zauważył, że Simeón Navajo rozmawia z sędzią półgłosem, od czasu do czasu spoglądając na Gris Marsalę.

– Pewnie będzie siostra musiała odpowiedzieć na dalsze pytania – odezwał się do zakonnicy. – I wolę, żeby w przyszłości robiła to siostra pod opieką adwokata. Dopóki nie odnajdzie się ksiądz Ferro i wikariusz, lepiej zachować ostrożność. Zgadza się siostra?

– Zgadzam się.

Quart zapisał na karteczce nazwisko i podał jej.

– To osoba godna zaufania, specjalista od prawa kanonicznego i karnego, do którego dzwoniłem od arcybiskupa. Nazywa się Arce i już wcześniej współpracował z

nami. Przyjedzie z Madrytu około południa... Proszę powiedzieć mu wszystko, co siostra wie, i proszę dokładnie wypełniać jego polecenia.

Gris Marsala spojrzała na nazwisko zapisane na kartce.

– Nie sprowadza ksiądz chyba takiego adwokata dla mnie.

Nie wydawała się przestraszona, tylko ogromnie smutna. Wyglądała, jakby kościół naprawdę zawalił się na jej oczach.

– Oczywiście, że nie. – Quart próbował pocieszyć ją uśmiechem. – Raczej dla nas wszystkich. To bardzo delikatna sprawa i do akcji wkroczył cywilny wymiar sprawiedliwości. Lepiej, żebyśmy korzystali z porad specjalisty.

Złożyła uważnie kartkę i schowała ją do tylnej kieszeni dzinsów.

– Gdzie jest don Príamo? – znów zapytała. W jej jasnych oczach krył się wyrzut, jakby właśnie Quarta obwiniła za zniknięcie proboszcza. Potrząsała głową.

– Nie mam pojęcia – powiedział cicho. – Na tym polega problem.

– Nie należy do ludzi, którzy uciekają.

Zgadzał się z nią, ale nic więcej nie powiedział. Patrzył na konfesjonał. Policjanci zdjęli niebieskie płótno i wyjęli ciało Bonafé, umieścili je w plastikowym, metalizowanym worku, który położyli na noszach. Nie przerywając rozmowy z sędzią, podkomisarz Navajo patrzył na nich.

– Wiem, że nie należy do tych, co uciekają – wreszcie odezwał się Quart. – I na tym właśnie polega kolejny problem.

Niecałe pięć minut zajęło mu pokonanie odległości między kościołem Matki Boskiej Płaczącej a Domem z Okiennicami. Nigdy się nie pocił, ale tego ranka czarna koszula przylepiła mu się pod marynarką do ramion i pleców, kiedy naciskał dzwonek. Otworzyła służąca i Quart ledwo zapytał o Macarenę, kiedy dostrzegł ją w podcieniach patio, jak rozmawia z dwójką policjantów – kobietą i mężczyzną. Gdy zauważyła jego nadejście, spojrzała na niego spokojnie, pożegnała się z policjantami i ruszyła mu na spotkanie. Miała na sobie koszulę w drobną niebieską kratkę, dzinsy i sandały te same, co poprzedniego wieczoru, nie była umalowana, włosy miała rozpuszczone i jeszcze mokre. Pachniała mydłem do kąpieli.

– On tego nie zrobił – powiedziała.

Quart nie odezwał się od razu. Już miał to zrobić, żeby zapytać, kogo ma na myśli. Patio pachniało geranium i bazylią, a poranne słońce, odbijające się w szybach pierwszego piętra, jasnymi prostokątami padało na długie, zielone liście paproci i na doniczki z pelargoniami na mozaikowej, świeżo zmytej posadzce. Budziło też miodowe refleksy w ciemnych oczach kobiety i wszystko, na czym Quart chciał oprzeć swoją pewność siebie, znów usuwało mu się spod nóg.

– Gdzie on jest? – zapytał wreszcie.

Macarena pochyliła twarz, z powagą patrząc na niego.

– Nie wiem. Ale on nikogo nie zabił.

Byli już bardzo daleko od nocy, od ogrodu pod jasnym oknem gołębnika, od liści bugenwilli i drzew pomarańczowych rzucających cień na jej twarz i ramiona, pośród księżycowego blasku. Od maski zatopionej w świetle i półcieniach. Kość słoniowa nie była taka sama na porannej, świeżo wymytej skórze i nie istniała już tajemnica, ani wspólnota, ani uśmiech. Zmęczony templariusz rozejrzał się wokół niepewnie, czując się nagi w świetle słońca – miecz złamany, podarta kolczuga. Śmiertelny jak reszta śmiertelników, słaby i pospolity, jak wszyscy. Zgubiony, jak stwierdziła Macarena z niezwykłą precyzją chwilę przedtem, zanim dokonała na jego ciele mrocznego cudu. Bo jest napisane: *Ona zniszczy twoje ciało i twoją wolę*. A stare pisma są mądre. Przedziwna, niewinna podłość każdej kobiety, połączona z niszczycielską siłą, zakłada również pozostawienie mężczyźnie świadomości uczynionego spustoszenia. Quart wyraźnie widział swoją sytuację, rozpaczliwe uwikłanie, pozbawienie się raz na zawsze możliwości odzyskania spokoju sumienia.

Spojrzał na zegarek, nie zauważając godziny, poprawił koloratkę, dotknął marynarki na wysokości kieszeni, w której trzymał kartoniki na notatki. Szukał resztek zimnej krwi w rutynowych, dobrze znanych gestach. Macarena przyglądała mu się cierpliwie, wyczekująco. Mówić, pomyślał. Trzeba mówić. Mówić i trzymać się jak najdalej od ogrodu, jej skóry i księżyca. Jest zagadka, którą trzeba rozwiązać, i właśnie po to tu przyszedłem.

– Gdzie twoja matka?

Niezręcznie poczuł się z formą „ty”, po raz pierwszy użytą w świetle dnia; Quart jednak, choć przestał być dobrym żołnierzem, nie znosił hipokryzji księżula zgorzonego własnym postępowaniem. Obojętna na takie odcienie, Macarena uczyniła nieokreślony gest, w stronę pokoi na piętrze.

– Jest na gorze, odpoczywa. O niczym nie wie.

– Co tu właściwie się dzieje?

Potrząsnęła głową. Końcówki włosów pozostawiały wilgotne ślady na koszuli.

– Nie wiem, co się dzieje – nadal myślała o księdzu Ferro, a nie o Quarcie. – Ale don Príamo nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Nawet dla swojego kościoła?

– Nawet. Policja mówi, że ten Bonafé umarł przed wieczorem. Rozmawiałeś wczoraj z don Príamo. Myślisz, że przyszedłby tutaj, żeby spokojnie przyglądać się gwiazdom, gdyby wcześniej zabił człowieka? – podniosła w górę rękę, odwołując się do zdrowego rozsądku, a potem je opuściła. – To śmieszne.

– Ale uciekł.

Macarena zrobiła minę, wyrażającą niepewność.

– Wcale nie jestem przekonana. I to właśnie mnie niepokoi.

– To daj mi jakieś inne wytłumaczenie. Albo pomóż mi je znaleźć.

Teraz ona przyglądała się rysunkowi na posadzce, zamysłona. Quart patrzył na jej twarz, łagodne linie opadające poniżej rozpiętego kołnierzyka, gdzie rysował się kształt białego ramiączka. Poczł mrowienie w palcach na wspomnienie tej mrocznej i cieplej drogi, i smutek, z jakim patrzy się na coś straconego. Macarena Bruner w świetle dnia była nadal doskonale piękna.

– Policja przyszła godzinę temu, nawet nie miałam czasu pomyśleć... Ale coś w tym jest. Coś się nie zgadza – zmarszczyła brew, dzielając niepokój Quarta. – Wyobraź sobie przez chwilę, że don Príamo nie ma z tym nic wspólnego. Wczoraj wieczorem zachowywał się naturalnie.

– Nie spał u siebie w domu – zaprotestował. – I sądzi się, że zamknął kościół ze zwłokami w środku.

– Nie mogę w to uwierzyć – Macarena oparła rękę na jego ramieniu. – A może jemu też coś się stało? Może wyszedł stąd i zaraz potem... Nie wiem, dzieją się różne rzeczy.

Quart odsunął się na bok chłodnym ruchem, oddalając się od ręki, ale Macarena, obojętna na wszystko z powodu własnego niepokoju, nie zwróciła na to uwagi. Między nimi woda szemrała w fontannie wyłożonej starymi kafelkami.

– Masz coś na myśli – powiedział. – Coś, czego nie wiem. Gdzie byłaś wczoraj przed kolacją?

Wracała z bardzo daleka.

– Z mamą – wydała się zaskoczona pytaniem. – Przecież widziałeś nas tutaj razem.

– A wcześniej?

– Byłam w centrum, przeszłam się po sklepach... – nagle przerwała i spojrzała na niego, zdumiona. – Chyba nie powiesz, że mnie podejrzewasz.

– Nieważne, co ja podejrzewam. Bardziej martwi mnie policja.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem wypuściła zatrzymane w płucach powietrze. Nie wyglądała na obrażoną, raczej zakłopotaną.

– Policjanci są głupi – mruknęła. – Ale nie do tego stopnia. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Zaczynało się robić gorąco. Quart rozpiął marynarkę i stał nieruchomo przed Macareną. Była jedynym atutem, jaki dawał mu przewagę nad Simeonem Navajo, choć dystans skracał się z każdą chwilą. Może już znaleźli Oscara Lobato, a on opowiedział im swoją wersję zdarzeń.

– Jutro jest czwartek – powiedziała.

Opierała się o cembrowinę fontanny, bardzo smutna, a Quart zrozumiał w jednej chwili, o czym myślała przez cały czas, od kiedy policja przyniosła jej wiadomość: jeśli

następnego dnia nie zostanie odprawiona msza, przywilej kościoła Matki Boskiej Płaczącej wygaśnie. Arcybiskup Sewilli, magistrat i Bank Kartuski rzucą się na zdobycz jak sępy.

– Teraz kościół jest mniej ważny – powiedział ze złością. – Jeśli ksiądz Ferro się pojawi, prawdopodobnie jutro będzie siedział w areszcie.

– Chyba że nie ma z tym nic wspólnego...

– Najpierw trzeba go znaleźć. I zapytać. Lepiej, żebyśmy zrobili to my niż policja.

Macarena potrząsnęła głową, jakby nie o to chodziło. Podniosła do ust rękę, zatopiona w myślach i zaczęła obgryzać paznokiec kciuka. Quart nie chciał jej przestraszyć, przerwać jej zamyślenia. Była jego jedyną nadzieją.

– Jutro jest czwartek – powtórzyła Macarena, nadal nieobecna.

Ton jej głosu był zupełnie inny niż poprzednio. Teraz brzmiała w nim wściekła pewność i groźba przeciwko czemuś albo komuś. Quart zauważył, jak kiwa powoli głową, ze złowrogą miną.

Pucybut skończył polerowanie butów Octavio Machuki, sprzedał mu los na loterię i odszedł ze skrzynką na szczotki pod pachą, podśpiewując pod nosem. Słońce stało pionowo, a jeden z kelnerów La Campany skrzypiącą korbką opuszczał markizę, żeby schronić w cieniu stoliki ustawione na tarasie. Siedząc obok Machuki, Pencho Gavira z przyjemnością sęczył zimne piwo. Szyby samochodów odbijały jasne światło ulicy w jego słonecznych okularach i w lśniących, czarnych włosach, zaczesanych brylantyną do tyłu.

Stary bankier opowiadał jakiś epizod z ostatniego posiedzenia akcjonariuszy, a Gavira potakiwał nieuważnie, odwrócony do niego, choć bez specjalnej uwagi. Sekretarz Machuki odszedł, a prezes Banku Kartuskiego spędzał tam właśnie ostatnie minuty przed pójściem na obiad do Casa Robles. Od czasu do czasu Gavira ukradkiem spoglądał na zegarek. Zaraz miał biznesowe spotkanie – obiad z trzema członkami rady nadzorczej, która w przyszłym tygodniu miała zdecydować o jego przyszłości. Gavira był zwolennikiem teorii, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, w ostatnich godzinach uruchomił więc skomplikowany program presji. Spośród dziewięciu członków rady, ta trójka była najbardziej podatna na właściwe argumenty; mógł liczyć na jeszcze jednego, którego pewne szczegóły intymnej natury – poparte zdjęciami z jachtu w towarzystwie pewnego tancerza rozmówianego w dojrzałych bankierach i w kokainie – pozwalały przewidzieć współpracę raczej entuzjastyczną. Dlatego, wbrew swoim zwyczajom, tego południa nie zwracał szczególnej uwagi na słowa swego szefa i protektora, ograniczając się jedynie do potakującego gestu między kolejnymi łykami piwa. Koncentrował się jak samuraj przed walką, zastanawiając się nad ustawieniem krzeseł podczas obiadu, sformułowaniami, w jakich będzie przedstawiał sprawę,

potem punkt kulminacyjny i rozwinięcie. Gavira doskonale wiedział z doświadczenia, że nie jest tym samym przekupienie trzech członków rady nadzorczej banku co jakiegoś pismaka. Choć koniec końców łatwiejsi okazują się członkowie rady, styl jest jednak zupełnie inny, a pozory o wiele droższe.

Kelner przerwał monolog Machuki: dzwonią do pana Fulgencio Gaviry. Przeprosił więc na chwilę i wszedł do środka, zdejmując słoneczne okulary. Na pewno dzwoni Peregil, który nie dawał znaków życia przez cały poranek. Podeszedł do narożnika baru i wziął od kasjerki słuchawkę. Nie był to Peregil, tylko sekretarka, dzwoniła z biura przy ulicy Arenal. Przez kolejne trzy minuty Gavira słuchał w ciszy, bez słowa komentarza. Potem podziękował i rozłączył się.

Minęła cała wieczność, zanim podeszedł do drzwi, dotykając węzła krawata, jakby chciał go rozluźnić. Próbował uporządkować myśli, ale mieszały się one pod wpływem upału, szumu rozmów, oślepiającego światła i hałasu samochodów. Trudno było ocenić, czy to, co się zdarzyło, jest dobre czy złe; choć jego plany zostały pokrzyżowane, trzeba wymyślić coś nowego. Gavira mógł uchodzić za wzór opanowania; nim doszedł do drzwi, spojrzął na zegarek, świadomy, że zaplanowanego obiadu już się nie da odwołać, przeklinając Peregila, że nie ma go pod ręką w chwili, kiedy najbardziej jest potrzebny, i naszkicował w myślach przynajmniej trzy dobre powody, żeby uznać to, czego się dowiedział, za zdarzenie pozytywne. Wychodząc na zewnątrz, z okularami słonecznymi w ręce, był już bliski optymizmu i zastanawiał się, jak o sprawie poinformować don Octavio Machucę. Ale staruszek nie był sam. Właśnie się podniósł, żeby ucałować dłoń Macareny, której towarzyszył wysoki ksiądz z Rzymu, a cała trójka patrzyła na niego. Gavira rzucił między zębami przekleństwo brzmiące jak trzaśnięcie z bicia, które sprawiło, że dwie starsze panie, jakie minął w progu, odwróciły głowy, zgorszone.

Macarena opowiedziała niemal wszystko. Siedziała na brzegu krzesła, naprzeciwko Machuki, i mówiła pochylona do niego. Skupiona i posepna, marszczyła brew, a Lorenzo Quart przyglądał się jej profilowi między włosami opadającymi na ramię, rękawom koszuli w niebieską kratkę zawiniętym w męski sposób na opalonych przedramionach i dłoniom, długim i wyrazistym, którymi poruszała obok kolan starego bankiera. Ten z kolei od czasu do czasu ujmował jedną z nich i ścisnął w swoich wyschniętych szponach, próbując ją uspokoić. Ale Macarena nie sprawiała wrażenia niespokojnej, tylko wścieklej. To był jej teren, jej mąż, jej ojciec chrestny. Jej sympatie i antypatie, jej wspomnienia i jej rany. Quart mógł jedynie pozostawać na uboczu, pozwolić jej być przewodnikiem, słuchać i obserwować dwóch mężczyzn, którzy w ten czy inny sposób trzymali w swoich dłoniach przyszłość Matki Boskiej Płaczącej. Macarena skończyła opowieść, oparła się o poręcz krzesła, wpatrzona

wrogo w Pencho Gavirę, palącego w milczeniu papierosa, z nogą założoną na nogę. Niewzruszony, bawił się oprawką okularów słonecznych leżących na stole i od czasu do czasu rzucał w milczeniu spojrzenie na Quarta. Wszyscy teraz patrzyli na niego. Najpierw odezwał się stary Machuca:

– Co wiesz o tej sprawie, Pencho?

Quart zauważył, że Gavira zostawił w spokoju okulary. Tę samą dłoń podniósł zdecydowanie do ust i ujął w palce papierosa.

– Niech pan nie mówi bredni, don Octavio. Skąd miałbym cokolwiek wiedzieć?

Piwo, już bez piany, grzało się w szklance przed nim. Podszedł do nich żebrak, prosząc o monetę i Machuca odprawił go gestem dłoni.

– Nie mówimy o zabitym – powiedziała Macarena. – Tylko o zniknięciu don Priamo.

Gavira zaciągnął się po raz kolejny i upłynęła cała wieczność, nim wypuścił dym. Nadal przyglądał się Quartowi.

– Jedna sprawa łączy się z drugą. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Macarena zacisnęła pięść, jakby zamierzała uderzyć w stół. Albo w męża.

– Dobrze wiesz, że obie sprawy nie mają nic wspólnego.

– Mylisz się. Ja nie wiem nic – usta Gaviry wykrzywiły się w okrutny grymas. – Specjalistką od kościołów i księży stałaś się ty – wskazał głową Quarta. – Już nigdzie się nie pojawiaasz bez swojego duchowego przewodnika.

– Idź w diabły.

Octavio Machuca podniósł chudą dłoń, żeby uspokoić temperamenty. Quart, pozostający na uboczu i milczący, dostrzegł, że spoza przymkniętych powiek stary bankier nie odrywał wzroku od Gaviry.

– Prawdę, Pencho – powiedział Machuca. – Chcę znać prawdę.

Gavira dokończył papierosa i niedopałek rzucił na chodnik, pod stopy sprzedawcy losów, który zbliżał się, żeby zaoferować im ćwiartki. Potem spojrział w oczy swojego szefa.

– Don Octavio. Przysięgam, że nic nie wiem o tym zabitym w kościele, poza tym, że był dziennikarzem i jak mówią, wyjątkowo wrednym typem. Nie wiem też, gdzie u diabła mógł się podziać proboszcz – wyciągnął przed siebie dłoń, zamierzając znów bawić się oprawką okularów, zrezygnował jednak i położył ją nieruchomo. – Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi przed chwilą przez telefon sekretarka: znaleziono zwłoki, podejrzany jest ksiądz Ferro, którego poszukuje policja – znów spojrział na Macarenę, a potem na Quarta. – Reszta to szukanie dziury w całym.

– Jesteś zamieszany w sprawę kościoła – upierała się Macarena – przez cały czas kombinowałeś. Nie wierzę, że nic o niczym nie wiesz.

– A jednak nie wiem – Gavira był cały czas spokojny. – Nie będę ukrywał, że trochę się kościołem zajmowałem. Pewna osoba, na moje polecenie, badała dokładnie sytuację – zwrócił się do Machuki, odwołując się do jego rozsądku. – Sam pan widzi, że jestem szczerzy, don Octavio, mogę się państwu przyznać, że myślałem o możliwości przekonania proboszcza metodami drastycznymi... Rozważaliśmy wszystko, z wszelkimi za i przeciw. I nic więcej. A teraz okazuje się, że ksiądz Ferro wpakował się w kłopoty, że przywilej kościoła zaczyna wisieć na włosku, a mnie układa się wszystko po różach – uśmiech Rekina z Arenalnu rozlał się szeroko na twarzy. – Co więcej mogę powiedzieć? Że przykro mi ze względu na proboszcza, ale i cieszę się ze względu na siebie – skłonił głowę z uszanowaniem w kierunku Machuki. – Ze względu na siebie i na Bank Kartuski. Nikt nie będzie płakał po tym kościele.

Macarena rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy.

– Ja będę.

Podeszła kwiaciarka i zaproponowała jaśmin dla pani, ale Gavira ja odprawił. Przyglądał się teraz swojej żonie z mniejszą powściągliwością.

– To jedyny szczegół, jaki sprawia mi przykrość w tej całej historii. Twoje łyzy – przez chwilę jego ton wydawał się łagodniejszy. – Nadal nie rozumiem, co właściwie zaszło między nami – ostro spojrział ukradkiem na Quarta. – Ani dlaczego zdarzyło się tyle rzeczy potem.

Pokręciła głową, nie godząc się, by rozmowa zesłała na te tereny.

– Jest już zbyt późno, żeby mówić o nas. Ksiądz Quart i ja przyszliśmy tu, żeby cię zapytać o don Príamo.

Zabłyśły czarne oczy Gaviry.

– Zaczynam mieć dosyć ciągłego potykania się o księdza Quarta.

– A ja potykania się o pana – powiedział Quart, którego zawodowa powściągliwość zaczynała zbliżać się do kresu. – Tak się dzieje, bo nieproszony próbuje się pan mieszać w sprawy kościelne.

Błyskawica wściekłości usztywniła wargi bankiera i przez chwilę Quart podejrzewał, że rzuci się na niego. Do krwi uderzyła adrenalina, ale rozmówca już się uśmiechał, znów spokojny i niebezpieczny. Wszystko stało się w okamgnieniu, bez żadnego zbytecznego ruchu, bez cienia groźby. Gavira mówił teraz do Macareny:

– Zapewniam cię, że nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie wiem – znów pochyliła się do przodu, oparła łokcie na stoliku, śmiertelnie poważna. – Znam cię, Pencho. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale jestem pewna, że kłamiesz. Posłuchaj, co ci powiem: choć jesteś szczerzy, jednak kłamiesz. Pewne rzeczy mi się nie zgadzają, skoro nie brałeś w tym udziału. Choć sam możesz o tym nie wiedzieć, zniknięcie don Príamo wygląda mi na twoją robotę. Jest w twoim stylu.

Quart zauważył, że Gavira zawahał się przez ułamek sekundy. Był to krótki jak błyskawica moment wątpliwości w ciemnych, nieporuszonych oczach. Palce dwukrotnie otworzyły i zamknęły łąpki okularów na stoliku, a potem znów leżały spokojnie.

– Nie – powiedział.

Bardziej niż zaprzeczenie skierowane do nich wyglądało to na odpowiedź na jakieś pytanie zadane sobie samemu. Octavio Machuca bardziej jeszcze przymknął powieki, przyglądając mu się z ciekawością; w tym momencie Quart zdobył pewność, że Macarena nie strzelała na oślep.

– Pencho – powiedział Machuca.

Była to równocześnie nagana i prośba, wypowiedziane cichym głosem. Wyraz twarzy Gaviry znów był nieodgadniony, ale podniósł lekko dłoń, jakby prosił o chwile czasu na zastanowienie. Jakiś kierowca, zdenerwowany na źle zaparkowany samochód, ogłuszył ich klaksonem.

– Jeśli masz z tym coś wspólnego, Pencho... – obstawał Machuca. Teraz robił wrażenie naprawdę zdenerwowanego, rzucając na Macarenę i Quarta zatroskane spojrzenia.

– Takie zbiegi okoliczności nie zdarzają się – mruknął Gavira, przytłoczony, bardzo daleki.

A potem, z miną, jakby poruszał się na granicy jawy i snu, spojrzał na Quarta i na Macarenę, niemal oczekując od nich potwierdzenia nie wyrażonych myśli. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć albo jakby brakowało mu powietrza. Jeszcze się trzymał, ale jego pewność siebie zniknęła. Nagle światło na skrzyżowaniu zmieniło się z czerwonego na zielone i defilada przednich szyb samochodowych oślepiła ich wszystkich ciągiem postępujących po sobie błysków odbitego słońca. Gavira zamrugał, gwałtownie czerwieniejąc. Nagle opadła go fala niespodziewanego gorąca.

– Teraz muszę się pożegnać – powiedział. – Idę na obiad z klientami.

Zaciśniętą w pięść dłoń podniósł do brody, jakby zamierzał sam się uderzyć. Wstając, przewrócił szklankę i rozlał piwo.

XIII

„Canela Fina”

*– Ach, Watsonie – powiedział Holmes. – Może i ty zachowywałbyś się nieelegancko, gdybyś w jednej chwili został pozbawiony małżonki i majątku.
(A. Conan Doyle, Przygody Sherlocka Holmesa)*

Megafon wzmacniał głos przewodnika wycieczki, który mówił coś o ośmiu wiekach Złotej Wieży, z muzyką w rytmie paso dobre w tle. Przepływając obok, silnik statku zabrzmiał głośniejsz nad wodą rzeki, a po chwili fala dotarła do burty przycumowanego do pomostu statku „Canela Fina”, kołysząc nim. W kabinie czuło się zapach zgnilizny i potu, drewniane grodzie malowano wielokrotnie w przeszłości, a na metalowych częściach widać było plamy rdzy. Kiedy hałas silnika i muzyki oddalił się, don Ibrahim zauważył, że promień słońca wpadający przez otwarte drzwiczki przesuwa się powoli w kierunku baki, przecinając stolik z resztkami jedzenia i rozbłyskując w srebrnych bransoletkach na nadgarstku Dzidzi Dolores, wolno zawraca na sterburcie, żeby wreszcie zatrzymać się na źle zamaskowanej łysinie Peregila.

– Nie mogliście wybrać – odezwał się ten ostatni – jakiegoś bardziej stabilnego miejsca.

Potargane włosy sterczały mu na wilgotnej od potu czaszce, czoło ocierał chusteczką. Nie przepadał za huśtawkami, jego oczy błyszczały słabo, przypominając wzrok byka na chwile przed otrzymaniem śmiertelnego ciosu; skóra miała ten charakterystyczny odcień szarości, który towarzyszy zawrotom głowy. Obok

przepływało wiele łodzi turystycznych, a fale wzbudzone przez każdą z nich rozstrajały go coraz bardziej.

Don Ibrahim nie odezwał się. Życie nauczyło go poszanowania dla ludzi i wyrozumiałości dla ich słabości. Ludzki los składa się ze wzlotów i upadków i nieważne, ile kto w życiu miał, na koniec i tak się przewróci. W związku z tym w milczeniu zerwał celofan z kolejnego montecristo, z czułością dotknął delikatnej, lekko unerwionej powierzchni czarnego liścia tytoniu. Następnie odciął końcówkę scyzorykiem od Orsona i uniósł cygaro do warg, okręcając zmysłowo w ustach, zwilżywszy koniuszek. Smakował aromat doskonałego dzieła sztuki.

– Jak się zachowuje ksiądz? – zapytał Peregil.

Ustało huśtanie, zachowywał się więc nieco odważniej, choć nadal był blady jak gromnice w kościele, który dzięki działalności trójki jego współników został chwilowo bez opieki. Trzymając nie zapalone cygaro w ustach, don Ibrahim poważnie skinął głową. Był to gest odpowiedni do sprawy, którą się zajmowali i która dotyczyła godnego przedstawiciela Kościoła, świętego męża. I o ile dobrze rozumiał, porwanie nie stało w sprzeczności z szacunkiem. Tego nauczył się w Ameryce Łacińskiej, gdzie choć ludzi rozstrzeliwano, to zawsze zwracano się do nich z poszanowaniem.

– Bardzo dobrze. Godnie i spokojnie. Jakby cała sprawa nie dotyczyła jego.

Oparty o stolik Peregil, starający się nie patrzeć na resztki jedzenia, zdobył się na niewyraźny uśmiech.

– Twardziel ze starucha.

– I jak! – odezwała się Dzidzia. – Ma jaja.

Szydełkowała – cztery oczka, spuszczałam dwa – szybko poruszając dłońmi, przy akompaniamencie bransoletek; od czasu do czasu kładła szydełko na spódnicy i brała do ręki kieliszek manzanilli stojący obok w połowie opróżnionej butelki. Upał rozszerzał ciemną plamę makijażu wokół jej oczu, powiększając je, a manzanilla zmyła nieco szminki. Kiedy łódź się kołysała, równocześnie falowały długie kolczyki z koralu.

Don Ibrahim uniesieniem brwi potwierdził trafność komentarza Dzidzi Dolores. Jeśli idzie o proboszcza, to nie ma w tym ani za grosz przesady. Poszli po niego wczoraj o północy, na uliczkę, gdzie wychodzi furka od ogrodu Domu z Okiennicami, i dobrą chwilę trwało, nim udało im się zarzucić mu koc na głowę i związać, żeby zanieść go do furgonetki – wynajętej na dwadzieścia cztery godziny – stojącej na rogu. Straty odniesione w potyczce to złamana laseczka don Ibrahima, którą dostał od Marii Felix, podbite oko Żrebaka i wypadnięcie dwóch plomb Dzidzi Dolores. Trudno uwierzyć, z jaką energią malutki i wysuszony dziadek, na dodatek księżulo, walczył o własną skórę.

Peregil nie tylko cierpiał na zawroty głowy, ale też był mocno zaniepokojony. Porwanie księdza i wycofanie go na parę dni z obiegu, nie jest tym rodzajem przestępstwa, które budzi wyrozumiałość sędziów. Don Ibrahim też nie był zachwycony, miał jednak całkowitą jasność, że jest zbyt późno, żeby się wycofać. Zresztą pomysł był jego, a tacy ludzie jak on idą przed siebie, nie oglądając się wstecz. Tym bardziej że cztery i pół miliona, jeśli doda się honoraria całej trójki, było kasą nie do pogardzenia.

Peregil zdjął marynarkę, podobnie jak don Ibrahim. Jednak w przeciwieństwie do obszernych białych rękawów byłego adwokata, podtrzymywanych gumkami ponad łokciami, koszula asystenta Pencho Gaviry ukazała wstrząsające zestawienie biało-niebieskich pasków na rękawach z kołnierzykiem w kolorze łososiowym i krawatem w zielone, czerwone i różowe chryzantemy, który zwisał na środku klatki piersiowej jak zwiedły wiecheć. Krąg potu zwilżył kołnierzyk.

– Mam nadzieję, że będziecie się trzymać planu.

Don Ibrahim spojrzał na niego z naganą, urażony. On i jego wspólnicy działają z precyzją chirurgicznego skalpela – ostrożnie przejechał palcem po szczecinie wąsów i osmalonej skórze – chyba że natrafią na nieprzewidywalne przeciwności, jak wypadek Żrebaka z benzyną albo skłonność pewnych filmów do prześwietlania się pod wpływem światła. Poza tym plan operacyjny nie jest tak trudny, żeby pękać przy jego wykonaniu. Trzeba przetrzymać proboszcza jeszcze przez półtora dnia, a potem można wypuścić. Łatwo, pięknie i tanio, i jeszcze bardzo elegancko wykonane. Stewart Granger i James Mason, a nawet Ronald Colman i Douglas Fairbanks Junior – don Ibrahim, Żrebak i Dzidzia poszli do wypożyczalni kaset, żeby obejrzeć obie adaptacje i należycie obmyślić całą sprawę – uznaliby ich wersję za nienaganną.

– Natomiast co do naszych honorariów...

Były adwokat zawiesił zdanie w powietrzu, przez delikatność, skupiając się na zapaleniu cygara. Mówienie o pieniądzach między dżentelmenami jest nie na miejscu. Peregil był w tym samym stopniu dżentelmenem, jak może nim być kaczy kuper, to jednak nie stanowi powodu, przynajmniej formalnie, by miały w stosunkach między nimi pojawić się wątpliwości. Przybliżył więc płomień zapalniczki do końcówki montecristo, napelniając usta i drogi oddechowe pierwszym i najsmaczniejszym haustem dymu i oczekiwał, żeby rozmówca dokończył zdanie.

– Jak wypuścicie księdza – odezwał się Peregil z nieco większą swobodą – zapłacę całej trójce. Każdemu po półtora miliona, bez VAT-u.

Zaśmiał się przez zęby z własnego dowcipu, wyjmując z kieszeni chusteczkę, żeby otrzeć twarz, a Dzidzia Dolores podniosła na chwilę spojrzenie znad robótki i przyglądała mu się spomiędzy sztucznych rzęs, pogrubionych tuszem. Także don Ibrahim skierował na zbira spojrzenie zza hawańskiego dymu – w jego oczach pojawił

się jednak niepokój. Nie podobał mu się ten typ, a jeszcze mniej ten śmiech i przez chwilę wstrząsnęło nim podejrzenie, czy aby Peregil będzie miał dość pieniędzy, żeby zapłacić im należność, czy tylko cały czas mydli im oczy. Z bezradnym westchnieniem znów pociągnął cygaro i z marynarki wiszącej na oparciu krzesła wyjął zegarek z dewizką. Niełatwo być szefem, pomyślał. Wcale nie jest prosto być pewnym siebie, wydawać polecenia czy narzucać sposób zachowania, robiąc, co się da, żeby nie złamał się głos, żeby każdą wątpliwość zamaskować gestem, spojrzeniem, odpowiednim uśmiechem. Jak Ksenofont, ten od tych pięciuset tysięcy, albo Kolumb czy Pizarro, kiedy szpadą rysował na ziemi kreskę i mówił, że stąd dotąd ma być złoto i guzik mnie reszta obchodzi. Nawet wtedy, gdy doświadczasz tego przykrego uczucia, które pojawia się, kiedy malujesz dach i trzymasz się pędzla, bo drabina usuwa się spod twoich stóp, jak w komiksach z Mortadelo.

Don Ibrahim spojrział z czułością na Dzidzię Dolores. Jedyne zmartwienie, wynikające z możliwości trafienia do więzienia, to świadomość, że tam musieliby się rozstać... Kto wtedy zatroszczy się o nią? Bez Żrebaka i bez niego, który każdą zanuconą zwrotkę kończył *ole!*, chwalił jej niedzielne obiady, zapraszał ją popołudniami na corridę do Maestranzy, kiedy na afiszu pojawiały się atrakcje, podawał jej ramię, gdy przesadzała z białym winem – biedaczka umrze, jak ptak wyrzucony z klatki. Poza tym mieli przecież plan, że otworzą tablao flamenco, żeby miała gdzie królować.

– Zmień Żrebaka, Dzidziu.

Dzidzia policzyła jeszcze kilka oczek do końca rzędu. Bezgłośnie poruszała wargami, kiedy liczyła; a potem – wypijając po drodze do dna kieliszek wina, wstała, wygładziła spódnice sukni w grochy, równocześnie spoglądając na drzwiczki. Za pelargoniami, hodowanymi w puszkach po tuńczyku Albo, zwiędniętymi, choć Żrebak podlewał je co wieczór, widać było stare nabrzeże, kilka przycumowanych łodzi, a w głębi Złotą Wieżę i most San Telmo.

– Wrogów nigdzie nie widać.

Zebrała szydełkową robótkę, przeszła przez kajutę zamiatając spódnice z nakrochmalonymi falbanami, pozostawiając za sobą gęsty zapach Drzew Orientu, którego obłok owionął Peregila po jej przejściu. Kiedy otworzyły się drzwiczki do kajuty, don Ibrahim przez moment widział proboszcza: siedział odwrócony plecami, oczy miał zawiązane jedwabną chustką Dzidzi, ręce przylepione do oparcia szerokim plastrem, – kupionym poprzedniego dnia w aptece przy ulicy Pureza. Był nadal w tej samej pozycji, jak go zostawili: spokojny, zamknięty w sobie, milczący, chyba że pytano go, czy nie chce kanapki, kieliszka albo siusiu – wtedy posyłał ich do diabła.

Weszła Dzidzia, a wyszedł Żrebak, zamykając za sobą drzwi.

– Jak to znosi? – zapytał Peregil.

– Kto?

Żrebak stanął przy stole z zakłopotaną miną i okiem podbitym podczas nocnej rozróby. Pod ramiączkami podkoszulka rysowały się twarde mięśnie wysuszonego torsu, wilgotnego od potu. Nosił jeszcze bandaż na lewym przedramieniu. Na drugim ramieniu, obok śladów po szczepieniu, widoczna była na niebiesko wytatuowana głowa kobiety w czapce legionisty i nieczytelne imię pod spodem. Don Ibrahim nigdy nie spytał, czy należało ono do niewiernej żony, przyczyny jego nieszczęścia, a i Żrebak nigdy o tym nie wspominał. Może już nie pamiętał. Każdy żyje własnym życiem.

– Książd – Peregil przypomniał słabym głosem. – Jak on to znosi?

Były torreador i bokser dokładnie zastanowił się nad pytaniem. Zmarszczył czoło, kiwając się lekko na nogach, wreszcie spojrział na don Ibrahima jak chart, który słysząc polecenie wydane przez obcego, zwraca się do pana w oczekiwaniu na potwierdzenie.

– Dobrze to znosi – odpowiedział wreszcie, nie znajdując zastrzeżeń w oczach swojego szefa i kumpla. – Jest spokojny i nic nie mówi.

– Nie zadawał pytań?

Żrebak podrapał się po płaskim nosie, próbując sobie przypomnieć. Upał nie przyspieszał jego refleksu.

– Żadnych – powiedział w końcu. – Trochę mu rozpiąłem sutannę, żeby oddychał, ale wtedy też się nie odezwał – długo się zastanawiał. – Jakby był niemy.

– Naturalnie – wtrącił don Ibrahim. – Przecież to osoba duchowna. Jego godność została zraniona.

Potrząsnął połą koszuli, bo spadła mu na brzuch pierwsza partia popiołu z cygara, a Żrebak powoli potakiwał głową, patrząc na zamknięte drzwiczki, jakby właśnie rozwiązał problem, który nurtował go od dawna. Pewnie o to chodzi, powtórzył dwukrotnie. Godność.

Peregil chwycił ustami powietrze, blady i spocony. Jego chusteczkę można by wykręcać.

– To ja idę – powiedział. Dym z cygara, w połączeniu z bujaniem, najwyraźniej przyprawiał go o mdłości. – A wy trzymajcie się moich instrukcji.

Zaczął się podnosić, machinalnie układając włosy na łysinie. W tym momencie kadłubem statku zakłósała fala, wzbudzona przez kolejny statek turystyczny, a spojrzenie Peregila śledziło z obsesyjnym uporem ruch po pokładzie promienia słonecznego, wpadającego przez drzwiczki z pelargoniami. Jego cera stała się jeszcze bardziej tłusta i szara, wdychał powietrze jak świeżo złowiony szczupak, spoglądając ukradkiem na don Ibrahima i Żrebaka.

– Przepraszam – mruknął zdławionym głosem, zanim ruszył szybko w kierunku schodków i drzwiczek.

To był najgorszy obiad w jego życiu. Pencho Gavira ledwo spróbował zielonego bobu z kałamarniczkami i łososia z rusztu, i tylko odwołując się do całej swojej zimnej krwi dotarł do deserów z nienaruszonym uśmiechem, nie biegając co pięć minut do telefonu, żeby zadzwonić do sekretarki, która szukała Peregila po całej Sewilli. Czasami, w środku rozmowy z członkami rady nadzorczej Banku Kartuskiego, finansista bladł, podczas kiedy inni uważnie słuchali argumentów mówiącego; i jedynie dzięki niesłychanemu wysiłkowi woli udało mu się zakończyć większość kwestii nawet z wdziękiem. Potrzebował czasu do namysłu, żeby wytyczyć plany i rozwiązania alternatywne, które nieobecność jego goryla podsuwała mu w myślach; czasu jednak nie miał. Poza tym ten obiad był ważny dla jego przyszłości, dlatego nie powinien był zaniedbywać swoich gości. Bił się jednak na dwóch frontach, niby Napoleon przeciwko wojskom brytyjskim z jednej i pruskim z drugiej strony na polach pod Waterloo. Uśmiech, łyk wina z okolic Rioja, jedno zdanie, krótka refleksja dokładnie w chwili zapalenia papierosa. Powoli członkowie rady przechodzili na jego stronę; natomiast brak wiadomości od Peregila zaczynał być niepokojący. Gavira miał pewność, że jego asystent jest jakoś powiązany ze zniknięciem księdza, co przyprawiało go o fale zimnych potów, i może także ze śmiercią Bonafé. Przez takie myśli ciarki przebiegały mu po plecach; mimo wszystko bankier miał klasę i dzielnie panował nad sobą. Na jego miejscu każdy, kto nie miałby jaj, rzuciłby się na biały obrus i rzewnie płakał.

Maître sali zbliżał się pomiędzy stolikami i z jego spojrzenia Gavira zrozumiał, że idzie do niego. Opanowując chęć zerwania się od stołu, dokończył rozpoczęte zdanie, zgasił papierosa w popielniczce, wypił łyk wody mineralnej, otarł dokładnie usta serwetką i wstał, kierując uśmiech do członków rady.

– Przepraszam panów na chwilę.

Następnie poszedł do hallu, kilkakrotnie skłaniając głowę w geście pozdrowienia przed kilkoma znajomymi, z prawą ręką w kieszeni, aby zapobiec jej drżeniu. Pustka w żołądku pogłębiła się, kiedy zobaczył Peregila ze zburzonymi włosami na łysinie i w straszliwym krawacie.

– Mam dobre wieści – powiedział zbir.

Byli sami. Gavira wepchnął go do męskiej toalety, zamykając za sobą drzwi po upewnieniu się, że wewnątrz nie ma nikogo.

– Gdzie byłeś?

Peregil zrobił zadowoloną minę.

– Załatwiłem, że jutro nie będzie mszy – powiedział.

Napięcie i zgromadzone obawy wybuchnęły w Gavirze jak pod działaniem sprężyn. Mógłby zabić Peregila na miejscu. Własnymi rękami.

– Co robiłeś, gnoju?!

Asystentowi zniknął uśmiech z twarzy. Mrugał oszołomiony.

– A co miałem robić? – wybełkotał. – To, co pan mi kazał: zneutralizowałem księdza.

– Księdza?

Goryl oparty był plecami o umywalkę, do której przyparł go Gavira. W świetle jarzeniówki jego łysina błyszczała pomiędzy kosmykami włosów sterczących nad lewym uchem.

– Tak – potwierdził. – Znajomi wyłączyli go z ruchu do pojutrze. W doskonałym stanie zdrowia.

Niespokojnie patrzył na szefa, nie rozumiejąc jego agresywności. Gavira cofnął się o krok, licząc w myśli.

– Kiedy to było?

– Wczoraj wieczorem – Peregil odważył się na nieśmiały uśmiech, uważając na reakcję szefa. – Jest w bezpiecznym miejscu i w dobrych warunkach. W piątek zostanie wypuszczony, i na wieki wieków amen.

Gavira kiwał głową. Rachunki nie zgadzały mu się.

– A co z tym drugim?

– Z jakim drugim?

– Bonafé. Ten dziennikarz.

Zobaczył, że Peregil czerwienieje, jakby mu do głowy wleto litr krwi.

– A, ten... – asystent robił wrażenie bardzo zakłopotanego. Podniósł ręce w górę, jakby chciał obrysować bliżej nieokreślony kształt. – No cóż... Proszę mi wierzyć, mogę to panu wytłumaczyć – w świetle jarzeniówki wymuszony uśmiech przypominał ciemną dziurę na środku jego twarzy. – Historia jest dość złożona, ale wszystko da się wyjaśnić. Przysięgam.

Gavira wpadł w panikę. Jeśli jego asystent ma jakiś związek ze śmiercią Honorato Bonafé, to kłopoty dopiero się zaczną. Przeszedł kilka kroków po łazience, usiłując szybko zebrać myśli. Ale widok białych kafelków potęgował wrażenie zupełnej pustki. Znowś spojrzał na Peregila.

– Lepiej jak szybko znajdziesz wytłumaczenie. Księdza już szuka policja.

Przeciwnie niż się tego spodziewał, na Peregilu nie zrobiło to specjalnego wrażenia. Wydawało się, że nowy zwrot w rozmowie raczej przyniósł mu ulgę.

– Jacy szybcy! Ale niech się pan nie przejmuj.

Gavira nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Mam się nie przejmować?!

– Absolutnie – na twarzy zbira zarysował się nerwowy uśmiezek. – To będzie nas kosztowało tylko jakieś dodatkowe pięć, sześć milionów.

Gavira znów do niego podszedł. Wahał się między powaleniem go jednym ciosem i rozdeptaniem czaszki a dalszym przesłuchaniem. Nadludzkim wysiłkiem opanował się i zadał kolejne pytanie:

– Mówisz poważnie, Peregil?

– No tak. Może pan być spokojny.

– Słuchaj – bankier przejechał dłońmi po skroniach, starając się nie stracić panowania. – Kiwasz mnie.

– Nigdy bym się nie odważył, szefie – Peregil uśmiechał się szczerze. – Ani po pijanemu.

Gavira zrobił znów kilka kroków.

– Poczekaj... Chcesz mi powiedzieć, że porwałś księdza, który jest poszukiwany przez policję z powodu morderstwa, a ja mam się nie przejmować?

Peregilowi opadła szczęka.

– Jak to z powodu morderstwa?

– Jak słyszysz.

Zbir spojrział na zamknięte drzwi. Potem na drzwiczki do ubikacji. Potem znów na Gavirę.

– Zaraz, jakie morderstwo? Jaki, do cholery, trup?

– Trup zamordowany. I mówi się, że winny jest twój księżulo.

– Coś takiego – Peregil roześmiał się krótko, w zupełnej desperacji. – Niech pan ze mnie nie żartuje.

Gavira zbliżył się do niego tak bardzo, że musiał niemal usiąść na umywalce.

– Spójrz mi w twarz. Wyglądam, jakbym żartował?

Nie wyglądał, nie było cienia wątpliwości. Teraz Peregil był blady jak białe kafelki na ścianie.

– Morderstwo?

– Właśnie.

– Prawdziwe morderstwo?

– No tak, do cholery! I mówi się, że zrobił to ksiądz.

Peregil podniósł rękę, prosząc o chwilę czasu, żeby przyswoić wszystkie te wiadomości. Był w takim stanie, że długie kosmyki włosów zwisały mu znad ucha.

– Przed czy po tym, jak go przyskrzyniliśmy?

– A skąd mam to wiedzieć? Ale myślę, że przed.

Peregil z trudem głośno przełknął ślinę.

– Wyjašnjmy to sobie, szefie. Kto został zamordowany?

Pencho Gavira zostawił wymiotującego Peregila w ubikacji, pożegnał się z członkami rady, wsiadł do mercedesa zaparkowanego przed restauracją, powiedział kierowcy, żeby włączył klimatyzację, i poszedł się czegoś napić, a następnie, trzymając w dłoni telefon komórkowy, zastanowił się przez chwilę. Był pewny, że jego asystent mówi prawdę i – kiedy minęła panika – miał nowy ogląd sprawy. Trudno powiedzieć, czy był to zbieg przypadkowych okoliczności, czy też ludzie Peregila idealnie trafili i porwali proboszcza wkrótce po tym, jak ten wykończył dziennikarza. Faktem było, że policja ustaliła czas śmierci Bonafé na koniec popołudnia, a zniknięcie proboszcza zdarzyło się – według zeznań samej Macareny i księdza z Rzymu – dopiero po północy, przez co Príamo Ferro nie miał alibi. Tak czy inaczej, winny czy nie, cały układ się zmieniał. Proboszcz jest podejrzanym i szuka go policja, dalsze przetrzymywanie go jest ryzykowne. Gavira był pewny, że można go wypuścić, bez żadnego zagrożenia dla własnych planów. Nawet byłoby to korzystne, bo ksiądz będzie zajęty przesłuchaniami i pytaniami. Jeśli zostanie wypuszczony w nocy, to biorąc pod uwagę, że poszukuje go policja, jest bardziej niż prawdopodobne, że następnego dnia nie odbędzie się msza u Matki Boskiej Płaczącej. Śmiertelny cios nadejdzie więc z innej strony. Teraz sztuka polega na tym, żeby pozbyć się proboszcza i przywrócić go do życia publicznego bez afer i bez zbędnego hałasu. Czy ucieknie, czy odda się w ręce policji, Gavirze było wszystko jedno. Tak czy inaczej Príamo Ferro na jakiś czas wypadnie z gry, może dałoby się to załatwić jakimś anonimowym telefonem, zgłoszeniem czy czymś takim. Na pewno arcybiskup Sewilli nie będzie się spieszył z poszukiwaniem zastępstwa dla proboszcza. Natomiast dla don Octavio Machuki, pragmatycznego bankiera, dobre jest to, co się dobrze kończy.

Pozostawała do załatwienia sprawa Macareny, ale nowa sytuacja również w tym aspekcie jest korzystna. Doskonale zagranie będzie polegać na takim wypuszczeniu proboszcza, które będzie mogło uchodzić za przysługę, a Gavira oświadczy, że nie miał nic wspólnego z nadmiarem gorliwości Peregila. Coś w rodzaju: jak tylko mi powiedziałaś, zaraz interweniowałem i tak dalej. Ze sprawą Bonafé wiszącą nad nimi wszystkimi, a zwłaszcza nad podziwianym don Príamo, można liczyć na jej dyskrecję. Może nawet przyczyni się to do zbliżenia między nimi. Co do proboszcza, to niech Macarena i klecha z Rzymu zajmą się nim, z udziałem policji albo i bez niej. Gavira nie ma nic przeciwko staremu księdzu: jest mu wszystko jedno, czy odda się w ręce policji, czy wyemigruje. Przy odrobinie szczęścia jest tak samo skończony jak jego parafia.

Klimatyzacja przy delikatnym szmerze silnika utrzymywała wewnątrz mercedesa idealną temperaturę. Już spokojniejszy Gavira rozparł się na skórzanym czarnym siedzeniu, przyglądając się z satysfakcją swojemu odbiciu we wstecznym lusterku.

Może nie był to taki zły dzień. Na jego opalonej twarzy błysnął uśmiech Rekina z Arenalu, kiedy wykręcał numer telefonu do Domu z Okiennicami.

Macarena Bruner odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Quarta. Zastanawiała się spokojnie, oparta o stół zasłany czasopismami i książkami, w kącie pokoju na piętrze przerobionym na dość szczególną pracownię, wyłożoną kafelkami przedstawiającymi motywy roślinne i krzyże maltańskie, z ciemnymi belkami pod sufitem i wielkim kominkiem z czarnego marmuru. Była to pracownia Macareny i jej styl był widoczny w każdym miejscu: telewizor i magnetowid, niewielki zestaw audio, książki o sztuce i historii, stare mosiężne popielniczki, wygodne fotele obite ciemną tkaniną, haftowane poduszki. W wielkiej szafie leżały obok siebie stare ręcznie zapisane zwoje, woluminy oprawne w poźółkły pergamin, kasety wideo, a na ścianie wisiały dwa dobre obrazy – święty Piotr pędzła Alonso Vazqueza, a drugi, nieznanego autora, przedstawiający scenę z bitwy pod Lepanto. Obok okna figura posępnego archanioła, wznoszącego do nieba swój miecz, stała pod szklanym kloszem, chroniącym ją od kurzu.

– Gotowe – powiedziała Macarena.

Quart wstał – spięty, gotów do działania. Ona jednak siedziała nieruchomo, jakby jeszcze nie powiedziała wszystkiego.

– Mówi, że zaszła pomyłka i przeprasza. Zapewnia, że nie ma z tym nic wspólnego, a ludzie, którzy pośrednio dla niego pracują, przekroczyli swoje kompetencje bez jego wiedzy.

Quartowi było to obojętne. Jeszcze nadejdzie czas, żeby ustalić, kto jest za co odpowiedzialny. Najważniejsze było dotarcie do proboszcza przed policją. Winny czy nie, jest duchownym; Kościół nie może ograniczać się do zwykłej obserwacji.

– Gdzie go trzymają?

Macarena rzuciła mu pełne wątpliwości spojrzenie, ale trwało to zaledwie chwilę.

– Jest zdrow i cały, na łodzi zacumowanej przy starym nabrzeżu niedaleko Arenalu... Pencho zadzwoni, kiedy już wszystko załatwi – zrobiła kilka kroków po pokoju, wzięła papierosa ze stolika i wyjęła zapalniczkę zza dekoltu. – Oddaje go mnie, a nie policji, w zamian za pokój. Choć wspomnienie policji jest, oczywiście, puszczaniem zasłon dymnych.

Quart z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Przynajmniej ta część sprawy została załatwiona.

– Powiesz o tym matce?

– Nie. Lepiej, żeby na razie nic nie wiedziała, aż wszystko się ułoży. Taka wiadomość mogłaby ją zabić.

Na twarzy pojawił się grymas beznadziejnego smutku. W ręce trzymała zapalniczkę i nie zapalonego papierosa, jakby o nim zapomniała.

– Gdybyś słyszał Pencho – dodała. – Pełen uwagi, czarujący, do mojej dyspozycji... Wie, że dzieli go tylko krok od zwycięstwa w tej walce, i odstepuje nam niebывalą możliwość. Don Príamo nie będzie mógł uciec, kiedy tamci go wypuszczą.

Powiedziała to chłodno, pochłonięta swoją jedyną troską – losem proboszcza. Quart słuchał jej z przykrością, choć wcale nie spowodowaną jej słowami. Za każdym razem, kiedy jakiś gest Macareny budził niedawne wspomnienia, Quarta przepełniał ogromny, rozpaczliwy smutek. Po tym, jak zbliżyła się do niego i wprowadziła go na teren, gdzie granice się zacierają i wszystko, poza dzieleniem samotności i czułości, traciło sens, teraz znów oddalała się. Było zbyt wcześnie, by ocenić, ile tracił i ile zyskiwał ksiądz Lorenzo Quart na chłodzie ciała tej kobiety, ale zdradzona postać templariusza prześladowała go jak wyrzut sumienia. Wszystko było starą i znaną pułapką, spokojną rzeką płynącego czasu, który nie szanuje niczego i który wcześniej czy później określa ludzki los. I porywa sztandary dobrych żołnierzy. Co do Quarta, to Sewilla zabrała mu zbyt wiele w zbyt krótkim czasie, nie zostawiając mu w zamian niczego poza bolesną świadomością samego siebie. Marzył o usłyszeniu dźwięku bębna, który przywróciłby mu spokój.

Kiedy wrócił do rzeczywistości, ciemne, samolubne oczy Macareny wpatrywały się w niego. Ale to nie Quart był przedmiotem jej zainteresowania. Nie widział kropli miodu ani księżycowego światła odbijającego się od liści bugenwilli i drzewek pomarańczowych. Nic z tego nie dotyczyło jego; i przez chwilę agent ISZ-u zastanawiał się, co u diabła jeszcze tu robi, odbity w tych obcych oczach.

– Nie rozumiem, dlaczego ksiądz Ferro miałby uciekać – powiedział, starając się całym wysiłkiem woli powrócić do słów i do dyscypliny z nimi związanej. – Jeśli powodem jego zniknięcia było porwanie, to osłabia podejrzenia wobec niego.

Argument ten wcale jej nie uspokoił.

– To niczego nie zmienia. Powiedzą, że zamknął kościół ze zwłokami w środku.

– Tak. Ale jak powiedziała twoja przyjaciółka Gris, pewnie można będzie wykazać, że ich nie zauważył. Dobrze byłoby, żeby się wszystko wyjaśniło. Dobrze dla ciebie i dla mnie. I dobrze dla niego.

Potrząsnęła głową.

– Muszę porozmawiać z don Príamo, zanim to zrobi policja.

Podeszła do okna. Patrzyła na wewnętrzne patio, oparta o framugę.

– Ja też – powiedział Quart, podchodząc do niej. – I będzie lepiej, żeby sam się zgłosił na policję, w towarzystwie moim i adwokata, którego sprowadziłem z Madrytu – spojrzął na zegarek. – Teraz pewnie jest razem z Gris na policji.

– Ona nigdy nie oskarżyłaby o nic don Príamo.

– Oczywiście, że nie.

Odwróciła się do Quarta. W jej oczach wyraźny był lęk.

– Aresztują go, prawda?

Miał ochotę podnieść do góry palce i dotknąć jej ust, ale jej spojrzenie nie było przeznaczone dla niego. To absurd, żeby czuć zazdrość o małego, brudnego księdza, ale właśnie ją czuł. Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Nie wiem – po chwili wątpliwości umknął wzrokiem na patio. W fotelu na biegunach obok fontanny wyłożonej kafelkami, wachlując się, obojętna na wszystko, Cruz Bruner spokojnie czytała. – Z tego, co widziałem w kościele, obawiam się, że tak.

– Myślisz, że on to zrobił, prawda? – Macarena też spojrzała na swoją matkę. W jej spojrzeniu był bezgraniczny smutek. – Choć zniknął wcale nie z własnej woli, ty dalej wierzysz, że on to zrobił.

– Ja w nic nie wierzę – zasłonił się Quart, zły. – Wiara nie należy do mojej pracy.

Na myśl przyszła mu biblijna przypowieść o Uzzie: *Gdy przybyli na klepisko Nakona, wyciągnął rękę w stronę Arki Bożej. I zapłonął gniew Pana przeciwko Uzzie, i poraził go tam Bóg za ten postępek, tak że umarł przy Arce Bożej.* Macarena pochyliła twarz. Rozgniotła papierosa w palcach, nie zapalając go, a tytoniowe okruchy spadły pod jej stopy.

– Don Priamo nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

Quart potrząsnął głową, ale się nie odezwał. Myślał o martwym Honorato Bonafé leżącym w konfesjonale, dotkniętym gromem nieubłaganego gniewu Wszechmogącego. I doskonale wyobrażał sobie właśnie księdza Ferro w takiej roli.

Była za kwadrans jedenasta. Oparty o latarnię pod mostem Triany, Celestino Peregil usłyszał bicie zegara, ale nie oderwał wzroku od światel odbitych w czarnej wodzie rzeki. Reflektory samochodów przejeżdżających górą omiatały żelazną balustradę, ponad nitowanymi łukami i kamiennymi filarami, a wyżej – ponad kamiennym parapetem – ogródki i kawiarniane tarasy wzdłuż Paseo Colón, naprzeciwko Maestranzy. W dole, na nabrzeżu panował zupełny spokój.

Ruszył przed siebie chodnikiem pod mostem, w kierunku starego nabrzeża naprzeciwko Arenalu. Bryza znad odległego morza zaczynała delikatnie marszczyć ciemną powierzchnię Gwadalkiwiru, a chłód nocy dodał otuchy zbirowi. Po emocjach ostatnich godzin wszystko wracało do normalności. Nawet wrzód jakby był gotowy dać spokój. Spotkanie było umówione na jedenastą obok łodzi, na której czekał don Ibrahim ze współpracownikami, i sam Gavira dał Peregilowi całą serię instrukcji i poleceń, żeby uniknąć wpadki: podejść do pani i wysokiego księdza, a Peregil ograniczy się do bezproblemowego przekazania zakładnika. Proboszcz zostanie sprowadzony z pokładu „Canela Fina” i przekazany tej parze na terenie jednego ze starych

magazynów portowych, do którego klucz Peregil trzymał w kieszeni. Co do pieniędzy dla trójki łotrzyków, to sporo zachodu kosztowało go przekonanie szefa, ale dużym ułatwieniem okazała się okoliczność, że sprawa była pilna, i chęć bankiera, by jak najprędzej pozbyć się proboszcza. Z serdecznym uśmiechem goryl dotknął swojego brzucha; cztery i pół miliona w banknotach po dziesięć tysięcy peset miał ukryte pod koszulą za gumką od slipów; a w domu miał jeszcze pięćset tysięcy, które udało mu się wydrzeć szefowi w ostatniej chwili, pod pretekstem koniecznych wydatków, żeby doprowadzić sprawę do pomyślnego końca. Tyle forsy wokół pasa powodowało, że musiał trzymać się prosto, jakby miał na sobie gorset.

Zaczął optymistycznie pogwizdywać. Poza kilkoma zakochanymi parkami i samotnym wędkarzem, chodnik na nabrzeżu był pusty. Żaby rechotały w szuwarach i Peregil słuchał ich z przyjemnością. Księżyc wylał się spoza Triany, i świat był wspaniały. Była za pięć jedenasta. Przyspieszył kroku. Chciał już mieć całą sprawę z głowy, żeby móc pójść prosto do kasyna i sprawdzić, ile można wyciągnąć z połowy miliona. Zachowując dwadzieścia pięć tysięcy na hołd, jaki chciał złożyć Czarnej Loli.

– Popatrz, to Peregil. A to niespodzianka.

Stanął jak wryty. Dwie postaci siedzące na jednej z ławek podniosły się na jego widok. Jedna była chuda, wysoka, groźna: Cygan Mairena. Druga drobna, elegancka, poruszająca się precyzyjnie jak tancerz: Kurczak Szczena. Chmura przesłoniła księżyc, a może nagle zamglił się wzrok Peregila. Przed oczami tańczyły mu czarne kropki, a wrzód naraz obudził się z dzikim bólem. Zmiękły mu kolana. Zemdleję, pomyślał. Zaraz padnę jak długi.

– Zgadnij, jaki dziś mamy dzień.

– Środę – głos, który się z niego wydobywał, był słaby, ledwo słyszalny, z lekkim odcieniem protestu. – Został mi jeszcze jeden dzień.

Dwa cienie zbliżyły się. W tle każdego z nich, u jednego wyżej, u drugiego – niżej, błyszczał żar papierosa.

– Źle liczysz – powiedział Cygan Mairena. – Została ci jeszcze godzina, bo czwartek zaczyna się równo o dwunastej dzisiaj w nocy – zapalił zapalną, której płomień oświetlił dłoń z obciętym palcem i tarczę zegarka. – Godzina i pięć minut.

– Zapłacę – powiedział Peregil. – Przysięgam.

Zadzwieczał miły śmiech Kurczaka Szczena.

– No jasne. Dlatego usiądziemy sobie w trójkę na tej ławce. I wspólnie zaczekamy do czwartku.

Oślepiły z przerażenia, Peregil rozejrzał się wokół. Woda rzeki nie dawała żadnego schronienia, takie same szanse na ocalenie niosła rozpaczliwa ucieczka po pustym nabrzeżu. Gdyby próbował negocjować – pieniądze, które miał na sobie, mogłyby czasowo rozwiązać sprawę, przy dwóch zastrzeżeniach: nie pokrywały w pełni długu

ani nie wyobrażał sobie, jak wytłumaczy ich utratę przed Pencho Gavirą, wobec którego jego dług wynosił już jedenaście milionów, jak jedenaście salw armatnich. Nie warto nawet wspominać o porwaniu księdza, wiszącym nad nim jak topór, umówionym spotkaniu z panią i z wysokim księdzem i dających się przewidzieć min don Ibrahima, Żrebaka Fernando i Dzidzi Dolores, jeśli zostawi ich z ręką w nocniku. Do tego trzeba dodać nieboszczyka w kościele, policję i resztę nieszczęść, jakie muszą nadejść. Znów spojrzał na ciemny nurt rzeki. Najkorzystniej byłoby skoczyć do wody i utopić się.

Westchnął głęboko, bardzo głęboko, i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Spojrzał następnie na wysoki cień, a potem na niższy, pogodzony z tym, co nieuniknione. Kto by się bał, pomyślał. Przecież są szpitale.

– Macie ogień?

Cygan Mairena jeszcze dobrze nie zapalił zapalki, jak Peregil pędził pełnym gazem wzdłuż nabrzeża, z powrotem w kierunku mostu Triany, jakby na nim czekało go życie. I dokładnie tak właśnie było.

Przez chwilę myślał, że już jest bezpieczny. Przyśpieszył, oddychając miarowo, raz, dwa, raz, dwa, krew biła gwałtownie w skroniach i w sercu, płuca paliły, jakby ktoś mu je wrywał z piersi, równocześnie próbując je przenieć. Biegł na oślep w ciemności, słysząc za sobą kroki prześladowców, złorzeczenia Cygana Maireny, sapanie Kurczaka Szczeny. Parę razy miał wrażenie, że dosięgają jego pleców czy nóg, i jak szalony przyśpieszał cwał, zwiększając dystans dzielący go od prześladowców. Światła samochodów na moście zbliżały się z dużą szybkością. Schody, przemknęło mu przez myśl, mimo zaćmienia wysiłkiem. Gdzieś na lewo powinny być schody, a na górze są ulice, światła, samochody, ludzie. Skręcił na prawo, zbliżając się ukośnie do muru, coś uderzyło go w plecy, znów przyśpieszył, pozwalając sobie na okrzyk przerażenia. Tam są schody, bardziej odgadł, niż je zobaczył w ciemności. Jeszcze jeden wysiłek, choć coraz trudniej było mu koordynować ruchy: plątały mu się nogi, tracił grunt, ciało przechylało się do przodu, w pustkę. Jego płuca były bolesną raną i nie mógł złapać tchu. W tym stanie dotarł do schodów i przemknęło mu przez myśl, że być może mu się uda. Wtedy zabrakło mu sił i upadł na kolana, skurczył się jak trafiony kulą.

Był wykończony. Pod koszulą banknoty lepiły się do spoconego ciała. Przewrócił się na plecy i leżał na pierwszym stopniu, a wszystkie gwiazdy na niebie kręciły się wokół niego jak światełka na odpuście. Gdzie się podział cały tlen, pomyślał, jedną ręką powstrzymując uderzenia serca, żeby nie wyskoczyło mu przez otwarte usta. Obok niego, sapiąc, oparci o mur, Cygan Mairena i Kurczak Szczena starali się złapać oddech.

– A to sukinsyn! – usłyszał, jak Cygan mówił urywanym głosem. – Pędził jak strzała.

Kurczak Szczena przykucnął, oddychając jak dziurawy miech. Światło latarni na moście oświetlało sympatyczny uśmiezek.

– Byłeś fantastyczny, Peregil, naprawdę – powiedział to niemal z czułością, uderzając go lekko w twarz. – Zrobiłeś na nas duże wrażenie. Słowo daję.

Z trudnością wyprostował się i ciągle uśmiechnięty poklepał go przyjaźnie po policzku. Następnie skoczył na jego prawe ramię, łamiąc je z trzaskiem. I w ten sposób złamał mu pierwszą z wielu kości połamanych tej nocy.

Macarena Bruner spojrzała na zegarek nie wiadomo który raz. Była jedenasta czterdzieści.

– Coś źle poszło – wyszeptała.

Quart był tego pewny, ale nic nie powiedział. Czekali w ciemności, stojąc przy opuszczonej zaporze przed wejściem na przystań dla miłośników narciarstwa wodnego. Nad ich głowami, za palmami i bugenwillami, za pustymi ogródkami kawiarni przy Arenalu, widoczna była kopuła teatru Maestranza i jeden z rogów Banku Kartuskiego. Jakies trzysta metrów w dół rzeki Złota Wieża trzymała straż przy moście San Telmo. I dokładnie w połowie drogi, zacumowany przy nabrzeżu, stał „Canela Fina”.

– Coś się nie udało – powtórzyła Macarena.

Miała na sobie sweter z rękawami podciągniętymi nad łokieć. Była spięta, niespokojna, wpatrywała się w nabrzeże, gdzie miał się pojawić człowiek Pencho Gaviry. Łódź, na której według słów jej męża jest ksiądz Ferro, wyglądała na opuszczoną, była ciemna i spokojna, bez śladów życia. Przez dobrą chwilę – a czasu mieli dosyć – Quart zastanawiał się, czy bankier nie wykręcił im jakiegoś numeru; ale po namyśle odrzucił taką możliwość. Przy tym jak sprawy teraz wyglądały, Gavira nie mógł sobie na to pozwolić.

Pod powiewem wiatru zatrzeszczały deski przystani. Woda słabo zachlupotała o filary nabrzeża. Z jakiegoś powodu plan się zmienił i wyglądało na to, że sprawy mogą się potoczyć w sposób mniej pomyślny, niż to było przewidziane. Instynkt mówił Quartowi, że ta cisza wróży nowe kłopoty. Zakładając, że proboszcz jest na łodzi – czego jedynym dowodem było słowo Gaviry – jego odzyskanie skomplikuje się bardzo, jeśli nie pojawi się zapowiedziany pośrednik. Quart spojrział na ciemny i uważny profil Macareny, następnie pomyślał o podkomisarzu Navajo. Może posunęli się zbyt daleko.

– Chyba trzeba – powiedział łagodnym tonem – zawiadomić policję.

- Nawet o tym nie myśl – jej uwaga nadal skupiała się na pustym nabrzeżu i łodzi.
- Najpierw musimy porozmawiać z don Priamo.

Quart spojrział w obie strony, wzdłuż akacji obrzeżających rzekę.

– Ale nikt tu nie idzie.

– Jeszcze przyjdzie. Pencho wie, jaka jest stawka w tej grze.

Na spotkanie nikt jednak nie przyszedł. Minęła dwunasta i napięcie stawało się nieznośne. Macarena nerwowo przechadzała się wzdłuż zapory przed przystanią. Na dodatek zapomniała zabrać papierosy. Quart obserwował sylwetkę „Canela Fina”, podczas gdy Macarena poszła do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do męża. Wróciła zaszępiła. Bankier zapewniał, że Peregil zobowiązał się przyjść na spotkanie punktualnie o jedenastej, z pieniędzmi na okup. Nie rozumie, co mogło się zdarzyć, ale obiecał przyjść do nich za kwadrans.

Pojawił się już po chwili na tle akacji i podszedł do nich, stojących przy wejściu na przystań. Miał na sobie koszulkę polo i marynarkę, lekkie spodnie i sportowe buty. W półmroku wydawał się jeszcze bardziej opalony niż zazwyczaj.

– Nie rozumiem, co się stało z Peregilem – powiedział zamiast pozdrowienia.

Nie było przeprosin ani zbędnych komentarzy. W krótkich słowach nakreślili całą sytuację. Bankiera zmartwiła nieobecność asystenta i był gotów na wszystko, pod warunkiem, że policja nie będzie zawiadomiona. Inaczej jest, kiedy policja rozmawia z proboszczem na wolności, a zupełnie inaczej, kiedy gliny będą go odbijać po porwaniu, które łatwo można by przypisać Gavirze. W trakcie rozmowy Quart podziwiał jego zimną krew: nie nadużywał gestów, nie deklarował niewinności, nie starał się nikogo do niczego przekonać. Miał papierosy, zapalili więc razem z Macareną, osłaniając żar wgłębieniem dłoni. Bankier raczej słuchał, niż mówił, z pochyloną głową, opanowany. Jediną rzeczą, na jakiej mu zależało, było takie załatwienie sprawy, żeby nikt na tym nie ucierpiał. Wreszcie spojrział prosto w twarz Quartowi.

– A ksiądz co o tym sądzi?

Tym razem nie było w jego głosie nieufności ani cwaniactwa. Był spokojny i rzeczowy: to zwykła techniczna konsultacja przed przystąpieniem do czynu. We włosach zaczesanych brylantyną odbijały się światła znad rzeki.

Quart zawahał się przez moment. On też nie był uszczęśliwiony myślą, że proboszcz miałby przejść z rąk porywaczy prosto w ręce podkomisarza Navajo, bez możliwości podzielenia się z nimi swoimi wrażeniami. Spojrzął na kadłub „Canela Fina”.

– Trzeba tam wejść – powiedział.

– No to chodźmy – odrzekła Macareną stanowczym tonem.

– Chwileczkę – zaprotestował Quart. – Najpierw trzeba wiedzieć, co tam zastaniemy.

I Gavira im powiedział. Według relacji Peregila, banda składa się z trzech członków. Szefem jest duży grubas, około pięćdziesiątki. Pozostałe osoby to kobieta i były bokser. Ten ostatni może okazać się niebezpieczny.

– Zna pan ten statek od środka? – zapytał go Quart.

Gavira powiedział, że nie, ale należy on do popularnego typu statków turystycznych: na pokładzie kilka rzędów ławek, mostek na dziobie, a wewnątrz jakieś pół tuzina kajut, maszynownia i kabina oficerska. Statek od długiego czasu nie był już używany, właściwie jest opuszczony. Któregoś dnia zwrócił na niego uwagę, pijąc piwo przy jednym z kawiarnianych stolików przy Arenalu.

W miarę układania planu duchy prześladowające Quarta w ostatnich godzinach zaczęły się oddalać. Noc, ciemny statek, groźba konfrontacji, napełniały go dziecinny, niemal rozkosznym oczekiwaniem. To powrót do gry, powtórzenie starych, znajomych gestów, odzyskanie samokontroli. Przebieganie kolejnych pół planszy chińczyka, którą jest życie. Znow rozpoznał swój teren, niepewny pejzaż świata, w jakim zazwyczaj się poruszał; w ten sposób znow stawał się tym, kim był dawniej. Nawet obecność Macareny zaczynała wracać do spokojnego porządku rzeczy i niepewny templariusz odzyskiwał równowagę dobrego żołnierza. Odkrył nawet w Pencho Gavirze – i to było najdziwniejsze w całej sytuacji – wojennego druha, przyniesionego przez morską bryzę i wody rzeki, która powoli i łagodnie przepływała u stóp, zmywając antypatię, jaką czuł do niego wcześniej i jakiej z pewnością znow doświadczy jutro. Ale przynajmniej na tę jedną noc wszyscy martwi przyjaciele templariusza ożyli. I sprawiło mu przyjemność, że ten nieoczekiwany sprzymierzeniec przyszedł sam pieszo, bez ochroniarzy, drogą pod ciemnymi akacjami na nabrzeżu, zamiast okopać się w swoim strachu i chronić tego wszystkiego, co miał do stracenia. Teraz zaś był gotowy dostać się na pokład „Canela Fina” bez zbędnych słów.

– Chodźmy wreszcie – zniecierpliwiła się Macarena. W tej chwili obaj mężczyźni byli jej obojętni. Całą uwagę skupiła na statku zacumowanym u nabrzeża.

Gavira przyglądał się Quartowi. Zęby zabłysły mu na ocienionej twarzy.

– Ksiądz pierwszy, proszę.

Podeszli bliżej, starając się nie robić najmniejszego hałasu. Statek przycumowany był do pachołków nabrzeża dwiema grubymi linami, jedną od dziobu, drugą od rufy. Weszli cicho po trapie na pokład, gdzie leżały zwoje lin, zniszczone kamizelki ratunkowe, stare stoły i krzesła. Quart schował portfel do kieszeni spodni, zdjął i złożył marynarkę, którą położył na jednej z ławek. Gavira naśladował jego ruchy bez słowa.

Przebiegli przez górny pokład. Przez chwilę wydawało im się, że słyszą pod stopami jakiś szmer i nabrzeże zostało oświetlone słabym światłem, jakby ktoś spoglądał ze środka przez któreś z drzwiczek. Quart wstrzymał oddech, starając się stąpać w ciszy, tak jak uczyli go instruktorzy ze służb specjalnych włoskiej policji: najpierw pięta, następnie brzeg stopy i dopiero potem cała podeszwa. W uszach huczało mu z napięcia, musiał się uspokoić, żeby usłyszeć dźwięki wokół. W ten sposób dotarł do mostku, gdzie ster i reszta sprzętu przykryta była szmacianymi pokrowcami, a następnie oparł się o żelazną grodz, uważnie nasłuchując. Czuć było woń zaniedbania i brudu. Zobaczył, jak Macarena i za nią Gavira idą dokładnie jego śladem i w napięciu zatrzymują się obok, ich sylwetki odcinały się w odległym świetle latarń przy Arenal. Bankier był spokojny, pytająco spojrział na Quarta. Macarena zmarszczyła brwi i spoglądała to na jednego, to na drugiego, czekając na znak; była tak pewna siebie, jakby całe życie spędziła, włamując się na łodzie o północy. Za jednymi z drewnianych drzwiczek słychać było cichy dźwięk radia. Cienka linia światła była widoczna pod ich stopami, na progu.

– Gdyby były jakieś komplikacje, my się rzucamy na mężczyzn – szepnął Quart, wskazując na własną pierś, potem na Gavirę, a na końcu na Macarenę. – A ona zajmie się księdzem Ferro.

– A kobieta? – zapytał Gavira.

– Nie wiem. Jeśli się wmiesza, zobaczmy w biegu.

Bankier zasugerował, że można by spróbować załatwić sprawę po dobroci, a on mógłby wystąpić w imieniu Peregila. Krótko i spokojnie przedyskutowali sprawę. Problem polegał na tym, że porywacze czekali na okup, a Gavira miał przy sobie jedynie karty kredytowe. Quart zastanawiał się szybko, a towarzysze przygody wpatrywali się w niego wyczekująco: jemu pozostawiali ostateczną decyzję, sprawa dotyczyła dwóch duchownych, a każde rozwiązanie zakładało poważne ryzyko. Żałując raz jeszcze, że nie zwrócił się o pomoc do policji, Quart starał się sobie przypomnieć, w jaki sposób należy podchodzić do tego typu spraw. Jeśli pokojowo – trzeba używać słów, zachować spokój i – dużo słów. A jeśli nie – konieczna jest szybkość, zaskoczenie, brutalność. W obu przypadkach nie można dać przeciwnikowi czasu do namysłu. Ogłuszyć go lawiną wrażeń, która blokuje zdolność reakcji. A w najgorszym przypadku niech Opatrzność – czy kto tam ma wartę dziś w nocy – nie pozwoli użalać się nad sobą.

– Wchodzimy.

To wszystko jest groteskowe, pomyślał. Potem wziął z deski rozdzielczej stalowy, groźnie wyglądający pręt długości trzech piędzi. Kto żelazem walczy, powiedział sobie w myśli. Oby tylko nikt nikogo nie zabił. Zaczerpnął powietrza w płuca, głęboko

oddychając kilka razy i ruszył, żeby otworzyć drzwiczki. W połowie drogi zadał sobie pytanie, czy powinien przedtem uczynić znak krzyża.

Filizanka kawy upadła don Ibrahimowi na spodnie. Wysoki ksiądz pojawił się w drzwiach na mostku, w samej koszuli, z koloratką i metalowym prętem w prawej dłoni. Podnosząc się z trudem, przeciskając brzuch obok krawędzi stolika, dostrzegł z tyłu opalonego, przystojnego mężczyznę, w którym rozpoznał bankiera Gavirę. Następnie pojawiła się młoda księżna.

– Proszę się uspokoić – powiedział wysoki ksiądz. – Przyszliśmy porozmawiać.

Żrebak Fernando wstał z pryczy, był w podkoszulku, tatuaż z Legii widniał na polakierowanym potem ramieniu, bosa stopy opierał na podłodze. Spojrzał na don Ibrahima, jakby pytając, czy wizyta ta jest na pewno zgodna z programem.

– Przysłał nas Peregil – oświadczył bankier. – Wszystko jest w porządku.

Gdyby wszystko było w porządku, pomyślał don Ibrahim, nie byłoby ich tutaj, Peregil położyłby cztery i pół miliona na stole, a wysoki ksiądz nie miałby w ręce stalowego pręta. Coś się gdzieś pokomplikowało, spojrzał ponad ramieniem nowo przybyłych, jakby spodziewał się w każdej chwili ujrzeć zjawę.

– Musimy porozmawiać – powtórzył wysoki ksiądz.

Don Ibrahim pomyślał, że naprawdę to powinni byli uciekać ile sił w nogach on, Dzidzia i Żrebak. Ale Dzidzia była w kajucie ze starym księdzem, a ucieczka nie jest wcale taka prosta, między innymi dlatego, że trójka przybyszów stoi właśnie w wyjściu. Szlag by to trafił, pomyślał. Szlag by trafił ich pecha, wszystkich Peregilów i wszystkich księży świata. Sprawa dotycząca sutanny musi źle się skończyć. To jasne jak słońce, a on po prostu jest durniem.

– To jakaś pomyłka – powiedział, żeby zyskać na czasie.

Co do księży, to ten wysoki zachował kamienną twarz, z dłonią zaciśniętą na żelaznym pręcie, który tak pasował do koloratki jak Chrystusowi dwa pistolety. Don Ibrahim opierał się o stół, oszołomiony, podczas gdy Żrebak wpatrywał się w niego, jak pies w oczy swojego pana, czekając na polecenie, czy rzucić się na przeciwnika, czy polizać mu rękę. Gdyby przynajmniej mógł ocalić Dzidzię, pomyślał. Żeby nie była zamieszana w całą sprawę, kiedy się wszystko zawali.

Właśnie o tym myślał, kiedy wydarzenia rozstrzygnęły za niego. Młoda księżna wcale nie wydawała się skrępowana, wręcz przeciwnie. Rozglądała się wokół, rzucając wzrokiem błyskawice.

– Gdzie go trzymacie? – zapytała.

Potem, nie czekając na odpowiedź, zrobiła dwa kroki w kierunku zamkniętych drzwi do kajuty. Dziewczyna jest rozgrzana, pomyślał don Ibrahim. Raczej odruchowo niż umyślnie Żrebak wstał i zagroził jej drogę. Patrzył, niezdecydowany, na swojego

przyjaciela, ale Amerykanin nie był w stanie zareagować. Wtedy bankier Gavira przyszedł kobiecie z pomocą, a Żrebak, widząc przed sobą dorosłego mężczyznę, zyskał jasność sytuacji i pamiętając, że kto rano wstaje i tak dalej, wymierzył celny prawy sierpowy, który rzucił przeciwnika wprost na grodz. I tak sprawy się skomplikowały. Jak gdyby zabrzmiał gong w jakimś odległym zakątku jego zmaltretowanej pamięci, Żrebak uniósł pięści i zaczął podskakiwać po całej kabinie, przygotowany na każdy cios, gotów bronić tytułu w wadze koguciej. Do tego bankier Gavira wylądował na kredensie pełnym metalowych kubków, które spadły z hałasem, młoda księżna zrobiła unik przed kolejnym prawym sierpowym Żrebaka i poszła zdecydowana w kierunku drzwi do kajuty, w której zamknięty był proboszcz, a don Ibrahim zaczął krzyczeć, żeby się uspokoił, choć nikt nie zwracał na niego uwagi.

Od tej chwili wszystko zaczęło przypominać koniec świata. Bo Dzidzia Dolores usłyszała hałas i wyszła zobaczyć, co się dzieje, i wpadła wprost na młodą księżnę; tymczasem bankier Gavira, niewątpliwie żeby sobie powetować prawy sierpowy Żrebaka, zbliżał się do don Ibrahima z najgorszymi zamiarami. Wysoki ksiądz spojrział, niezdecydowany, na żelazny pręt, jaki trzymał w dłoni, i rzucił go na ziemię, cofając się kilka kroków, żeby uniknąć ciosów, którymi Żrebak obdarzał wszystko, co się rusza, łącznie z własnym cieniem.

– Spokój! – zaklinał don Ibrahim. – Spokój!

Dzidzia Dolores dostała ataku hysterii, odepchnęła młodą księżnę i rzuciła się na bankiera Gavirę z paznokciami, gotowa wydłubać mu oczy. Gavira, obdarzony w niewielkim stopniu poczuciem rycerskości, zatrzymał ją w miejscu ciosem w twarz, który zawrócił ją z powrotem do kajuty wśród trzepotu falbanek i lotu grochów, dokładnie pod nogi krzesła, na którym ze związanymi rękami i zasłoniętymi oczami stary ksiądz starał się odwrócić głowę i zobaczyć, co się dzieje. Natomiast co do don Ibrahima, to policzek wymierzony Dzidzi całkowicie zmroził jego pokojowe zapędy i przesłonił mu wzrok czerwoną szmatą. W ten sposób, przyjmując, że musi się zdarzyć to, co nieuniknione, gruby były mecenas przewrócił stół, pochylił głowę tak, jak go uczyli Kid Tunero i pan Ernest Hemingway w barze La Floridita w Hawanie, przypomniał sobie stare okrzyki wojenne, wrzasnął *Viva Zapata!*, bo to pierwsze wpadło mu do głowy, i rzucił swoje sto dziesięć kilo wagi przeciwko bankierowi, ciskając go na drugi koniec kabiny dokładnie w chwili, kiedy Żrebak trafił kolejnym prawym sierpowym w twarz wysokiego księdza, który złapał się lampy, żeby nie paść na ziemię. Zaiskrzyły wyrywane kable i statek pogrążył się w ciemnościach.

– Dzidzia, Żrebak! – krzyknął don Ibrahim, zadyszany od wysiłku, strzepując z siebie bankiera Gavirę.

Coś złamało się z trzaskiem. Z każdej strony dobiegały krzyki i odgłosy ciosów w ciemności. Ktoś, niewątpliwie wysoki ksiądz, spadł na byłego adwokata i zanim ten się

podniósł, dostał łokciem w głowę tak mocno, że zobaczył gwiazdy. Niech szlag trafi klechów, drugi policzek, cały ich ród. Poczł, że krople krwi spływają mu z nosa, don Ibrahim odczłgał się na czworaka, ciągnąc brzuch po ziemi. Było okropnie gorąco, a tłuszcz na ciele nie pozwalał mu swobodnie oddychać. W świetle padającym od drzwi odcinała się przez chwilę sylwetka Źrebaka, który po swojemu nadal młócił na lewo i prawo. Słuchać było odgłosy kolejnych ciosów i krzyki różnego pochodzenia i znów coś połamało się na drzazgi. But na wysokim obcasie przydeptał rękę don Ibrahima, a potem jakieś ciało upadło na niego. Natychmiast rozpoznał falbaniastą spódnice i zapach Wschodnich Drzew.

– Drzwi! Dzijdzi, biegnij do drzwi!

Podniósł się z trudem, pociągając za rękę, którą dotykł znalazł w ciemności, wymierzył cios chybyony i to bardzo komuś, kto stanął mu na drodze, i z energią zrodzoną z rozpaczcy pociągnął Dzijdzię w kierunku mostku i pokładu. Podniósł się tracąc oddech i zobaczył, że Źrebak już jest na zewnątrz, skacze wokół steru, okładając futerał, jakby był workiem treningowym. Wyczerpany, z osłabionym sercem, przekonany, że jest o krok od zawału, don Ibrahim chwycił Źrebaka za ramię, nie puszczając dłoni Dzijdzi, poprowadził ich szybko do trapu i zeszli na ład. A tam, ciągle popychając, udało mu się pociągnąć ich przez nabrzeże. Trzymana za rękę, oszłomiona Dzijdzia Dolores szłochala. Obok niej, z pochyloną głową i oddychając przez nos, Źrebak Fernando nadal rozdawał ciosy cieniem.

Wyprowadzili księdza Ferro na górny pokład i usiedli z nim, potłuczeni i obolali, ciesząc się chłodem nocnego powietrza po walce. Znaleźli latarnię i w jej świetle Quart dostrzegł spuchnięty policzek Pencho Gaviry, powoli przesłaniający mu prawe oko, brudną twarz Macareny, z drobnymi zadrapaniami na czole, i zmizerniałą sylwetkę starego proboszcza – źle zapiętą sutannę i dwudniowy zarost, pokrywający twarz ostrymi białymi szczecinami pomiędzy dawnymi bliznami. Quart nie był w lepszym stanie: cios, który zarobił od faceta o wyglądzie boksera, zanim jeszcze zgasło światło, przestawił mu szczękę, a w skroniach słyszał niepokojące dzwonienie. Czubkiem języka przejechał po zębie, myśląc, że się rusza. Rany Boskie!

Była to dziwna sytuacja. Pokład „Canela Fina” zasłany był połamanymi ławkami. Światła z Arenalu błyszczaly ponad poręczą, poprzez akacje widać było Złotą Wieżę w dole rzeki. A Gavira, Macarena i on tworzyli półkole wokół księdza Ferro, od którego nie usłyszeli słowa skargi ani żadnego innego słowa. Nie uczynił też gestu wdzięczności. Wpatrywał się w czarną powierzchnię wody w rzece, jakby myślami był bardzo daleko.

Gavira przemówił pierwszy. Zarzucił marynarkę na ramiona, precyzyjny i spokojny. Nie unikając odpowiedzialności, mówił o Celestino Peregilu i o tym, że

opacznie rozumiał jego polecenia. Dlatego właśnie teraz jest tutaj i stara się naprawić wyrządzoną krzywdę. Jest gotów wynagrodzić wszystko proboszczowi, a nawet poćwiartować Peregila, kiedy tylko uda mu się go odnaleźć. Musi jednak zauważyć, że to wszystko nie zmienia jego stosunku do kościoła. Jednej sprawy, wyjaśnił, nie należy łączyć z drugą. Potem nastąpiła chwila milczenia, przejechał palcami po spuchniętym policzku i zapalił papierosa.

– To znaczy – dodał po namyśle – że w tej sprawie nadal trzymam się na uboczu.

I nie otworzył więcej ust. Potem mówiła Macarena, zdając bardzo szczegółowe sprawozdanie ze wszystkiego, co wydarzyło się podczas nieobecności proboszcza, a ten słuchał jej, nie okazując cienia emocji, nawet kiedy powiedziała o śmierci Honorato Bonafé i podejrzeniach policji. To prowadziło sprawę do Lorenzo Quarta. Teraz ksiądz Ferro zwrócił się ku niemu i na niego patrzył.

– Problem – powiedział Quart – polega na tym, że ksiądz nie ma alibi.

W świetle latarni oczy proboszcza wydawały się jeszcze ciemniejsze i nieprzeniknione.

– Dlaczego miałoby mi być potrzebne? – zapytał.

– No cóż – Quart pochylił się ku niemu z łokciami opartymi na kolanach. – Moment krytyczny przypada na godzinę śmierci Bonafé, to jest mniej więcej między wpół do ósmej a dziewiątą. Zależy, o której zamknął ksiądz kościół... Najlepiej byłoby, gdyby miał ksiądz jakichś świadków, którzy widzieli, jak ksiądz to robi.

Proboszcz jest wyjątkowo uparty, pomyślał czekając na odpowiedź. Siwe, krzywo ostrzyżone włosy, szeroki nos, twarz poorana, jakby wyrzeźbiona uderzeniami młota. Światło lampy podkreślało ten wygląd.

– Nie ma żadnych świadków – powiedział.

Robił wrażenie, jakby nie miało to dla niego znaczenia. Quart wymienił spojrzenie z Gavirą, który milczał, a potem westchnął zniechęcony.

– To nam komplikuje sytuację. Macarena i ja możemy poświadczyć, że przyszedł ksiądz do Domu z Okiennicami około jedenastej i że zachowanie księdza nie budziło żadnych podejrzeń. Gris Marsala ze swej strony zaświadczy, że do wpół do ósmej nie zdarzyło się nic szczególnego... Myślę, że pierwszą rzeczą, o jaką zapyta księdza policja, to jak ksiądz mógł nie zobaczyć Bonafé w konfesjonale. Ale ksiądz nie wchodził do kościoła, prawda? To najbardziej logiczna odpowiedź. I myślę, że adwokat, którego oddamy do dyspozycji księdza, poprosi, żeby ksiądz potwierdził ten fakt.

– Dlaczego miałbym to robić?

Quart spojrzał na niego zirytowany.

– Co mam księdzu powiedzieć? To jedyna wiarygodna wersja. Dużo trudniej będzie udowodnić, że jest ksiądz niewinny, jeśli opowie im ksiądz, że zamknął kościół, wiedząc, że w środku jest trup.

Don Priamo Ferro nadal siedział bez wyrazu, jakby cała sprawa nie dotyczyła jego. Wówczas Quart ostrym tonem przypomniał mu, że minęły już czasy, kiedy władze traktowały jak artykuł wiary słowo kapłana, a tym bardziej jeśli w konfesjonale w jego parafii pojawia się trup. Proboszcz nie zwracał uwagi na te słowa, ograniczając się do długiego i milczącego przypatrywania się Macarenie. Potem znów pogrążył się w kontemplacji rzeki.

– Proszę mi powiedzieć... Co jest najlepsze dla Rzymu?

Takiego pytania Quart najmniej mógł się spodziewać. Poprawił się na krześle, zniecierpliwiony.

– Proszę zapomnieć o Rzymie – powiedział zły. – Ksiądz nie jest znów taki ważny. Tak czy inaczej, będzie skandal. Proszę sobie wyobrazić: duchowny podejrzany o morderstwo, do tego we własnej parafii.

Jeśli nawet sobie wyobraził, to i tak nic nie powiedział. Podniósł rękę do twarzy i podrapał się w brodę. Nie wiadomo dlaczego, jakby wyczekiwał. Jakby się bawił.

– Dobrze – przytaknął w końcu. – Wygląda na to, że to, co się stało, wszystkim odpowiada. Pan pozbywa się kościoła – powiedział do Gaviry – a wy – do Quarta – uwalniacie się ode mnie.

Macarena wstała z okrzykiem protestu.

– Proszę tak nie mówić, don Priamo. Ludzie potrzebują tego kościoła, potrzebują księdza. Ja księdza potrzebuję, i księżna też – spojrzała na swojego męża wyzywająco.

– A jutro jest czwartek, proszę nie zapominać.

Twardy profil księdza Ferro złagodniał na chwilę.

– Nie zapominam – powiedział. Znów latarnia oświetlała skórę jakby rzeźbioną rylcem. – Ale pewne sprawy nie leżą w moich rękach... Księżo Quart, proszę mi powiedzieć, czy ksiądz wierzy w moją niewinność?

– Ja w nią wierzę – powiedziała Macarena i jej słowa zabrzmiały jak błaganie. Jednak oczy proboszcza nadal utkwione były w Quarta.

– Nie wiem – odpowiedział. – Naprawdę nie wiem. Ale to czy wierzę, czy nie, nie ma znaczenia. Ksiądz jest duchownym, kolegą. I moim obowiązkiem jest pomagać księdzu w miarę sił i możliwości.

Priamo Ferro spojrzał na Quarta w szczególny sposób, inaczej niż kiedykolwiek dotychczas. Spojrzeniem pozbawionym hardości. Może nawet z wdzięcznością. Broda staruszka zadrgała przez chwilę, jakby miał wypowiedzieć słowa, przed którymi opierały się jego usta. Naraz zamrugnął, zacisnął zęby i poprzedni wyraz w jednej

chwili zniknął z jego twarzy, pozostał niski i szpetny proboszcz, który wszystko dookoła obrzucił nieprzyjemnym spojrzeniem, na koniec spojrział na Quarta.

– Ksiądz nie może mi pomóc – powiedział. – Nikt nie może... Nie potrzebuję alibi ani świadków, bo kiedy zamykałem drzwi od zakrystii, ten człowiek leżał martwy w konfesjonale.

Quart na chwilę zamknął oczy. Nie było wyjścia.

– Skąd ma ksiądz taką pewność – zapytał, choć z góry znał odpowiedź.

– Bo ja go zabiłem.

Macarena gwałtownie się odwróciła, tłumiąc jęk, i przytrzymała się poręczy nad rzeką. Pencho Gavira zapalił kolejnego papierosa. Natomiast ksiądz Ferro wstał i zaczął zapinać niezdarnymi palcami guziki sutanny.

– A teraz – powiedział do Quarta – najlepiej będzie, jeśli pójdziemy na policję.

Księżyc powoli przesunął się nad Gwadalkiwirem, w kierunku Złotej Wieży, odbitej w oddali w rzece. Siedząc na brzegu, ze stopami zwisającymi nad wodą, don Ibrahim pochylił głowę, przygnębiony, tamując chusteczką krew, która kapiała mu z nosa. Poły koszuli wysunęły mu się ze spodni, odsłaniając tłusty brzuch, ubrudzony kawą i smarami ze statku. Leżący obok twarzą do ziemi, jakby skończono liczenie, a jemu było już wszystko jedno, Żrebak Fernando też patrzył w czarny nurt, w ciszy, z uniesioną w górę brwią, błakając się po odległych wspomnieniach aren byków i wieczorów chwały, braw i świateł reflektorów na ringu. Nieruchomy jak chart, zmęczony i wierny, wyczekujący obok swojego pana.

*A rankiem ich oczy pytają
María Paz, czegoś oczekiwała?*

Przy kamiennych schodach prowadzących do samej rzeki Dzidzia moczyła rąbek sukni między przybrzeżnymi zaroślami i przykładła go do skroni, cichutko śpiewając głosem ochrypłym od wina i kłęski, ponad szumem płynącej wody. Światła Triany mrugały z drugiej strony rzeki, a bryza, nadchodząca od Sanlucar, od morza i – jak mówili – od Ameryki, marszczyła delikatnie rzekę i koła smutek trójki współników.

*Bo żołnierz, który ci miłość ślubował,
Odszedł, zapomniał swe słowa...*

Don Ibrahim machinalnie podniósł dłoń do piersi, a potem opuścił ją na podolek. Za nim, na pokładzie statku „Canela Fina”, został zegarek, który dostał od Ernesta Hemingwaya, zapalniczka od Garcii Marqueza, kapelusz panama i cygara. I z

ostatnimi strzępami godności i wstydu, marzenie o owych nigdy nie widzianych czterech i pół milionie, za które mieli otworzyć *tablaos* dla Dzidzi. W swoim życiu zrobił wiele kiepskich interesów, ale żaden nie był taką klęską jak ten.

Głęboko westchnął kilka razy i niezdarnie opierając się o ramię Żrebaka, dźwignął się. Dzidzia Dolores nadeszła od rzeki, podtrzymując z wdziękiem mokrą falbaniastą spódnicę w grochy i fałszywy mecenas przyglądał się z czułością w świetle latarni Arenal zrujnowanemu lokowi na czole, potarganym kosmykom z koka zwisającym na skroniach, rozmazanemu tuszowi wokół oczu i zwiędniętym ustom, z których stał się karmin. Żrebak też się podniósł, w białym podkoszulku na ramiączkach, i nawet do don Ibrahima dotarł zapach jego męskiego, honorowego potu. I wtedy, pod osłoną mroku, po policzku byłego adwokata – jeszcze opalonego benzyną z butelki po anyżówce Del Mono – spłynęła okrągła i gruba łza, która przez chwilę zwisała mu jeszcze na brodzie, już siniejącej od zarostu, po całej tej nieszczęsnej nocy.

Wszyscy troje byli cali i zdrowi, i byli w Sewilli. A w niedzielę na arenie Maestranzy walczyć będzie Curro Romero. Oświetlona Triana rozciągała się po drugiej stronie rzeki jak schronienie, strzeżona przez niewzruszony profil Juana Belmonte. I na długości trzystu metrów było jedenaście barów przy Altozano. Mądrość, zmienne czasy i niezmiennie kamienie oczekiwały na dnie ciemnych butelek ze złotym winem. Ktoś niecierpliwie szarpał struny gitary i zaraz zabrzmiał głos, który zaśpiewa zwrotkę. Przecież nic innego nie jest naprawdę ważne. Któregoś dnia don Ibrahim, Żrebak, Dzidzia, król Hiszpanii i papież z Rzymu, wszyscy umrą. A to miasto będzie trwało, pachnące kwiatem pomarańczy i gorzkimi owocami, wonią nocnych dam i jaśminem na wiosnę. Będzie się przeglądać w rzece, którą nadeszły i odpłynęły rzeczy dobre i złe, marzenia i ludzkie losy.

*Zatrzymałeś konia,
Ja dałam ci ognia,
I świetliki majowych
Oczu twych zielonych
Dla mnie zabłyśły...*

Zaśpiewała Dzidzia. I jakby jej śpiew był sygnałem, odległym dźwiękiem bębna albo westchnieniem spoza krat, trójka współników ruszyła do przodu, wszyscy obok siebie, nie oglądając się wstecz. A księżyc śledził milcząco ich kroki, odbite w wodzie rzeki, aż odeszli w mrok i tylko dźwięczało cichutkie echo ostatniej zwrotki Dzidzi Dolores.

XIV

Msza o ósmej

*Niektórzy ludzie – a ja do nich należę -
nie znoszą szczęśliwych zakończeń.*

*(Vladimir Nabokov, Pnin) **

Przez kuloodporną, szklaną szybę policjant pełniący służbę przyglądał się z zaciekawieniem czarnemu garniturowi i koloratce Lorenzo Quarta. Po chwili opuścił swoje miejsce naprzeciwko czterech monitorów telewizji wewnętrznej, przez które obserwował otoczenie komisariatu policji, i przyniósł mu filiżankę kawy. Quart podziękował, pokrzepił się ciepłym płynem i popatrzył na oddalające się plecy z widocznymi kajdankami i dwoma magazynkami nabojów obok pistoletu. Kroki policjanta, a potem zamykające się drzwi służbówki zabrzmiały w ciszy korytarza, zimnego, jasnego i białego, utrzymywanego w obsesyjnej czystości. Neonowe światło nadawało szpitalny, aseptyczny wygląd marmurowi na podłodze i schodom z poręczą z nierdzewnej stali. Na ścianie, obok zamkniętych drzwi, elektroniczny zegar wskazywał czerwono na czarnym wpół do czwartej nad ranem.

Był tam od przeszło dwóch godzin. Po zejściu z pokładu statku „Canela Fina” Pencho Gavira zamienił z Macareną kilka słów, wyciągnął do Quarta dłoń, która została w milczeniu uściśnięta, i ruszył do domu. Rozstaje się z księdzem w pokoju. Powiedział tak, przyglądając mu się dokładnie, zanim zawrócił na pięcie i odszedł, z marynarką zarzuconą na plecy, w kierunku schodów prowadzących do Arenalu. Trudno byłoby powiedzieć, czy myślał o sprawie proboszcza, czy o Macarenie. Tak czy

* V. Nabokov, *Pnin*, przekład Anna Kołyszko, Da Capo, Warszawa, 1993.

inaczej ten sportowy gest nic bankiera nie kosztował. Jego odpowiedzialność za porwanie została złagodzona interwencją w ostatniej chwili, zatem ani Macarena, ani Quart nie powinni sprawiać mu kłopotów. Choć niepokoił go los asystenta i pieniędzy przeznaczonych na okup, Gavira miał na tyle taktu, żeby nie wracać do sprawy swojego stosunku do kościoła Matki Boskiej Płaczącej. Biorąc pod uwagę wyznania księdza Ferro, wiceprezes Banku Kartuskiego był z pewnością wielkim zwycięzcą ostatniej nocy. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś jeszcze mógł stanąć mu na drodze.

Macarena natomiast miała wrażenie, że przekroczyła próg jakiegoś koszmaru. Kiedy na pokładzie „Canela Fina” stała odwrócona do rzeki, Quart dostrzegł, jak drżały jej ramiona, a ona wśród łez żegnała się z marzeniami, które właśnie tonęły w ciemnym nurcie rzeki pod jej stopami. Nie powiedziała ani słowa. Kiedy odprowadzili proboszcza na komisariat, Quart odwiózł ją do domu taksówką; wtedy też Macarena nie odezwała się. Pozostawił ją na patio, siedzącą w mroku przy fontannie wyłożonej kafelkami, i kiedy przed odejściem mamrotał niepewne słowa pożegnania, Macarena patrzyła na ciemny gołębnik. Na prostokącie czarnego nieba noc wisiała jak kurtyna w teatrze z wymalowanymi świetlistymi punkcikami ponad Domem z Okiennicami.

Rozległo się skrzypienie drzwi, hałas głosów i kroków na końcu białego korytarza, a Quart, nadal trzymając w dłoni kawę, wzmógł czujność. Nikt jednak się nie pojawił i po chwili znowu zapanowała cisza w neonowym świetle i widać było jedynie statyczny, czarno-biały obraz zdeformowanej przez szerokokątne obiektywy ulicy na policyjnych monitorach. Quart wstał i zrobił kilka kroków bez celu, a kiedy stanął naprzeciwko kuloodpornej szyby, policjant uśmiechnął się do niego z wprawiającą w zakłopotanie sympatią. Przybrał podobny uśmiech i podszedł do drzwi wychodzących na ulicę. Kolejny strażnik, w ciemnogrnatowej kamizelce kuloodpornej i z karabinkiem zawieszonym na ramieniu, przechadzał się znudzony pod palmami rosnącymi naprzeciwko wejścia. Komisariat mieścił się w nowej części miasta, na skrzyżowaniu ulic, opustoszałym o tej porze, gdzie światła zmieniały się powoli z czerwonych na zielone, z zielonych na pomarańczowe, i znów na czerwone.

Starał się nie myśleć. To znaczy, zastanawiał się jedynie nad stroną techniczną sprawy. Nowe położenie księdza Ferro, aspekty prawne, raporty, które powinien wysłać do Rzymu zaraz o świcie... Starał się, by cała reszta – wrażenia, niepewność, przecucia – nie zapanowały nad nim, odbierając jasność umysłu niezbędną do pracy. Za subtelną granicą, czyhając na najmniejszą rysę, żeby tylko opanować całość, dawne zjawy z całej siły starały się dołączyć do tych najnowszych, z tą różnicą, że tym razem ksiądz Lorenzo Quart czuł ich oddech na własnej skórze. Łatwo było trzymać się z boku, kiedy coś – choćby to była jedynie własna myśl – stało między dzianiem się a jego skutkami; ale nie było to takie proste, kiedy słyszało się oddech ofiary. Lub

rozpoznawało w niej *alter ego*, a pojęcia dobra i zła, sprawiedliwości i niestosowności zacierały swoje kontury w obliczu tego straszliwego objawienia.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się swojemu ciemnemu odbiciu w szybie drzwi wejściowych. Krótkie szpakowate włosy człowieka, który w dawnych czasach był dobrym żołnierzem. Szczupła twarz domagająca się żyletki i piany do golenia. Czarnobiały kołnierzyk z koloratką, która nie chroniła go już przed niczym. Musiał przejść długą drogę, żeby znów się znaleźć na falochronie, smagany deszczem, z kroplami wody spływającymi po zimnej dłoni, równie bezbronnej jak ręka dziecka, która kiedyś kurczowo łapała się innej dłoni. Jak opadające na krzyżu ramiona Chrystusa z nie istniejącego szkła, sprowadzone do otworów obramowanych ołowiem w witrażu, który Gris Marsala upierała się zrekonstruować.

Jakieś drzwi otworzyły się w korytarzu i do Quarta dotarły głosy. Kiedy się odwrócił, zobaczył idącego w jego stronę Simeona Navajo; czerwona koszula garibaldczyka była jak kolorowe uderzenie pędzlem w aseptycznej bieli korytarza. Oddał pustą filiżankę strażnikowi w wartowni i ruszył mu na spotkanie. Podkomisarz wycierał ręce w papierową serwetkę. Właśnie wyszedł z łazienki, wilgotne włosy miał ściągnięte do tyłu, spięte na karku w kitkę; oczy podkrążone ze zmęczenia, a okrągłe okulary zsunięte na czubek nosa.

– Gotowe – powiedział, wrzucając serwetkę do kosza. – Właśnie podpisał swoje zeznania.

– Nadal utrzymuje, że zabił Bonafé?

– Tak – Navajo wzruszył ramionami, jakby za to przeproszał. Zdarza się, mówił ten gest; ani ksiądz, ani ja nie jesteśmy temu winni. – A kiedy zapytaliśmy o poprzednie dwa śmiertelne wypadki, choć to pytanie było czystą formalnością, ani nie zaprzecza, ani nie potwierdza. To jest dopiero kłopot, bo to już były sprawy zamknięte, a teraz musimy na nowo otwierać śledztwo...

Włożył ręce do kieszeni, zrobił kilka kroków w kierunku drzwi i tam się zatrzymał, przyglądając się światłom na pustej ulicy.

– Prawda jest taka – dodał – że kolega księdza nie jest zbyt rozmowny. Ogranicza odpowiedzi do dwóch słów: tak lub nie. Albo milczy, zgodnie z radą, jaką dostał od adwokata.

– To wszystko?

– To wszystko. Nawet kiedy zrobiliśmy konfrontację z panią czy panną... czy raczej siostrą Marsala, nawet nie mrugnął.

Quart spojrzał na drzwi.

– Czy ona jeszcze tam jest?

– Tak. Podpisuje ostatnie zeznania, z tym adwokatem, którego ksiądz sprowadził. Za chwilę będzie mogła wrócić do domu.

– Potwierdza zeznania don Priamo?

Navajo skrzywił twarz.

– Wręcz przeciwnie. Upiera się, że mu nie wierzy. Zapewnia, że proboszcz nie byłby zdolny nikogo zabić.

– A on co na to?

– Nic. Patrzy na nią i nie odzywa się słowem.

Na końcu korytarza znowu otworzyły się drzwi i Arce, adwokat, zbliżył się do nich. Był człowiekiem o łagodnym wyglądzie, w ciemnym garniturze, ze złotą odznaką zawodową w klapie marynarki. Od lat zajmował się problemami prawnymi Kościoła i zasłużył sobie na reputację specjalisty od tego typu niecodziennych przypadków. W formie honorariów i diet zarabiał prawdziwą fortunę.

– A ona? – zapytał Navajo.

– Właśnie podpisała swoje zeznania – powiedział Arce. – I poprosiła o dwie minuty sam na sam z księdzem Ferro, chce się pożegnać. Pańscy koledzy nie mają zastrzeżeń, więc zostawiłem ich na chwilę, żeby mogli porozmawiać. Naturalnie pod strażą.

Podkomisarz spojrzał podejrzliwie na Quarta, a potem na adwokata.

– Dwie minuty już dawno minęły – zauważył. – Lepiej zabierzcie ją stąd.

– Zamkniecie proboszcza w więzieniu? – spytał Quart.

– Tej nocy będzie spał w izbie chorych – Arce gestem dał do zrozumienia, że te szczególne względy zawdzięcza podkomisarzowi. – Jutro sędzia podejmie decyzję.

Drzwi znów się otwarły i Gris Marsala podeszła do nich w towarzystwie policjanta trzymającego w ręku kilka zapisanych na maszynie kartek. Zakonnica wyglądała na przygnębioną i bardzo zmęczoną. Miała na sobie te same džinsy i tenisówki co zawsze w kościele, do tego dzinsową kurtkę na niebieskiej koszulce polo. W ostrym, białym świetle korytarza wydawała się jeszcze bardziej bezbronna niż rano.

– Co powiedział? – zapytał ją Quart.

Cała wieczność minęła, zanim odwróciła się do niego, jakby z wielkim trudem go rozpoznawała.

– Nic – mówiła powoli, bez wyrazu. Kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, w rozpacz. – Mówi, że go zabił, a potem milczy.

– I siostra mu wierzy?

Gdzieś w budynku rozbrzmiał daleki i stłumiony dźwięk zamykanych drzwi. Gris Marsala spojrzała na Quarta, nie odpowiadając. Jej jasne oczy wyrażały nieskończoną pogardę.

Kiedy adwokat Arce odjechał z zakonnica taksówką, Simeón Navajo wyraźnie odetchnął z ulgą. Nienawidzę tych typów, zwierzył się Quartowi po cichu. Tych

wszystkich sztuczek, *habeas corpus*, i całej reszty. Są jak zaraza, proszę księdza, a ten jest bardziej zaskorupiały niż całe wyspy Galapagos. Kiedy już sobie ulżył, podkomisarz spojrział na papiery przyniesione przez policjanta i podał je duchownemu.

– Tutaj ma ksiądz kopie protokołu. To nie należy do normalnej procedury, proszę nie popularyzować informacji, że dostał to ksiądz ode mnie. Ale ksiądz i ja... – Navajo uśmiechnął się słabo. – Dobrze. Chciałbym możliwie jak najwięcej pomóc w tej sprawie.

Quart spojrział na niego z wdzięcznością.

– Już pan to zrobił.

– Nie o tym mówię. To znaczy, duchowny zatrzymany pod zarzutem zabójstwa... – Navajo dotknął swojej kitki, zakłopotany. – Sam ksiądz rozumie. Przez takie sprawy człowiek nie czuje satysfakcji ze swojej pracy.

Quart przeglądał kartki fotokopii protokołu spisanego oficjalnym policyjnym językiem. W Sewilli, dnia tego to a tego, stawiał się don Príamo Ferro Ordas, urodzony w Tormos, prowincja Huesca. Na końcu dokumentu znajdował się podpis proboszcza, niezręczny znak, prawie gryzmoł.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to zrobił.

Navajo wskazał na zeznanie.

– Tam jest wszystko napisane. Reszty możemy się domyślić z twierdzących odpowiedzi na nasze pytania lub z odpowiedzi przeczących. Wydaje się, że Honorato Bonafé był w kościele około ósmej, ósmej trzydzieści. Prawdopodobnie wszedł przez drzwi od zakrystii. Ksiądz Ferro wszedł do kościoła na obchód przed zamknięciem i tam go zastał.

– Szantażował wszystkich – zauważył Quart.

– Może o to chodziło. Umówione spotkanie albo przypadek, tak czy inaczej proboszcz twierdzi, że go zabił i kropka. Bez żadnych szczegółów. Mówi tylko, że potem zamknął drzwi od zakrystii i zostawił go wewnątrz kościoła.

– W konfesjonale?

Navajo pokręcił głową.

– Tego nie mówi. Ale moi ludzie zrekonstruowali wydarzenia. Bonafé wszedł na rusztowanie przed ołtarzem głównym obok figury Matki Boskiej. Zgodnie z wszelkimi znakami, proboszcz też tam wszedł – opowieści towarzyszyły jak zwykle gesty rąk, palce wędrowały do góry, jakby wspinały się po rusztowaniu, a potem następne palce zbliżyły się do nich. – Pokłócili się, zaczęli się szamotać czy coś takiego. Bonafé upadł albo został zrzucony z wysokości pięciu metrów – Navajo splótł na chwilę obie pary palców, a następnie pokazał upadek jednego z przeciwników. – Rana na ręce wzięła się stąd, że starał się złapać jakiegoś elementu rusztowania. Na ziemi, potłuczony, ale

jeszcze żywy, czołgał się kilka metrów, a potem wstał – Quart przyglądał się z dużym niepokojem powolnemu czołganiu palców policjanta. – Ale nie mógł ująć daleko, po drodze spotkał konfesjonał, tam się przewrócił i umarł.

Palce, które przedstawiały Bonafé, leżały teraz nieruchome na drugiej dłoni, występującej w roli konfesjonału. Dzięki gestykulacji podkomisarza Quart mógł sobie bez wysiłku wyobrazić całą scenę, w głowie jednak pojawiały mu się wszystkie po kolei spójniki przeciwstawne, jakich nauczył się w szkole jako dziecko. Ale. Lecz. Mimo to. Przecież. Jednak.

– Don Priamo to potwierdza?

Navajo zrobił udręczoną minę. To byłoby zbyt piękne. Nie można za wiele wymagać.

– Nie. Tylko milczy – zdjął okulary i przyjrzał się im pod światło jarzeniówki, jakby czystość szkieł wzbudziła w nim zawodowe wątpliwości. – Mówi, że on to zrobił, i milczy.

– To wszystko nie trzyma się kupy.

Podkomisarz wytrzymał sceptyczne spojrzenie Quarta bez mrugnięcia, w milczeniu, które było co najwyżej uprzejme.

– Jestem innego zdania – odparł wreszcie. – Ponieważ ksiądz jest duchownym, wolalby zapewne inne fakty i okoliczności. Wyobrażam sobie, że musi w księdzu budzić odrazę moralny aspekt sprawy, i potrafię to zrozumieć. Ale proszę postawić się na moim miejscu – nałożył okulary na nos. – Jestem policjantem i moje wątpliwości są minimalne: mam ekspertyzę lekarza sądowego, a przed sobą człowieka, wszystko jedno czy jest on duchownym, czy nie, będącego w pełni władz umysłowych, który zeznaje, że zabił. Jak tutaj mówimy: biały płyn w butelce, z krową na etykiecie, nie może być niczym innym jak mlekiem. Pasteryzowane, odtłuszczone czy homogenizowane, jak kto woli. Ale to mleko.

– Dobrze. Pan wie, że on to zrobił. Ale ja muszę jeszcze wiedzieć jak i dlaczego.

– Dobrze, proszę księdza. To już wasza sprawa. Choć może i w tych sprawach mógłbym księdzu pomóc. Pamięta ksiądz, że Bonafé stał na rusztowaniu przed głównym ołtarzem, kiedy zaskoczył go proboszcz? – wyjął z kieszeni spodni plastikową torebkę z małą perłową kuleczką w środku. – To znaleźliśmy przy zwłokach.

– Wygląda jak perła.

– To jest perła – potwierdził Navajo. – Jedna z dwudziestu, jakie są osadzone na figurze Matki Boskiej, na jej twarzy, płaszczu i koronie. I Bonafé miał ją w kieszeni marynarki.

Quart przyglądał się plastikowej torebce, zaskoczony.

– No i?

– Jest fałszywa. Podobnie jak pozostałych dziewiętnaście.

W otoczeniu pustych biurek, w swoim biurze podkomisarz podał Quartowi resztę szczegółów, serwując mu następną kawę, podczas gdy sam opróżniał kolejną butelkę piwa. Przez całe popołudnie i część nocy przeprowadzał dochodzenie i stwierdzono z całą pewnością, że przed kilkoma miesiącami prawdziwe perły zostały zastąpione podobnymi imitacjami. Navajo dał do przeczytania zaskoczonemu Quartowi raporty i fakty związane z tą sprawą. Jego przyjaciel i szef, inspektor Feijoo pracował do ostatniej chwili w Madrycie, starając się odnaleźć ślad pereł. Nie ma na razie pewności, ale wiele wskazuje kolejny raz na osobę Francisco Montegrifo, madryckiego marszanda, który kontaktował się z księdzem Ferro przy nielegalnej sprzedaży ołtarza z Cillas, przed dziesięciu laty. Montegrifo wprowadził na rynek perły kapitana Xaloca. Przynajmniej ich opis odpowiadał partii odkrytej u pewnego katalońskiego jubilera, konfidenta policji, eksperta w sprawach prania towarów zakupionych nie całkiem legalnie. Oczywiście, niczego, co dowodziłoby pośrednictwa Montegrifo, nie da się udowodnić, ale przesłanki są więcej niż wymowne. Co do uzyskanych pieniędzy, data podana przez konfidenta pokrywała się z podjęciem robót w kościele, kiedy to zostały zakupione materiały budowlane i wynajęto sprzęt murarski. Dostawcy, z którymi skontaktowali się ludzie podkomisarza Navajo, stwierdzili, że koszty dostarczonych materiałów stanowczo przekraczały wysokość pensji proboszcza łącznie z datkami na tacę zbieranymi w kościele.

– W ten sposób znaleźliśmy motyw – podsumował Navajo. – Bonafé trafia na ślad, idzie do kościoła i stwierdza, że perły rzeczywiście są fałszywe... Próbuje szantażować proboszcza albo wręcz proboszcz nie daje mu czasu – ręce podkomisarza znów zaczęły odtwarzać scenę, tym razem na blacie stołu, gdzie segregator udawał rusztowanie. – Możliwe że zaskoczył go na gorącym uczynku i zabił. Następnie zamknął na klucz drzwi do zakrystii i spędził kilka godzin w wieży Domu z Okiennicami, zastanawiając się nad całą sprawą. A potem wyparował na cały dzień.

Po wypowiedzeniu ostatniego zdania policjant zaczął się badawczo przyglądać rozmówcy, jakby zachęcał go do uzupełnienia luk w opowieści. Był wyraźnie rozczerowany, kiedy Quart nic nie powiedział.

– Swoją drogą – ciągnął niechętnie – ksiądz Ferro nie chce nam powiedzieć nic o swoim zniknięciu. To dziwne, prawda? – teraz znad okularów rzucił bolesne spojrzenie. – Również w tej sprawie, trzeba przyznać, niewiele mi ksiądz pomógł.

Jakby szukając pocieszenia, podjechał na krześle do małej lodówki, stojącej z tyłu, wyjął następną butelkę piwa i kanapkę z szynką, zawiniętą w aluminiową folię, zapytał Quarta, czy nie chciałby też, i zaczął pochłaniać ją żarłocznie, aż duchowny zastanawiał się, jak drobny podkomisarz może pomieścić w sobie tyle jedzenia i piwa.

– Wolę milczeć niż kłamać – powiedział Quart, gdy jego rozmówca przeżuwał. – Skompromitowałbym osoby, które nie mają nic wspólnego z całą sprawą. Może trochę później, kiedy to się skończy... Ale ma pan moje słowo duchownego. Nic, co wiem, nie wiąże się bezpośrednio z tą sprawą.

Navajo ugryzł kolejny kęs kanapki, popił łykiem piwa z butelki i zamyślony przyglądał się Quartowi.

– Tajemnica spowiedzi, prawda?

– Możemy tak to traktować.

– Dobrze – kolejny kęs. – Nie mam innego wyjścia, mogę tylko wierzyć księdzu. Poza tym dostałem od szefów instrukcje, żeby w tej sprawie – cytuję – zachować najdalej idącą dyskrecję... – uśmiechnął się słabo, z pełnymi ustami, zazdroszcząc Quartowi jego zawodowych wpływów. – Choć muszę księdzu powiedzieć, że kiedy rozwiążę to, co w tej sprawie najpilniejsze, zamierzam zająć się jej ciemnymi stronami, choćby to miało być jedynie zaspokojenie osobistej ciekawości... Jestem policjantem diabelnie wścibskim, jeśli pozwoli ksiądz na takie określenie – na chwilę spojrzenie podkomisarza spoważniało za szklami okularów. – I nie lubię, jak ktoś próbuje ze mnie zadrwić.

Zrobił gest wskazujący, że naprawdę tego nie lubi. Następnie opakowanie kanapki zwinął w kulkę i wrzucił do kosza.

– W każdym razie pamiętam, że jestem dłużnikiem księdza – nagle podniósł do góry palec. O czymś sobie właśnie przypomniał. – Swoją drogą. Właśnie przyjęto do szpitala Królowej Zofii mężczyznę w opłakanym stanie. Znalaziono go niedawno pod mostem Triany. – Navajo przyglądał się Quartowi z dużą uwagą. – Jest prywatnym detektywem niższego rzędu, podobno ostatnio pracował jako ochroniarz Pencho Gaviry, męża, czy kim on tam jest, córki pani Bruner. Noc pełna zbiegów okoliczności, prawda? Rozumiem, że o tej sprawie ksiądz też nic nie wie.

– Też nie.

Navajo paznokciem dłużył między zębami.

– Tak też myślałem – powiedział. – I nawet sobie ksiądz nie wyobraża, jak bardzo mnie to cieszy, bo ten osobnik wygląda jak figura *Ecce Homo*, ma obie ręce połamane i zwichniętą szczękę. Pół godziny trwało, zanim doprowadzono go do stanu, w którym mógł wypowiedzieć choćby słowo. I kiedy wreszcie to zrobił, wyznał, że spadł ze schodów.

Niewiele więcej zostało do powiedzenia. Quart był jedynym przedstawicielem Kościoła, jakiego Navajo miał pod ręką, przekazał mu więc trochę oficjalnych dokumentów, razem z kompletem kluczy do kościoła i na plebanię. Poprosił go

również o podpisanie krótkiej deklaracji na temat dobrowolnego zgłoszenia się na policję przez księdza Ferro.

– Żaden inny duchowny, poza księdzem, nie zjawił się tutaj. Po południu zadzwonił do nas arcybiskup, ale tylko po to, żeby kunsztownie umyć ręce – policjant skrzywił twarz. – A, jeszcze i po to, żeby poprosić o zachowanie sprawy w tajemnicy przed prasą.

Wrzucił pustą butelkę do kosza i przeraźliwie ziewnął, spojrzął na zegarek i napomknął o chęci pójścia do domu. Quart poprosił, by po raz ostatni mógł się spotkać z proboszczem, i Navajo, po chwili zastanowienia, stwierdził, że nie ma obiekcji, jeśli sam zainteresowany się zgodzi. Poszedł to załatwić, a wychodząc zostawił na biurku plastikową torebkę z perłą.

Quart przyglądał się jej, nie dotykając, i równocześnie myślał o Honorato Bonafé, który miał ją w kieszeni. Perła była duża, od strony, gdzie była przymocowana do oprawki na figurze, miała zdrapaną błyszczącą wierzchnią warstwę. Dla mordercy – czy był nim ksiądz Ferro, sam kościół, czy którakolwiek z postaci z nim związanych – perła nabierała, jeśli znajdowała się poza miejscem, gdzie być powinna, charakteru przedmiotu śmiertelności. Bonafé, sam o tym nie wiedząc, znalazł się na krawędzi tajemnicy, a to przekraczało policyjne granice sprawy. *Nie będziecie bezcześcić domu Ojca mego.* Nie będziecie zagrażać schronisku, gdzie potrzebujący szukają pociechy. I wychodząc z tego punktu widzenia, konwencjonalna moralność stawała się niewystarczająca przy analizie faktów. Należało wejść głębiej, w zewnętrzne mroki, ku niegościnnym drogom, którymi mały, twardy ksiądz chodził od wielu lat, utrzymując na swoich zmęczonych barkach przygnębiający, nadmierny ciężar nieba pozbawionego uczuć. Gotów nieść pokój, schronienie, miłosierdzie. Gotów odpuszczać grzechy, a nawet – jak tej nocy – dźwigać je.

Nie było w tym specjalnej tajemnicy. Quart uśmiechnął się słabo, ze smutkiem, patrząc na fałszywą perłę z kościoła Matki Boskiej Płaczącej, podczas gdy wszystko wokół zaczynało się powoli kręcić, jak czarne sklepienie, które każdej nocy obserwował ksiądz Ferro, w poszukiwaniu najbardziej wstrząsającej pewności. I wszystko wydało się Quartowi niewiarygodnie proste i doskonale składające się: perła, kościół, to miasto, miejsce w czasie i w przestrzeni. Postacie odbijające się w szerokiej, starej i mądrej rzece, płynącej do ogromnego, niezmiennego morza; morza, które nadal będzie uderzało o puste plaże, ruiny, opuszczone porty, zardzewiałe statki z nieruchomymi cumami, kiedy od dawna nikogo już tu nie będzie.

Tak skromna jest ta przestrzeń, tak marne schronienie, tak kruche pocieszenie, że bez trudu można zrozumieć kogoś, kto wyciąga miecz Jozuego, aby wydać bitwę, która by wszystkiemu nadała sens, lub kogoś, kto bierze na siebie grzechy innych. Oto dwie strony jednej monety: jedyne możliwe bohaterstwo, mądre bohaterstwo,

pozbawione sztandaru i zwycięstwa. Samotne figury w rogu szachownicy, starające się zakończyć swoją partię z godnością, nawet gdy klęska jest pewna, podobne oddziałom piechoty, których ogień powoli ustaje, a dolina wypełnia się wrogami i ciemnością. Tu jest moje pole, tutaj jestem i tutaj umrę. I w każdym polu rozbrzmiewa zmęczony łoskot bębna.

– Kiedy ksiądz zechce – powiedział Navajo, zaglądając przez drzwi.

Właśnie tak, i nie ma znaczenia, kto zepchnął Honorato Bonafé z rusztowania, Quart wyciągnął rękę i dotknął palcami opakowania perły. Jakby patrzył na fałszywą łzę Matki Boskiej, on, żołnierz zagubiony na zboczach wzgórz Hittinu, słyszy w oddali ochryply głos i szcęk żelaza innego brata, który stacza swoją bitwę w innym kącie szachownicy. Nie ma już przyjaznych dłoni, które zapewnią pochówek w kryptach dla bohaterów, oświetlonych złotym światłem witraży, pomiędzy rycerzami leżącymi w zbrojach i rękawicach, z lwami u stóp. Teraz słońce stoi w zenicie, a szkielety ludzi i rumaków leżą w dolinie, rzucone na żer szakalom i sępom. I tak, powłócząc swym mieczem, spocony pod kolczugą, zmęczony wojownik wstał i podążył za Simeonem Navajo wzdłuż długiego, białego korytarza. Na jego końcu, w niewielkim pokoju ze strażnikiem przy drzwiach, ksiądz Ferro siedział na krzeselku, bez sutanny, w szarych spodniach, spod których wystawały stare, nie wyczyszczone buty i w białej koszuli zapiętej pod szyję. Okazano mu na tyle poszanowania, że nie miał założonych kajdanek, mimo to wydawał się maleńki i opuszczony, z siwymi, nierówno ostrzyżonymi włosami i dwudniową brodą rosnącą między bliznami i zmarszczkami. Jego ciemne oczy, poczerwieniałe w kącikach, bez wyrazu przyglądały się nowo przybyłemu. Quart podszedł do niego i podczas gdy podkomisarz i strażnik spoglądali na nich od drzwi całkowicie zaskoczeni, uklęknął przed starym kapłanem.

– Ojczy, odpuść moje winy, bo zgrzeszyłem.

Były to przeprosiny, wyraz szacunku, skrucha; czuł potrzebę, żeby inni ludzie byli tego świadkami. Przez chwilę zdziwienie błysnęło w spojrzeniu proboszcza. Siedział bez ruchu, nie odrywając wzroku od człowieka, który klęcząc przed nim nieruchomo, czekał. Powoli podniósł dłoń i uczynił znak krzyża nad głową Lorenzo Quarta. W oczach starca pojawił się wilgotny refleks uznania; drżała mu broda i wargi, podczas gdy wypowiadał bezgłośnie, bez słów, starą formułę pocieszenia i nadziei. I wtedy uśmiechnęły się z ulgą wszystkie duchy i wszyscy zmarli przyjaciele templariusza.

Pozostawił za sobą trzy palmy i przeciął pusty plac, pomiędzy światłami, które zmieniały się z zielonych na czerwone, a z czerwonych na żółte. Potem szedł prosto aleją w kierunku mostu San Telmo, w zupełnej samotności i w ciszy poranka. Zobaczył zielone światelko wolnej taksówki na postoju, ale przeszedł obok niej; potrzebował spaceru. Mijane latarnie na przemian wydłużały i skracały jego cień na

chodniku. W miarę jak zbliżał się do Gwadalkiwiru, wilgoć w powietrzu stawała się coraz intensywniejsza, i po raz pierwszy od czasu, kiedy przyjechał do Sewilli, poczuł chłód. Podniósł kołnierz marynarki. Przy moście, bez świateł ani turystów, którzy mogliby ją podziwiać o tej porze, arabska Złota Wieża tonęła w ciemności, pogrążona we własnym straconym czasie.

Przeszedł przez most. Fontanny przy Puerta de Jerez były suche, kiedy przechodził obok fasady z cegieł i kafelków hotelu Alfonso XIII. Poszedł wzdłuż muru Królewskich Alkazarów, a żeby mógł przejść na patio Chorągwi, miejscy śmieciarze skierowali w inną stronę strumień wody wypływający z błyszczącego miedzianego hydrantu. Nabrał w płuca powietrza pachnącego pomarańczami i wilgotną ziemią, idąc w kierunku łuku prowadzącego do Dzielnicy Żydowskiej, a w wąskich uliczkach dzielnicy Santa Cruz wyprzedzało go echo jego kroków pod niewyraźnymi światłami latarni. Nie wiedział, jak długo idzie, ale spacer ten zaprowadził go daleko, poza czas, do niekonkretnego miejsca, gdzie jak we śnie nagle napotkał mały plac, między domami pomalowanymi ochrą i białym wapnem, które rozjaśniało teren, jakby to był jasny dzień. Plac otoczony kratami w oknach, pełnych doniczek z pelargoniami, na którym stały kafelkowe ławki pokryte scenami z *Don Kichota*. A w głębi, między rusztowaniami podpierającymi spękaną dzwonnice, strzeżoną przez bezgłową Matkę Boską, którą półmrok skrywał w niszy, wznosiła się – trwająca trzy wieki w historii oraz w długiej pamięci ludzi, jacy chronili się pod jej dachem – świątynia Matki Boskiej Płaczącej.

Usiadł na jednej z ławek i przez dłuższą chwilę bez ruchu patrzył z tego miejsca na kościół. Z pobliskiej wieży rozbrzmiewały kolejne uderzenia zegara; i za każdym uderzeniem wlatywały w niebo zbudzone ze snu, zaniepokojone gołębie, które potem chroniły się pod okapami. Na niebie nie było już księżyca. Gwiazdy w górze nadal zimno mrugały. Przed świtem chłód jeszcze się pogłębił, wstrząsając udami i plecami księdza. W jego duszy pełnej spokoju wszystko stawało się bardziej określone i zobaczył, jak od wschodu pojawia się i rośnie światłość, coraz wyraźniej obrysowując sylwetkę dzwonnicy, która zaczęła jakby ciemnieć przez kontrast z czernią znikającą z tła. Znów zadźwięczał dzwon, i znów gołębie i jerzyki wzbily się w niebo i opadły. Dzień był coraz jaśniejszy, w czerwonym blasku, który spychał noc na drugą stronę miasta, w wyraźnym kształcie dzwonnicy, dachu, okapów przy placu i w kolorach, które podkreślały ciemne odcienie złota i piasku na wapiennej bieli murów. I piał koguty, bo Sewilla jest jednym z tych miast, gdzie koguty nadal obwieszają świt. Wtedy Lorenzo Quart wstał, jakby wracał z długiego snu. A może dalej był w nim pogrążony, jak powiedziałby każdy, kto by go widział idącego w stronę kościoła.

Pod łukiem przy wejściu wyjął z kieszeni klucz i przekreślił we wrotach, które otwały się ze skrzypieniem. Przez witraże dostawało się już dość światła, żeby mógł

pewnie przejść między ławkami ustawionymi w nawie po obu stronach przejścia do ołtarza – nadal pogrążonego w mroku, przed którym jedynie żarzyła się maleńka lampka Najświętszego Sakramentu. Słuchając odgłosu swoich kroków, doszedł do środka kościoła i stamtąd przyglądał się konfesjonałowi z otwartymi drzwiczkami, rusztowaniom ustawionym wzdłuż ścian, wytartym płytom posadzki i czarnemu otworowi krypty, w której spoczywały prochy Carloty Bruner. Potem uklęknął w jednej z ławek i nieruchomo poczekał na nadejście świtu. Nie modlił się, bo nie wiedział, do kogo miałby się modlić, a dobrze znany porządek rytuałów wiary nie wydawał mu się właściwy w tej sytuacji. Dlatego po prostu czekał, z kompletną pustką w głowie, kołysząc się pośród milczącego ukojenia, jakie dają stare mury, pod sufitem poczerniałym od dymu świec, pożarów i plam wilgoci, wznoszącym się nad jego głową, tam gdzie rosnąca jasność wydobywała z mroku brodatą twarz proroka, skrzydło anioła, pustą chmurę i nierozpoznawalną postać, która niby duch rozplywała się w spokoju czasu. Wreszcie pojawiło się światło słoneczne, wpadając dokładnie przez oprawioną w ołów, pustą sylwetkę Chrystusa, a ołtarz rozbłysnął barokowymi arabeskami złoceń rzeźbionych kolumn, które głosiły chwałę Boską. Stopa Matki Boskiej deptała głowę węża i tylko to – pomyślał Quart – jest naprawdę ważne. Wszedł na chór i zakołysał dzwonem. Poczekał kwadrans, siedząc na ziemi, pod końcówką liny, zakończoną grubymi supłami, a potem wstał i jeszcze dwukrotnie powoli zadzwonił. Do mszy o ósmej brakowało piętnastu minut.

Zapalił oświetlenie ołtarza i sześć świec, po trzy z każdej strony ołtarza. Następnie, kiedy ustawił już na swoim miejscu księgi i ampułki z winem i wodą, ruszył do zakrystii, umył ręce i twarz, wytarł ręcznikiem wilgotne włosy. Otworzył szafę i szuflady komody, rozłożył przedmioty liturgiczne i wybrał strój odpowiedni na ten dzień roku. Kiedy wszystko było gotowe, zaczął się wolno ubierać, według porządku i w sposób, jakiego nauczył się w seminarium, czego żaden duchowny nigdy nie zapomina. Zaczął od humerału, kwadratu białej tkaniny, tej części stroju, która wyszła już z użycia, a używali jej jedynie księża integryści lub duchowni w podeszłym wieku, jak ksiądz Ferro. Wykonując kolejne rytualne gesty, ucałował krzyżyk umieszczony na środku tej szaty, włożył ją na ramiona i zawiązał tasiemki skrzyżowane na plecach. W szafie znalazł trzy alby, białe szaty okrywające odprawiającego mszę od ramion do stóp, dwie były za krótkie, ze względu na jego wzrost, trzecia jednak, niewątpliwie używana przez księdza Lobato, miała rozsądną długość. Włożył ją i zawiązał tasiemkę pod szyją, dopasował w pasie sznurem zwanym cingulum. Następnie wziął szeroką wstęgę białego jedwabiu – stułę – ucałował krzyż na środku i nałożył ją na humerał. Z kolei skrzyżował oba końce na piersi i włożył je po obu stronach pod cingulum. Wreszcie wziął stary ornat z białego jedwabiu, na którym z przodu wyhaftowano

kiedyś poczerniałą już złotą nitką monogram Chrystusa, i włożył głowę w otwór, a szata opadła wzdłuż ciała. Ubrany, przez chwilę stał nieruchomo, z obiema rękami opartymi o komodę, przyglądając się tłoczonemu krucyfiksowi umieszczonemu między dwoma ciężkimi, srebrnymi świecznikami, stojącymi naprzeciwko niego. Choć nie spał tej nocy, czuł tę samą jasność myśli i ten sam spokój, jakiego doświadczał, siedząc na ławce na placu. Powtórzenie prastarych gestów i początek obrzędu wzmacniały to poczucie. Jakby naraz przestała ciążyć samotność, ukojona ruchami, które inne osoby, w innej samotności, powtarzały w ten sam sposób, po zakończeniu Uczty, od blisko dwóch tysięcy lat. I nieważne, że świątynia jest stara, popękana i zniszczona, że rusztowania podtrzymują dzwonicę, że na sklepieniu rozpląły się, jak duchy, stare malowidła. Że na obrazie wiszącym na ścianie Maria pochyła nieśmiało głowę przed aniołem, na zniszczonym płótnie, pełnym pęknięć farby i plam, pociemniałym przez utlenianie się werniksu. Czy że na końcu starego teleskopu księdza Ferro, w odległości milionów lat świetlnych, zimno mrugające gwiazdy zaśmiewają się z tego wszystkiego do rozpuku.

Być może, inteligentny Żyd o nazwisku Heinrich Heine miał rację, że wszechświat jest jedynie sennym rojeniem pijanego boga, który przysnął na jednej z gwiazd. Tajemnica ta jednak, pod kluczem obracającym się trzykrotnie w drzwiach ku przepaści, jest dobrze strzeżona. Ksiądz Ferro wołał dla niej iść do więzienia i ani Quart, ani nikt inny nie ma prawa odsłonić jej ludziom, którzy czekają w kościele i których odgłosy obecności – kaszel, hałas kroków, skrzypienie ławki, w której ktoś klęka – dochodziły przez drzwi zakrystii, obok konfesjonału, gdzie Honorato Bonafé zginął dlatego, że dotknął zasłony Tanit?

Spojrzał na zegarek. Nadeszła pora.

XV

Nieszpory

*Używanie prawdziwego nazwiska
byłoby sprzeczne z Kodeksem.
(Clough i Mungo, *Approaching Zero*)*

Kilka dni po tym, jak Quart wrócił do Rzymu i przedstawił raport dotyczący kościoła Matki Boskiej Płaczącej, w jego mieszkaniu przy Via del Balduino odwiedził go arcybiskup Paolo Spada. W mieście znów padało, podobnie jak trzy tygodnie wcześniej, kiedy otrzymał polecenie wyjazdu de Sewilli. Quart właśnie stał przed otwartymi drzwiami balkonowymi, patrząc, jak woda spływa po dachach, ścianach domów w kolorze ochry, odbija się na szarym bruku i schodach placu Hiszpańskiego, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi. W progu stał arcybiskup Spada, masywny i kwadratowy, w ociekającym wodą czarnym prochowcu, i ruchami głowy otrzepywał wodę z twardej szczeciny Brytana.

– Przejeżdżałem tędy – powiedział. – I pomyślałem, że może zaprosiłby mnie ksiądz na kawę.

Nie czekając na odpowiedź, powiesił prochowiec na wieszaku, wszedł do skromnego salonu i usiadł na jednym z foteli stojących naprzeciw tarasu. Siedział w milczeniu i patrzył w deszcz, aż do chwili kiedy Quart przyniósł z kuchni parujący dzbanek kawy i dwie filiżanki na tacy.

– Ojciec Święty otrzymał raport księdza.

Quart powoli skinął głową, nalewając sobie kawy, wsypał nieco cukru, poczekał chwilę stojąc i pomieszał kawę łyżeczką. Miał podwinięte rękawy koszuli, a w

rozpiętym kołnierzyku brakowało celuloidowego paska. Brytan pochylał swoją ciężką głowę gladiatora i przyglądał mu się znad filiżanki.

– Również – dodał – otrzymał drugi raport, od arcybiskupa Sewilli, gdzie wspomina się osobę księdza.

Deszcz za oknem zgęstniał i dźwięk kropli odbijających się od posadzki tarasu na chwilę przyciągnął uwagę obu mężczyzn. Quart odstawił pustą filiżankę na tacę i uśmiechnął się. Był to grymas smutny, nieobecny, z tych, jakie się ma przygotowane zawczasu, wiedząc, że wcześniej czy później będą potrzebne.

– Przykro mi, że sprawiłem kłopot księdzu arcybiskupowi.

Odezwał się tym samym tonem, co zawsze – zdyscyplinowanym, pełnym szacunku. Choć był w swoim domu, stał niemal na baczność, jakby miał wyciągnąć kciuki wzdłuż szwów czarnych spodni. Dyrektor ISZ-u obdarzył go spojrzeniem pełnym ciepła, a potem wzruszył ramionami.

– Ksiądz *mnie* kłopotów nie sprawił – powiedział łagodnie. – Przeciwnie: informował nas ksiądz punktualnie, w rekordowym tempie dokonał trudnej pracy i podjął trafne decyzje dotyczące oddania księdza Ferro w ręce policji oraz jego obrony prawnej – zamilkł na chwilę i przyglądał się swoim olbrzymim dłoniom, w których ginęła filiżanka. – Wszystko byłoby świetnie, gdyby ksiądz do tego się ograniczył.

Smutny uśmiech na twarzy Quarta stał się wyraźniejszy.

– Ale tego nie zrobiłem.

Oczy arcybiskupa, podobne oczom starego psa, poprzecinane brązowymi żyłkami, patrzyły przeciągle na swego agenta.

– Nie zrobił ksiądz tego. Postanowił ksiądz stanąć po jednej ze stron – przez chwilę wahał się, marszcząc brew. – Uwikłał się ksiądz – to chyba odpowiednie słowo. I do tego stało się to w nieodpowiednim momencie.

Quart spojrzał na niego otwarcie.

– Dla mnie to był odpowiedni moment, Ekscelencjo.

Arcybiskup znów przechylał twarz, pełen dobrej woli.

– Ma ksiądz rację, przepraszam. Dla księdza był to naturalnie odpowiedni moment. Ale nie był taki dla ISZ-u – postawił swoją filiżankę obok drugiej, na tacy, i z ciekawością obserwował rozmówcę. – Ani dla roli bezstronnego obserwatora, jaka została księdzu powierzona.

– Wiem, że to było niepotrzebne – upierał się Quart. – Symbol, nic więcej – pograżył się w myślach i wspomnieniach. – Bywają jednak takie chwile, kiedy te rzeczy mają swoją wagę.

– No dobrze – ustąpił arcybiskup Spada. – Właściwie nie wszystko było niepotrzebne. Doszły mnie wiadomości, że Nuncjatura w Madrycie i Arcybiskupstwo Sewilli otrzymały polecenie, aby zachować kościół Matki Boskiej Płaczącej i mianować

nowego proboszcza – uważnie przyjrzał się wyrazowi twarzy Quarta, a potem żartobliwie i ironicznie puścił do niego oko. – Te końcowe uwagi księdza na temat znikającego kawałka nieba, połatanej skóry na bębnie i tak dalej odniosły zamierzony skutek. Bardzo wzruszające i przekonujące. Gdybyśmy znali talenty retoryczne księdza, wykorzystalibyśmy je dużo wcześniej.

Po tych słowach Brytan zamilkł. Teraz kolej na twoje pytanie – mówiło jego milczenie. Ułatw mi trochę sprawę.

– To była dobra wiadomość, Ekscelencjo – Quart patrzył na niego wyczekująco. – Ale dobre wiadomości przekazuje się przez telefon. Jaka jest zła wiadomość?

Prałat westchnął.

– Zła wiadomość nazywa się Jego Eminencja Jerzy Iwaszkiewicz – odwrócił na chwilę wzrok i znowu westchnął. – Naszemu drogiemu bratu w Chrystusie wymknęła się ze szponów mysz i chce sobie powetować stratę... Bardzo dużo soku wycisnął z raportu arcybiskupa Sewilli. I doszedł do wniosku, że ksiądz przekroczył swoje kompetencje. Na dodatek Iwaszkiewicz dał wiarę pewnym insynuacjom arcybiskupa Corvo na temat osobistego zachowania księdza... Faktycznie, w ich oczach sprawa nie wygląda najprościej.

– A w oczach Ekscelencji?

– No cóż – arcybiskup Spada uniósł rękę w geście odrzucającym własną osobę. – Ja jestem mniej podatny na ataki, mam różne teczki i podobne rzeczy. Cieszę się pewnym poparciem sekretarza stanu... Właściwie – zaproponowano mi pokój w zamian za pewną drobną rekompensatę.

– Moją głowę.

– Mniej więcej – arcybiskup podniósł się z fotela i zrobił kilka kroków po pokoju. Teraz stał odwrócony plecami do Quarta, przyglądał się niewielkiemu szkicowi wiszącemu w ramce na jednej ze ścian. – Proszę zrozumieć, to bardziej symbol niż coś innego. Jak ta msza odprawiona przez księdza w ubiegły czwartek... To niesprawiedliwe, wiem. Życie jest niesprawiedliwe. Rzym jest niesprawiedliwy. Ale tak właśnie jest. Takie są reguły naszej gry i ksiądz zawsze o tym wiedział.

Obszedł wokół Quarta i znowu był zwrócony do niego twarzą. Ręce miał skrzyżowane na plecach, na twarzy malowała się zaduma.

– Będę tęsknił za księdzem – powiedział. – Tak przed misją w Sewilli jak i po niej, miałem księdza za dobrego żołnierza. Wiem, że zrobił ksiądz wszystko najlepiej, jak potrafi. Być może, przez te wszystkie lata zbyt wiele duchów zrzuciłem na barki księdza. Mam nadzieję, że teraz ten Brazylijczyk, Nelson Corona, spoczywa już w pokoju.

– Co ze mną zrobicie?

To było pytanie obojętne, rzeczowe, bez śladu niepokoju. Arcybiskup Spada bezradnie wznosił ręce ku niebu.

– Iwaszkiewicz, miłosierny jak zwykle, chciał posłać księdza do jakiegoś ponurego ministerstwa... – arcybiskup mlasnął językiem, dając do zrozumienia, że bardzo by się zdziwił, gdyby Jego Eminencja miał jakiś inny projekt. – Na szczęście mogłem wyciągnąć z rękawa kilka argumentów. Nie będę mówił, że nadstawiałem karku za księdza, ale wykazałem na tyle przezorności, żeby wyciągnąć życiorys księdza i mogłem błysnąć wyjątkowymi zasługami podczas służby, takimi jak sprawa panamska czy wydobycie chorwackiego biskupa z Sarajewa. Tak więc Iwaszkiewicz poczuł się usatysfakcjonowany formalnym usunięciem księdza z Instytutu Spraw Zagranicznych – kwadratowe ramiona znów się uniosły pod marynarką Brytana. – W ten sposób Polak zbija mojego pionka, ale partia trwa nadal.

– I jaki jest wyrok? – zaciekawiał się Quart. Myślami był daleko od tej całej sprawy. Może to nie będzie takie trudne, powiedział sobie. Może i będzie tam trudniej i zimniej, ale w środku też jest zimno. Przez chwilę zastanawiał się, czy będzie miał dość odwagi, by porzucić to wszystko, jeśli wyrok będzie bardzo srogi. Zacząć gdzie indziej z czystą kartoteką, bez chroniącego go czarnego garnitur, który stanowi jego mundur i jedyną ojczyznę. Problem – po doświadczeniach w Sewilli – polegał na tym, że jest coraz mniej miejsc, dokąd można by pójść.

– Mój przyjaciel Azopardi – mówił arcybiskup Spada

– sekretarz stanu, zaproponował nam pomoc. Obiecał, że zaopiekuje się księdzem. Pomysł polega na tym, żeby wysłać księdza w roli attaché do którejś z nuncjatur w Ameryce Łacińskiej, jeśli to będzie możliwe. Po jakimś czasie, kiedy powieją pomyślniejsze wiatry, a ja nadal będę stał na czele ISZ-u, wystąpię o przywrócenie księdza do naszej służby... – uspokajał go brak reakcji ze strony Quarta. – Proszę to potraktować jako tymczasowe zesłanie lub misję dłuższą niż zazwyczaj. Mówiąc krótko: proszę zniknąć na jakiś czas. Dzieło Piotrowe jest wieczne, ale papież i ich ekipy mijają. Polscy kardynałowie starzeją się, odchodzą na emeryturę, rozpoznaje się u nich raka, sam ksiądz wie – zamknął wywód krzywym uśmiechem. – A ksiądz jest młody.

Quart podszedł do drzwi na taras. Deszcz nadal stukał o płyty u jego stóp, a szara zasłona przesuwiała się po dachach sąsiednich domów. Nabrał w płuca wilgotnego powietrza. Fasady w kolorze ochry na placu Hiszpańskim błyszcząły w głębi pustej ulicy jak olejna farba pod świeżym werniksem.

– Czy są jakieś wiadomości o losie księdza Ferro?

Brytan uniósł brwi. Ta sprawa nie jest w moich rękach, mówiła jego mina.

– Z informacji Nuncjatury w Madrycie wynika – powiedział – że adwokat, którego ksiądz znalazł, dobrze prowadzi sprawę. Sądzą, że uda się uzyskać zwolnienie księdza

Ferro ze względu na jego podeszły wiek i brak dowodów, a w najgorszym przypadku dostanie łagodny wyrok zgodny z hiszpańskim prawem. Sprawa dotyczy przecież osoby starszej i wobec sędziów można użyć mnóstwa argumentów na jego korzyść. W tej chwili przebywa w szpitalu więziennym w Sewilli, w warunkach dość wygodnych i możliwe, że zostanie przeniesiony do domu dla sędziwych księży... Mam wrażenie, że uda mu się nie najgorzej wyjść z tego wszystkiego, choć w jego wieku nie sądzę, żeby to miało dla niego większe znaczenie.

– Nie – przyznał Quart. – Nie sądzę, żeby to było dla niego ważne.

Arcybiskup Spada odwrócił się do stolika i dołał sobie kawy.

– Ten proboszcz to nieprawdopodobna postać. Naprawdę uważa ksiądz, że on to zrobił? – przyglądał się Quartowi, trzymając w ręku pełną filiżankę. – Natomiast nie mieliśmy nowych wiadomości od Nieszporów. Szkoda, że nie udało się księdzu ustalić tożsamości naszego pirata. Pozwoliłoby mi to skuteczniej bronić księdza przed Iwaszkiewiczem – zrobił przerwę, zmartwiony, i wypił łyk kawy. – Polak byłby zachwycony, gdybyśmy rzucili mu taką kość.

Quart skinął głową w milczeniu. Nadal stał przed drzwiami otwartymi na taras i przyglądał się padającemu deszczowi, a światło wpadające z zewnątrz sprawiało, że jego krótkie włosy żołnierza wydawały się jeszcze bardziej siwe. Drobne kropelki wody padały na jego twarz.

– Nieszpory – powiedział.

Tamtej nocy, ostatniej w Sewilli, zszedł do hotelowego hallu i zastał ją w tym samym miejscu, co za pierwszym razem – siedziała w tym samym fotelu. Bo rzeczywiście niewiele czasu upłynęło od pierwszego spotkania, choć Quartowi wydawało się, że był w Sewilli już całą wieczność. Że zawsze tam był, jak ogromna kamienna nawa, pełna pinakli i przypór, zakotwiczona niewiele metrów stamtąd, po drugiej stronie placu. Jak gołębie, które zdezorientowane przelatowały po niebie oświetlonym reflektorami. Jak dzielnica Santa Cruz, rzeka, arabska wieża i Giralda. Jak Macarena Bruner, która teraz patrzyła, gdy do niej podchodził. I kiedy wstała z fotela, stojąc w pustym hallu, Quart pomyślał, że jej obecność porusza go nadal do szpiku kości. Na szczęście, myślał zbliżając się do niej, ona go nie kocha.

– Przyszłam się pożegnać – powiedziała Macarena. – I podziękować księdzu.

Wyszli na ulicę na krótki spacer. Naprawdę było to pożegnanie: zdania krótkie, odpowiedzi monosylabowe, frazesy, grzecznościowe formuły, jakich używają osoby zupełnie sobie obce, ani jednej wzmianki o nich dwojgu. Quart zauważył, że przestała zwracać się do niego per ty. Macarena była jak zwykle swobodna, unikała jednak jego wzroku i dłużej przyglądała się jego koloratce. Po raz pierwszy zauważył u niej

zakłopotanie. Mówili o księdzu Ferro i o podróży czekającej Quarta następnego ranka. O mszy, którą odprawił w kościele Matki Boskiej Płaczącej.

– Nigdy bym się nie spodziewała zastać tam księdza – zakończyła Macarena.

Czasem, podobnie jak tamtej nocy, kiedy spacerując po dzielnicy Santa Cruz, przypadkowo ocierali się o siebie, za każdym razem Quart doświadczał ostrego fizycznego doznania straty – wrażenia pustki, ogromnego i rozpaczliwego smutku. Szli teraz w milczeniu, wszystko już zostało między nimi powiedziane, a każde odezwanie się mogłoby doprowadzić do wypowiedzenia słów, których żadne z nich nie chciało użyć. Światło latarni popchnęło ich cienie do arabskiego muru i tam się zatrzymały – jeden naprzeciwko drugiego. Quart patrzył w ciemne oczy, na naszyjnik z kości słoniowej na skórze w kolorze jasnego tytoniu. Nie miał do niej żalu. Dał się wykorzystać z pełną świadomością; był bronią równie dobrą jak każda inna, a Macarena uważała, że walka o sprawę, która wydaje się jej słuszna, uprawomocnia wszelkie środki. Co do Quarta, powinność i wspomnienia mieszały się poplątane w jego myślach, które w spokoju ostatnich godzin dopiero zaczynał porządkować. Wkrótce pozostanie jedynie pustka straty, należycie zamaskowana przez dumę i dyscyplinę. Wspomnienie tej kobiety i Sewilli nigdy nie zatrą się w jego zmysłach i pamięci.

Szukał jakiegoś zdania. Przynajmniej jakiegoś słowa, które mógłby wypowiedzieć, zanim Macarena zniknie z jego życia na zawsze. Czegoś, co mogłaby zapamiętać, co współbrzmiałoby z wielowiekowym murem, żelaznymi latarniami, oświetloną wieżą w głębi i niebem, na którym migotały lodowate gwiazdy księdza Ferro. Ale nie znalazł w sobie niczego. Tylko zmęczenie – długie, trzeźwe, pełne rezygnacji i niewyraźne w inny sposób, jak poprzez spojrzenie czy uśmiech. Uśmiechnął się słabo w mroku, naprzeciw kobiecych oczu, w których kiedyś, w ogrodzie, widział odbite dwa bliźniacze księżycy. A ona po raz pierwszy patrzyła mu w twarz, z wpółotwartymi ustami, jakby błąkało się po nich słowo, którego ona też nie potrafiła znaleźć. Quart odwrócił się na pięcie i odszedł, czując na plecach jej spojrzenie. I kiedy oddalał się, pomyślał głupio, że gdyby w tej chwili krzyknęła, kocham cię, zerwałby koloratkę z koszuli, odwróciłby się i chwycił ją w ramiona, jak oficerowie, którzy łamali własną karierę wybierając *femmes fatales*, w starych czarno-białych filmach, albo jak naiwni mężowie – Samson, Holofernes – w Starym Testamencie. Ta myśl sprawiła, że uśmiechnął się do siebie drwiąco. Wiedział – i wiedział to od początku – że Macarena Bruner nigdy więcej nie powie żadnemu mężczyźnie tych słów.

– Proszę zaczekać – odezwała się nieoczekiwanie. – Chcę księdzu coś pokazać.

Quart zatrzymał się. Nie było to magiczne zaklęcie, ale dość, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią jeszcze raz. I kiedy to zrobił, spostrzegł, że stoi w tym samym miejscu, obok własnego cienia na murze. Zapewne długo się zastanawiała, nim postanowiła go

zawołać. Odrzuciła włosy do tyłu energicznym ruchem głowy, był to gest wyzywający, bardziej jednak skierowany do niej samej niż do Quarta.

– Zasłużył sobie ksiądz na to – dodała.

Uśmiechała się.

W Domu z Okiennicami panowała cisza. Angielski zegar w galerii wybił dwanaście uderzeń, kiedy przechodzili przez patio z kafelkami, pomiędzy pelargoniami i paprociami. Wszystkie światła były zgaszone, a księżyc wschodzący ponad arabskimi łukami sprawiał, że ich cienie przesuwają się po mozaice na podłodze, błyszczącej kroplami wody z niedawno podlewanych doniczek. W sąsiednim ogrodzie grały świerszcze, poniżej ciemnej wieży gołębnika.

Macarena prowadziła Quarta przez galerię ozdobioną komodami i dywanami, a kiedy minęli niewielki salon, weszła przed nim po drewnianych schodkach z żelazną poręczą, na której zakręta lśniły brązowe kule. Weszli na piętro, do przeszklonej galerii otaczającej patio. W głębi były zamknięte drzwi i ku nim się skierowali. Przed ich otwarciem Macarena zatrzymała się i spojrzała poważnie na Quarta.

– Nikt – szepnęła – nie może się o tym nigdy dowiedzieć.

Następnie położyła palec na ustach, cichutko otworzyła drzwi i do ich uszu dotarły nuty *Czarodziejskiego fletu*. Pokój składał się z dwóch części – w pierwszej, nieoświetlonej, stały meble osłonięte pokrowcami z białego materiału, a przez okna wpadało światło księżyca. Muzyka dochodziła z głębi. Tam, za rozsuwanymi szklanymi drzwiami, otwartymi na oścież, światło lampki oświetlało stół, na którym ustawiony był wyrafinowany sprzęt PC, dwa monitory firmy Sony wysokiej rozdzielczości, drukarka laserowa, wszystko podłączone do sieci telefonicznej. A przed komputerem, z wachlarzem malowanym przez Romero de Torresa, naprzeciwko dwóch pustych butelek po coca-coli stojących na stercie czasopism „Wired”, uważnie wpatrzona w ekran, na którym mrugały litery i ikonki, pochłonięta wycieczką, na jaką co noc uciekała z tego domu, od Sewilli, od niej samej i jej przeszłości, Nieszpory podróżowała w ciszy poprzez nieskończoną przestrzeń cybernetyczną.

Nawet nie okazała zaskoczenia. Powoli uderzała w klawiaturę, ze wzrokiem utkwionym w jeden z monitorów. Quart dostrzegł jej niezwykle skupienie, jakby obawiała się nacisnąć niewłaściwy klawisz, bo mogłoby to zniweczyć coś naprawdę ważnego. Rzuciła spojrzenie na ekran pełen cyfr i znaków, których sens wydawał się całkowicie niejasny; pirat informatyczny poruszał się jednak po nim swobodnie. Miała na sobie jedwabny peniuar, a na szyi piękny naszyjnik z pereł. Zdziwiony Quart spojrzał na Macarenę i pokiwał głową, z nadzieją, że to świetny żart, jaki chciała mu

zrobić wspólnie z matką. Ale nagle na ekranie zmieniły się znaki, pojawiła się nowa konfiguracja, a oczy Cruz Bruner, księżnej del Nuevo Extremo, gwałtownie rozbłysły.

– Tutaj jest – usłyszał jej słowa.

Z niespodziewaną zręcznością dłonie starej damy przebiegły po klawiaturze, zdobywając kontrolę nad ekranem. Hasło i jakieś znaki ustąpiły miejsca kolejnym, a w chwilę później przycisnęła klawisz Enter i odrzuciła do tyłu głowę, z zadowoloną miną osoby, która sukcesem wieńczy długi wysiłek. Jej zwiędłe usta rozciągnęły się w uśmiechu. W oczach, zmęczonych i zaczerwienionych wpatrywaniem się w ekran komputera, błyskały przewrotne iskierki, kiedy wreszcie spojrzała na córkę i duchownego.

– *Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy...* – zacytowała, zwracając się do Quarta. – Prawda, że tak jest napisane, księżę Quart? Pierwszy List do Tesaloniczan, pięć, wers drugi.

Pomimo wieku, zmęczonych oczu i późnej godziny, robiła wrażenie przytomniejszej i jeszcze inteligentniejszej niż zwykle. Córka położyła rękę na jej ramieniu i przyglądała się Quartowi. Starsza pani pochyliła ku niej siwą głowę, w jej włosach igrał fioletowawy odbłask jarzeniówki.

– Gdybym się spodziewała wizyty o tej porze, poprawiłabym trochę swój wygląd – dotknęła perłowego naszyjnika, z ledwo wyczuwalnym tonem wyrzutu w głosie. – Ale skoro Macarena przyprowadziła tutaj księdza, to dobrze – podniosła rękę i uścisnęła dłoń córki. – Teraz zna już ksiądz moją tajemnicę.

Quart nie mógł uwierzyć własnym oczom. Spojrzał na puste butelki po coca-coli, sterty specjalistycznych czasopism, wydawanych po hiszpańsku i po angielsku, podręczniki techniczne, wypełniające szuflady biurka, pudełka z dyskietkami. Cruz i Macarena Bruner uważnie śledziły jego reakcję, jedna rozbawiona, a druga poważna. Bezradny wobec tak oczywistego dowodu prawdy, Quart wyduł usta, jakby miał zagwizdać, ale nie zrobił tego. To z tego biurka siedemdziesięcioletnia staruszka groziła szachem Watykanowi.

– Jak się to pani udało? – zapytał. – To niewiarygodne.

– Nie trzeba, żeby ktokolwiek w to wierzył – powiedziała Cruz Bruner. – Wręcz byłoby źle. Bo to jest nieprawdopodobne.

Stara dama zdjęła swoją dłoń z ręki córki i przejechała nią po klawiaturze komputera. Jakby to był fortepian, pomyślał Quart. Dawniej księżne grywały przez całe życie jedynie na fortepianie, haftowały i robiły koronki albo powoli bujały się w fotelu przemijającego czasu. Nie zmieniały się nocami w piratów informatycznych na podobieństwo Doktora Jekylla i Mister Hyde'a. To jakiś zły sen. I było bez znaczenia, że Macarena zapewniła sobie z góry jego milczenie – gdyby Quart o tym opowiedział, i tak nikt by w to nie uwierzył.

– Myślę o pani – zaprotestował. – Myślę o tym wszystkim. Nigdy bym nie przypuszczał...

– Że jakaś staruszka może z łatwością po tym żeglować? – podniosła głowę i z nieobecny spojrzaniem zastanawiała się. – No dobrze. Właściwie zgadzam się. Ale sam ksiądz widzi. Któregoś dnia spróbowałam przez ciekawość. Kiedy się przyciska klawisz, na ekranie zaczynają się dziać różne historie. Można podróżować w nieprawdopodobne miejsca i robić takie rzeczy, o jakich nawet się nie śniło... – pergaminowe usta zgięły się w kolejny uśmiech, który wyraźnie odmłodził twarz księżnej. – To dużo zabawniejsze od haftowania i oglądania wenezuelskich seriali.

– Od dawna pani to robi?

– Nie, od niedawna. Jakies trzy, cztery lata – spojrzała na córkę, jakby prosząc, żeby pomogła jej przypomnieć sobie. – Zawsze byłam kobietą ciekawską, nie mogłam się oprzeć pokusie przeczytania każdego wydrukowanego słowa... Kiedyś Macarena kupiła komputer, bo był jej potrzebny do pracy. Kiedy wychodziła, siadałam przy nim rozemocjonowana. Miała jakąś prostą grę, rodzaj piłeczki pingpongowej, dzięki której nauczyłam się używać klawiatury. Jak ksiądz wie, cierpię na bezsenność, zaczęłam więc spędzać noce przed komputerem... Chyba już jestem uzależniona.

– W twoim wieku... – powiedziała Macarena łagodnie.

– No właśnie – starsza pani patrzyła na Quarta, jakby chciała go zachęcić do słów nagany. – Ale sam ksiądz widzi. Byłam tak zafascynowana, że zaczęłam czytać wszystko, co się dało, na temat informatyki. Mówię po angielsku od dziecka, uczyłam się u irlandzkich zakonnic, zaprenumerowałam więc specjalistyczne czasopisma i zapisałam się na korespondencyjne kursy – zachichotała, zasłaniając usta dłonią, jakby sama sobą zgorzozona. – Na szczęście, choć nie cieszę się najlepszym zdrowiem, głowę mam jeszcze na swoim miejscu. W niedługim czasie stałam się ekspertem... I mogę księdza zapewnić, że w moim wieku to jest niezwykle zabawne.

– Nawet się zakochała – powiedziała Macarena.

Teraz matka i córka śmiały się razem. Quart zaczął się zastanawiać, czy aby nie oszalały. To wszystko wyglądało na piramidalną kpinę. A może słabł rozsądek. Jego rozsądek. To miasto uderzyło ci do głowy, przemknęło mu przez myśl. Dobrze, że już wyjeżdżasz, najwyższy czas.

– Przesadza – wyjaśniła Cruz Bruner. – Po prostu dostałam odpowiedni sprzęt i powoli zaczęłam wychodzić na zewnątrz. No i rzeczywiście zakochałam się, cybernetycznie rzecz biorąc. Pewnej nocy przez przypadek dostałam się do komputera szesnastoletniego hackera... Szkoda, że nie ma tu lustra, powinien ksiądz zobaczyć swoją minę. Nigdy nie widziałam kogoś równie zdumionego.

– Chyba nie sądzi pani, że mogę to uznać za coś zwyczajnego.

– Nie. Myślę, że nie.

Staruszka zbliżyła dłoń do sterty czasopism technicznych leżących na biurku i kciukiem przejechała po kartkach. Potem wskazała na modem podłączony do linii telefonicznej.

– Proszę sobie wyobrazić – dodała – czym było odkrycie tego świata dla blisko siedemdziesięcioletniej staruszki... Mój przyjaciel w żargonie informatycznym nazywał się Mad Mike, choć czasami występował jako Wicehrabia Valmont. I prowadzona przez mojego wicehrabiego, którego głos i twarz pozostaną dla mnie na zawsze nieznanne, zaczęłam podróżować po meandrach tego fascynującego świata... W jego komputerze był piracki *BBS* i dzięki temu weszłam w kontakt z innymi maniakami zaawansowanej technologii, najczęściej byli to chłopcy spędzający w swoich sypialniach długie nocne godziny i bawiący się wdzieraniem do cudzych komputerów.

Mówiła o tym z dumną miną, jakby opowiadała o najbardziej ekskluzywnym klubie. Konsternacja zapewne znów pojawiła się na twarzy Quarta, bo Macarena uśmiechnęła się:

– Wyjaśnij księdku, co to jest piracki *BBS* – powiedziała do matki.

– To rodzaj tablicy ogłoszeń – wiekowa dama położyła dłoń na klawiaturze – komputer naładowany specjalistycznym oprogramowaniem połączony z modemem telefonicznym. Jeśli ktoś ma do niego dostęp, to znaczy, że wszedł na wyższy poziom konspiracji. Kiedy po raz pierwszy próbujesz do niego wejść, proszą cię o wpisanie prawdziwego nazwiska i numeru telefonu użytkownika, a ci nieostrożni, którzy podają prawdę, nie zostają przyjęci... Sztuczka polega na tym, żeby od razu podać pseudonim i fałszywy numer telefonu. Pewna doza paranoi jest najlepszą wizytówką hackera.

– A jaki jest pani prawdziwy pseudonim?

– Naprawdę księdku to interesuje? To niezgodne z zasadami, ale podam go księdku. Skoro tej nocy, dzięki Macarenie, zaszedł księdk az tutaj – podniosła głowę z dumą i ironią. – Królowa Południa, oto mój pseudonim.

Na ekranie kursor zaczął migotać, księżna przerwała i przycisnęła kilka klawiszy. Długi tekst, drobnym, ścieśnionym drukiem, pojawił się na ekranie monitora. Cruz Bruner bez słowa spojrzała na córkę i zwracając się do Quarta, ciągnęła dalej:

– Najpierw dostałam się do *BBS* telefonicznych, a potem zaczęłam wchodzić w tajemne *Sites*, ukryte w Internecie. I jeśli porównaliśmy *BBS* do tablicy ogłoszeń, to *Site* jest jakby piracką tawerną. Można tam poznać nowych przyjaciół, bawić się, wymieniać grami, wirusami, sztuczkami, dostać użyteczne informacje i temu podobne. Powoli uczyłam się poruszać po wszelkich kręgach, podróżować za granicę, maskować wejścia i wyjścia, wnikać w zabezpieczone systemy... Nigdy nie byłam równie szczęśliwa, jak wtedy gdy dostałam się do komputera w magistracie Sewilli i poprawiłam moje saldo opłat podatku katastralnego.

– Co jest przestępstwem – powiedziała oskarżycielsko córka, najwyraźniej nie po raz pierwszy. – Kiedy się o tym dowiedziałam, zaraz pobiegłam do magistratu. Okazało się, że uregulowała należności do roku 2005. Musiałam wyjaśniać, że zaszła pomyłka.

– Może to i przestępstwo – zgodziła się starsza pani. – Ale kiedy tak siedzę przed ekranem, wcale tego nie czuję – uśmiechnęła się do Quarta z mieszaniną niewinności i przewrotności. – To cudowne.

Mówienie o tym wszystkim wyraźnie ją odmładzało. Uśmiech odmieniał jej usta, a czerwonawa wilgotność oczu błyskała figlarnie.

– W tej chwili – ciągnęła – poza moim ulubionym Wicehrabią, utrzymuję stały kontakt z różnymi *Sites* i *BBS* wyższego stopnia, i z około dwudziestką hackerów, którzy przeważnie są jeszcze nastolatkami. Nie wiem, jak się naprawdę nazywają ani jakiej są płci, znamy się tylko z pseudonimów. Ale umawiamy się na pasjonujące randki w takich miejscach jak Galleries Lafayette w Paryżu, Imperial War Museum lub w oddziałach Rosyjskiej Konfederacji Bankowej... które swoją drogą są tak słabo zabezpieczone, że nawet dziecko mogłoby tam manipulować w swoich rachunkach. Zazwyczaj wykorzystuje się je w roli próbnego pasa startowego dla początkujących piratów.

Naprawdę to była ona. Nieszpory we własnej osobie. Teraz wreszcie mógł Quart ją sobie wyobrazić, jak każdej nocy, pochylona nad komputerem, podróżuje przez elektroniczną przestrzeń i napotyka innych samotnych żeglarzy. Nieoczekiwane, przelotne spotkania, wymiana informacji i marzeń, podniecenie łamanymi tajemnicami i przekraczaniem granic zakazanego: tajne bractwo, gdzie przeszłość i terażniejszość, czas, przestrzeń, pamięć, samotność, zwycięstwo i porażka traciły swój tradycyjny sens i tworzyły przestrzeń wirtualną, gdzie wszystko jest możliwe i nic nie ogranicza się do konkretnych ram ani niepodważalnych norm. Fantastyczna droga ewakuacji, pełna nieskończonych możliwości. Również Cruz Bruner, swoiście, mściła się na Sewilli ucieleśnionej w przystojnym mężczyźnie, którego portret wisiał w korytarzu, obok jasnowłosej dziewczynki namalowanej przez Zuloagę.

– Jak się pani udało wdrzeć do Watykanu?

– Przez przypadek. Mój kontakt w Rzymie, Deus ex Machina, który prawdopodobnie jest seminarzystą albo młodym księdzem, spacerował po peryferiach systemu, jak sędzę, dla zabawy. Polubiliśmy się i dał mi kilka dobrych tropów. To było jakieś sześć, siedem miesięcy temu, kiedy problem kościoła Matki Boskiej Płaczącej zaczynał nabrzmiewać... Ani w Arcybiskupstwie Sewilli, ani w madryckiej Nuncjaturze nikt nie zwracał uwagi na słowa księdza Ferro i wtedy wpadłam na pomysł, żeby nagłośnić całą sprawę w Rzymie.

– Czy powiedziała mu pani o tym?

– Skądże znowu! Nie powiedziałam o tym nawet córce, ona dowiedziała się dużo później, kiedy wyszło na jaw istnienie pirata, którego nazwaliście Nieszpory... – mówiąc to, starsza pani nie ukrywała satysfakcji, a Quart zaczął się zastanawiać, jaką minę zrobiliby, słysząc to wszystko, Jego Eminencja kardynał Jerzy Iwaszkiewicz i arcybiskup Paolo Spada. – Na początku zamierzałam tylko zostawić wiadomość w centralnym systemie watykańskim, z nadzieją, że dostanie się we właściwe ręce. Na pomysł, żeby wdrzeć się do osobistego komputera Ojca Świętego, wpadłem później, kiedy już zagłębiłam się w systemie. Znalazłam niespodziewane archiwum, INMAVAT, świetnie zabezpieczone, więc zrozumiałam, że musi zawierać coś bardzo ważnego. Po kilku próbach wniknięcia do wewnątrz skorzystałam ze sztuczek moich bardziej doświadczonych kolegów i którejś nocy wdarłam się... Przez tydzień odwiedzałam INMAVAT, aż zrozumiałam, czym on jest. Kiedy zlokalizowałam to, o co mi chodziło, zebrałam siły i rozpoczęłam najazd. Resztę już ksiądz zna.

– Kto mi podrzucił pocztówkę?

– Ach, ta sprawa... Ja, oczywiście. Skoro już ksiądz tu przyjechał, wydało mi się sensowne, żeby poznał ksiądz również drugą stronę medalu. Weszłam do gołębnika i poszukałam czegoś odpowiedniego w skrzyni Carloty. Może nie była to najprostsza metoda, ale zamierzony efekt został osiągnięty.

Wbrew sobie Quart roześmiał się.

– A jak się pani dostała do mojego pokoju?

Starsza pani robiła wrażenie zgorszonych.

– No przecież nie zrobiłam tego osobiście! Wyobraża ksiądz sobie, że na paluszkach przemykam hotelowymi korytarzami? Rozwiązałam to bardziej prozaicznie. Moja służąca zapłaciła pokojówce – odwróciła się do swojej córki. – Kiedy ksiądz jej pokazał pocztówkę, w jednej chwili zrozumiała, że to moje dzieło. Była jednak na tyle delikatna, że nie zrobiła mi strasznej awantury.

Quart odczytał potwierdzenie słów w oczach Macareny. Zresztą żadne potwierdzenia nie były konieczne: wszystko wyjaśniało się z obezwładniającym prawdopodobieństwem. Spojrzał na ekran komputera.

– Proszę mi powiedzieć, czym teraz się pani zajmuje.

– Ach, to drobiazg – spojrzenie Cruz Bruner podążyło za wzrokiem księdza. – Można by to nazwać ostatecznym wyrównaniem rachunków... Ale proszę się nie niepokoić. Tym razem to nie ma nic wspólnego z Rzymem. To coś bliższego. Bardziej osobistego.

Quart przyjrzał się ekranowi: *S&B Poufne*, odczytał. *Sprawozdanie z wewnętrznego śledztwa B.C. w sprawie P.T. i innych.*

... Jako przykłady owego zatajania prawdy można podać: gwałtowne poszukiwanie nowych i kosztownych źródeł finansowania, fałszowanie ksiąg bez przestrzegania jakichkolwiek norm bankowych i wystawienie się na ryzyko dające się określić jako nierozważne, ponieważ o ile nie dojdzie do sprzedaży Puerto Targa na rzecz Sun Qafer Alley (wstępnie szacowanej na 180 milionów dolarów), może nastąpić deficyt o bardzo poważnych konsekwencjach dla Banku Kartuskiego, a także publiczny skandal, który obniży w znacznym stopniu zaufanie społeczne wśród akcjonariuszy typu drobny ciulacz, z natury swej konserwatywnych.

Jeśli idzie o nieprawidłowości wynikające bezpośrednio z zarządzania przez aktualnego wiceprezesa, stwierdzono...

Spojrzał na Macarenę, a potem na księżną. To była torpeda wystrzelona wprost w byłego małżonka. Przez chwilę przypomniał sobie finansistę, jakim go spotkał poprzedniej nocy na nabrzeżu, nic sympatii nawiązaną przy próbie oswobodzenia proboszcza.

– Co panie zamierzają z tym zrobić?

To nie moja sprawa, zdawała się mówić mina Macareny. Ja wyrównuję rachunki osobiście. Cruz Bruner odsłoniła jednak tajemnicę.

– Zamierzam zrównoważyć sytuację. Wszyscy zrobiliśmy bardzo dużo dla tego kościoła. Ksiądz, dzięki wczorajszej mszy, dał nam jeszcze tydzień czasu... – spojrzała na duchownego, a następnie na swoją córkę. – Chyba dlatego córka uznała, że zasłużył ksiądz na to, żeby tu dzisiaj przyjść.

– On nic nie powie – odezwała się Macarena, z powagą przypatrując się uważnie Quartowi.

– Nie robi tego? Gratuluję – przyjrzała się jej z nagłym zaciekawieniem, unosząc w górę brew, a potem skierowała wzrok na Quarta. – Właściwie to ze mną dzieje się coś podobnego jak z księdzem Ferro. W moim wieku pewne rzeczy przestają mieć znaczenie, mogę więc podjąć duże ryzyko, nie obawiając się konsekwencji – pogładziła z roztargnieniem klawiaturę komputera. – Teraz, na przykład, dokonam zemsty. Choć wiem, że nie jest to uczucie zbyt chrześcijańskie – jej głos opadł nową kadencją, wyraźnie twardszy. Determinacja, którą usłyszał, nagle wydała mu się niebezpieczna. – Potem będę musiała się wypowiadać. Zaraz zgrzeszę przeciwko przykazaniu miłości bliźniego.

– Mamo!

– Daj mi spokój, córeczko, proszę – zwróciła się do Quarta, jakby od niego oczekiwała więcej wyrozumiałości niż od Macareny, i wskazała tekst na ekranie. – To jest raport sporządzony w wyniku wewnętrznej kontroli w Banku Kartuskim, odsłaniający wszystkie problemy Pencho i demaskujący szachrajstwa, jakich dopuścił

się w związku z Matką Boską Płaczącą. Ujawnienie go zaszkodzi trochę bankowi, ale bardziej – mojemu zięciowi. Myślę, że bardzo mu zaszkodzi – niewyraźny uśmiech błąkał się po jej ustach. – Nie wiem, czy Octavio Machuca kiedyś mi to wybaczy.

– Zamierzasz powiedzieć mu o tym? – zapytała Macarena.

– Naturalnie. Nie zamierzam rzucić kamienia i schować ręki. Ale przeżył już dość dużo, żeby zrozumieć i to... Poza tym bank guzik go obchodzi. Z wiekiem stał się nieodpowiedzialny.

– Skąd wzięła pani ten raport? – zapytał Quart.

– Z komputera mojego zięcia. Jego hasło zabezpieczające nie było zbyt skomplikowane – poruszyła głowę, z żalem, który wydawał się szczery. – I naprawdę jest mi przykro, bo zawsze lubiłam Pencho. Ale muszę wybrać – kościół albo on. Każdemu to, na co zasłużył.

Na ekranie migotało światełko połączenia z linią telefoniczną i Quart zainteresował się nim. Cruz Bruner przez chwilę patrzyła na kursor, a następnie odwróciła się do duchownego i duch wszystkich pokoleń książąt del Nuevo Extremo ożył nagle w jej krwi.

– To fax – powiedziała z błyskiem w oczach. Jej pergaminowe wargi rozciągnęły się w wyrazie pogardy i okrucieństwa, jakiego Quart nigdy wcześniej u niej nie widział. – Przekazuję ten raport wszystkim dziennikom w Sewilli.

Stojąca obok niej z twarzą ukrytą w półmroku Macarena cofnęła się o krok i patrzyła w pustkę. Angielski zegar na dole powoli wybijał kolejną godzinę, pośród obrazów pokrytych pociemniałym werniksem, trzymających straż w mroku Domu z Okiennicami. Wydawało się, że całe życie istniejące w martwych ścianach domu skupiło się w świetle lampki rozjaśniającej klawiaturę komputera i kościste dłonie staruszki. I Quart poczuł w tej chwili pewność, że duch Carloty Bruner uśmiecha się z wieży w ogrodzie, a białe żagle karaweli mkną w górę rzeki, pchane bryzą, która każdej nocy nadbiega od morza.

Cruz Bruner de Lebrija, księżna del Nuevo Extremo, zmarła na początku zimy, kiedy Lorenzo Quart od pięciu miesięcy pełnił funkcję trzeciego sekretarza Nuncjatury Apostolskiej w Santa Fe de Bogota. Dowiedział się o tym z krótkiej informacji zamieszczonej w wydaniu międzynarodowym dziennika „ABC” obok klepsydry zawierającej długi spis tytułów szlacheckich zmarłej i prośbę jej córki, Macareny Bruner, spadkobierczyni tytułu, o modlitwę za duszę matki. W kilka tygodni później nadeszła koperta ze stemplem z Sewilli, która zawierała wydrukowany na kartce z czarną obwódką tekst podobny do tego, jaki znalazł się na klepsydrze. Nie towarzyszył mu żaden list, jedynie pocztówka z widokiem Matki Boskiej Płaczącej

napisana przez Carlotę Bruner do kapitana Xaloca, którą kiedyś Quart znalazł w swoim hotelowym pokoju.

Z czasem docierało do niego coraz więcej szczegółów dotyczących różnych zakończeń tej historii. List od księdza Oscara Lobato, który przeszedł długą drogę z małej wioski w okolicach Almerii do Rzymu, skąd został przesłany do Bogoty, przyniósł – poza kilkoma refleksjami natury ogólnej i sporych zmian w opinii, jaką Quart wyrobił sobie wcześniej na temat młodego wikariusza – wiadomość, że kościół Matki Boskiej Płaczącej zachował się i nadal jest parafią. Jeśli idzie o Pencho Gavirę – to jedyne, czego dowiedział się Quart z krótkiej informacji na stronach ekonomicznych amerykańskiej wersji „El Pais” była wiadomość, że don Octavio Machuca przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce na czele rady nadzorczej Banku Kartuskiego w Sewilli mianowany został ktoś zupełnie nieznan. Po informacji tej następowało zdanie mówiące o dymisji Pencho Gaviry i jego rezygnacji z pełnienia wszelkich funkcji w zarządzie Banku Kartuskiego, w tym z funkcji wiceprezesa i dyrektora naczelnego.

Co do księdza Ferro, Quart otrzymywał sporadycznie wiadomości o jego pobycie w szpitalu więziennym, o rozprawie sądowej, w wyniku której uznany został za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci, a następnie o skierowaniu go do strzeżonego domu dla duchownych w podeszłym wieku, znajdującego się w sewilskiej diecezji. Nadal przebywał tam, mimo złego stanu zdrowia w końcu zimy, podczas której zmarł Nieszpory, i zgodnie z wiadomościami zawartymi w uprzejmej i krótkiej odpowiedzi kierownika tego ośrodka na list Quarta, w którym pytał o zdrowie starego proboszcza, było mało prawdopodobne, żeby dożył do następnej wiosny. Spędzał czas w swoim pokoju i nie utrzymywał z nikim kontaktu, a nocami, jeśli była dobra pogoda, wychodził do ogrodu w towarzystwie strażnika, siadał na ławce i w milczeniu patrzył na gwiazdy.

O pozostałych osobach, jakie pojawiły się na drodze Quarta podczas jego dwutygodniowego pobytu w Sewilli, nigdy więcej nie słyszał. Powoli zatarły się one w jego pamięci, dołączając do duchów Carloty Bruner i kapitana Xaloca, które towarzyszyły mu podczas długich popołudniowych spacerów po kolonialnej dzielnicy starej Bogoty. Zniknęli niemal wszyscy, poza jedną osobą, a i ta pojawiła się tylko przelotnie, a Quart do końca nie był pewny, czy rzeczywiście o tę postać chodzi. Zdarzyło się to dużo później, kiedy Quart świeżo przeniesiony do kolejnej placówki, jeszcze bardziej ponurej, w Cartagena de Indias, przeglądając jakąś lokalną gazetę natknął się na wiadomości dotyczące chłopskiego powstania w meksykańskim stanie Chiapas. Fotoreportaż przedstawiał sceny z życia jakiejś zapadłej wioski, kontrolowanej przez siły powstańcze – między innymi grupa uczniów została sfotografowana w swojej klasie razem z nauczycielką. Zdjęcie było niewyraźne i nawet

oglądając je przez lupę Quart nie mógł dopatrzeć się szczegółów, poza ogólnym podobieństwem: kobieta miała na sobie dzinsy, siwe włosy zebrane w krótki warkoczyk, opierała dłonie na ramionach uczniów i patrzyła w obiektyw wyzywającym spojrzeniem jasnych, zimnych oczu. Tych samych, jakie Honorato Bonafé ujrzał w ostatniej chwili swojego życia, nim padł rażony gniewem Bożym.

KSIĄŻĘTA DEL NUEVO EXTREMO

Książęta del Nuevo Extremo mają w herbie srebrną wstęgę obciążoną otwartym granatem herbowym, obciętym i liściastym, oraz złoty otok z pięcioma odciętymi głowami kacyków, ozdobionymi piórami umieszczonymi na przemian z pięcioma kotwicami herbowymi. Pierwszy rycerz tego herbu otrzymał, jak mówią dawne dzieje, srebrną wstęgę od świętej pamięci króla Ferdynanda za walkę podczas zdobywania Sewilli, gdzie rodzina ta obdarzona została włościami. Ponieważ ów pierwszy książę, a wówczas jedynie świetny rycerz, wsławił się podczas oblężenia i zdobycia Granady, przeto katolicy królowie Don Ferdynand i Doña Izabela obdarowali go prawem do noszenia na srebrnej wstędze otwartego granatu z tego samego metalu. Kiedy rycerz ów wyjechał do Nowych Indii, podbił wyspę w kształcie skały i przyjął dewizę „Zdobędę więcej niż Granadę”, co choć buńczucznie brzmiało, okazało się słuszne, jako że w nagrodę za swe podboje i sławne czyny otrzymał tytuł Duque del Nuevo Extremo – księcia nowych rubieży, a tarcza jego ozdobiona została złotym otokiem, na którym pomieściło się pięć głów kacyków, co w meksykańskim języku oznacza „pan swoich poddanych”, które namalowane były na przemian z pięcioma kotwicami herbowymi. Cesarz Karol uczynił kolejnego księcia tego nazwiska kawalerem Złotego Runa i mianował go grandem Hiszpanii. Rycerz ten przyjął dewizę do dziś przez rodzinę uznawaną, ODERINT DUM PROBENT, oraz zwieńczenie w kształcie indyjskiego lwa, w Peru zwanego pumą. I trzeba uważać, bo często herb ten przedstawiany jest źle i wbrew swemu pochodzeniu ze zwieńczeniem nie w kształcie głowy lwa indyjskiego, który grzywy nie ma, lecz z głową lwa zwyczajnego, hojnie obdarzonego włosiem. Piszemy to ku przestrodze malarzy, rzeźbiarzy, hafciarzy i tkaczy, którzy będą ten herb przedstawiać.